

# CATHY KELLY

NIGDY NIE JEST  
ZA PÓŹNO

Przekład  
Irena Kołodziej



Z sąsiedniego pokoju, w którym mieściło się biuro sprzedaży, dochodziły stłumione dźwięki „Santa Baby”. Miękki, podobny do dziecięcego głos informował, że jego właściciel chciałby dostać w prezencie jacht, mieszkanie, parę koni wyścigowych... Było to i tak lepsze niż „White Christmas”. W zeszłym tygodniu Evie słyszała tę piosenkę co najmniej dziesięć razy i melodia powracała do niej nawet we śnie. Gdyby Bing Crosby żył, miałaby chęć go zamordować.

Przerwała na chwilę stukanie w klawiaturę komputera, żeby rozprostować palce. Była zmęczona. Siedziała w biurze od ósmej i prawie cały czas pisała, w przerwach wyjaśniając nowej pracownicy obsługę Worda, który tamta - zgodnie z tym, co powiedziała w rozmowie wstępnej - miała jakoby biegle znać. Sądząc po osłupiałym spojrzeniu, dziewczyna nie opłanowała dostatecznie biegle tabliczki mnożenia, a co dopiero programu komputerowego.

Z biura sprzedaży napłynęła woń świeżo parzonej kawy. Evie tęsknie wciągnęła w nozdrza boski aromat. Oddałaby życie za filiżankę wonnego płynu... Dawka kofeiny to było właśnie to, czego potrzebował w tej chwili zmęczony organizm. Nie mogła sobie jednak na nią pozwolić. Ostatnio piła wyłącznie herbatę owocową - najchętniej cytrynową - i półtora litra wody mineralnej dziennie. Musiała pozbyć się cellulitisu na udach i pupie. Inaczej nie odważyłaby się włożyć kostiumu kąpielowego, a przecież niedługo czeka ją podróż poślubna. Dolne partie jej ciała wyglądały jak mapa powierzchni księżycy i z pewnością nie nadawały się do prezentowania ich światu, zwłaszcza w romantycznej scenerii kreteńskich plaż.

Gdyby tak można było, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, uzyskać w jednej chwili gładkie, brzoskwiniowe ciało... Ozłocoona słońcem,

w barwnym sarongu, idzie powoli wzdłuż wybrzeża, a łagodne fale Morza Egejskiego pieszczą jej smukłe stopy...

- Nie można pozbyć się cellulitisu w dwa tygodnie. To kwestia sposobu życia - powiedziała jej w zeszłym tygodniu kosmetyczka. - Zwłaszcza po ukończeniu trzydziestu pięciu lat trzeba na siebie uważać - dodała znacząco.

Evie mogłaby spytać, jak do diabła kosmetyczka - na oko najwyżej dwudziestodwuletnia - może wypowiadać się z taką pewnością na temat cellulitisu i wieku dojrzałego. Ale nie spytała. To samo dałoby się prawdopodobnie powiedzieć nie tylko o cellulitisie. Po skończeniu trzydziestu pięciu lat wszystko zaczyna się psuć - marszczyć, obwisać, kurczyć... Z wyjątkiem, rzecz jasna, talii, która znacznie zwiększa swój obwód.

Nie, nie będę wyglądać na plaży jak wieloryb - postanowiła twardo Evie. Opracowała plan antycellulitisowy, który w ciągu dziewięciu miesięcy miał przywrócić jej udom i pośladowi niemowlęcą gładkość. Teraz, po tygodniu diety, która dopuszczała kawę wyłącznie przy wyjątkowych okazjach, Evie czuła się szalenie podbudowana. Ale jakim kosztem!

Spróbowała zignorować uwodzicielską woń wydobywającą się z ekspresu. Przeciągnęła się, rozprostowując ramiona i barki. Za chwilę znowu rzuci się na klawiaturę.

Rozprostowała palce. Światło jarzeniówki padło na pierścionek. Zamiotała. Evie wyciągnęła dłoń i z lubością popatrzyła na grubą złotą obrączkę z dużym, prostym diamentem. Simon ma doskonały gust... Chociaż ona wybrałaby nieco mniejszy klejnocik. No, ale kiedy facet zabiera cię do restauracji i wręcza pierścionek zaręczynowy, który kosztował pewnie tyle co twój używany ford fiesta, nie jest to właściwy moment, by dyskutować, czy przypadkiem nie wygląda on zbyt ciężko na twojej drobnej dłoni.

- To cudownie, kochanie. Nigdy nie byłam w tak eleganckiej restauracji. Spojrzał jej głęboko w oczy. Jego były niebieskie, przenikliwe, jej - brązowe.

- Chciałem zabrać cię w jakieś naprawdę wyjątkowe miejsce. Mam ci do powiedzenia coś bardzo ważnego.

Wyciągnął dłoń i odgarnął jej z szyi lśniące, ciemne pasemko, które wyknęło się z koka. Delikatnie obwiodł palcami owal jej twarzy.

Kochał tę twarz. Uwielbiał całować mały zadarty nosek i pełne, dojrzałe wargi, przesuwać palcem wzdłuż łuków brwi nad dużymi oczami barwy orzecha, ocienionymi frędzlami rzęs.

- Od razu powinienem był wiedzieć, że jesteś top-modelką, Evie - mawiał często. - Odkąd cię poznałem. Jesteś taka piękna, masz tyle wdzięku...

Tym razem jednak nie powiedział tego. Pstryknął wielkopańskim gestem palcami i nie wiadomo skąd pojawiła się trójka muzyków. Zabrzmiały dźwięki

skrzypiec, popłynęły cygańskie melodie. Już na zawsze będą jej przypominać ten niezwykły moment...

Uśmiechnął się swoim tajemniczym uśmiechem, który zafascynował ją już wtedy, w Wenecji, kiedy spotkali się po raz pierwszy w grupie turystów czekających na gondolę, która miała ich zawieźć do hotelu „Cipriani”. Po woli wyjął z kieszeni marynarki skórzane pudełeczko od Tiffany’ego, położył przed nią i otworzył.

Zalśniły diamenty. Oślepiła ich wspaniałym blaskiem, z oczami pełnymi łez radości, z trudem rozróżniała zarysy jego twarzy.

- Czy wyjdiesz za mnie, ukochana? - zapytał...

- Skończyłaś raport? - usłyszała Evie głos szefa.

Wychwytiła w tonie nutę powątpiewania i rzuciła Davisowi Wentworthowi III miążdzące spojrzenie. Od dziesięciu lat pracuje jako jego asystentka. Czy naprawdę dotąd do niego nie dotarło, że raczej urobi sobie ręce po łokcie, niż spóźni się z czymkolwiek? Nawet z wykazem najnowszych urządzeń alarmowych dla jednego ze stałych klientów Wentworth Alarms - dokumentem, nad którym usypia się z nudów.

- Naturalnie, że skończyłam - powiedziała spokojnie. - Od ponad godziny leży na twoim biurku.

- Wybacz, Evie - mruknął Davis, najwyraźniej nieobecny myślami. - Powinienem być się domyślić.

Powłócząc nogami poszedł w kierunku swojego gabinetu, z powiewającymi wokół szerokich bioder połami marynarki. Ten to na pewno nie przejmuje się dietą - westchnęła w duchu Evie, patrząc na jego pękatą sylwetkę, gdy pokonywał wąską przestrzeń między kartoteką a biurkiem nowej.

Nie było sensu kupować Davisowi na lunch, zamiast ulubionego schabu w cieście, niskokalorycznych zup czy kanapek bez majonezu. Po powrocie do domu i tak na pewno siada przed otwartą lodówką i opycha się przez całą noc. Nieszczęsny... Jak nie weźmie się za siebie, nie doczeka sześćdziesiątki.

Spojrzała na zegarek. Pora iść na lunch. Koniec ze snami na jawie o pięknym amancie i cygańskiej muzyce, inaczej nie zdąży z posiłkiem do pierwszej... Rozprostowując palce, spojrzała przelotnie na zareczynowy pierścionek.

Simon zachował się trochę inaczej, ale też bardzo miło. „Carriage Lamp” to sympatyczna knajpka, choć romantyczny nastrój został zakłócony już na starcie. Kiedy przyszli, obowiązywało jeszcze menu przedpołudniowe i przy sąsiednim stoliku wył trzyletni dzieciak, natarczywie domagając się „więcej flytek”. Było to odrobinę irytujące.

- Dzięki Bogu, że wreszcie poszli - powiedział z ulgą Simon, kiedy po dwudziestu minutach rodzina wraz z małym w końcu się wyniosła. - Nie mogłem się skupić w tym hałasie.

- A na czym chcesz się skupić? - spytała nieuważnie Evie, wypatrując kelnerki. Dotąd nie dostali zamówionej zapiekanki z krabów, a ona umierała z głodu.

- Na pytaniu, które mam ci zadać - odpowiedział nerwowo.

Evie, zaalarmowana, zapomniała o kelnerce i spojrzała na mężczyznę, z którym spotykała się od półtora roku. Simon podsunął kciukiem okulary w rogowej oprawie i wziął głęboki oddech. Szczupła twarz i szare oczy tchnęły powagą i przejęciem.

Poczuła przypływ paniki. O co chodzi? Co on ma zamiar powiedzieć? Że z nimi koniec? Doświadczenie nauczyło ją że na nikim nie można polegać. Wydawało się jej, że wszystko między nimi układa się znakomicie, ale nigdy nie wiadomo, co myśli druga osoba... Dopiero kiedy jest za późno.

- O co chcesz mnie zapytać? - spytała ostro, by ukryć niepokój.

Przez dłuższą chwilę milczał. Sięgnął do kieszeni granatowej marynarki, wyjął małe pudełeczko i powoli otworzył. Na aksamitnej poduszeczce widniał pierścionek z diamentem, może nie tak dużym jak Ritz, ale z pewnością niewiele mniejszym.

Evie wytrzeszczyła oczy. Pierwszą jej myślą było, że nie jest to rodzaj pierścionka zaręczynowego, jaki kupowałby człowiek w typie Simona. Dobry smak to była jego Biblia, a ten wielki, bijący po oczach diament zdecydowanie przekraczał granice dobrego smaku. Ciekawe, ile mógł kosztować? Nie miała zbyt wiele doświadczenia w sprawach pierścionków z diamentem. Wyobraziła sobie, jak zazwyczaj oszczędny Simon wymachuje u jubilera książeczką czekową i rzuca lekkomyślnie: „Cena nie ma znaczenia”. Co najmniej parę tysięcy...

I nagle do niej dotarło. Pierścionek zaręczynowy. To był jej pierścionek zaręczynowy!

- Simon! - zamrugała ze zdumieniem oczami.

- Evie - wpatrywał się w nią, jakby chciał, by dodała mu odwagi. - Wyjdiesz za mnie? Wiem, że to trochę nagle - ciągnął, nie dając jej szansy na odpowiedź - ale... No więc wyjdiesz?

Zaczerwieniła się. Była i uradowana, i zmieszana.

Jak to się stało, że nic nie wyczuła? Jej zdaniem dziewczyny zaklinające się, iż nie wiedziały, że chłopak ma zamiar się oświadczyć, są takie same jak te, które całkowicie zaskakuje poród, bo jakoby nie miały pojęcia, że są w ciąży. Dopiero gdy w toalecie dziecko wypada na zewnątrz, dostają hysterii... Mówiąc krótko, Evie nie wierzyła, że można nie wiedzieć.

A tymczasem nie wiedziała. Nigdy nie przypuszczała, że Simon chciałby ją poślubić. Oto sławetna kobieca intuicja.

- Zgadzasz się? - powtórzył z niepokojem w oczach.

Evie uściśniła go za rękę i rozjaśniła się w uśmiechu.

- Jasne, ty idioto. Jeszcze jak!

Przechylił się przez stół i musnął ją chłodnymi wargami. Potem szybko usiadł z powrotem i uśmiechnął się do niej.

- Podoba ci się pierścionek?
- Jest piękny - powiedziała z przekonaniem.

Z szacunkiem wyjął go z pudełeczka i trzymając na dłoni, wymownie popatrzył Evie w oczy. Nie zrobił gestu, jakby od razu zamierzał włożyć go jej na palec, a ona nie musiała opuszczać wzroku na dłoń, by wiedzieć dlaczego.

I bez patrzenia wiedziała, że tam jest: solidna złota obrączka, którą nosiła od siedemnastu lat. Ślubna obrączka od Tony'ego. Zdejmowała ją wyłącznie do pracy w ogrodzie, bo brud wnikał w wygrawerowany napis „Na zawsze”. Brzmiało to tak pięknie. I romantycznie.

- Chcesz? - zapytał cicho Simon.

Skinęła głową. Była przyzwyczajona do obrączki, do jej ciężaru, do swojego uczucia jej obecności na palcu. Zsunęła ją jednak. Palce miała szczuplejsze niż wtedy, gdy wkładała ją po raz pierwszy, w ciąży z Rosie, poszło więc łatwo. Nie patrząc na Simona, schowała obrączkę do torebki. Nie zdawał sobie sprawy, czy i jakie znaczenie ma dla niej ten klejnocik, podobnie zresztą jak nie miał o tym pojęcia nikt inny. Jeśli twój mąż ginie tragicznie w wieku dwudziestu jeden lat, zostawiając cię z malutkim dzieckiem, wówczas, zdawałoby się, ślubna obrączka powinna być dla ciebie najcenniejszą rzeczą na świecie, bolesnym symbolem tego, co straciłaś. W tamtych dramatycznych chwilach Evie czuła jednak, że straciła wszystko i nie miała głowy do symboli. No, ale skoro ludzie sądzą, że takie rzeczy jak ślubna obrączka czy rodzinne zdjęcia są dla ciebie wielką pociechą... Nigdy nie odważyła się komukolwiek powiedzieć, że zrozpaczona i wściekła, miała chęć wyrzucić wszystkie pamiątki, które ją wyłącznie raniły.

Simon czekał, jak zwykle cierpliwie. Evie spojrzała na jego miłą, pełną nadziei twarz i uśmiechnęła się, ukazując dołki w policzkach.

Natychmiast odpowiedział szerokim, entuzjastycznym uśmiechem. Wsunął jej pierścionek na palec.

- Cieszę się - tylko tyle był w stanie powiedzieć.

Szczęśliwy, jakby wygrał na loterii, myślała z rozczuleniem Evie, ilekroć spojrzała na niego w ciągu tego wieczoru. Wypili całą butelkę białego wina, większość zresztą on. Zabawne - nigdy wcześniej nie widziała, by tyle pił... Wpatrywał się w nią zza swoich grubych szkielek, ścisnął jej dłoń i mówił, że jest śliczna.

- Strasznie się cieszę, że się pobierzemy - powiedział, lekko bełkocąc. Wyciągnęła rękę i przyglądała mu kosmyki piaskowego koloru, które nieświadomie zmierzwił, przegarniając je dłonią.

Nie było cygańskich pieśni, szampana, nie iskrzyło, kiedy ich dłonie się spotykały. Simon Todd, czterdziestojednoletni likwidator szkód, mieszkający w domku z ogródkiem i cierpiący na obsesyjny lęk przed tłumem, nie miał w sobie nic z romantycznego bohatera. Nie był mężczyzną ze snów, który uwodziłby na weneckiej przystani piękną nieznajomą, czy przy wtórze

cygańskiej orkiestry padał na kolana w wypełnionej gośćmi restauracji, by poprosić ją o rękę.

Ale ja też nie jestem top-modelką... Evie uśmiechnęła się do siebie kącikiem warg. Chyba że zaczną wpuszczać na wybiegi damy trzydziestosiedmioletnie, z cellulitsem, rozstępami i dorastającymi dziećmi. Na to się jednak nie zanosi.

Co prawda, jest niejaka Iman. Ma lat trzydzieści i coś tam i córkę nastolatkę, ale ona się nie liczy. Ta somalijska piękność wygląda, jakby wyrzeźbiono ją w kawałku drogocennego hebanu. Szczupła jak wieszak, ma niesamowicie długie nogi i biust, którego rozmiarów można jej pozazdrościć. No, ale Evie, choć niezbyt długonoga, co do biustu mogłaby z nią współzawodniczyć.

Spojrzała w dół, na swoją białą bluzkę od „Marksa i Spencera”. Może przydałby się mały lifting, żeby zlikwidować kurze łapki w kącikach oczu, z pewnością jednak nie potrzebuje dorabiać sobie silikonowych piersi. 75 c wystarczy. Każdemu.

Simonowi bardzo podoba się jej biust. Nigdy wprawdzie nie mówił o tym wprost, ale widać to z jego spojrzeń. Zwłaszcza kiedy ma na sobie tę sukienkę z aksamitnej dzianiny. Tę samą którą zamierza włożyć dziś wieczorem, na bożonarodzeniowe przyjęcie w jego firmie.

O rany! Przecież w porze lunchu ma umówioną wizytę u fryzjera! Niemal zapomniała, a przecież musi się uczesać na wieczór. Nie zdąży kupić Davisowi nic do jedzenia. Trudno, musi to zrobić któraś z sekretarek. Do końca dnia ma jeszcze tyle roboty... Nie mówiąc o tym, że trzeba będzie sprawdzić, czy przypadkiem nowej przy okazji przepisywania jakiegoś listu nie udało się wykasować wszystkich plików w komputerze.

Godzinę później czekała u fryzjera na swoją kolej, przerzucając od niechcenia kolorowe magazyny i zerkając na ludzi. Ciekawe, czy stać by ją było na zmianę stylu... Z wahaniem dotknęła włosów. Odkąd skończyła dwadzieścia lat, nosiła wciąż tę samą fryzurę - proste, jasnobrązowe włosy do ramion, z przedziałkiem pośrodku, zazwyczaj zebrane w kucyk. U kogoś innego wyglądałoby to prawdopodobnie dość surowo, ale czy można wyglądać surowo, kiedy ma się duże oczy koloru orzecha, zadarty nos i pulchne policzki z dołeczkami?

Evie sporo by dała, żeby mieć budzącą respekt prezencję: słowiańskie kości policzkowe, długi nos i chłodne spojrzenie koloru stali, pod którym ludzie drżą jak liść na wietrze. Jednak w twarzy, którą zwykle określa się jako „miłą buzię”, stalowe spojrzenie byłoby nie do pomyślenia... Drobną sylwetką, kieszonkowa wersja Venus, też robiła swoje. Zwłaszcza że była to Venus, która uwielbiała zapiekany ser i kanapki z majonezem. Na szczęście przynajmniej Rosie odziedziczyła smukłą budowę swego ojca.

Evie nie cierpiała własnej „miłej buzi”. Był to jeden z powodów, dla których często rzucała piorunujące spojrzenia, co nadawało jej - jak drwiła Rosie - wygląd wściekłej krowy.

- Nie wiem, dlaczego to robisz, mamó - mówiła nieraz. - W ten sposób ludzie mają zupełnie fałszywe wyobrażenie na twój temat.

Cóż, Rosie tego po prostu nie rozumiała. Miły oznacza pocciwy, a pocciwy oznacza głupi. Pocciwego wdeptuje się w ziemię. Evie postanowiła już dawno temu, że nigdy więcej jej się to nie zdarzy.

Westchnęła. Próbowała wyobrazić sobie siebie samą wyższą o dziesięć centymetrów i o siedem kilo szczuplejszą, z krótką, ekstrawagancką fryzurką, gdy wtem przez salon przeszła wysoka, uderzająco piękna kobieta o rzymskim profilu. Spowita w karmelowe kaszmiry, z lśnącymi, ostrzyżonymi na pazia włosami w odcieniu czekolady, wyglądała tak, jakby już w kołysce budziła respekt.

Evie patrzyła na jej odbicie w lustrze, po czym przeniosła wzrok na własne. A może by rzucić sobie na włosy taki właśnie czekoladowy odcień? Może nadałoby im to bardziej określony charakter? Tak. To jest to. Ufarbuje włosy. Zresztą na ślub we wrześnie i tak trzeba będzie coś wymyślić, a przecież nie powinno się eksperymentować w ostatniej chwili.

Oczywiście wyobraźni zobaczyła siebie samą w białej szyfonowej sukni. Obfite ciemne włosy, przycięte tak jak u kobiety w kaszmirach, muskały potrójny sznur pereł, który dostała na tę okazję od Niego.

- To perły mojej matki. Rodzinna pamiątka - szepnął swoim charakterystycznym francuskim akcentem. - Chciałbym, żeby należały teraz do ciebie, najdroższa...

- Cześć, Evie - usłyszała energiczny, wesoły głos swojej fryzjerki, Gwen. - Co dzisiaj robimy? Strzyżenie i modelowanie, jak zwykle, czy może tym razem coś nowego?

Evie zawahała się przez ułamek sekundy.

- Strzyżenie i modelowanie, ale może jakoś inaczej niż zwykle - powiedziała szybko. - Idę wieczorem na gwiazdkowe przyjęcie w firmie. Pora już skrócić włosy, a przy okazji chciałam zrobić sobie bardziej wyjściową fryzurę.

- Bardzo rozsądnie - skinęła głową Gwen. - Zapraszam do mycia.

Rozsądnie... Evie ponuro odprowadziła wzrokiem kaszmirową damę, która znowu przepłynęła przez pokój w obłoku Chanel nr 5. Wcielenie wdzięku... A ja jestem rozsądna. Zawsze jestem rozsądna. To powinno być moje drugie imię: Evie Rozsądna Fraser.

Gwen zabrała się do strzyżenia.

- Co robisz w święta? - zapytała, fachowo szczękając nożyczkami przy wilgotnych włosach Evie.

- Jedziemy z Rosie do mojego ojca, jak zwykle. Moja siostra Cara też będzie.

- A kto będzie stał przy garach? Ty czy twoja siostra?



- Ojciec. Od śmierci mamy zawsze przygotowuje świąteczny obiad. Jest znacznie lepszym kucharzem niż ja, a już z pewnością niż moja siostra. Cara potrafi przyrządzić wyłącznie herbatę. I to z trudem.

Fryzjerka roześmiała się.

- To trochę jak ja. Jem same sałatki, bo z gorących dań umiem ugotować tylko fasolę.

- Wątpię, żeby Cara była w stanie ugotować fasolę - mruknęła Evie. - Jada na mieście.

- To chyba niezbyt zdrowo - zauważyła Gwen.

Evie pomyślała o siostrze. Młodsza o jedenaście lat i o trzydzieści centymetrów wyższa, dotąd zachowała nadwagę podlotka. W dodatku odżywianie się pizzą i pieczonymi kurczakami, zwłaszcza w okresie, gdy robiła dyplom z grafiki, fatalnie wpłynęło na jej cerę. Byłaby taka ładna, gdyby chciała o siebie zadbać... Ale Cara nigdy nie zwracała sobie tym głowy i ignorowała światłe wskazówki starszej siostry. Te jej workowate szmaty, spodnie-bójki z krokiem w okolicy kolan, beznadziejnie długie koszule, jakieś luźne tuniki, które szczelnie kryły wszystko co damskie... I ta nie tknięta makijażem twarz! Wyglądała jak niedzisiejsza. Po wielu nieudanych podejściach Evie zrezygnowała z prób upiększania Cary, choć serce się jej krajało, kiedy widziała, jak siostra ukrywa swoją płęć w tych straszliwych męskich łachach.

Jeśli nie zrobi jakiegoś wysiłku, niedługo utknie na bocznym torze, oglądając na okrągło powtórki „Ally McBeal”, za jedyne towarzystwo mając pojemnik z lodami. A jej rówieśnicy będą w tym czasie żyć pełnią życia... Nie jest to zbyt zabawne. Evie, niestety, wiedziała coś na ten temat.

- A co to za przyjęcie dziś wieczorem? Prywatne czy służbowe? - pytanie Gwen odwróciło jej uwagę od nieustającego zmartwienia, jakim była dla niej siostra.

- U mojego narzeczonego w biurze - odparła, czując dreszcz ekscytacji na dźwięk słowa „narzeczony”. Zawierało w sobie i romans, i stabilizację. Narzeczony... To ktoś, kto kocha cię tak bardzo, że pragnie związać się z tobą na zawsze.

- Oooo! - zawołała Gwen. - To znaczy, że się zaręczyłaś? Moje gratulacje! Kiedy? Pokaż pierścionek!

Evie zarumieniła się i wyciągnęła rękę z pierścionkiem.

- Też bym chciała mieć taki - Gwen utkwiała zachwycony wzrok w dużym kamieniu zdobiącym drobną dłoń Evie. - Wspaniały - westchnęła. - Ale kiedy to się zdarzyło? Chyba niedawno?

- Nie, jeszcze pod koniec września - wyjaśniła Evie. - Nie było cię, kiedy ostatnim razem przyszedłam się ostrzec.

- Opowiedz wszystko - zażądała Gwen. - Tak mi brakuje w życiu jakiegoś romansu...

- Wszystkim brakuje - zaśmiała się Evie.

Zaręczyny w jej wieku... Czy nie było to nieco dziwaczne? Akt ten kojarzył się raczej z obrazem ogłupiałej ze szczęścia dwudziestolatki, marzącej już od przedszkola, gdy bawiła się Barbie w długiej białej sukni, o ślubnej uroczystości z orszakiem druhen... Starszej wiekiem narzeczonej przystoi raczej kremowy kostiumik, skromny kapeluszek i ceremonia w urzędzie stanu cywilnego.

- Nie chcę wyjść na głupią - powiedziała kiedyś Simonowi. Tego by nie zniosła... Zawsze bardzo się starała, by nie narazić na szwank własnego poczucia godności. To była jedyna rzecz, na jakiej mogła się oprzeć, kiedy, sama będąc niemal dzieckiem, została wdową z maleństwem na ręku. Można wykorzystywać słodką, bezgranicznie ufną dwudziestojednoletnią istotkę o lśniących orzechowych oczach i uśmiechu przedszkolaka w sklepie z cukierkami, ale nikt nie ośmielił się wykorzystać poważnej, rozważnej i nieco podejrzliwej kobiety, w jaką przedzierzgnęła się w ciągu jednej nocy. Spojrzenie wściekłej krowy bywało przydatne, nawet jeśli nie podobało się Rosie.

- Ślub będzie uroczysty? - spytała Gwen.

- Jeszcze jak!

Simon był dotychczas kawalerem i chciał mieć ślub w starym stylu. Evie zaś po cichu pielęgnowała w sobie upodobania rodem z romansów i bez trudu dała się przekonać do całego tego kramu z welonem, confetti i całą resztą.

Uśmiechnęła się leciutko. Przypomniała jej się suknia z kremowego jedwabiu w magazynie „Ślub”, którego egzemplarz schowała pod plikiem papierów w szufladzie biurka. Suknia miała z przodu lśniące jedwabne wstążeczki krzyżujące się na obcisłym staniku, a brzegi wykończone miniaturowymi jedwabnymi różyczkami. Marzenie... Brakowało tylko rycerza na białym rumańku do kompletu. Za pierwszym razem została oszukana w sprawie ślubnej sukni; tym razem będzie inaczej.

- Rosie, jestem! - zawołała, zatrzasnąwszy biodrem frontowe drzwi. Postawiła z łomotem w hallu przemoczone torby z zakupami, zdjęła z głowy szal i upewniła się, czy na jej starannie wymodelowaną fryzurę nie spadła choćby kropla deszczu. Niemal godzinę siedziała z włosami nawiniętymi na wałki, by uzyskać loczki, które zaproponowała jej Gwen. Nie chciała, żeby nieoczekiwany prysznic zniszczył cały efekt.

- Rosie - zawołała jeszcze raz, głośniej. Cisza. Evie strząsnęła z ramion płaszcz przeciwdeszczowy i zaniósła torby do kuchni.

Na stole dotąd widniało pobojoywisko, jakie zostało po śniadaniu jej siedemnastoletniej córki. Na pokrytym okruszynami talerzu leżała grzanka ze śladami zębów, obok, ciśnięty niecierpliwą ręką, spoczywał umazany masłem nóż, a nieco dalej otwarty słoik z dżemem. Wieczka nie było. Kubek z niedopitą kawą znajdował się zapewne w pokoju Rosie, wraz z kolekcją co najmniej sześciu podobnych okazów w różnych stadiach spleśnienia.

- To przecież eksperyment biologiczny - śmiała się, kiedy matka utyskiwała, że bez końca zbiera wypełnione zielonym kozuchem kubki: a to z szafki przy łóżku, a to z biurka, przy którym Rosie odrabiała lekcje...

- Świetnie, świetnie, szkoda tylko, że nigdy nie myjesz sprzętu laboratoryjnego - ripostowała Evie, choć tak naprawdę pogodziła się już z tym, że musi zmywać po swojej nieporządnej córce. Rosie była przypadkiem beznadziejnym.

- Ty też nie musisz myć - podkreślała Rosie, od dawna przyzwyczajona do narzekania matki.

- Twój pokój jest niebezpieczny dla otoczenia. Tylko dlatego to robię.

- Z pleśni robi się penicylinę, więc jest zdrowa. Może nie? - Rosie mogła się tak przekomarzać bez końca, nie sposób było z nią wygrać. Nie przejmowała się sprawą kubków, w ogóle niczym się nie przejmowała. Co się z nią stanie, kiedy skończy szkołę i, oficjalnie dojrzała, wejdzie w ten wielki, zły świat? Evie bała się o tym myśleć.

Rosie już teraz wyglądała na dwadzieścia lat: wysoka, szczupła, ładna, z owalną twarzą, której mogła nadać wyraz chłodnej obojętności. W czarnych dżinsach i skórzanej kurtce do pół uda, której chyba nigdy nie zdejmowała, z długimi ciemnymi włosami i lśniącymi, czarnymi jak tarki oczami swojego ojca, sprawiała wrażenie dwukrotnie dojrzałej niż jej szkolne koleżanki.

Była zaledwie o trzy lata młodsza niż matka, kiedy ta zaszła w ciążę, i już teraz wielokrotnie bardziej doświadczona. Z nastolatkami jak z psami, twierdziła zawsze Evie: jeden rok życia znaczy u nich tyle co siedem, tak szybko się rozwijają.

Jeżeli Rosie uda się dostać na ten sam wydział grafiki, który ukończyła jej uwielbiana ciocia Cara, straci nad nią wszelką kontrolę. Co za okropna myśl... I wcale nie była to odległa przyszłość: Rosie miała przed sobą jeszcze tylko pół roku szkoły. Pół roku...

Widząc, jak błyskawicznie rośnie i dojrzewa ukochana córka, Evie stanęła wobec dylematu: powiedzieć jej, że zaszła w ciążę w wieku dwudziestu lat i że to był powód, dla którego w ogóle pobrali się z Tonym, czy nie? Rosie wyobrażała sobie nieznanego ojca jako kogoś w rodzaju półboga. Czy nie dozna szoku, jeśli dowie się, że bajeczny romans, którego wizję przedstawiono jej, gdy była mała, tak naprawdę niewiele miał wspólnego z baśnią? Evie nie wiedziała. Czuliła się jednak winna, że próbowała kiedyś wypełnić dziecku pustkę po nieobecnym ojcu, przedstawiając go jako herosa, z którego mała mogła być dumna.

Kłamstwo zawsze ma krótkie nogi. Niestety, nie da się uciec od tej prawdy.

Wzdychając, Evie powkładała zakupy do szafek i lodówki. Śpieszyło się jej, ale jak zawsze znalazła czas, żeby położyć każdą rzecz na właściwe miejsce. Bezładnie poupychane w szafkach puszki i słoiki to nie był jej styl. Wykończona sosną kuchnia w malutkim dwupoziomowym domku z czerwonej cegły była ciasna, ale nieprzyzwoicie czysta. Przestrzeń zagospodarowano tak, by nie marnował się choćby centymetr kwadratowy powierzchni. Nawet

drzwi spiżarni miały zamontowane na wewnętrznej stronie druciane półki z hakami i uchwyty do pokrywek.

Kiedy wszystko było sprzątnięte, Evie zrobiła sobie kanapkę z serem i filiżankę herbaty z cytryną i zabrała na górę. Wzięła szybki prysznic, tak by wilgoć nie zniszczyła fryzury, klepała w ciało trochę mleczka i zrobiła makijaż.

Jak to dobrze, że Simon lubi naturalny wygląd... Evie nałożyła na powieki delikatny brunatny cień i lekko pociągnęła rzęsy brązową mascarą. Rosie, która malowała się bez umiaru - jej makijaż przypominał Evie rytualne malowidła wojenne dawnych plemion - zawsze nakłaniała matkę, by dla podkreślenia orzechowych oczu używała ciemniejszych i bardziej intensywnych barw.

- I zrób sobie jeszcze kredką złotą kreskę. To podkreśli te bursztynowe plamki na tęczęwkach - powiedziała ostatnio, siedząc po turecku na łóżku matki i obserwując, jak szykuje się na spotkanie z Simonem.

- Tak, i będę wyglądać jak baran przebrany za jagniątko - odparła drwiąco Evie. - To nie dla mnie.

Rosie westchnęła.

- Nie masz stu lat, mamó. Masz trzydzieści siedem. Nie zaaresztują cię, jeśli raz w życiu zrezygnujesz ze swojej preencji owdowiałej księżnej. - Wzięła do ręki kredkę i na dolnej powiece, tuż pod linią rzęs, narysowała delikatną złotą kreskę. Efekt był zaskakujący: oczy zaślniły jakimś niezwykłym blaskiem. Wyglądały teraz wręcz egzotycznie.

- A zresztą - ciągnęła Rosie - matka Sophie jest o pięć lat starsza od ciebie, a ma zamiar sprawić sobie krótki top, taki powyżej pępka.

- Brrr! - wstrząsnęła się Evie. - Trudno mi wyobrazić sobie coś gorszego. Chcesz żebym tak właśnie się nosiła? Twarz w zmarszczkach i goły brzuch? A do tego utlenione kosmyki i kolczyk w nosie.

- Nie, mamó - Rosie opuściła na podłogę długie, smukłe kończyny. - Ale nic się nie stanie, jeśli dodasz sobie trochę blasku. Jesteś za młoda, żeby nosić rajstopy przeciwżyłakowe i bieliznę z nylonu w kwiatki.

- Odczep się. Nic takiego nie noszę - Evie cisnęła w córkę buteleczką perłowego lakieru do paznokci. Rosie złapała ją w locie.

- A te rajstopy, które masz na sobie, są naturalnie bardzo sexy, tak?

Evie spojrzała na czarne kryjące rajstopy, które zawsze wkładała, kiedy miała zamiar wystąpić w swojej jedynej czarnej sukience, co zdarzało się zresztą dość rzadko.

- Przesadzasz - powiedziała lekko.

Wspomniała tę rozmowę, patrząc na swoje odbicie w łazienkowym lustrze, z odkręconą już i gotową do użycia bladobeżową szminką w ręce. A może to rzeczywiście nieciekawość? Trzydzieści siedem lat to nie sto, Evie dobrze o tym wiedziała. Od dawna jednak przywykła zachowywać się i nosić jak kobieta dojrzała, że nie umiała się rozluźnić. **Po** prostu zapomniała, jak to się robi. **Rosie** tego nie rozumiała... Nie wiedziała, jak to jest, kiedy się zostaje

dwudziestojednoletnią wdową z sześciomiesięcznym dzieckiem na ręku. Jeśli nie potrafisz zdobyć się na dojrzałość, przepadniesz. Nie ma się wtedy zbyt wiele czasu na myślenie o takich czy siakich rajstopach czy szminkach.

Wrzuciła szminkę do kosmetyczki i zaczęła przeglądać szafkę. W końcu znalazła jedyną pomadkę w żywym kolorze, jaką miała: w odcieniu rodzynek. Była dołączona jako prezent do któregoś kolorowego magazynu i Evie nigdy dotąd jej nie użyła.

Śmiało pomalowała wargi, kładąc parę warstw. Usta wyglądały teraz jak ciemna szrama. Nie, bez przesady... Starła szminkę kawałkiem papieru toaletowego i wróciła do poprzedniego koloru.

Dziesięć minut później była gotowa. Włosy opadały na ramiona kaskadą loków, kontrastując z czernią aksamitnej sukni. Z długimi rękawami i niewielkim dekoltem, przylegająca w talii suknia lekko opinała biodra i spływała w dół do połowy łydek. Na nogach Evie miała cienkie, lśniące czarne pończochy z wzorkiem i pantofle na szpilce. Dziś żadnych nieprzejrzystych babcinych rajstop... Uśmiechnęła się. Tak właśnie określiła by je Rosie, gdyby była obok.

Dobrze byłoby mieć jakiś naszyjnik, żeby podkreślić dekolt. Odkąd jednak Evie nosiła pierścionek z diamentem, wszystkie jej skromne klejnoty wyglądały przy nim blade i bez wyrazu. Malutki opał na cienkim jak włos złotym łańcuszku, który kupiła kiedyś w Hiszpanii, sprawiał wręcz śmieszne wrażenie. Zdecydowała więc nie wkładać na szyję nic.

Podjechała zamówiona taksówka. Evie właśnie wychodziła z domu, kiedy zadzwonił telefon.

- Cześć, mam. Jestem u Sophie - usłyszała głos Rosie. - Wrócę nie-  
zbyt późno.

- Co to znaczy „niezbyt późno”?

Rosie westchnęła przeciągle.

- Powiedzmy, o jedenastej... No, najwyżej o dwunastej. Ty zresztą i tak wychodzisz, prawda? Co to ma być za impreza?

- Przyjęcie u Simona w biurze.

- Co włożyłaś? Mam nadzieję, że nie szokującego? Szkoda by było, gdyby cała firma Simona dostała zbiorowego ataku serca, widząc cię wyłącznie w wieczorowych ramiączkach bez sukni.

Evie ściągnęła brwi. Nie lubiła, kiedy Rosie drwiła z pracy Simona. Likwidacja szkód nie była może najbardziej ekscytującym zajęciem pod słońcem i z pewnością nie mogła się równać z tym, co robił Tony, ale przecież nie każdy może być policjantem odznaczonym za odwagę. Zresztą Tony koniec końców okazał się przesadnie dzielny. Dobrze by było, gdyby Rosie przestała wreszcie idealizować ojca i nieco bardziej doceniła Simona.

- Nie mam nic takiego wśród moich rzeczy - powiedziała spokojnie, przywołując w wyobraźni wnętrze swojej doskonale uporządkowanej szafy ze skromną kolekcją strojów. Lubiła kupować wyłącznie rzeczy w stylu

klasycznym, eleganckie i dobrze skrojone. Sukienka, którą miała na sobie, była z nich najśmielsza. - A gdybym nawet miała, już dawno byś sobie pożyczła, łobuzie.

- No, skoro nie masz w swojej szafie ramiączek bez sukni, to chyba ja dostanę ataku serca - zadrwiła Rosie. - Co w końcu włożyłaś?

- Czarną aksamitną... i cienkie rajstopy, jeśli cię to interesuje.

Zaśmiały się.

- Super, mam - powiedziała Rosie entuzjastycznie. - Położysz ich wszystkich trupem dziś wieczór. No to pa.

Odłożyła słuchawkę. Evie westchnęła. Wolałaby, żeby córka była wieczorem w domu. Miała wtedy pewność, gdzie jest i co robi. No cóż, Rosie ma prawie osiemnaście lat... Nie można jej trzymać pod kloszem.

Być może właśnie dlatego czuję się staro, pomyślała, zdejmując z wieszaka płaszcz. Mam niemal dorosłą córkę. A może to obawa przed zbliżającą się nieuchronnie rozłąką? Ani się obejrzy, jak przyjdzie pora, kiedy Rosie odejdzie z domu. Nie będzie spędzanych wspólnie wieczorów, oglądania telewizji, ataków wesołości podczas starego pocziwego serialu „Father Ted”, zaimprovizowanych kolacyjek, kiedy zagadały się do późna...

Kładła już rękę na klawce, gotowa stawić czoła lodowatemu grudniowemu wichrowi, kiedy coś ją tknęło. Wróciła biegiem na piętro, złapała rodzynkową szminkę, umalowała się nią i wrzuciła do torebki. Rosie ma rację. Trzeba sobie dodać blasku.

Simon czekał przed drzwiami sali recepcyjnej hotelu „Westbury”. Przywitał ją czułym pocałunkiem w policzek. W ciemnym garniturze, który nadał jego piaskowej barwy włosom niemal odcień blond, wyglądał dość przystojnie. Evie poczuła dreszczyk przyjemności na myśl, że wkrótce go poślubi. To dobry, porządny człowiek. Gdyby tylko Rosie chciała to zauważyć... Wsunęła mu rękę za poję marynarki i poprzez miękką tkaninę białej bawełnianej koszuli poczuła jego szczupłe ciało.

- Tak się cieszę, że przyszedłaś - powiedział z wyraźną ulgą w głosie.

- Naprawdę? - szepnęła, uszczęśliwiona. Rozejrzała się po sali. Była bardzo wytworna, utrzymana, podobnie jak cały hotel, w zieleni i złocie.

- Jeszcze jak - Simon pomógł jej zdjąć płaszcz. - Hugh Maguire, dyrektor administracyjny, przyszedł parę minut temu niezłe podcięty... a jego żona, Hilda, już godzinę wcześniej czekała na niego w hotelowym barze, tak jak się umówili. Nie jest zbyt zachwycona... Może zdołasz ją jakoś ugłaskać? Wszyscy inni się jej boją. Ma trudny charakter.

Zachwył Evie prysnął.

- Nawet jej nie znam - szepnęła mu do ucha, spłoszona. On jednak już prowadził ją przez salę w kierunku matrony o lodowatym wyrazie twarzy,

ubranej w czarną satynową suknię przypominającą namiot. Stała samotnie obok ogromnej, majestatycznej choinki.

- Hildo - powiedział Simon głosem, którego zapewne używał w kontaktach z klientami - przedstawiam ci moją narzeczoną Evie Fraser. Bardzo chciała cię poznać.

Zacisnąwszy zęby, Evie starała się przybrać taki wyraz twarzy, jakby rzeczywiście chciała poznać Hildę Maguire. Ona jednak nie sprawiała wrażenia, by miała chęć poznać kogokolwiek - z wyjątkiem, być może, szefa jakiejś mafii, który zająłby się odpowiednio jej marnotrawnym małżonkiem.

- Witaj, Hildo - powiedziała serdecznie Evie.

Hilda mruknęła w odpowiedzi coś niezrozumiałego i nadal wpatrywała się w grupę osób stojącą obok bufetu.

Simon nie należał do plotkarzy, Evie niewiele więc wiedziała o jego biurowych kolegach i ich stosunkach rodzinnych. Jednak widok męża Hildy z ogromną szklanką bursztynowego płynu w ręce i atrakcyjną panienką u boku, najwyraźniej opowiadającego sprośne dowcipy, bez trudu podsuwał wniosek, że Hugh woli bawić się na przyjęciu bez małżonki. Stojąc tuż obok niej, toczącej wokół groźnym wzrokiem i dyszącej niczym nosorożec, Evie nie była całkiem pewna, czy ma mu to za złe.

- Bardzo tu miło, prawda? - zaczęła, rozglądając się po sali. Kręciło się po niej chyba ze czterdzieści osób w wieczorowych strojach. Goście gawędzili, sączyli drinki, pojadali kanapki i najwyraźniej unikali jej i Hildy jak zarazy.

- Nie noszę biurowych przyjęć - zagrzmiała jej towarzyszka, wciąż ze wzrokiem utkwionym w Hugh, przystojnego mężczyznę o siwych włosach. Wysączył swoją szklankę w mgnieniu oka i właśnie rozglądał się za kelnerką.

- To dobra okazja, żeby współpracownicy zbliżyli się także prywatnie, i poznali współmałżonków swoich kolegów - ciągnęła niezrażona Evie, mając świadomość, że brzmi to jak cytaty z podręcznika dobrego wychowania, rozdział „Stosunki towarzyskie w miejscu pracy”.

Do ich uszu doszedł rubaszny śmiech Hugh. Marnotrawny małżonek objął owłosioną ręką talię swojej towarzyszki. Hilda parsknęła.

Evie brnęła dalej.

- Masz fantastyczną suknię - skłamała. - Gdzie ją kupiłaś?

- Musiałam dać do uszycia - warknęła Hilda. - Mam problemy z tarczą.

Na to nie było odpowiedzi.

- Może... może napiłaś się czegoś? - spytała w desperacji Evie. Ona sama z pewnością nie pogardziłaby drinkiem... A Simon zostawił ją i zniknął. Nawet nie spytał, czy ma na coś chęć! Była wściekła. Te jej wyobrażenia, jak to będzie się przechadzać po sali, ująwszy go pod ramię, jak będzie z dumą prezentować gościom swój zaręczynowy pierścionek... I co? Utknęła przy boku rozwścieczonej Hildy Maguire, a wszyscy pozostali obchodzą je szerokim kołem!

Bezpieczny w przeciwległym kącie sali, Simon posłał jej krzepiący uśmiech. Odpowiedziała mu spojrzeniem pełnym nienawiści. Gdyby był obok, chyba by go zamordowała.

Dostrzegła przechodzącą kelnerkę. Skinęła na nią i chwyciła z tacy pierwsze z brzegu naczynie.

- To grzane wino z korzeniami - poinformowała dziewczyna.

- Dzięki - Evie pociągnęła duży łyk. Ciepły, wonny płyn spłynął do jej wnętrza. Cudowne... Coś jakby jeżyna? I chyba odrobina cynamonu... Evie zdecydowała się wziąć byka za rogi.

- Hildo - powiedziała, biorąc z tacy jeszcze jedną szklanekę - spróbuj tego. Zobaczysz, że świetnie ci zrobi.

Kobieta zwróciła na nią spojrzenie i Evie dostrzegła łzy. Lśniły, niestrzaśnięte, na nie tkniętych tuszem rzęsach Hildy. Uśmiechnęła się do niej, po raz pierwszy szczerze.

- Pij, to naprawdę dobre. Przyda ci się odrobina zapomnienia - zachęciła.

- Dziękuję - szepnęła Hilda. Opróżniła szklaneczkę dwoma łykami i chwyciła następną z oddalającej się wraz z kelnerką tacy. - Wszyscy dotąd udawali, że nic się nie stało - powiedziała gorzko, patrząc w stronę męża. - Tylko ciebie stać na uczciwe przyznanie, że owszem, stało się. Inni bali się pisać choćby słówko, bo to ich szef, i każdy płaszczy się przed nim, by zachować posadę.

Evie westchnęła.

- Ludzie nie wiedzą, co mówić w takiej sytuacji, Hildo - powiedziała najłagodniej jak potrafiła. - Oni się nie płaszczą... Po prostu każdy czuje się zakłopotany.

Widząc, że dolna warga Hildy zaczyna drżeć, rozejrzała się za czymś do siedzenia. W rogu sali dostrzegła wielką kanapę i poprowadziła tam swoją towarzyszkę. Hilda zapadła w głąb sofy i zaczęła gorączkowo grzebać w torbie.

- Jesteś dla mnie taka miła - powiedziała łamiącym się głosem, wyciągając z plastikowej paczuski chusteczkę do nosa.

Evie uśmiechnęła się melancholijnie. Pomyślała o wszystkich tych ludziach, którzy w ciągu ubiegłych lat przychodzili do niej ze swoimi problemami. I zawodowymi, i emocjonalnymi... Wszystkie dziewczyny z Wentworth Alarms łądowały w którymś momencie przy biurku Evie, rzekomo by pożyczyć podpaszkę czy szukając książki kasowej, która gdzieś się zawieruszyła, a w rzeczywistości poszukując matczynego łona, żeby się wypłakać. Zabawne, że wiele z nich było niemal w tym samym wieku co ona. Mimo to widziały w niej kogoś starszego, w typie matki. Rosie ma rację: postarzała się przed czasem.

Dwie godziny później, dowiedziawszy się znacznie więcej o małżeństwie Hildy i Hugh, niż miała ochotę, Evie odprowadziła Hildę do taksówki i pomachała jej na pożegnanie.



- Wspaniała jesteś, Evie - usłyszała za sobą.

Odwrociła się i wpadła prosto na Simona. Krawat miał przekrzywiony, włosy w nieładzie. Wyglądał, jakby przedawkował grzane wino.

- Aleś się spisał! - zaatakowała go, wciąż dotknięta, że zostawił ją na cały wieczór w towarzystwie Hildy.

- Wybacz, Evie - Simon starał się wyglądać na zżeranego poczuciem winy, ale mu to nie wychodziło. - Masz takie wspaniałe podejście do ludzi... Wszystkim mówiłem, że kto jak kto, ale ty potrafisz odpowiednio zająć się Hildą.

- Hm.... - Nieco udobruchana pozwoliła wziąć się za rękę i poprowadzić z powrotem na przyjęcie. Nie było jeszcze dziesiątej, zostało im mnóstwo czasu, by się sobą nacieszyć.

Gdy jednak dołączyli do kolegów Simona, szybko stało się jasne, że w czasie gdy ona wysłuchiwała historii z życia małżeńskiego państwa Maguire, jej partner z towarzyszkami spędzali miło czas przy grzonym winie oraz piwie, które przecież dawano za darmo. Wszyscy byli podcięci. Kiedy usłyszała po raz drugi ten sam kawał, przy czym panowie ryczeli ze śmiechu tak samo jak za pierwszym razem, Evie zdecydowała, że źle się czuje w roli jedynej trzeźwej w towarzystwie.

- Wybacz, ale pójdę już do domu - szepnęła, odwoławszy Simona na bok. - Jestem zmęczona, a po paru godzinach z Hildą nie mam nastroju do zabawy.

Mimo wszystko liczyła w duchu, że Simon będzie ją zatrzymywał. On jednak, zawsze zgodny, skinął głową i powiedział, że pomoże jej znaleźć taksówkę.

- Przykro mi, że nie bawiłaś się zbyt szampańsko - usprawiedliwił się, gdy po raz drugi tego wieczoru czekali przed hotelem. - Gdybyś nie przyszła, nie wiem, co byśmy zrobili. Hugh za dużo pije. Hilda o mało się nie wściekła, kiedy zobaczyła, jak się zalał.

- I jak uwodzi panienki - powiedziała cierpko Evie.

- To też - przyznał Simon. - Ale ty byłaś wspaniała - i pocałował ją w usta. Pocałunek się przedłużał...

Evie poczuła, jak spływa z niej napięcie całego wieczoru. Bezwiednie objęła go za szyję i przyciągnęła jeszcze bliżej. Przywarł do niej całym ciałem, wsunął ręce pod jej płaszcz i otoczył ramionami.

- Chodź ze mną, Simon - powiedziała cicho. - Brakuje mi ciebie. W święta nie będziemy się widzieć przez całe trzy dni. Spełniłeś już przecież towarzyski obowiązek...

Cofnęła się, zaskoczony.

- Nie mogę teraz wyjść z przyjęcia. Hugh i inni dyrektorzy jeszcze tam są. To byłaby straszna gafa, gdybym wyszedł przed nimi.

Dotknięta, odwróciła się i owinęła ściśle płaszczem.

- Hugh jest pijany - powiedziała ze złością. - Nie zauważyłby nawet, gdyby ten cholerny hotel diabli wzięli, a co dopiero mówić o twojej nieobecności. Nie rozumiem, dlaczego nie chcesz iść. No, ale oczywiście - odwróciła

się w stronę nadjeżdżającej z wolna taksówki - możesz robić, co chcesz. - Czuła, że zaczyna się rozklejać, a nie chciała rozpłakać się na oczach ludzi.

Portier, który dyskretnie nie zwracał uwagi ani na ich pocałunki, ani na kłótnię, otworzył drzwi samochodu.

- Och, Evie - powiedział ze znużeniem Simon.

Nie odwracając się, wskoczyła do taksówki.

- Zadzwoń do ciebie jutro - głos odrobinę jej się łamał. - Miłego wieczoru.

Portier z doskonałym wyczuciem chwili zatrzasnął drzwi i samochód ruszył.

- Dokąd jedziemy, kochana? - spytał kierowca.

Evie podała mu adres i zapadła w fotel. Czuła się podłe. To dopiero przyjęcie...

Sunęli ulicami miasta. Evie patrzyła w okno, obserwując odpływające w dal światła. Była zmęczona, naturalnie, ale nie aż tak. Gdyby błagał ją o pozostanie, zostałaby. Ale on nie błagał. Bał się wyjść, żeby broń Boże kogoś nie obrazić. To, że może obrazić ją, nie stanowiło dla niego problemu...

Jej złość rosła. Co to za mężczyzna, który zostawia narzeczoną przez połowę przyjęcia, każąc jej pełnić niewdzięczną rolę koła ratunkowego, a potem pozwala odjechać samotnie do domu, zaraz po tym, jak między nimi zaiskrzyło?

- Pójdę za tobą nawet na koniec świata, najdroższa. Oczywiście, zabieramy się z tego nudnego przyjęcia. Przygotowałem dla nas lekką kolację w moim apartamencie.

Podniósł jej rękę do ust i przytrzymał odrobinę dłużej niż to było konieczne. Jego zmysłowe wargi dotknęły jej jedwabistej skóry.

Serce Evie zadrzało. Wiedziała co się stanie, jeśli pojedzie do jego luksusowego apartamentu: będą się kochać. I choć opierała mu się wtedy w Paryżu, a potem na jachcie, wiedziała, że tym razem się nie oprze.

Jej przystojny, czarujący książę rozbierał ją swymi czarnymi oczyma już od dawna. Czuła na sobie jego gorące spojrzenia rzucone poprzez stół ruletki, potem na balu, gdy tańczyła z ambasadorem... A teraz rozbierze ją na prawdę. Jego dłonie rozepną powoli malutkie guziczki jej sukni od St Laurenta, suknia opadnie na ziemię, on zaś będzie podziwiał jej pełne piersi i długie, wytwornie smukłe nogi.

- Zrobisz mi ten zaszczyt i przyjdiesz do mnie? - zapytał jeszcze raz. Jego oczy przewiercały ją na wskroś, sięgając dna duszy...

- Piętnaście funtów, kochana - powiedział kierowca. Zapłaciła i weszła do domu. Czuła się jak Kopciuszek, wracający z balu przed czasem, bo w pojeździe z dyni siadła opona.

Rosie naturalnie jeszcze nie było. Zegar wskazywał dopiero wpół do jedenastej, a ona posiedzi pewnie u koleżanki do dwunastej, licząc, że matka

nie wróci przed nią. Żałując siebie samej, Evie podgrzała w mikrofalówce filiżankę mleka i zabrała na górę. Po dziesięciu minutach wśliznęła się do łóżka, po starannym zmyciu makijażu.

Było zimno. Otuliła się kołdrą, zadowolona, że ma na sobie spraną pizamę w paski. Nie była wytworna, ale za to miła i ciepła, a elektryczny koc rozgrzewałby się całe wieki.

Sięgnęła po kubek z mlekiem, w drugą rękę wzięła najnowszą powieść Lucy de Monford i zagłębiła się w lekturze.

Monika powiedziała właśnie księciu, że nie może go poślubić, ponieważ wciąż kocha hiszpańskiego pirata, który porwał ją wraz ze służącą, kiedy płynęły przez Atlantyck... Evie nie wiedziała, jak udało jej się wczoraj odłożyć „Pragnienia Moniki” na półkę. Tylko świadomość, że nazajutrz musi wstać wcześniej do pracy, zmusiła ją do wyłączenia światła w momencie, gdy gryzła palce z ciekawości, jak też heroina pogodzi własne chęci z koniecznością wspierania swojej licznej, pożałowania godnej rodziny. Monika gorzko płakała w wieży, gdzie zamknął ją książę, Evie wiedziała jednak, że nie potrwa to długo. Nosiła białą, powiewną suknię zasznurowaną z przodu jedwabnymi wstążeczkami, a bohaterka Lucy de Monford z pewnością nie miałaby na sobie nic w tym stylu, gdyby miała pozostać w ubraniu... Evie była zdecydowana nie spać choćby do trzeciej, byle dowiedzieć się, co dalej.

Pewnie książę uda się na wieżę i zażąda, by Monika mu się oddała. A hiszpańskiego pirata tylko patrzeć. Na pewno będzie pojedynek.

Ciekawe, czy Simon byłby w stanie pojedynkować się w obronie jej honoru z jakimś ohydny księciem, noszącym na ciele diabelskie znaki... Chyba nie. Simon nie cierpiał widoku krwi i był bardzo wrażliwy. Kiedyś Rosie skaleczyła się lekko w nogę. Evie miała wtedy dwoje pacjentów do ratowania: Rosie, którą bolało, choć próbowała tego nie okazywać, i Simona. Niemal zemdłał, kiedy dziewczyna podwinęła nogawkę dzinsów, by obejrzeć ranę.

Podobnie reagował na dolegliwości kobiece. Jedyne dziecko samotnej matki, żyjącej niemal jak zakonnica, Simon nie miał nigdy do czynienia z normalnymi problemami kobiet. Evie nie mogła złapać się w jego obecności za brzuch, kiedy miała miesiączkę, bo zaraz odwracał oczy, jakby niechcący natknął się na jakiś wstydlivy sekret. Bóg jeden wie, gdzie będzie chowała podpaski, kiedy się pobiorą. Chyba w osobnym pokoju, w czarnym worku na śmieci.

Zatem pojedynek na szable odpada. Może mógłby chociaż strzelić do kogoś w obronie jej honoru? Strzela się przecież ze sporej odległości i krwi tak bardzo nie widać... Evie pociągnęła łyk mleka i zapadła w siedemnastowieczny świat. Świat, w którym mężczyźni byli jeszcze mężczyznami, a kobiety potrafiły to docenić.

**P**asternak! Zapomniała o pasternaku. Stephen oszaleje, jeśli nie dostanie pasternaku na świąteczny lunch. Uwielbiał go, zwłaszcza w postaci puree, kiedy przypominał wyglądem niemowlęcą papkę.

Był dwudziesty trzeci grudnia. Minęła już dziewiąta wieczorem i tylko patrzeć, jak zaczną zamykać supermarket. Jeżeli nie pośpieszy się do kasy, pewnie wyrzucą ją za drzwi bez zakupów... Ale choć Olivia wolałaby umrzeć, niż dopuścić, by personel na nią czekał, równocześnie wiedziała, że po prostu musi kupić pasternak. Biednego Stephena czekają trzy dni w jej rodzinnym domu, więc przynajmniej ugotuje mu to, co lubi.

Porzuciła wypchany wózek i rzuciła się sprintem ku warzywom. Wionęły za nią długie włosy i frędzle indiańskiej spódnicy do kostek.

Biorąc zakręt na pełnej szybkości, o mało się nie zderzyła z innym spóźnionym klientem. Staruszka, wkładająca do wózka puszki z karmą dla kotów, popatrzyła za nią ze zdumieniem.

Najwyraźniej pasternak miał dziś wielkie powodzenie. Na dole półki zostało tylko parę wybrakowanych egzemplarzy, na oko dziesięcioletnich, które prawdopodobnie smakują jak gotowane skarpetki.

Chyba po raz dziesiąty tego dnia Olivia przeklinała okoliczności, które sprawiły, że robiła świąteczne zakupy w ostatniej chwili i nie miała czasu, by pójść do ulubionego warzywniaka. Ojciec tak lubi te hiszpańskie oliwki, a w supermarkecie nigdzie ich nie znalazła. W przedświątecznym szale ludzie wykupili niemal cały sklep... A teraz zostało jej parę bulw prehistorycznego pasternaku, który na pewno nie będzie smakował Stephenowi. No, ale może zdoła je jakoś przywrócić do życia. W końcu jest nauczycielką gospodarstwa domowego i zna parę kuchennych sztuczek.

Wrzuciła do torebki garść mizernych warzyw, zważyła je i rzuciła się z powrotem do wózka. W tym momencie z megafonów rozległ się zdudzony głos: „Koniec sprzedaży. Zapraszamy do kas”.

Prawie jak na lotnisku, kiedy informują o zakończeniu podróży... Popychając szybko wózek obok stoiska ze słodyczami, Olivia złapała w biegu duże opakowanie batoników „Mars” i wrzuciła na wierzchołek góry zakupów. Czego by nie dała, by móc teraz wskoczyć na pokład samolotu i odlecieć w jakieś egzotyczne miejsce, gdzie nie obchodzi się Bożego Narodzenia, a temperatura rzadko spada poniżej trzydziestu stopni...

Przez chwilę pieściła w myślach obraz obrzeżonych palmami plaż, białego piasku i wody tak przejrzystej, że ukazywała ławicę małych srebrnych rybek igrających na płycznach. Ona i Stephen, wyciągnięci na leżakach na granicy piachu i wody, słuchają szmeru fal, słońce ogrzewa przyjaznym

ciepłem ich półnagie ciała... Sasha bawi się w piasku w swoim różowym kostiumie kąpielowym, z loczkami związanymi w rozkoszny mysi ogonek, a jej buzia cherubinka promienieje szczęściem.

Chciałaby dusza do raj... Nie byli na urlopie od półtora roku. Stephen był strasznie zaganiany - przeprowadzał fuzję Celtic International Incorporated z wielkim niemieckim bankiem. Stanowisko dyrektora do spraw technologii informacyjnej na Europę było naprawdę wysokie i Stephen miał cały sztab asystentów do wykonywania wszelkiej brudnej roboty. Był jednak takim perfekcjonistą i tak przejmował się pracą, że pozwalała, by zwracano się do niego z wszelkimi problemami bez względu na porę - w weekendy, nocą zawsze.

- To ja za wszystko odpowiadam - mówił z nieobecna twarzą, szykując się do kolejnej podróży, myślami najwyraźniej już tysiące kilometrów stąd. Takiej pensji, jaką biorę, nie płaci się za darmo. Wiem, że to trudne dla ciebie, ale musimy się poświęcić.

Olivia była niemal chora od tego nieustannego poświęcania się. Wprawdzie dzięki stale rosnącej pensji męża ich apartament w Blackrock wyglądał jak żywcem wyjęty z magazynu poświęconego projektowaniu wnętrz, ale rosły też obowiązki Stephena, widywała go więc coraz rzadziej. Sama spędzała urodziny, a normalne rodzinne weekendy, kiedy nie gnał do swojego biura w centrum, należały do rzadkości. A w ciągu dwunastu lat małżeństwa tylko sześć razy zdarzyło im się wspólnie świętować rocznicę ślubu.

W lipcu musieli po tygodniu wyjechać z Hiszpanii, gdyż Stephena wezwano w związku z problemami w biurze amsterdamskim. Ubiegłoroczne dwa tygodnie w Dordogne wciąż przerywał świergot komórki Stephena.

Olivia mogłaby się obyć bez wszystkich tych podłóg ze szwedzkiego drewna i kuchni-laboratorium, wyposażonej we wszelkie techniczne nowinki. Wolałaby zamiast tego częściej mieć w domu kogoś, z kim mogłaby wspólnie przeżywać codzienne radości i smutki. Przepadała, rzecz jasna, za swoją córeczką, ale po tygodniu spędzonym wyłącznie w jej towarzystwie tęskniła za rozmową z kimś dorosłym. Odległe „Tak, oczywiście, że chciałbym być z tobą” w słuchawce telefonu, gdy dzwonił z hotelowego pokoju, nie zastąpi wspólnych wieczorów na kanapie i wymiany wrażeń z minionego dnia... Ale cóż, Stephen uwielbiał swoją pracę i gotów był zrobić wszystko, by wspinać się po szczeblach kariery coraz wyżej, nawet jeśli oznaczało to częstsze przebywanie poza domem, niż w domu.

Czasami Olivia po prostu go nie rozumiała. Co do niej, to żadna praca nie zdołałaby jej skłonić do opuszczania na całe tygodnie Stephena i Sashy. Nawet gdyby obiecano jej fantastyczną pensję, najnowszy model BMW i służbową kartę American Express. Może dlatego, że nauczycielka gospodarstwa domowego, pracująca na pół etatu, siłą rzeczy nie ma aż takiego pędu do kariery i sukcesów?

Wbijanie w głowy znudzonych uczniów, jak przyrządzić pełnowartościowy posiłek z puszki fasoli i odrobiny mielonego mięsa, już nie budziło w niej entuzjazmu. Entuzjazm budziły wyłącznie przerwy, kiedy mogła zapaść w fotel w pokoju nauczycielskim, delektować się filiżanką herbaty i opowiadać, co to za potwór z tej małej Cheryl Dennis, przy zgodnym wtórze pozostałych nauczycieli: „Kiedy wreszcie dyrektor wywali to dziecko!”

Dla Stephena natomiast praca była wszystkim. Czasochłonne obowiązki traktował jak podniecające wyzwanie. W roli szefa-despoty czuł się znakomicie i z pewnością wiedziałby, jak sobie poradzić z Cheryl Dennis ciskającą w przyjaciółkę mielonym mięsem, przy czym poszkodowana, rzecz jasna, natychmiast oddaje jej garścią fasolki w sosie własnym.

- Następnym, proszę - ziewnęła kasjerka.

Dość myślenia o słonecznych plażach... Olivia wyłożyła zakupy na ruchołą taśmę i przywołała obraz świąt, jakie ich czekają. Świąteczny obiad u jej rodziców w ponurym, zaniedbanym Lodge. Ojciec i matka przekrzykują się nawzajem ochrypłym głosem, pijani, choć na stole nie pojawił się jeszcze nawet wędzony łoś. Kolejne butelki czerwonego wina, ulubionego trunku ojca, pojawiają się i znikają ze stołu z zastraszającą szybkością. A Stephen patrzy na to wszystko w pełnym dezaprobaty milczeniu. Tak jakby to była wina Olivii, że rodzice piją.

Matka będzie zbyt wstawiona, by poradzić sobie w kuchni, a Janet - przyjeźdźca niedawno pomoc domowa, która, jak podejrzewała Olivia, miała znaczący wkład w i tak już niebotycznej wysokości rachunki za alkohol w rodzicielskim domu - dostała właśnie tydzień wolnego. No a Stephen miał dwie lewe ręce, jeśli chodzi o obieranie jarzyn czy tym podobne czynności. Zresztą z pewnością będzie zmęczony po powrocie z tygodniowej podróży służbowej do Niemiec... W rezultacie całe przygotowywanie potraw spadnie na Olivie i starą flejtuchowatą kucharkę matki. No, ale po treningu, jaki przeszła w dzieciństwie i młodości w Lodge, Olivia potrafiłaby przyrządzić czterodaniowy posiłek mając do dyspozycji jeden palnik gazowy i dwa rondle.

Wreszcie mamuśka i tatuś zachrapia przed telewizorem. Dopiero wtedy ona i Stephen będą mogli pójść z Sashą spacer i zajrzeć do Fraserów, swoich najbliższych przyjaciół.

Święta u Fraserów zawsze wyglądały zupełnie inaczej. Olivia z nostalgią wspominała, jak przed laty wymknęła się z przypominającego jarmark rodzinnego przyjęcia w Lodge, gdzie członkowie klanu de Vere wrzeszczeli i przekrzykiwali się nawzajem ponad ogromnym piętnastowiecznym stołem, pociągając ajerkoniak wprost z gwinta. Była wtedy nieśmiałą zamkniętą w sobie czternastolatką. Kiedy wśliznęła się do niewielkiej kuchni Fraserów, wydało jej się, że znalazła się w niebie, tak panująca tu atmosfera spokoju i pogody różniła się od tego, co zostawiła w rodzinnym domu.

Pokój wypełniała woń pieczonej gęsi, dochodzącej właśnie w piekarniku starej gazowej kuchenki. Pani Fraser wraz z Evie przekomarzały się ze

śmiechem, kończąc nakrywać do stołu. Pan Fraser czytał, zagłębiany w starym skrzypiącym fotelu, sześćioletnia Cara zaś przewalała się po dywanie i próbowała za pomocą sady, dziurawej koszulki khaki i nożyczek - których z pewnością nie wolno było jej tykać - przekształcić swoją nową lalkę w Action Mana. Zwykły prosty stół nie był zastawiony kryształami i srebrem, jak u rodziców Olivii, był też co najmniej czterokrotnie mniejszy, za to sto razy bardziej gościnnie i przyjazny.

- Wesołych Świąt, kochanie - pani Fraser objęła ją serdecznie. Pachniała świątecznym ciastem i perfumami Blue Grass, których używała przy specjalnych okazjach, a nie przetrawionym alkoholem i naftaliną. Przedwieczny kostium matki, wyciągnięty z głębin kufra, zawsze wydzielał woń naftaliny.

Olivia rozjaśniła się w nieśmiałym uśmiechu. Gdyby to państwo Fraserowie byli jej ojcem i matką... I natychmiast poczucie winy kazało jej stłumić tę myśl. Boże, co za nielojalność... Przecież rodziców trzeba kochać i czcić, jacy by nie byli. Tylko że rodzice Evie byli tacy... no, dorośli, podczas gdy Sybil i Leslie de Vere dotąd zachowywali się jak rozdokazywane, nieodpowiedzialne dzieciaki, jakimi byli w latach pięćdziesiątych, kiedy po raz pierwszy spotkali się w college'u.

Olivia czuła się znacznie doroślejsza od nich. No, ale ktoś w tym domu musiał być dorosły. W przeciwnym razie rozmaite ponaglenia płatności leżałyby, nieregulowane, na dnie którejś z szuflad, a o zapłaceniu rachunku u rzeźnika nikt by nawet nie pomyślał.

Po upływie dwudziestu lat Olivia nadal czasem marzyła, by pobyc w święta u Fraserów, ale wymknięcie się na parę godzin z rodzinnego domu było trudne. Hordy pijaków, dalekich krewnych de Vere, stopniowo przestały najeżdzać ich dom, w miarę jak podupadał coraz bardziej. Jedyńm towarzysztem rodziców przy świątecznym stole byli oni - Olivia, Stephen i Sasha.

Wepchnęła pasternak i pozostałe warzywa do plastikowej torby. Jak to by było fajnie, gdyby Stephen nie siedział teraz w Niemczech... Mieszkanie było bez niego takie puste, a ona czuła się taka samotna w podwójnym małżeńskim łóżku. Układanie poduszki po jego stronie tak, by sprawiała wrażenie, że ktoś tam jednak jest, naprawdę niewiele pomagało.

Wspomniała te nieczęste, niestety, chwile, kiedy po jego powrocie do domu zapadali w śnieżnobiałą pościel, jaką lubił najbardziej, i kochali się w uniesieniu. Jego szczupłe, ciemne ciało spoczywało upragnionym ciężarem na jej bladozłotym... Bez względu na długość rozłąki, wystarczyło parę minut, by na nowo wybuchnął płomień, który rzucił ich kiedyś ku sobie. Już jutro...

Tylko czy jutro, kiedy Stephen wróci, będą mieli czas na miłość? No, chyba że jego rodzice po raz pierwszy w życiu zachowają się właściwie i wyjdą o jakiejś rozsądnej godzinie. Cała bieda jednak w tym, że trudno było oczekiwać po Cedricu i Sheilagh MacKenzie, iż będą liczyć się w swoich

poczynaniach z potrzebami i uczuciami synowej. Jak choćby dzisiaj, kiedy bez uprzedzenia zaszczycili swoją obecnością Hardrock dokładnie w momencie, gdy Olivia wychodziła z Sashą na zakupy. Była dziesiąta rano.

- Nie będziecie u nas na święta, więc przynieśliśmy Sashy parę prezentów - powiedział teść do zdumionej Olivii, bezceremonialnie ładując się do mieszkania z walizką w ręce. Krok w krok za nim podążała teściowa, wypatrując czujnym wzrokiem, czy przypadkiem nie dostrzeże gdzieś śladów kurzu.

- Jak to miło, że wpadliście - bąknęła Olivia. Bo co mogła powiedzieć? Że powinni byli zadzwonić wcześniej i zapytać, kiedy ma czas?

- Stephen jest we Frankfurcie - poinformowała gości, gdy zasiedli na kanapach z kremowej skóry w utrzymanym w bieli salonie.

Stephen był taki dumny z tych kanap. Idealnie pasowały do lśniących podłóg z jasnej klepki, nowoczesnych skandynawskich mebli i modernistycznej rzeźby na przeciwległej ścianie. Sashy nie wolno było się na nich bawić, podobnie jak na wełnianym dywaniku przed kominkiem w kolorze écru.

- Wiem, że wyjechał - odparł Cedric, niezrażony. - Wprawdzie macie być u nas wszyscy na Nowy Rok, ale chcieliśmy już teraz zobaczyć ciebie i Saszę. Mam nadzieję, że podrzucisz nas przy okazji do miasta, moja droga? Chcemy zrobić jeszcze w ostatniej chwili zakupy. A nie dostalibyśmy filiżanki herbaty? Świetna jest ta twoja Lapsang, a mnie jakoś zaschło w gardle.

- Przepraszam - bąknęła ze skrucą Olivia. - Już stawiam czajnik. - W obecności rodziców Stephena zawsze czuła się winna.

W kuchni dominowała lśniąca, nieskazitelna stal. Sasha siedziała pod stołem z białego klonu, bawiąc się flamastrami we wściekłych, neonowych kolorach: zielonym i różowym. To były jej ulubione odcienie. Niestety, niezmywalne... Olivia umierała ze strachu, że kiedyś nie zdoła małej upilnować i uchronić przed zniszczeniem drogocennych skórzanych kanap.

- To nie idziemy na zakupy, mamó? - spytało dziecko tonem zaskakująco poważnym jak na czterolatkę.

- Nie, córeczko - odparła Olivia, zastanawiając się, czy w ogóle zdoła zrobić jakieś zakupy. Przez dwa dni z obłędem w oczach poprawiała prace egzaminacyjne, tak by nie musiała tracić cennych chwil ze Stephenem, gdy wróci. Wszystkie przedświąteczne roboty zwały jej się więc na dzisiaj, włącznie z zaopatrzeniem domu w produkty żywnościowe i znalezieniem jakiegoś gwiazdkowego prezentu dla ojca, co należało do kategorii spraw granicznych z niemożliwością. Ale jak tu myśleć o zakupach, skoro ma na karku teściów, których trzeba bawić rozmową, karmić i w niewielkich odstępach czasu donosić im kolejne filiżanki Lapsang Souchong?

Dlaczego nie mogą po prostu wypić herbaty jak normalni ludzie i pójść? Jak im powiedzieć, że nazajutrz muszą wyjść najpóźniej o szóstej, bo ona i Stephen są zaproszeni do Fraserów na wigilijnego drinka?



Cedric i Sheilagh byli bardzo niezadowoleni, że w tym roku przypada kolej rodziców Olivii, by gościć u siebie młodych, oni zaś, jak twierdzili, zostaną na święta sami jak palec. Trzeba by trzeciej wojny światowej, żeby udało się jej skłonić ich do wyjścia, zanim sami będą mieli na to ochotę.

- To taka przyjemność patrzeć, jak mały aniołeczek rozpakowuje prezenty w świąteczny poranek - powiedziała Sheilagh, kładąc paczuski pod ubraną już choinką, i ostentacyjnie otarła łzę. Najwyraźniej próbowała łopatologicznym sposobem wywołać w niej poczucie winy.

Olivia czuła się jak zbrodniarka. Odmawiać starszej pani możliwości spędzenia czasu z latoroślą jedyne go syna... W miarę jednak jak włókł się dzień, zaczęło do niej docierać, że ani Sheilagh, ani Cedric nie zwracają szczególnej uwagi na rzekomo uwielbianą wnuczkę, nawet jeśli znajdowała się tuż przed ich oczami. Na ogół zresztą siedziała w kuchni, tworząc kompozycje za pomocą flamastrów, złotych i srebrnych gwiazdek, szychu oraz specjalnego nietoksycznego kleju, który kupiła jej Olivia.

Uwielbiała obserwować małą przy tej czynności: buzia ściągnięta w ciup dla lepszej koncentracji, podczas gdy małe pulchne paluszki z zaskakującą zręcznością ozdabiały uśmiechniętą od ucha do ucha twarz długimi złotymi włosami. „Jak twoje, mamusiu” - mówiła.

Sheilagh ani razu nie zajrzała do kuchni, chyba że poszukując herbaty czy biszkoptów. Traktują nasz dom jak dworcową poczekalnię - pomyślała z nagłym gniewem Olivia. Przystanek na trasie między Navan a centrum handlowym, gdzie łaskawie pozwolą się zawieźć... Sasha i jej prezenty to zwykła wymówka.

Przezań! - skarciła się w duchu. To przecież nie po ludzku. Sasha to ich jedyna wnuczka. Na pewno ją kochają i zależy im, żeby z nią trochę pobycć, tylko po prostu nie umieją postępować z dziećmi.

„I z dorosłymi” - podszeptnął diabełek w jej głowie.

Ostatecznie zdołała wyrwać się z domu dopiero wieczorem, kiedy Sasha była już w łóżeczku, a Sheilagh usadowiła się z kubkiem kakao i kopiastym talerzem kruchych ciasteczek przed telewizorem, żeby obejrzeć „Esmeraldę”.

- Skoczę tylko do supermarketu - powiedziała pogodnie Olivia, starannie ukrywając fakt, że po całym dniu obsługiwanego gości i sprzątanego po nich jest po prostu wyczerpana. Nie mówiąc już o tym, że miała za sobą jazdę w pięciokilometrowym korku do centrum Dublina, bo Sheilagh zażądała, żeby kupić dla niej w ostatniej chwili jakieś prezenty u Arnotta.

- Jedź, jedź, Olivio - przyzwolił wielkodusznie Cedric. - Ja tu tymczasem pozmywam.

Olivia miała na końcu języka uwagę, że jedyna rzecz, jaka pozostała do umycia, to dwie filiżanki po ostatniej z niezliczonych porcji herbaty, jakie wraz z małżonką dziś przyswoili. Po obiedzie to ona skrobała rondle, aż ją bolały ramiona, a talerze zostały umyte w zmywarce. Zmilczała jednak, szczęśliwa, iż

udało jej się w końcu uciec. Uśmiechnęła się uprzejmie i zamknęła za sobą drzwi najciszej jak potrafiła.

- Pięć funtów trzydzieści dwa pency - wręczyła jej resztę kasjerka.
- Dziękuję.

Olivia potoczyła oporny wózek w kierunku wyjścia. Ochroniarz przy drzwiach ogarnął znaczącym, pełnym aprobaty spojrzeniem jej wysoką, smukłą sylwetkę. Mężczyźni zawsze zwracali uwagę na Olivie, nawet jeśli miała na sobie, jak teraz, niemodną indiańską spódnicę z frędzlami, zbyt obszerny, miejscami przetarty czarny płaszcz i płaskie szwedzkie pantofle, które nosiła od co najmniej dziesięciu lat. Liczne warstwy tkaniny nie były w stanie ukryć elegancji ruchów ani uroku owalnej twarzy o lekko skośnych srebrzystych oczach i bladych, pełnych ustach.

W gruncie rzeczy ten nieco ekscentryczny sposób noszenia się podkreślał jeszcze jej niecodzienną urodę. Modne, dopasowane, seksowne stroje, w których lubił ją Stephen, Olivia uważała za zbyt śmiałe i w domu najchętniej nosiła przedpotopowe szyfonowe bluzki i kwieciste suknie do ziemi, wyszperane na pchlim targu.

Obdarzyła ochroniarza przelotnym uśmiechem. Uśmiechała się tak do każdego, przyjaciela czy obcego. Nic nie mogła na to poradzić - to był odruch.

- Nie jesteś taka, jak zazwyczaj ludzie urodziwi - powiedziała do niej niedawno Rosie z lekką dezaprobatą w głosie. - Dla każdego jesteś miła.

- Co w tym złego? - spytała lekko Olivia, niezbyt przejęta słowami Rosie. Przepadała za swoją siedemnastoletnią chrześnicą.

- Zbyt miła - powiedziała Rosie z naciskiem.

Na dworze panował przenikliwy ziąb. Olivia wstrząsnął dreszcz. Szybko wstawiła zakupy do bagażnika golfu i ruszyła.

A może by tak wpaść na parę minut do Evie? Nie kupiła nic, co mogło się natychmiast zepsuć. A nawet jakby, pomyślała usiłując uruchomić nawiew ciepłego powietrza, to przecież był mróz, a temperatura wewnątrz wozu niezbyt różniła się od tej na zewnątrz. Ogrzewanie w dwunastoletnim golfie działało kiedy chciało, czyli dość rzadko.

To jest to. Wpadnie do Evie. Po tym koszmarnym dniu fajnie będzie usiąść razem z nią przed kominkiem i poplotkować. Tak tam przytulnie...

Jasny gwint! Przecież Evie wybierała się dzisiaj na gwiazdkowe przyjęcie u Simona w biurze. Co za pech... Wpatrywała się nieruchomo w rozjarzony świątecznie supermarket, niemal bliska płaczu. Chyba niedługo będę miała miesięczkę - pomyślała, grzebiąc w torebce w poszukiwaniu chustki do nosa.

Nic jej się nie układa w tym tygodniu. W ostatnim dniu przed feriami zdarzyła się ta koszmarna historia z ciskaniem mielonym mięsem z Cheryl Dennis w roli głównej. A teraz jeszcze ci cholerni Sheilagh i Cedric... Na pewno pójdą spać późno, a ją czeka jutro pieczenie ciast i będzie musiała wstać o szóstej.

Pół godziny pogawędki z Evie postawiłoby ją na nogi. Co takiego powiedziała ona kiedyś na temat starszych państwa MacKenzie? Coś w stylu: „To ludzie bez wychowania i trzeba nimi zdrowo potrząsnąć. Są tak gruboskórni, że tylko terapia szokowa może dać jakiś efekt”. A dziś poradziłaby jej zapewne: „Powiedz im, że masz mnóstwo do roboty i wobec tego idziesz spać. Zapowiedz, że jutro będą zajmować się sobą sami. A na przyszłość” - tu Evie zrobiłaby pauzę dla zwiększenia efektu - „mają dzwonić, kiedy wpadnie im do głowy uszczęśliwić cię swoją wizytą. Nie rozumiem, dlaczego nie potrafisz im tego powiedzieć. Jeśli nie będziesz z nimi twarda, zamęcza cię”.

Kochana Evie tak się o nią troszczyła... Miała rację, Olivia była o tym przekonana. Cóż, kiedy czym innym było wyobrażać sobie wszystkie te rzeczy, które powie swoim bezmyślnym, nietaktownym teściom, a czym innym powiedzieć je naprawdę. No, a poza tym taka bezkompromisowa szczerość sprawiłaby straszną przykrość Stephenowi. Rodzice byli dla niego idolami. Olivia za nic w świecie nie chciałaby go zranić.

- No to jestem - zawołała raźnie, wnosząc do mieszkania pierwszą z wielkich toreb z zakupami. To był duży minus mieszkania na wysokim piętrze - trzeba było obrócić parę razy, zanim wtaszczyło się zakupy na górę, bo winda nie czekała wystarczająco długo, by zdążyć wynieść z niej wszystkie sześć czy siedem toreb. Już nieraz się zdarzyło, że zatraskiwała się w połowie akcji, gdy Olivia, objuczona, spieszyła przez półpiętro ku drzwiom frontowym.

- Mnie się to nigdy nie zdarza - zauważył Stephen, gdy kiedyś mu się poskarżyła. Była zbyt lojalna, by zwrócić mu uwagę, że duże zakupy robi tylko wtedy, gdy Olivia leży w łóżku z przeziębieniem. Jak wobec tego może być ekspertem w tej sprawie?

Z hałasem postawiła torbę na podłodze w kuchni i wsunęła głowę do pokoju, gdzie Cedric i Sheilagh oglądali wiadomości. Cedric siedział na kanapie, sztywno wyprostowany. Obok niego walała się na podłodze gazeta. Sheilagh leżała bokiem na drugiej kanapie. W swoim różowym welurowym dresie, nie pasującym ani do jej okazałej sylwetki, ani do sztywnej fryzury w odcieniu purpury, wyglądała jak wielka, pulchna truskawka.

- Jestem - powtórzyła Olivia. - Właśnie noszę zakupy z samochodu.

- O, cześć - powiedziała Sheilagh. Ani ona, ani jej mąż nie kiwnęli palcem.

Olivia zawróciła po drugą partię zakupów. Stawiała właśnie łądunek w kuchni, gdy usłyszała głos Cedrica:

- Pamiętałaś o cytrynach, moja droga? Nie zauważyłem ich w lodówce, a lubię mieć cytrynę do herbatki.

Olivia poczuła, jak się w niej zagotowało. To znaczy, że czekają na kolejną herbatę, tym razem z cytryną...

Kuchenne blaty, zazwyczaj nieskazitelnie czyste, zasłane były okruciami. Jak na osobę rzekomo koszmarnie uczuloną na białą mąkę i nabiał, Sheilagh pochłaniała podejrzenie dużo biszkoptów.

Policz do dziesięciu - nakazała sobie w myśli Olivia i włączyła czajnik.

Dochodziło wpół do jedenastej, a jej goście nadal byli w pełni towarzyskiej kondycji. Cedric raczył właśnie ją oraz własną małżonkę przydługą opowieścią o pewnym optyku, w którego sklepie się zaopatrywał. Jak to możliwe, że teść jest tak podobny fizycznie do jej uwielbianego męża, a równocześnie tak odmienny pod każdym innym względem?

Obaj mieli smukłe sylwetki, chociaż dzięki regularnym ćwiczeniom na siłowni Stephen był bardziej rozrośnięty w barach. Identyczne kędzierzawe ciemne czupryny, taki sam oliwkowy odcień cery, to samo czarne, aksamitne spojrzenie... Był to spadek po włoskich przodkach - babka Cedrica pochodziła z Neapolu.

Równocześnie jednak Cedric był nieco sztywny, jakby zasznurowany, skoncentrowany wyłącznie na sobie, z obsesją na punkcie własnego ja, zaś jego syn - łatwy w kontakcie, dusza każdego towarzystwa, pełen zapału i pasji. Właśnie to pociągnęło ją kiedyś ku niemu. Ach, gdyby tak mógł znaleźć się teraz obok niej...

Przedstawiono ich sobie przed dwunastu laty na jakimś przyjęciu i miłość spadła na nich jak grom. Nieprzytomni z namiętności, każdą wolną chwilę spędzali w łóżku. Po trzech miesiącach się zaręczyli, a po sześciu - pobrali.

Olivia pracowała wówczas jako nauczycielka gospodarstwa domowego w miejscowej szkole, wieczorami zaś dodatkowo dawała pokazy gotowania. Chciała uciuć maksymalnie dużo grosza na zagraniczne podróże. Stephen zaś rozpoczął właśnie pracę w Celtic International.

Wkrótce po ślubie powiedział, że nie ma sensu, by wypruwała sobie żyły na dwóch etatach. Niepostrzeżenie okazało się, że pracuje już tylko na półwce, cztery razy w tygodniu przed południem. I tak zostało do dziś. Plany podróży zostały odłożone na półkę... Co za ironia: on niemal nie schodził z pokładu samolotu i miał już pewnie na liczniku odległość jak stąd do Marsa, ona zaś dzień w dzień poruszała się wyłącznie w trójkącie: szkoła - supermarket - przedszkole Sashy.

No cóż, nie mogła się skarżyć. Pomijając już wszystko inne, miała przecież Saszę, tego kochanego, słodkiego malucha. Codziennie dziękowała za nią Bogu. Tyle czasu minęło, zanim wreszcie udało jej się zająć w ciążę... Stephen nie przejmował się aż tak bardzo kłopotami z poczęciem, ale ona była wręcz w euforii, kiedy po siedmiu latach bezskutecznych prób wynik testu nareszcie był pozytywny. Warto było czekać. Cóż to za fantastyczny skrab...

- Niezłe, co? - Cedric najwyraźniej z trudem powstrzymywał wybuch śmiechu. Z własnego dowcipu, rzecz jasna.

Olivia zamrugała oczami. W ogóle nie słyszała, co mówił. Takie chwile psychicznej nieobecności zdarzały jej się czasem nawet przy Stephenie. Czowała się wtedy strasznie winna - przecież tak za nim tęskni, kiedy nie ma go obok...

- Nie jestem dla ciebie interesujący - mówił z udawanym, kokieterijnym smutkiem, przygarniając ją i sadzając sobie na kolanach.

- Ależ jesteś - zapewniała go i całowała, żeby to udowodnić. Nieodmiennie łądowali wtedy w łóżku czy na dywanie, kochając się szaleńczo, ale w całkowitym milczeniu, przy uchylonych drzwiach, nasłuchując, czy przypadkiem na korytarzu nie rozlegnie się tupot małych nóżek Sashy, która znudziła się zabawkami i postanowiła sprawdzić, co też robią mama i tata. Konieczność zachowywania ciszy strasznie irytowała Stephena.

- Nie sądzisz, Olivio, że to zabawne? - wspomogła małżonka Sheilagh.

- Jeszcze jak - skłamała Olivia. Nie mogła się już doczekać powrotu Stephena.

- Czy naprawdę u twoich rodziców brakuje w domu alkoholu? A poza tym wiesz przecież, że nie lubię zbyt wiele pić w obecności Sashy - utyskiwał Stephen nazajutrz, widząc że Olivia pakuje do wielkiego kosza, który mieli zabrać z sobą do Ballymoren, parę butelek wina.

- My też wypijemy kilka lampek. No i wiesz... to jakoś głupio przyjeżdżać z pustymi rękami - upierała się.

Znajdowali się w kuchni. Stephen, jeszcze w popielatym garniturze, białej koszuli i szkarłatnym krawacie, stał wsparty o blat. Wrócił przed paroma godzinami, zmęczony i najwyraźniej w nienajlepszej formie.

- Wciąż jeszcze wszystko w proszku - powiedział krótko, kiedy Olivia zapytała go, jak poszło. - Nie chcę o tym mówić.

Na widok rodziców jednak twarz mu natychmiast poweselała.

- Jak mógłbym nie widzieć się z wami aż do Nowego Roku - powiedział serdecznie, obejmując matkę na powitanie. - A Olivia dbała tu o was jak należy? - zapytał półżartem, ściskając znacząco dłoń żony.

- Olivia była wspaniała - zagruchała Sheilagh.

- Ale przecież nikt nie wymaga od niej, żeby się nami zajmowała - przerwał jej Cedric. - Olivia jest taka zajęta... To zrozumiałe, że nie ma czasu pieścić i hołubić dwojga starych nudziarzy. Cóż to, nie potrafimy sami się obsłużyć?

Olivia osłupiała. Cóż innego robi poza pieszczaniem i hołubieniem ich, odkąd pojawili się wczoraj w jej domu?

Sporo wysiłku ją kosztowało, by nie zdradzić się z tym przed Stephenem choćby słówkiem, kiedy teściowie w końcu poszli się pakować do swojego pokoju - po obfitym posiłku, rzecz jasna, kolejnym zresztą tego

dnia. Ograniczyła się do uwagi, że nie lubi, kiedy ją kontroluje, czy należyście troszczy się o jego rodziców.

- Myślisz, że co? Że na przykład zostawiłam ich przed telewizorem i pojechałam z Sashą na zakupy? - mówiła z przejęciem. - Nawet sugerowanie czegoś w tym rodzaju jest dla mnie obraźliwe. Przecież wiesz, że zawsze staram się być wobec nich gościnną.

- Co tak nastroszyłaś piórka, moja kwoczek? - Stephen połechtął ją w policzek. - Daj spokój, przecież to był tylko żart.

- Niezbyt zabawny.

- Chodź tutaj - spróbował ją przygarnąć. - Nie bądź taką zrzędą. Nie do twarzy ci z tymi zmarszczonymi brwiami. Chcę widzieć moją śliczną dziewczynkę uśmiechniętą...

Ale Olivia, wyczerpana, nie miała ochoty się uśmiechać, a już na pewno nie miała chęci być nazywana kwoczką. Miała tego powyżej uszu.

Kiedy Stephen wyjeżdżał, to ona prowadziła dom, odpowiadała za to, by wszystko szło sprawnie, i borykała się samotnie z trudnościami. Pasowała mu to. Ale kiedy wracał, natychmiast stawał się panem i władcą, a ją sprowadzał do roli pocziwej starej kwoki... Olivii nagle przestało to odpowiadać.

Zamiast w odpowiedzi na zachęcający gest Stephena przytulić się do niego i w ten sposób zażegnać konflikt, poszła do kuchni i wzięła się za przygotowania do wyjazdu. Atmosfera mocno ochłodziła.

Próbując nie zwracać uwagi na emanujące z męża złe wibracje, Olivia przejrzała listę rzeczy, które mieli zabrać, żeby sprawdzić, czy o czymś nie zapomniała. Stephen wyciągnął długie ramię, sięgnął po młynek do pieprzu, wstawił go do szafki i paroma przytknięciami strącił z blatu rozsypane ziarenka.

- Może by tak trochę tu posprzątać - powiedział nieprzyjaźnie, otwierając drzwi szafek i patrząc na ich nieco mniej niż zwykle uporządkowaną zawartość. - Kuchnia naprawdę lepiej wygląda, jeśli wszystko jest pochowane, a w tych szafkach taki burdel...

Olivia błyskawicznie wrzuciła do szuflady ze sztućcami małego srebrnego słonika, którego dostała od uczennicy. Lubiła podobne drobiazgi, choć konieczność odkurzania ich nie należała do przyjemności. Stephen uważał jednak, że tego typu bibeloty psują konsekwentnie nowoczesny wystrój kuchni.

Otworzyła lodówkę, przeklinając się w duchu, że nie potrafiła utrzymać języka za zębami. Jak oni teraz pojedą? Kiedy Stephen był w podobnym nastroju, jazda z nim nie należała do przyjemności, a nawet stawała się niebezpieczna. Prowadził jak maniak: ostro wyprzedzał, gwałtownie dodając gazu i agresywnie mrugając światłami. Najwyraźniej mało przejmował się tym, że Olivia i Sasha są zielone i bliskie mdłości.

- Z czym zrobiłaś tarty? - zapytał od niechcienia, obserwując zmrużonyymi oczami jej krzątaninę.

- Jedną ze szpinakiem i serem, dwie z wędzonym łososiem i pomidorkami, i jedną z serem feta i oliwkami, dla taty.

Stephen skrzywił się.

- Nie cierpię fety.

- Wiem, kochanie - odparła cierpliwie Olivia. - Ale przecież nie będziesz musiał tego jeść. Dla ciebie mam z orzechami cashew - dodała, czekając w napięciu, jak zareaguje. Uwielbiał orzechy cashew.

- Yhmm - to było wszystko, co powiedziało.

Olivia, wciąż mając na myśli czekającą ich jazdę, spróbowała jeszcze raz.

- Miałam wczoraj straszne kłopoty z pasternakiem - powiedziała z uśmiechem. - Całe szczęście, że w końcu udało mi się znaleźć parę bulw. Przecież wiem, jak uwielbiasz pasternak. Co by to były za święta bez puree z pasternaku, z odrobiną pieprzu, tak jak lubisz...

- Jezu Chryste, Olivia - wybuchnął. - Mam za sobą koszmarnie ciężkie dni, we frankfurckim biurze wszystko mi się wali, a kiedy wracam do domu, zawracasz mi głowę, a to jakimiś wydumanymi problemami z moimi rodzicami, a to jakimś cholernym pasternakiem! Naprawdę nie masz nic ciekawszego do powiedzenia?

Olivii gwałtownie napłynęły do oczu łzy. Odwróciła się szybko, żeby ich nie zobaczył, zraniona do żywego. Owszem, miałyby coś znacznie ciekawszego do powiedzenia na temat jego ojca i matki... ale właśnie nie powiedziała! A co do pasternaku... Przecież chciała tylko w ten sposób pokazać, jak go kocha, złagodzić przykrość, jaką zrobiła mu wcześniej!

Ona też ma za sobą koszmarny tydzień, i mogłaby mu o nim opowiedzieć. O smarkaczach z trzeciej a, o panu Cedricu i pani Sheilagh, którzy wyrócili jej do góry nogami cały wczorajszy dzień, najeżdżając dom bez uprzedzenia... Ale nie pisała słowa. Starła się być idealną żoną zapracowanego biznesmena: powitała go w progu z uśmiechem na ustach, ze świeżo umyтыми włosami spadającymi na ramiona bladą żółtą falą w odświeżonej jedwabnej sukni... Nie cierpiała jej, bo uwydatniała biodra, ale włożyła ten ciuch specjalnie dla niego, bo ją w nim lubił! I oto jak docenił jej wysiłek!

Zależało mu, by mieć wypolerowany do połysku dom, kuchnię wypełnioną domowymi przysmakami oraz żonę i córeczkę jak ze sklepowej wystawy, ale kompletnie go nie interesowało, jak one, dwie najbliższe istoty, czują się w tym zaprojektowanym przez niego układzie. Jej przeżycia nudziły go.

Nie odwracając głowy, wyszła z kuchni. Kiedy wchodziła do salonu, usłyszała, jak mówi coś do rodziców głosem tak pogodnym i beztróskim, jakby w ogóle nic się nie zdarzyło.

- Mamusiu, czy mam dać tatusiowi laurkę później? - spytała Sasha, nieoczekiwanie pojawiając się obok niej z jakąś oszałamiająco barwną kompozycją w pulchnej łapce.

Oczy dziecka, srebrzystoszare i lekko skośne, zupełnie jak jej własne, patrzyły na nią z powagą. Olivia opadła na podłogę i ogarnęła córeczkę ramionami, czując, jak z małego, mocnego ciała przepływa w nią ulga. Sasha lepiej wiedziała, jak radzić sobie ze Stephenem, kiedy był w złym humorze. Instynktownie czuła, że trzeba trzymać się od niego z daleka... Zupełnie jak ja, kiedy byłam mała, a mama z ojcem kłócili się po pijanemu! - uprzytomniła sobie ze zdumieniem.

Ale co tu się dziwić? Małe dzieci wszystko wiedzą. Ich idealnie czułe antenki wyłapują najłżejszy przejaw niezadowolenia czy kłótni dorosłych... Stephen jest jaki jest, ale przynajmniej nie zachowuje się tak, jak jej rodzice. Nie biega po domu po pijanemu, nie wrzeszczy, naładowany jakąś niezrozumiałą wściekłością, nie robi awantur... A ona w dzieciństwie nieraz była świadkiem podobnych scen. Wstrząsnęła się na ich wspomnienie.

Pocałowała Sashę w pachnące szamponem włoski. Dzięki Bogu, Stephen jest całkiem inny.

Jazda do Ballymoreen była koszmarem. Posuwanie się ślimaczym tempem w długim ciągu pojazdów, których pasażerowie, podobnie jak oni, zmierzali na wigilijną kolację w rodzinnym gronie, jeszcze bardziej zwarzyło humor Stephena. Radio nadawało jakiś wesoły program, ale tym razem nie robiło to na nim żadnego wrażenia. Olivia siedziała z tyłu pogrążona w milczeniu, obserwując spływające po szybie strugi deszczu.

Nawet kiedy Stephen rzucił pytanie, czy nie zapomniała zabrać którejs z jego osobistych rzeczy, zachowała pełny spokój. Jak to się stało, że ten człowiek, stale w podróży, który zawsze pakował się sam i nigdy nie zapomniał o najmniejszym drobiazgu, nagle nie był w stanie zadbać o swój bagaż, kiedy jechali na zwykły świąteczny weekend?

Zanim dotarli do Ballymoreen, Sasha zasnęła na tylnym siedzeniu. Olivia czuła wewnętrzne drżenie na myśl, co ich czeka w rodzinnym domu. Stephen tak naprawdę nigdy nie lubił swoich teściów - częściowo dlatego, że wiedział, co przeżyła w dzieciństwie Olivia, jedyne dziecko tej szczególnej pary spędzającej czas niemal wyłącznie na biesiadowaniu, a częściowo z powodu ich arystokratycznych anglo-irlandzkich korzeni.

Oboje pochodzili z długiej linii utracjuszy i niebieskich ptaków, które nie sieją ani nie orzą, przekonanych, że codzienna harówka na jakiejś posiadzie to zajęcie dla przeciętniaków. Na człowieka wychowanego w kulcie pracy, który za znakomite wyniki w nauce uzyskał bezpłatny wstęp do college'u, podobna postawa musiała działać jak płachta na byka. Leslie i Sybil de Vere, godni następcy swoich przodków, którzy, podobnie jak oni, zajmowali się w życiu przede wszystkim trwonieniem rodzinnej fortuny, byli obecnie kompletnie spłukani. Ich zdeorganizowany, zaniedbany, chylący się do upadku



dom był chyba ze cztery razy większy niż domek rodziców Stephena w Navan - parterowy, z równiutkim szeregiem gladiolusów po obu stronach wiodącej ku frontowym drzwiom alejki, z nieskazitelnie czystym linoleum na podłodze. I, naturalnie, bez choćby jednej butelki w zasięgu wzroku.

Rodzice Olivii również niezbyt lubili Stephena. Zbyt jawnie demonstrował swoją dezaprobatę wobec ich hedonistycznego stylu życia i dawał temu wyraz za każdym razem, gdy rodzinne przyjęcie w ich domu zmieniało się jak zawsze w zwykłą pijatykę.

A Olivia, jak zawsze, musiała być wówczas rozjemcą.

Ich bmw miało właśnie śliczny kamienny kościółek. Pomimo wszystkich zmartwień, na widok tak dobrze znanych uliczek Ballymoreen Olivia nie mogła się nie rozjaśnić. To urocze irlandzkie miasteczko, zupełnie jak ze starej pocztówki, znakomicie nadawałoby się na tło dla filmu, którego akcja byłaby zlokalizowana w latach czterdziestych - pod warunkiem, że filmowcy byłiby w ogóle w stanie je odnaleźć. Położone na uboczu, na peryferiach hrabstwa Kildare, z dala od głównych tras, gwarantowało prywatność właśnie dlatego, że było trudno dostępne. Ze światem łączyła je jedynie prowincjonalna, pełna dziur i wybojów droga.

Niewiele się tu zmieniło od czasów dzieciństwa Olivii. Ten sam nieduży budynek urzędu pocztowego, ozdobiony dziś na froncie girlandą jaskrawozielonych światełek, ten sam pomnik z czasów wojny domowej, otoczony skrzynkami wiecznie zielonych iglaków przystrzyżonych w kształt kuli... Tu toczyło się życie towarzyskie miasta: wracając ze sklepu spożywczego, ludzie przysiadali na drewnianych ławkach obok pomnika, żeby wymienić najnowsze ploteczki z tymi, którzy nadchodzili od strony poczty.

W letnie wieczory pod pomnikiem zbierała się młodzież. Najczęściej rozważano wciąż ten sam, aktualny niemal od trzydziestu lat problem: czy uda się przemknąć do baru „Bishop's Lounge” na nielegalną wódkę, czy też zostaną z miejsca wyrzuceni za drzwi... W drugi dzień świąt spod pomnika wyruszali na polowanie myśliwi. O dziesiątej rano płacyk zapełniał się parszkającymi, przestępującymi z nogi na nogę końmi, rwącymi się do wymarszu.

Dziś jednak było tu pusto. Porywisty grudniowy wiatr chłostał twarz, zaczynał ulewny deszcz. Nieliczni śmiałkowie, którzy odważyli się wytknąć nos na dwór, wracali do domu najszybciej jak mogli.

Sunęli wolno wzdłuż rzędu przylegających do siebie domków, wzniesionych tarasowato na pochyłości. Po przeciwnej stronie ulicy mignął pub i sklep mięsny, z charakterystycznymi czerwono-białymi markizami. Pokonali most, przejechali obok szkoły i ruszyli w górę, gdzie na przeciwległym zboczach, za ogromną sypiącą się kamienną bramą, z przedwiecznym dębem stojącym tuż za nią niczym strażnik, położona była posiadłość Lodge.

Rodziny dom Olivii, choć w ruinie, wciąż jeszcze był piękny. Średniej wielkości georgiański budynek, otoczony przerośniętym żywopłotem, był niemal

dokładną repliką innego, znacznie większego, który stał niegdyś niespełna dwa kilometry dalej. Wiodła do niego ocieniona starymi drzewami aleja.

Dziś tamten dom już nie istniał. Jego miejsce zajęła rezydencja w stylu fałszywych Tudorów, wzniesiona przez jakichś nowobogackich. Rodzice Olivii nie lubili ich; narzekali, że dewastują okolicę. Patrząc jednak na kupy nieuprzątniętych opadłych liści na drodze, na połuzowane dachówki, które w każdej chwili mogły się oberwać i spaść komuś na głowę, Olivia pomyślała: przygarnął kocioł garnkowi...

- Czy już przyjechalśmy? - zapytała sennie Sasha, przecierając oczka. Stephen zaciągał właśnie ręczny hamulec.

- Tak, kochanie. Jesteśmy na miejscu - powiedziała Olivia z czułością. - Chodź, włożymy ci płaszczyk przeciwdeszczowy i czapkę, bo strasznie leje. - Na Stephena nie zwracała uwagi. Wyraz jego twarzy przywodził na myśl francuskiego arystokratę, który po raz pierwszy w życiu zobaczył gilotynę.

Ostrożnie wciskając jedwabiste włoski dziecka pod futrzaną czapkę, pogadywała do niego uspokajająco. Sasha po obudzeniu zwykle była trochę kapryśna i trzeba było postępować z nią łagodnie i delikatnie.

- Zaraz zobaczymy babcię i dziadka. Na pewno przygotowali dla ciebie śliczne prezenty pod choinkę... - Mam nadzieję, że przygotowali - dodała w duchu. Kto wie, czy nie wyleciało im to z głowy... - No a oprócz tego z pewnością przyniesie coś Sashy Święty Mikołaj. Przecież Sasha jest bardzo grzeczna, prawda?

- Jesteście gotowe? - przerwał brutalnie Stephen.

- Tak.

Rzucili się pędem ku wejściu. Olivia ścisnęła rączkę Sashy, usiłując równocześnie przytrzymać sobie na głowie kaptur.

Ku jej zaskoczeniu matka wyglądała przez okno. Ujrawszy, jak biegną, skoczyła ku drzwiom.

- Witajcie, moi kochani - zaskrzeczała ochryple. Dwie paczki papierosów dziennie robiły swoje... Chuda, siwowłosa, ubrana była w długą tweedową spódnice i sweter z kołnierzykiem polo, ramiona zaś okryła różowym, zjedzonym przez mole szalem.

- Wchodźcie, wchodźcie - wykonała zapraszający gest dłonią w której tkwił wypalony do połowy papieros. - Wybaczcie, że tak tu zimno. Ogrzewanie, psiakrew, wysiadło. Od wczoraj nie udało nam się znaleźć nikogo, kto by je naprawił.

Olivia nie musiała patrzeć na męża, żeby znać wyraz jego twarzy. Francuski arystokrata spoglądający w górę na ostrze gilotyny i czekający, rychło-li ozwie się złowrogi łoskot bębnow, zwiastujący koniec - to był w tej chwili on.

Wciąż ściskając rączkę Sashy, weszła do ponurego, zimnego hallu. Wionęła na nich woń kocich odchodów, naftaliny i dawno nie wietrzonych pokoi. No tak. Jeśli uda jej sienie umrzeć wcześniej na zapalenie płuc, Stephen bez wątpienia ją zabije. Ach, jak cudowne jest Boże Narodzenie.



ara z trudem otworzyła jedno oko i spojrzała na budzik. Dopiero za pięć ósma. Fajnie. Wyciągnęła rękę spod pasiastej kołdry, wcisnęła przycisk powtórnego dzwonienia, przewróciła się na drugi bok i zapadła w sen.

Dziewięć minut później znów rozdarł ciszę alarmujący pisk. Boże... Właśnie miała taki wspaniały sen! Był w nim jakiś zielony ludzik, jej szef Bernard i ona, z wielką rakieta tenisową w ręce. Stojąc na poboczu jezdni, wzięła wspaniały zamach z backhandu i posłała Bernarda w kierunku zielonego ludzika. Powiedzieć, że czuła zadowolenie, to o wiele za mało... Dlaczego człowiek zawsze musi obudzić się w najlepszym momencie? Cara, niezadowolona, przewróciła się na plecy i odgarnęła z twarzy splątane czarne pasma. No to co, może by tak wstać?

W zeszłym tygodniu miała jeszcze lepszy sen. Była w łóżku z George'em Clooneyem. Właśnie wyciągał swoje ramiona supermena, żeby ją objąć, kiedy w sąsiednim pokoju zadzwonił budzik... i nici ze wszystkiego. Stosunek przerywany, można powiedzieć.

- Cara! - dał się słyszeć wrzask Phoebe. - Wstajesz czy nie? Bo się spóźnisz!

Odkał Phoebe dostała fioła na punkcie faceta z kasy walutowej, pracującego przy sąsiednim kontuarze, stała się wprost chorobliwie punktualna - pomyślała ponuro Cara. Cóż za gotowość do zrywania się o świcie, coś za zapal do pracy... A zanim pojawił się na tapecie, miała ze wstawaniem takie same kłopoty jak jej współlokatorka.

Ileż to razy miały się obie po łazience, zderzając z sobą w poszukiwaniu właściwych rajstop, majtek i biustonoszy, wiszących na sznurze, który przez czysty przypadek zamocowały nad wanną... No, choć właściwie rajstop szukała tylko Phoebe. Jako początkujący grafik Cara rezydowała w najdalszej części lokalu zajmowanego przez jej firmę, Yoshi Advertising, tam gdzie nigdy nie powstała stopa klienta. Mogła więc sobie pozwolić, podobnie jak dwie inne koleżanki, na całkiem niebiurowy strój. W przypadku Cary były to jej stare ciuchy, jeszcze z czasów szkolnych, nabyte na pchlim targu. Do nich nie potrzebowała rajstop. No i można było sobie darować prasowanie.

Dawniej, kiedy Phoebe nie była jeszcze takim pracusiem, istniała przynajmniej szansa na jakieś śniadanie... Z nich dwu to ona była mimo wszystko o włos lepiej zorganizowana, na niej więc spoczywał obowiązek przygotowania grzanek. Pochłaniały je, każda swoją, pędząc z obłędem w oczach na przystanek autobusowy przy Leinster Road. Teraz jednak Phoebe już od miesiąca wychodziła najpóźniej dziesięć po ósmej, by przed rozpoczęciem pracy mieć czas na pogawędkę z obiektem swoich westchnień. (A jeszcze niedawno

była przekonana, że jej chłopak nie będzie miał nic wspólnego z bankiem... Będzie filmowcem - twierdziła.) Cara zaś, której nie miał kto poganiać, z reguły znowu zapadała w drzemkę. Kiedy wreszcie zrywała się z łóżka, zaledwie miała czas, by usunąć z twarzy czarne smugi po tuszu, którego nie zmyła poprzedniego wieczoru. Mowy nie było o wstawieniu grzanek do tosterka, nawiasem mówiąc, zachowującego się dość nieobliczalnie.

- Cara! - rozdarła się jeszcze raz Phoebe. - Ja wychodzę. Pa!

Chyba trzeba jednak wstać - pomyślała sennie Cara. To był ostatni roboczy dzień przed świętami i Bernard Redmond zapowiedział, że obetnie pensję każdemu, kto po wczorajszej gwiazdkowej imprezie spóźni się dziś do pracy. Kto wie, czy w razie czego nie spełniłby groźby... Ten sadysta był zdolny do wszystkiego.

A jednak impreza była w porządku. No, w każdym razie te jej fragmenty, które zdołała zapamiętać... Ten koktajl na bazie tequili to była mieszanka piornująca, nie da się ukryć. Nawet dziwne, że specjalnie nie boli jej dziś głowa...

Przeciągnęła się leniwie. O Chryste... Ktoś jest z nią w tym łóżku! Jakaś owłosiona kończyzna otarła się lubieżnie ojej długą nogę... Jak rażona prądem, z wraskiem wyskoczyła z łóżka. Szarpnięta gwałtownie kołdra spadła na podłogę, wzbijając tuman kurzu.

Kto to jest? Co ona u diabła nawyrabiała wczoraj wieczorem? O Jezu... Czaszkę przeszył ostry, pulsujący ból. Zatoczyła się z jękiem. Zupełnie jakby miała w głowie tysiąc małych bębenków, w które ktoś wali bez litości.

- Co ty wyprawiasz-wymamrotał podejrzanie znajomy głos. - Zimno... - Osoba w łóżku, niewątpliwie płci męskiej, sięgnęła po kołdrę i okręciła się nią po uszy.

Włoski na karku Cary wróciły do normalnej pozycji, choć pulsowanie w głowie nie ustąpiło. To Erie. Spała z Erikiem. Znowu... Miała chęć strzelić sobie w łeb.

Właściwie jednak nie było takiej potrzeby. Każdy w biurze, kto dowie się, co zaszło, z pewnością zrobi to za nią. Siedząc na krawędzi łóżka, Cara wpatrywała się tępo w pokrytą farfocłami kurzu podłogę, która już chyba ze dwa miesiące nie widziała odkurzacza.

Ludzie z Yoshi Advertising nigdy nie przepuścili okazji, żeby się z kogoś ponabijać. A spędzić noc z Erikiem to była doprawdy superokazja. Ale będą mieli ubaw... Kto jak kto, ale Erie!

Była pewna, że nic nie jest w stanie skłonić jej do wyładowania z nim w łóżku po raz drugi, nawet gdyby pochłonęła cały zapas tequili, jakim dysponuje Meksyk. Chociaż, sądząc po stanie, w jakim znajdowała się obecnie jej głowa, globalna produkcja alkoholu w tym kraju doznała wczoraj poważnego uszczerbku.

Jak to się mogło stać? - dumiała, obejmując dłońmi pękającą z bólu czaszkę. - I co oni właściwie robili w tym łóżku, na Boga?

Eric, dwudziestotrzyletni chłopak zatrudniony w firmie jako kurier, był przekonany, że jego skórzany uniform motocyklisty i lśniące od brylantyny, przylizane do tyłu ciemne włosy sprawiają, iż jest nieodparcie pociągający dla kobiet. Po nieoczekiwanej chwili zapomnienia, jaka zdarzyła się im w styczniu tego roku po jakichś firmowych urodzinach, Cara nabrała przekonania, że Eric byłby znacznie bardziej pociągający, gdyby od czasu do czasu wywietrzył swoją ukochaną skórę, a włosy umył, zamiast nakładać na nie każdego ranka kolejną warstwę brylantyny. Inna przyczyna, dla której nie stanowił on odpowiedniego materiału na partnera, ujawniła się natychmiast po otwarciu przez niego ust: Eric był fanem heavy rocka i wyrażał się tak, jakby dopiero wyszedł z koncertu grupy Aerosmith.

Był też, prawdę mówiąc, chyba piętnaście centymetrów niższy od niej... Sam także do tej pory interesował się wyłącznie małymi, seksownymi blondynkami, jak choćby ta filigranowa recepcjonistka. Co go wobec tego pociągnęło ku niej? Nie miała pojęcia. Wysoka, mocno zbudowana - typ amazonki, jak mawiała Phoebe - o czarnych lokach i brązowych oczach, z bladą cerą poznaczoną tu i ówdzie plamkami wyprysków i ze swoim agresywnie męskim stylem ubierania, była krańcowym przeciwieństwem wszystkich tych platynowoblond panienek, na jakie zazwyczaj leciał szanowny pan kurier. Ale, co najważniejsze, on też w ogóle nie był w jej typie! Nawet gdyby nie wiem jak brakowało jej faceta, nie zdecydowałaby się na niego na trzeźwo. Co ta wódka robi z człowiekiem...

- Cześć, mała - mruknął Eric, podnosząc się i wyciągając owłosione ramię, żeby ją objąć.

Uchyliła się, wstała i popatrzyła na niego z niesmakiem. Ten zarost, te zamazane oczy, te włosy ociekające tłuszczem... Poszewkę trzeba będzie chyba wygotować, bo zwykłe pranie nie wystarczy.

W tym momencie dotarło do niej, że ma na sobie spłowieły czarny T-shirt, którego kompletnie nie rozpoznaje. Kusy, ledwie przykrywający to co trzeba, odsłaniał białe, pokryte gęsią skórą uda i łydki od miesiąc nie tknięte depilatorem. Pochyliwszy głowę, dostrzegła na froncie podkoszulka wypisany wołowymi literami tekst: POTRZAŚNIJ SWOIM CIUŁACZEM.

- Niezłe, co? - zauważył z dumą Eric, wpatrując się w napis. Choć tak naprawdę wpatrywał się chyba w jej piersi, których czubki stanęły właśnie na baczność - wyłącznie dzięki temu, że w mieszkaniu nie było centralnego ogrzewania.

- Jak cholera - powiedziała z przekąsem. Wyglądało na to, że i ona minionej nocy nieco nim potrząsnęła... Nie wiedziała tylko, jak bardzo.

Nie wypadało zapytać wprost. Wystarczająco źle się stało, że w ogóle przywlokła go z sobą do domu, będąc w stanie upojenia, ale przyznać się, że była tak pijana, iż nie ma pojęcia, czy wizyta została skonsumowana? Seks z Erikiem... Cara wstrząsnęła się na samą myśl. Wszystko przez Pete'a! To on wymyślił te zawody, kto wleje w siebie więcej tequili. Niech go szlag

trafi! A i ją też, i to podwójnie, za to, że wzięła udział w tym kretyńskim współzawodnictwie.

Był jeszcze jeden problem, i to niezwykle ważny: antykoncepcja. Miała chęć spytać Erika, czy o tym pomyślał... Jej życie seksualne było do tego stopnia ubogie, a właściwie praktycznie nie istniało, że nie było sensu brać pigułki czy zakładać sobie spirali. Ostatnie intymne spotkanie miało miejsce przed prawie rokiem... z Erikiem, nawiasem mówiąc. Co oznacza, że wczorajsza akcja spowodowana przedawkowaniem tequili może zaowocować czymś więcej, niż tylko kwaśny smak w ustach... Na samą myśl w głowie zapulsowało jeszcze mocniej. Boże, spraw, by okazało się, że jednak czegoś użyli...

- No to jak, mała, jeszcze jeden numerek? - Eriki zachęcająco poklepał prześcieradło.

Spojrzała na niego, zdumiona i wściekła. I na niego, i na siebie samą.

- Zwariowałaś? Zabieraj się stąd, bo za chwilę spóźnię się do pracy. Nie mam czasu na igraszki.

Na jego twarzy pojawił się szeroki, zadowolony z siebie uśmiech.

-W nocy byłaś całkiem innego zdania... - chrząknął znacząco. - Nie wygłupiaj się. Kto dziś przyjdzie na czas? A po nas to już na pewno nikt się nie spodziewa punktualności... po wczorajszym. Wszyscy widzieli, jak wieszłaś mi się na szyi.

Cara poczuła, że jej żołądek gwałtownie się przewraca. A zatem kleiła się do kuriera na oczach całej firmy... Super. Nie ma co, sezon świąteczny zaczyna się z hukiem.

- No chodź - zachęcił ją lekko zniżając głos. - Niezła jesteś w łóżku, jak na taką dużą kobietę. Zabawmy się jeszcze raz... - I zaczął ściągać kołdrę w dół, najwyraźniej z zamiarem zademonstrowania jej swoich męskich wdzięków.

Cara poczuła falę mdłości. Zamknęła oczy. Boże... jakkolwiek Ci na imię, Allah, Jahwe, Sziwa, nieważne... spraw, żeby sobie poszedł! Już nigdy w życiu nie spojrzę na żadnego faceta... ale niech ten facet zniknie! Proszę!

Otworzyła oczy. Był nadal. Uśmiechał się lubieżnie, przegarniając grubymi paluchami śliskie od tłuszczu włosy.

Spróbowała innej taktyki.

- Eriki, naprawdę mam dzisiaj strasznie dużo pilnej roboty do wykończenia. Muszę natychmiast iść do biura. Nie chcę być nieuprzejma, ale wołałabym, żebyś sobie poszedł, bo inaczej nie zdążę.

- Po co ten pośpiech? - Eriki z powrotem legł w pościeli. - Podrzucę cię do biura na moim skuterze w dziesięć minut.

- Więc wczoraj przywiozłeś mnie tu na skuterze? - spytała słabo. Jak on w ogóle był w stanie prowadzić?

- No a jak - znów zademonstrował zadowolony uśmiech. - Strasznie ci na tym zależało. Mówiłaś, że uwielbiasz pojazdy jednośladowe - zachichotał. - No chodź - poklepał łóżko jeszcze raz. - Mamy czas...

Przez krótką chwilę Cara była niemal gotowa rzeczywiście wrócić do łóżka. Erie najwyraźniej nie miał zamiaru wyjść albo bez ostrej kłótni, albo bez kolejnego bara-bara. A na kłótnię nie miała siły. Przecież zawsze można zamknąć oczy i myśleć o czym innym...

W tym momencie zobaczyła w wyobraźni siebie samą, zimnajak głąz w jego ramionach, i nieogolonego Erika, ośliniającego jej ciało. Wstrząsnęła się.

- Erie - powiedziała w desperacji - jeśli natychmiast nie opuścisz mojego domu, idę do biura i ogłaszam, że mi się oświadczyłeś. Nawet mam pierścionek - złapała pudełko z biżuterią, znalazła złoty pierścionek matki z granatami i podsunęła mu pod nos. - Od dawna marzę, żeby wyjść za męż. Jestem jedyną niezamężną kobietą w mojej rodzinie, a przecież ty i ja doskonale pasujemy do siebie.

Nie widziała, by kiedykolwiek poruszał się szybciej, nawet na swoim kawasaki 750, gdy z fasonem ruszał z parkingu, by zaimponować przechodzącym obok kobietom.

- Jezu - wymamrotał, wskakując piorunem w slipy. - Odbiło ci.

- Nie - Cara zatrzepotała rękami - tylko po prostu szaleję za tobą. Mam dwadzieścia sześć lat, właściwie już prawie dwadzieścia siedem. Nie chcę zostać starą panną a ty jesteś przecież takim świetnym facetem... Ślub możemy wziąć w czerwcu. Zawsze chciałam zostać czerwcową panną młodą - dodała z rozmarzeniem.

Erie usiłował zaciągnąć zamek w spodniach tak gwałtownie, że mało go nie wyrwał.

- Ja się nie nadaję do małżeństwa - mruknął, sznurując buty. Nie dokończywszy tej czynności, złapał swój kask, kluczyki oraz kurtkę i ze zwisającymi sznurowadłami wypadł z pokoju, potykając się na progu.

- Ja też nie - powiedziała do siebie pod nosem Cara, tak cicho, że nikt poza nią nie powinien był tego słyszeć. Ale Erie usłyszał.

Przestał wciągać kurtkę i odwrócił się twarzą do niej.

- Ty dziwko! - ryknął. - Nagadałaś tych głupot tylko po to, żeby się mnie pozbyć!

Co można było na to powiedzieć? Że nikt inny nie byłby na tyle głupi, żeby uwierzyć w te bajki? Cara w milczeniu otworzyła drzwi na klatkę schodową i czekała.

- Znam takie jak ty - mówił wzburzony Erie, wyciągając oskarżycielsko palec. - Jak się zalejesz, to jestem dla ciebie dobry, ale potem to już za wysokie progi! Może nie?

- To nie tak... - zaczęła, ale on nie dał jej dokończyć.

- Wszystkie jesteście takie same, wy dziwki. Wszystkie zadzieracie nosa. Myślicie, że jestem głupi? Nie tak jak wam się zdaje - mówił z pobladłą twarzą, najwyraźniej głęboko dotknięty. Cara poczuła nagłą przykrość. Położyła mu rękę na ramieniu.

- Wcale nie uważam, że jesteś głupi. Jesteś naprawdę fajnym facetem. Tylko że ja się nie chcę angażować. Zrozumiem to, Erie.

Strząsnął jej dłoń z ramienia.

- Erie - powiedziała zdesperowana. - Widziałeś, żebym się z kimkolwiek spotykała, odkąd pracuję w Yoshi? Nie widziałeś, prawda? No właśnie. Ja po prostu nie umiem funkcjonować w jakimś trwałszym układzie. - Nie było to zbyt przekonujące wyjaśnienie, nie było też do końca prawdziwe, ale najwyraźniej zadziało. Wyraz jego twarzy złagodniał. - Zrozumiem mnie, proszę. Ja po prostu potrzebuję trochę przestrzeni wyłącznie dla siebie. Naprawdę nie chciałam cię zranić.

- Więc po co mówiłaś mi to wszystko wczoraj w nocy?

Cara zawahała się. Prawdziwa odpowiedź brzmiałaby: „Bo byłam pijana do nieprzytomności i nie wiedziałam, co mówię. To był z mojej strony wielki błąd i bardzo tego żałuję”. Ale tego przecież nie mogła powiedzieć.

- Nie tak trudno poczuć bliskość wobec kolegi z pracy, a nawet przez chwilę wziąć to za coś poważniejszego. To przecież ludzkie - powiedziała ostrożnie, cytując niemal słowo w słowo tekst artykułu, przestrzegającego przed konsekwencjami świątecznych przyjęć w zakładach pracy. Przeczytała go niedawno w jakimś magazynie. Wyglądało, że Erie to kupił.

- No tak - skinął głową. - Jasne. To się zdarza.

- Ale swoją drogą - powiedziała, starając się przenieść konwersację na nieco lżejszy grunt - nie rozumiem, dlaczego ty się mną zainteresowałeś? Przecież w ogóle nie jestem w twoim typie.

Uśmiechnął się.

- Ale jesteś cholernie seksowna. Wiem, wiem, nosisz się jak chuligan i cały czas wysyłasz sygnały „trzymać się ode mnie z daleka”, ale w gruncie rzeczy wcale nie jesteś taka groźna, jak udajesz... No to cześć. - I wyszedł.

Cara zatrzasnęła za nim drzwi i, w poczuciu gwałtownej ulgi, oparła się o nie plecami. Była wyczerpana.

Erie nie był w jej typie, to pewne. Ale kto był? Minęło sześć lat bez śladu mężczyzny w jej życiu, i nadal tego nie wiedziała.

Powłokła się do kuchni. Bez zapału otworzyła lodówkę i apatycznie wpatrywała się w jej zawartość. Nic nie wyglądało zachęcająco, nic nie słało kuszącego sygnału „zjedz mnie”. Cara uprzytomniła sobie, że egzystuje tu tyle rozmaitych żywych organizmów, iż któregoś dnia może stać się odwrotnie: po otwarciu lodówki coś wyskoczy na nią zniemacka ze słowami „zjem cię”. Jakiś zmutowany pasztet, który pożarł właśnie spleśniały serek niskotłuszczowy i miał chęć na coś więcej. Na przykład na ludzkie mięsko...

Może by tak ser brie? Nie... Wyglądał, jakby miał na sobie sweter z biały angory. Cara przysięgła w duchu, że wieczorem już na pewno umyje lodówkę i wyjęta karton soku pomarańczowego, masło oraz należący do Phoebe dżem. Tylko to wyglądało mniej więcej jadalnie.



Wyciągnęła z zamrażalnika parę kromek chleba i wcisnęła do tosterka. Zagotowała wodę na herbatę, posmarowała grzanki i wypijała duszkiem trzy szklanki soku. Jezu, co za kac...

Ze śniadaniem na tacy usiadła przed telewizorem. Była już za piętnaście dziewiąta. O tej porze powinna być w autobusie zmierzającym w kierunku Mount Street, czuła jednak, że jeszcze przez co najmniej godzinę nie będzie w stanie stawić czoła jakimkolwiek obowiązkom służbowym. Pozbycie się Erika z domu okazało się zbyt wyczerpujące i frustrujące. Być może telewizja śniadaniowa, a potem parę minut jakiegoś sympatycznego filmu przywróci jej chęć do życia.

Była jedenasta, kiedy wreszcie zdołała wyjść, wrzuciwszy uprzednio skażoną Erikiem pościel do pralki. Kiedy zakładała świeżą, natknęła się po jego stronie na opakowanie po prezerwatywie. Była to wiadomość dobra i zła równocześnie. A więc rzeczywiście uprawiali seks... (wiadomość zła). Erie zadbał jednak o zabezpieczenie (wiadomość dobra). Postarała się wyrzucić z głowy samooskarżające myśli w rodzaju „Jak mogłam być taką kretynką!” Nie ma co się teraz biczować. Stało się.

W swoich ulubionych czarnych bojówkach, bawełnianym swetrze ze śladami soku z mandarynki (ta Phoebe! musiała ją tak nieuważnie obierać...) i wściekle czerwonym welwetowym płaszczu, Cara śmiało stawiała czoła grudniowej pogodzie. Czapki nie znalazła, podobnie jak rękawiczek - najwyraźniej musiała je wczoraj gdzieś posiać... W zacinającym deszczu, drżąc z zimna, biegła chodnikiem Leinster Road. Usiłowała ułożyć w głowie jakąś wiarygodnie brzmiącą historyjkę na temat wczorajszego wieczoru: jak to ona i Erie opuścili wprawdzie pub razem, ale natychmiast potem każde poszło w swoją stronę i o wspólnej nocy w ogóle nie było mowy. Absolutnie.

Próbowała sformułować to w rozmaity sposób. Niestety, wciąż brzmiało dość kulawo. Zanim dotarła do biura, przemoczona i skacowana chyba jeszcze bardziej niż rano, skreśliła w myśli wersję „Erie nie tknął mnie nawet palcem” i poddała się. Najlepiej nie mówić nic. Wszyscy pewnie byli tak samo zalani jak ona i możliwe, że nikt w ogóle niczego nie zauważył.

- Wiedziałam, że jesteś desperatką, ale nie wiedziałam, że aż taką - powitała ją Zoe, nie podnosząc głowy znad biurka. Cara cisnęła torbę na podłogę i zdjęła płaszcz, pocętkowany plamkami wilgoci. Wyglądało to jak ślady po jeżynach.

- O co ci chodzi? - zapytała niewinnie.

Zoe spojrzała na nią spod oka, ironicznie unosząc rudą brew.

- O to - wycodziła - że przespać się z Erikiem raz to wypadek przy pracy, ale dwa razy to już całkowita bezmyślność!

- Dzięki ci, droga pani Bracknell - Cara była wściekła. - Czy to znaczy, że wszyscy wiedzą?

- Na szczęście dla ciebie nie - Zoe ześliznęła się z krzesła i zaczęła grzebać w ogromnym plecaku. - Po tych zawodach, kto wypije więcej tequila -

nawiasem mówiąc, wygrałaś je - wszyscy poszli do domu, z wyjątkiem ciebie, mnie, Erika i Pete'a. Pete był całkiem sztywny i wątpią, czyby zauważył, nawet gdybyś się rozebrała, wskoczyła na stół i odśpiewała arię operową. Strasznie się kleiłaś do Erika, ale ja nie puszczyć pary z ust na temat tego ohydneho zdarzenia. Jesteś masochistką, panno Fraser, tyle ci powiem.

- Wiem - jęknęła Cara, opadając na krzesło obok swojej deski kreślarskiej. Ścisnęła dłońmi pękającą z bólu głowę. - Sama nie wierzyłam własnym oczom, kiedy odkryłam go dziś rano w łóżku... Myślałam, że się rozplączę. Jak ja mogłam to zrobić? Nienawidzę siebie samej.

- Skończ z tym samoudręczaniem - zakomenderowała Zoe, tryumfalnie wyciągając z plecaka zmięte opakowanie kanapek. - Była impreza, a ty się zalałaś. Odpuść sobie, bo nie wiedziałaś, co czynisz. Najważniejsze, że nikt nie zamordowałaś.

-Ale Erie... - zawodziła Cara. - Drugi raz!

- Chodzisz do łóżka tylko z nim, bo potrafisz nim manipulować - powiedziała z naciskiem Zoe, rzucając się na kanapki z tuńczykiem. Było dopiero wpół do dwunastej, ale zawsze zjadały swoje zapasy wcześniej.

- W sklepie takie kanapki kosztują dwa funty, ale to tylko pozornie wypada drożej, bo przynajmniej jemy je we właściwej porze - zwróciła raz uwagę Cara, kiedy zastanawiały się nad sposobami ograniczenia wydatków. - Przyносimy własne, a potem i tak wychodzimy na lunch, bo do pierwszej po kanapkach nie ma śladu.

Teraz siedziała z nieszczęśliwą miną przy desce kreślarskiej, na której cierpliwie czekała na zajęcie się nią niedokończona kampania promocyjna nowej generacji środków przeczyszczających.

- Ewan, ten copywriter, też na ciebie popatruje, ale jego to nie dotkniesz. Nawet kiedy jesteś w proszku, jak wczoraj - ciągnęła Zoe. - A wiesz dlaczego? Bo mógłby pomyśleć o czymś poważniejszym. Boisz się tego.

- Ja się nie nadaję do trwałego związku. Gdzie jest powiedziane, że muszę?

Zoe przygwoździła ją surowym spojrzeniem.

-I dlatego wolisz raz na jakiś czas czarujący epizodzik z tym idiotą Erikiem?

Cara poddała się. Nie było potrzeby wyjaśniać Zoe czegokolwiek. Chodziły razem do college'u i dobrze wiedziała, co sprawiło, że Cara unika mężczyzn... Uważała jednak, że pora z tym skończyć. To już przecież sześć długich lat.

- Nie masz pojęcia, ile mnie kosztowało, żeby go wreszcie wywalić - poskarżyła się przyjaciółce. - Już myślałam, że ma zamiar się wprowadzić. Spróbowałam tego tricku z „ożeń się ze mną”, o którym mi kiedyś opowiadałaś, pamiętasz? Ale nawet Erie się na to nie nabrał.

-A kto by się na to nabrał? Przecież ja to wyczytałam w jakimś kolorowym magazynie. To był tekst typu „25 rzeczy, które mogłam zrobić w swoim czasie, a teraz żałuję, że nie zrobiłam”. Nikt tego nie traktuje poważnie.

- Cara, Zoe - zahuczał znany bas. Odwróciły się. W drzwiach stał szef Yoshi Advertising, Bernard Richmond.

Pomimo ciemnego garnituru, w którym przypominał menedżera nieco bardziej niż zwykle, jego wygląd budził dreszcz. Wysoki jak tyczka, chudy tak, że wręcz wycieńczony, z ciemnymi włosami zebranych z tyłu w mizerny kucyk, nadawał się, zdaniem Cary, do straszenia dzieci. Jego świdrujące oczka z pewnością natychmiast zarejestrowały fakt, że projekt kampanii środków przeczyszczających wciąż nie jest gotowy. Z jakiegoś powodu jednak tym razem nie rzucił się na nią z wściekłością, wrzeszcząc o nieprzekraczalnych terminach.

Kiedy wszedł, powód natychmiast się wyjaśnił: krok w krok za nim postępowała Millicent Ferguson, matrona około pięćdziesiątki, jego partnerka w interesach. W rękach dzierżyła dwie torby z prezentami połyskujące metaliczną czerwień. W jej obecności Bernard stawał się innym człowiekiem. Millicent, wdowa po znacznie starszym od siebie małżonku, odziedziczyła po nim fortunę i Cara była przekonana, że Bernard zamierza ją usidlić, a następnie poślubić. Myślały z Zoe, by wysłać jej anonim z zaszyfowaną wiadomością, że grozi jej niebezpieczeństwo ze strony okrętowego masztu.

- Witajcie, dziewczyny - zagruchała Millicent. Szeroka twarz pod grubą warstwą makijażu promieniała uśmiechem. - Święty Mikołaj coś wam przyniósł - i wręczyła każdej z nich po torbie.

One także uśmiechnęły się szeroko. Lubiły Millicent. Szkoda, że tak rzadko bywała w biurze - z pewnością miałaby na Bernarda dobroczynny wpływ.

- Dziękujemy, Millicent - Cara zajrzała do torby. Wewnątrz znajdował się długi purpurowy szal z cieniutkiej wełny.

- Jaki śliczny... - Zoe znalazła w swojej taki sam, tylko turkusowy.

- Pomyślałam, że przyda się wam coś innego niż butelka wina, którą dostałyście w zeszłym roku - Millicent uniosła szal ku rudym włosom Zoe, podziwiając zestawienie barw.

Butelka wina za niecałe trzy funty to był pomysł Bernarda na świąteczny prezent od firmy. Skapstwo tego faceta, z gatunku tych, co to nawet pomarańczę obierają w kieszeni, jak mawiał tata Cary, było wprost niewyobrażalne.

- Jak stoicie z robotą? - zapytał, podchodząc niebezpiecznie blisko stanowiska Cary. Odchyliła się nieco w bok. Bernard wyczuwał alkohol na kilometr - sam nigdy nie pił.

- W porządku - mruknęła. - Myślę, że dzisiaj skończę. - I natychmiast pożałowała tych słów. Zamierzała przecież wyjść z pracy trochę wcześniej, żeby kupić jeszcze to i owo na święta, zanim złapie ostami autobus do Ballymoreen. A teraz będzie musiała siedzieć, dopóki rzeczywiście nie skończy. Inaczej marny jej los. Słowo się rzekło.

- To dobrze. - Nachylił się jeszcze niżej nad niedokończonym rysunkiem. - A jak się wczoraj bawiłaś? Chyba nieźle, prawda? - spojrzał jej w oczy.

Jego twarz była tak blisko, że z pewnością czuł woń miętej gumy, którą rozpaczliwie żuła.

Wiedział, świnia... Nie miała pojęcia skąd, ale wiedział. Uniosła wyzywająco podbródek. Cóż to, będzie się czerwienił, bo szefwie, że spała z Erikiem?

- Fantastycznie - odparła.

- No to dobrze - powtórzył, uśmiechając się fałszywie, samymi tylko ustami. - Słyszałem, że parę osób, największych twardzieli, zostało aż do zamknięcia lokalu.

Zacisnęła zęby.

- Z dobrej imprezy nie chce się wychodzić...

Wstała ze stołka, zmuszając go do cofnięcia się, i, z rękami w kieszeniach spodni, stanęła z nim twarzą w twarz. Pomimo płaskich obcasów dorównywała mu wzrostem, co go wyraźnie deprymowało. Lubił górować nad rozmówcą, zwłaszcza gdy była to kobieta, bo miał wówczas do podziwiania to i owo w głębi jej dekoltu... Cara nigdy nie dała mu tej szansy, również dlatego, że wszystkie jej ciuchy odsłaniały co najwyżej nasadę szyi. Zawartość jej szafy miała charakter wybitnie militarny.

- Musisz mi wybaczyć - powiedziała słodko - ale ktoś na mnie czeka.

Wymaszerowała z pokoju, zbiegła piętro niżej i schowała się w damskiej toalecie.

Twarz, odbita w lustrze, wyraźnie świadczyła o marnej kondycji właścicielki. Oczy o obfitych, ciężkich od tuszu rzęsach były lekko przekrwione, błada zazwyczaj cera tym razem miała wręcz kolor ściany, a ponieważ nie zadbała rano o umycie włosów, zwisały po obu stronach twarzy w tłustych, skręconych strąkach. W sumie jeszcze bardziej niż zwykle przypominała Cyganek z Europy Środkowej.

Phoebe, która miała płaską, okrągłą jak księżyc twarz, zawsze wzdychała z zazdrością patrząc na wyraziste kości policzkowe przyjaciółki, prosty nos i mocno zarysowaną szczękę. Cara jednak nienawidziła własnego wyglądu. Jak to się stało, że została wyposażona przez naturę w tę cygańską twarz i sylwetkę dragona, skoro reszta rodziny prezentowała zupełnie odmienny typ?

Ojciec, niższy od niej o piętnaście centymetrów, szczupły i niezbyt barczysty, był, zanim dystygowanie posiwiały mu włosy, dosyć jasnym szatynem. Siostra, Evie, ze swoją figurką jak z porcelany, wielkimi oczami i małym noskiem, stanowiła po prostu ideał kobiecości, ucieleśnienie marzeń każdego mężczyzny. Nie było w niej śladu egzotycznej prezencji Cary. Matkę słabo pamiętała, ale zdjęcia świadczyły, że i ona była raczej wiotka, niezbyt ciemnowłosa i wybitnie kobieca... Cara zaś dostała w prezencie tę atletyczną budowę i twarz, która sprawiała, że gdy wracała latem z zagranicznej wakacyjnej włości, celnicy na lotnisku nieodmiennie sprężali się wewnątrz na jej widok i wpatrywali w nią podejrzliwie zwężonymi oczyma.

- Poszedł - Zoe uchyliła drzwi i zajrzała do środka. - Zabrał „kochaną Millicent” na lunch.

Obie wykonały identyczny grymas.

- Naprawdę, powinniśmy powiedzieć „kochanej Millicent”, co z niego za łajdak. Jesteśmy jej to winne - zauważyła Cara, sięgając do kieszeni spodni. Znalazła spinkę i zgarnęła niesforne loki do tyłu. - W końcu nieszczęsna kobieta naprawdę za niego wyjdzie i nie minie nawet dzień od ślubu, a będzie jak my wszyscy pluć sobie w brodę, kiedy odkryje, z kim się związała.

- Mów za siebie - powiedziała cnotliwie Zoe. - Ja nie piję.

- Skądże znowu. W każdym razie nieczęsto. Wyłącznie w dni tygodnia zaczynające się na spółgłoskę - odcięła się Cara, klepnąwszy ją żartobliwie w tyłek. - No to jak, idziemy na wysokokaloryczny lunch dla skacowanych, pełen węglowodanów i mikroelementów?

- Jasne. Umieram z głodu - pożaliła się Zoe. - Wypiłam dziś osiem szklanek H<sub>2</sub>O i żadna nawet nie stała obok kawy.

Siedząc nad specjalnym świątecznym zestawem podawanym dziś w „O'Dwyer's”, omawiały plany na najbliższe dni. Zoe z niechęcią myślała o wizycie w swoim rodzinnym domu w Kerry, gdyż, jak twierdziła, będzie musiała być świadkiem co najmniej trzech kłótni dziennie między swoimi pięcioma braćmi a ojcem.

- Tobie to dobrze, że masz tylko jedną siostrę - mówiła, układając apatycznie wokół talerza wianuszek z kiełków.

Cara uniosła brwi.

- Wcale nie mam tak dobrze. Z Evie trudno się dogadać, zwłaszcza ostatnio. Cokolwiek powiem, wszystko jest nie tak. Uważa na przykład, że powinienam już być na kierowniczym stanowisku, z dużo lepszą pensją, samochodem służbowym...

- A poinformowałaś ją że Bernard to zakompleksiony psychol?

- Jasne, ale to nic nie daje. Jest cholernie ambitna i naturalnie uważa, że wszyscy powinni być dokładnie tacy jak ona. Do przodu, w górę... Ma mi za złe, że nie awansuję.

- No, ale zdaje się, że sama też nie jest szefową Goldman Sachs, na przykład?

- Nie. Ale gdyby w swoim czasie skończyła college, z pewnością by była.

- Czy to twoja wina, że zamiast się uczyć, zaszła w ciążę i wyszła za męża?

- Masz rację. Tylko, że wiesz - Cara odsunęła pusty talerz i sięgnęła po szklankę z wodą - mam wrażenie, że ją zawiodłam. Zawsze mi matkowała, bo nasza mama umarła, kiedy byłam mała, i nadal patrzy na mnie jak matka na dziecko. Normalny konflikt pokoleń, choć dzieli nas jedenaście lat, a nie na przykład dwadzieścia pięć. Spodziewa się po mnie jakichś niezwykłości...

Urwała, zniechęcona. Podciąganie się do poprzeczki, jaką ustawiała dla niej Evie, nigdy nie było łatwe, a już przez ostatnie parę lat stało się wręcz

nie do wytrzymania. Evie nie wiedziała - bo nie mogła wiedzieć - co sprawiło, że z pełnej uroku, towarzyskiej, łatwej w kontakcie dziewczyny Cara zmieniła się w najeżoną, pełną rezerwy kobietą o zaczepno-odpornym spojrzeniu. Kiedyś, w dzieciństwie, Cara uwielbiała starszą siostrą. Była dla niej przecież drugą matką - czułą troskliwą, opiekuńczą... Nawet, prawdą rzekłszy, nadmiernie opiekuńczą, jak to zwykle matki. Dziś bliskość, jaka je niegdyś łączyła, wyparowała.

- To znaczy, czego się spodziewa? Że rozpoczniesz własną kampanię prezydencką? - podjęła Zoe. - Wybacz, Cara, ale siostra nie może obciążać cię własnymi niespełnionymi ambicjami. A zresztą - Zoe zerknęła na zegarek i zdjęła płaszcz z poręczy krzesła - ma przecież teraz faceta, pardon, narzeczonego, i na pewno tym razem da ci spokój. Będzie wolała zajmować się nim, zamiast tracić czas na pouczanie cię, jak masz żyć.

Cara, wysącżając ze szklanki ostatnie krople, skrzywiła się.

- Simon nie przyjeżdża na święta. Będę dla Evie jedynym obiektem do znęcania się. Chociaż nie, bo jest jeszcze ojciec. Jego też lubi pouczać.

„Pouczać” to było o wiele za słabe określenie. Cara przywołała w myśli znajomy obraz: Evie miota się po małym domku w Ballymoreen jak cyklon, sprząta, czyści, przemeblowuje, sporządza od ręki listę rzeczy, które musi kupić ojcu natychmiast po powrocie do Dublina, bo przecież bez nich nie da się żyć...

- Naprawdę, tato, nie można tak po prostu wrzucić wszystkiego do pralki na dziewięćdziesiąt stopni bez płynu do zmiękczenia tkanin - irytowała się, przeglądając spłowiałe ręczniki, tak szorstkie jej zdaniem, że zdarłyby skórę ze słonia.

Ojciec przyjmował to ze stoickim spokojem. Siedział w starym fotelu z gazetą w rękę i pozwalał córce urządzać dom po swojemu. Cara uważała jednak, że Evie niepotrzebnie się wtrąca. Ojciec sam był w stanie zająć się sobą. Ostatecznie robił to od dawna: matka zmarła prawie dwadzieścia lat temu.

Kłopot z Evie polegał na tym, że oczekiwała od nich doskonałości. Cara powinna być według niej młodą kobietą interesu wspinającą się gładko po szczeblach kariery, z perfekcyjnym makijażem i szafą wypełnioną wyłącznie modelami od słynnych najmodniejszych projektantów. Wypisz wymaluj Barbie, naturalnie z odpowiednim Kenem u boku. Cara podejrzewała, że to obsesyjne urządzenie życia rodzinie jest spowodowane tym, iż Evie w głębi duszy czuła, że jej własne życie jest urządzone nie najlepiej. Chciała, by siostra miała wszystko to, czego ona nigdy nie miała - szaloną młodość, pieniądze, sukcesy zawodowe... Oraz męża, którego życiowe konto również składałoby się wyłącznie z osiągnięć. Najwyraźniej nie przyjmowała do wiadomości, że Cary to wszystko w ogóle nie interesuje.

I to było sedno problemu. Nie jest łatwo przekonać kogoś, że jego najbardziej wypieszczone marzenia i wizje rozmijają się w stu procentach z twoimi.

Cara pchnęła drzwi. Wyszły na zewnątrz. Lodowaty wicher szarpnął jej włosami i wdarł się za kołnierz.

- Tak czy owak, nie liczę na nic szczególnie zabawnego w te święta - mruknęła, otulając się płaszczem.

Brnęły pod wiatr, pochylone, ze spuszczoneymi głowami.

- I tak na pewno będzie zabawniej niż u mnie - wykrztusiła Zoe, walcząc z zatykającą dech w piersiach wichurą. - Przynajmniej będziecie mieli dzisiaj przyjęcie. Mój ojciec uważa, że spraszać do siebie pół miasta to niepotrzebna strata pieniędzy.

- Fakt - przyznała Cara. - Tata urządza świetne gwiazdkowe imprezy. Już od paru lat, odkąd spiknął się z tą grupą malarzy-amatorów. Oni też go zapraszają ale w innych terminach, a na Boże Narodzenie zawsze spotykają się u niego. Wiesz, to malowanie to dla niego coś wspańskiego. Robi fantastyczne akwarele. Nawet zaczyna je ostatnio sprzedawać!

- Myślałam, że on zawsze malował? Przecież maluje, odkąd cię tylko znam.

- Nie. Zaczął chodzić na te zajęcia osiem lat temu, po ataku serca. Lekarz zalecił mu coś uspokajającego. Wiesz - uśmiechnęła się Cara - w tej grupie jest jedna pani, która się nim interesuje. I to jak! Jest chyba z dziesięć lat od niego starsza. Wdowa. Bez przerwy do niego wydzwania - a to żeby jej wbić gwoździak, a to coś tam naprawić... Strasznie się z niego nabijamy. Ona go po prostu prześladuje.

Dotarły do biura i przeszły wzdłuż bocznej ściany budynku do tylnych drzwi.

- Jest chyba dość przystojny, prawda? Przynajmniej można by tak sądzić ze zdjęcia w twoim pokoju.

- Na żywo jest lepszy. Wiesz, taki dystyngowany typ. Kiedyś miał włosy tego samego koloru co moja siostra, ale teraz osiwiął. Strasznie mu z tym do twarzy.

Przed oczami stanęła jej twarz ojca: miła, poorana zmarszczkami, o ciepłych brązowych oczach i życzliwym uśmiechu. Tak, był przystojny, nawet w tych pamiętających chyba czasy króla Ćwieczka sztruksowych spodniach i rozciągniętych starych swetrach, które lubił nosić po domu. Uśmiechnęła się.

- Wiesz co? Mam pomysł. Dam mu w prezencie gatki i powiem, że to od jego wielbicielki, pani Mullany. Pęknie ze śmiechu.

Zoe zadrzała na myśl o podobnych żartach z własnym srogim rodzicem.

- Twój ojciec musi być świetnym facetem. Szkoda, że nie mogę pojechać do ciebie na święta...

Było już wpół do siódmej, kiedy Cara dotarła wreszcie do domu, przemoczona i wykończona zarówno upojnym popołudniem w towarzystwie środków przeczyszczających, jak i pośpiesznymi zakupami w świątecznym tłumie wypełniającym „Swan Center”. Autobus do Ballymoreen odjeżdżał z centrum o wpół do ósmej, co oznaczało, że ma około piętnastu minut na spakowanie się.

- Phoebe! - zawołała, zatraskując za sobą drzwi. Cisza. Albo już wyjechała, albo siedzi gdzieś w pubie ze swoim waluciarzem. Szczęściara...

Wpadła do sypialni i stanęła oko w oko z totalnym bajzlem. Nie prała już co najmniej tydzień i podłogę zalegały, niczym pobojowisko, ciśnięte gdzie popadło brudne ciuchy. Cara westchnęła i ruszyła wokół pokoju, podnosząc kolejne sztuki i sprawdzając, która jeszcze jako tako nadaje się do włożenia. Te, które przeszły test z wynikiem pozytywnym, upchnęła do starego plecaka, po czym uzupełniła bagaż o parę rzeczy czystych, czyli nie noszonych od chwili zakupu. Na wierzch wrzuciła torbę z prezentami, już zapakowanymi, i zamknęła plecak. Zmieściła się w dziesięciu minutach. Jest jeszcze czas na szybki prysznic.

Na widok własnej twarzy w łazienkowym lustrze o mało nie odwróciła ze wstrętem oczu. Włosy przyklepione do czaszki, szara ze zmęczenia i przepicia cera... A jakby tego było mało, pośrodku czoła widniał nowy przepiękny pryszcz.

Umyła się, starając się nie zachlapać wiszących na sznurku rajstop Phoebe i jej nowego różowego biustonosza ozdobionego angielskim haftem. Mimo wszystko poszła chyba na drinka ze swoim facetem - pomyślała Cara, uśmiechając się. Gdyby wyjechała, na pewno zabrałaby ze sobą te fatałaszkę.

Wskoczyła z powrotem w bojówki, wciągnęła czysty podkoszulek, błyskawicznie przeczesła włosy i spryskała się dezodorantem Phoebe, jako że jej własny spoczywał już na dnie plecaka. No, to chyba wszystko. Nie był to strój wyjściowy, ale co tam... Evie na pewno dostanie ataku na jej widok, ale to jej problem. Cara wrzuciła bagaż na plecy, gotowa do wyjścia.

Siostrzyczka bez wątpienia będzie wzorcowo odstawiona: lśniaca fryzura, lśniące pantofelki... I lśniaca aureola wokół głowy.

Z ulgą pomyślała, że przynajmniej ojciec nie przywiązuje wagi do jej wyglądu. Cieszy się, że ją widzi, bez względu na to, co ma na sobie. A biedna Evie nie wie, co ją czeka... Wkrótce się jednak dowie. Rosie bynajmniej nie jest fanką klasycznej elegancji.

Cara podeszła do drzwi i dopiero w tym momencie dostrzegła na serwetce jakieś koperty. Podniosła je. Rachunek za prąd... I kartka z życzeniami od Evie. Widniały na niej uśmiechnięte misie. Cara także się uśmiechnęła. Ta Evie... To było jedno z jej dziwactw: zawsze przysyłała jej kartkę na święta, choć i tak się potem widziały.

***Wesołych Świąt, dziewczyny. Do zobaczenia na Wigilii, Cara. Phoebe, mamy nadzieję, że wpadniesz do nas na Nowy Rok?***

***Całujemy - Evie i Rosie.***

Cara położyła kartkę na kuchennym blacie wraz z krótką notatką dla Phoebe, którą szybko nabazgrała na kawałku kartki. Biedna Evie. Chce jak najlepiej. Postanowiła, że jak się zobaczą spróbuje z nią o tym wszystkim spokojnie i po ludzku pogadać. Nie można się bez przerwy kłócić z siostrą, inaczej dzieląca je przepaść będzie się coraz bardziej pogłębiać. Wyjaśni jej,



że rozumie i docenia jej dobre chęci, ale nie jest już małym, osieroconym przez matkę dzieckiem. Jest dorosła.

Poczuła się nieco lepiej. Zatrasnęła drzwi, wybiegając myślą ku świątecznym dniom, jakie ją czekały. Salon z kominkiem, płonące z trzaskiem kłody, psy, Jessie i Gooch, rozciągnięte na czerwonym dywaniku tak blisko, jak tylko się da bez poparzenia... Tato, uśmiechnięty, przygotowuje własnej receptury jajecznicę z ziołami, Rosie sieje spustoszenie wśród miejscowych młodzieńców, celowo biegając na okrągło do sklepu, Evie robi zamieszanie wokół indyka, puddingu i czego tam jeszcze...

Nie ma to jak w domu. Tak, to będą dobre święta.

## 4

Późnym popołudniem Evie zaparkowała obok małego domku w Ballymoreen.

- Wreszcie. Dzięki Bogu - jęknęła Rosie. Otworzyła drzwi samochodu i z ulgą rozprostowała swoje długie nogi.

Masując kark, zeszywniały po długiej jeździe, Evie patrzyła przez zaporowaną szybę na ojcowski dom. Jak niemal cała zabudowa miasteczka, był śliczny jak z pocztówki: kamienną fasadę o dwu łukowato zakończonych, przedzielonych kolumnką oknach, położonych symetrycznie po obu stronach drzwi, gęsto porastało wiecznie zielone pnące. Dziwne, ale nigdzie nie paliło się światło. Ani wewnątrz, ani na ganku... A przecież z minuty na minutę ściemniało się coraz bardziej.

Dom był jak wymarły... Evie szła ścieżką za Rosie, czując na plecach dreszcz niepokoju. Co to za dziwna cisza? Zazwyczaj Gooch i Jessie podnosiły radosny jazgot już na pierwszy dźwięk ich kroków. Dziś nie było słychać ich szczekania, nawet kiedy Evie przekręciła klucz w zamku. Miała naturalnie własny.

- Coś się musiało stać - powiedziała, nie mając odwagi pchnąć drzwi, choć były już otwarte. Stała otulona ciasno połamami płaszcza, drżąc z zimna i niepokoju. - Może miał jakiś wypadek? Inaczej byłby w domu... - Urwała. Ojciec wiedział, że mają przyjechać, a przecież zawsze czekał, żeby je powitać!

- Nie wygłupiaj się, mamo - Rosie odepchnęła ją i zdecydowanym ruchem otworzyła drzwi. - Psy rozszarpałyby każdego, kto byłby na tyle głupi, żeby próbować się włamać. Poza tym, gdyby coś się stało z dziadziusem, już byśmy tu mieli tłum sąsiadów, czekających, żeby nam wszystko z detalami opowiedzieć. Sama wiesz, jak to jest w tej pipidowie - dodała sarkastycznie. - Wystarczy, że puścisz baka, a już o tym piszą w gazecie.

Weszły do ciemnego wnętrza. Evie już widziała oczyma wyobraźni porzucane do góry nogami meble, ślady walki... Kiedy jednak Rosie przekreśliła kontakt, wszystko w salonie było na miejscu - od splewiastej sofy pokrytej jak zwykle psią sierścią do stolika, na którym ojciec zwykł trzymać swoje przybory do fajki. Ceglany kominek osłaniała lśniąca miedziana krata, a na stoliku do kart w rogu pokoju stały rządkiem splewiaste fotografie w srebrnych ramkach, przedstawiające rodziców Evie w dniu ślubu, czterdzieści lat temu.

- No widzisz? - Rosie wyminęła matkę, wróciła do samochodu i zaczęła wносить bagaże. - Wszystko w porządku. A ty od razu wpadasz w panikę.

Evie dołączyła do niej. Wszystko to prawda, niemniej nadal nie wiadomo, co się dzieje z ojcem. To zupełnie do niego niepodobne - wyjść z domu, kiedy się ich spodziewa! Fakt, było jeszcze dość wcześnie, ale... Może poszedł na Wigilię gdzie indziej? Ale przecież uprzedziłyby je o tym! Jeszcze niedawno mówił przez telefon, że nie może się doczekać ich przyjazdu...

Właśnie zdążyły opróżnić bagażnik, kiedy lunął deszcz. Zabębniło gwałtownie w szyby. Płyty chodnikowe wiodące od furki w mgnieniu oka zaczęły spływać strumieniami wody.

- Tato przemoknie do nitki, jeśli akurat poszedł z psami na spacer - Evie rozsunęła nieco ciemnozielone zasłony i wpatrywała się w ciemność za oknem.

Rosie podniosła na nią wzrok od kominka. Rozpalała ogień. Liczyła, że matka pójdzie do kuchni zrobić herbatę, a wtedy będzie miała czas na krótkiego dymka. Przy zapalonym kominku na pewno nic nie będzie czuć... Cztery dni bez papierosa? Chyba by zwariowała.

- Mamo - powiedziała zdesperowana. - On jest dorosły. Przez cały czas, kiedy nas tutaj nie ma, świetnie sobie daje radę.

- To prawda - westchnęła Evie. Ojciec rzeczywiście doskonale radził sobie bez niej. Łatwo było jednak nie podejmować się, kiedy wiadomo było, że jest na miejscu; wobec jego niewytłumaczalnego zniknięcia sprawa zaczynała, niestety, wyglądać zupełnie inaczej. Przetarła oczy. Przestań się zamartwiać - powiedziała sobie ze złością. Po paru godzinach prowadzenia była zmęczona, głodna i nieco rozbita. Na samą myśl o wszystkich przysmakach, jakie przywiozła, poczuła, jak cieknie jej ślinka. No, ale przecież twardo postanowiła, że nie będzie sobie zanadto pozwalać w czasie świąt. Jedna wpadka, i cały jej plan antycellulitisowy diabli wezmą.

A jednak te paszteciki są doprawdy niezwykle apetyczne. Chrupiąca skórka, aromatyczne mięsko wewnątrz... Czy jest sens mordować się dla paru kilogramów? Simonowi i tak wszystko jedno. Wczoraj wieczorem nie zwróciłyby uwagi nawet gdyby ją w ogóle podmieniono.

W czasie jazdy jej myśli nieustannie krążyły wokół wczorajszego przyjęcia. Jak mógł zostawić ją na całe dwie godziny z tą nieszczęsną Hildą Maguire? Tak czekała na ten wieczór, tyle się po nim spodziewała... Takie imprezy nie zdarzają się przecież codziennie. Jej życie towarzyskie nie jest

oszołamiające- bogate. Przeważnie siedzi w domu... Ajeszcze te pieniądze, które bez potrzeby wydała na fryzjera!

Im dłużej rozmyślała nad tą sprawą, tym bardziej rosło jej przygnębienie. Odesłać narzeczoną samą do domu, bo rzekomo któryś z szefów mógłby się poczuć dotknięty jego zbyt wczesnym wyjściem? Nie, on jej nie kocha. Gdyby kochał, nic nie byłoby dla niego ważniejsze od bycia z nią. Ajeszcze w święta!

Wspomniała, jak niedawno zastrzelił ją wiadomością że nie pojedzie z nią do Ballymoreen. Chodzili po sklepach w poszukiwaniu czegoś w cenie poniżej czterdziestu funtów - Simon uważał, że takie właśnie prezenty powinni sobie kupić, gdyż oszczędzają na wesele.

- W przyszłym roku już na pewno będziemy wspólnie obchodzić święta, Evie, ale tym razem nie mogę zostawić matki. Co roku jeździmy z nią na Wigilię do wujka Harry'ego. To tradycja. Czułaby się beze mnie osamotniona wśród wszystkich tych krewnych.

Widząc jej rozczarowanie, zaproponował, by i ona pojechała z nimi do wujka Harry'ego. Czuła jednak, że to nie całkiem szczere zaproszenie. Swoją drogą zostawić ojca i Cary samych też nie miała chęci... Odmówiła.

Gdyby wczorajsza impreza była udana, łatwiej przyszedłoby jej przetrwać święta bez Simona. Ale to było kompletne fiasko. Może by wobec tego zjeść jeden pasztecik? Sama też czuła się jak pasztet. Dobrze, dobrze, tylko jak będzie wkrótce wyglądał twój zadek, jeśli zaczniesz opychać się bez opamiętania? - zasygnalizowała ostrzegawczo świadomość.

- Idę zrobić herbatę z cytryną - zdecydowała Evie. - Tobie też?

Rosie, smukła jak trzcina, o nieskazitelnej brzoskwiniowej cerze, wzniosła oczy do nieba.

- Z cytryną pijam wyłącznie wódkę. I czasem Red Bulla.

- Rosie! - Evie zatrzymała się w pół drogi. - Mówiłam ci przecież, że u dziadka nie może być mowy o czymś mocniejszym. Chyba by oszalał, jakby cię zobaczył z kieliszkiem... Wino do kolacji i to wszystko. Wiem, że popijacie ze znajomymi piwo, trudno tego nie wyczuć. Ale tu nie Dublin. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę? Jeśli będziesz pić, wezmą cię na języki. Nie życzę sobie tego. - I pomaszzerowała do kuchni.

Rosie, wściekła, walnęła pięścią w kratę kominka. A ona sądziła, że bez problemu uda jej się zapalić... Co tę matkę ugryzło? Cały dzień się czegoś czepia. To na pewno ten idiota Simon... Rosie nie miała pojęcia, co właściwie matka w nim widzi. Całe szczęście, że nie będzie go z nimi na święta. Patrzeć na tego faceta i jego pedantyczny sposób bycia przez całe trzy dni to nie na jej nerwy.

Mimo wszystko zapali. Jeśli matce się nie spodoba, trudno. Bądź co bądź nie jest dzieckiem. Z głową zwróconą w stronę kuchni, nasłuchując, wydobyła z kieszeni paczkę rothmansów. Otworzywszy ukradkiem okno, usiadła z zapalonym papierosem na parapecie i zaczęła wydmuchiwać dym na zewnątrz.

Jak znała życie, z pewnością jakiś babsztyl wisi już na telefonie i informuje wszystkich mieszkańców tej dziury, że Rosie Mitchell pali. Średniowiecze! A niechby tak zobaczyli, że pije budweisera. Pewnie spaliliby ją na stosie jako wiedźmę.

Evie wypła w ciągu pół godziny dwie filiżanki herbaty z cytryną, co nie wypełniło, niestety, jej żołądka tak, jak z pewnością zrobiłoby to kilka pasztecików. Czuła wyrzuty sumienia. Niepotrzebnie naskoczyła na Rosie. To przecież nie jej wina, że narzeczony matki woli spędzić święta w gronie swoich wiekowych wujów i ciotek, grając z nimi w scrabble... Dosyć zrządzenia. Nie wolno wyładowywać złości na dziecku.

Pochowała przywiezione zapasy do lodówki. Przy okazji ze zdumieniem odkryła wewnątrz mnóstwo smakowicie wyglądających przekąsek, gotowych do podania na stół. Wcześniej nigdy się to nie zdarzało! Jakies efektowne wypieki, płatki wędzonego łososia, elegancko ułożone na półmiskach z chińskiej porcelany o złożonych brzeźkach... Nie znała tej zastawy. Wszystko wyglądało znacznie lepiej niż jej paszteciki, minipizze i tosty z krewetkami, które kupiła gotowe, wydając sporą część swojego skromnego świątecznego budżetu. Nigdy nie przypuszczała, że ojciec potrafi robić takie rzeczy... Ktoś mu chyba musiał pomagać?

Kiedy wniosła bagaże na górę, zdumiała się ponownie: w pokoju, który zazwyczaj dzieliły z Rosie, stał na nocnej szafce niewielki biało-niebieski wazon z chińskiej porcelany, wypełniony kwitnącym zimowym jaśminem.

Jak to miło ze strony ojca! Zwłaszcza że nigdy zanadto nie interesował się kwiatami. Nie były również tematem jego malarstwa: od martwych natur z kwiatami zdecydowanie wolał pejzaże. Evie nachyliła się nad bukietem i z lubością wciągnęła subtelną woń jaśminu. W tym momencie na dole dało się słyszeć szczekanie psów, odgłos zatrzaskiwania wejściowych drzwi i radosny okrzyk Rosie:

- Dziadek!

Rzuciła się w dół, przeskakując po dwa stopnie naraz.

- Tato, tak się o ciebie martwiłam - wydyszała z ulgą. Słowa zamarły jej jednak na ustach, kiedy wpadłszy do kuchni stwierdziła, że ojciec nie jest sam.

Rosie, w kucki na podłodze, głaskała Jessie, urodziwą czarną spanielkę. Gooch, duży, podpalany pies myśliwski, chęptał wodę z miski, rozchlapując japo całej podłodze; jego kudłaty ogon rytmicznie walił o nogę stołu, rozsiewając wokół kłaki sierści. Ojciec zdejmował ciemnozielone gumowe buty, przy zlewie zaś stała jakaś obca kobieta i napełniała czajnik wodą. Najwyraźniej czuła się jak u siebie w domu.

Zaskoczona Evie wlepiła w nią oczy. Wysoka, o miodowej barwy włosach zwiniętych w kok, wyglądała elegancko nawet w grubym swetrze i gruntownie przemoczonych od kolan w dół ciemnych spodniach. Przystojna twarz o regularnych rysach, pokryta leciutką opalenizną, jasny wzrok... I zaskakująco

mało zmarszczek, choć Evie była przekonana, że dama musi mieć pod sześćdziesiątkę.

Bystre szare oczy spojrzały na nią z uwagą. Evie odniosła wrażenie, że ona także jest oceniana. Momentalnie poczuła się gruba i pękata w swoich opiętych dżinsach. Nosiła je, bo były sprane i dzięki temu wygodne, ale z pewnością nie dodawały wdzięku jej gruszkowatej sylwetce i krótkim jak u kacuszki nogom.

- Evie! Witaj. Wybacz, że nie czekaliśmy na was w domu, ale musiałem wyprowadzić psy. Inaczej by zwariowały.

Ojciec chwycił ją w niedźwiedzi uścisk. Psy natychmiast podniosły radosny jazgot, skacząc jak szalone i usiłując dosięgnąć językiem jej twarzy. Hałas był tak straszliwy, że Evie już miała na nie wrzasnąć, by przestały, gdy rozległ się jasny, zdecydowany głos nieznanym:

- Gooch, Jessie! Siad!

Psy, które dotąd nie słuchały absolutnie nikogo prócz ojca, momentalnie ucichły i usiadły z wywieszonymi jęzorami, wpatrując się w obcą damę z takim uwielbieniem, że Evie z wrażenia zaparło dech.

Rosie roześmiała się, równie oczarowana.

- Jak udało się wam tego dokonać?

Andrew Fraser, wciąż obejmując ramieniem Evie, spojrział na kobietę z uśmiechem.

- Vida ma rękę do psów. Chodzą za nią jak na smyczy.

Vida? Któż to u diabła jest ta Vida? Jakby odpowiadając na nie wypowiedziane pytanie Evie, ojciec wziął kobietę za rękę.

- Evie, Rosie. Chciałbym wam przedstawić Vide Andersen, moją serdeczną przyjaciółkę. - Jego oczy rozbłyły, kiedy na nią patrzył. Takim spojrzeniem nie obdarza się przyjaciółki, nawet najserdeczniejszej. Raczej kochankę... Tak. Nie było wątpliwości. Tym właśnie jest dla ojca Vida - zrozumią Evie w nagłym błysku olśnienia.

- Bardzo mi miło - powiedziała Vida niskim, kulturalnym głosem. - Od dawna marzyłam, żeby was poznać.

Podeszła, roztaczając subtelną woń drogich perfum i pocałowała w policzek Evie, a następnie Rosie. Dziewczyna wpatrywała się z nią z nabożnym podziwem. Długie rzęsy, leciutki, ledwie zauważalny makijaż... Pod grubym swetrem można było dostrzec sznureczek lśniących pereł.

- Myślałam, że będę się lepiej prezentować, kiedy się wreszcie spotkam - Vida ze śmiechem wskazała na swoje ubranie. - Ten stary sweter Andrew to nie strój, w którym człowiek chciałby być przedstawiony swoim przyzłym - zawahała się na mgnienie -...przyjaciółkom.

Tak, to przecież sweter ojca... Evie odczuła to jako zniewagę. Sama mu go kupiła. Którejś zimy, na wyprzedaży. Z dziesięcioprocentową obniżką.

- My też się cieszymy, że cię poznałyśmy. Prawda, mamu? - pospieszyła Rosie, szturchając matkę ukradkiem w żebro.

- Naturalnie - Evie wróciła do siebie. - Napijemy się herbaty? - poszukała wzrokiem czajniczka, który zawsze stał obok puszek z herbatą, teraz jednak w tajemniczy sposób zniknął. - Przyjechałaś do Ballymoreen na parę dni, czy przeprowadziłaś się na stałe?

- Mieszkam tu już prawie rok - odparła Vida swoim niskim głosem, który Evie z miejsca się nie podobał.

- W jednym z tych domków koło młyna - wtrącił Andrew, podając puszkę Vidzie.

- Jest trochę zdewastowany, ale i tak strasznie mi się podoba. Teraz jednak remontuję inny. Za parę miesięcy powinien być gotowy. - Wyjęła skądś czajniczek i szybko przyrządziła herbatę, z wprawą osoby, która robiła to w tej kuchni wiele razy przedtem.

Evie ze wszystkich sił starała się utrzymać uśmiech na twarzy. Stała, głaszcząc mechanicznie Jessie, i patrzyła, jak ojciec i jego dama kręcą się po kuchni w sposób zdradzający, że bycie razem to dla nich codzienność. Czują się jak intruz.

Pozostali - Rosie, ojciec i Vida - najwyraźniej byli swobodni i odprężeni. No, ale Rosie miała to szczęśliwe usposobienie, że wszędzie i w każdych okolicznościach czuła się jak u siebie w domu. Evie była pozbawiona tego daru.

- Gdzie dokładnie jest twój nowy dom? - spytała ze sztucznym ożywieniem.

Ojciec i Vida znów wymienili znaczące spojrzenia.

- Przy Bracken Road. Na skrzyżowaniu.

- O!

Znała ten dom. Był to stary dwór, przypominający posiadłość rodziców Olivii.

- Jest dosyć duży, jak na potrzeby jednej osoby - zauważyła. - Zamieszkaż w nim z rodziną? Z mężem? - I natychmiast zdała sobie sprawę, jak głupio to zabrzmiało. „Jesteś mężatką, czy szukasz męża i właśnie dlatego kręcisz się koło mojego ojca?” - taki zdawał się być ukryty sens pytania. A przecież wcale nie o to jej chodziło!

Nawet jeśli Vida istotnie tak to odebrała, zachowała się jakby nigdy nic.

- Nie, mój mąż nie żyje. Zmarł dawno temu - powiedziała, nalewając herbatę do filiżanek, które ojciec rozstawił na sosnowym stole. - Jeszcze w Ameryce.

Znowu zapadła brzemienne w znaczenie cisza.

- Chodźmy może z herbatą do salonu - pośpieszył ojciec.

Usiedli wokół rozpalonego przez Rosie kominka i zaczęli rozmowę o pogodzie, o podróży z Dublina i o tym, kiedy zaczną się schodzić goście.

- Zaprosiłem ich na między wpół do siódmej a siódmą. Mamy godzinę, żeby się przygotować - Andrew zerknął na zegarek. - Lepiej jest zaczynać trochę wcześniej, wtedy goście nie zasiadają się do późna w nocy.

- I nie wstaje się rano chorym z niewyspania - dodała Vida, spoglądając na niego z ciepłym uśmiechem.

Ładna jest - uświadomiła sobie Evie z niechęcią. Nawet teraz była atrakcyjną kobietą, a co dopiero w młodości! Musiała kłaść trupem wszystko co na drodze.

- Poznaaliśmy się na cocktail-party - wyjaśniła Vida.

Rosie wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- Nie wiedziałam, dziadku, że bywasz na takich imprezach.

Dziadek również się uśmiechnął.

- Nie bywałem, dopóki nie poznałem tej oto damy. Nauczyła mnie różnych rzeczy.

Oboje się roześmieli.

- Nie tylko bywania na eleganckich przyjęciach - mruknęła Vida. Uwaga ta najwyraźniej nie była przeznaczona dla uszu osób postronnych, niemniej Evie, która w Wendworth Alarms wyłapywała szeptane komentarze z odległości czterech biur, usłyszała. Poczwała, że ma dość tej gry pozorów.

- To znaczy, że chodzicie ze sobą? - spytała wprost.

Wyraz twarzy ojca powiedział jej wszystko.

- Mało że chodzimy, córuś - z trudem oderwał wzrok od Vidy i przeniósł spojrzenie na Evie. - Powinieneś być zawiadomić was wcześniej, ale wszystko stało się tak nagle... No i wolałem powiedzieć wam osobiście. Vida i ja pobieramy się. Zamierzałem poczekać z tą wiadomością do przyjazdu Cary, ale skoro pytasz...

Evie wlepiła w niego nic nie rozumiejące spojrzenie. Pobierają się? Jak to? A te fotografie na stoliku do kart? Te wyblakłe zdjęcia rodziców w ślubnych strojach - czerwone, uszminowane usta matki ostro kontrastują z białą wjakajest spowita... Jej kochana, nieżyjąca mama, której brak odczuwa przez całe życie, którą ojciec opłakiwał tak długo! A teraz co - przestało to dla niego cokolwiek znaczyć? Jak w ogóle mógł spojrzeć na inną kobietę? A jeszcze na taką jak Vida! Z tym jedwabistym głosem i wyrachowanym spojrzeniem!

- Pobieracie się? - zapytała tępo.

- Nie cieszysz się? - ton ojca brzmiał obronnie.

- Nie cieszę się? - powtórzyła Evie jak papuga. - Ależ tak, cieszę się...

Tylko jestem strasznie zaskoczona. - Zamilkła i wpatrywała się w niego jak zahinoryzowana. Nie mogła przecież powiedzieć na głos tego, co naprawdę czuła. „Jak mogłeś mi to zrobić?” - tłukło się jej po głowie.

- Rozumiem - uśmiechnął się ojciec. Był to uśmiech nieco figlarny, z gątku tych, jakie pojawiały się na jego twarzy, kiedy na przykład porządkował półkę z gazetami i natknął się na egzemplarz sprzed pół roku, upchnięty gdzieś wśród broszur z krzyżówkami.

Miała chęć odwrócić wzrok. Czuła się zdradzona, odepchnięta.

- Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym wcześniej? - wykrztusiła przez ściśnięte gardło.

Ojciec przetarł ze znużeniem oczy i odchylił się na oparcie krzesła. Wyglądało na to, że zamierza coś powiedzieć, ale milczał. Evie wpatrywała się w niego wyczekująco, drapiąc się nerwowo w rękę. Nawet nie zdawała sobie sprawy, że jest bliska zderzenia z skórą. Milczenie przedłużało się. To przez tę cholerną babę! Tak go wytresowała, że boi się mówić przy niej.

Poderwała się z miejsca.

- Idę się przebrać. Zostało niewiele czasu. - I bez dodatkowych wyjaśnień pobiegła na górę.

Usiadła na łóżku i wpatrywała się tępo w przestrzeń. Jej uniwersalna wyjściowa suknia z czarnego aksamitu wisiała w szafie gotowa do włożenia, wzięła nawet lokówkę do włosów, na wypadek, gdyby miała ochotę odtworzyć efektowną fryzurę z poprzedniego wieczoru. Teraz jednak nie chciało się jej ani ubierać, ani czesać. W ogóle nic jej się nie chciało. Była jak ogłuszona. Ojciec się żeni. Po dwudziestu latach opłakiwania zmarłej żony, ukochanej mamy Evie, zamierza wpuścić do domu - i do łóżka - inną kobietę. Jak to znieść?

I to jeszcze tę kobietę! Myśli, że jest Bóg wie kim... Jak się szarogęsi w kuchni mamy! I pewnie w jej łóżku.

- Jak tam, mamó? Gotowa? - Rosie zajrzała przez uchylone drzwi.

- Tak... prawie. - Poderwała się i zaczęła mechanicznie rozpinać bluzkę i ściągać dzinsy. Wyjęła z szuflady rajstopy i czarny biustonosz, włożyła je, chwyciła kosmetyczkę i poszła do łazienki.

Każda powierzchnia wymagała tu doczyszczenia. Stary dom łatwo zarastał brudem, ale ojciec nigdy się tym zaudto nie przejmował... No, a ukochana Vida najwyraźniej obawiała się uszkodzić sobie te perfekcyjnie wypielęgnowane pazurki. Niech ją szlag!

Wpatrzyła się we własną twarz, odbitą w starym lustrze. Była tak podobna do matki... Obie miały to samo szczere, otwarte spojrzenie, okrągłe policzki z dołeczkami, brązowe tęczówki i małe zadarte noski.

Tamta kobieta w niczym nie przypomina matki. Jest szczupła, a mama składała się z samych miękkich, łagodnych krągłości. Jest chłodna i samowystarczalna, podczas gdy mama wręcz promieniowała przyjaznym, gościnnym ciepłem.

Evie przysiadła na brzegu wanny i opuściła głowę, zrezygnowana. Wtem zamarła: na wiodących na piętro schodach rozległ się podwójny rytm kroków.

Weszli do pokoju ojca. Usłyszała odgłos zamykania drzwi, po czym przez cienkie ściany dał się słyszeć głos Vidy:

- Powinieneś być ją uprzedzić, Andrew. Gdyby wiedziała o mnie wcześniej, miałyby czas, żeby oswoić się z tą myślą. A tak wiadomość spadła na nią jak grom z jasnego nieba. Najwyraźniej jest zszokowana, biedactwo.



Ojciec odpowiedział coś zniżonym głosem, tak że nie dało się rozróżnić słów. Znał przecież swój dom i wiedział, że cokolwiek mówi się w sypialni, doskonale słycać w łazience.

Przed laty, kiedy po sześciu miesiącach walki z rakiem zmarła Alice Fraser, Evie nieraz słuchała, siedząc w tym miejscu, dochodzącego zza ściany samotnego szlochu ojca. Nigdy nie płakał w obecności dzieci. Chyba nie chciał, by widziały, jak jest załamany. Trwało to całe tygodnie, aż wreszcie Evie zdobyła się na odwagę i powiedziała mu, by płakał razem z nimi, a nie sam.

Miała wówczas siedemnaście lat. Ojciec zawsze powtarzał, że jest jego opoką. Tylko dzięki niej życie rodzinne toczyło się nadal.

Kilka lat później role się odwróciły. Kiedy Tony'ego zabił jadący z niedozwoloną prędkością samochód, to ojciec był dla niej kołem ratunkowym. Chodzili razem na długie spacery do lasu, a babka Goocha, Sadie, towarzyszyła im, węsząc swoim złocistym nosem w każdym krzaku i każdej kępie trawy. Te najgorsze kilka miesięcy, kiedy uczyła się żyć w roli wdowy, zanim jeszcze zdołała na dobre wejść w rolę żony, przetrwała dzięki ojcu.

A teraz ktoś zamierza zniszczyć tę ich wspólnotę. Evie nie wiedziała, co rani ją bardziej - to, że ojciec jej nie uprzedził, czy to, że ktoś z zewnątrz wdziera się w utrwaloną przez lata intymność ich czworga.

Olivia pogłaskała leciutko buzię Sashy, otuliła ją starannie kołdrą i przykryła dodatkowo wełnianym dywanikiem, który znalazła w kuchennej szafce. W pokoju wciąż było zimno, pomimo włączonego wielkiego grzejnika olejowego, ale dziecko zasypiało bezpiecznie w swoim przytulnym kokonie. Olivia uparła się, by mała nie zdejmowała na noc ubrania ani skarpetek z Misiem Rupertem. Nie zmarźnie.

Po pełnym wrażeń dniu Sasha momentalnie zapadła w sen. Olivia najchętniej zrobiłaby to samo - wstała przecież o świcie, by zdążyć z pieczeniem ciast... Musnęła wargami jedwabisty policzek i wyszła, zostawiając uchylone drzwi, tak by wpadało przez nie światło z korytarza.

Niechętnie zostawiała córeczkę samą w tym wielkim, ciemnym pokoju. Sasha przywykła do swoich żółtych tapet w motyle i małej lampki na szafce, zapalanej na wypadek, gdyby się w nocy obudziła; tutaj ściany były w róże, wielkie jak głowy czerwonej kapusty, z sufitu zwiisał ohydny, przypominający zakurzoną ośmiornicę żyrandol, a po kątach stało pełno ciężkich, ponurych mebli, wręcz stworzonych do tego, by kryły się za nimi potwory. Klasyczny dziecięcy koszmar.

- Będę miała oko na małą - rzuciła niedbałym tonem matka. Nalała sobie kolejną porcję ginu z tonikiem, co najmniej trzecią od przyjazdu córki i zięcia. Olivia już dawno dała sobie spokój z kontrolowaniem ilości alkoholu, jaki wypijało się w Lodge.

- Trzeba by mieć doktorat z fizyki kwantowej, żeby policzyć wszystkie butelki, jakie przechodzą przez ich ręce - zwierzała się nieraz przyjaciółce Evie Fraser. Żadna z nich nie miała, rzecz jasna, zbyt dokładnego wyobrażenia, na czym polega fizyka kwantowa, ale bez przerwy znajdowała poupychane po szarkach opróżnione w trzech czwartych butelki brandy i puste butelki po winie na samym dnie kosza na śmieci. Dlaczego matka - bo to zawsze ona je chowała - troszczyła się o zachowanie pozorów, pozostawało dla Olivii tajemnicą. Przecież od dziecka było dla niej jasne, że rodzice piją alkohol jak wodę.

- Nie będziemy długo siedzieć u Fraserów - powiedziała stanowczo. Nie miała za grosz zaufania do matki w roli piastunki. - Najwyżej godzinę.

- Nie obawiaj się, Livvy ~ mruknął ojciec z głębi fotela, w którym przetrzucał stronicę gazety z programem telewizyjnym. - Małej będzie tu jak u Pana Boga za piecem. Ale właściwie - spojrzął na nią znad okularów - nie wiem, po co idziecie na przyjęcie do Fräsera. To stary nudziarz. I jak zwykle będzie się kleił do tej swojej okropnej amerykańskiej baby.

Olivia wytrzeszczyła oczy.

- Jakiej amerykańskiej baby? - zainteresował się Stephen, po raz pierwszy od chwili przyjazdu. Dotąd ślęczał nad papierami, które przywiózł ze sobą w neserku. Nie chciał ani herbaty i kanapek od Olivii, ani brandy od teścia. Twierdził, że ma niezwykle pilną robotę.

- Takiej jednej. Kupiła tę starą posiadłość Grange przy Bracken Road - podchwyciła matka z przekąsem. - Myśli, że jest nie wiadomo kim. Że nie ma mężczyzny na świecie, który by się oparł jej urokowi.

Olivia z miejsca wiedziała, co to znaczy: okropna Amerykanka musi być bardzo atrakcyjną kobietą. Sybil de Vere, dawna piękność, której uroda bezpowrotnie przeminęła, odkąd zaczęła pijać mocne trunki, nie cierpiała kobiet urodziwych. Olivia przekonała się o tym na własnej skórze, gdy z przysadziatego brzydkiego kaczątka zaczęła w wieku lat trzynastu zmieniać się w smukłego łabędzia, a matce przybywało coraz więcej żyłaków, które oplatały jej chude ciało niczym powrozy. Wszystkie przyjaciółki matki, o ile w ogóle istniały osoby, które można było tak nazwać, miały jedną cechę wspólną: były uderzająco brzydkie.

- To znaczy, że stary Andrew znalazł sobie wreszcie kobietę? - Stephen był wyraźnie ożywiony. - A Evie i Cara wiedzą o tym? - zwrócił się do Olivii.

Powoli potrząsnęła głową. Co to będzie, jak Evie się dowie? Przyjaciółka uwielbiała ojca i idealizowała zmarłą matkę. Nikt, dosłownie nikt nie był dla niej dostatecznie dobry, by wypełnić puste miejsce po Alice Fraser.

No, ale Andrew Fraser najwyraźniej odczuwał to tak samo. Inaczej już dawno byłby sobie znalazł partnerkę... Rodzice jak zwykle robią z igły widły, prawdopodobnie dlatego, że Andrew przestał ich zapraszać na gwiazdkowe przyjęcia, odkąd trzy razy z rzędu zamienili je w awanturę. To niemożliwe, by po tylu latach wprowadził do domu inną kobietę.

Zaledwie przekroczyła jednak próg domu Fraserów i weszła do świątecznie przystrojonego hallu, wiedziała, że się pomyliła. Po bliskiej zera temperaturze, jaka panowała w pozbawionym ogrzewania Lodge, wewnątrz małego domku mogłoby się wydawać rozżarzone niczym piec, gdyby nie to, że atmosfera była tu wręcz lodowata.

Byli jednymi z ostatnich gości. Ze swojego miejsca w hallu Olivia dostrzegła w głębi, pod łukiem, stojącą obok ojca Evie, z nietypowym dla niej kamiennym wyrazem ślicznej buzi. U boku Andrew Frasera stała elegancka kobieta w różowej sukni z kaszmiru. Jej uśmiech oraz sposób, w jaki przytrzymała gładzącą jej ramię dłoń towarzysza, bezbłędnie świadczyły, że to „ta okropna Amerykanka”.

- Czy mi się zdaje, czy też klimat tej imprezy jest niezbyt szampański? - mruknął Stephen. Rosie, z porozumiewawczym uśmiechem na twarzy, wzięta od nich płaszcze.

- Witaj w domu żałoby, ciociu Olivio - powiedziała półgłosem przez zaciśnięte zęby. - Z drinków mamy dziś koktajl z cykuty, wywar z wilczego łyka i morską bryzę z dodatkiem cyjanku. Co wolisz? Wszystkie własnoręcznie przyrządziła moja mama.

- To przyjaciółka dziadka, prawda? - Olivia spojrzała na damę w wytwornym rózku.

Rosie wzniosła oczy do nieba.

- Zaprawdę, wieści rozchodzą się tu lotem błyskawicy. Nie rozumiem, dlaczego media mają swoje centrale w Londynie czy Nowym Jorku. Powinny je lokować w Ballymoreen - wszyscy wiedzą tu o wszystkim w momencie, gdy coś się wydarzy. Tak, twoje źródła były dobrze poinformowane. - Spojrzała za chrestną matkę z udaną żalnością. - Zaprezentowanie przez dziadka rodzinie swojej narzeczonej wywołało prawdziwe trzęsienie ziemi. 8,5 w skali Richtera, według mojej oceny.

- Narzeczonej? - Olivie zatkało. - Pobierają się? Nie miałam pojęcia, że w ogóle z kimś się spotyka...

- Idę po coś do jedzenia - przerwał jej Stephen i skierował się do kuchni. Olivia stłumiła odruch zniecierpliwienia. W domu nie chciał nic przegryźć, choć go namawiała, a teraz z miejsca rzuca się na poczęstunek, jakby od miesięcy głodował! Wciąż karze ją za wcześniejsze, to jasne.

- A myślisz, że my miałyśmy? - Rosie wyraźnie się odprężyła, kiedy zostały same. W obecności Stephena zawsze była lekko spięta, choć Olivia nie miała pojęcia dlaczego. Lubił ją, uważał, że jest niegłupia i ma przed sobą wielką przyszłość. - My też usłyszaliśmy dziś o wszystkim po raz pierwszy. No cóż, nie da się ukryć, że Vida jest urocza i że dziadek ma fioła na jej punkcie. Jakie to miłe, swoją drogą, że starzy ludzie mogą się tak zakochać...

- Wybacz - rzekła Olivia z udaną obrazą, pociągając chrześniaczkę za lśniący, długi kosmyk - ale on nie jest jeszcze stary. Niech ci się nie wydaje, że z chwilą przekroczenia czterdziestki zapomina się o miłości.

- Żartowałam - uśmiechnęła się Rosie. - Wy, starszankowie, jesteście tacy przewrażliwieni na punkcie swojego wieku. Nawiasem mówiąc, wybranka nazywa się Vida Andersen. Jest szalenie szykowna, mieszka od lat na Manhattanie, a za oknem możemy podziwiać jej prestiżowy wóz marki Lexus. Remontuje ten dom przy skrzyżowaniu. Dziadek wpatruje się w nią jak w obraz, psy ją uwielbiają a...

- ...a mama jej nie cierpi? - dokończyła Olivia.

- Rzekłś. - Rosie zrobiła pauzę. - Chodź, zrobię ci drinka, zanim wejdziesz na arenę w charakterze gladiatora.

W kuchni Stephen w asyście śliniących się psów usiłował przekopać się do tacy z tortillą.

- I tak byście nie zjadły - Rosie klepnęła oba psy. - Jest dla was za ostra. Drinka? - zwróciła się do Stephena.

- Czerwone wino, jeśli można.

- Dwa razy - uzupełniła Olivia.

Rosie napełniła kieliszki winem, po czym, stojąc tyłem do reszty, tak by nikt nie zauważył, nalała sobie czystej wódki i dopełniła szklanek sokiem pomarańczowym.

- Twoi starszankowie nie przyjdą? - zwróciła się do Olivii, wręczwszy każdemu po drinku.

Rosie nie miała nic przeciwko rodzicom Olivii. Można było u nich wypić, zapalić... Zwłaszcza Sybil uważała za fajną, wesołą starszą panią.

- Nie - odparła Olivia. - Pilnują Sashy. - W każdym razie miała nadzieję, że tak jest.

- Mam dla Sashy fantastyczny prezent na Gwiazdkę - przypomniała sobie Rosie. Jej czarne oczy rozbłysły entuzjazmem. - Lalkę z łódeczkiem, które można zmienić w nosidełko.

Właśnie omawiały szczegóły dotyczące lalki, na przykład czy przypadkiem nie płacze całą noc lub nie wymiotuje, gdy do kuchni wszedł Andrew Fraser z Vida u boku.

- Olivia! - objął ją serdecznie. - Nie zauważyłem, jak przyszaś. Jak się miewasz?

- Świetnie. Ale ty - odsunęła się o krok i spojrzała na niego - wyglądasz naprawdę na szczęśliwego.

Była to prawda. Miała wrażenie, że ktoś zapalił wewnątrz niego światło. Rosie miała rację: był zakochany.

- A pani to zapewne Vida - zwróciła się do kobiety.

Z bliska Vida wyglądała nawet lepiej niż z dystansu. Miała uderzająco gładką cerę o ciepłym kolorycie, a łagodny, pastelowy odcień sukni dodatkowo ją rozświetlał. Jedynie leciutkie fałdy na szyi mogły nasuwać przypuszczenie, że przekroczyła pięćdziesiątkę.

-A pani - Olivia - powiedziała z uśmiechem. - Wiele słyszałam o pani. Jest pani dla Andrew jak trzecia córka.

Olivia zarumieniła się. Jak miło to słyszeć.

- Jestem Stephen, mąż Olivii - włączył się Stephen, prezentując najwytworniejszy ze swoich uśmiechów.

Wymienili uściski dłoni.

- Skoro mowa o córkach, to gdzie jest Cara? - rozejrzął się Stephen.

- Przyjedzie ostatnim autobusem - wyjaśnił Andrew. - Biedne dziecko musi pracować do późna. Najpóźniej o dziewiątej powinna tu być. Przynajmniej mam taką nadzieję.

Zaczęto sprawdzać, czy ciasta w piecyku już doszły. Vida sięgnęła do lodówki po dodatkową porcję pokrojonych warzyw. Zaczynało ich brakować do dipów.

Olivia widziała jak na dłoni, dlaczego jej matka i Evie nie mogą strawić Vidy. Była jak żywcem wyjęta z katalogu markowych strojów dla kobiet dojrzałych: uosobienie subtelnej elegancji i dobrego smaku. Suknia z kaszmiru zapewne kosztowała więcej, niż wynosił tygodniowy zarobek Evie w Wentworth Alarms, a perły bez wątpienia były prawdziwe. Matka Olivii też miała takie, dopóki ich nie sprzedała.

Evie prawdopodobnie pogodziła się w swoim czasie z tym, że ojciec spotyka się z koleżanką z grupy - mamusiowatapanią sporej nadwadze, w workowatych, bezkształtnych sukniach. Tamta nie stanowiła realnego zagrożenia dla status quo. Vida natomiast to chodzące zagrożenie. Nie sposób było wyobrazić sobie te wymanikiurowane dłonie powalane farbami... W głębi duszy, za fasadą dojrzałości i rozwagi, Evie brakowało pewności siebie i dlatego nie umiała radzić sobie z ludźmi tego typu co Vida.

- Przypuszczam, że gratulacje będą na miejscu? - spytała z wahaniem Olivia. Nie była pewna, czy miała należeć do grona wtajemniczonych.

Vida zamknęła lodówkę i odwróciła się z uśmiechem.

- Nie zamierzaliśmy na razie mówić nikomu spoza rodziny, ale jesteśmy oboje tak szczęśliwi, że mamy chęć krzyczeć o tym z dachu.

Andrew odstawił blachę z ciastem do piecyka, podszedł do narzeczonej i ogarnął ramieniem jej talie. W jednej chwili goście przestali dla niego istnieć. Rosie stłumiła chichot. Olivia wykrzywiła się ku niej ostrzegawczo.

Dokładnie w tym momencie wpadła do kuchni Evie z tacą brudnych naczyń. Była czerwona od krzataniny, nad górną wargą lśniły kropelki potu. Wokół twarzy zwiślały rozkręcone brązowe strąki.

Było w niej napięcie i zdenerwowanie, jakiego Olivia nie widziała u przyjaciółki od lat. Wyglądała nienajlepiej... No, ale ktoś wyglądałby dobrze na jej miejscu. Może tylko chłodna i zrównoważona Vida.

Na widok ojca i jego narzeczonej obejmujących się na środku kuchni Evie zbladła. Olivia targnął gwałtowny poryw współczucia. Biedna Evie tak źle to przyjmuje... Szybko odstawiła szklankę na blat, uwolniła Evie od ładu i ucałowała na powitanie.

- Jaką masz piękną suknię - powiedziała głośno. - Uwielbiam czarny aksamit.

- Naprawdę, podoba ci się? - Evie spojrzała na nią z wdzięcznością. Jej duże oczy były pełne smutku. - Tylko tę jedną wzięłam ze sobą... - Urwała. - Na pewno już poznałeś kogo trzeba - powiedziała zmienionym głosem. - Nowiny też już znasz?

- Naturalnie - włączył się Stephen. - To fantastyczne! Kiedy nastąpi szczęśliwy dzień? Wesele będzie na pewno wystrzałowe, prawda? szturchnął Andrew w żebro i parsknął rubasznym śmiechem.

Olivia zamarła. Rosie i Evie także. Tylko Vida, która najwyraźniej była zrobiona z bardziej odpornego materiału, uśmiechnęła się łaskawie, wciąż przytulona do ramienia Andrew.

- W lutym. Urządzamy małe przyjęcie w Kilkea Castle. Mamy nadzieję, że będziecie mogli przyjść z **Olivia**? I z malutką Sashą, ma się rozumieć. Słyszałam, że jest śliczna jak laleczka. Może by tak została naszą druhenką? I ty też, Rosie - przeniosła wzrok na dziewczynę. - Byłoby cudownie, gdybyś zgodziła się być druhną. - Mimo całej pewności zająknęła się leciutko, zwracając do Evie: - Mieliliśmy nadzieję, że ty także...

Nie zdołała dokończyć.

- Wątpię - gwałtownie wpadła jej w słowo Evie. - Wątpię, czy będę mogła być na weselu. Najwyraźniej nie ma to dla ciebie szczególnego znaczenia, tato, skoro nie uważałeś za stosowne uprzedzić mnie o wszystkim, i to jako pierwszej! - Odwróciła się na pięcie i wypadła z kuchni z twarzą zalaną łzami.

- Pójdę za nią - Olivia wyminęła bladego jak ściana Andrew i pobiegła na górę.

- Mogę wejść? - ostrożnie zajrzała przez uchylone drzwi. Evie siedziała na łożku, szlochając.

- Tak - wykrztusiła.

- Moje biedactwo - Olivia objęła przyjaciółkę ramieniem. - To prawda, że ojciec powinien był ci powiedzieć całe wieki temu... ale wiesz, na pewno nie było mu łatwo się przyznać, że spotyka się z **Vida**...

- Właśnie tego nie mogę mu wybaczyc! - załkała Evie. - Wszystko zrobił poza mną, bezze mnie... jakbym w ogóle nie istniała! Jakbym nic dla niego nie znaczyła! Po tym wszystkim, co razem przeszliśmy przez te lata... Myślałam, że jesteśmy sobie bliscy, ale to fałsz! Ona wszystko zniszczyła!

Otarła łzy wierzchem dłoni.

- Zamierzałam uporządkować mu kuchenne szafki... w ogóle zrobić porządek. A teraz nie mogę. - I rozszlochała się jeszcze rozpaczliwiej niż dotąd.

Olivia milczała. Siedziała obok Evie, trzymając ją za rękę. Wreszcie łkanie osłabło. Evie otarła twarz chusteczką.

- Przepraszam. Nie powinnam była robić przedstawienia, ale po prostu... - Skrzywiła się. - Po prostu nienawidzę tej baby! Zdarzyło ci się nie

cierpieć kogoś od pierwszego spojrzenia? To właśnie czuję wobec niej. Taka jest z siebie zadowolona, taka doskonała pod każdym względem... Nie wiem, co będzie, gdy zostanie członkiem naszej rodziny.

- Raczej nie wygląda na okrutną macochę - zauważyła Olivia.

- Wiem - przyznała Evie żałośnie. - Z jednej strony zdaję sobie sprawę, że to głupie z mojej strony... Jestem już na tyle dorosła, że powinnam umieć godzić się z faktami. Ale to mnie tak wytrąciło z równowagi... Mama była dla mnie wszystkim - spojrzała Olivii w oczy. - Jak on może pragnąć kogoś innego?

- Ale ty też jesteś wdową. I też chcesz mieć kogoś innego - w drzwiach stanęła Rosie. Usiadła obok matki i objęła jądługim, szczupłym ramieniem. - Nawet jeśli tym kimś jest Simon... A przecież kochałaś tatę, prawda?

Evie złowiła spojrzenie Olivii. Przez sekundę patrzyły sobie w oczy.

- To co innego - mruknęła Olivia.

- Jak to, co innego? - sprzeciwiła się Rosie.

O, Boże - pomyślała Olivia. - Co ja najlepszego zrobiłam?

- No, wiesz - spróbowała wybrnąć - ty nie pamiętasz swojego ojca. Całkiem inaczej się to odbiera, jeśli dobrze się znało osobę, która odeszła.

- Hmm. - Rosie nie wyglądała na przekonaną. - A ty miałabyś za złe, gdyby któreś z twoich rodziców owdowiało i chciało związać się z kimś innym? - spytała prowokacyjnie.

Olivia ani nie byłaby zaskoczona, ani nie miałaby za złe, gdyby któreś z rodziców zapragnęło poślubić nazajutrz Marsjanina. Mniej troski z ich strony i tak już doznawać nie mogła. Ale to nie była właściwa odpowiedź... Udała, że się zastanawia.

- Naturalnie - skłamała. - Chociaż trudno to wyjaśnić... No, ale tak czy owak - poderwała się z łóżka - powinniśmy już zejść na dół, Evie. Nic nam nie przyjdzie z siedzenia tutaj. Goście na pewno zastanawiają się, co się stało. - Mówiąc „goście”, miała na myśli Stephena.

- Z gośćmi wszystko w porządku - zapewniła Rosie. - Załapali inny temat. Okazało się, że od niedawna mają nowego nauczyciela od akwareli. Unoszą się nad nim, mało im sztuczne szczęki nie powypadają z podniecenia. Przyniosłam im parę butelek wina i zostawiłam w stanie bliskim orgazmu.

Zaśmiały się mimo woli.

- A jak tam Stephen? - spytała z niepokojem Olivia. Jej mąż nie cierpiał, kiedy zostawiano go na tego rodzaju przyjęciu samego. Co innego, jeśli była to impreza w gronie jego znajomych. Rozmawiano wówczas niemal wyłącznie o interesach. Olivia często czuła się obco w ich towarzystwie, ale zdawała sobie sprawę, że Stephen musi podtrzymywać kontakty. „Wolę urodę niż mózg” - mawiał w drodze powrotnej, obejmując Olivie, szczęśliwą, że wreszcie wracają.

- Pójdę do niego - zdecydowała. Wyobraziła go sobie złapanego w sidła przymusowej konwersacji z którąś z nietrzeźwych malarek... Nienawidził takich sytuacji. Ścisnęła Evie za ramię.

- Odrobina makijażu i jesteś gotowa.

- Nie martw się, mam, nikt na dole nie zauważy, że płakałaś. Są za bardzo podcięci - pocieszyła matkę Rosie. - To nie do wiary, ile te drobne starsze panie potrafią zatankować.

Evie skinęła głową.

- Będę za parę minut - zapewniła je przez zatkany nos.

Wyszły. Olivia popędziła pierwsza, gnana obawą, że Stephen się nudzi. Najlepiej zaproponuje mu, żeby poszli do domu. To go ułagodzi. Przecież i tak nie miał zbyt wielkiej ochoty iść na to przyjęcie... Byli zaledwie trzy kwadransy, ale Evie zrozumie.

Wpadła do kuchni. Pusto. Z pokoju jadalnego dobiegł ją charakterystyczny śmiech Stephena. Zajrzała przez drzwi: siedział przy stole z **Vida**. Pomiędzy nimi stała butelka wina i półmisek pasztecików. Wytworna głowa **Vidy** była odrzucona do tyłu - ona również śmiała się hałaśliwie.

- Stephen, co za świetna historia!

A zatem miał widownię... Olivia odetchnęła z ulgą.

- Cześć, kochanie - obeszła stół i usiadła obok niego. - Może wolałbyś, żebyśmy już poszli? Na pewno jesteś zmęczony po podróży. Stephen przyleciał dziś po południu z Frankfurtu - zwróciła się z wyjaśnieniem do **Vidy**.

- Nonsens - zaprotestował energicznie. - Iść teraz, kiedy się tak dobrze bawimy? **Vida** mieszkała kiedyś w Niemczech i właśnie mi o tym opowiada. Podobno w Kronbergu jest jakiś fantastyczny hotel i radzi mi, żebym następnym razem tam się zatrzymał.

- To jakieś piętnaście kilometrów od Frankfurtu - wtrąciła **Vida**. - Zwłaszcza ogród jest doprawdy niezwyklej urody.

Olivia poczuła ukłucie zazdrości. Ta światowa dama bawi jej męża opowieściami o swojej barwnej egzystencji, a ona? Ona pędzi nudny, szary żywot pracującej matki z zerowym doświadczeniem podróżniczym. Jej własne opowieści nigdy nie zdołały zabawić Stephena dłużej, niż trwało zdjęcie ubrania przed pójściem z nią do łóżka...

-Towarzyszysz czasem mężowi w jego służbowych podróżach? - spytała grzecznie **Vida**.

Stephen objął żonę.

- Olivia jest domatorką - odpowiedział za nią, zanim zdążyła otworzyć usta. - Najbardziej lubi siedzieć w domu i zajmować się Sashą. Musisz poznać Sashę - dodał. - To ślicznotka. Bardzo będziemy się cieszyć, jeśli pójdzie w waszym ślubnym orszaku.

Olivia uśmiechnęła się z wysiłkiem. Evie uzna to za zdradę z jej strony. Jak jej wyjaśnić, że to był pomysł Stephena? - myślała gorączkowo.



- Mam nadzieję, że uznasz to za możliwe - zwróciła się do niej Vida. - Wiem, że Evie jest twoją przyjaciółką i wolałabym nie wprowadzać rozdzwień między wami. Bardzo bym chciała, żeby Evie mnie zaakceptowała, ale zdaję sobie sprawę, jakie to będzie trudne.

- Evie z czasem zmądrzeje - powiedział protekcyjnie Stephen. - Jest po prostu niedojrzała. Zbyt długo trzymała Andrew na smyczy i dyktowała mu, co ma robić... Musi dorosnąć.

Olivia spojrzała na niego z furją. Co za nielojalność! Jak on mógł powiedzieć coś takiego o jej najlepszej przyjaciółce? A Vidzie też nic nie brakuje - pomyślała, uchwyciwszy przeciągłe, porozumiewawcze spojrzenie, jakim tamta obdarzyła jej męża. Najwyraźniej była tego samego zdania.

Vida nalała nowy kieliszek wina dla Olivii. Poprzedni został w kuchni.

- Opowiedz mi o swojej pracy - zwróciła się do niej przyjaźnie. - Andrew mówił, że fantastycznie gotujesz. Uważa, że marnujesz się w tej szkole, usiłując nauczyć dzieciaki czegoś, co ich nie interesuje.

Ubawiona myślą że mogłaby się marnować robiąc cokolwiek, Olivia już otwierała usta, by odpowiedzieć, ale Stephen ponownie ją wyręczył.

- Olivia jest świetną kucharką - powiedział, patrząc na nią ciepło.

Olivia spłonęła z radości.

- Chociaż - mówił dalej Stephen - też mi się nie podoba, że uczy tych małych przestępców. Co za sens, skoro w domu i tak jedzą wyłącznie chipsy i hamburgery? Dla mojej żony praca zawodowa to dogmat, chociaż spokojnie mogłaby z niej zrezygnować. Co innego kiedy nie mieliśmy Sashy. Ale teraz? - wzruszył ramionami. - Naprawdę świetnie dalibyśmy sobie radę bez tych jej paru groszy. Olivia po prostu bawi się tą pracą. Twierdzi, że „chce mieć swój wkład”. - Zabrzmiało to tak, jakby Olivia zarabiała nędzne dziesięć funtów tygodniowo i nie wystarczałoby im to nawet na rolkę papieru toaletowego.

Miała ochotę go uderzyć. Jak śmie komentować w ten sposób jej sprawę wobec kogoś obcego? Jak śmie obrażać jej uczniów? Możliwe, że znalazłoby się wśród nich paru nieletnich, którzy weszli w konflikt z prawem, ale to zdarza się w każdej szkole. Hamburgery i chipsy też są wszędzie na porządku dziennym. Stephen to snob. I jak śmie traktować jej pracę jak fanaberię rozpieszczonej kobietki, która udaje sama przed sobą, że to, co robi, jest potrzebne?

Vida wybuchnęła głośnym, zaraźliwym śmiechem. Być może miała wrażenie, że Stephen po prostu droczy się dobrotliwie z Olivią, jak to bywa w starych, doskonale zgranych małżeństwach.

- Zdaje się, że w dzisiejszych czasach chęć pracy zawodowej jest wśród kobiet dość nagminna?

- Właśnie - podchwyciła Olivia wyzywającym tonem. Odsunęła krzesło od stołu, by znaleźć się na wprost Stephena i Vidy, i spojrzała na nich z dystansu.

- To kwestia zapewnienia dzieciom właściwej opieki - powiedział Stephen nieco bardziej pojednawczo, jak gdyby czuł, że kobiety stworzyły wspólny front przeciw niemu.

- Czyżby? - Vida bawiła się bransolecią, nie patrząc na żadne z nich. - Pracowałam całe życie i jestem przekonana, że było to z korzyścią nie tylko dla mnie, ale i dla mojego syna, Maksa. Byłabym dla niego fatalną matką, gdybym wbrew własnym chęciom siedziała cały czas w domu. Kobieta powinna mieć prawo do pracy zawodowej, jeśli jej na tym zależy, i nie czuć się winna z tego powodu. I tak mamy nadmierną skłonność do poczucia winy i odpowiedzialności za cały świat.

- Hm - Stephen najwyraźniej był zaskoczony, że kobieta pokroju Vidy robiła w życiu coś więcej, niż skinienie upierścienioną dłonią na przechodzącego kelnera, by zamówić kolejne wytworne danie.

- To, że natura wyposażyła kobietę w zdolność rodzenia, nie oznacza, że jest ona pozbawiona wszelkich innych ambicji i potrzeb - tym razem Vida obdarzyła Stephena przenikliwym spojrzeniem swoich chłodnych, szarych oczu. - Przypuszczam, że w twojej firmie są kobiety, które mają dzieci, a równocześnie pełnią funkcje kierownicze?

- No, tak. Ale to co innego.

- Jak to co innego? - Olivia nie miała już, jak dotąd, chęci dzielić jego poglądów.

- Rzecz w tym, do czego jesteście przyzwyczajeni - Stephen wciąż zwracał się wyłącznie do Vidy. - Zależy mi, żeby moja córka otrzymała to wszystko, co ja miałem w dzieciństwie.

Moja córka? - pomyślała Olivia z oburzeniem. - Czyżby zapomniał, że to nasze wspólne dziecko, a nie tylko jego?

- Moja matka zawsze zajmowała się wyłącznie domem - powiedział Stephen z naciskiem.

- O Boże! - Vida wybuchnęła gardłowym śmiechem. - Gdybyśmy zawsze robili jedynie to, co robili nasi rodzice... Doprawdy, mielibyśmy niezły cyrk! Moja matka była pomywaczką w podrzędnej knajpie, a za męża miała najgorszego pijaka w całym Nowym Jorku. Bił ją codziennie, pod warunkiem, że był w stanie utrzymać się na nogach, co na szczęście nie zdarzało się zbyt często. W końcu walnęła go w łeb czymś ciężkim i zostawił ją.

Można by mu tam wsadzić całego melona - pomyślała z satysfakcją Olivia, patrząc na szeroko otwarte usta kompletnie osłupiałego Stephena.

- Coś takiego - zwróciła się do Vidy. - Twoja matka musi być wspaniałą kobietą, skoro było ją na to stać.

- Możesz się założyć. - Vida wstała z błyskiem w oku. - Musimy się kiedyś umówić na kawę, Olivio. Może zdołasz namówić Evie, żeby wybrała się z nami?

Skrzywiła się.

- Spróbuję.

- Musimy już iść - oznajmił Stephen, szybko dopijając resztę wina. - Zresztą inni goście też się zbierają. Dziękujemy, Vido, było nam bardzo miło. Musimy jeszcze pożegnać się z Andrew. - Uścisnął jej pospiesznie dłoń i pociągnął **Olivie** za sobą do hallu po płaszcze.

Olivia w duchu zacierała ręce. Czuła, że mimo wszystko lubi **Vide**. Proszę, jak dała sobie radę ze Stephenem! Grzecznie, ale stanowczo. A w dodatku bez cienia krytyki wobec niej, że pozwala mężowi trwać w jego męskim szowinizmie. Wydrwiła go po prostu i pokazała, że choć niektóre kobiety pasują do jego tradycyjnej wizji życia rodzinnego, to przecież nie wszystkie.

Och, jak chciałyby umieć tak właśnie rozmawiać ze Stephenem, twardo bronić własnego stanowiska! Do diabła, chciałyby umieć w ogóle z nim rozmawiać. Chciałyby móc powiedzieć mu na przykład, że to cholerne nauczycielstwo już jej bokiem wyłazi, że użeranie się z jedną niezdyscyplinowaną klasą tak podkopuje jej wiarę w siebie, że odechciewa się jej wszystkiego... Gdyby jednak przyznała się, że nie radzi sobie z nauczaniem, czymś, co robi od lat, Stephen uznalby, że w ogóle nie nadaje się do pracy. Nie byłoby sensu wspominać, że mogłaby na przykład uczyć młodsze dzieci. A może przenieść się do szkoły wieczorowej?

Ucałowała na pożegnanie Andrew i Rosie, i wyszli. Brnęli w zacinającym deszczu w kierunku Lodge. Zerknąwszy na przypominający maskę profil męża, Olivia niemal pożałowała, że dała się wciągnąć w rozmowę z **Vida**. Zaraz jednak pomyślała, iż przecież ma prawo do własnych opinii. Taka Vida z pewnością nie zwracałaby sobie głowy jego humorami... Zostawiłaby go samego sobie i poczekała spokojnie, aż mu przejdzie. Cóż ona jednak poradzi, że tak źle znosi nieporozumienia między nimi? Ugłaskiwanie Stephena stało się ostatnio jedną z jej podstawowych małżeńskich umiejętności.

- Vido - spytała Rosie, stojąc w kuchennych drzwiach ze szklanką soku pomarańczowego, solidnie zaprawionego wódką - czy twoja matka naprawdę była pomywaczką, a ojciec alkoholikiem?

Vida sprzątała ze stołu pozostałości po przyjęciu.

- Boże, no skąd - uśmiechnęła się konspiracyjnie. - Musiałam po prostu utrzcę nosa temu dżentelmenowi.

Rosie, która nie cierpiała Stephena z całego serca, odpowiedziała jej szerokim uśmiechem.

- Witaj w rodzinie!

Wtem psy, które spały w kuchni w swoich koszykach, trawiać nadmiar pasztecików, jakie zdołały wyżebrać w ciągu wieczoru, zaczęły ujadać.

- Zdaje się, że Olivia albo Stephen czegoś zapomnieli - podniosła głowę Vida.

- O, tak. Na przykład jego poczucia humoru - zakpiła Rosie i pobiegła otworzyć.

W drzwiach stała Cara, grzebiąc po kieszeniach w poszukiwaniu klucza. Cała ociekała deszczem. Włosy miała przyklejone do głowy, a płaszcz wyglądał, jakby w nim pływała.

- Cześć, Rosie - powiedziała, z trudem zdejmując plecak zdrętwiałymi dłońmi. - Przepraszam, że się spóźniłam - dodała, bo właśnie pojawił się ojciec, by ją powitać. - Ten cholerny autobus się zepsuł i musieliśmy czekać półtorej godziny, zanim podstawili nowy wóz. Pada tak, że chyba prędzej bym tu dopłynęła. - Uśmiechnęła się. - No to jak, dużo straciłam?

Wytarta, przebrana, z lokami unoszącymi się wokół głowy niczym aureola po szybkim wysuszeniu gorącym strumieniem powietrza z suszarki, usiadła przy kuchennym stole i przystąpiła do pożerania odgrzanych dań. Psy trzymały wartę po obu jej stronach, odprowadzając wzrokiem każdy kęs pasztecika, jaki niosła do ust.

Evie, która zeszała z góry zaledwie przed dziesięcioma minutami, po uprzednim przekonaniu się, że Vida pojechała do siebie, siedziała przy przeciwległym końcu stołu i bawiła się szklanką herbaty z cytryną. Były same. Rosie wyniosła się do salonu oglądać telewizję, a ojciec poszedł oddać sąsiadom dwie srebrne tace, które pożyczył na przyjęcie.

- Nie zauważyłam, żeby coś z nią było nie tak - powiedziała Cara, pochłaniając łapczywie pożywienie. Zdążyła jeszcze zobaczyć się przelotnie z przyszłą macochą. To prawda, że parę minut z Vida i wysłuchanie jej tekstu „lepiej już pójdę i pozwolę Evie zejść na dół” to była dość słaba podstawa do analizy charakteru, ale Cara widziała radosny błysk w oczach ojca, gdy patrzył na narzeczoną. To jej wystarczało. Skoro on był szczęśliwy, to ona też.

Jej własne życie uczuciowe było co prawda mniej więcej tak udane, jak podejmowane przez ludzi próby dotarcia do Plutona. No, ale przecież nie musiała z tego powodu życzyć wszystkim dookoła, by cierpieli miłosne katusze. Jej wyobrażenie o przyszłości ojca było zupełnie odmienne niż starszej siostry. Znacznie dłużej znała go jako wdowca niż jako szczęśliwego małżonka. Zdarzało jej się widzieć, jak flirtował z sąsiadkami, albo jak odprowadzał tęsknym wzrokiem trzymające się za rękę pary. Evie naskoczyłaby na każdą kobietę, która ośmieliłaby się zająć miejsce u boku uwielbianego ojca...

Również ich poglądy na matkę były całkowicie odmienne. Kiedy Cara była dzieckiem, marzyła, żeby miejsce zmarłej matki, która stała się cieniem, zajęła inna, prawdziwa. Dla Evie natomiast mama była jedyna na świecie; nikt i nic nie mogło jej zastąpić. Cara dobrze o tym wiedziała. Ale Vida nie była żadną zastępczynią ani namiastką - była nową partnerką ojca, kimś, kto będzie go kochał i troszczył się o niego, kiedy one wyjadą.

Spróbowała to jakoś wyrazić.

- Vida jest bardzo ładna. Świetnie razem wyglądają. Ojciec tak długo był sam, zasługuje na trochę szczęścia.

Evie rzuciła jej spojrzenie, od którego mleko zamieniłoby się w twaróg.

- O Jezu - mruknęła Cara, patrząc na grymas na twarzy siostry - mam nadzieję, że tu nie ma przeciągów. Bo jeszcze ci to zostanie...

- Ty nic nie zauważyłaś, prawda? - zasycała Evie.

- Co miałam zauważyć?

- To, że ona interesuje się ojcem tylko dlatego, że jest samotny i naiwny, i nie zdaje sobie sprawy, co z niej za typ! W tydzień obrobi go ze wszystkiego i zostawi. O!

Cara jęknęła.

- Evie, opamiętaj się. Z czego miałyby go obrobić? Z rodzinnej fortuny? Ze spadku po wujku-milionerze? Ten domek nie pęka od nadmiaru mebli i bi-belotów, na widok których handlarz antykami oniemiałby z zachwytu. No, chyba że ten stolik w hallu to jakiś sekretny ludwik, a nie własnoręczna robota ojca...

- Nie o to chodzi... - Evie rozejrzała się bezradnie, zaskoczona, że Cara nie dostrzega rzeczy tak dla niej oczywistej: że Vida jest zawodową matrymonialną oszustką, która złamie ojcu jego słabe serce i... i... wszystko zmieni. Zmieni na zawsze. Jaka ta Cara jest łatwowierna! W ogóle nie ma pojęcia, na co się tu zanosi. A może ją to po prostu nie obchodzi?

- Evie - zaczęła Cara łagodnie. Zdawała sobie sprawę, co czuje siostra na myśl, że została wyrugowana z ojcowskich uczuć. Przedwcześnie i nadmiernie dojrzała, w tej jednej sprawie pozostała dzieckiem. Wciąż czuła się małą córeczką tatusia. - Ojciec ma prawo do tego, żeby mieć kogoś bliskiego. Kogoś, z kim będzie mógł przeżyć resztę życia. To prawda, że niełatwo pogodzić się z tym, że ktoś inny zajmie miejsce mamy...

- Dla ciebie to i tak co innego - powiedziała Evie z udręką.

- Co masz na myśli? - Cara odsunęła talerz, choć zdążyła zjeść zaledwie połowę jego zawartości.

- Nie pamiętasz jej tak jak ja.

- Skąd wiesz, co ja pamiętam? Nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Skąd możesz wiedzieć, co czuję?

- Przecież to jasne, że nie możesz jej pamiętać tak dobrze jak ja. Miałaś sześć lat, kiedy umarła, a ja szesnaście. Pamiętam, jak tata płakał po jej śmierci, dobrze pamiętam!

Cara wzięła głęboki oddech. Nie, nie da się sprowokować. Obiecała sobie, że w ciągu najbliższych paru dni postara się wyjaśnić wszystkie nieporozumienia i zaszłości między nimi. Nie pozwoli, żeby ten zamiar legł w gruzach już na starcie z powodu jakiejś głupiej kłótni.

- Mama umarła - powiedziała łagodnie. - Małżeństwo taty wcale nie oznacza, że o niej zapomniął czy że nie odczuwa jej braku. To początek czegoś

zupełnie innego. Ty też wychodzisz za Simona, na miłość boską! Nie możesz po prostu cieszyć się razem z ojcem?

- Aleś ty naiwna - zawołała Evie jak w gorączce. - Zawsze byłaś potwornie naiwna. Pozwalasz, żeby inni wdeptywali cię w ziemię. W pracy też pozwalasz sobą pomiatać, inaczej już dawno byś awansowała. Nie jestem w stanie kontrolować twojego życia, ale nie pozwolę, żeby ta suka skrzywdziła ojca! Care замуrowało.

- Wcale nie pozwalam sobą pomiatać - wyjąkała.

- Właśnie że pozwalasz - Evie była cała w ogniu. - Mówiłam ci sto razy, żebyś zażądała podwyżki. Mogłabyś pozwolić sobie na coś lepszego niż ta nora, w której mieszkacie z Phoebe, ale ty jak zwykle masz to w nosie!

- To nie twój interes, co mam w nosie, a co nie! - wrzasnęła Cara, w końcu wyprowadzona z równowagi.

- Mój, bo jestem twoją siostrą!

- Ale nie matką, do cholery! - głos Cary przeszedł w pisk. - Radzę ci o tym nie zapominać! Wydaje ci się, że możesz wszystkimi rządzić, nawet ojcem. No więc nie możesz! Nie wtykaj swojego małego noska w moje sprawy!

- Ktoś musi wtykać nos w twoje sprawy, bo sama radzisz sobie z nimi dość kiepsko! Może nie?

Evie, czerwona z podniecenia i przejęcia, ledwie zdawała sobie sprawę, co mówi. Czuła, że posuwa się za daleko, ale rozszalałe emocje nie pozwalały jej się zatrzymać.

Tego już było dla Cary za wiele. Kłopoty ostatnich dni, kac, ten przeklęty rozkraczony autobus, a teraz jeszcze ta wariatka ze swoją misją uszczęśliwiania na siłę wszystkich dookoła!

- Nie masz zielonego pojęcia o mnie i o moim życiu - wycodziła. - Nigdy ci nic o sobie nie mówiłam, a ty nigdy nie pofatygowałaś się, żeby spytać. Pierwszy lepszy kierowca autobusu jest mi bliższy niż własna siostra. Ta twoja małostkowość, plus przeświadczenie, że wszystko wiesz najlepiej, plus zazdrość, są naprawdę nie do przeskoczenia.

- Zazdrość? - wrzasnęła Evie, zbyt oszołomiona, by troszczyć się, że ktoś może usłyszeć. - Czego niby miałabym ci zazdrościć?

- Na przykład tego, że nie jestem głupią krową która oberwała sztachetą w tyłek, a i tak nie potrafisz wyjść z koleiny - wyrzuciła z siebie Cara gwałtownie. - I która wychodzi za sztywniaka i nudziarza wyłącznie dlatego, że ją o to poprosił! Coś ci powiem: jak nie przyjdiesz na ślub ojca i Vidy, to ja nie mam zamiaru pokazać się na twoim ślubie z tym idiotą Simonem. - Cara cisnęła widelcem o stół.


Brzęk obudził oba psy. Podniosły głowy. Cara wymaszerowała z kuchni i stąpając z hałasem po schodach, udała się na górę. Tą samą trasą, którą tylokrotnie pokonywała jako dziecko, kiedy Evie uznała, że coś przeskrobała i kazała jej zniknąć z pola widzenia.

Evie wsparła czoło na dłoni. Czuła, że za chwilę będzie miała potworną migrenę. Co ona nagadała? Jakies okropne rzeczy. Cara jej tego nigdy nie wybaczy. A kiedyś były sobie takie bliskie... Co się z nimi stało? Co je zmieniło w dwie obce osoby, które potrafią się wyłącznie ranić? Dlaczego w Carze jest tyle goryczy? Bezsilnie złożyła rozgorączkowaną głowę na blacie stołu, marząc, by Boże Narodzenie rozwiało się jak dym.

Miała zamiar spróbować uporządkować stosunki z siostrą, powiedzieć Carze, że ją kocha, że pragnie dla niej wyłącznie dobra... I wszystko zepsuła, bo nie była w stanie nad sobą zapanować. Nigdy w życiu nie doznała takiego szoku jak dziś. Gdyby ojciec powiedział jej wcześniej, gdyby ją przygotował... Cierpiałyby tak samo, ale przynajmniej potrafiłyby to ukryć.

Czy można go jednak winić? Evie wiedziała, kto zepsuł święta im wszystkim. Vida. Ta koszmarna Vida.

## 5

 Evie z westchnieniem włączyła światło w recepcyjnym hallu. Kolejny rok. Kolejny styczeń. Jeszcze więcej śniegu. Strząsając z ubrania mokre płatki, przeszła obok przywiedłej choinki, pod którą stał się dywan opadłych szpilek.

Davis Wentworth miał fioła na punkcie żywych drzewek i zawsze upierał się, żeby właśnie takie postawić w recepcji. Jasne, przecież on nie musiał podlizywać się Marj, sprzątacze, która całymi godzinami usuwała świerkowe igły z dywanu... Evie przekreśliła klucz w drzwiach prowadzących na schody. Nieszczęsna Marj dostanie szału na widok podłogi. A kiedy zobaczy szklane drzwi na półpiętrze zalepione sztucznym śniegiem i pokryte nieudolnymi rysunkami półnagich świętych Mikołajów... To robota Keva z działu sprzedaży, który upił się ostatniego dnia podczas lunchu. Tylko jemu mógł przyjść do głowy taki pomysł! Evie roześmiała się, patrząc na szczególnie seksownego Mikołaja, który najwyraźniej miał do zaoferowania coś więcej niż tylko gwiazdkową pończochę z prezentami.

W swoim czasie, w obecności zespołu, nie okazała naturalnie, że ją to bawi. Nie mogła sobie na to pozwolić. Wręcz przeciwnie - obdarzyła Keva jednym ze swoich najsurowszych spojrzeń, powiedziała, że tu jest biuro, a nie cyrk, i ostrzegła go, że jeśli nie zlikwiduje tych malunków, zanim zobaczy je szef, może nie spodziewać się premii z okazji Bożego Narodzenia. Co prawda Davis był tak krótkowzroczny, że nie zauważyłyby nawet żywego i prawdziwego świętego Mikołaja robiącego striptiz na klatce schodowej, a nawet gdyby jakimś cudem zauważył, z pewnością by mu to nie przeszkadzało. Evie była jednak przekonana,

że biuro to biuro i obowiązują tu pewne zasady. Jeśli nie będzie się ich przestrzegać, wkrótce zapanuje całkowity chaos. Gdyby ludzie dowiedzieli się, że ma poczucie humoru, nie byłyby w stanie sprawować nad nimi kontroli.

Zapisując sobie w pamięci, że musi pomóc biednej Marij w sprzątanii, Evie przycisnęła kontakt. Był trzeci stycznia, wpół do ósmej. Cała administracyjna część biura wyglądała jak wymarła. Cóż za różnica w stosunku do stanu rzeczy sprzed dziesięciu dni... Zazwyczaj o tej porze było tu już mnóstwo ludzi, ale warunki atmosferyczne - od trzech dni nieprzerwanie padał śnieg - w połączeniu z faktem, iż świętowanie, które wreszcie dobiegło końca, jest doprawdy czynnością wyczerpującą, najwyraźniej sprawiły, że członkowie zespołu Wentworth Alarms jak jeden mąż przewracali się dopiero na drugi bok, by uciąć sobie ostatnią drzemkę, zanim nieodwołalnie będą musieli wstać.

Po raz pierwszy w życiu Evie chciałyby znaleźć się na ich miejscu. Powrót do biura po świątecznej przerwie nigdy dotąd nie sprawiał jej kłopotu. Przeciwnie, po kilku dniach bez pracy, bez konieczności wczesnego wstawania, zaczynała czuć się nieswojo. Musiała coś robić. Cokolwiek. Właśnie dlatego jej dom był nieskazitelnie czysty, szafki kuchenne uporządkowane lepiej niż sklep Benettona, a pod meblami nawet przez lupę nie dojrzałyby się śladów kurzu.

- Nie wiem, mamo, jak ty zniesiesz miodowy miesiąc - zauważyła trzy dni temu Rosie, kiedy Evie zgoniła ją z kanapy, na której córka oglądała telewizję, by zajrzeć pod spód. W skarpetkach i dresie, z opróżnioną do połowy torebką chipsów w ręce, patrzyła, jak matka bez litości usuwa jakiś nędzny pojedynczy farfocel, który, nie wiedząc, co go czeka, zdecydował się zamieszkać pod sofą. - Zanudzisz się na śmierć, leżąc przez dwa tygodnie całymi dniami na plaży.

- Wezmę ze sobą książki - Evie dźgała końcówką odkurzacza rogi sofy, by usunąć z nich najmniejsze nawet okruszyny chipsów. - A poza tym nie będziemy leżeli cały czas na plaży. Będziemy zwiedzać Grecję. To przecież kraj jak z baśni... Zawsze marzyłam, by podróżować, tylko nigdy nie miałam okazji.

Tak naprawdę nigdy nie miała pieniędzy. Wychowywanie w pojedynkę Rosie nie należało do zadań łatwych i budżet był stale napięty. Ferie spędzały w Ballymoreen, z wyjątkiem trzech przypadków: dwa razy pojechały z ojcem i Carą do Kornwalii, a raz - z Olivia na Majorkę. Rosie miała wówczas jedenaście lat. To były ich najlepsze wakacje. Słońce, piaszczyste plaże, sympatyczne knajpki, w których się stołowały, przemiły pensjonat w spokojnej, nieco odludnej części wyspy... Czasami, gdy wspominała tamto lato, przychodziło jej do głowy, że fajnie by było, gdyby Rosie, Olivia i Sasha towarzyszyły jej w podróży poślubnej z Simonem. Pomysł był raczej dziwny, zdawała sobie z tego sprawę. Równocześnie jednak myśl o zabranii z sobą tamtej trójki w niewyjaśniony sposób wydawała się na miejscu.



Weszła po schodach na trzecie piętro. Świadomie unikała windy - musiała zrzucić dodatkowe dwa kilogramy, jakie przybyły jej w rezultacie pożarowania godnego świątecznego obżarstwa. Miała zamiar nie tknąć tych wszystkich grzesznych, słodkich, pełnych kremu specjałów, które Vida pozostawiła w lodówce ojca, ale nie sposób było się im oprzeć... Jeden kęs rolady czekoladowej szybko zmieniał się w dwa grube plastry i Evie ani się obejrzała, a już chodziła z bluzą wypuszczoną na dzinsy, żeby ukryć, iż nie dopinają się w pasie.

Weszła do obszernego pokoju, który dzieliła z dwiema innymi sekretarkami, postawiła torbę na biurku i włączyła ogrzewanie. Temperatura w pomieszczeniu była raczej niska... Zrobiła sobie filiżankę kawy - czarnej, gdyż mleka jeszcze nie dowieźli - i, trzymając ją w zziębniętych dłoniach, by je nieco ogrzać, usiadła przy biurku. Wiele by dała, żeby być teraz gdziekolwiek, byle nie tu. Może w Grecji? Na plaży, w promieniach prażącego słońca, gdzie nie musiałaby zawracać sobie głowy rzekomym brakiem jakichś dokumentów, zirytowanymi klientami, rozwlekłymi, nudnymi sprawozdaniami... Ani tym, czy iść na ślub ojca, czy też nie. Leżałaby sobie rozciągnięta na leżaku, okryta leciutkim szalem, maskującym nadmierny brzuszek i dotknięte cellulitsem partie ciała...

- Czy to miejsce jest wolne, mademoiselle?

Zwróciła głowę w bok, unosząc nieco słoneczne okulary od Yves St Laurenta, by zobaczyć, kto zasłania jej światło. W pierwszej chwili ujrzała jedynie ciemną sylwetkę, gdyż stał tyłem do słońca. Dopiero gdy postąpił krok i znalazł się pod parasolem, osłaniającym jej pasiasty leżak, mogła dostrzec jego twarz.

Był brunetem, zupełnie jak ten przystojny Grek, który co wieczór uśmiechał się do niej, podając kolację. Jednak na jego dumnej, jastrzębiej w wyrazie twarzy nie widać było śladu uśmiechu. Wpatrywał się w nią nieprzeniknionymi, czarnymi oczami z wysokości swojego co najmniej metra dziewięćdziesiąt.

Czuła, jak jego wzrok chłonie jej pełne wdzięku kształty obciągnięte kosztowną tkaniną białego kostiumu kąpielowego, który uwydatniał pełny biust i smukłą talię. Była zadowolona, że włożyła dziś rano na przegub bransoletę z diamentów. Dzięki temu mógł się od razu zorientować, że ma do czynienia z kobietą z klasą, a nie pierwszą lepszą znudzoną panią, która przysiadła na brzegu basenu eleganckiego hotelu „Elounda Mare” w oczekiwaniu na przechodzącego milionera.

Może usłyszy od niego, że imperium sklepów z luksusową odzieżą w Mediolanie i Paryżu to za mało, by zaspokoić potrzeby takiej kobiety jak ona? Że potrzebne jest jej coś jeszcze: dumny, silny, opiekuńczy mężczyzna?

- Owszem, wolne - odparła.

- To dobrze. Obserwowałem panią z okna hotelu. Liczyłem, że będzie pani sama...

- Wszystkiego dobrego w nowym roku, Evie! - rozległ się piskliwy głos Lorraine. Wpadła do pokoju w czymś, co niewątpliwie musiało być prezentem gwiazdkowym od jej chłopaka: sztucznym futrze robionym na oceloty.

- Wszystkiego najlepszego, Lorraine - powiedziała ciepło Evie. Lubiła tę dziewczynę. - Jakie wspaniałe futro! Czy to od Craiga?

- No - Lorraine, szczupła dwudziestoczteroletnia brunetka okręciła się na pięcie. Była jedną z niewielu znanych Evie osób, które mogły bezkarnie nosić podobne okrycie. Większość kobiet wyglądała w sztucznym futrze jak bezcki.

- Świetne - oceniła z aprobatą. Wstała i dotknęła jedwabistego syntetycznego włosa.

- Przymierz - zaproponowała Lorraine, zdejmując futro.

- Wykluczone. Przybyło mi dwa kilo - poinformowała Evie ponuro. - Wyglądałabym w nim jak gigantyczny pluszowy miś, albo jakiś uciekinier z ZOO.

Lorraine starannie powiesiła futro na wieszaku i natychmiast skierowała się ku szafce, gdzie na zniszczonej tacy stał elektryczny czajnik.

- Herbaty? - spytała.

- Nie, dzięki. Już wypijałam kawę. Poza tym człowiek od mleka jeszcze nie dotarł.

- Szlag by to - Lorraine pijała herbatę wyłącznie z dużą ilością mleka. - No, to powiedz, jak tam święta? Co dostałaś od Simona?

Evie rozjaśniła się, słysząc drugą część pytania. Trudno byłoby opisać święta, nie używając określenia „kompletna katastrofa”, nie chciała też z nadto rozwijać tego tematu w obawie, że się rozpłaczę. No, ale prezent od Simona to całkiem co innego.

Odchyliła się na krześle z uśmiechem i odrzuciła głowę, by pokazać jeden ze złotych kolczyków z perełką. Kiedy Simon wręczył jej te klejnociki po powrocie z Ballymoreen, była wręcz wstrząśnięta.

- Jakie śliczne - powiedziała Lorraine z nabożnym zachwytem. - Takie delikatne... Na pewno nie było miło spędzać świąt bez niego, prawda? - nachyliła się i zajrzała do szafki w poszukiwaniu biszkoptów.

- No wiesz, to jego ostatnie Boże Narodzenie w kawalerskim stanie, a poza tym on i jego matka mają zwyczaj spędzać je z krewnymi - Evie zamilkła na moment. - Oczywiście, brakowało mi go, ale już następne święta spędzimy razem.

Wspólne święta... Nie mogła się już doczekać. W domowym, wygodnym stroju, rozwaleni na kanapie, oglądają sentymentalne filmy w telewizji, prześiadują przytuleni przed kominkiem, w którym huczy ogień... Prawda, ani ona, ani Simon nie mają czynnego kominka. No nic, trzeba będzie to załatwić.

- Na pewno nie będziesz się nudzić do wesela, prawda? - zauważyła Lorraine.

Evie skrzywiła się.

- Nawet mi nie mów. Zrobiłam listę spraw, które trzeba do tego czasu załatwić. Ma chyba z kilometr długości, a tak mi się nie chce zaczynać tego wydzwaniania... Nie wyobrażasz sobie, z jakim wyprzedzeniem trzeba wszystko zamawiać. Na przykład kwiaty. Mogłoby się здаwać, że muszą dopiero wyrosnąć z nasion zgodnie z twoją szczegółową specyfikacją.

- A jednak, mimo wszystko, to musi być bardzo miłe planować wesele - powiedziała z rozmarzeniem Lorraine. - Suknia, przyjęcie, bukiet... - Najwyraźniej odpłynęła w krainę weselnej baśni, z sobą i Craigiem w roli bohaterów, płynących w obłoku tiulu przez kościelną nawę.

- To prawda - ożywiła się Evie. Zabawne, ale odkąd dowiedziała się o ojcu i Vidzie, prawie nie myślała o własnym ślubie. Może dlatego, że tyle czasu spędziła z dala od Simona? W każdym razie data dwunasty września ani razu nie zagościła w jej myślach.

- Chwileczkę - Lorraine spojrzała podejrzliwie na filiżankę Evie - a ta kawa co tu robi? Podobno jesteś na diecie dopuszczającej wyłącznie soki owocowe?

Evie uśmiechnęła się melancholijnie.

- Obecnie jestem na świątecznej diecie pasztecikowo-tortowej. W tej sytuacji filiżanka kawy na rozdanie nie ma większego znaczenia.

W tym momencie ciszę rozdarł dzwonek telefonu. Był tak nagły i natrzący, że podskoczyły. Evie z męczeńskim wyrazem twarzy podniosła słuchawkę.

- Evie - zaskrzeczała recepcjonistka, najwyraźniej zaaferowana - ten facet ma sprawę do działu sprzedaży, ale upiera się, że nie będzie czekał, aż ktoś się raczy pojawić. Można ci go dać? Tłumaczę mu, ale w ogóle nie słucha.

- Jasne - odpowiedziała Evie automatycznie. No to zaczął się nowy rok.

- Nie rozumiem tylko - mówiła do Olivii, gdy w parę godzin później stały w kolejce po kanapki - dlaczego Vida tak się upiera, żebym była obecna na ślubie, i to w roli drużby? Przecież najwyraźniej mnie nie znosi. Chciałabyś, żeby przed ołtarzem stała obok ciebie nielubiana córka twojego przyszłego męża?

Pub, w którym zamierzały zjeść lunch, był położony na terenie pozabawionego jakiegokolwiek roślinności centrum przemysłowego, gdzie znajdowała się siedziba firmy Wentworth Alarms. - To nie jest tak, że ona cię nie lubi, Evie - ton Olivii był nieco znudzony. Od Bożego Narodzenia rozmawiały już o tym sto razy i nie miała w tej sprawie nic nowego do powiedzenia.

Evie nieustannie wracała do tematu Vidy, za każdym razem rzucając się na niego z jednakową zjadłością, niczym pies na kość. Co w niej takiego jest, że ojciec ją kocha? Czy to znaczy, że ją, Evie, kocha mniej? Czy w ogóle powinna iść na to wesele? Bo przecież niemożliwe, żeby im na tym naprawdę

zależało. A jeśli pójdzie, co na siebie włoży? To dopiero zagadka... Przecież cokolwiek by włożyła, i tak nie dorówna tej dziwce, której garderoba składa się wyłącznie z markowej odzieży od najśłynniejszych projektantów. A wszystko dzięki temu jej cholernemu poprzedniemu małżonkowi, którego na pewno otruła, żeby dostać gigantyczne ubezpieczenie.

Olivia знаła Evie zbyt dobrze, by nie wiedzieć, że to maniackalne powracanie wciąż do tej samej kwestii nie oznacza bynajmniej, iż przyjaciółka naprawdę nie cierpi swojej macochy in spe. Evie się bała. Przez całe lata była najważniejszą kobietą w życiu Andrew Frasera i nie mogła pogodzić się z myślą, że spadnie na drugie miejsce. Dotychczasowy stan rzeczy zmieniał się w sposób zasadniczy; Evie na razie nie potrafiła się w nim odnaleźć. Była zagubiona.

No, ale rozmawiały już o tym tyle razy, że trudno było wymyślić jakieś nowe argumenty, a powtarzania w kółko tych samych Olivia miała wyżej uszu. Tak naprawdę chciałyby móc zwierzyć się Evie ze swoich problemów. Przez cały tydzień, jaki minął od Bożego Narodzenia, Stephen odzywał się do niej monosylabami, a kiedy zaproponowała, by gdzieś wyszli, zachował się tak, że poczuła się, jakby dostała po łbie. Na domiar złego kończyły się ferie. Olivia czuła się chora na myśl, że czeka ją kolejny rok w szkole.

Zgnębiona, szukająca pociechy, zostawiła Sashę z jej najlepszą koleżanką z przedszkola i podjechała do biura Evie, żeby zabrać ją na szybki lunch i pogadać. Niestety, Evie najwyraźniej wciąż nie była w stanie rozmawiać na jakikolwiek inny temat niż Vida. W tej sytuacji nie było sensu, by Olivia mówiła, co ją dręczy.

Dziewczyna za kontuarem nalała dwa talerze zupy pieczarkowej. Postawiły je na tacy, wzięły po bułce i przeszły dalej, do kanapek, prezentujących się w plastikowej osłonce dość nieapetycznie.

- Postanowiłam, że nie idę - podjęła wątek Evie, rozważając równocześnie, co gorsze: plastikowo wyglądający ser czy wysuszony kurczak.

Olivia poczekała, aż usiądą.

- Evie - zaczęła łagodnie - być może znenawidzisz mnie za to, co powiem, ale jestem twoją przyjaciółką i myślę, że powinnam. - Zamilkła na moment, zdejmując dania z tacy. - Wiem, że czujesz się zraniona i zagubiona, bo to wszystko stało się tak nagle i nieoczekiwanie, ale wierz mi, jeśli zdecydujesz się nie iść, będziesz tego żałować do końca życia. - Evie chciała coś powiedzieć, ale Olivia nie dała jej dojść do słowa. - Czy ty nie zdajesz sobie sprawy, co będzie, jeśli nie pójdiesz? Dasz ojcu do zrozumienia, że masz go w nosie, i to w najbardziej ostentacyjny sposób, jak to tylko jest możliwe. Postawisz też w trudnej sytuacji Rosie, bo będzie musiała wybierać między tobą a nim. Zresztą na pewno ona też nie pójdzie. Jest zbyt lojalna wobec ciebie, ale przecież do dziadka również jest przywiązana. Czy ty tego nie widzisz?

Orzechowe oczy napełniły się łzami. Evie wyglądała, jakby łyżką, którą trzymała w dłoni, ugodzono ją w serce. Jej dolna warga zaczęła żałośnie drżeć i Olivia miała wrażenie, że uderzyła kijem bezbronne focze dziecko. Twarda powłoka, którą Evie eksponowała z takim uporem, kryła wewnątrz istotę miękką jak masło. Można ją było zranić byle czym... A zrobiono to już wcześniej tyle razy, że Olivia doprawdy nie chciała dokładać kolejnego ciosu.

- Przepraszam, Evie - w desperacji chwyciła przyjaciółkę za rękę. Czują się winna. - Nie chciałam cię zranić, ale musiałam to powiedzieć...

Evie zagryzła rozpaczliwie usta. Przez chwilę Olivia bała się, że przyjaciółka nie wytrzyma i wybuchnie płaczem. Ale nie. Evie wzięta głęboki oddech i tłumiąc czkawkę, wyszeptała:

- Masz rację.

Olivia westchnęła z jawną ulgą.

- Och, jak się cieszę, że tak uważasz. Wiem, że to trudne, ale tak będzie słusznie.

Evie wyjęła serwetkę i otarła nią oczy.

- Masz rację, że postawiłabym Rosie przed wyborem. I masz rację, że to byłoby okropne, gdybym publicznie zwróciła się przeciw ojcu. Myślę o tym bez przerwy i nienawidzę siebie samej za te dziecinne reakcje. - Zaśmiała się z przymusem. - Nie mogę uwierzyć, że ja, zawsze taka praktyczna i trzeźwa, zachowuję się jak zdegradowana primadonna...

- Wcale nie jak primadonna - przerwała Olivia. - Po prostu ten cios zwałił cię z nóg.

- No tak - Evie wpatrzyła się w przestrzeń. - Straciłam głowę po raz pierwszy od czasu, kiedy miałam chyba siedem lat i jakieś dziecko urwało nogę mojej lalce. Teraz jestem już odrobinę za stara na takie napady, ale jak pomyślę, że ta baba może ojca wykorzystać...

Uśmiech znikł. Evie spojrzała na Olivie pociemniałymi, twardymi jak agaty oczami.

- W jednej sprawie nie masz racji: co do Vidy. Ona mnie nienawidzi, a ja nienawidzę jej. Nie mam do niej za grosz zaufania. Jeśli skrzywdzi ojca, zabiję ją.

Olivia nigdy dotąd nie widziała na twarzy przyjaciółki podobnego wyrazu ponurej zawziętości. Złękła się trochę. Nie chciała jednak zaczynać kolejnego kazania.

- Opanuj się nieco, Evie, bo cię to zje od środka - to był jej cały komentarz. - Chodź, zabieramy się do jedzenia. Nie mogę pozwolić, żebyś wróciła do biura taka czerwona i wściekła, bo ludzie pomyślą, że dałam ci w twarz.

Evie zaśmiała się cienkim śmiechem. Napięcie opadło.

- W najśmielszych snach nie przyjdzie im do głowy, że ktoś mógłby to zrobić. Nie wierzą, że ktokolwiek poważałby się podnieść na mnie rękę. No, a już z pewnością nikt spośród nich.

- Chcesz powiedzieć, że wszyscy co do jednego dali się nabrać na twoje groźne miny? - spytała Olivia z ustami pełnymi kanapki z tuńczykiem. - Nikt nie podejrzewa, jaki z ciebie stary mięczak?

Evie wzruszyła ramionami.

- Gdyby ktokolwiek podejrzewał, nie dałabym rady prowadzić biura. Można to robić wyłącznie żelazną dłońią w żelaznej rękawicy - powiedziała, unosząc dumnie podbródek.

- Może mogłabyś wobec tego podpowiedzieć mi, jak wykorzystać tę zasadę, kiedy masz do czynienia z bandą małych przestępców? Świadomość, że znowu będę musiała stanąć oko w oko z trzecią a... Ja tego chyba nie przeżyję.

- E, no chyba nie jest aż tak źle? - Evie nie dostrzegała, w jakim stanie znajduje się Olivia. - Po prostu musisz im pokazać, kto tu rządzi.

- Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić - Olivia wpatrywała się w swoją zupę, czując jak serce podchodzi jej do gardła na myśl, że za cztery dni rzeczywiście będzie musiała stanąć oko w oko z trzecią a, pełną energii po świątach i palącą się wprost do tego, by zamienić jej życie w piekło. Jeszcze większe niż dotąd. - Nigdy nie miałam tego problemu z pięcio- i sześciolatkami - podjęła po chwili. - Ale w zeszłym roku druga nauczycielka gospodarstwa domowego odeszła, a jej następczyni życzyła sobie uczyć starsze klasy. A mnie, ponieważ jestem tylko na półowce etatu, zostały te potworne trzeciaki.

Odłożyła łyżkę. Apetyt, niezbyt dobry od paru dni, zniknął do reszty.

- Jest wśród nich paru małych terrorystów. Wszyscy nauczyciele na nich narzekają, ale tylko ja nie radzę sobie z nimi kompletnie.

- Pewnie ci po prostu cholernie zazdrozczą - powiedziała z przekonaniem Evie. Specjalistka od wydawania rozkazów, nie mogła zrozumieć, dlaczego nieposłuszne dzieciaki sprawiają przyjaciółce tyle kłopotów. Zawsze sobie wyobrażała, że jedno spojrzenie Olivii wystarczy, by w klasie zapanaowała grobowa cisza. Była przecież taka śliczna, miała tak wyniosłą urodę! Wysoka, zbudowana jak modelka, z długimi włosami spływającymi blond falą na ramiona i plecy... O, gdyby Evie dostała od losu taką aparycję, z pewnością jej życie wyglądałoby zupełnie inaczej! Byłoby ucieleśnieniem romantycznej powieści. Słońce, jachty, pałace, rodowe klejnoty... I żadnych debetów na koncie, samotnych wieczorów przed telewizorem, kupowania miesiącami najtańszego mięsa czy adresowania kopert po nocach, żeby dorozić, bo Rosie trzeba było opłacić szkolną wycieczkę do Stratford-on-Avon, miejsca urodzenia Szekspira.

Olivia jednak nigdy nie zrobiła żadnego użytku z kapitału, jakim była jej uroda. Wyglądało nawet, że nie zdaje sobie z niej sprawy. W szkole, w liceum św. Agaty, nosiła jakieś bure szmaty i zamiast zadawać się z bardziej niż ona życiowymi dziewczynami, które umawiały się na randki od piętnastego roku życia, wciąż przyjaźniła się z Evie. W ich życiu aż do ukończenia siedemnastu lat nie było śladu chłopaka. Evie, pulchna trajkotka o apodyktycznym sposobie

bycia, którym maskowała niepewność, rzeczywiście nie otrzymywała żadnych propozycji, więc nie było to z jej strony żadne wyrzeczenie. Ale Olivia? Mogła wybierać i przebierać w całej męskiej populacji. Gdyby chciała. Gdyby nie była tak rozpaczliwie załężniona i przekonana, że jest zerem.

No ale, pomyślała smętnie Evie, czy dziewczyna może być normalna, jeśli ma rodziców- alkoholików? Jeśli pijana matka codziennie się ciebie o coś czepia bez żadnego powodu, trudno wyrosnąć na pewnego siebie człowieka, nawet jeśli dysponuje się urodą, która zwała z nóg.

- Naprawdę tak się boisz powrotu do szkoły? - spytała.

Olivia posępnie pokiwała głową.

- A Stephen aż się trząsał, żeby wrócić do pracy. Pewnie nudzi go siedzenie w domu. - Nie dodała, iż jest przekonana, że nudzi go jej towarzystwo. To było tak oczywiste, jak fakt, że pośrodku twarzy ma nos. Był nią znudzony. Na przyjęciach wolał przebywać z zupełnie obcymi niż z własną żoną. Rozmawiając ze znajomymi o interesach był dziesięć razy bardziej ożywiony, niż kiedykolwiek, gdy słuchał jej... Olivia nagle poczuła, że nie jest gotowa, by ujawnić to wszystko przed Evie. Czuła się w tym momencie zbyt przegrana.

- Ależ na pewno nie jest znudzony - pospieszyła Evie. - Po prostu ma poświąteczną depresję, jak wszyscy.

Olivia z przygnębieniem pokręciła głową. Jeśli Stephen miał depresję, to nie tylko poświąteczną. Przedświąteczną też.

- To nie to. Wczoraj zaproponowałam, żebyśmy sobie zrobili ostatniego dnia przejażdżkę do Howth i zjedli lunch w jednej z tych sympatycznych małych knajpek. Powiedział, że musi przygotować się do pracy i cały dzień siedział z nosem w papierach. Gdyby nie to, że był niezły film w telewizji, chyba bym zwariowała. „Somersby”, z Richardem Gere’em. Uwielbiam go.

Evie westchnęła wymownie na znak, iż dzieli odczucia przyjaciółki, i pomachała ręką w kierunku kelnera, by zamówić kawę. Zignorował ją.

- Spróbuj ty - zaproponowała.

Olivia uniosła swój idealny profil, odrzuciła do tyłu pasmo włosów i spojrzała w kierunku baru. Barman i kelner podbiegli do ich stolika, gotowi spełniać wszelkie życzenia eleganckiej blondynki odzianej w wysokogatunkową perłową wełnę.

- Czy możemy prosić dwie kawy? - uśmiechnęła się uprzejmie. Szaro-srebrzyste oczy pozostały jednak chłodne.

- Jak ty to robisz? - pokręciła głową Evie. - Nie, nie zwracaj sobie głowy odpowiedzią - machnęła ręką z rezygnacją. - Wracając do tematu, powinnaś się była upierać, by Stephen z tobą pojechał. Przesiaduje w pracy tyle czasu, że nic by się nie stało, jakby raz przyszedł nie przygotowany, jak normalny człowiek.

- To prawda. Ale wiesz, jego praca jest taka ważna... - powiedziała Olivia automatycznie.

- Ty i Sasha też jesteście ważne - zaakcentowała Evie, wsypując do kawy odpowiednio dużo cukru, by zapewnić sobie dawkę energii na resztę popołudnia. Nie zwróciła uwagi, że na wzmiankę o Sashy Olivia sposepniała jeszcze bardziej niż dotąd.

Olivia poczuła, że jest bliska płaczu. W tych ogromnych, ufnych oczach pojawia się taki smutek, kiedy mała widzi, że mama jest nieszczęśliwa... Gdyby przynajmniej była dobrą matką! Ale nie, i na to jej nie stać. Dziś rano płakała, przygotowując córeczce śniadanie, bo Stephen wyszedł, trzasnąwszy drzwiami, i nawet jej nie pocałował na pożegnanie. Łzy kapały na grzanki z miodem... Czy można się tak zachowywać wobec czteroletniego dziecka? Co za wstyd! I ona poucza przyjaciółkę, jak powinna postąpić w sprawie ślubu ojca? Przecież sama nie potrafi właściwie postępować w dosłownie żadnej sprawie! Jest głupia, nudna i całkowicie bezużyteczna.

Spuściła głowę, by Evie nie dostrzegła napływających do oczu łez, i ostrożnie pociągnęła parę łyków kawy, która miała temperaturę wrzątku. Trzeba już stąd iść, bo za chwilę kompletnie się rozklei. Będzie wstyd.

- Jasny gwint, zobacz która godzina - spojrzała na zegarek. - Powiedziałam, że odbiorę Sashę najpóźniej za dziesięć trzecia. Nie zdążę. Chodźmy - poderwała się gwałtownie, schwyciła płaszcz i szybko pocałowała Evie w policzek, unikając wzrokiem jej oczu. Głupio, że używa wobec przyjaciółki takiego wybiegu, ale trudno.

- Może podrzucę cię do twojego samochodu? - zaproponowała Evie.

- Nie, nie, to niedaleko - zaprotestowała z niepokojem Olivia. - Szybciutko dojdę. A ty skończ swoją kawę. - I wybiegła.

Tak naprawdę chciałyby usiąść i wypłakać przed Evie wszystkie swoje smutki. Ale to nie był czas ani miejsce. Evie ma własne problemy; czy można dorzucać jej kolejny ciężar? Musi poradzić sobie z tym wszystkim sama.

Znalazłszy się z powrotem przy biurku, na którym widniał pokaźny zbiór karteczek z wiadomościami, Evie poczuła wyrzuty sumienia. Paple i paple bez przerwy o tej nieszczęsnej Vidzie i ojcu, a Olivia? Wybiegła tak nagle... Dopiero teraz uprzytomniła sobie, że przyjaciółka najwyraźniej chciała o czymś pogadać, ale ona, Evie, była tak skoncentrowana na własnych problemach, że nie zwróciła na to uwagi. Jak mogła? Fakt, ma już obsesję na punkcie ślubu ojca. A biedna Olivia znosi to od tak dawna!

Zawstydzona, podniosła słuchawkę i wybrała domowy numer przyjaciółki. Usłyszała niski, nabrzmiały świadomością własnej ważności głos Stephena, informujący, że państwa MacKenzie nie ma w domu i należy zostawić wiadomość po sygnale. „Po sygnale” zostało powiedziane z naciskiem, zupełnie jakby zwracał się do jakiegoś głupka, który nigdy w życiu nie miał do czynienia z automatyczną sekretarką. Ten facet najwyraźniej uwielbiał dźwięk



własnego głosu... Jego protekcyjność i samozadowolenie każdego wpędziłyby w kompleksy, pomyślała ze złością Evie. Olivie wpędzają bez przerwy. Co za pycha! Bez przerwy nawija o swojej pracy i o tym, jaki jest niezastąpiony dla firmy, jakby był co najmniej prezesem.

Nie chciał spędzić ostatniego dnia świątecznej przerwy z rodziną. Bez ceregieli odmówił jazdy do Howth, żeby móc ślęczeć nad papierami... Co za egoista! A przecież i tak całymi tygodniami zostawia Olivie samą. I nic go to nie obchodzi. Zupełnie nie zdaje sobie sprawy, że gra w szczęśliwą rodzinę jest dla Olivii tak szalenie ważna... Przecież sama nigdy takiej nie miała! Zwykłe, codzienne sprawy, jak choćby przejażdżka z mężem czy wspólny spokojny wieczór przed telewizorem przy herbacie i ciasteczkach, a nie kłótnie i wrzaski przy butelce dżinu, to dla Olivii ideał szczęścia. W dzieciństwie nigdy tego nie zaznała, może tylko kiedy bywała u nich, u Fraserów. Właśnie dlatego są sobie takie bliskie. Stephen nic z tego wszystkiego nie dostrzega. Zresztą, jest tak cholernie zajęty własną cholerną karierą, że nawet jakby dostrzegął, nic by go to nie obeszło.

- Liwy - powiedziała (po sygnale, rzecz jasna), używając pieszczołliwego, dziecięcego zdrobnienia - przepraszam, że bez przerwy nawijałam o Vidzie podczas lunchu. Na pewno wywierciłam ci już dziurę w brzuchu. Wybacz mi. Przedzwoń do mnie później, dobrze? Musimy porozmawiać jak należy. Nie padnie ani jedno słowo na temat mojej rodziny, obiecuję. No to pa.

Ledwie odłożyła słuchawkę, uświadomiła sobie, że przecież umówiła się dziś z Simonem na kolację. W domu będzie późno. Cholera jasna! Musi zadzwonić do Olivii jeszcze raz, kiedy będzie pewna, że już wróciła. Wtedy pogadają.

Jednak przez całe popołudnie nie miała dla siebie ani chwili. Kiedy Davis wrócił z lunchu, zawołał ją do siebie i wspólnie przekopywali się przez górę papierów na jego biurku. Wyglądał na zmęczonego, jakby miał za sobą nieprzespaną noc. Jego okrągłe, nabite oblicze było co prawda szersze niż kiedykolwiek po nieuniknionym świątecznym obżarstwie, a potrójny podbródek wylewał się z kołnierzyka koszuli, ale głębokie, żółtawe cienie pod oczami nadawały mu wygląd człowieka chorego. Nie, on po prostu jest chory - uprzytomniła sobie Evie z zaskoczeniem.

- Muszę jeszcze powiadomić paru najważniejszych klientów o zmianach w sposobie księgowania, jakie wprowadzamy od nowego roku - powiedział po godzinie wspólnej pracy, wyraźnie wyczerpany. Odchylił się do tyłu na krześle. Twarz miał mokrą od potu. - Nie mogłabyś sklecić tych listów, Evie? - spojrzął na nią błagalnie. - Wiesz lepiej ode mnie, jak to się robi...

- W porządku - skinęła głową. Pracowała w Wentworth Alarms od dwunastu lat i znała się na prowadzeniu firmy równie dobrze jak on. Asystentką była od siedmiu lat, od chwili, gdy stało się jasne, że marnuje się jako recepcjonistka. - Davis - dodała z wahaniem - może poszedłbyś do domu? Nie wyglądasz najlepiej...

- Wiem - mruknał. - Coś mi zaszkodziło, jeszcze przedwczoraj. Wciąż nie mogę wrócić do siebie.

- Nic dziwnego, zatrucie pokarmowe zwykle jest szalenie uporczywe - pospieszyła Evie, choć nie wierzyła, by było to wyłącznie zatrucie pokarmowe. Wyglądał na tak zmarnowanego, że musiało mu dolegać coś więcej. No, ale skoro Davis życzy sobie, by była przekonana, iż szef cierpi na żołądek, to czemu nie... - Ja tu zajmę się wszystkim, a ty idź spokojnie do domu. A po drodze wstąp do apteki albo nawet do lekarza. Może powinien ci zrobić zastrzyk przeciw mdłościom? To przecież nie zaszkodzi. Rosie często chorowała na żołądek, kiedy była mała, i jedynym ratunkiem był właśnie zastrzyk.

Przez chwilę milczał.

- Dobrze, zrobię jak radzisz - powiedział w końcu.

Kiedy wyszedł, Evie do końca dnia ślezczała nad listami. Nie przestawała równocześnie myśleć o szefie. Coś z nim było nie tak, to jasne. Nigdy nie należał do najzdrowszych, ale dziś... Stukała w klawiaturę, odbierała telefony, a równocześnie przez cały czas nie opuszczała jej troska. Davis niedawno owdowiał i nie miał nikogo, kto by się o niego martwił. Cała nadzieja, że lekarz zauważy, w jakim jest stanie, i zrobi odpowiednie badania.

Słyszając, że Lorraine wyłącza z westchnieniem ulgi komputer, spojrzała na zegarek. Piąta dwadzieścia pięć. Trzeba się śpieszyć, jeśli ma przebić się na czas do Simona przez zakorkowane ulice... Przedtem jednak musi zadzwonić do Olivii.

Jedną ręką sięgając po płaszcz, drugą wybrała równocześnie znajomy numer. Po paru sygnałach znowu usłyszała, jak włącza się sekretarka. Dziwne... O tej porze Olivia zawsze stała przy kuchni i przygotowywała kolację dla Stephena. Gotowała wręcz znakomicie - ilekroć Evie zdarzyło się wpaść do niej po drodze do domu, czuła zapachy, które pokonałyby najzagorzalszą zwolenniczkę diety. Olivia nie należała do kobiet, które podają na kolację parówki... Na widok jej wspaniałych, wielopiętrowych dań człowiek z miejsca zaczynał się ślinić niczym pies Pawłowa.

Niestety, w połowie przypadków te wspaniałości wędrowały do lodówki, bo Stephen nigdy nie wracał do domu na czas. No, niechby to Evie była jego żoną... Kolacja wylądowałaby w pojemniku na śmieci - albo na jego twarzy, gdyby spóźnił się po raz dziesiąty z rzędu.

Skrzywiła się, słysząc ponownie jego głos.

- Wybacz, Olivio, ale wprowadziłam cię w błąd - powiedziała. - Idę dziś wieczorem do Simona i nie będzie mnie w domu. Wobec tego zadzwoń jutro, ale koniecznie. Pogadamy. Trzymaj się. I głowa do góry.

Dlaczego dodała to „głowa do góry”? Przecież Olivia wcale nie powiedziała, że jest załamana czy coś w tym rodzaju... A jednak coś jej mówiło, że była.

Olivia stała przed lustrem w sypialni. Słyszała dochodzący z hallu dzwonek telefonu, a potem głos Evie, ale nie ruszyła się z miejsca. Stała, wpatrując się we własne odbicie. Matka miała rację, jest blada jak śmierć. Przydałoby się coś, co by dodało jej kolorów. Może operacja plastyczna? A jeszcze lepiej zastrzyk osobowości.

Ludzie często twierdzili, że jest ładna. Właściwie każdy to mówił. I co z tego? Sama aparycja nic nie znaczy. Nie było w niej żdźbła szacunku dla urody, którą jakoby dysponowała. Przecież nie zdobyła jej własnym wysiłkiem, nie zapracowała na nią... Doprawdy, wolałaby być dowcipna i pełna życia jak Rosie. Albo mądra i miła jak Evie.

Wysokie kości policzkowe. Idealny wykrój ust. To wszystko. Nic się za tym nie kryje. Ładna fasada bez wewnętrznego światła i tego czegoś, co sprawiałoby, że byłaby interesująca dla ludzi jako osoba.

Naprawdę ładna jest Evie. Kobięca, ciepła. Ten mały nosek, ten płynny chód z leciutkim kołysaniem biodrami... Ale to nie dlatego Simon ją kocha. Kocha ją, bo jest kimś. Ma osobowość, ma życiowy napęd. Uroda naprawdę nic nie pomoże, jeśli człowiekowi brakuje tych rzeczy. A jej, Olivii, właśnie ich brakuje. Nawet własny mąż nie jest w stanie się nią zainteresować. Traktuje ją zgodnie z tym, czym naprawdę jest: piękną, chłodną lalką, która służy wyłącznie do dekoracji domu.

- Mamo - odezwał się dziecięcy głosik. W drzwiach sypialni stała Sasha. Jej oczy były większe niż kiedykolwiek. - Emily pomazała kanapę flamastrami. Różowym - dodała. - Mówiłam jej, że nie wolno wynosić flamastrów z mojego pokoju, ale ona nie posłuchała.

Olivia poczuła, że robi się równie biała, jak bezcenne skórzane kanapy Stephena. Ten cholerny tusz z flamastrów był niemal niemożliwy do wywabienia... Stephen dostanie szału, kiedy zobaczy. Jedyna nadzieja, że uda się jej usunąć ślady przed jego powrotem. Modliła się w duchu, żeby były niewielkie i nie rzucały się zbyt mocno w oczy.

- Nie martw się, córeczko - schyliła się, żeby pocałować dziecko w czoło. - Damy sobie z tym radę.

Sasha nie wyglądała jednak na przekonaną.

- Tata będzie się złościł - powiedziała. W oczach miała lęk.

- Nie będzie. Zobaczysz - Olivia starała się, by w jej głosie było możliwie najwięcej spokoju i pewności siebie. Wzięła dziecko za rączkę. - Pokaż mi te ślady. Zaraz się do nich zabierzemy.

Jadąc do Simona, Evie znowu śniła na jawie.

Miała na sobie wspaniałą wieczorową suknię i futro z ocelotów. Wcale nie wyglądała w nim jak pluszowy miś. Wyglądała jak gwiazda filmowa w drodze na premierę, piękniejsza niż Sharon Stone i równie niedostępna.

- Czy pozwoli pani futro, madame?

W głosie była typowa dla całej jego osoby elegancja i kultura. Uroczysty smoking, który nosił z taką niewymuszoną swobodą, kontrastował jednak z niekonwencjonalną fryzurą: półdługie, lekko wijące się włosy sięgały kołnierzyka, rozsypując się po silnym męskim karku. Ubiór nieznanego był pod każdym względem konserwatywny, ale te smoliste loki i intensywny blask czarnych oczu ukazywały inną stronę jego natury. Dzikszą i bardziej niebezpieczną.

Evie z wdziękiem zwróciła ku niemu głowę.

- Nie, dziękuję. Zostanę w futrze. Wieczór robi się chłodny.

Tu, na balkonie tego majestatycznego budynku położonego nad Jeziorem Genewskim rzeczywiście czuło się chłód. Pod futrem miała nagie ramiona: suknia z czarnego jedwabiu trzymała się wyłącznie na cieniutkich jak sznureczki ramiączkach. Zadrżała.

Nie była pewna, dlaczego tu się znajduje, dlaczego zgodziła się przyjąć z jego rąk zaproszenie od księcia Romulo na przyjęcie, które wydaje dziś wieczorem. Przecież zupełnie nie знаła tajemniczego księcia.

Znajomi, którzy także otrzymali zaproszenie na dzisiejszy wieczór, skwapliwie poinformowali ją, że to playboy. Nie wiadomo było dokładnie, co to oznacza... Evie zadrżała ponownie, świadoma, iż ten przystojny mężczyzna w czerni bez przerwy bacznie się jej przygląda.

- Zapraszam do środka. Zmarzła pani.

- Zbyt wiele tam hałasu - powiedziała, myśląc o sali wypełnionej tłumem ludzi, z których każdy aż się palił, by poznać gospodarza przyjęcia.

- Na piętrze jest nieco spokojniejszy pokój - wskazał dłonią spiralne schody z boku balkonu, skryte w gałęziach laurowego drzewa, rosnącego w ogromnej donicy.

- Czy będziemy mogli czuć się tam jak w domu? - spytała Evie, unosząc jedną brew.

- Przecież to mój dom - odparł. - Księżę Romulo to ja. Zorganizowałem to przyjęcie wyłącznie po to, żeby panią poznać...

Evie lubiła dom Simona w centrum miasta. Lubiła pastelowe ściany, kolekcję płyt z muzyką klasyczną doniczkowe rośliny, które tak starannie pielęgnował, jasnej barwy dywany w każdym pokoju... Jedyne łazienka wyłożona białymi kafelkami była trochę za szpitalna jak na jej gust.

Nie łudziła się, naturalnie, że Rosie będzie kiedykolwiek pasować do tego wnętrza. Nieskazitelnym kawalerski ład nie komponował się z wizją płaszczka ciśnietego na poręcz krzesła, kolorowych magazynów pozostawionych na każdej dostępnej powierzchni, a w umywalce włosów po goleniu łydek... Nie do pomyślenia też było, by Rosie wylegiwała się tu, tak jak lubiła, na sofie, równocześnie jedząc płatki śniadaniowe, oglądając telewizję i rozmawiając przez telefon z przyjaciółkami.

Nie uzgodnili jeszcze ostatecznie z Simonem, jak rozwiążą po ślubie kwestię wspólnego zamieszkania. Jego dom był za mały dla trojga osób, to jasne. Z drugiej strony jednak nie mogła też sobie wyobrazić, by Simon wprowadził się do niej...

Im dłużej o tym myślała, tym bardziej była przekonana, że powinni sprzedać oba domy i kupić coś innego. Nie jakąś dużą nieruchomością, skądże znowu. Nie zniosłaby świadomości, że są zadłużeni. Co by się stało, gdyby Simon, nie daj Boże, umarł? Albo gdyby ją opuścił? Zostałaby sama, zdana tylko na siebie. Dokładnie tak, jak siedemnaście lat temu... Aż wstrząsnęła się na wspomnienie tych chwil.

- Evie! - Simon, w ogromnym rzeźnickim fartuchu na białej koszuli, otworzył powitalnie drzwi. Bez krawatu, z rozpiętymi pod szyją dwoma guzikami, miał chłopięcy, bezbronny wygląd. Zwłaszcza z tymi sterczącymi gdzieniegdzie kosmykami włosów - najwyraźniej przegamiał je w zaaferowaniu dłońią - można było dać mu raczej trzydzieści jeden, niż czterdzieści jeden lat.

Wspięła się na palce, by pocałować go lekko w usta. Wyczuła słabą woń cebuli.

- Co przyrządzasz? - spytała, podążając za nim do kuchni. Była utrzymana w bladzielonej tonacji.

- Pieczonego kurczaka, frytki i krążki cebulowe smażone w głębokim oleju - odparł. Okulary miał zaparowane - zapewne wpatrywał się w patelnię, kontrolując stopień wysmażenia krążków oraz frytek.

- Świetnie - powiedziała Evie, myśląc równocześnie z niepokojem o wartości kalorycznej potraw smażonych w głębokim tłuszczu. Mówiła Simonowi, że strasznie jej zależy na zrzuceniu paru kilo, ale tak się palił, by wypróbować specjalną patelnię, którą matka podarowała mu na gwiazdkę, że chyba o tym zapomniał.

Mimo wszystko miło jest być rozpieszczaną, mieć kogoś, kto przygotowuje dla ciebie kolację... Rosie nigdy się na to nie zdobywała, a jeśli już, to były to jakieś ziarenka na grzance. A na deser jogurt.

- Nie mamy czasem frytkownicy do jabłek? Usmażylibyśmy je w głębokim tłuszczu na deser, żeby utrzymać się w stylu - zachichotała, obejmując Simona od tyłu ramionami. Zaśmiał się.

- Nigdy wcześniej o tym nie myślałem ani nie miałem takiego przyrządu. Nic na to nie poradzę, ale kiepski ze mnie kucharz - dodał ze skruchą. Odsunął lekko Evie i pospieszył ku piecykowi, by odwrócić piekącego się kurczaka.

- Simon! Przecież on pływa w tłuszczu - wykrzyknęła. - Większość trzeba odlać, inaczej kurczak będzie obrzydliwy!

- Nie miałem pojęcia, ile dać tego tłuszczu - wymamrotał Simon. Niezręcznie trzymał blachę dwiema straszliwymi, podobnymi do homarów

rękawicami w kolorze różowym. - Nigdy nie robiłem całego kurczaka, tylko piersi.

- Daj, ja to zrobię - Evie wprawnie przejęła z jego rąk ciężką blachę. - Trzeba było pomyśleć o czymś prostszym - zbesztła go, ratując kolację od powodzi.

- Chciałem zrobić na tobie wrażenie - Simon stał z nieszczęśliwą miną obok zlewu, wciąż w tych swoich krabopodobnych rękawicach. - Przecież nie mogę za każdym razem, kiedy masz przyjść, zamawiać chińskiego zarcia na wynos.

Wyglądał tak nieszczęśliwie, że złagodniała.

- Wcale nie potrzebujesz robić na mnie wrażenia - powiedziała zdecydowanie.

Po kolacji usiedli przed telewizorem. Ramię Simona otaczało plecy Evie. Oparła się wygodnie o jego pierś, zrzuciła pantofle i podwinęła nogi pod siebie. Skakali po kanałach, dopóki Simon nie natrafił na dokumentalny program o najbardziej emocjonujących wyścigach samochodowych wszechczasów. Ponieważ samochody istniały na świecie dopiero od stu lat, Evie uznała tytuł programu za zwodniczy. Nic jednak nie powiedziała. Wyścigi samochodowe nudziły ją.

Po piętnastu minutach poczuła, że widziała już tyle kłębów spalin wypływanych przez gwałtownie przyspieszające corvetty, iż starczy jej chyba do końca życia. Przynęła się jeszcze bliżej do Simona, wsunęła palce za kraweź jego kołnierzyka i zaczęła leciutko muskać nagą skórę.

Powoli odpięła guziki i sięgnęła dłońmi nieco niżej. Tors, brodawki... Simon ani drgnął. Kiedy ukryła twarz na jego nagiej piersi i nadal nie było żadnej reakcji, dała spokój. Odsunęła się i spojrzała na niego rozdrażniona. Wpatrywał się w telewizor, całkowicie pochłonięty akcją i chyba nawet nie zdawał sobie sprawy, że ona tu jest.

Evie, zniechęcona, wstała, złapała jakąś gazetę i usiadła z dala od niego. Nie wiadomo, po co w ogóle zaczynała... Siedzieli w milczeniu przez kolejne pół godziny, dopóki Simon nie uznał, że ma ochotę na kolejną filiżankę herbaty.

- Zrobić ci też, kochanie? - spytał troskliwie. Najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, jaka jest zła, mimo że na twarzy ma wyraz lodowatej obojętności.

- Nie - odparła nadąsana.

- Jeśli zmienisz zdanie, zawołaj - zachęcił narzeczoną, nieświadomy jej nastroju, i skierował się do kuchni. - Będę się spieszył, bo za chwilę zaczyna się ten nowy program o zabójstwach w trakcie kłótni. Zapowiedzi były fascynujące. Wiesz, pokazywali tego faceta, który trzy razy dostał odroczenie wyroku i wciąż apeluje...

Gdyby Evie zdecydowała się na herbatę, z pewnością by się nią udławiła. Zabójstwa w trakcie kłótni... No tak, Simon jest przecież wielbicielem

telewizji amerykańskiej. Ma wszystkie kanały satelitarne i nigdy nie pominie żadnego programu dokumentalnego o zbrodniach. Filmy go nie interesowały i nigdy nie włączała kanału, który Evie uwielbiała - tego, na którym szły powtórki romantycznych telenowel. A raczej uwielbiałaby, gdyby mogła sobie na to pozwolić. Dotąd nie miały telewizji satelitarnej, choć Rosie od dawna błagała matkę o antenę.

- Przecież wszyscy mają kanały filmowe - jęczała codziennie od ponad roku.

W końcu Evie prawie się poddała. Nie chciała, by ukochana córka nie miała czegoś, co mają jej rówieśnicy, nawet jeśli oznaczałoby to, że nie będzie w stanie kupić sobie zimowego płaszcza. Wtedy jednak intensywność próśb Rosie jakby zmaląła.

- Co ci się stało? - Evie była zdezorientowana. - Przecież mówię ci, że już możemy sobie pozwolić.

Rosie wzruszyła ramionami.

- To dobre dla dzieci. A ja teraz i tak częściej będę wychodzić wieczorami...

Przerwa na reklamy skończyła się i zaczął się program Simona.

- Pośpiesz się! - krzyknęła w kierunku kuchni. - Bo ci uciekniesz!

Była dziewczątą. Równie dobrze mogła pójść do domu. Miała zamiar zostać do dziesiątej, ale właściwie po co, skoro on będzie gapił się jak zahipnotyzowany na rodzinne kłótnie ze skutkiem śmiertelnym? W domu przynajmniej posprząta i przygotuje się na jutro do pracy.

Simon postawił na stoliku tacę z dwiema filiżankami herbaty i paczką swoich ulubionych ciastek. Pochylił się i pocałował ją w czoło.

- Powiedziałaś wprawdzie, że nie chcesz, ale zrobiłem ci na wypadek, gdybyś zmieniła zdanie. - Pocałował ją jeszcze raz. - Ktoś musi cię rozpieszczać, a ja uwielbiam to robić.

Niezdolna wymówić słowa, uśmiechnęła się z wdzięcznością, natychmiast zapominając o domu. Jaki on jest dla niej dobry...

Siedzieli przytuleni, pogryzając biszkopty i oglądając ponure historie o amerykańskich przestępcach. Simon pochylił się, zdjął jej pantofelki i zaproponował, by położyła nogi na kanapie. Wyciągnęła się wygodnie i z zadowoleniem oparła o niego plecami.

Dziesięć minut starannego czyszczenia zmywaczem do skór nie przyniosło rezultatu; kolejne piętnaście z użyciem mleczka do twarzy także nie. Olivia była pewna, że mleczko nie nadaje się do skóry, ale machnęła na to ręką. Użyłaby nawet wybielacza do tkanin, gdyby przypuszczała, że to coś pomoże... Na bieli kanapy wciąż widniało kilka wściekle różowych kresek. Stephen eksploduje.

Gdyby małej Emily zdarzyło się zostawić ten nieszczęsny flamaster gdzie indziej, a nie na bocznym oparciu, o które zwykle wspierał się Stephen, kiedy oglądał telewizję... Nie sposób było nie zauważyć tych plamek. No, chyba że Oliwia rzuciłaby się na kanapę i nie wstawała z niej przez cały wieczór. Inaczej rozpęta się piekło.

Z pewnością istniała jakaś skuteczna substancja czyszcząca, przeznaczona specjalnie do skórzanych obić. Dziś wieczorem Olivia nie była jednak w stanie wyskoczyć do miasta i poszukać w sklepach czegoś takiego. Dopiero jutro. A zatem musi jakoś ukryć do jutra tę nieszczęsną plamkę.

Przyjechała matka Emily, Carol, drobna czterdziestolatka o świeżej cerze. Była jak zwykle w bluzie i dżinsach, z ciemnymi włosami związanymi w koński ogon. Zobaczywszy w salonie cały arsenał środków czyszczących, rozstawionych wokół kanapy, natychmiast pojęła, co zaszło i kto odpowiada za zbezczeszczenie skandynawskiej kanapy wartej parę tysięcy funtów.

- Jezus Maria - zakryła usta dłońmi. - Olivio, tak mi przykro. Naprawdę, nie wiem co powiedzieć.

- Nie przejmuj się, Carol - powiedziała Olivia tak lekko, jakby pogody jej ducha nie mąciła najłżejsza troska.

- Ale taka piękna kanapa...

- Tata Sashy będzie się złościł - uderzyła w płacz Emily, przejęta aferą jaką wywołała.

- No właśnie - Sasha niebezpiecznie pociągnęła nosem, najwyraźniej też gotowa do płaczu. - Będzie się strasznie złościł na mamę i na mnie... - ostatnie słowo rozpląnęło się we łzach.

- Ależ co wy, dziewczynki - powiedziała pogodnie Olivia. Nachyliła się i przygarnęła dzieci do siebie.

- No to będzie czy nie? - Carol była zdezorientowana.

- Boże, no skąd - zełgała śmiało Olivia, mając nadzieję, że na jej twarzy nie pojawia się zdradziecki rumieniec. Za nic w świecie nie chciała dopuścić, by Carol myślała, że Stephen jest jakimś tyranem. - Przecież on jest taki wrozumiały... To ja dostaję szału na widok byle plamki - brnęła dalej w kłamstwa. - Ale Stephen? To taki poczciwy miś... A już na Sashę z pewnością by się nie złościł o nic.

- Zupełnie jak mój George - powiedziała Carol. - Ile to razy próbowałam mówić Emily „poczekaj, niech no tata wróci do domu”... Mój skarb bardzo szybko się zorientował, że to czeź pogroźki. George nie przejąłby się, nawet gdyby dzieci rozwaliły dom. Och, ci mężczyźni...

- No właśnie - zawtórowała słabo Olivia. - Mężczyźni w ogóle nie przejmują się czymś takim jak meble.

- Chyba lepiej będzie, jak zostawisz na razie tę plamę i zawołasz jakiegoś fachowca, żeby ją wyczyścił - poradziła Carol. - Ja pokryję wszelkie koszty. To przecież dzieło Emily - potargała lekko córeczkę za włosy. Dziecko znów zapłakało.



- W życiu na to nie pozwolę - powiedziała Olivia zdecydowanie. - To moja wina, bo powinnam była je przypilnować, żeby nie wychodziły z kuchni z flamastrami w rękę. Absolutnie się nie przejmuj.

Kiedy Carol i Emily wyszły, Olivia przykucnęła obok córeczki.

- Tata nie będzie się złościł - powiedziała łagodnie. - Obiecuję ci to.

Dziecko nie wyglądało na przekonane.

- Chodź, włączmy sobie wideo - zaproponowała Olivia. - Co byś powiedziała na przykład na „Małą syrenkę”?

Nieco pocieszona, Sasha usiadła przed telewizorem z ulubioną przytulanką, popielatym królikiem imieniem Muffy. Olivia z ciężkim sercem wyniosła z pokoju zmywacze i mleczka. Wszystkie preparaty, jakimi dysponowała, okazały się nieskuteczne. Takie były fakty, niestety.

Rozpaczliwie poszukiwała jakiegoś wyjścia. Wtem przyszedł jej do głowy pomysł: zamieni kanapy miejscami. Stephen usiadł na niezniszczonej, a tamtą drugą czymś się przyrzuci w właściwym miejscu. Swetrem, na przykład. Otóż to.

Trzy godziny później Stephen wrócił do domu, zmęczony i głodny. Nie był w nastroju do rozmowy. Przy kolacji czytał gazetę.

- Wszystko w porządku? - spytała Olivia, czuwająca w pobliżu z rondlem ziemniaczanego puree, na wypadek gdyby chciał dokładkę.

- Tak - rzucił krótko i wrócił do gazety.

Olivia nałożyła sobie niewielką porcję i zaczęła ją bez zapału dziobać widelcem. Gdyby w ogóle nie jadła, Stephen mógłby to zauważyć i wyczuć, że coś się stało.

Na razie wydawał się zanadto pogrążony w lekturze, by zauważyć cokolwiek. Po kolejnych dziesięciu minutach milczenia wstała i po cichu wyrzuciła zawartość własnego talerza do śmieci. Jaka szkoda, że Stephen w ogóle nie brał pod uwagę możliwości, by kupić Sashy małego pieska, o którym tak marzyła. Tyle żywności się marnowało. Przynajmniej pies by zjadł.

Sprzątnęła ze stołu talerz Stephena i postawiła przed mężem tacę z jego ulubioną szarlotką. Taca zniknęła za gazetą, a po pięciu minutach wyłoniła się ponownie. Pusta.

Olivia wstawiła talerze do zmywarki i już miała spytać Stephena, czy nie ma chęci na kawę, gdy zdała sobie sprawę, że męża nie ma w kuchni. Zatrzaśnięta zmywarkę i rzuciła się za nim.

Sweter spoczywał, artystycznie udrapowany, na właściwej kanapie w właściwym miejscu. Stephen rozwalał się nieco mniej artystycznie na drugiej. Obok niego na podłodze leżała zmięta gazeta. W telewizji leciał sport.

- Chcesz kawy? - spytała.

- Nie - odparł szorstko. - Wypiłem już dziś chyba z dziesięć filiżanek i mam potąd kofeiny - przejechał wskazującym palcem w poprzek czoła. - Jeden idiota schrzanił transakcję z Hongkongiem i straciliśmy cały dzień, żeby

wyprostować sprawy. Co nie znaczy, że są już wyprostowane - parsknął. - Jutro znowu będę nad tym siedział.

I tyle. To była cała ich małżeńska rozmowa na dziś. Stephen wrócił do oglądania telewizji, nieustannie zmieniając kanały, żeby sprawdzić, co jest na pozostałych.

Olivia podniosła porzuconą przez niego gazetę i usiadła na drugiej kanapie, uważając, by nie zmienić położenia swetra. Milczeli przez następne pół godziny. Wreszcie Stephen odezwał się - wyłącznie po to, by ją poinformować, że napiłby się wina.

- Może byś przyniosła?

Wypił dwa kieliszki, po czym wyłączył telewizor.

- Idziemy spać.

Przed pójściem do sypialni zajrzała jeszcze do Sashy. Wszystko w porządku. Zgasiła światło w łazience. Stephen siedział na łóżku i rozpinał koszulę. Muskularną pierś pokrywały skręcone ciemne włosy, całkiem jak te, które miał na głowie. Oczy były niemal czarne z pożądania.

Przyciągnął ją do siebie i zagarnął ustami jej usta. Potem zszedł niżej, ku szyi.

- Boże, jaka ty jesteś piękna - wymruczał, ściągając niecierpliwie jej sweter i odsłaniając niewielkie piersi w obramowaniu wykwintnego kremowego biustonosza z jedwabnej koronki, który kupił jej na gwiazdkę. Pieścił ją natarczywie poprzez tkaninę biustonosza, wreszcie udało mu się go odpiąć. Cisnął miękką szmatkę na bok.

Objął ustami pierś i zaczął ssać. Olivia zawsze to uwielbiała. Te ognie, jakie pieszczota budziła w jej ciele... Ale dzisiaj nie czuła nic.

Leżała na łóżku jak lalka, którą zresztą przecież była. Jak pozbawiony życia marmurowy posąg, służący do dostarczania przyjemności. I do niczego poza tym.

- Jesteś taka piękna. Mógłbym patrzeć na ciebie całymi godzinami - głos Stephena był nabrzmiały pożądaniem.

Szybko ściągnął z niej resztę ubrania. Wstała, by zdjąć rajstopy.

- Chwileczkę - przytrzymał dłońmi jej talię. Stała przed nim półnaga. Ogarnął ją łakomym wzrokiem.

- Mógłbym patrzeć na ciebie całą noc - powtórzył. Po chwili uśmiechnął się. - A może i nie? - i pociągnął ją na łóżko, nakrywając własnym ciałem.

Potem zasnął, wyczerpany wysiłkiem. Olivia leżała obok niego i wpatrywała się niewiążącym wzrokiem w przeciwległą ścianę. Kiedy jego oddech się pogłębił, wysliznęła się z łóżka i przemknęła do pokoju Sashy. Z kciukiem w buzi, leżała głęboko uśpiona, wędrując przez krainę snów, gdzie tatu-siowie nigdy się nie złością, a mamusie nigdy nie są przygnębione i smutne. Ach, jak Olivia chciałyby znaleźć się tam razem z nią...



adźwiczął dzwonek u drzwi. Cara, rozwalona przed telewizorem na jedynym fotelu, który w ogóle miał jeszcze jakieś sprężyny, nie ruszyła się z miejsca.

- To na pewno do ciebie, Phoebe! - wrzasnęła w kierunku łazienki, gdzie współmieszkanca wyczyniała cuda z użyciem całego arsenału kosmetyków na cześć jego wysokości pana waluciarza, przybywającego z pierwszą wizytą do Pałacu Chaosu.

- Otwórz, Cara - zasyczała Phoebe, uchylając drzwi łazienki. Wionęły przez nie jakieś niebiańskie wonie wraz z kłębamii pary. - Jestem w majtkach.

- O, to na pewno mu się spodoba - mruknęła Cara, zwlekając się z fotela. Przez cały odcinek serialu „Eastenders” usiłowała tak ułożyć jedyną poduszkę, jaką miały, by to, co sterczało z fotela, nie uwierało ją w plecy. Teraz na pewno nie uda jej się odnaleźć tej jedynej właściwej pozycji, a miała jeszcze przed sobą pełnometrażowy film.

Podreptała w skarpetkach ku drzwiom, ścierając po drodze z podłogi kropelkę odżywki do włosów, która skapnęła jej spod foliowej osłony na głowie. Była to specjalna odżywka, zawierająca gorący olej, którą należało trzymać na głowie przez godzinę. Wyglądała w tym zawoju niczym postać ze „Star Trek”, ale Phoebe przysięgała, że preparat czyni cuda.

- O, cholera - zaklęła, otworzywszy drzwi.

Stał w nich atleta o twarzy Adonisa. W ręce trzymał sześciopak, obszarpany wełniany szal oraz torbę foliową. Patrzył na nią, trzepocąc długimi czarnymi rzęsami, i strząsał śnieg z jedwabistych ciemnych włosów.

- To znaczy... cholera jasna, nie słyszałam dzwonka - powiedziała jak głupia, bezwiednie sięgając dłonią do swojej szczególnej fryzury. - Długo pan dzwonił?

- Tylko raz - Adonis wyglądał na zdezorientowanego. - Ty jesteś Cara, tak?

Skinęła głową, wciąż nie mogąc oderwać oczu od klasycznych rysów i pełnych, zmysłowych ust, rozczulająco spierzchniętych z powodu mrozu.

- A ja jestem Ricky.

Wyglądał, jakby tylko co zszedł z boiska, na którym rozgrywał międzynarodowy mecz piłki nożnej. Był w szczytowej formie fizycznej: cera bez skazy, lśniące oczy, falujące, świeżo umyte włosy... Wytarte dzinsy, tak obciśnięte, że groziło mu chyba odcięcie dopływu krwi do kończyn dolnych, uwydatniały jego uda fiitbolisty. Na szyi miał malutki krzyżyk na złotym łańcuszku, a pod kurtką z ciemnej wełny - niezapiętą białą koszulę, pomimo że temperatura była raczej arktyczna.

Cara zdawała sobie sprawę, że ma wciąż otwarte usta, ale nic na to nie mogła poradzić. Chłopak Phoebe? Był po prostu rewelacyjny... Absolutnie re-we-la-cyj-ny.

Zmusiła się do zamknięcia jamy ustnej.

- Wejdz.

Wszedł do miniaturowego hallu i zdjął kurtkę. Wychyliwszy się, by zamknąć drzwi, Cara automatycznie skierowała spojrzenie na jego pośladki, obciągnięte pokrytą sprayem dżinsową tkaniną. No tak. Równie perfekcyjnie jak cała reszta: twarde, napięte, co dodatkowo uwydatniały smukłe biodra. Uff!

- Dalej, proszę - wskazała swobodnym gestem pokój, jakby to było pomieszczenie pałacowe, a nie połączenie kuchni i saloniku, wyposażone w zjedzoną przez mole sofę, dwa wyświechtane fotele oraz kolekcję czasopism i gazet, zalegających całymi stosami stół o szklanym blacie w centrum pokoju. Zbyt była oszołomiona faktem, że zastał ją w folii na głowie, by przejmować się stanem mieszkania.

- Przyniosłem piwo - powiedział Ricky i obdarzył jąśmiechem, od którego stanęło jej serce. Ach, czemuż ma na sobie najstarsze i najbardziej niechlujne dżinsy oraz bluzę, w której wracała dziś rano z Ballymoreen, w autobusie, którego wnętrze przypominało pudełko sardynek?

- Włożę je do lodówki - powiedziała automatycznie. - Chociaż - zachichotała - tak tu zimno, że nie wiem, czy to konieczne.

Cara, ty kretynko - skarciła się w duchu, wstawiając do lodówki przyniesione przez Adonisa piwo wraz z resztkami ich własnych świątecznych procentów. - Ty chichoczesz? Wystarczyło, że do pokoju wszedł przystojny mężczyzna, a ty już chichoczesz jak pierwsza lepsza blond idiotka z zerowymi kwalifikacjami, za to z doktoratem w dziedzinie uwodzenia płci męskiej... Uch!

- Może napalę w kominku? - zaofiarował się Ricky.

I w dodatku uczynny... Cara gotowa była zemdleć z wrażenia, tylko nie wiedziała, jak to się robi.

- Jasne. Świetny pomysł. Tylko wiesz, skłonić te brykiety, żeby się paliły...

- Żadna sprawa - myślą był już wyłącznie przy kwestii kominka.

- Powiem Phoebe, że jesteś.

Starła się opuścić pokój z maksymalną gracją, na jaką tylko można się zdobyć, mając na głowie foliowy pakunek z pełną gorącego oleju odżywką. Otworzyła drzwi łazienki i znikła w kłębach pary.

- Nic mi nie mówiłaś, że on jest taki - powiedziała świszczącym szepem, gdy tylko zderzyła się z Phoebe, co nastąpiło dość szybko. Nic dziwnego - na powierzchni metr osiemdziesiąt na metr pięćdziesiąt prawdopodobieństwo zderzenia było wysokie.

- Ależ mówiłam, mówiłam - uwaga Phoebe była skupiona na właściwym włożeniu rajstop.

- Czy on ma jakichś braci? - spytała Cara, przecierając fragment lustra, by sprawdzić, jak dalece ohydnie wygląda.

- Nie. Ale ma wielu kolegów.

- Jeśli wszyscy wyglądają tak jak on, idę z tobą na następną randkę. Szczęściara - dodała.

Phoebe uśmiechnęła się promiennie. Spędziła długie godziny na suszeniu nawiniętych na lokówki włosów. Opadały wokół twarzy burzą miękkich loków, maskujących jej okrągłe policzki dojrarki. W krótkiej koronkowej spódniczce, lśniących czarnych rajstopach i obcisłym topie w kwiatowy wzór wyglądała olśniewająco, choć żaden z tych wspaniałych ubiorów nie nadawał się do noszenia w pokoju, w którym nie było centralnego ogrzewania. Niemniej Cara wyraziła swój zachwyt.

- Myślisz? - Phoebe wpatrywała się krytycznie w lustro, manipulując równocześnie przy ramiączku stanika, żeby jeszcze bardziej uwydatnić biust.

- Jasne. Wyglądasz odlatowo. Rzuci się na ciebie, jak tylko cię zobaczy. Może powinnam gdzieś wyjść, żebyście mogli zabawić się we dwoje?

- Nie - powiedziała zdecydowanie Phoebe. - Będziemy wszyscy oglądać „Przeminęło z wiatrem”. Powiedziałam mu, że to będzie domowy wieczór. On też jest bez kasy, więc nie mogliśmy sobie pozwolić na knajpę.

- Zmyję to już z włosów - Cara nachyliła się nad wanną i sięgnęła po prysznic.

Scarlett zdążyła poślubić biednego Charlesa Hamiltona i zamieszkać na złość Ashleyowi w Atlancie, zanim Cara zdołała wreszcie wrócić do pokoju. Włosy miała jeszcze częściowo wilgotne, ale przebrała się w świeżą bluzę i spryskała perfumami Phoebe. Właściwie nie wiedziała, dlaczego jej tak zależy, żeby się jakoś prezentować. Ricky był chłopakiem Phoebe, a Cara wolałaby raczej przebiec się na golasa wokół Leinster Square, niż odbić faceta koleżance. Kiedy jednak pojawił się w drzwiach i zastał ją w stanie nasuwającym uzasadnione podejrzenia, iż spędziła dzień pracując w cegielni, a następnie wykapała się w indyjskim tłuszczu, poczuła się upokorzona. Nie chciała, by ten przystojniaczek pomyślał, że jest jakąś tleją, która sądzi, iż mydło jest na kartki.

Tym bardziej, że Phoebe dołożyła takich starań, by zmienić własny image... Dotychczas jej mundurem były dzinsy i bluza, zupełnie jak w przypadku Cary. No, chyba że siedziała właśnie w bankowym okienku, wypłacając pieniądze właścicielom budek z frytkami... Po domu obie nosiły stare obszarpane dresy i wyglądały, jakby zeszyły z planu sitcomu, którego akcja rozgrywa się w szpitalu.

Cara wyjęła z lodówki butelkę becka i wśliznęła się z powrotem na swój fotel. Futrzana poduszka robiona na leoparda zniknęła - podpierała teraz rzymską głowę Ricky'ego, znajdującą się bardzo blisko wdzięcznej główki Phoebe. Męska dłoń spoczywała na jej roztaczającym blaski kolanie, a długie palce sięgały pod rąbek rozkosznie krótkiej spódniczki. Mogłaby się założyć o swoje

tygodniowe zarobki, że niedługo zarówno palce, jak i cała dłoń powędrują ukradkiem w górę... Na tę myśl poczuła nieznane dotąd ukłucie zazdrości.

Umościła się w fotelu. Odwrócił głowę i spojrział na nią.

- No i jak tam akcja? Co się dzieje? - spytała z ożywieniem.

- Nic takiego - w głosie Ricky'ego była nutka znudzenia.

Spojrzała na niego ostro. Co to znaczy: nic takiego? Przecież mowa o wspaniałym filmie, jednym z jej ulubionych.

Łyknęła piwa i spróbowała się skoncentrować. Minęło jednak zaledwie kilka minut, a dłoń Ricky'ego podjęła ostrożną wspinaczkę po udzie Phoebe. Cara starała się nie patrzeć.

Phoebe zachichotała ściszym głosem. Ricky szepnął jej coś do ucha. Zachichotała ponownie, tym razem głośniejsz, i przysunęła się do niego, tak by mógł objąć ją również drugim ramieniem.

Cara przesunęła się w fotelu, zmieniając położenie, tak by nie mieć ich przed oczami. Marzyła, żeby znajdować się teraz gdzie indziej. Przez kolejne dziesięć minut usiłowała wyprzeć ze świadomości myśl o tym, co dzieje się na sąsiednim fotelu i skoncentrować na dziejach Scarlett, ale bez skutku.

- Ktoś chce jeszcze piwa? - poderwała się z fotela, starając się nie patrzeć w kierunku szczęśliwych zakochanych.

- Nie - głos Phoebe był cokolwiek przytłumiony.

Cara powłokła się do kuchni. Czuła się jak męski striptizer w kawiarni dla lesbijek. Poza tym znowu była głodna, a lodówka, co było do przewidzenia, świeciła pustkami. Już miała wyciągnąć kolejne piwo, gdy wtem przyszedł jej do głowy pomysł. Zadzwoń do Zoe! Może pójdą gdzieś na drinka, albo nawet na jakieś żarcie? Wszystko jedno, najważniejsze, żeby nie patrzeć na kochanków w akcji, podczas gdy sama - co tu ukrywać - sieje rutkę...

Nie zazdrościła bynajmniej Phoebe wspaniałego Ricky'ego, skądże znowu... Phoebe zasługiwała na jakiegoś sensownego faceta. Los jej dotąd nie rozpieszczał pod tym względem - chłopak, który był jej pierwszą miłością, rzucił ją i ożenił się z inną. Ładnych parę lat minęło, zanim wreszcie o nim zapomniała... Nie, Cara naprawdę życzyła koleżance jak najlepiej.

Jak dotąd jednak brnęły od kryzysu do kryzysu we dwie, bez żadnych facetów - nie licząc nieudaczników, z którymi znajomość Phoebe kończyła zazwyczaj po pierwszym wspólnym wyjściu na drinka - i było im z tym dobrze. Teraz, gdy niebiosa obdarzyły Phoebe chłopakiem, nie było już dwóch muszkieterów. Była normalna kobieta z mężczyzną przy boku oraz ta stara dziwaczka, jej współspaczka, która nigdy nie chodzi na randki. Nie licząc, rzecz jasna, łóżkowych akcji w pijanym widzie z firmowymi kurierami na skuterach, o czym nawet wspominać nie warto.

Przepełniona współczuciem dla siebie samej, Cara zdecydowała się wyjść z zamrażalnika pudełko lodów „Mars”. Zasługiwała na nie, a co. Pokrzepi się, pojęczy wraz z Zoe, i jakoś to będzie.

Zoe przybyła do „Slattery's” pół godziny później. Wyglądała nawet bardziej beznadziejnie niż Cara. Ostrzyżone czerwone włosy były przylepione do czaszki na skutek deszczu, który przeniknął przez szydełkową czapkę, a nos przypominał purpurową bulwę.

- Cześć - powiedziała przez zatkany nos. - Bab katar.

- Biedactwo - Cara otoczyła ramieniem kruchą, drobną figurkę przyjaciółki. - Chodź, napijesz się grzanej whisky. Zaraz ci pomoże.

Ze swoimi stu dziewięćdziesięcioma centymetrami wzrostu i atletyczną budową nie miała żadnego problemu z dostaniem się do zatłoczonego pubu. Rozgarnęła tłum niczym śnieżny pług, holując za sobą Zoe, i znalazła się wewnątrz dokładnie w momencie, gdy jakaś para zwalniała stolik oraz dwa zydle.

Wyprzedzając faceta w puchowej kurtce z kapturem, który także miał chrapkę na wolne miejsca, chwyciła oba zydle i padła na jeden z nich, posyłając rywalowi twarde spojrzenie. Wyglądało na to, że ma zamiar złożyć reklamację, najwyraźniej jednak szybko zdał sobie sprawę, iż w starciu z Carą nie ma szans: była o co najmniej dziesięć centymetrów wyższa od niego, a jej cygańska twarz miała dość stanowczy wyraz. Oddalił się, mamrocząc coś pod nosem. Dawno już postura amazonki nie okazała się tak użyteczna, oj dawno... Odrzuciła do tyłu długie czarne loki i uśmiechnęła się zwycięsko do Zoe, co sprawiło, że bardziej niż kiedykolwiek przypominała księżniczkę Apaczów.

Po jednej grzanej whisky nos Zoe odetkał się na tyle, że mogła wypowiedzieć się w sposób zrozumiały.

- Drugiego dnia świąt pojechałam z braćmi do Tralee. Kiedy wracaliśmy, nawalił samochód Damiena. Musieliśmy prawie dwa kilometry iść na piechotę, a strasznie lało - referowała, dzierżąc oburącz gorącą szklanekę. - Przemokliśmy do nitki, a wiesz, jak to ze mną jest. Wystarczy, że spojrzę na deszcz, a już kicham.

- O rany, przykro mi - Cara momentalnie poczuła skrucę. - Nie wyciągałabym cię z domu, gdybym wiedziała. Przecież znowu leje.

- Co tam. Wolałam wyjść niż patrzeć, jak Christopher czuli się ze swoim nowym chłopakiem - mruknęła Zoe, która wynajmowała małego domek do spółki ze stylistą imieniem Christopher. - Uparli się, że będą oglądać „Funny Girl” i w ten sposób nie mogłam zobaczyć „Eastenders”. A potem i tak przez cały film szeptali sobie nawzajem czułości do uszka. W międzyczasie na przemian dyskutowali, czy lepsze jest „Yentl”, czy „I co dalej, doktorku”, i podniecali się na głos, jaka to „rewelacyjna” jest Barbra.

- Witaj w klubie - podjęła wątek Cara. - Phoebe w końcu zaprosiła do domu swojego waluciarza. Siedzieli przed telewizorem jak zespawani, nie wcisnęłabyś między nich pięciopensowej monety. Prawdopodobnie w pięć minut po moim wyjściu przenieśli miejsce akcji na kuchenny blat i zaczęli na

nim odgrywać swój własny cikliwy film. Miłość - dodała sentymentalnym tonem, wznosząc oczy - może doprawdy wpędzić człowieka w depresję.

- Jaka miłość! - wykrzyknęła Zoe. - Chuć! Wiesz kiedy ostatni raz facet gmerał przy mojej bieliźnie? We wrześniu zeszłego roku, kiedy byłam u lekarza z tym kręczeniem szyi. Pragnę mężczyzny - wychrypiała głosem Marleny Dietrich.

Paru mężczyzn przy barze odwróciło się na stołkach i spojrzało z uśmiechem na dwie dziewczyny, wysoką czarną i małą rudą, ginącą w gigantycznych rozmiarów swetrze.

- Ale nie w tej chwili - poinformowała chłodno Cara ochoczych samców, rwących się najwyraźniej do spełniania ich życzeń. - Potrzebujemy mężczyzn wyłącznie w celach badawczych, i to dopiero w przyszłości. Proszę więc dać nam spokój.

- I tak mi się nie podobasz - wysilił się na replikę jeden z facetów, zbity z tropu.

Zignorowała go.

- A koledzy z pracy? - rzuciła Zoe od niechcienia, wybierając goździki ze szklanki. - Na przykład Ewan jest super. I podobasz mu się.

- Ale przecież praktycznie nigdy z nim nawet nie rozmawiałam - zaprotestowała Cara.

- Może właśnie dlatego mu się podobasz - zadrwiła Zoe. - A mówiąc poważnie, to przyzwoity gość. Któregoś wieczoru podrzucił mnie do domu, kiedy oboje zasiedzieliśmy się w biurze do późna. Ma mg.

- Rozumiem. Jest właściwym materiałem na partnera, ponieważ dysponuje samochodem - powiedziała z przekąsem Cara. - Nieważne, czy na przykład nie zamordował siekierą własnej matki. Ważne, że ma cztery kółka.

- Jest sympatycznym facetem, a niezależnie od tego przypadkiem ma również samochód - podkreśliła z naciskiem Zoe. - To też jest nie do pogardzenia. Czepiasz się dzisiaj, Cara.

- Przepraszam - wpatrzyła się ponuro we własną pustą szklankę. - Trochę jestem nie w sosie. Wiesz, jak zobaczyłam Phoebe z Rickym, poczułam się jak stara niezamężna ciotka, której przeznaczeniem jest żyć do końca życia w celibacie i nigdy nie mieć kogoś bliskiego...

- Ale przecież o kimkolwiek bym mówiła, z góry go skreślasz! - wykrzyknęła Zoe, zirytowana.

- Wiem... Może napijesz się jeszcze whisky?

- Nie zmieniaj tematu. Musisz dać facetom szansę.

- Dobrze wiesz, dlaczego nie potrafię - mruknęła Cara, marząc, by ta rozmowa się skończyła.

- Dawno powinnaś była zapomnieć o tamtym. Wątpię, czy on spędza resztę życia na rozmyślaniach o tobie.

Cara spojrzała na przyjaciółkę z nagłą złością. Jej oczy płonęły.

- To co innego! - krzyknęła.



- Nie, to dokładnie to samo. Jeśli nie pozwolisz innemu facetowi zbliżyć się do siebie, wówczas on będzie górą, a przecież przysięgałaś, że nigdy na to nie pozwolisz.

Zapadła cisza. Słowa Zoe zawisły w powietrzu niczym ogromne sople lodu.

- Jeszcze po drinku? - spytała w końcu Cara.

Napięcie opadło. Zoe odchyliła się na oparcie zydła.

- Dobra. Ale tylko po jednym. Nie chcemy mieć spóźnialskich pierwszego dnia po świętach - zacytowała Bernarda Redmonda, imitując jego głos. - Wszystko mi się przewraca, jak myślę o powrocie do pracy - skrzywiła się. - Jak myślisz, może Bernard podejmie jakieś noworoczne postanowienia, które upodobnią go do istoty ludzkiej?

Cara prychnęła.

- Wiesz jakie postanowienia podejmie? Że zaczniesz wydawać herbatę ekspresową po torebce, za pokwitowaniem, by zmniejszyć rachunki. I że obniży temperaturę w biurze o parę stopni, aby zaoszczędzić na ogrzewaniu.

Pogadały jeszcze z godzinę i poszły do domu. Zoe skręciła w kierunku Rathar Road, gdzie mieszkała z Christopherem, Cara poszła w drugą stronę, na Leinster Road.

Przekręciła klucz w drzwiach i weszła. Paliły się wszystkie możliwe lampy, a mieszkanie przypominało bożonarodzeniową choinkę. Telewizor ryczał na cały głos, emitując jakiś komediowy show. Phoebe nigdzie nie było, jednak po chwili Cara usłyszała dochodzące z jej sypialni jęki. No tak. A zatem Ricky został na noc, choć pierwotny plan nie przewidywał tego punktu.

Obeszła dom, gasząc światła, zamknęła drzwi wejściowe na zamek i poszła do siebie. Bałagan był tu mniej więcej taki sam jak parę dni temu, kiedy wyjeżdżała na święta: ubrania leżały gdzie popadło, stos książek na podłodze przechylał się niebezpiecznie niczym krzywa wieża w Pizie, a wokół pokrytego kurzem stołu walały się liczne pary butów. Nie zwracając na to uwagi, Cara udała się do łazienki w celu dokonania wieczornych ablucji.

„Dawno powinnaś była o tym zapomnieć. Wątpię, czy on spędza resztę życia na rozmyślaniach o tobie” - tłukły się jej po głowie słowa Zoe. „Jeśli nigdy nie pozwolisz innemu facetowi zbliżyć się do ciebie, wówczas on będzie górą, a przecież przysięgałaś, że na to nie pozwolisz..”.

Myjąc zęby, patrzyła na znużoną twarz w lustrze. Wtedy, sześć i pół roku temu, wyglądała inaczej... Czarne loki, przycięte na pudła, miękko okalały kości policzkowe, które nie były tak wydatne jak dziś. Maskował je dziecięcy tłuszczek, który pozostał aż do tamtej chwili, mimo że przestała być nastolatką i wkroczyła w dwudziesty rok życia.

Podkreślała wówczas orzechowe oczy cieniem do powiek, a usta grubo malowała ciemnoczerwoną szminką; dziś jedynymi kosmetykami, jakich używała, był tusz do rzęs oraz bezbarwna pomadka do natłuszczenia warg. Ubierała się także inaczej: po latach obowiązkowych szkolnych szarości i ohydnych

fartuszków kształcie litery A, które musiały nosić wszystkie uczennice liceum św. Agaty, Cara z zachwytem odkrywała świat cywilnych ciuchów. Po raz pierwszy z dała od domu - choć początkowo mieszkała z Evie, pod jej czujnym, nadopiekuńczym okiem - czuła się dorosła, pełna zaufania do świata i ludzi i otwarta na wszystko, co niesie życie. Świeżo nawrócona na mini, śmiało ukazywała światu długie nogi. Widok Cary Fraser, zmierzającej przez dziedziniec w czarnych nieprzejrzystych rajstopach oraz czymś, co było zaledwie wspomnieniem po minispódniczce, rozjaśniał męskiej części studentów Slaney Art College wiele ponurych poranków.

I nie tylko studentów - pomyślała Cara, wpatrując się tępo w lustro. Nie-wykluczone, że gdyby nie nosiła z takim uporem ciuchów podkreślających jej bujną, młodzieńczą urodę, nigdy by się to nie zdarzyło... Te kuse podkoszulki pod czarną męską marynarką wręcz prowokowały uwagę otoczenia, nie mówiąc o długich do kolan szwedzkich butach ze sprzączkami. Kupiła je w jakimś ciuchlandzie dla zgrywu. Wyglądały jak element wyposażenia sadydy, do kompletu brakowało tylko pejcza, ale dziewiętnastoletnia Cara nie miała nic przeciw temu, by ludzie się za nią oglądali. Upajała się swoją świeżo nabytą umiejętnością flirtowania, z radością odkrywała, że przychodzi jej równie łatwo co oddychanie. I równie naturalnie.

To, że ktoś chciał z nią flirtować, było dla Cary czymś zupełnie nowym. Wcześniej nikt jej nawet nie zaczepiał. W Ballymoreen miała ugruntowaną opinię trzpiota i postrzeleńca i tamtejsi chłopcy traktowali ją jak kogoś ze swego grona, niemal chłopaka honoris causa. Ale młodzieńcy ze Slaney byli jak dojrzały łan, czekający na równie dojrzałą do akcji żniwiarkę, jaką właśnie stała się Cara.

Dawni koledzy, znający jajako dziewczynę szorstką i kanciąstą grającą w nogę równie sprawnie jak oni, nie poznaliby Cary, gdyby zobaczyli ją podczas tych pierwszych miesięcy w college'u. Buty do kolan były częścią nowego wizerunku - seksownej, niezależnej młodej kobiety. Kto by jednak przypuszczał, że zwykłe buty mogą doprowadzić do szału tylu facetów... Później nigdy ich nie nosiła, wyrzuciła je. Głównie dlatego, że miała je na sobie pierwszego dnia, kiedy to wszystko się zaczęło.

Cara czasami nie pamiętała, co zdarzyło się tydzień temu, nagminnie zapomniała o terminach płatności rachunków za energię czy o tym, kiedy ostatni raz miała miesięczkę. Ale tamten zimny październikowy poranek pozostawił w jej mózgu niezatarty ślad. Nic go nie wymaże. Nigdy.

Spóźniła się na autobus, którym dojeżdżała na uczelnię z ulicy, przy której mieszkała Evie, a kiedy złapała następny, jakiś wypadek na trasie spowodował, że stali co najmniej piętnaście minut. Kiedy wreszcie dotarła na wykład doktora Theala z historii sztuki, była spóźniona pół godziny.

- Przepraszam - wyrzuciła z siebie, zdyszana, wślizgując się do sali wykładowej, gdzie trzydzieścioro jej kolegów z roku pilnie notowało. - Uciekł mi autobus. Naprawdę bardzo przepraszam.

Doktor Theal - nie, raczej Owen, zgodnie z jego życzeniem („Proszę mówić mi po imieniu, kochani, jesteśmy na uczelni, a nie w szkolnej ławce”) - spojrział na nią przeciągle. Ze swoimi gładko przyczesanymi ciemnymi włosami i równie ciemnymi, głęboko osadzonymi oczami szalenie podobał się dziewczynom z roku, zwłaszcza że ubierał się znacznie lepiej niż większość wykładowców. Tego dnia miał na sobie zgodny z obowiązującą linią garnitur, a pod nim koszulę bez kołnierzyka. Siedział wygodnie rozparty na krześle, twarzą do audytorium, a nie do ekranu, jakby chciał podkreślić, że malarstwo, którego przykłady właśnie są wyświetlane za jego plecami, jest mu doskonale znane i nie potrzebuje patrzeć, by o nich mówić.

Po chwili uśmiechnął się. Był to miły, ciepły uśmiech, jak gdyby byli dwójgim dobrych znajomych, a nie wykładowcą i studentką, która się spóźniła. I jakby poza nimi nikogo w tej sali nie było.

- Zostań na chwilę po zajęciach. Sprawdzisz, co ci uciekło z dzisiejszego materiału i jak możesz to nadrobić - powiedział.

- Oczywiście - wysapała Cara, kierując się do swego miejsca, zachwycona, że jej spóźnienie spowodowało tak niegroźne konsekwencje. Zostać po zajęciach? W liceum św. Agaty musiałyby wysłuchać dziesięciminutowego kazania o tym, jak ważna jest punktualność, a do tego prawdopodobnie napisać za karę czterostronicowy esej na temat, który był przedmiotem lekcji. W tej niewielkiej, prowadzonej przez zakonnicę szkole punktualność była zaledwie o oczko niżej w hierarchii cnót niż czystość, tę zaś wyprzedzała na liście jedynie pobożność.

Z ulgą padła na krzesło, wyjęła przybory do pisania i zaczęła notować. W swojej naiwności nie pomyślała ani przez moment, że fakt, iż wykładowca uniwersytecki troszczy się o spóźniającą studentkę pierwszego roku, może być podejrzany.

Uwielbiała zajęcia z historii sztuki. Były o wiele bardziej urozmaicone i szczegółowe, niż podstawowy kurs tego przedmiotu w szkole średniej, obejmowały też znacznie obszerniejszy materiał. Wykłady doktora Theala na temat osiemnastowiecznego malarstwa francuskiego szybko ją oczarowały. Żywe, nasycone przykładami, które omawiał ze znacznie większym wigorem niż w swoim czasie siostra Concepta, były w dodatku wygłaszane głębokim, ciepłym barytonem. Podobała jej się zwłaszcza jego interpretacja dzieł Jacques-Louis Davida.

Zanim się spostrzegła, wykład dobiegł końca. Schowała notatnik do torby, myśląc już o następnych zajęciach, i właściwie nie pamiętała o spóźnieniu ani jego skutkach. Theal jednak pamiętał.

- Cara - powiedział jedwabistym głosem, kiedy przechodziła obok - musimy porozmawiać.

-Tak, oczywiście - zacerwieniła się na myśl, że to niegrzecznie z jej strony. - Zapomniałam.

- Profesor zaczyna za pięć minut - ostrzegł jeden ze studentów, wychodząc z sali.

- Pośpiech, pośpiech, wszędzie ten pośpiech - doktor Theal odchylił się na krześle i założył ręce na piersi. Był uosobieniem spokoju. - Cóż robić, Cara, idź na wykład profesora. On nie lubi spóźnialskich - dodał z nutką rozbawienia.

Zaczerwieniła się.

- Chciałbym jednak spotkać się z tobą później na parę minut. Jesteś jedną z najbardziej obiecujących studentek na roku i martwiłbym się, gdybyś z jakiegokolwiek powodu odpadła. Chcę ci pomóc i zachęcić do rozwijania talentu. Co ty na to?

Spojrzał na nią przenikliwie tymi swoimi ciemnymi oczyma. Czy torturowanego artysty, pomyślała. Takie spojrzenie mają postaci El Greca.

- Przyjdź do mojego gabinetu po południu - zaproponował. - Powiedzmy, o wpół do piątej.

Utalentowana? Obiecująca? Mile łechcące próżność słowa wirowały jej wokół głowy niczym rój komarów. Szła spieszenie korytarzem, niemal tańcząc. „Jesteś jedną z najbardziej obiecujących studentek na roku... Nie chciałbym, żebyś zaprzepaściła swój talent...”.

Sztuka zawsze ją interesowała. I oto pracownik naukowy wyższej uczelni mówi jej, że oprócz tego ma również talent, że może coś znaczyć w artystycznym świecie! Nie mogła się wprost doczekać, żeby powiedzieć o tym Evie. Co za oszołamiająca sprawa... Zwłaszcza po tym okropnym kursie dla sekretarek, który zabrał jej cały rok życia. Oto jej odwet. Oto co jest warta.

To siostra pchnęła ją na ten kurs. - Będziesz miała coś w rezerwie, na wszelki wypadek - mówiła. Innymi słowy: jeśli nie sprawdzisz się jako artystka i nie będziesz w stanie zarobić na komorne, zawsze możesz stukać na maszynie.

Nie cierpiała tego rodzaju zajęć. Marzyła, żeby ten rok minął jak najszybciej i żeby mogła wreszcie złożyć papiery na uczelnię artystyczną w Dublinie. I oto minęło zaledwie parę tygodni, a już odkryto jej talent! W głowie Cary bezustannie rozbrzmiewał dziękczynny hymn.

Dzień minął jak we śnie. O czwartej po południu Zoe, jej nowa koleżanka, zaproponowała, by przeszły się na Nassau Street, na kawę i rundkę po księgarniach.

- Nie mogę - wymówiła się Cara. - Mam się z kimś spotkać.

Właściwie nie wiedziała, dlaczego zataiła, że spotyka się właśnie z Thealem. Było to przecież jak najbardziej w porządku i nie wykraczało poza przyjęte formy stosunków w uczelnianej społeczności. Chyba po prostu nie chciała się przechwalać, że oto wykładowca poznał się na niej i chce jej poświęcić specjalną uwagę. Zoe mogłaby poczuć się odsunięta, gorsza... Jej nie spotkało przecież podobne wyróżnienie. Cara zachowała więc milczenie - by w przyszłości nieustannie tego żałować.

Znacznie później dowiedziała się, że Theal próbował podobnego numeru ze wszystkimi dziewczynami, włącznie z Zoe. I tylko ona była na tyle głupia, by uwierzyć.

- Po prostu naiwna - uspokajała ją Zoe.
- Głupia - mówiła Cara gorzko, z uporem.

Theal zabrał Zoe do pubu i, wmawiając jej, że jest piękna i utalentowana, próbował spoić szkocką whisky. Obdarzona praktycznym zmysłem dziewczyna - obeznana także z mocnymi trunkami, dzięki ojcu, który zawsze miał w domu zapasik własnoręcznie wyprodukowanego samogonu - wlała zawartość szklanceczki fachowym gestem do gardła i zapowiedziała niewczesnemu uwodzicielowi, że jeśli jeszcze raz spróbuje jej dotknąć, będzie tego żałował przez całe życie.

- Rozpustnik. Szumowina - syczała później Zoe.

Nieświadoma tych faktów, piętnaście po czwartej Cara weszła do toalety i rozczesła starannie loki, tak by otaczały twarz niby ciemna chmura. Obawiała się, że po porannej gonitwie być może czuć ją potem, spryskała się więc dezodorantem. Spróbowała się nawet umalować, ale natychmiast starła szminkę. Na miłość boską, przecież idziesz porozmawiać o swoich studiach, a nie na randkę - powiedziała sobie. - Niech zobaczy, że podchodzisz do nauki poważnie. Pewnie ma już powyżej uszu rozchichotanych studentek, trzepoczących na jego widok rzęsami, tak jakby nie pamiętały, po co się tu znalazły.

Dokładnie o wpół do piątej zapukała do pokoju Theala. Otworzył natychmiast, z płaszczem w ręce.

- Przepraszam - zawahała się Cara - może przyszedłam nie w porę? Wychodzisz?

Uśmiechnął się i błysnął ciemnymi oczyma.

- Oboje wychodzimy. Strasznie dziś zimno i przydałby się jakiś drink na rozgrzewkę. A zresztą dobrze jest od czasu do czasu opuścić te mury.

Maszerowali chodnikiem ramię w ramię. Theal mówił o georgiańskiej architekturze Dublinu, którą mijali. Lubił ją, ale, jak twierdził, pod względem architektonicznym najbardziej podobał mu się Paryż.

Zjeździł niemal cały świat. Zanim dotarli do maciupęńskiego „Dawson Lounge”, zdążył opowiedzieć Carze o roku, jaki spędził we Francji, oraz kolejnych dwu latach, w czasie których zwiedzał Europę, zaliczył wyprawę do Indii, a nawet mieszkał przez jakiś czas na Nowej Zelandii, pracując w winnicy.

- Chyba nie ma miejsca, w którym byś nie był - powiedziała, patrząc na niego z nabożnym podziwem. - A ja dopiero raz w życiu leciałam samolotem...

- I ty będziesz podróżować, nie przejmuj się - zapewnił ją. - Czym się trujesz?

- Eee... kawą - połapała się Cara.

Theal odrzucił ten pomysł jako bezsensowny.

- Potrzebny ci jest prawdziwy, porządny drink. Lubisz scotcha? - I nie czekając na jej odpowiedź, zamówił dwie szkoockie z lodem.

Nie znając dotąd smaku innego alkoholu niż wino czy piwo, uznała, że trunk jest ohydny i pali gardło. Nie chciała jednak wydać się nieobyta czy niewdzięczna, więc piła.

Tak łatwo się z nim rozmawiało. I okazywał jej tyle zainteresowania. Chciał wiedzieć o niej wszystko: co lubi, a czego nie, gdzie mieszka, z kim mieszka, dlaczego wybrała uczelnię artystyczną... Rozgrzana alkoholem i uwagą, jaką jej poświęcał, z ożywieniem opowiadała o tym, jak od dziecka interesowała się malarstwem i jak kiedyś w czytelni zapadła z głową w książki **0** Muzeum Prado w Madrycie i nie wyszła, dopóki nie nabrała pewności, że zobaczyła naprawdę wszystkie Goye i Velasquezy.

Podniecona i przejęta, nie zwróciła uwagi, że Owen po cichu zamawia kolejnego drinka, dla niej podwójnego. Pił bardzo szybko. Śmieszne, ale wydawało się jej, że musi mu dorównać. Zupełnie jakby szło o zupeł, którą trzeba jeść w podobnym tempie co reszta biesiadników, żeby nie czekali zbyt długo na drugie danie i deser.

- My, artyści, rozumiemy się nawzajem - powiedział uroczyście, powiódłszy palcem wzdłuż brzegu szklaneczki. Znów była pusta. - Chyba właśnie dlatego chciałem z tobą porozmawiać. Jesteś inna niż reszta, podobna do mnie. Masz duszę artystki.

- Na-naprawdę tak myślisz? - zająknęła się Cara.

- Naturalnie - uśmiechnął się. - Od razu to zauważyłem. Rozpoznaję talent na kilometr. Wszystko teraz w twoich rękach - ujął oburącz jej dłonie i delikatnie gładził palcami jej wnętrza.

Cara milczała. Nie wiedziała, co powiedzieć. Wszystko to było bardzo dziwne.

- Pozwól, żebym ci pomógł - powiedział poważnie.

- To znaczy... tak, oczywiście...

Puścił jej dłonie równie nieoczekiwanie, jak poprzednio uniósł, i zaczął mówić o uczelni i programie studiów. Cara, którą całe to ściskanie za rączkę zbiło z tropu, znów się uspokoiła. Owen jest po prostu życzliwy. To artysta, więc nic dziwnego, że zachowuje się nieco inaczej niż pozostali ludzie. Cóż z tego, że reszta wykładowców raczej nie ma zwyczajowo traktować w ten sposób swoich studentek? On jest inny, to wszystko.

Zamówił kolejną whisky.

- Pozwól, że za siebie zapłacę. Proszę - za nic w świecie nie chciała wyjść w jego oczach na jakieś biedactwo, którego na nic nie stać. Nawet jeśli stan jej konta wynosił obecnie pięćdziesiąt funtów, co musiało jej wystarczyć na najbliższe dwa miesiące.

- Nie bądź śmieszna. Jesteś biedną studentką, ja płacę - powiedział zarobliwie.

Świat zaczynał się nieco mącić. Cztery drinki na pusty żołądek zrobiły swoje. Czuła, że twarz jej płonie, i zdawała sobie sprawę, że w tym, co mówi, nie ma zbyt wiele sensu, ale Owenowi zdawało się to nie przeszkadzać. Najwyraźniej bardzo lubił jej słuchać. Siedział naprzeciwko, trzymając ręce z dala od niej, i wręcz chłonał jej słowa. Miły jest - przemknęło przez oszołomioną głowę...

Nie chciała więcej pić, zwłaszcza że piąty drink wyglądał na bardzo duży. Owen jednak nalegał.

- Nie możesz mi odmówić - włożył jej szklaneczkę w dłoń. - Chcesz mnie obrazić?

Skądże znowu, nie chciała. Nie wiedziała dotąd, co prawda, że można kogoś w ten sposób obrazić, ale czy ona w ogóle dotychczas coś wiedziała o życiu? Nic, doprawdy.

Piła powoli, żałując mimo wszystko, że nie odmówiła. Owen jak gdyby poczuł jej dyskomfort i zaczął ją bawić jeszcze ofiarniej niż dotąd. Opowiadał pikantne historie o artystach, wtajemniczał ją w szczegóły prywatnego życia pracowników naukowych Slaney College... Czuła się dojrzałą fascynującą kobietą. Grzana od wewnątrz whisky, a z zewnątrz ciepłym jego zainteresowaniem, miała wrażenie, że brodzi w jakiejś mgłę, gorętszej niż lipcowy upał.

Było już koło siódmej, kiedy wreszcie opuścili zatłoczony pub. Zamiast jednak skręcić w kierunku uczelni, Owen powiódł ją w górę ulicy, trzymając mocno pod ramię.

- Przecież musimy coś zjeść - powiedział zdziwionym tonem, gdy zaczęła protestować.

Pomyślała o Evie, czekającej cierpliwie z obiadem w piecyku. Wiedziała, że powinna do niej zadzwonić, ale nie było na to szansy. Prowadził ją zdecydowanym krokiem w kierunku Merrion Row i nie potrafiła się zdobyć na wyjaśnienie mu, że po zajęciach nie chadza na szalone studenckie imprezy, tylko po prostu wraca do domu.

W „The Sitar”, przepełnionej nieznanymi woniami hinduskiej knajpce, zamówił czerwone wino i zanim zdołała cokolwiek powiedzieć, napełnił jej kieliszek.

Konsumował rażno swoją kormę z jagnięciny, Cara zaś niezdarne działała kurczaka pieczonego w piecu tandori. Wnętrze knajpki dziwnie kołysało się na boki. Nareszcie zrozumiała, o czym mówi stary kawał: jeśli możesz leżeć na podłodze, nie trzymając się jej, to znaczy, że nie jesteś pijany. Chyba na chwilę spadła z krzesła. I chciało jej się wymiotować.

Marzyła, by już być w domu. Znaleźć się w swoim przytulnym łóżku w sypialni Evie, poczuć, jak otula ją miękka chłodna pościel... Spać, spać... Ale jak się stąd wydostać?

- Jestem zmęczona, Owen - wybełkotała, nieoczekiwanie dla siebie samej. - Muszę iść do domu.

Obiecał, że ją odwiezie. Musi tylko na chwilę wpaść na uczelnię.

- Po kluczyki - powiedział.

Jak posłuszne dziecko, które zawsze uczono, że ma służyć starszych i mądrzejszych, wspinała się za nim po schodach. Nogi się jej plątały.

Kiedy znaleźli się w jego gabinecie, odwrócił się, złapał ją i przyparł do szafy, strącając jej płaszcz z ramion. Nie zdołała wydać głosu, bo zamknął jej usta własnymi. Wilgotnymi, miękkimi jak guma, pachnącymi winem i whisky.

- Wiem, że ci się podobam - wymamrotał. - Widziałem, jak patrzyłaś na mnie cały wieczór. Chcesz, prawda? Jesteś taka seksowna, Cara. Dorosła, dojrzała, seksowna - i wepchnął jej język w usta.

No tak. Przez cały wieczór, gdy śmiała się z jego dowcipów, gdy piła whisky, którą jej fundował, odbierał to jako zaproszenie do jeszcze większej bliskości. Był to rodzaj godowego tańca, a ona wzięła w nim udział - zbyt głupia, by wiedzieć co robi, zbyt nieobyta ze swoją świeżo zyskaną seksownością, by umieć kontrolować jej przejawy.

Skoro jednak on sądzi, że wiedziała co robi, jak mu teraz powiedzieć, że nigdy przez myśl jej nawet nie przeszło, by mógł całować ją w ten sposób, że tego nie chce? Przecież najwyraźniej go sprowokowała. To wszystko jej wina. Co zrobić, żeby przestał? Nie wiedziała, więc przez parę minut biernie pozwalała, by gniótł jej usta brutalnymi pocałunkami. Wreszcie nie wytrzymała. Musi go zatrzymać. Teraz, już.

- Nie - wytchnęła ledwo dosłyszalnie. - Nie - powtórzyła, tym razem nieco głośniej.

Nie słuchał. Szarpnął w górę jej sweter, odsłaniając piersi.

- Nie! - krzyknęła.

- Przestań się ze mną droczyć, malutka - powiedział ochryple. - Ty też tego chcesz. Dobrze wiesz, że chcesz.

- Nie chcę - zaszlochała, usiłując go odepchnąć. - Zostaw mnie!

Nie słuchał. Podciągnął jej spódnicę powyżej talii i zaczął gmerać przy udach. Boże, on naprawdę nie miał zamiaru przestać! Pchnęła go, ale ani drgnął. Była silna, on jednak nie tylko był silniejszy, miał również większą masę, a poza tym był odporniejszy na alkohol. Nie chwiał się na nogach, w pełni kontrolował swoje ruchy. Macał ją natarczywie, bezwstydnie, w miejscach, których nigdy nie dotykał zaden mężczyzna... Poczuła, że zbiera jej się na mdłości.

Nagle do niej dotarło. Przecież to jest ratunek.

- Niedobrze mi - wyrzuciła z siebie i wydała odgłos, jaki zdarzało jej się słyszeć u psów ojca, kiedy zjadły zbyt wiele trawy i usiłowały ją zwrócić.

Theal odskoczył jak oparzony.

- Daj mi coś... jakąś torbę, wiadro... - wykrztusiła wśród paroksyzmów. Przycisnęła dłoń do ust, jakby siłą powstrzymywała mdłości, i miotała się, rzucając rozpaczliwe spojrzenia w poszukiwaniu czegoś, w co mogłaby zwymiotować.



- Nie rzygaj mi tu - zasyczał. - Zaraz coś znajdę - i wyskoczył z pokoju.

Przez otwarte drzwi zobaczyła, jak gna korytarzem w kierunku toalety. To jest szansa. Złapała płaszcz i torbę i potykając się wybiegła, po drodze obciążając spódnicę i sweter. Płaszcz włożyła jednym rękawem po ziemi, włożony tylko w połowie, ale nie dbała o to. Uciec, uciec... Tętno w skroniach waliło jak szalone. W szaleńczym biegu o mało nie przewróciła się na nierównych płytkach posadzki, które dotąd w błogiej nieświadomości, co ją czeka, przemierzała ze dwadzieścia razy dziennie... Złapała równowagę i gnała dalej na oślep, w trwodze, że Theal odkryje jej ucieczkę i rzuci się za nią z krzykiem. Przebiegła obok portierni, szarpnęła ciężkie drzwi i wyskoczyła. Była na zewnątrz. Na cudownie bezpiecznej ulicy.

Wciąż biegiem, ruszyła do końcowego przystanku autobusu. Serce tłukło się w piersi, brakowało tchu. Biegła jak opętana, jakby goniły ją wszystkie naraz demony ze wszystkich horrorów świata.

Na szczęście autobus stał na przystanku, z włączonymi światłami i silnikiem na jałowym biegu. Miał odjazd o jedenastej. Wskoczyła, patrząc na kierowcę jak na wybawiciela.

- Ale się pani śpieszyło - powiedział. Była czerwona i zgrzana, ledwie chwytała dech.

- No - uśmiechnęła się z wysiłkiem. Pokazała mu swój bilet miesięczny i poszła do tyłu autobusu. Padła na fotel i zaczęła wpatrywać się w ciemność za oknem. A jeśli on za nią przyleci? Wie, gdzie mieszka, jakim autobusem dojeżdża. Powiedziała mu. Przyleci, to murowane. Błagam, niech nie przyleci, błagam - modliła się żarliwie, zbyt wystraszona, by zamknąć oczy. Gdyby zamknęła, natychmiast pojawiłby się przed nią jak demon. Utkwiwszy oszalała wzrok w ciemności, czekała, bliska ataku serca.

Wreszcie dziesięć minut minęło. Kierowca zamknął drzwi, autobus ruszył. Była bezpieczna. Teraz już Theal jej nie znajdzie.

Oparła się o fotel i wpatrywała pustym wzrokiem w noc. Co ona zrobiła? Boże, co ona zrobiła?

Evie spała już, kiedy dotarła do domu, cuchnąca alkoholem i przemarznięta. Gdzieś po drodze zgubiła szalik i czapkę, prezent od siostry. Nie, nie gdzieś po drodze, przypomniała sobie. Zostawiła je w jego gabinecie. Na podłodze, tam gdzie je cisnął, kiedy się na nią rzucił. Zbyt była zszokowana, by o nich pamiętać, gdy w panice rzuciła się do ucieczki.

- O której to godzinie się wraca? - usłyszała nagle głos siostry. Stała w drzwiach i patrzyła na Carę z dezaprobatą. - Już prawie dwunasta... - zamilkła na moment i z niedowierzaniem pociągnęła nosem. - Piłaś! A ja tu umierałam ze strachu o ciebie...

Cara stała w drzwiach i patrzyła na pokój. Był tak typowy dla Evie - kwieciste tkaniny, miękkie poduszki, sosnowe meble z koronkowymi serwetkami,

kolekcja słoników z porcelany, które Evie uwielbiała, porostawiane wszędzie rodzinne zdjęcia... Nagle poczuła, że jest bliska płaczu. Tak by chciała rzucić się na łóżko i opowiedzieć wszystko siostrze, a ona żeby głaskała ją po głowie, jak całe wieki temu, kiedy była dzieckiem... Opowiedziałyby jej o Owenie, o tym co mówił. O tym, co czuła, złapana w potrzask i zupełnie bezbronna. O tym, jakie to było straszne, kiedy zaczął ściągać z niej ubranie, nie zwracając uwagi na jej rozpaczliwe „nie”.

Ale nie mogła. Nie mogła wykrztusić słowa. Zszokowana, porażona wszystkim, co zaszło, a co było przecież tak strasznie, tak potwornie zaskakujące i nieoczekiwane - milczała.

To było tak, jakby znalazła się nagle na głębokiej wodzie i rozpaczliwie usiłowała znaleźć oparcie dla stóp, ale dno znajdowało się zbyt daleko. Zdolność mówienia o tym, co przeżyła, była poza jej zasięgiem.

- Mam nadzieję, że nie zamierzasz wracać codziennie w środku nocy, śmierdząca gorzelnią - powiedziała srogo Evie. Była zmęczona i zła - przez cały wieczór pomagała krnąbrnej jedenastoletniej córce odrobić rachunki, przygotowywała obiad na następny dzień, a w międzyczasie kończyła prasowanie. - Liczę, że będziesz się zachowywać jak dorosła, a nie jak głupia nastolatka, której uderzyło do głowy studenckie życie. Tato chciał, żebym się tobą opiekowała, ale jeśli masz zamiar pić, rezygnuję z opieki.

Cara stała w milczeniu, niby sama oślepiona światłami nadjeżdżającej ciężarówki. Każdy nerw w jej ciele aż dygotał z pragnienia, by rzucić się Evie w ramiona i znaleźć w nich ukojenie. Chciałaby móc powiedzieć, że nienawidzi smaku whisky, palenia w gardle, jakie powoduje, że przesycony jej wonią oddech Owena, kiedy zmuszał ją do pocałunków, niemal zdzierając skórę twardym jak tarka zarostem, był czymś najohydniejszym na świecie. Ale nie mogła o tym nawet myśleć.

- Idę spać, Evie - powiedziała. - Przepraszam, że się spóźniłam.

I tyle.

Evie nigdy nie dowiedziała się o Thealu. Cara nieraz chciała przełamać milczenie, ale blokował ją wstyd i poczucie winy. Bo przecież sama była wszystkiemu winna, dobrze o tym wiedziała. Powinna była z góry wiedzieć, co się święci. Zoe wiedziała... A ona, Cara, przekonana o swojej dorosłości, tak głupio i bezmyślnie wdepnęła w bagno dorosłego świata. Czy można było kogoś za to winić? Wyłącznie samą siebie.

Nie zniosłaby, gdyby jeszcze i Evie jej dołożyła. Oczekiwała od niej pociechy. Chciała, by Evie wiedziała sama z siebie, żeby instyktownie wyczuła, co zaszło, choć było to przecież szaleństwem. Evie nigdy się nie dowiedziała, a Cara miała do niej o to irracjonalny żal. Nigdy nie wybaczyła swojej zastępczej matce - i nigdy nie przeszła do porządku nad całym zdarzeniem. Owen Theal niby złowrogie widmo towarzyszył jej każdej nocy, gdy po raz n-ty, bez końca, obracała w głowie ponure, mroczne fakty.

Zastanawiała się, co by się stało, gdyby postąpiła inaczej. Gdyby na przykład chlusnęła mu tym jego scotchem w twarz i powiedziała, że może sobie wsadzić tę całą gadkę o jej rzekomym talencie tam, gdzie słońce nie dochodzi... Było to trochę tak, jak wówczas, gdy człowiek jest świadkiem jakiegoś okropnego wypadku i usiłuje cofnąć czas. Gdyby kierowca patrzył uważniej i dostrzegł w porę nadjeżdżającego z naprzeciwka rowerzystę... Gdyby rowerzysta nie musiał nagle skręcić, żeby ominąć wyrwę w jezdni... Nie leżeliby teraz na poboczu jak zepsute manekiny, z powyginanymi pod dziwnym kątem kończynami.

Gdyby... Gdyby... Litania tych „gdyby” nie miała końca. I jeszcze „dlaczego”. Dlaczego była taką idiotką i dała się nabrać na ten kit. Dlaczego nie poszła za instynktem i nie uciekła wcześniej. Dlaczego potulnie robiła, co kazał, choć wcale nie miała chęci pić. Dlaczego pozwoliła, by mu się udało... Zoe została poddana takiej samej próbie, z identycznym scenariuszem, a wyszła z niej zwycięsko! Uszczypliwa i szorstka jak zawsze, powiedziała Thealowi, że jeśli jeszcze raz spróbuje jej dotknąć, będzie tego żałował do końca życia.

Mało tego. Powiedziała mu nawet, żeby nie ośmielił się na niej mścić przy pomocy złych ocen. - Zawsze miałam piątkę z historii sztuki - zasyczała. - Nie życzę sobie dostać teraz pały w charakterze odwetu, jasne?

Po tygodniu Zoe spytała Carę, co się stało.

- Jesteś jakaś inna. W ogóle przestałaś się malować - zauważyła. - O co chodzi?

Słowo po słowie, powoli wyciągnęła z niej wszystkie informacje. Nie poleciała z nimi natychmiast do rektora wyłącznie dlatego, że Cara błagała, by tego nie robiła.

- Powinni wywalić skurwysyna z pracy. Jego miejsce jest za kratkami - pieniała się z gniewu. - Cara, pozwól, żebym powiedziała! Jeśli będziemy milczeć, drań zrobi to samo z inną nieszczęsną dziewczyną.

Cara jednak odmówiła. Nie mogła sobie wyobrazić, że miałyby opowiadać o wszystkim jakimś obcym ludziom. Nie przeżyłaby tego.


Skończyło się tak, że zostały bliskimi przyjaciółkami. Razem się śmiały, razem chodziły na zakupy, razem piły i razem wyjeżdżały na wakacje. Tylko na wspólne mieszkanie nigdy się nie zdecydowały. Obie nie miały wątpliwości, że pedantycznie dbająca o porządek Zoe zwariowałaby w bałaganie, w jakim zwykła żyć Cara.

Zoe była jedyną osobą, która zdawała sobie sprawę, dlaczego Cara trzyma się z dala od mężczyzn. Phoebe nie wiedziała dokładnie, co się zdarzyło w przeszłości. Dlatego nigdy nie nakłaniała koleżanki, by wreszcie umówiła się z kimś na randkę. Zoe się to zdarzało.

Cara umyła zęby, pstryknęła wyłącznikiem światła i poszła do swojego pokoju. Rozebrała się, wciągnęła czysty podkoszulek i wlaźła do łóżka. Zoe ma rację, trzeba skończyć z tym lądowaniem w łóżku z ludźmi typu Erica i pomyśleć o czymś poważnym. Ale to nie jest łatwe.

Bała się bliskości. Bliskość oznacza, że ktoś cię może zranić, gdy zrzuć skorupę i ukazesz mu swoją nagą skórę. Po latach budowania systemu zabezpieczeń, jakiego nie powstydziałaby się średniowieczna forteca, Cara drżała na samą myśl o tym, że miałyby z nich zrezygnować.

## 7

 o diabła! Znowu gdzieś posiałam okulary. Pewnie zostawiłam je w tym koszmarnym sklepie bez windy. Idź no po nie - rozkazała władczy tonem matka. - A nie, poczekaj - podniosła z podłogi swoją przedwieczną torbę z brązowej skóry. - Może są tutaj.

Olivia i Evie wymieniły ponad stolikiem znużone spojrzenia. Siedziały we trzy w „Bewley's Oriental Tearooms”. Sybil de Vere zaczęła grzebać w torbie żółtymi od nikotyny palcami, wreszcie straciła cierpliwość i wysypała całą zawartość prosto na talerzyk z niedojedzonym ciastkiem. Olivia błyskawicznie wyciągnęła rękę, by powstrzymać lawinę sypiących się ze stołu przedmiotów. Zgniecione pudełka papierosów, okruszyny tytoniu, kawałki papieru, zakrećki od długopisów, poplamione szminką zużyte chusteczki higieniczne, coś, co wyglądało jak środek do odrobaczania kotów... A wśród tego wszystkiego mała firmowa buteleczka Powera.

- To na wypadek gdybym zmarła - z tymi słowy Sybil wyrwała buteleczkę z rąk córki i wlała jej zawartość do filiżanki z kawą. Dookoła rozeszła się woń whisky. Olivia i Evie znowu wymieniły spojrzenia. „Też bym się napiła” - wyczytały nawzajem w swoich oczach niemy przekaz.

Po trzech godzinach włóczenia się po Dublinie ze zdziwaczają, grymasną matką Olivii w poszukiwaniu czegoś, co mogłaby włożyć na wesele ojca Evie, obie były w stanie obalić po cztery wódki z tonikiem, byleby zapomnieć o jej wyskokach. U „Marksa i Spencera” cisnęła na ziemię bardzo miły komplet z krepy i zażądała na głos wyjaśnień, co się stało ze sklepem Switzera.

- Nie ma go już, mam - syknęła Olivia, posyłając równocześnie ekspedientce pełen zakłopotania uśmiech.

- Co to znaczy „nie ma”? Przecież to mój ulubiony sklep - Sybil kopnęła ze złością komplet z krepy i sięgnęła po swój lawendowy sweter polo, który niewątpliwie pamiętał lepsze czasy.

- Nie ma już. Zamknęli go - rzuciła ostro Evie, zaciskając zęby, żeby nie powiedzieć więcej. - Chodźmy stąd. Idziemy się czegoś napić.

Olivia, purpurowa z upokorzenia, zaczęła się tłumaczyć przed ekspedientką, Evie zaś wzięła sprawy w swoje ręce. Pozbierała drobiazgi Sybil i pomogła jej włożyć woniejące naftaliną filtro.

Gdy starsza pani przybyła dziś rano do ich domu w swoich norkach do połowy uda, Rosie uśmiechnęła się na jej widok.

- Odważna jesteś, ciociu Sybil. Ludzie z ruchu obrony praw zwierząt obleją cię czerwoną farbą jak cię zobaczą.

- To wtedy ja obleję ich - powiedziała zdecydowanie Sybil.

- Myślicie, że by tego nie zrobiła? - mruknęła Evie pod nosem.

Na szczęście na Grafton Street wszyscy byli zbyt skoncentrowani na tym, by wiatr nie wyrwał im z rąk parasolek, i unikaniu chłoszczącej po twarzach lutowej ulewy, by przejmować się siwowłosą sześćdziesięcioparoletnią damą odzianą w coś, co po czterdziestu latach noszenia w świątek i piątek przypominało raczej futro ze szczurów niż z norek. Cała trójka dotarła więc szczęśliwie do „Bewleya”, gdzie zasiadły przy kawie. Evie po raz kolejny zadała sobie pytanie, dlaczego zgodziła się uczestniczyć w tej wyprawie.

No cóż, wiadomo dlaczego. Bo Olivia ją o to prosiła.

- Evie, błagam! Sama z nią nie wytrzymam, dobrze o tym wiesz. Zwa-  
riuję.

Najwyraźniej była przygnębiona. Chyba nie tylko dlatego, że obawiała się numerów matki... Evie uległa. W rezultacie ostatnią sobotą przed imprezą spędzała na szukaniu ciuchów dla choleryjnej Sybil de Vere, w sytuacji, gdy sama nie miała pojęcia, co na siebie włożyć.

Zastanawiała się, czy by nie pójść w swoim najlepszym wyjściowym stroju, czerwono-czarnym kostiumie kupionym na wyprzedazy, odrzuciła jednak tę możliwość. Nosiła go już dwa lata. Nie chciała, by ojciec pomyślał, że jej nie zależy. Skoro ostatecznie zdecydowała się iść na to wesele, musi wystąpić z pompą.

Wprawdzie nadal nie aprobowwała decyzji ojca, nie życzyła sobie jednak, by uważano ją za rozkapryszoną egoistkę, która nie jest w stanie pogodzić się z detronizacją. No, a w każdym razie nie chciała, by nazwano ją tak ponownie. Dostatecznie przykre było, kiedy Cara po raz pierwszy rzuciła jej w twarz podobne oskarżenie. Nie miała zamiaru dawać jej ponownie okazji.

Będzie tańczyć, pić szampana i z uśmiechem pozować do fotografii. Bez względu na to, ile ją to będzie kosztować. A jeśli kupi coś nowego, to przecież będzie miała jak znalazł na własne wesele, we wrześnieu.

- Nieładnie ci w tym kolorze - Sybil obrzuciła niechętnym spojrzeniem **Olivie**, nieskazitelnie piękną w szafranowożółtej satynowej koszuli, której kolor współgrał z bladozłotym odcieniem jej włosów. Wyglądała jak syrena. - Jesteś w nim jakaś taka wyblakła.

Olivia, która przez całe życie wysłuchiwała równie miłych uwag, nie zareagowała. Piła w milczeniu kawę.

No, jaka by Vida nie była, to w każdym razie nie jest przynajmniej podobna do tej karykatury matki - pomyślała Evie. - Biedna Olivia... Dorastać w takim towarzystwie!

- Stephen też go nie lubi. Powiedział mi, że woli cię w popielatym - kontynuowała triumfalnie ukochana mamuśka. - W żółtym chodzą dziwki.

No nie! Evie osłupiała. Co za świnia.

- Wyglądasz ślicznie - szepnęła. Olivia uśmiechnęła się z wdzięcznością.

Po tym dictum konwersacja uwiędła. Siedziały parę minut w milczeniu. Evie zastanawiała się, czy powinny kontynuować poszukiwania, czy lepiej dać spokój i wysłać Sybil na wesele w jej firmowym, woniejącym naftaliną i kocimi siuszkami ekwipunku.

Po latach wędzenia się w papierosowym dymie powonienie starej damy mocno szwankowało. Wyglądało na to, iż nie zdaje sobie sprawy, że nie pachnie bynajmniej wodą kolońską.

- Powinniśmy wpaść do jakiegoś baru - burknęła po wypiciu swojej zaprawionej whisky kawy. - Po paru pięćdziesiątkach łatwiej nam pójdzcie z tymi zakupami.

- Możliwe, pod warunkiem, że to naprawdę byłoby parę pięćdziesiątek - głos Evie był jak stal. - Tylko że dla niektórych parę oznacza paręnaście. - Patrzyła na Sybil lodowatym wzrokiem, dopóki tamta nie odwróciła oczu.

Olivia znowu spojrzała na nią z wdzięcznością. Nikt inny nie poradziłby sobie z matką w ten sposób. Nikt inny by się nie ośmielił.

Evie jeszcze raz rozważyła kuszącą możliwość. Może by tak wsadzić Sybil do taksówki, dać nieszczęsnemu kierowcy napiwek i zapas proszków od bólu głowy, która zacznie mu dolegać już po trzech minutach jazdy z tą szczególną pasażerką i odstawić ją na dworzec. Wolne i swobodne, wpadłyby z Olivia do „The Duke” na odświeżającego drinka, po czym wróciły do centrum handlowego i spróbowały znaleźć coś dla siebie samych.

Idylla... Niestety, nierealna. Evie westchnęła, wstała z krzesła i objęła komendę.

- Dobra. Mamy jeszcze godzinę, żeby wybrać coś dla ciebie, Sybil. Właśnie przypomniałam sobie o jednym świetnym miejscu. To taki nieduży sklepik, widziałam niedawno jego reklamę w „Style”. Specjalizuje się w strojach wieczorowych i ślubnych. Modele prezentowane na fotkach były naprawdę niezłe.

- Mam nadzieję, że niezbyt grzeczne - Sybil rzuciła wściekłe spojrzenie na córkę.

- Z pewnością bym ci takich nie proponowała - powiedziała ostro Evie. O, gdyby Olivia jej pomogła... - To tak jakby ktoś chciał królową ze „Śpiącej królowej” ubrać w pastelowy róż, a nie w czerń.

- O, widzę, że jesteśmy w odpowiednim nastroju - podchwyciła Sybil, uszczęśliwiona. Uwielbiała słowne utarczki. - Czy przypadkiem narzeczony się nie rozmyślił? Mam nadzieję, że nie... Straciłabym okazję, żeby zaprezentować po raz drugi toaletę, którą dzisiaj kupimy. Kiedy to będzie? W sierpniu? Mam nadzieję, że nie wystąpisz w bieli. W twoim wieku... Baran przebrany za jagniątko, tak się o tym mówiło w moich czasach.

Evie zacisnęła zęby. Nie wiedziała, jak przeżyje tę godzinę. Sybil była w znakomitej formie: ożywiona po whisky, śmiała się kokieteryjnie, robiła cięte uwagi... Na szczęście okazało się, że w rezultacie jest również w lepszym nastroju do zakupów. Gdy więc Evie złapała ją w przymierzalni na ukradkowym pociąganiu z podręcznej buteleczki, nie powiedziała nic, poczęstowała jedynie po chwili gumą do żucia o mocnym zapachu mięty.

Jak było do przewidzenia, kostium, który Sybil obejrzała po zaliczeniu drugiego drinka, bardzo się jej spodobał. W kolorze dojrzewającej brzoskwi- ni, z lekkiej wełny, z obszytym galonikiem żakietem, rzeczywiście wyglądał na niej świetnie. Subtelny, ciepły odcień rozświetlił zniszczoną twarz i Evie zdała sobie sprawę, jaką pięknoscią musiała być Sybil de Vere w swoim czasie. To znaczy w czasie, gdy nie wypijała jeszcze butelki dżinu dziennie.

Olivia myślała chyba o tym samym, bo nieoczekiwanie objęła matkę. Zdarzało jej się to bardzo rzadko.

- Pięknie ci, mamó - oczy miała wilgotne z emocji.

- Kto płaci? - Sybil daleka była od wzruszenia, choć moment zasługi- wał na uwiecznienie na najlepszym filmie Kodaka. - Mam nadzieję, że ty?

- No i co kupiłaś, mamó? - spytała wieczorem Rosie. Stała tyłem do kominka, grzejąc plecy, matka i Olivia zaś, całkowicie wyczerpane, wpołte- zały przed nią w fotelach.

Evie skrzywiła się.

- Coś, czego w ogóle nie miałam zamiaru kupować. Bładoniebieski kos- tium. Wyglądam w nim jak matka panny młodej - dodała ponuro.

Kostium naprawdę nadawał się dla matki panny młodej. A Vida jak zwykle będzie prezentować światu swoją wyrafinowaną elegancję... Evie była, nies- tety, do bólu pewna, że na jej tle wypadnie żałośnie. Gruba, pękata... Wy- tworni goście ze strony Vidy niewątpliwie zwrócą na to uwagę i zaczną się zastanawiać, co też bohaterka uroczystości mogłaby zrobić, by jakoś przero- bić swoją niewydarzoną pasierbicę. Najlepsza byłaby transplantacja całego ciała. I operacja plastyczna twarzy za dwadzieścia tysięcy funtów.

- Wcale nie wyglądasz w nim jak matka panny młodej - zaprotestowa- ła z przejściem Olivia. - Ma taki śliczny, bladobłękitny odcień, z ciemniej- szym pasem pośrodku. Żakiet z wysokim kołnierzykiem. A spódniczka do kolan.

Rosie przechyliła głowę w bok, usiłując wyobrazić sobie opisywany strój. Bładoniebieski to nie był kolor matki, fakt... A wysoki kołnierzyk to przecież szczegół garderoby absolutnie zakazany w przypadku kobiety o dużym biu- ście, jaką była Evie.

- Brzmi nieźle - powiedziała z ożywieniem. - Włóż go, mamó. Zrobi- mię sobie pokaz mody.

A może jakieś barwne dodatki odmienia ten nieszczęsny ciuch? - pomyślała Evie z nadzieją. - I rajstopy w kolorze ciała. W sklepie miała przecież czarne... Do tego odpowiednie pantofle, a pod spód obcisłe, maskujące nadmierną obfitość gatki, i wszystko będzie dobrze. Odzyskawszy optymizm, pomknęła na górę.

- A ty, Olivio? - Rosie rozciągnęła się na podłodze przed kominkiem jak ogromny kot. - Kupiłeś coś dla siebie?

- Nic. Straciłyśmy tyle czasu z moją matką, że dla siebie miałyśmy niewiele. Coś tam znajdę w szafie - odparła Olivia, której zawartość szafy przypominała pokój projektantów u „Harrodsa”.

- Mogłabyś włożyć tę popielatą z dzianiny. Wiesz, tę, którą kupiłeś w zeszłym roku w Centrum Wzornictwa - podsunęła Rosie.

No cóż. Suknia była rzeczywiście bardzo elegancka - projektu Lyn Mar, z jedwabnej dzianiny o metalicznym odcieniu, opinała ciało jak futerał. Do tego długi do kolan kardigan z identycznej tkaniny. Olivia była wystarczająco wysoka, by go nosić. Co z tego, skoro Stephen nie lubił tej kreacji.

- Zbyt obcisła - ocenił z dezaprobatą, gdy wróciła do domu, zarumieniona z ożywienia po miłej rundce po sklepach wraz z Evie i Rosie. - Obcisłe rzeczy nie są dla ciebie, moja mała. Tyle razy ci mówiłem.

Wściekły się, gdyby włożyła ją na wesele... Wszystko byłoby popsute, zanim by się jeszcze zaczęło.

- To chyba nie jest właściwy strój na wesele twojego dziadka - powiedziała z wahaniem.

Rosie wzruszyła ramionami.

- Według mnie jest OK. No, ale skoro... - nie dokończyła. Do pokoju wkroczyła Evie.

Rajstopy i pantofle nie spowodowały, niestety, cudownej metamorfozy. Lodowato chłodny błękit, tak samo jak dotąd, pozbawiał twarz nieszczęsnej ofiary jakiegokolwiek koloru, zaś spódniczka do kolan, która bez wątpienia wyglądałaby znakomicie na smukłej sylwetce z nogami do szyi, bynajmniej nie dodawała wdzięku krótkim nóżkom Evie.

Żadne z tych spostrzeżeń nie zostało wypowiedziane na głos. I Rosie, i Olivia kochały przecież Evie. Zgodnym chórem zaczęły ją zapewniać, że wygląda świetnie, Olivia zaś w głębi duszy uczyniła ślubowanie, że pożyczycy przyjaciółce swoje nowe, koszmarnie drogie kremowe pantofle z cięcej skóry, które dodadzą jej nieco wzrostu. Rosie ze swej strony złożyła analogiczny ślub - że namówi matkę, by w przeddzień uroczystości użyła samoopalacza. Błada twarz nabierze kolorów.

- No, nie wiem... - Evie obróciła się, by sprawdzić, jak wygląda z tyłu. - Moje nogi w jasnych rajstopach są do kitu.

- No co ty - zaprotestowały jednogłośnie.

- Może n:imo wszystko powinnam włożyć ten czerwony kostium - rozważała.



Olivia uchyliła usta i natychmiast gwałtownie je zamknęła. Nie mogła ranić Evie i przyznać, że czerwony kostium byłby dużo, dużo lepszy niż ten. Niełatwa jest sztuka dyplomacji...

- Nie, nie, Evie. Ten jest naprawdę w porządku - powiedziała.

Patrzyła na miłą buzię przyjaciółki o okrągłym, miękkim owalu, na jej duże, pełne wyrazu oczy i mały kształtny nosek. Nie miała najmniejszych wątpliwości, co Evie powinna zrobić. Powinna skończyć z tą surową gładką fryzurką i obciąć włosy całkiem inaczej. Powinna także wyrzucić na śmietnik swoje konserwatywne stroje, wszystkie te bezpieczne czernie i granaty, i zacząć nosić barwy szlachealnych kamieni. Ametyst, szkarłat, brąz, złoto, pruski błękit...

Widziały dziś znacznie bardziej efektowną kreację: ciemnoczerwony garnitur z mocno wciętą marynarką, która idealnie uwydatniała figurkę Evie. Evie jednak, starym zwyczajem, uciekła w znany schemat, twierdząc, że spodnie nie byłyby odpowiednie na wesele.

- A, co tam. W każdym razie jest nowy i nikt nie powie, że się nie wysiliłam - zdecydowała Evie, wpatrując się w lusterko na obramowaniu kominaka, ukazujące zaledwie koniec jej nosa. - A poza tym potrzebuję czegoś na własne wesele. Ten będzie w porządku. Simon uwielbia niebieski kolor.

Poszła z powrotem na piętro, żeby się przebrać. Czy czerwony byłby lepszy? Co za bzdury... Żadna czerwień jej nie pomoże. Cokolwiek by włożyła, i tak wygląda beznadziejnie. Od świąt nie udało jej się wrócić do diety bezkofeinowej i bezcukrowej. Nie tylko nie posunęła się naprzód w sprawie walki z cellulitsem, ale wciąż miała na sobie te dodatkowe dwa i pół kilo, rezultat świątecznego obżarstwa. Zdjęła kostium, smętnie rozmyślając o tym, jaka naprawdę chciałaby być. Egzotyczna. Piękna. Tajemnicza.

Heroiny powieści czy filmów zawsze są tajemnicze. Jedno ich wieloznaczne, enigmatyczne spojrzenie wystarczy, by rzuciły na partnera zniewalający czar. Na przykład Vanessa z „Fatalnej namiętności”. Ta francuska dziennikarka była, jak się okazało, rosyjską księżniczką od lat ukrywającą swoją tożsamość. To właśnie pochodzenie nadawało jej aurę tajemnicy. Nikt nie zdołał jej przeniknąć - dopóki na scenę nie wkroczył reporter wojenny imieniem Dirk. Zaprawiony w bojach, pokryty bliznami i wprost niemożliwie przystojny, nie oparł się uczuciu do pięknej, intrygującej Vanessy.

Evie, w niezapiętym czarnym blezerze, usiadła na łóżku i spróbowała wyobrazić sobie, jak to jest - być rosyjską księżniczką, grającą rolę francuskiej dziennikarki. Udrapowała na sobie blezer, tak by odsłaniał ramiona, rozwiązała kucyk i potrząsnęła głową. Włosy rozsypały się kaskadą po nagim ciele. Evie pograżyła się w świecie marzeń.

- Dlaczego nie powiesz mi wszystkiego? - spytał ochrypłym głosem Dirk, napawając się pięknnością Evie. Stała przed nim niemal półnaga w swojej wieczorowej sukni, a intymne światło porozmieszczanych tu i ówdzie lamp

wydobywało jej węzowe kształty. - Ukrywasz przede mną swoje sprawy, a ja muszę wiedzieć. Muszę wiedzieć wszystko.

Tłumiąc szloch, odruchowo uniosła dłoń ku twarzy, usiłując ukryć bliznę biegnącą od łuku brwi aż do linii czarnych jak heban włosów.

- Nie mogę, Dirk. Musisz zrozumieć, że Rosja to przeszłość. Spaliłam za sobą wszystkie mosty. Ile wysiłku mnie kosztowało, żeby zapomnieć.

- Przestań trzymać mnie na dystans, do diabła - warknął, tracąc cierpliwość. Jednym skokiem był przy niej. Jego silne, muskularne ciało było napięte jak ściśnięta sprężyna, gotowa wystrzelić w górę jednym gwałtownym ruchem, gdy przyciągnął ją do siebie.

Tuż przed sobą miała jego twarz. Przenikliwe niebieskie oczy świdrowały jej brązowe z pasją, jakiej nigdy wcześniej nie widziała.

Ciepło jego dłoni przywiodło Evie na myśl moment, gdy te muskularne ramiona wędrowały po jej nagim ciele, dostarczając rozkoszy, o jakiej nawet nie marzyła... A mimo to nie mogła mu powiedzieć. Gdyby wiedział, co zrobili jej tamci ludzie, zabiłby ich. Odnalazłby i pozabijał co do jednego. Zbyt go jednak kochała, by pozwolić mu choćby spróbować. Tak jest lepiej. Porzuciła dawne życie i odpełzła ukradkiem w mrok, zacierając za sobą wszelkie ślady, jak gdyby przeszłość nie istniała.

- Powiedz mi - wytchnął. - Powiedz...

Otoczona jego ramionami poczuła, że jej opór słabnie.

- Och, Dirk. Chciałabym, ale to nie jest łatwe - powiedziała z wahaniem, wdychając jego męską woń. Wiedziała, że to po raz ostatni. Jutro już jej tu nie będzie.

Uniosła twarz i spojrzała mu w oczy, tonąc w ich lazuruwej głębi.

- Kochaj mnie, Dirk - powiedziała po prostu. Zsunęła z ramion suknię i poczuła jego usta na swoich, twarde i niemal brutalne z żądzy...

- Mamo, Olivia idzie do domu - zawołała z dołu Rosie. Wyimaginowany świat zniknął.

- Już schodzę! - odkrzyknęła. Z lustra patrzyła na nią blada kobiecina z włosami w nieładzie. Nudna, konserwatywna Evie, a nie żadna tajemnicza heroina, na której jedno dotknięcie twardziel Dirk drży z namietności.

Nudna Evie zapięła sweter, z niepotrzebną złością związała na powrót włosy i zeszała na dół.

Olivia stała w hallu, już w płaszczu. Była niespokojna - minęło sześć godzin, odkąd wyszła z domu, zostawiając Saszę pod opieką Stephena. Małżonek już na pewno niecierpliwie popatruje na zegarek.

Rosie opowiadała Olivii o marynarce, którą wypatrzyła w „Miss Selfridge”.

- Jest odlotowa. Ze sztucznej skóry robionej na żrebię. Długa, brązowa. Mogłabym pożyczyć od Charlotte te brązowe spodnie do kompletu, wiesz, te ze skaju. A do tego szyfonowy top.

- Na wesele? - Evie nie była pewna, czy podoba jej się ten pomysł. Sztuczny żrebak i skaj?

- Spoko, mamó. To będzie odlotowa kreacja, zobaczysz - powiedziała pobłażliwie Rosie. - Cara widziała tę marynarkę i też uważa, że jest świetna.

- Gust twojej ciotuni pozostawia sporo do życzenia - w głosie Evie była jawna kaśliwość. - Bóg raczy wiedzieć, co też ona na siebie włoży.

Wciąż była zła na Carę za to, co od niej usłyszała. Zła i zraniona. Nawet jeśli ze wstydem przyznawała sama przed sobą, że to, niestety, prawda, bynajmniej nie miała chęci słuchać, jak ktoś ciska jej w oczy oskarżenie, że jest samolubna i zazdrosna.

Trzy świąteczne dni minęły w atmosferze powstrzymywanej wrogości. Wreszcie Cara straciła cierpliwość. W przeddzień powrotu do Dublina wylała całą złość na Evie.

- Od rana raczyłaś powiedzieć do ojca może ze dwa słowa - z furią cisnęła talerze do zlewu, nie przejmując się, że może je potłuc. - A co do tej biednej Vidy... Skoro nie miałaś zamiaru odzywać się do niej w czasie lunchu, to trzeba było zabierać się z powrotem do Dublina i zostawić nas samych. Przecież to chamstwo siedzieć tak przy stole w grobowym milczeniu! Co to jest, do diabła, biesiada upiórów?

- Ciiicho! - syknęła Evie. - Usłysz! - W saloniku oprócz ojca i Vidy znajdowało się również dwoje sąsiadów, zaproszonych na lunch; Rosie zainiosła im właśnie drugi dzbanek kawy.

Cara rąbnęła drewnianą łyżką w zlew. Chlusnęły mydliny.

- Boisz się, że usłysz? Musieliby być chyba ślepi i głusi, żeby nie zauważyć do tej pory. „Może trochę sosu, Evie?” „Nie”. „Zaplanowałaś już wszystko na swój ślub, Evie?” „Tak”. Wiesz co? Równie dobrze mogłaś sobie zrobić dwa kartoniki z tymi dwoma słowami: tak i nie. Zależnie od potrzeby pokazywałabyś ten albo ten i na jedno by wyszło. Po co się mordować otwieraniem ust?

Evie zacerwieniła się. Zdawała sobie sprawę, że w czasie lunchu była bardzo lakoniczna, ale nie sądziła by ktoś zwrócił na to uwagę. Wszyscy się przecież znakomicie bawili, zajęci sobą a ojciec i Vida stanowili nieustający ośrodek zainteresowania. Komu przeszkadzało, że siedzi cicho? Nikomu poza Carą.

- Nie rozumiem tylko, Evie - powiedziała na koniec Cara, rezygnując z udawania, że zmywa - dlaczego całe życie powtarzałaś mi, jak to w każdych okolicznościach powinnam zwracać uwagę na drugiego człowieka, jaka mam być uprzejma, skromna, rozważna, odpowiedzialna i wrażliwa, skoro wystarczył mały wstrząs i już zachowujesz się jak infantylna, niedojrzała i nieodpowiedzialna idiotka.

Evie zaniemówiła. Ale Carą jeszcze nie skończyła.

- Wiem, że ten ślub jest dla ciebie trudny do zaakceptowania - ciągnęła - ale nie zrobiłaś jak dotąd żadnego wysiłku, żeby przynajmniej spróbować

pogodzić się z rzeczywistością. Chcesz walczyć z faktami? - warknęła. - Aż strach pomyśleć, co się z tobą stanie, jeśli nie daj Boże przydarzy ci się coś naprawdę niemiłego. Nawet nie wiesz, jaka jesteś szczęśliwa, Evie - dodała gorzko. - Po prostu nie zdajesz sobie sprawy.

Skąd ta gorycz? Evie nie rozumiała.

- Zsiądź no ze swojego wysokiego konia i spróbuj zobaczyć świat wokół siebie. Ojciec naprawdę zasługuje na trochę szczęścia. Gdybyśmy nie były tak nieustannie skoncentrowane na własnych sprawach, dawno byśmy zauważyły, że jest po prostu samotny. Wdzięczna jestem Vidzie, że się przy nim pojawiła, bo nie chcę, żeby przeżył resztę życia w pojedynkę. I jeśli choć przez pięć minut przestaniesz myśleć wyłącznie o sobie, na pewno przyznasz mi rację.

Cara wyszła z kuchni i już do końca dnia nie odzywała się do siostry. Nazajutrz wsiadła w autobus i wróciła do Dublina. Od tego czasu rozmawiały parokrotnie przez telefon, ale krótko i wyłącznie o sprawach mało istotnych. Wspomnienie tamtego starcia wisiało nad nimi niczym gradowa chmura, obie jednak starannie unikały wszystkiego, co mogłoby się z nim wiązać.

Evie czuła się winna, ale i dotknięta. Cara nie powinna była występować jako rzeczniczka Vidy, powinna opowiedzieć się po jej stronie. Skoro własna siostra nie jest w stanie zrozumieć jej stanowiska, to kto ma ją zrozumieć? Nie dawało jej jednak spokoju dziwne wrażenie, że gdy Cara mówiła o możliwości przeżycia czegoś naprawdę strasznego, nie szło jej o możliwość wyłącznie teoretyczną. Miała na myśli zdarzenie rzeczywiste. Coś, o czym nigdy nie mówiła.

Myśl o tym, skryta w zakątku mózgu, towarzyszyła Evie bez przerwy. Co takiego zdarzyło się Carze? I dlaczego zachowała to w tajemnicy?

Rosie nadal mówiła o weselnych ciuchach.

- Cara powiedziała, że chętnie by nabyła jakiś kostium, ale z kasą u niej krucho - wyjawiała.

- Mam nadzieję, że mimo wszystko będzie go miała - stwierdziła sucho Evie. - Chociaż nigdy nie wiadomo, co jej strzeli do głowy. Kto wie, czy nie przyjdzie w swoich bojówkach i starym T-shircie. Wyobrażacie ją sobie na tle tych wszystkich odstrzelonych do niemożliwości gości Vidy?

Problem „co włożyć na ślub ojca” był w tym momencie odległy od umysłu Cary o lata świetlne. Siedziała schylona nad deską, wykańczając kampanię, którą zastała przedwczoraj na swoim biurku, gdy wrócili z Zoe z lunchu.

„Superpilne” - brzmiała notka od Bernarda, nabazgrana byle jak na kawałku papieru. „Ma być gotowe na poniedziałek”.

Żadnego „proszę”, „dziękuję”, czy „przepraszam, że zepsułem ci piątek”. Czy sobotę. Czy w ogóle życie prywatne - pieniała się Cara. Nic z tych rzeczy. Drań pozwala sobie, bo wie, że nie mam żadnego prywatnego życia.

Zero prywatności - i zero kariery. Jestem po prostu chłopcem do bicia dla szefa-psychopaty, który uważa, że może kazać człowiekowi pracować do późnej nocy w piątek i całą sobotą i nie obowiązuje go nawet elementarna grzeczność!

Nie cierpiała siedzieć w biurze w weekendy. Było wtedy takie puste i ciche... A w ciszy rozlegały się od czasu do czasu jakieś dziwne jęki i poskrzypywania. Zupełnie jakby pomieszczenia były zaludnione przez duchy. Albo jakby wkradli się niewidzialni włamywacze. Czasem nawet schodziła ostrożnie na dół, żeby sprawdzić. Było pusto. Ale może pochowali się za szafami?

Wiedziała oczywiście, że źródłem tych odgłosów są stygnące kaloryfery, rury kanalizacyjne oraz stare, rozsychające się podłogi. Cóż z tego? Klimat niesamowitości nie zniknął. Wyobraźnia robiła swoje.

Jeszcze dziesięć minut. Koniec. Znużona, wrzuciła gotowy projekt do kolorowej fotokopiarki i zrobiła kilka kopii, po czym zeszła na dół, żeby zostawić swoje dzieło na biurku dyrektora kreatywnego. Właśnie je kładła, gdy usłyszała za sobą kroki. Zamarła.

- Cara? Co ty tu robisz w sobotę o wpół do siódmej?

Odwrociła się. Przed nią stał Ewan, copywriter. Całkowicie odmieniony. Zamiast zwykłych przypadkowych ciuchów miał na sobie elegancki ciemnoszary garnitur.

Jak wszyscy copywriterzy, nie przejmował się zanedo kwestią ubrania i Cara widywała go dotąd wyłącznie w dżinsach lub innych wymiętych portkach, z przerośniętymi, opadającymi na kołnierzyk ciemnymi włosami. Ku swemu zdumieniu mogła teraz stwierdzić, że garnitur leży na nim zaskakująco dobrze.

- Aleś mnie przestraszył - jęknęła. Czują, że słania się na nogach z wrażeń. Wsparała się o biurko, cała drżąca.

- Przepraszam - dotknął przelotnie jej ramienia. - Naprawdę nie chciałem. Nie przypuszczałem, że kogoś tu zastanę. Co, jakieś zlecenie specjalne od Bernarda? - spytał porozumiewawczym tonem. - Stary numer typu „ma być gotowe, zanim wезде poniedziałkowe słońce”?

- Gratulacje. Strzał w dziesiątkę - uśmiechnęła się Cara. - Siedzę tu cały weekend i dosłownie padam już na pysk. Za cholerę nie mogę zrozumieć, dlaczego jest sprawą życia i śmierci, żeby sklep z artykułami malarskimi miał kampanię gotową w poniedziałek na dziewiątą. Czyżby cały kraj rzucał się tego dnia w wir odnawiania?

Ewan wyszczerzył wszystkie swoje oślepiająco białe zęby. Niezły jest, kiedy się uśmiecha - pomyślała. Właściwie w ogóle był niezły... Taką miał opinię wśród żeńskiej części zespołu, ale Carą jakoś nigdy nie zwróciła na to uwagi. Teraz za to widziała jasno: Ewan był szalenie przystojny. Zielone, jakby lekko senne oczy, szeroki uśmiech, pełne usta... Ciekawe, jak całuje... Cara! - przywołała się do porządku. - O czym ty myślisz?

- Myśla, że Bernard po prostu lubi stawiać ludziom nadmierne wymagania - Ewan wsparł się o biurko, wyciągając przed siebie długie, szczupłe nogi. - Tak sobie, z czystej złośliwości. Kiedyś postąpił podobnie z moim szefem. Znasz Kena, prawda? Otóż Ken na początku swojej kariery też pracował kiedyś cały weekend i powiedział, że to pierwszy i ostami raz, chyba że Bernard zapłaci mu poczwórną stawką za nadgodziny. Rzecz jasna, zlecenia specjalne skończyły się jak ręką odjął.

- Ken ma łeb - mruknęła Cara. - Tylko że już widzą miną Bernarda, kiedy żądam od niego poczwórej stawki. Młodszy projektant nie ma w Yoshi Advertising nic do gadania.

- No tak - uśmiechnął się ze zrozumieniem. - Masz jeszcze coś do roboty na dzisiaj?

- Właśnie skończyłam.

- Super. Skoczmy na drinka?

Cara nie musiała się zastanawiać. Odprążyć się przy szklaneczce, powieszać razem psy na Bernardzie... Trudno sobie wyobrazić miłsze zakończenie tego parszywego dnia.

- Dobra, tylko zabiorą z góry moje rzeczy.

Uszczęśliwiona, rzuciła się biegiem po schodach. Jak to dobrze, że ma co zrobić z wieczorem... Phoebe szła na jakąś imprezę, a Cara, choć także zaproszona, nie miała chęci iść w pojedynkę. Czekająca ją kolejna randka z telewizorem przy kolejnym opakowaniu lodów „Mars”, a przecież trzy pudełka na tydzień to i tak za dużo jak na dwie niezbyt ciężko fizycznie pracujące kobiety. Kropelka dżinu na rozweselenie w niezobowiązującym towarzystwie Evana to doprawdy sympatyczna alternatywa.

Złapała z podłogi plecak, odrzuciła po błyskawicznym rozważeniu pomysł, by przecesać włosy i położyć na wargi bezbarwny błyszczący (przecież Ewan to kolega z pracy, nic więcej!), i w podskokach zbiegła na dół.

- Czemu jesteś dziś taki odstawiony? - spytała, gdy szli ulicą w kierunku jaśniejszej światłami „O'Dwyer's”. Był równie wysoki jak ona. To miłe.

- Wracam z pogrzebu - odparł.

- Boże! - zamarła, przerażona. - Ktoś bliski?

- Nie, przyjaciel mojej matki. Byłem w charakterze podpory moralnej. No i obstawy, na wypadek, jakby doszło do jakiegoś mordobicia.

- Co? - Cara zatrzymała się. - To kto uczestniczył w tym pogrzebie? Skinheadzi? Bandyci?

- Nie - zaśmiał się. Właśnie doszli na miejsce. Rozejrzawszy się, znaleźli przy barze dwa wolne stołki i zamówili dwie butelki becka. - To trochę skomplikowane - podjął. - Moja matka i facet, który umarł, byli ze sobą od wielu lat, ale on był żonaty. I wyobraź sobie, parę lat temu odszedł od żony... po to, żeby związać się z trzecią! Domyślasz się, jakie miny miały obie porzucone... I teraz wszystkie trzy spotkały się nad jego grobem. Wydawało się,

że katastrofa gwarantowana. A tu nic z tych rzeczy. Wszystkie panie zachowywały się z godnością i uszanowaniem. Dziwne, co? To był świetny facet, nawiasem mówiąc.

- Czy był dla ciebie kimś w rodzaju zastępczego ojca? - spytała Cara, zdumiona tym niecodziennym układem rodzinnych więzi.

- Nie. Zresztą prawdziwego ojca też nigdy nie miałem - Ewan nie wydawał się zanadto zmartwiony tym faktem. - Matce zdarzało się mieć partnerów, a ze Stanem, tym, który właśnie umarł, na przemian schodzili się i rozchodzili. Tak naprawdę byliśmy z matką we dwójkę. A mój prawdziwy ojciec zostawił ją, kiedy byłem dzidziusiem. Chyba był kimś w rodzaju niespokojnego ducha. Pojechał do Australii i nigdy nie wrócił.

- A ja myślałam, że moja rodzina jest pokręcona - Cara pociągnęła solidny łyk piwa ze swojej butelki.

- A co jest z nią nie tak?

- Absolutnie nic, w porównaniu z twoją - odparła żartobliwie. - Matka umarła, kiedy miałam sześć lat, a ojciec dotąd był sam. No i właśnie niedawno poznał jedną wdowę, Amerykankę. W piątek biorą ślub.

- Wszystkiego najlepszego.

- Tak, ale jest problem. Moja starsza siostra cierpi na coś w rodzaju kompleksu Elektry i dostaje piany na ustach, kiedy mowa o ślubie. Rozwija też spiskowe teorie na temat narzeczonej ojca, na przykład, że jest kimś w rodzaju Czarnej Wdowy.

- Już łapię - Ewan odchylił się do tyłu i poluzował krawat. - Twój tata cieszy się jak goły w pokrzywach, a za dwa miesiące otworzy któregoś ranka oczy i stwierdzi, że wasza nowa mamuśka zniknęła wraz z rodzinną fortuną, dorobkiem pokoleń?

Cara zaśmiała się, ubawiona, że tak zręcznie utrafił w sedno.

- Słabym punktem tej teorii jest to, że rodzinna fortuna, niestety, nie istnieje. Inaczej nie nosiłabym przecież tego rodzaju strojów - dotknęła palcem wystrzępionego brzegu swojej lnianej marynarki rodem z ciuchlandu.

- Boja wiem - Ewan przyjrzał się jej uważnie, od zarumienionych policzków otoczonych splątanymi lokami, aż po splowiałe, wytarte dżinsy, jedyne, jakie pozostały jej dziś rano do włożenia. Wszystkie pozostałe leżały w koszu z brudami. - Według mnie wyglądasz bardzo fajnie. Pasuje ci ten styl.

Cara zamruła, niepewna, co nastąpi dalej.

- Jakoś nie mogę sobie ciebie wyobrazić w wytwornym kostiumie i perłach, nawet gdyby był od Armaniego. - Dokończył swoją butelkę. - No to co, stawiasz następną kolejkę, nadziana kobieto?

Roześmiała się. To, co zapowiadało się na komplement, zgrabnie obróciło w żart. Z nutką pochlebstwa dla jej prezencji, niemniej jednak żart. Wolała, kiedy mężczyźni traktowali ją właśnie tak, jakby była kimś z ich grona. Jak kumpla.

Twarda i szorstka jak oni wszyscy, była bezpieczna. Kiedy stawiasz kolejki, kiedy klniesz jak szewc, kiedy nosisz martensy o numer większe niż przeciętny facet - to znaczy dziewiątkę - i kiedy większość znanych ci mężczyzn przewyższasz o pół głowy, nie może być mowy o niewłaściwym odczytaniu sygnałów, jakie wysyłasz.

Siedzieli i gadali. Strasznie było fajnie. Dlaczego nigdy dotąd nie znalazła chwili czasu, żeby porozmawiać z Ewanem? Był przystojny, to fakt. I miał opinię faceta o nieodpartym uroku. Może dlatego trzymała się z daleka... Wystrzegąca się mężczyzn, o których kobiety z wypiekami na twarzy plotkowały po toaletach i którzy zajmowali pierwsze miejsca na nieoficjalnej biurowej liście najbardziej cenionych kandydatów na łóżkowych partnerów. Sama nigdy nie brała udziału w tego rodzaju gierkach.

- Stary ponurak - mawiała Zoe.

- Puszczalskie - odcinała się lekkim tonem Cara.

Kolejne piwo znów postawił Ewan. Gadali, śmiali się, wieszali psy na kim trzeba i ogólnie biorąc świetnie się bawili.

O wpół do dziesiątej Ewan stwierdził, że musi iść.

- Jutro po południu gram w nogę. Trener mnie zabije, jak będę skacowany.

- Mecz w niedzielę? - spytała, niemile zaskoczona, że tak przyjemnie rozpoczęty wieczór kończy się tak nieoczekiwanie.

- Tak, bo to impreza dobroczynna. Na rzecz szkoły dla opóźnionych w rozwoju. Gramy co roku. Fajna zabawa, pod warunkiem, że człowiek nie umiera po sobotnich baletach. Może przyjdiesz?

Cara zaniemówiła. Po raz drugi tego wieczoru.

- Ja? Mam iść z tobą na mecz?

- No - uśmiechnął się. - Na pewno ci się spodoba. Chłopcy są fajni, zobaczysz. Po meczu zawsze idziemy na jakieś żarcie i parę drinków. Taka mała imprezka. To co, przyjdiesz? - Zielone oczy, ze śladami zmarszczek w kącikach, świeciły zapałem w otwartej, szczerej twarzy. Wiedziała już, dlaczego jego pozycja na listach, jakie sporządzały dziewczyny z Yoshi, była tak wysoka...

Szybko rozważyła, co ewentualnie robiłaby w niedzielę. W normalnych warunkach około pierwszej szły z Phoebe do „Flames”, gdzie pożerały stos ociekających tłuszczem frytek oraz kiełbaskę o rozmiarach pocisku nuklearnego, ewentualnie specjalnego firmowego hamburgera, przeglądając przy tym gazety i przerzucając się co lepszymi kawałkami, na jakie się natknęły. Z nastaniem Ricky'ego jednak niedzielny rytuał uległ zmianie. Rano, po wysłuchaniu obowiązkowej serii westchnień i chichotów dochodzących z pokoju Phoebe, Cara wychodziła, żeby coś zjeść. Samotna wyprawa do knajpy nie była zbyt zabawna, a wynajdywanie w gazetach śmiesznych kawałków straciło wiele ze swego uroku, skoro nie było pod ręką kogoś, z kim można by się razem pośmiać...



Spojrzała na Ewana, uśmiechnęła się i powiedziała najbardziej niedbałym tonem, na jaki było ją stać:

- W porządku.

- Idziesz z nim na randkę? - pisała zachwycona Phoebe.

Po powrocie do domu Cara zastała ją i Ricky'ego w kuchni, gdzie przygotowywali grzanki z serem. Używali do tego celu cheddara, którego wygląd i zapach nasuwały podejrzenie, iż jest niebezpiecznie bliski wybuchu.

- To nie żadna randka - zaprotestowała. - Takie sobie zwykle... wyjście. Wie, że lubię pogapić się na futbol i wypić parę drinków, to wszystko.

- Co, i to nie jest randka? - włączył się Ricky poprzez zapchane grzanką usta. - Spije cię do nieprzytomności i niecnie wykorzysta, zobaczysz! - i, zachwycony własnym żartem, parsknął uszczęśliwionym śmiechem, rozsiewając po całym blacie na pół przeżute fragmenty.

- A co się stało, że nie jesteście na imprezie? - spytała Cara, ignorując go. Ricky był przystojny, ale, Boże jedyny, jakiś tępy. Nie mówiąc już o tym, że irytujący.

- Byliśmy, ale muzyka była do kitu. I zabrakło procentów. A do jedzenia było raptem dziesięć paczek chipsów, i to z solą i octem, a ja lubię tylko serowo-cebulowe - Phoebe podała listę przyczyn nieco poirytowanym tonem. - Chciało nam się jeść, ale nie mieliśmy kasy, żeby iść do pubu.

- Nie rozumiem was, drodzy państwo - Cara odwróciła się, żeby wyjąć z zamrażalnika lody „Mars”. - Oboje pracujecie w banku, cały czas macie do czynienia z forszą, dostajecie niezłą pensję, a wciąż jesteście bez kasy. Na moje konto, Phoebe, wpływa znacznie mniej, a przecież opływam w dostatki.

Ricky przełknął zawartość jamy ustnej i oblażał pełne wargi różowym językiem, który, jak przysięgała Phoebe, doprowadzał ją wręcz do nieprzytomności.

- Skoro mowa o forsie... Nie pożyczylabyś nam parę groszy?

Cara spojrzała na jego uroczą, pozbawioną wyrazu twarz.

- Słusznie się wyraziłeś, Ricky. Nie pożyczylabym. Już i tak jesteś mi winien pięć funtów. Pamiętasz, jak byliśmy razem u „Brady'ego”?

- Pożyczyłeś pieniądze od Cary? - kwiknęła z oburzeniem Phoebe.

-No... tak - wymamrotał, zakłopotany. - Wcale o tym nie zapomniałem, Cara.

Za to zapomniałeś o poprzednich piętnastu - pomyślała ponuro. Więcej nie da się nabrać. Dobry zwyczaj, nie pożyczaj... Zwłaszcza Ricky'emu. Ze swoją głową do interesów nie zrobi on, niestety, kariery w bankowości... Będzie wiecznym gołodupcem, chyba że zacznie prezentować modę na wybiegach. Tylko w jaki sposób udało mu się dostać pracę w banku? Tej tajemnicy Cara nie była w stanie rozgryźć. Po paru tygodniach widywania go co

drugi dzień doszła do smutnego przekonania, iż euforia Phoebe, że trafił jej się tak fenomenalny egzemplarz męskiej urody, stłumiła w niej doszczętnie głos zdrowego rozsądku. Ricky wyglądał jak młody bóg, a sex-appealu, jakim obdarzyła go natura, starczyłoby dla czterech innych facetów, jednak między dwojgiem jego perfekcyjnie uformowanych uszu ziała totalna pustka.

A Ewan jest nie tylko przystojny, ale i niegłupi. Jego uroda nie zwala może człowieka z nóg jak w przypadku Ricky'ego, ale i tak jest całkiem, niezły. Zresztą Ricky'emu naprawdę brakuje choćby jednej drobnej skazy. Jest jakiś taki... zbyt gładki. A Ewan ma właśnie w sobie tych parę niezbędnych u mężczyzny kantów. Tę odrobinę twardości.

Ciekawe, skąd je ma... Nie wiedziała o nim zbyt wiele, nie miała pojęcia, co sprawia, że unosi się wokół niego ta szczególna aura. Coś, co zdaje się sygnalizować: „ze mną nie ma żartów”. Może dowie się jutro?

Nazajutrz rano, gdy Cara wróciła ze śniadania - zrezygnowawszy z wizyty we „Flames” na rzecz filiżanki herbaty „Blue Javan” i croissanta w małym sklepiku z kawą, przy dźwiękach łagodnego jazzu - Ricky'ego już nie było. Phoebe wpatrywała się w telewizor, spożywając mechanicznie płatki kukurydziane z mlekiem.

Kiedy skończyła się przerwa na reklamę i rozbrzmiał sygnał muzyczny zapowiadający „Czarodziejkę”, Cara natychmiast przerwała przeglądanie gazety, odsunęła w bliżej nieokreśloną przyszłość chwalebny plan, by wreszcie posprzątać swój pokój, i padła na kanapę, zamierając w oczekiwaniu. „Czarodziejka” była ulubionym programem jej dzieciństwa. Marzyła, żeby mieć ciężkie złote bransolety odbijające kule, łąso, dzięki któremu mogłaby rzucać złoczyńców na kolana przy pomocy ledwo widocznego fachowego ruchu przegubu... Kiedy jednak ciśnięte na stolik magazyny wzbity w powietrze tumany kurzu, który zalegał wszystkie powierzchnie ponadcentymetrową warstwą, zmieniła zamiar.

- Straszny tu syf, Phoebe - powiedziała z niesmakiem. Podłogę zalegały stopy starych gazet i czasopism, litościwie ukazując jedynie niewielkie fragmenty dywanu w kolorze wymiotów w zgniżozielony wzór. Wszędzie stały brudne szklanki i kubki z poprzedniego wieczoru, a parę innych, jeszcze starszych, zdobiło obramowanie kominka do spótki z licznymi zużytymi pudełkami zapalek, niemal doszczętnie stopioną świecą oraz kilkoma opakowaniami brykiętów. Nawet ogień płonący wesoło za kratą nie był w stanie wprowadzić odrobiny przytulności w to plugawę, niekochane, nie sprzątane od miesięcy wnętrze.

Cara, zdesperowana, odchyliła się na oparcie kanapy i natychmiast jej czarne bojówki zostały udekorowane gustowną kupką dżemu.

- A w ogóle to skąd tu tyle kociej sierści? Przecież nie mamy kota.

- Ricky ma - mruknęła Phoebe, nie odrywając oczu od pudła.

Najwyraźniej nie należało oczekiwać po niej współpracy. Trudno. Cara podwinęła rękawy, związała z tyłu włosy, żeby nie wchodziły jej w oczy,

i zabrała się do roboty. W ciągu pół godziny zdołała zlikwidować zapas maktulatury i posprzątać otoczenie kominka. Pokój zaczął nieco przypominać siedzibę ludzi cywilizowanych.

Skoro już zaczęła, Cara poszła za ciosem. Skrobała, ścierała, polerowała, miotając się jak szatan, Phoebe zaś siedziała jak zaklęta, nie odrywając oczu od ekranu.

Kiedy nawet wycie odkurzacza nie wyrwało jej z katatonicznego osłupienia, Cara wiedziała, że coś jest nie tak. Nigdy dotąd nie zdarzyło się, by współspaczka nie uczestniczyła w sprzątaniu, skoro już do niego raz na sto lat dochodziło.

- Co się stało, Phoebis?

Phoebe siąknęła nosem.

- Pokłóciliśmy się.

- O co? - spytała Cara, wciąż nie wypuszczając z ręki końcówki odkurzacza.

- O pieniądze.

- O - Cara natychmiast zapomniała o odkurzaczu. Zostawiła go i usiadła naprzeciw przyjaciółki.

- Wciąż pożyczasz ode mnie pieniądze, ale nie wiedziałam, że od ciebie też pożyczasz. Powiedziałam mu coś na ten temat, a on się wściekł i powiedział, że skoro tak, to na pewno go nie kocham.

Cara pilnowała się, żeby nie otworzyć ust. Jedno niewłaściwe słowo mogło w tym momencie okazać się fatalne.

- Powiedziałam, że go kocham, ale nie chcę, żeby pożyczasz od ciebie pieniądze, skoro ich nie zwraca - ciągnęła złamanym głosem Phoebe. - Jest mi winien ponad sto funtów, a poza tym ostatnio już cztery razy ja płaciłam rachunek, kiedy byliśmy w knajpie. Właśnie dlatego wyszliśmy z tego przyjęcia. Ricky miał przynieść butelkę, i nie przyniósł. Strasznie mi było głupio, kiedy to wyszło na jaw.

Cara skrzywiła się nieznacznie. Nie ma nic gorszego niż facet, który nieustannie pożyczasz pieniądze i stale jest na minusie... I w dodatku nigdy nie płaci za wspólne wyjście. Nie należała bynajmniej do kobiet, które sądzą, że za każdym razem jest to obowiązek mężczyzny, skądże znowu. Pół na pół - taki podział kosztów wydawał się rozsądny i słuszny. W przypadku Ricky'ego było to raczej osiemdziesiąt procent na dwadzieścia, na jego korzyść, rzecz jasna. Przy czym swoje dwadzieścia procent i tak uiszczasz nie z własnej kieszeni. Pożyczasz.

- Dlaczego on nigdy nie ma pieniędzy? - spytała neutralnym głosem.

Phoebe wzruszyła ramionami.

- Wciąż kupuje jakieś ciuchy.

Czyżby? Cara zrobiła wielkie oczy. Zestawy ubraniowe Ricky'ego były wybitnie przypadkowe i wyglądały, jakby kupił je na bazarze w czasie ulewy.

- Czyżby nosił gatki wyłącznie od Gucciego? - zażartowała.

- Nie wiem - w głosie Phoebe pojawiły się niebezpieczne nuty. - Powiedział, że potrzebuje uczucia, a skoro nie Kocham go naprawdę, między nami wszystko skończone. - I rozplęnęła się we łzach.

Cara objęła ją i starała się pocieszyć. Zdołały to w końcu sprawić trzy filiżanki bardzo słodkiej herbaty, paczka markizów i długa rozmowa o tym, dlaczego mężczyźni są takimi draniami. Odprawiwszy rytuał narzekania na rodzaj męski, Phoebe odzyskała swoją naturalną komunikatywność i zaczęła obszernie opowiadać, jak szaleje za Rickim, jaki jest dla niej miły i z jakim wzruszającym uwielbieniem na nią patrzy, kiedy czegoś nie rozumie.

Co zapewne ma miejsce dość często - pomyślała Cara z grymasem ironii, który na szczęście w porę zdołała zmienić w sympatyczny uśmiech.

- Masz rację, Cara - Phoebe otarła za pomocą chusteczki ostatnie ślady łez. - Muszę z nim porozmawiać na ten temat. Powiem mu, że go Kocham, ale martwię się, że nigdy nie ma grosza przy duszy.

Cara, co prawda, sugerowała nieco inną treść wypowiedzi. „Powiedz mu, że nie będziesz dla niego pogotowiem ratunkowym, skoro trwoni pieniądze” - tak brzmiała jej rada. No, ale co tam.

Podniesiona na duchu, Phoebe udała się do łazienki w celu dokonania ablucji, Cara zaś, wyczerpana swoją rolą sprzątaczką, pocieszaczki i herbarciarki w jednej osobie, wyciągnęła się na kanapie i ziewnęła.

Mimoходом musnęła spojrzeniem tarczę zegarka i zamarła ze zgrozy.

Za trzy kwadranse powinna stać na linii autu boiska, na którym miał być rozegrany mecz, i kibicować Ewanowi. A dojazd autobusem potrwa godzinę... Trzeba zamówić taksówkę. W ten sposób będzie o połowę szybciej, ale i tak na przygotowanie się pozostaje jej raptem kwadrans. Niech to szlag.

Wspomniała wczoraj co prawda Phoebe, że zamierza iść w swoich zwykłych bojówkach i starym kożuchu (, jest zimno, a to przecież nie żadna randka"), stopniowo jednak pomyślał, by ubrać się nieco staranniej, zaczął jej się wydawać zabawny. Choćby po to, żeby pokazać Ewanowi, że i ona może wyglądać jak kobieta, pomimo stopy w rozmiarze dziewięć. Brak czasu oznaczał jednak, że z metamorfozą w słodką, zwiewną istotkę musi poczekać.

Trudno. Skoczyła na równe nogi.

- Phoebe! - wrzasnęła, łapiąc za telefon, żeby wezwać taksówkę. - Wyłaż spod prysznica! Ale już!

Zanim dotarła na boisko, mecz się zaczął. Taksówkarz podwiózł ją w niewłaściwe miejsce, co opłaciła dodatkowymi pięcioma minutami szaleńczego biegu na przełaj. Przynajmniej się rozgrzała.

Na obrzeżach zgromadził się tłum ludzi. Przystępowali z nogi na nogę i zbijali się w kupki, żeby uniknąć porywów wichury, która bez litości smagała

boisko, szybsza niż piłka. Było zimno jak diabli, pomimo że świeciło blade, niskie zimowe słońce.

Cara czuła, że od wiatru pieką ją oczy. Stała obok dwóch przesadnie umalowanych kobiet i próbowała ustalić, który z graczy może być Ewanem. Nie wiedziała nawet, jaki kolor nosi jego drużyna. Wszyscy wyglądali identycznie - dwudziestu dwóch facetów w białych szortach i czarnych lub czerwonych bluzach, z długimi, owłosionymi, purpurowymi z zimna kończynami.

Wydawało się, że tym w czerwonym idzie gorzej. Ich przeciwnicy mieli piłkę prawie przez cały czas i byli bliscy gola. Bramkarzowi czerwonych z pewnością nie było zimno: rzucał się od słupka do słupka jak maniak, gdy piłka waliła to w jeden, to w drugi, o włos od trafienia w bramkę.

- Naprzód, „St Helen's”! - pisała jedna z kobiet, drobna blondynka w ogromnej niebieskiej puchowej kurtce z kapturem.

- Nie dajcie się! - wrzasnęła jej rudowłosa towarzyszka w identycznej czarnej.

„St Helen's”? Brzmiało to jakby znajomo. Przyjrzała się czerwonym dokładniej. Ten w ataku po przeciwnej stronie boiska to mógł być Ewan. Atletyczny, muskularny... I szybki - pomyślała z uznaniem, patrząc, jak śmignął wraz z kolegą na przeciwległy kraniec w oczekiwaniu na piłkę.

Tłumek ożywił się; czerwoni odzyskali prowadzenie. Okrzyki „Naprzód, St Helen's!” „Gola, gola!” przemuszały się z wyciem „Nie dać się, Dems!”. Strzał kolegi Ewana okazał się niecelny i dwie puchowe dziewczyny obok Cary jęknęły, zawiedzione.

- Michael, Ewan! Więcej szczęścia następnym razem! - wrzasnęła rudowłosa drżącymi z zimna pod purpurową szminką wargami.

Ewan odwrócił głowę i spostrzegł Carę.

- Hej! - ryknął, powiewając dłonią.

Najbliżsi kibice odwrócili się, żeby sprawdzić, kogo pozdrawia. Puchowe panienki obrzuciły ją pełnym uznania spojrzeniem. Cara także go pozdrowiła, czerwona z zażenowania; wszyscy na nią patrzyli.

- A, to ty jesteś Cara, koleżanka Ewana - pisała ruda, śliczna jak lalczka, w równie purpurowym jak szminka aksamitnym kapelusiku, spod którego wymykały się kędziorki włosów. - Wszystkim nam o tobie opowiadał. Chodź, będziemy kibicować razem. Ja jestem Arlene, dziewczyna Michaela - powiedziała z dumą. - Tego, co o mały włos nie strzelił. A Barbara chodzi z Dave'em, lewoskrzydłowym.

- U-u-u-u, Dave! - zawołała przenikliwie Barbara, jakby na potwierdzenie jej słów.

Dave odwrócił głowę. W tym momencie przeciwnik wpadł na niego, podcinając mu nogi. Obaj padli na ziemię.

- Mam nadzieję, że nic mu się nie stało - zaśmiała się nerwowo Barbara.

- Pewnie że nie. Najwyżej wstrząs mózgu. Albo połamane żebra - **zapewniła** ją Cara. Zagorzała fanka zespołu **„Arsenal”**, nieszczęśliwie myślała o kibicach, którzy odwracają uwagę graczy.

Dziewczyny znów kokieteryjnie zachichotały.

- Niezła jesteś - powiedziała Arlene. - No nie, Babs?

Cara uśmiechnęła się powściągliwie i odsunęła o krok. Niepotrzebnie tu przy nich utknęła. I co właściwie oznacza to, „Jęwan wszystkim o tobie opowiadał”?

W ciągu pół godziny zdołała zwiększyć odstęp między sobą a nimi o jakieś dwa metry, „St Helen's” zaś pozwolili sobie strzelić tylko dwa gole.

- Cześć, Cara - z chmury pyłu wyłonił się Ewan z szerokim uśmiechem na obliczu. - Fajnie, że przyszaś. Widzę, że już się poznałyście z Babs i Arlene.

Babs i Arlene, całe podekscytowane, były zajęte entuzjastycznym wymachiwaniem w kierunku ubłoconego Michaela oraz Dave'a, który naprawdę wyglądał, jakby doznał wstrząsu. Na dźwięk swoich imion jednak, jak pieski, które czują smaczny kąsek, odwróciły równocześnie głowy i uśmiechnęły się.

- Fajne są, no nie? - powiedział ciepło, przegarniając spoconą dłońią równie spocone włosy.

- Świetne - odparła pogodnie, myśląc równocześnie, że nie po to wydała dziewięć pięćdziesiąt na taksówkę, żeby spędzać czas w towarzystwie kobiet, których w normalnych warunkach z pewnością by nie tolerowała. Zmalowane do niemożliwości, wyglądały, jakby przyszły na dyskotekę, a nie na mecz piłki nożnej w mroźny lutowy dzień.

- Poprosiłem je, żeby zwróciły na ciebie uwagę - powiedział Ewan z nutką niepewności w głosie. - Nie chciałem, żebyś się czuła zagubiona. No i jak, podoba ci się?

Mroźny lutowy dzień momentalnie zmienił się w tropikalny. Już nie czuła smagającego kończyny i twarz lodowatego wichru. Było tak, jakby nagle zaświeciło przyjazne, dobroczynne słońce.

Ewanowi zależało, żeby czuła się dobrze. Zadał o to. Upredził ludzi, że przyjdzie. Bzdura, co mówiła: że to nie randka. To jest randka.

- Absolutnie - odparła z blaskiem w oczach.

Dotknął przelotnie jej ramienia.

- Świetnie. No to ja na razie idę. Musimy przedyskutować taktykę. Czy raczej - dodał ponuro - jak nie przegrać zbyt smętnie.

- Idzie ci fantastycznie - Cara posłała mu pełen otuchy uśmiech. - Dował im.

Oddalił się truchtem. Cara złapała się na tym, że z zachwytem śledzi jego sylwetkę. Pod workowatymi džinsami, jakie nosił na co dzień, nie było widać tych wspaniale umięśnionych nóg...

- Chcesz kanapkę? - usłyszała. Obejrzała się: Arlene otwierała pudełko z kromkami ciemnego chleba z jajkiem na twardo. - A Babs ma kawę. Pierśsióweczka brandy też się znajdzie.

- Inaczej cycki by nam zmarzły - powiedziała Babs z nieodłącznym chichotem.

- Ale przecież na pewno macie tylko dwa kubki - zauważyła Cara, zaskoczona.

- Właśnie że nie - Babs sięgnęła do wnętrza gigantycznej torby i wyciągnęła z niej miniwieżę z polistyrenowych kubków. - Zawsze mam wszystko, co trzeba.

Notowania obu dziewczyn w opinii Cary skoczyły w górę. Nie były takie głupie, na jakie wyglądały.

- Dzięki - powiedziała z wdzięcznością. - Z chęcią coś zjem. A za kubek kawy mogłabym zabić.

Pokrzepiona kawą, kanapkami i łykiem brandy, bez trudu dotrwała do końca meczu, a nawet znalazła pewną przyjemność w rozmowie z Babs i Arlene. Przycisnęły ją lekko, by powiedziała coś o sobie, ona zaś równie leciutko przycisnęła je na temat Ewana. Chodził z Dave'em i Michaelem do szkoły, lubił narty, a na mecz nikogo nie przyprowadził od czasu, gdy zerwał ze swoją ostatnią dziewczyną, Laylą, która też pracowała w reklamie. Była, jak wyraziła się Babs, „okropną jędzą”.

- Strasznie zadzierała nosa. Trzeba przyznać, że miała dość zgrabny - Arlene była kosmetyczką. - Myślała, że jest nie wiadomo kim, bo w pracy była jakąś szychą - prychnęła.

Cara zawstydziała się. Ona też przed chwilą zadzierała nosa. Osądziła je z góry tylko na podstawie ich dziewczynskich chichotów i przesadnego makijażu, a przecież one mogły tak samo szybko osądzić ją - na podstawie jej wojskowych ciuchów. A jednak tego nie zrobiły. Dały jej szansę.

- A ta fryzura - wzruszyła ramionami Babs, która z zawodu była kolorystką. - Uważała, że grube blond pasma na czarnych włosach są urocze. Boże... - wyrzuciła oczami. - Szkoda, że nikt jej nigdy nie powiedział, jak naprawdę wygląda.

- Ja bym jej na pewno powiedziała, ale była dziewczyną Ewana. Byłoby mu przykro - wtrąciła Arlene. - Krowa i tyle.

Cara roześmiała się.

- A jak ja wypadam? - spytała swobodnie.

Arlene odwróciła wzrok od boiska i, unosząc idealnie wyregulowaną brew, przyjrzała się jej dokładnie od głowy do stóp i z powrotem.

- W porządku - wyszczerzyła zęby. - Jesteś normalna, taka jak my. Ewan powiedział, że jesteś w porządku, i miał rację.

Rozległ się ostami gwizdek. Trzy do dwóch dla Demsów.

Po odprawieniu niezbędnego rytuału poklepywania się po plecach i wymiany uścisków dłoni, zawodnicy rozproszyli się. Jedni pobiegli w kierunku małego budynku klubu, inni przemierzali się z kibicami.

Arlene i Babs rzuciły się ku swoim chłopakom. Obok Cary pojawił się Ewan.

- No i jak tam? Dziewczyny dały ci wycisk? - wysapał, robiąc skłony i ćwiczenia na rozciągnięcie mięśni.

- Znają już moją datę urodzenia, numer konta bankowego i markę szamponu, jakiego używam - zadrwiła. - A poza tym podzieliły się ze mną kanapkami, kawą i brandy, dzięki czemu nie zamarzałam na śmierć. Fajne są - powiedziała szczerze. - Lubię je.

- Wiedziałem, że tak będzie. - Ewan wyprostował się. - No dobra. Dostaliśmy z chłopakami po łbie, wobec tego uważamy, że trzeba doważyć sobie jeszcze bardziej, jeśli łapiesz, o co mi chodzi. Idziesz z nami na jakieś żarcie?

Zgrzany, spocony, o zaczerwienionej z wysiłku twarzy, nie przestał być atrakcyjny. Z lekko uchylonymi, wybitnie nadającymi się do całowania dużymi ustami, czekał na jej odpowiedź.

- No jasne. Miałabym opuścić tak ważną część imprezy?

- Super. Tu są kluczyki. Poczekaj na mnie w samochodzie, pójde wziąć prysznic.

Na parkingu Arlene i Babs miały się wewnątrz dużego czarnego jeepa. Przez otwarte drzwi grzmiała muzyka stereo.

Cara podeszła bliżej i szczęka jej opadła. Obie dziewczyny, już bez kurtek, były odszykowane bynajmniej nie jak do baru szybkiej obsługi... Zamiast spłowiałych drelichów, jak dotąd, Babs miała na sobie czarną brokatową marynarkę i aksamitne legginsy, Arlene zaś czarne dżinsy i purpurowe body z długim rękawem, odsłaniające niemal połowę biustu. Na nogi włożyły pantofle na niebotycznych obcasach, ale i tak były co najmniej dziesięć centymetrów niższe niż Cara. Czuła się przy nich, łagodnie mówiąc, niezbyt stosownie ubrana, nie mówiąc już o tym, że wielka jak tyczka.

- Dziewczyny - popatrzyła na swój męski marynarski płaszcz, sprane, wystrzępione dżinsy, starożytne sznurowane trzewiki w kolorze brązowym oraz pożyczony od Phoebe czerwony pulower, gdyż wszystkie jej własne swetry były brudne - czegoś tu nie rozumiem. Jak to możliwe, że po dwu godzinach oglądania na mrozie meczu jesteście jak spod igły, a ja wyglądam, jakbym dopiero zeszła z boiska?

- Słuchaj no - powiedziała zdecydowanym tonem Arlene. - Jeśli chodzi o mnie, to muszę się wysilić, żeby jakoś wyglądać. Jestem mała, przybieram na wadze szybciej niż kobieta w ciąży, a bez makijażu mam gębę okrągłą jak księżyc w pełni. A ty nie potrzebujesz kiwnąć palcem. Spójrz na siebie - w tonie Arlene, gdy wpatrywała się w wyrazistą, cygańską twarz Cary, jej pełne wargi i duże ciemne oczy, pojawiła się nutka irytacji. - Jesteś świetnie zbudowana, masz usta jak nie przymierzając saksofonista...

Babs wydała z siebie ryk zazdrości, który przeszedł w kokieterijny śmiech.

- Temu Ewanowi to dobrze...

- I na dodatek - ciągnęła Arlene - te niebotyczne nogi! Pół życia bym oddała, żeby takie mieć. Co za ciało!



- Co ty opowiadasz - Cara była zaskoczona i zakłopotana. - Przecież jestem za duża. Zupełnie jak facet.

- Kobieto - uśmiechnęła się pobłaźliwie Arlene - gdybym ja wyglądała w dzinsach i swetrze tak jak ty, nie zawracałabym sobie głowy rozmiarami. Ale zaraz - dotarło do niej - czy to, że martwisz się swoją prezencją oznacza, że z nami idziesz? O, to się Ewan ucieszy!

Cara dotknęła lekko rudych kędziorków Arlene.

- A znasz takie słowo „subtelność”, Arlene? - spytała żartobliwie.

Babs znowu ryknęła śmiechem.

- Nie mówiłabyś o subtelności, jakbyś zobaczyła ją w kostiumie kąpielowym, który niedawno kupiła. W tygrysi wzór, a miseczki są tak usztywnione, że Arlene ma biust dosłownie pod brodą. Może z niego jeść, niepotrzebny jej stół.

Kiedy dotarli mężczyźni, wlokąc z wysiłkiem swoje torby ze sprzętem oraz puszki po Izostarze, dziewczyny bawiły się już świetnie we własnym gronie w przytulnym wnętrzu jeepa. Radio grało, leciały słone kawały... Okazało się, że Babs miała jeszcze torbę dietetycznych batoników, które pożerały, popijając resztką kawy, naturalnie wzmocnionej brandy.

- Byłeś boski - Babs zawisła od tyłu na Michaelu, gdy tylko usiadł na miejscu kierowcy.

- O wy łobuzy - Michael pociągnął nosem, wyczuwając w jej oddechu woń alkoholu - zaczęłyście bez nas? Musimy teraz szybko nadrobić opóźnienie.

- Babs! - jęknął Ewan, siadając obok Michaela, po stronie Cary. - Mówiłem, że macie się o nią troszczyć, ale to wcale nie znaczyło, że spijać!

- Nikt mnie nie spał! - przerwała Cara. - Wcale nie jestem pijana.

- Tak? - wyszczerzył zęby Ewan. - To wysiadź z jeepa i przejdź się po chodniku. Zobaczymy, czy utrzymasz linię prostą.

Śmiejąc się, wypadła na zewnątrz, zaplatała się nogą w pas bezpieczeństwa i byłaby runęła jak długa, gdyby jej nie złapał wpół.

- Jasny gwint! - sapnęła z nosem w jego swetrze, usiłując się podnieść.

- I co? Trzeźwiuteńka jak aniołek? - zaskakująco silne ramiona trzymają ją jak w kleszczach. Dziewczyny w jeepie wiły się ze śmiechu.

Cara zdołała wreszcie wywindować się w górę, wspierając się jedną ręką o maskę samochodu, a drugą o ramię Ewana. Ewan, nie puszczając jej talii, także się uniósł. Stanęli razem - twarz w twarz, biodro w biodro.

Był tak blisko, że czuła woń świeżo umytego ciała i ciepły oddech na policzku. Przez moment spojrzała mu w twarz: inteligentne, zmysłowe oczy, żywe, wrażliwe usta... Obserwował, jak mu się przygląda. Czuła przepływający między nimi prąd i miała wrażenie, że czas się zatrzymał. Wokół nie było nikogo. Byli sami.

- No to co? „Bruno's”? - usłyszała z daleka czyjś głos.

Docierał z innego świata. A może to tylko jej wyobraźnia?

- „Bruno's”? - powtórzył głos. - Jak myślisz, Ewan? Jesteś za?

Odsunął się leciutko. Napięcie znikło.

- Tak, może być. - Spojrzał na Carę. - Chcesz iść do „Bruno's”? - spytał, zniżając głos.

Skinęła głową. Tak naprawdę wolałaby jednak robić z Ewanem coś innego niż iść na obiad do „Bruno's". Przynajmniej w tym momencie.

Ewan, jakby czytając w jej myślach, uśmiechnął się, pocałował leciutko, niemal po bratersku w usta i ujął jej rękę.

- No to chodźmy. A potem pójdziemy na drinka tylko we dwoje, dobrze?

Czy ona również jest w stanie zajrzeć w głąb jego duszy? Bo miała przemożne wrażenie, że on widzi ją do dna. Spojrzała na niego pociemniałymi oczami.

- Dobrze - powiedziała lekko schrypniętym głosem.

Towarzystwo wpakowało się do samochodów - jeepa i sportowego wozu Ewana. Pojechali na przystanek kolejki. Tu zostawili samochody i złapali pociąg do centrum. Pomimo przegranego meczu wszyscy byli w dobrych humorach. W restauracji zajęli stolik przy oknie, skąd mogli przez zamazaną szybę obserwować przewalający się ulicą Temple Bar niedzielny tłumek.

Cara siedziała obok Ewana. Nie miała pojęcia, co je. Prawie nie czuła smaku potraw, choć wszyscy pozostali piali hymny na ich cześć.

- To risotto z owocami morza jest pierwszorzędne - Michael ładował do ust wielkie porcje.

- No - Arlene celnie przygoździła męża widelcem. - To lepsze niż seks.

- Co to znaczy „lepsze niż seks”? - spytał Michael z pełnymi ustami. Najwyraźniej czuł się znieważony.

Wszyscy ryknęli.

- Nie chodziło mi o seks z tobą, kochanie - uściśliła wypowiedź Arlene.

- A z kim? - Michael był urażony jeszcze bardziej niż poprzednio. Pozostali ryknęli głośniej.

Ewan nachylił się do ucha Cary.

- Moje nie są lepsze niż seks - szepnął. Jego oddech połaskotał ją w szyję. Położył dłoń na jej kolanie, pieszcząc je lekko, jakby to była naga skóra, a nie szorstki dzins. Jęknęła cicho.

- A ty w ogóle nie jesz tego risotta - zauważył półgłosem. Cara eksplodowała śmiechem.

- Z czego się śmiejecie? - Arlene miała dość niefortunnej dyskusji o wyższości risotta nad seksem bądź odwrotnie i usiłowała odwrócić uwagę Michaela od dręczącej go kwestii jej przeszłych kochanków.

Cara bezradnie potrząsnęła głową.

- To taki prywatny żart - pospieszył z pomocą Ewan, uśmiechając się szeroko.

Po kulinarnej orgii towarzystwo zdecydowało się pójść na drinka do „Foggy Dew”. Ewan jednak oświadczył, że dla nich dwojga już za późno.

- To prawda - podchwyciła Cara. - Jutro muszę bardzo wstąpić.

- Szef-despota to kiepska sprawa - zauważył Dave, otaczając ramieniem Babs. Szli powoli ulicą. Cara i Ewan starali się wyglądać tak, jakby ich pragnienie szybkiego powrotu rzeczywiście było spowodowane wizją złowrogiego Bernarda Redmonda z biczem w ręku, a nie chęcią, by być tylko we dwoje.

- W przyszłym tygodniu znów się spotykamy - poinformowała Carę Babs. - Przyjdiesz, prawda?

- Niestety, nie mogę - odparła z zalem. - Mój ojciec się żeni. W sobotę ma ślub.

- Ale na pewno przyjdzie następnym razem - Ewan ujął jej dłoń ciepłą ręką.

Wszyscy najwyraźniej byli zasmuceni, że nie zobaczą jej za tydzień, i nieugięcie twierdzili, że następnym razem koniecznie musi przyjść. Obejmowali ją na pożegnanie, machali dłońmi... Cara czuła się ogrzana ich życzliwością niczym ciepłym słońcem. Zawsze dotąd oscylowała na obrzeżach towarzyskich grup; miło było znaleźć się w środku.

Poszli z Ewanem w kierunku Dame Street, gdzie jakimś cudem udało im bez większego kłopotu znaleźć taksówkę.

- Pojedziemy do mnie? - spytał, otwierając jej drzwiczki.

Skinęła głową.

Usiedli z tyłu. Cara wzięła Ewana za rękę i rozmawiali o minionym dniu. Od tak dawna już z nikim się nie umawiała, że miałyby prawo czuć się niezręcznie. Ale nie. Zwykłe koleżeńskie spotkanie niepostrzeżenie przekształciło się w regularną randkę, byli tylko we dwoje, a ona wciąż czuła się spokojna i zrelaksowana. Być obok Ewana wydawało się czymś w pełni naturalnym, wręcz oczywistym.

Taksówka zatrzymała się na skrzyżowaniu. Światło sygnalizacyjne padło na profil Cary i zaślniło srebrzyście w jej włosach. Ewan wyciągnął rękę i dotknął jej policzka, leciutko gładząc palcami.

- Jesteś piękna - powiedział cicho. - Wiesz o tym, prawda?

Gdyby ośmielił się powiedzieć to ktokolwiek inny, jej natychmiastową instynktowną reakcją byłoby odeprzeć niewczesny komplement jakimś ostrym słowem. Uważałyby, że to gra. Pułapka. Skoro jednak Ewan mówił, że jest piękna, znaczyło to, iż rzeczywiście tak uważał. W jego oczach była naprawdę piękna. Więcej - przy nim czuła się piękna. Gigantyczny wzrost, przesadnie wielkie stopy, dziwaczny, cudzoziemski wygląd przestały mieć znaczenie.

- Nigdy dotąd nie uważałam, że jestem piękna - powiedziała cicho, tak by nie usłyszał taksówkarz.

-Ale teraz uważasz? - Ewan nadal leciutko pieścił jej policzki.

Zwróciła ku niemu głowę i uśmiechnęła się. Jej twarz mówiła za siebie.

Mieszkała w suterenie starego georgiańskiego domu w Dun Laoghaire. Piętro wyżej zajmowało mieszkanie młode małżeństwo z dziećmi, ale - wyjaśniał, prowadząc ją ogrodową ścieżynką ku drzwiom wejściowym - przewidująco położyli na podłodze dźwiękochłonną warstwę. Dzięki temu lokatorzy pod nimi mogą hałasować do woli.

- To oznacza, że mogę puszczać moje stare płyty Abby na fuli - zadrwił.

Weszli do maleńkiego przedpokoju. Ewan włączył światło, ukazując duży, przestronny pokój. Natychmiast rzuciły jej się w oczy ogromne czarno-białe plakaty filmowe oraz inspirowany Mondrianem dywanik na deskach podłogi. Ewan nie dał jej jednak możliwości ocenienia jego talentu projektanta wnętrza. Cara zresztą wcale tego nie oczekiwała.

Dokładnie w tym samym momencie odwrócili się i rzucili ku sobie, stając się w uścisku. Jego usta odnalazły jej i tym razem nie był to braterski pocałunek, jak wtedy na parkingu. Był mocny, głęboki i zmysłowy. Wargi wpiły się w wargi, a języki bliźniaczym ruchem badały wnętrze ust.

Cara upuściła plecak na podłogę i usiłowała ściągnąć kurtkę z Ewana. Wyszarpnął się z okrycia, nie rozłączając się z nią, i wydobył ją z płaszcza. W milczeniu, gwałtownie przywarli do siebie, jakby byli na polu walki i groziło im, że za chwilę wybuchnie bomba i zmiecie ich z powierzchni ziemi. Jakby liczyła się każda sekunda.

Szarpnął do góry jej sweter. Na moment rozłączyli usta. Zerwał go z niej, zerwał z siebie koszulę. Prysnęły guziki, kiedy usiłował zdjąć rękawy, nie rozpinając mankietów. Znowu byli w uścisku. Chwyciła w dłonie jego twarz i okrywała ją gwałtownymi pocałunkami, jak ślepy, który poznaje nieznaną dotąd tekst dotykiem rąk. Zwrócił głowę w bok i chwycił ruchliwymi ustami jej palce. Ssał je, jakby chciał zjeść ją całą.

Poczuła palącą smugę pocałunków schodzącą w dół szyi. Zagłębiła palce w jego włosach, przyciskając kurczowo jego głowę, jeszcze bliżej, jeszcze ciaśniej.

Nie wiadomo kiedy upadli na tapczan. Wpółleżąc na nim, padła ustami na jego pierś, schodząc niżej, ku sutkom. Jęknął. Niezdolny czekać dłużej, usiadł i zaczął ściągać z niej resztę ubrania. Siedząc na nim okrakiem, zerwała popielaty podkoszulek. Przez tkaninę najzwyklejszego białego bawełnianego biustonosza przeświecały różowe szczyty brodawek. Widziała, jak pociemniały mu oczy, kiedy się w nie wpatrywał.

- Jesteś piękna - powiedział po raz drugi tego dnia. Dysząc ciężko, znowu na krótko przywarli do siebie wargami, wreszcie pchnął ją na drugą stronę tapczanu i zachłannie zagarnął jej ciało ustami i dłońmi.

Jak doświadczeni tancerze, zdawali się natychmiast odczytywać pragnienia partnera, jakby byli jednością. Bez słów, z oczami w oczach, równocześnie podnieśli się i zrzucili dzinsy, skarpetki i bieliznę. Miał szczupłe, umięśnione ciało: silne ramiona, wąskie biodra, długie nogi.

Cara stanęła naga. Wiedziała, że pada na nią ostre górne światło, ale nie przeszkadzało jej to. Nagle przestała czuć się zbyt wysoka i niekobieca. Nie przejmowała się, że nie pachnie wonnym mleczkiem, że kąpała się prawie dwanaście godzin temu i może być spocona. Nie przejmowała się, że ostami raz goliła nogi chyba milion lat temu. Dla Ewana była piękna. I czuła się piękna.

Przez chwilę patrzył na nią, naga, płonącymi oczyma. Przywarł do niej i poczuła jego twarde, napięte ciało przy swoim. Zadrżała. Za chwilę będzie kochać się z tym niezwykłym mężczyzną... Czuła się rozwiązała i przyziemna, jakby składała się wyłącznie ze zmysłów. Chciała, żeby zagarnął całe jej ciało, chciała zatracić się w nim i pozwolić mu zatracić się w sobie. Niech to się nie skończy. Nigdy.

Pocałował ją nieskończenie czule i z powrotem poprowadził na tapczan.

- Jesteś pewna? - spytał, gdy już leżała.

- Absolutnie. - Chyba nigdy w życiu nie była niczego tak pewna.

Wyszarpnęła prezerwatywę z opakowania, nie patrząc co robi, z oczami w jej oczach. I już był wewnątrz niej, poruszając się twardo i ostro. Czuła się cała otwarta na ten wspaniały, przeszywający moment ostatecznej bliskości. Słyszała, jak wyrzuca z siebie zdyszonym szeptem jej imię, gdzieś w jej włosy, i sama też dyszała coraz szybciej, gdy poruszali się zgodnym ruchem, ciało w ciełe, zmierzając ku radosnemu wyzwoleniu.

Fale orgazmu wstrząsnęły jej ciałem. Wykrzyknęła jego imię. Czuła się jak ptak wypuszczony z klatki, jak więzień, który odzyskał wolność. Drżała w ekstazie, czując jego gorączkowe, napięte drżenie, aż wreszcie spłynął na nią spokój.

- Cara - jęknął ochryple Ewan.

Trzymała go mocno przy sobie, jakby zwolnienie uścisku groziło katastrofą, dopóki nie ucichł. Leżał, wyczerpany.

- Prawie równie dobre jak dźwiękochłonny sufit - szepnęła. Panowała niewiarygodna cisza, choć jeszcze przed chwilą pokój wypełniały jej ekstazyjne krzyki.

Zaśmiał się. Wciąż obejmowała go ramionami i czuła, jak jego płaski brzuch drży z wysiłku.

- Masz rację. To było takie dobre, że sąsiedzi na pewno właśnie sięgają po papierosa. Po.

Przewrócił się ostrożnie na bok, uważając, żeby nie spaść. Tapczan był najwyraźniej za mały dla dwojga osób o słusznym rozmiarach. Wsparł głowę na łokciu i spojrzał na nią.

-Aja cztery miesiące temu rzuciłem palenie. Chyba przyszedł właśnie najtrudniejszy moment odwyku. Nigdy nie brakowało mi papierosa tak jak teraz.

- Chcesz powiedzieć, że nie przyprowadzasz do domu kobiety co sobotę? - spytała, wypychając językiem policzek w ironicznym grymasie.

- Nie - odparł i znowu odnalazł ustami jej usta.

Zamknęła oczy i zatraciła się w jego pocałunkach. Jak cudownie jest tak leżeć tuż przy nim, blisko-bliisko, z nogami oplatanymi wokół jego nóg...

Ewan nie zmieniał pozycji. Błądził palcami po jej ciele, odnajdując wszystkie wklęsłości i wypukłości... Jak kot wygrzewający się w słońcu, leżała, poddając się pieszczocie.

On ma nieprawdopodobnego koloru oczy - pomyślała leniwie. Zewnętrzna obwódka ma bardziej intensywną barwę niż reszta, zupełnie jakby malarz-akwarelista otoczył chmurną hipnotyczną zieleń tęczówki głębszą, bardziej nasyconą barwą, niemal grynszpanem... Kiedy patrzył na nią tym sennym, zmysłowym spojrzeniem, miała wrażenie, że jest w stanie stopić ją wewnątrz.

- O czym myślisz? - spytał.

Teraz Cara się roześmiała.

- To ja powinnam zadać ci to pytanie. Ty powinieneś natychmiast zapaść w sen i zachrapać, a ja bym leżała i zastanawiała się, czy mamy wziąć ślub w twojej parafii, czy w mojej.

Ewan nie przerwał swojej łagodnej pieszczoty. Jego palce przesunęły się po wklęsłości jej talii i powędrowały wzdłuż uda.

- Nie chcę spać. Boję się, że wtedy znikniesz. Oprzytomniejesz, przestraszysz się, że zaszałaś tak daleko, i uciekniesz bez pożegnania. Nie chcę tego.

Cara milczała. Skąd ta intuicja? Czyżby wiedział, że w ciągu ostatnich sześciu lat praktycznie nikogo nie miała? Może ktoś w biurze coś wypaplał? Ale przecież nikt nie wiedział zbyt wiele o jej prywatnym życiu, oprócz Zoe.

- Nie uciekniesz ode mnie? - spytał.

Spojrzała mu w oczy.

- Nie. Czemu pytasz?

Wzruszył ramionami.

- Coś mi mówi, że jest w tobie taki odruch. Widzę to w twoich oczach. Jesteś jak jeź: kłujesz na zewnątrz, ale wewnątrz bardzo łatwo cię zranić. Jeśli ktoś chce dostać się do środka, masz chęć natychmiast wziąć nogi za pas.

- Nie ucieknę - powtórzyła. - Obiecuję.

Uśmiechnął się.

- Super! No to co, może przeniesiemy się do sypialni, zanim na dobre spadnę z tej koi?

- Czy to znaczy, że masz także sypialnię? Myślałam, że właśnie to jest sypialnia - i rozejrzała się z udawanym zdumieniem po pomieszczeniu, które ewidentnie było pokojem dziennym.

W odwecie zaczął ją bez litości łaskotać w zębra. W końcu zepchnęła go z tapczanu.

- Małpa - powoli wstawał z podłogi. - Zobaczysz, za karę pójdziesz spać na mokrym.

- Jak to na mokrym?

- Jak się położymy, prześcieradło będzie mokre w pięć minut - wyjaśnił, nachylając się, żeby wziąć w usta jej pierś.

Cara otworzyła oczy. Nie wiedziała, gdzie jest. Wnętrza pokoju nie rozjaśniały światła uliczne, które zawsze wpadały przez cienkie zasłony do jej sypialni. Ciemność aż dławiała. W panice usiadła na łóżku, szybko oddychając. Trwoga narastała...

Jakaś dłoń wysunęła się spod kołdry i dotknęła jej ramienia.

- W porządku, Cara. Jesteś ze mną.

Ewan. Spała w łóżku z Ewanem. A wczoraj spędzili taki wspianiały, wspianiały wieczór... Momentalnie spłynęła na nią ulga.

Wkopała się na powrót pod kołdrę. W pokoju było zimno, a w łóżku tuż obok znajdowało się ciepłe, nagie ciało Ewana, jeszcze na wprost uśpionego, ale nawet przez sen szukającego jej bliskości. Wtuliła się w niego i zadrzemała.

Pewnie trzeba będzie niedługo pójść do domu... Oboje idą przecież rano do pracy. Powinna być dość wcześnie... Ciekawe, która jest teraz godzina? Pewnie gdzieś po pierwszej. Oby tylko udało się bez problemu złapać tak-sówkę...

Nagle uświadomiła sobie, że dźwięki, jakie dobiegają z zewnątrz, to nie odgłosy nocy, a wczesnego ranka. Słysząc było odległy szum samochodów, rozmowy ludzi śpieszących chodnikiem... Znów usiadła i spojrzała na budzik z Myszką Miki, stojący po stronie Ewana. Duża rączka Miki znajdowała się na jedenastej, a mała - tuż przed ósmą. Co znaczyło, że jest za pięć ósma. Są spóźnieni.

- Ewan! - zawołała. - Zaspaliśmy!

- Nie przejmuj się - przeciągnął się leniwie niczym turecki basza i po-ciągnął z powrotem do łóżka. Ustami zamknął jej usta, a dłonie zsunęły się w dół, żeby sprawdzić, czy jest tak samo podniecona jak on.

Natychmiast poddała się jego pieścizotom. Co za różnica, czy będą w pracy piętnaście minut wcześniej czy później? - pomyślała, owijając się wokół jego ciepłej nagości...

Dwadzieścia pięć minut później stała pod prysznicem, zlewana silnymi strumieniami. To jest prysznic! Nie tylko myje, ale i masuje! W jej łazience woda ledwo kapała i spłukanie z włosów odżywką zajmowało chyba dziesięć minut.

- Może pomóc? - spytał jedwabistym głosem Ewan, wtykając głowę za zasłonę. Na pokrytej pianką do golenia twarzy miał swój wzorcowy lubieżny uśmiech, a w ręce trzymał gąbkę.

- Przecież nigdy nie dotrzemy do pracy, jeśli tu do mnie wejdiesz! - Cara zwróciła w jego kierunku końcówkę prysznica.

- Stary ponurak.

Wycofał się. Cara na powrót uniosła twarz ku strumieniom wody, pozwalając, by spływały po jej ciele. Jak inny jest ten poranek niż ostatni, kiedy obudziła się obok mężczyzny... Choć samo porównywanie Erica i Ewana jest nonsensem. Imiona obu zaczynają się na E - uświadomiła sobie, rozbawiona - ale na tym podobieństwo się kończy. Eric to była po prostu wielka, spowodowana nadużyciem alkoholu pomyłka. A Ewan... Ewan to coś zupełnie wyjątkowego.

Jak miło przytulić się do niego w łóżku. Jak miło rozmawiać z nim niegłośno, niespiesznie, gdy leżą zmęczeni miłością. Tak świetnie pasują do siebie fizycznie, jej ciało tak idealnie wtapia się w jego zagłębienia i wypukłości... A jego ramiona obejmują ją tak ciasno, kiedy szepcze jej głupstwa do ucha...

A co ważniejsze, tak świetnie ją rozumie. Bezbłędnie wyczuł jej instykt ucieczki. Tyle że od niego na pewno by nie uciekła. W tym jednym się pomylił. Po raz pierwszy od wielu lat nie miała chęci uciekać od mężczyzny.

- Hej! Jeśli zaraz nie wyjdiesz, rozpuścisz się i spłyniesz otworem ściętkowym! - wrzasnął Ewan. - Zrobiłem kawę. Wyżał!

W co tu się ubrać? Następny problem. Na konfrontację z Bernardem nie powinna raczej wkładać wystrzępionych dzinsów, które miała na sobie wczoraj. Za późno jednak, żeby jechać do domu.

- Włóż którąś z moich koszul. Dobiorę ci do niej porządne dzinsy - zaproponował Ewan, wciskając biały podkoszulek w pierwsze lepsze popielate spodnie. - Przymierzaj.

W czarnej bawełnianej koszuli, zbyt obszernej na nią w czarnych, pięknie wyprasowanych dzinsach, ze związanymi z tyłu wilgotnymi włosami, Cara wyglądała bardzo szykownie. Ewan spryskał ją swoimi perfumami marki „Eternity”, pocałował w nos i odstaąpił o krok, żeby podziwiać.

- Pięknie. I sexy. Masz rację, zabierajmy się stąd, bo inaczej znowu się na ciebie rzucę.

- Chyba zwariowałeś - zauważyła Cara. - Przed śniadaniem?

W pięć minut przełknęli każde swój tost, popili resztką kawy i wybiegli. Samochód Ewana stał na przystanku kolejowym, podjechali więc po niego autobusem, potem zaś przebijali się przez poranne korki w kierunku firmy.

- Może na razie powinniśmy zatrzymać nasz związek dla siebie? - zasugerowała delikatnie Cara, gdy stali w kolejnym korku. Do Yoshi Advertising zostało jeszcze jakieś pół kilometra.

»



- Co masz na myśli? - ręka Evana spoczywała swobodnie na jej biodrze, a palce leniwie pocierały bawełnianą tkaninę spodni.

- To znaczy... - utknęła. - Po prostu żeby o tym nie mówić, dopóki... no wiesz... dopóki nie poznamy się lepiej, albo raczej... - zaplatała się ostatecznie. - Do czasu, aż będziemy ze sobą trochę dłużej - zakończyła niezbyt zrecznie.

Ewan nie wydawał się zachwycony pomysłem.

- To znaczy mamy ukrywać, że się spotykamy?

- Nie ukrywać. Po prostu bądźmy dyskretni. Wiesz, Bernardowi mogłoby się to nie podobać - dodała.

- Pieprzyć Bernarda! - zawołał. - On nie ma nic do naszego życia.

- Do mojego ma. Stara się je zrujnować - zauważyła Cara ponuro. - Kiedy tylko może, zmienia moje życie w piekło.

- Bo mu na to pozwalasz - odparł zwięźle.

- Nie złość się - błagała. - Po prostu wolałabym, żeby to była tylko nasza sprawa, a nie najważniejsza biurowa plotka... dopóki nie złapią sekretarki Bernarda z klientem w męskiej toalecie. Nie rozumiesz?

Czuła, że nie zniosłaby, gdyby znalazła się w centrum uwagi. Gdyby ludzie patrzyli na nią znacząco, tak jak przed laty... Ochrona prywatności zbyt weszła jej w krew, by mogła z niej teraz zrezygnować.

Bezczelnie lekceważąc przepisy ruchu, Ewan przechylił się w jej stronę i mocno pocałował w usta.

- Rozumiem. Ale mimo wszystko nie chcę trzymać tego w sekrecie zbyt długo. Mam chęć krzyknąć o tym z dachu. Chcę móc chodzić z tobą normalnie na lunch, na spacer... - przerwał na chwilę i wyszczerzył zęby - ...i zaciągnąć cię własnoręcznie do męskiej toalety!

- A wtedy oboje wylecimy z pracy! - zaśmiała się, mimo wszystko dziwnie zdenerwowana. A jak ktoś z Yoshi zobaczy ich razem w samochodzie? Z jej szczęściem jest dość prawdopodobne, że właśnie przed chwilą przejeżdżał obok swoim jaguarem Bernard i widział, jak się całują. Mogła sobie wyobrazić jego reakcję... „Nie życzę sobie żadnych związków między pracownikami. Jedno z was musi odejść”. Albo coś w tym stylu... I zostanie bez pracy i bez referencji. Nie mogła ryzykować.

- Wskoczę tutaj. Zadzwoń do ciebie później, dobrze?

- A jak odbierze ktoś inny, przedstawiś się jako moja ciotka, tak? - spytał złośliwie.

- Dziś w nocy na pewno nie będę twoją ciotką - szepnęła, błysnąwszy obiecująco oczami.

Wyskoczyła między samochody, wypatrując wśród nich brązowego jaguara Bernarda. Ten kolor łatwo zauważyć. Nigdzie go jednak nie dostrzegła.

Przeszła kawałek chodnikiem i skręciła w uliczkę prowadzącą do firmy. Oby tylko nikt nie zwrócił uwagi na jej nowe ciuchy i blask w oczach... Nie mogła się już doczekać, żeby opowiedzieć o wszystkim Zoe.

f y / W ara i Evie nie rozmawiały ze sobą. Sybil i Leslie de Vere mó-  
gs~) <sup>wm</sup> wyłącznie szeptem, ponieważ byli potwornie skacowani.  
VCy Olivia i Stephen zaś niemal w ogóle nie otwierali ust.

Rosie miała ich wszystkich dość. Siedziała zirytowana w pierwszym rzędzie kościelnych ławek, tuż przed ołtarzem, z rękami w kieszeniach swojej marynarki ze sztucznego żrębiecia. W prawej tkwiła nowa paczka marlboro, jeszcze w celofanie. Na wesele dziadka szarpnęła się i kupiła dwadzieścia sztuk, a nie jak zwykle dziesięć, i teraz wręcz domagały się, żeby je zapalić.

Podróż z matką i ciotką utwierdziła ją w przekonaniu, że to będzie trudny dzień. Naprawdę, przydałoby się puścić dyma. Ale czy można wyjść z kościoła, skoro właśnie czeka się na przybycie panny młodej? Gdyby siedziała z tyłu, mogłaby po cichu wymknąć się później. Niestety, musi tkwić tu na samym froncie, w gronie milczących jak zakłęci członków rodziny.

Wszystkim jakoś zwarzyło humory. Nawet dwie cioce-babcie, Al i Elizabeth, które zazwyczaj uwielbiały ploteczki - nawet w kościele - dziś siedziały, odświętnie wysztafirowane, i milczały jak głazy. Pewnie śpią-  
uśmiechnęła się do siebie drwiąco Rosie.

A dziadek wygląda super. W wytwornym popielatym garniturze, z kremową różą w butonierce, jest naprawdę dystyngowany i elegancki. Zdecydowanie nie wygląda na swoje prawie siedemdziesiąt lat... Rozmawiając przed ołtarzem z drużbą, co jakiś czas odwracał się i puszczał do niej porozumiewawcze oczko, a ona odpowiadała mu takim samym mrugnięciem.

Udając, że rozprostowuje zeszytniałe nadgarstki, Rosie zerknęła ukradkiem na zegarek. Matka by ją zabiła, gdyby zauważyła, że otwarcie sprawdza czas... Dziesięć po drugiej. Vida jest już spóźniona o dziesięć minut. A cóż to, nie można się spóźnić na swój ślub? Rosie postanowiła, że na własny spóźni się co najmniej pół godziny. Na razie nie miała oczywiście planów małżeńskich, ale kiedy to nastąpi, potrzyma ich wszystkich w kościele, potrzyma... Dopiero gdy zaczną tracić nadzieję, przemknie z wdziękiem boczną nawą, przesyłając dłońią pocałunki byłym chłopakom. Będą się skrecać z zazdrości, że to nie oni są na miejscu tego szczęściarza przed ołtarzem.

Znudzona, po raz setny spojrzała na swoje pokryte perłowym lakierem paznokcie. Fajny. Dostała go od Cary dziś rano, tuż przed wyjazdem. Zaraz zabrała się do malowania, a matka widząc to dostała szału. O co? Czekwały na nią raptem pięć minut, a i tak wyjeżdżały za wcześnie.

Zresztą każda pora byłaby zbyt wczesna na podróż w podobnie miłym towarzystwie. Atmosfera w wozie była okropna. Matka i Cara ignorowały się nawzajem, w związku z czym Rosie włączyła walkmana i zaczęła ostentacyjnie ignorować obie.

Matka powiedziała do ciotki tylko jedno zdanie: „Mam nadzieję, że Vida nie będzie ubrana na biało”. Na co Cara zareplikowała: „Ale ty na własnym ślubie będziesz ubrana na biało, prawda?” W tym momencie Rosie straciła resztki nadziei na porozumienie. Włączyła sobie starą taśmę z Ellą Fitzgerald, należącajeszcze do ojca, i pograżyła się w muzyce. Nie będzie mieszać się w ich konflikty.

Dlaczego matka nie umie dostrzec, że Cara tak naprawdę nie chce walki, że wolałaby żyć w zgodzie? I dlaczego Cara nie widzi, że matka nie znosi, kiedy się ją krytykuje, i nie ma pomysłu, jak wycofać się ze swojego stanowiska bez poczucia, że przegrała?

Naprawdę, dobrze by było, żeby wreszcie dorosły.

Chcąc nie chcąc, Evie musiała przyznać, że kwiaty są naprawdę wspa-  
niałe. W jakimś zakątku jej umysłu tkwiło niegodziwe oczekiwanie, iż wnę-  
trze kościoła w Ballymoreen będzie przypominać burdel: mnóstwo jaskra-  
wego kwiecia o gryzących się, walczących z sobą o pierwszeństwo kolorach,  
pełno wstążek, dodanych bez żadnego umiaru... Byłby to dowód, że Vida  
Andersen wcale nie ma tak wspańskiego gustu, jak jej się wydaje, choć stara  
się robić wrażenie, jakby była wręcz klonem Marthy Stewart.

W kościele nie biła jednak po oczach purpura róż, fiolet bzu, błękit ostró-  
żek i ostry żółcień żonkili. Kamienne ściany zdobiły aksamitne róże w naj-  
bledszym odcieniu kości słoniowej, przybrane subtelną popielatą wstążką.  
Sama elegancja. Evie musiała przyznać, że wygląda to pięknie.

Zauważyła, że ojciec mrugnął ukradkiem do Rosie. Córka, która nie przes-  
tawiała wiercić się nerwowo, odkąd usiadły w ławce, odpowiedziała mu cał-  
kiem jawnie. Evie nachyliła się i posłała jej piorunujące spojrzenie, ale Rosie  
go nie dostrzegła. Udawała właśnie, że rozprostowuje ramiona, a w rzeczy-  
wistości zerkała na zegarek.

Evie chętnie rzuciłaby okiem na własny, albo nawet spytała Rosie, któ-  
ra godzina, ale, wciśnięta między ciotkę-babcię Al i drugą kuzynkę matki,  
Fidelmę, ubraną od stóp do głów na niebiesko, nie była w stanie się ruszyć.  
A Cary, która siedziała po drugiej stronie Fidelmą, tym bardziej nie mogła  
spytać. Czowała promieniującą od niej nieżyczliwość. Tak było od samego  
rana.

Jaka ta Cara jest irytująca. Czy ona nie widzi, że Evie chciałaby już skoń-  
czyć ich spór? Ale Carze najwyraźniej wrogość weszła już w krew. Evie na-  
wet próbowała zagadać do niej dziś rano, ale od razu dostała w łeb. A prze-  
cież zrobiła tylko niewinną uwagę: że ma nadzieję, iż Vida nie zamierza  
wystąpić w jakiejś bezsensownej białej sukni z łabędzim puszkim. Cara za-  
reagowała po świńsku. Jak śmiała zrobić tę uwagę ojej ślubnej sukni? Na  
samą myśl o tym Evie zaczerwieniła się ze wzburzenia. Gdyby nie to, że z nich

dwu to ona była starsza i powinna dawać przykład, chętnie dałaby siostrze w twarz.

Na dany przez księdza znak organista przystąpił do akcji. Zabrzmiał niski gardłowy dźwięk starych organów. Wszyscy wyprostowali się w ławkach i wyciągnęli szyje, by spojrzeć po raz pierwszy na pannę młodą. Jedyne Evie skierowała wzrok na ojca - i poczuła dławienie w gardle.

Porysowana zmarszczkami twarz, taka bliska i tak dobrze znana, promieniowała radością. Bruzdy na czole w tajemniczy sposób zniknęły. Nigdy w życiu nie wyglądał na równie szczęśliwego jak teraz, gdy patrzył na idącą wolno ku niemu wzdłuż nawy Vide.

Evie poczuła, że jej oczy nabrzmiwiają łzami. Drżały na granicy rzęs, gotowe spłynąć... Rozpaczliwie zaczerpnęła powietrza. Nie chciała tu płakać na oczach wszystkich.

Nienawidziła siebie w tym momencie. Nienawidziła tych wszystkich złych, zazdrosnych myśli, których pomimo wysiłków nie udawało jej się dotąd zdławić. Jak mogła? Biedny ojciec naprawdę zasługuje na trochę szczęścia. Cara miała rację, nieźła z niej jęzda. I w dodatku nie pozwoliła Rosie być druhną... Dlaczego była taka nieubłagana?

Za późno. Łzy skapnęły na policzki. Pociągnęła nosem. Może mimo wszystko nikt nie zauważył... Na szczęście kryły ją potężne, okryte rdzawą wełną plecy ciotki Al. A jeśli nawet ktoś zwróci uwagę, iż płacze, miejmy nadzieję, że weźmie to za zwykłe weselne wzruszenie.

A jednak to wciąż było bolesne - widzieć, jak ojciec przed ołtarzem zamienia matkę na inną kobietę... No, ale trudno. Evie pociągnęła nosem i zdecydowała, że wypłacze się w czasie ceremonii, a potem zacznie od nowa. Inaczej. Pokaże ojcu, że potrafi cieszyć się jego szczęściem. Będzie tańczyć - na ile pozwoli jej obcisła spódnica i niebotyczne obcasy w pantoflach Olivii - i uśmiechać się do panny młodej.

Oby tylko zdołała się trochę ocieplić wobec Vidy. Gdyby ojciec żenił się z kimkolwiek innym, nie byłoby żadnego problemu. Ju-huu, niech żyje młoda para, sto lat! Z całego serca życzyłaby im szczęścia. Ale ta Amerykanka o chłodnych oczach miała w sobie coś, czego Evie nie mogła zaakceptować. Nie dopuszczała do siebie myśli, że źródłem problemu może być jej własna zazdrość.

Przy wtórce astmatycznego rzęzenia organów panna młoda dotarła wreszcie do punktu, z którego była dokładnie widoczna. Wyglądała fantastycznie. Dokładnie tak, jak Evie się obawiała.

Dyskretny popielaty kostium. Włosy jak zawsze zebrane w klasyczny kok; jedyna ozdoba to spinka z drogich kamieni. Evie, w swoich konserwatywnych błękitach, ze sztywną fryzurą z loków i zbyt jaskrawą szminką, którą położyła w nadziei, że ją to ożywi i rozweseli, poczuła się przy niej jak pięćdziesiątka.

Vida uśmiechnęła się promiennie do przyszłego męża i złożyła swój bukiet w odcieniu kości słoniowej w ręce nowojorskiej przyjaciółki, pełniącej rolę honorowej matki. Równie szykowna, w kostiumie o ton ciemniejszym oraz perfekcyjnym, choć bezpretensjonalnym uczesaniu, wyglądała zupełnie niematronowato... Evie westchnęła. Czy można z nimi konkurować? Obie były jak żywcem wyjęte ze stron specjalnego wydania „Vanity Fair” na temat stylu manhattańskiego. Ona sama zaś mogłaby się znaleźć co najwyżej na poświęconych modzie stronicach jakiegoś szmatławca. Na przykład tygodnika dla śmieciarzy.

No, no, nie przesadzaj - skarciła się w duchu. Przystań się roztkliwiać nad sobą i spróbuj cieszyć się tą uroczystością.

Czteroletnia Sasha, rozkoszna w białej sukieneczce z surowego jedwabiu ze srebrzystoszarą szarfą, spojrzała umie na Vide. Vida wyciągnęła ku niej dłoń.

Oczy Evie znów napełniły się łzami. Rosie też miała kiedyś cztery lata... Olivia i Stephen mimo wszystko mają siebie nawzajem, nawet jeśli nie układają im się najlepiej. A kiedy Rosie była w wieku Sashy, Evie była samiuteńka. Wdowa z dzieckiem.

I właściwie wciąż była sama. Simon nie mógł być obecny na uroczystości, miał przyjechać później. Musiała poradzić sobie z jeszcze jednym przykrym uczuciem: że jest jedyną pojedynczą osobą wśród wypełniającego kościół tłumy par. Kolejna łaza zadrzała na rzęsach. Doprawdy, niełatwym przeżyciem jest ślub...

Gdy ksiądz witał zgromadzonych, Cara zastanawiała się, czy Vida na pewno nie ma do niej żalu, że nie zgodziła się być druhną. Miała nadzieję, że ją rozumie... To przecież nie dla niej. Gdyby włożyła na siebie wszystkie te brzoskwinie, róże i błękity, wyglądałaby jak świeżo przyniesiona od tapicera.

Przyjaciółka Vidy, Katherine, nie sprawiała wrażenia osoby, która grzechnie pozwoliłaby się wtłoczyć w różową suknię z falbankami. Pewnie dlatego miała na sobie całkiem niedruhnowaty, surowy w stylu kostium. Cara była jednak pewna, że na jej miejscu nie zdołałaby przeciwstawić się przyszłej macosze i wyglądałaby teraz jak straszdyło.

A może i nie? Evan uważa, że we wszystkim jej ładnie. Może wobec tego i ta dziewczęca suknia nie byłaby taka najgorsza?

Ewan... Sama myśl o nim budziła rozkoszny dreszcz. Jaki niezwykły był cały ten miniony tydzień! Spędzali razem każdy wieczór: byli na kolacji w ma-lutkiej włoskiej knajpce, poszli do kina na najnowszy film Spielberga, siedzieli w pubie, gadając bez końca przy kolejnych (zbyt licznych!) butelkach becka...

A przede wszystkim kochali się. Skoro tylko zamykały się za nimi drzwi mieszkania Ewana, rzucali się na siebie, wygłodniali, nie czekając nawet, aż

całkiem wyzwolą się z ubrań. Potem siedzieli przed telewizorem, popijając kawę, żeby za chwilę znowu zjednoczyć się w uścisku i kochać, tym razem nieco spokojniej, mniej szaleńczo.

Cara chętnie zostawałaby u Ewana na noc. Proponował jej to zresztą, ale nie chciała ciągle chodzić do pracy w pożyczonych rzeczach. Za każdym razem podrzucał ją więc do domu. Siedzieli w zaparowanym wnętrzu samochodu co najmniej pół godziny, zanim ostatecznie powiedzieli sobie „do widzenia”.

W czwartek zaprosiła go do siebie. Wizytę poprzedziło wielkie sprzątnięcie. Czyściła i odkurzała swoją sypialnię jak szalona, żeby zlikwidować trzymiesięczne pokłady kurzu i kolekcję brudnych skarpetek pod łóżkiem. Phoebe nie było, mieli więc całe mieszkanie dla siebie. Przewalali się po starej sofie, przytulali, pochłonęli kilka porcji ulubionych lodów Cary, aż wreszcie zapadli we wzorcowo czyste łóżko i zatarcili się w rozkoszy.

W piątek wieczorem Ewan musiał odwiedzić matkę, która wciąż przeżywała śmierć przyjaciela. Cara po raz pierwszy w tym tygodniu musiała pójść do domu sama.

Siedziała w pustym mieszkaniu przed telewizorem, bezmyślnie skacząc po kanałach. Żałowała, że nie poszła na drinka z Zoe. Tak jej brakowało Ewana... Jego ramion, jego dobrodusznym drwin... Zadzwoił późnym wieczorem i to wynagrodziło jej samotność. Tęsknił tak samo jak ona.

- Pojedź ze mną na to wesele - mówiła, obejmując dłońmi słuchawkę, tak jakby to była część jego, żywego i prawdziwego. - Zapytam **Vide**. Zobaczysz, że nie będzie miała nic przeciw temu.

- Za późno - powiedział zdecydowanie. - Na pewno już mają ponumerowane miejsca przy stole. Dodatkowy gość to dla nich kłopot.

- Ale dla mnie radość - szepnęła gorąco. - Pod warunkiem, że tym gościem będziesz ty.

Ewan jednak miał w sobotę mecz. Nie wspomniała więc o niczym Vidzie, a teraz musiała wytrzymać bez niego całe dwadzieścia cztery godziny.

Westchnęła. Ciekawe, czy ktoś zauważył blask w jej oczach... Phoebe twierdziła, że na twarzy ma wypisane: „Ludzie, mam faceta!” Evie nic nie dostrzegła, to mruwane. Cara aż się paliła, żeby opowiedzieć wszystko siostrze, podzielić się radością, że znalazła najfantastyczniejszego mężczyznę pod słońcem... Już po dziesięciu sekundach w towarzystwie Evie stało się jednak jasne, że nadal cierpi ona na pełnoobjawowy syndrom Vidy. W tej sytuacji nie było sensu z nią rozmawiać...

Cara poczuła irytację. Nigdy dotąd nie zdarzyło się jej widzieć Evie w takim stanie. Nieustająca oaza dobrego humoru, w gruncie rzeczy była bardzo rozsądna i praktyczna. Małżeństwo ojca zachwiało jednak jej światem - i oto Evie zachowywała się jak niegrzeczne dziecko, któremu odmówiono dodatkowej czekoladki.

Cara zdawała sobie sprawę, że pora już zakończyć ten wielotygodniowy konflikt z siostrą. Miała jednak dosyć dziecinnego zachowania Evie, a poza tym zanadto była skoncentrowana na ukochanym Ewanie, by przejmować się czymkolwiek innym. Evie jest dorosła. Niech sobie radzi sama.

Olivia patrzyła na stojącą przed ołtarzem córeczkę, ale myślami była daleko stąd - przy porannej kłótni. Atak dobrze się wszystko zaczynało... Przyniosła Stephenowi śniadanie do łóżka: kawę, sok pomarańczowy, jajecznicę, tost i gazetę. Sasha biegła tam i z powrotem w piżamie w Kubusie Pucharka i przymierzała sztuczny wianek. Olivia kupiła go jej, by przywykła do prawdziwego - delikatnej girlandy z różanych pączków, którą miała włożyć po południu.

Przez okno wpadało ostre słońce, ścieląc się kwadratami światła na wykrochmalonej białej pościeli i starannie wypolerowanym ciemnym drewnie stołu. Stephen siedział i jadł, Olivia zaś po swojej stronie popijała kawę i całowała córeczkę za każdym razem, gdy mała wbiegała do pokoju.

- A ty nie jesz? - spytał w końcu Stephen z ustami pełnymi jajecznicy.

Olivia z uśmiechem potrząsnęła głową. Nie chciała mówić mężowi, że straciła apetyt do tego stopnia iż przełknięcie kęsa grzanki wydaje jej się torturą.

- Musisz coś zjeść - powtórzył z uporem.

- Zjadłam trochę owoców - skłamała.

Stephen chrząknął. Jego zdaniem owoce w żadnym razie nie mogły zastąpić prawdziwego śniadania.

- Odchudzasz się? Zupełnie niepotrzebnie. I tak już jesteś zbyt szczupła. Olivia w milczeniu zagryzła wargi.

Pół godziny później stała pod prysznicem, rozkoszując się samotnością i błogim ciepłem wody spływającej po jej twarzy, włosach i ciele. Uwielbiała kąpiel. Uwielbiała też tę łazienkę. Ściany i podłoga były wyłożone płytkami o barwie akwamaryny, co dawało złudzenie, że człowiek znajduje się w jakiejś śródziemnomorskiej willi...

- Olivia! - zawołał Stephen, otwierając niecierpliwie drzwi łazienki. - Gdzie moja niebieska koszula? Nie mogę jej znaleźć.

Olivia poczuła dobrze znany ucisk w żołądku. Koszula wirowała w pralce i znajdowała się mniej więcej w połowie, programu przewidzianego dla bawełny.

- Daj mi minutkę, kochanie - zająknęła się. Może jeśli przyspieszy program i wrzuci koszulę do suszarki, będzie gotowa za pół godziny?

- O Chryste! - Stephen nie miał zamiaru czekać. - Nie wiesz, że właśnie tej koszuli potrzebuję do dzisiejszego garnituru?

Nie, nie wiem, miała chęć odpowiedzieć Olivia. Nie jestem jasnowidzem. Piorę i prasuję wszystkie twoje rzeczy i nie mam pojęcia, jaką koszulę

i jaki garnitur przyjdzie ci do głowy włożyć danego dnia... Nie powiedziała jednak nic podobnego. Zaczęła się tłumaczyć.

Stephen był zły. Olivia wiedziała, że nie ma szans na sympatyczny nastrój w czasie weselnego przyjęcia. Gorączkowo próbowała znaleźć wśród zaproszonych gości osobę, którą Vida mogłaby posadzić obok Stephena, żeby go rozerwać. Vida na pewno zrozumie, jeśli ją o to poprosi... Wprawdzie ma starannie opracowany plan rozsadzenia gości przy stole, ale może zmieni go, jeśli uda się w ten sposób poprawić humor Stephenowi.

W milczeniu przygotowywała siebie i Sashę do wyjazdu. Nastrój w domu był lodowaty. Ubieranie córeczki w bajkową sukieneczkę drухenki nie było już tak przyjemne. Potoki słonecznego światła wpadające przez okno były zimne i nieprzyjemne. Olivia zadrżała; czuła, jak jej zbyt szczupłe ciało pokrywa się gęsią skórką. Stephen potrafi stworzyć atmosferę, nie ma co - pomyślała, usiłując równocześnie uśmiechać się pogodnie do córeczki.

- Czekaj nas dzisiaj piękny dzień. - Uklękła na podłodze, żeby pozapinać maciupęniek obciągnięte tkaniną guziczki. - Piękny, niezwykle... Zobaczysz!

Sasha wiedziała jednak swoje.

- Nie martw się, mamusiu - szepnęła. - Wszystko będzie dobrze. Poprosiłam świętego Mikołaja, żeby wszystko naprawił.

Olivia wyteżyła siły, żeby nie wybuchnąć histerycznym łkaniem. Biedne dziecko... W swojej niewinności zwróciło się do najpotężniejszej osoby, jaką zna, nieświadome, że stary poczciwy dziadek w czerwonym płaszczu nie jest w stanie polepszyć stosunków między rodzicami.

- Córeczko - powiedziała cicho, tak żeby Stephen nie usłyszał - tu nie ma nic do naprawiania. Wszyscy tatusiowie i mamusie czasem się kłócą, to wszystko.

Dziecko spojrzało poważnie swoimi srebrzystoszarymi oczami.

- I dzieci się boją?

Olivia zawahała się. Wiedziała, że nie we wszystkich małżeństwach kłótnie wyglądają tak jak u nich: złośliwe, przykre uwagi z jednej strony, bojaźliwe milczenie z drugiej... Taka kłótnia musi być dla dziecka przerażająca. Nie chciała kłamać, ale czy mogła powiedzieć córeczce prawdę? Prawdą nie nadawała się dla czterolatki.

- Tak, czasem się boją. Bo wiesz, tatusiowie są zmęczeni pracą i mają mnóstwo spraw do załatwienia, i dlatego się denerwują... - Sasha nadal wpatrywała się w matkę wielkimi oczami. Olivia brnęła dalej. - Ale tak naprawdę nie ma się czego bać. Przecież wiemy, że tata nas kocha i nie ma na myśli nic złego.

Sasha nie wyglądała na przekonaną. Muszę nauczyć się lepiej kłamać - pomyślała w popłochu Olivia. I nagle, niby piorun uderzający w iglicę kościelnej wieży, olśniła ją nowa myśl. Nowa i straszna. Dlaczego ma uczyć się lepiej kłamać? Dlaczego w ogóle ma kłamać? Skoro ona i Stephen nie potrafią



stworzyć związku, w którym dziecko mogłoby żyć bez strachu, nie powinni żyć razem. Przecież to takie proste.

I jak iglica od uderzenia pioruna, umysł Olivii momentalnie rozżarzył się do białości. Myśli zawirowały w głowie jak szalone. Po co żyć z człowiekiem, przy którym czujesz się nieszczęśliwa i który jest nieszczęśliwy z tobą? Po co z nim żyć, skoro dziecko, które kochasz nad życie, musi szukać pomocy u jakiejś mitycznej postaci, gdy ojciec wpada we wściekłość? A wpada tak często... Odpowiedź była prosta. Trudno o prostszą i jaśniejszą.

- Olivia! - usłyszała krzyk Stephena. I od razu, jakby w lęku, że mąż zajrzy w głąb jej umysłu i dostrzeże szalejące tam zakazane myśli, poderwała się i podbiegła do drzwi.

- Tak?

- Nie pójdziesz w tym na wesele, jasne?

„To” był to prosty granatowy garnitur. Zamierzała włożyć do niego kremowy top z jedwabnej dzianiny. Całość była dość zwyczajna, ale między innymi właśnie dlatego Olivia się na nią zdecydowała: nie chciała zdominować Vidy, i w ogóle zależało jej, żeby się nie wyróżniać. Chciała wsiąknąć w tłum.

- To jest nijakie. Będziesz w tym wyglądała jak szara myszka - Stephen trzymał garnitur w wyciągniętej na całą długość ręce, jakby był zainfekowany. - Włóż tę białą wełnianą suknię z czarnym zakietem. Nigdy jej nie nosiłaś, a przecież zapłaciłem za nią fortunę w Londynie.

Gdyby ubrała się w ten geometryczny, ostro skonstrastowany zestaw, wyróżniałaby się w tłumie jak wykrzyknik. Zupełnie jakby jej głowę otaczał niczym aureola świetlisty napis: KUPIONE ZA KROCIE U HARVEYA NICHOLSA. Krótka sukienka odsłaniała nogi o wiele za wysoko, a poza tym, na Boga, była biała! Biała suknia na weselu to nietakt wobec panny młodej.

- Stephen - zaczęła. - Naprawdę nie chcę w tym iść...

Nie pozwolił jej skończyć. Nie mieściło mu się w głowie, że żona Stephena MacKenzie mogłaby nie zaakceptować decyzji męża w kwestii stroju.

- Wkładasz to i już. Te twoje pomysły...

Zrobił w tył zwrot i odszedł, przekonany, że sprawa jest zakończona. I byłaby zrobiła, czego sobie życzył - jak zawsze. Zdecydował drobiazg - prosty gest mówiący „rozmowa zakończona”. Przełożony odprawia podwładnego. To przeważało szalę.

W normalnych okolicznościach - a normalność oznaczała dążenie do ułagodzenia Stephena bez względu na koszty - uśmiechnęłyby się słodko i bez słowa podporządkowała jego życzeniom. Tak jak miliardy razy wcześniej, kiedy Stephen krzyczał na nią, że herbata ma dziwny smak, że kupiła nie ten sok pomarańczowy, który lubi, albo że - nie daj Boże - w czasie jego nieobecności oddała samochód do naprawy do niewłaściwego warsztatu.

Tego ranka jednak, w dniu ślubu Andrew Frasera, kiedy robiła co mogła, żeby utrzymać męża w dobrym nastroju, coś wewnątrz niej zerwało się z uwięzi.

Może sprawił to ostatni wyskok Cheryl Dennis - opowiadanie na głos kawałów, ciskanie przez całą lekcję papierowych samolocików i ostentacyjne ignorowanie wysiłków Olivii, by zaprowadzić spokój. Może gwałtownie opadł jej poziom cukru na skutek głodówki. A może po prostu miała dość dominacji małżonka.

Zamknęła drzwi, tak by Sasha nie słyszała, i stanęła z nim twarzą w twarz. Oczy jej płonęły.

- Czy zamierzasz kiedykolwiek przestać mi dyktować, co mam robić, czy też mamy przeżyć w ten sposób całe życie? I nawet w ostatniej chwili będziesz na mnie wrzeszczał, że umarłam w niewłaściwym miejscu, w niewłaściwym czasie, niezgodnie z twoim planem?

Stephena zamurowało. Widziała jego szeroko otwarte oczy i usta. Na twarzy malowało się zdumienie i dezorientacja.

- Chora jestem od tego, Stephen! Traktujesz mnie jak niedorozwinięte dziecko, które nie potrafi samodzielnie zdecydować w żadnej sprawie. Uważasz, że jestem idiotką. No więc nie jestem!

Chwila triumfu trwała krótko. Stephen błyskawicznie odzyskał grunt i obrócił wniwecz jej zwycięstwo.

- O Boże, Olivia - skrzywił się z niesmakiem - robisz się zupełnie taka jak twoja matka. Drzesz się, histeryzujesz... Nigdy nie myślałem, że doczekam tego dnia. Co z ciebie będzie za matka dla Sashy? Chcesz ją zniszczyć, tak samo jak twoja matka niszczyła ciebie tymi wiecznymi napadami złości?

Olivia utkwiała w nim osłupiały wzrok. Przecież wcale nie jest podobna do matki... I wcale nie niszczy Sashy! Kocha swoją córeczkę, uwielbia ją. W życiu nie zrobiłaby nic, co by mogło ją zranić...

Stephen jeszcze nie skończył.

- Nie wiem, co chcesz osiągnąć tym zachowaniem - mówił. - Przecież chcę dla ciebie jak najlepiej, a ty świadomie zmieniasz wszystko, co powiedziałem, w coś negatywnego. Może to u ciebie rodzinne? Twoja matka ust nie otworzy, żeby nie ukąsić, a ty pewnie idziesz w jej ślady.

Olivia była zdruzgotana. Nie przywykła do wypowiadania na głos opinii, a tym bardziej do okazywania złości wobec Stephena. Już od dawna chciała coś powiedzieć, ale lustro milczało, kiedy ćwiczyła przed nim swoje kwestie... Zapomniała, że gdy będzie mówiła do żywego człowieka, może usłyszeć odpowiedź. I usłyszała.

Kiedy Stephen był wściekły, jego zimna złość mogła porazić każdego. A miękkie wnętrze Olivii przeszła na wylot od jednego cięcia, jak ostrze klingi poduszki.

- Nie chodziło mi... - zaczęła ochryplym głosem. Chciała powiedzieć, że broni jedynie swojego stanowiska w sprawie ciuchów na to przekłete we-sele... Stephen nie chciał jednak słuchać.

- Doskonale wiem, o co ci chodziło - powiedział chłodno. - Proszę, wkładaj co chcesz. Przecież wy, klan de Vere, i tak zawsze robicie, co chcecie.

I zamknął za sobą drzwi.

Olivia padła na łóżko. Była zbyt ogłuszona, by płakać. Czy rzeczywiście robi się podobna do matki? Tego bała się najbardziej - że stanie się kiedyś taką jak ta okrutna, złośliwa kobieta, którą mimo to musiała kochać.

Matkę powinno się kochać. Czasami jednak było to takie trudne... Starano się być inna - łagodna i miła, a nie bezwzględna i samolubna jak Sybil. Ale może oszukiwała samą siebie? Może naprawdę jest jędzą głupią wredną jędzą? Mąż i jedyna córka odwróca się od niej... Skończy samotna i niekochana...

Wstrząśnięta do głębi, z białą jak ściana twarzą siedziała, skrobiąc machinalnie paznokciem nieposłane łóżko. Na prześcieradle tworzyły się drobne zmarszczki.

Minęło dziesięć minut. Wiedziała, że trzeba się ruszyć. Wściekłość Stephena unosiła się wokół niej, niemal namacalna. Co ona zrobiła? Po co w ogóle otwierała usta? Ten wybuch niczego nie rozwiązał. Wręcz przeciwnie, tylko pogorszył sprawę. Teraz Stephen będzie w furii cały dzień.

W głowie odezwał się pulsujący ból. Cały dzień taki jak teraz... Jak to znieść?

Tabletki Stephena - olśniła ją. Valium. Lekarz zalecił mu je jako środek rozluźniający i przeciwbólowy, kiedy dostał jednego z tych rzadkich, ale bolesnych skurczów mięśni w plecach. Oczywiście nie wziął ani razu, wołał cierpieć. Nie w milczeniu, rzecz jasna.

Mały pojemnik tabletek nadal stał w łazienkowej szafce. Wzięła jedną i przyjrzała się jej. Pięć miligramów. Włożyła do ust, popiła łykiem zimnej wody z kranu i już miała postawić pojemnik na miejsce, gdy zmieniła zamiar i wyjęła jeszcze dwie tabletki. Na później. Strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Teraz, leciutko oszołomiona, siedziała obok nadętego męża. Ksiądz mówił coś o świętości stanu małżeńskiego. Chyba nie miał na myśli stanu jej małżeństwa... Co on wie o prawdziwym życiu? - pomyślała z gorzką ironią. Co w o kłótniach między mężem a żoną o przykrych, raniących słowach, o gorszym niż słowa zimnym milczeniu? Gdyby kiedykolwiek był w związku z kimś tak trudnym w pożyciu jak Stephen, nie byłby tak skory do wygłaszania wzniosłych ogólników na temat miłości i przedstawiania jej wyłącznie w różowych barwach.

Z przodu widniała drobna figurka Evie. Siedziała w swoich błękitach nieruchomo jak marmurowa statuetka. A jej ojciec brał ślub.

Rodzice Olivii wciąż są razem. No i dobrze. Przynajmniej nie mają możliwości, żeby unieszczęśliwić dwie inne osoby. A Evie, choć na początku przyjęła powtórne małżeństwo ojca bardzo źle, w końcu się zreflektowała.

- No to czeka nas wspianiały dzień - powiedziała z przekonaniem, kiedy Olivia zadzwoniła do niej przedwczoraj. Chciała sprawdzić, jak przyjaciółka sobie radzi. - Nie będę cię dręczyć, Liwy, zobaczysz. Koniec z gryzieniem

i drapaniem - zadrwiła. - Słowo! Jeśli tylko będę w stanie tańczyć na tych twoich niebotycznych obcasach, wytańczę się za wszystkie czasy i pokażę ojcu, że skoro on jest szczęśliwy, to ja też.

- Strasznie się cieszę, Evie - Olivii kamień spadł z serca. - Nienawidziła byś potem siebie samej, gdybyś postąpiła inaczej. Wiesz, to będzie piękny ślub. A Sasha jest taka podekscytowana swoją rolą! Będzie przecież miała sukienkę księżniczki, i kwiaty we włosach... Aż się trzęsie na samą myśl!

I wszystko wyszło inaczej. W rezultacie kłótni między rodzicami Sasha jest jakaś przygaszona. A Evie i Cara siedzą na przeciwległych krańcach kościelnej ławki. Nieomylny sygnał, że coś jest nie tak... Co mogło zniszczyć ich tak nieprawdopodobnie bliską więź? Przecież od wieków były dla siebie najbliższymi przyjaciółkami... Bardziej matką i córką, niż dwiema siostrami. A teraz prowadzą wojnę.

Szkoda... Czego Olivia by nie dała, żeby mieć siostrę! Gdyby ktoś dzielił z nią w swoim czasie straszliwe dzieciństwo w Lodge, na pewno cierpienie byłoby mniej dotkliwe.

A skoro już dostało się tego szczęścia, że ma się prawdziwą siostrę, trzeba ją cenić i szanować. Leciutko oszołomiona valium, które wzięła półtorej godziny temu, Olivia postanowiła, że spróbuje jakoś wyprostować sprawę między Evie i Carą. Może przecież zrobić coś dla innych, nawet jeśli jej własne życie jest totalną katastrofą.

- Tatusiu, tatusiu! Czy już dojeżdżamy? - niecierpliwiła się Sasha, bliska płaczu z podniecenia. Wyglądała przez okno, ale zupełnie nie zwracała uwagi na piękny wiejski pejzaż, który tak podobał się Olivii.

- Zapytaj mamusi - warknął. - Mamusia wie wszystko.

Olivia nawet nie drgnęła.

- Tak, kochanie - powiedziała spokojnie. - Jeszcze parę minut i będziemy na miejscu. A tam pan fotograf robi Sashy mnóstwo ślicznych zdjęć. Sashy w sukience księżniczki.

- Z ciocia Vida i wujkiem Andrew? - rozpromieniła się Sasha.

- Naturalnie.

Zajechali na dziedziniec Kilkea Castle. Zanim Olivia zdążyła odpiąć pas, Stephen już był na zewnątrz i grzebał w bagażniku. No, pięknie... Nie może wytrzymać z nią nawet minuty dłużej, niż to nieuniknione. Ciekawe, czy będzie się zachowywać z taką rezerwą cały czas, dopóki nie pójda do łóżka... Bo wtedy - jak wynikało z jej doświadczenia - pożądanie zawsze brało górę nad dąsami.

Stephen naprawdę uważał, że porządne bara-bara jest w stanie naprawić sytuację, jeśli wcześniej był dla Olivii niemiły. Nie docierało do niego, że seks sam w sobie nie może stanowić usprawiedliwienia. Olivia nie miałaby

nic przeciw temu, żeby kochać się później... Najpierw przeprosiny, potem seks. Jeśli jednak mężczyzna zabiera się do akcji bez powiedzenia czegoś w rodzaju „wybacz mi, kochanie, przecież wiesz, że cię kocham”, może się to skończyć wyłącznie łzami partnerki.

Ileż to razy leżała tak nocą obok niego, wpatrując się nieruchomo w sufit i siłą powstrzymując płacz... A dziś? To jasne, że Stephen nie darowałaby sobie, gdyby nie wykorzystał jak należy tego noclegu w luksusowym czterogwiazdkowym hotelu. Dziś jednak - zdecydowała spokojnie, uśmiechając się nieznacznie - nie będzie uważała, że jej obowiązkiem jest być we właściwym nastroju.

Kuzynka Fidelma wklinowała się między siedzenie a deskę rozdzielczą i wyglądało na to, że żadna siła nie jest w stanie jej stamtąd ruszyć. Ponad sto dwadzieścia kilogramów żywej wagi plus jakieś problemy z prawą nogą... Koniec. Została uwięziona.

- Powinna być wsadzić cię do taksówki razem z Al i Elizabeth - powiedziała z niepokojem Evie. Jak ona teraz ją stąd wytaszczy? Dostatecznie trudne było wciśnięcie kuzynki do środka... Już sam pomysł powinien być uruchomić dzwonek alarmowy: samochód nie oszołamiał przecież rozmiarami. Fidelma jednak tak niewzruszenie obstawała przy pomysle, by jechać z Evie... „Będziemy mogły poplotkować do woli” - twierdziła.

Nie poplotkowały zbyt wiele, bo Fidelma była na tabletkach przeciwbólowych z powodu nogi i gdy tylko opuściły kościelny parking, zasnęła. Evie, zła, przez całą drogę przetrzymywała w milczeniu obraz Cary i Rosie, jak wskazują wraz z ciociami-babciami do starego volvo. Tylko śmiech i smuga papierosowego dymu wionęły za nimi przez uchylone okno, gdy przemknęły obok jak strzała.

Jak tylko przyjadą na miejsce - postanowiła, wściekła - od razu strzelić sobie ogromny kielich szampana. Może to mnie postawi na nogi... Włokąc się w ogonie długiego ciągu wytwornych samochodów zmierzających do hotelu, czuła, że jej złość rośnie coraz bardziej.

- Ohydne pozeracze paliwa - mruknęła, widząc, jak wielki krążownik z niemiecką rejestracją skręcił gwałtownie tuż przed nią, żeby uniknąć potrącenia jakiegoś nieszczęsnego rowerzysty. Przecież te graty to zagrożenie dla środowiska!

- Och, Evie, tak mi przykro - jęknęła ze skrucą Fidelma z głębin swego fotela obok kierowcy. Evie wróciła do rzeczywistości.

- Nie przejmuj się - pospieszyła skwapliwie. - Zaraz cię stąd wyciągniemy. Momencik.

Miła, okrąglą twarz kuzynki odrobinę się odprężyła. Siedem lat starsza od Andrew Fraserà, Fidelma wyglądała mimo to znacznie młodziej od niego:

na okrągłej jak księżyc w pełni twarzy nie widać było zmarszczek. Jedyne dwuczęściowa suknia w kwiecisty wzór i takiż turban na siwych loczkach mogły nasuwać podejrzenie, że Fidelma przekroczyła siedemdziesiątkę... Kiedy jednak otwierała usta, dziewczęcy głosik sprawiał, iż miało się wrażenie, że to dziecko schowane w ciele dorosłego.

- Strasznie przepraszam - miauknęła jeszcze raz.

Jeszcze trochę, a wpadnie w panikę... Pora działać, i to szybko. Evie rozejrzała się po parkingu w poszukiwaniu pomocy. Większość weselnych gości dotarła tu jednak przed nią i w pośpiechu opuściła samochody, żeby broń Boże nie spóźnić się na darmowego szampana... Parking był pusty. A przecież nie mogła zostawić Fidelmy zaklinowanej w samochodzie i pójść sobie! Co tu robić?

Wtem jej uszu dobiegł jakiś szmer. Odwróciła głowę w kierunku zaparkowanego w pobliżu samochodu.

Łśniący, czarny, na oko wart majątek, przypominał jej do złudzenia ten, którym jeździł Richard Gere w „Pretty Woman”, jednym z ulubionych filmów Evie. Nieraz bywała w marzeniach piękną i młodą Julią Roberts, bezнадziejnie zakochaną i pełną nadziei, że jednak spełni się baśń...

Nisko zawieszona drzwi otworzyły się i na zewnątrz wyszedł mężczyzna. Nie był Richardem Gere... Był lepszy! Wysoki, o ciemniejszej niż u przeciętnego Irlandczyka karnacji, o czarnych, swobodnie odgarniętych do tyłu włosach i mocnych, wyrazistych rysach twarzy, był wręcz obłędnie atrakcyjny.

Uśmiechnął się szeroko, nieco rozbawiony. W opalonej twarzy błysnęły śnieżnobiałe zęby.

Przez chwilę wpatrywała się w niego bez słowa. Na nic innego nie mogła się zdobyć. Z tymi solidnymi barami i nieprawdopodobnie długimi nogami wyglądał jak typowy bohater romansu... Tylko szczękę miał nie tak kwadratową, jak supermen widniejący na okładce „Pożądania Daviny” czy „Księżniczki Jade”.

Nie był też jednowymiarowym malowidłem. Był z ciała i krwi. Miał na sobie typowy kontynentalny garnitur - coś szarego z połyskiem. Koszula zapięta pod szyję, ale bez krawata. I przybywał na pomoc jej i Fidelmie!

Evie przełknęła ślinę i podeszła bliżej, odruchowo wygładzając spódniczkę. Musiała się trochę zmiąć w czasie jazdy... Co ze szminką? Zostało jeszcze trochę? A fryzura? Może on nie zauważy, jeśli zerknie do lusterka i sprawdzi...

- Wygląda na to, że potrzebuje pani pomocy?

Stał przed nią, przytłaczając ją zarówno prewencją, jak i wzrostem. Z bliska widziała oczy, tak błękitne, jak tylko można to sobie wyobrazić, i ciemne, długie, niemal dziewczęce rzęsy. Ale tylko tyle miał z kobiety. Cała reszta była stuprocentowo męska. Prawie dwa metry wspaniałej, efektywnej, krzepkiej męskości.

Bohaterka „Pożądania Daviny” nie miałaby wątpliwości, co powiedzieć na widok tak niezwykłego mężczyzny. Coś intrygującego, prowokacyjnego... A ona się po prostu gapiła.

- Pomóc w czymś? - powtórzył.

Głos miał głęboki, o ciemnej barwie, jak dojrzała whisky. Nie był Irlandczykiem, ale nie dałaby głowy za akcent... Znowu wpatrzyła się w jego twarz, on zaś obserwował ją z ledwie dostrzegalnym śladem uśmiechu. O Boże, przecież on czeka na odpowiedź!

- Yyy... tak, oczywiście - odpowiedziała tępo. - To znaczy... mamy tu mały problem. - I wymownym spojrzeniem próbowała dać mu do zrozumienia, na czym problem polega, tak by słownymi wyjaśnieniami nie peszyć biednej Fidelmy.

Pojął natychmiast.

- Wie pan, te dzisiejsze samochody nie mają wewnątrz zbyt wiele miejsca - dodała ze względu na Fidelmę.

- To prawda - zgodził się. W oczach błysnęło rozbawienie. Facet z tak szykownym sportowym wozem nie mógł mieć wątpliwości, że polo Evie liczy sobie co najmniej dziesięć lat.

- Ten model ma to do siebie, że łatwo się w nim zaklinować - to mówiąc, nachylił się i podał ramię Fidelmie. - Spotkałem się już z tym. Podobno w paru przypadkach odesłano samochody z powrotem do fabryki.

- Naprawdę? - w głosie Fidelmy była ulga.

Jak to miło z jego strony - pomyślała Evie. Doprawdy, świetny facet.

- Podeprę panią w ten sposób - kontynuował - i wyciągniemy panią stąd.

Evie patrzyła z troską jak zabiera się do akcji, ale niepotrzebnie: bez najmniejszej trudności dźwignął górną część ciała Fidelmy, choć nie była bynajmniej lekka. Przez cały czas mówił coś do niej uspokajająco - jakieś głupstwa o producentach samochodów, i jak to współczesne kobiety potrzebują trochę przestrzeni dla nóg... W pół minuty było po wszystkim. Wiekowa dama stanęła na nogach i z wdzięcznością chwyciła dłoń wybawiciela.

- Bardzo, bardzo dziękuję. Nie wiem, jak dałybyśmy sobie radę bez pana.

Evie patrzyła na Fidelmę, zdumiona. Starsza pani miała na twarzy rumieńce niczym siedemnastolatka!

- Miło mi, że mogłem się do czegoś przydać - zwrócił się z kolei wybacząc do Evie, ujmując jej dłoń.

I teraz - o wstydzie - ona sama zarumieniła się jak dojrzała brzoskwinia... To dlatego, że patrzy na nią w ten sposób. Zupełnie jakby rozbierał ją oczami.

Oddała mu uścisk ręki.

- Dziękuję bardzo - powiedziała zwięźle. Musi bronić swojej godności. Pomógł im, to prawda, i na tym koniec. Nie będzie tu kręcił się koło nich z tym uśmiechem zdobywcy... Tylko patrzeć, jak padnie stereotypowa kwestia: „Czy pozwolą panie zaprosić się na drinka”?

Nic z tego, José. Wybij sobie z głowy.

Ciemne brwi drgnęły lekko. Był zaskoczony jej szorstkością. Evie z łatwością mogła sobie wyobrazić, jak marszczy je w gniewie, albo unosi w górę, rozbawiony.

- Nie wiem, czy byłoby możliwe zaprosić panie na drinka? Łatwiej wróciłyby panie do siebie po tym przykrym przeżyciu.

- Och, tak! - wykrzyknęła Fidelma jak mała dziewczynka. - Będzie nam strasznie miło. Prawda, Evie?

Evie posłała krewnej piorunujące spojrzenie, ale na próżno. Fidelma utkwiała zachwycony wzrok w nieznanym.

- Trochę brandy dobrze paniom zrobi na nerwy - mówił, zwracając się do Fidelmy. - Trzeba być w formie na weselu.

Fidelma rozkwitła jak bohaterka Georgette Heyer, zaproszona na bal przez markiza, który dotąd nie cierpiał dziewcząt.

- Skąd pan wie, że idziemy na wesele? - spytała podejrzliwie Evie. Czują się raczej jak detektyw w spódnicy, niż jak heroina romantycznej powieści z okresu regencji.

- Bo ja też na nie idę. A panie są tak pięknie ubrane... - mówił niskim, zdradzającym ogładę głosem.

Evie nie wiedziała, że Fidelma potrafi chichotać. A jednak potrafiła.

- Och, niech pan da spokój, młody człowieku - zagruchała, uderzając go lekko torebką w ramię.

Uśmiech, jaki zaprezentował - kombinacja bieli zębów i opalenizny - upodobił go do sympatycznego wilka. Niebezpieczny jest... Evie przeszył lekki dreszcz. Możliwe, że pod powłoką wyrafinowania i elegancji kryje się łądak odziany w kosztowną włoską wełnę. Nie była pewna, czy przyspieszone tętno jest spowodowane tym, że jej się podoba, czy wręcz przeciwnie.

- Proszę mi wybaczyć nietakt - powiedział. - Jak mogą panie iść na drinka z nieznanym? Nazywam się Max Stewart.

- Fidelma Burkę - pospieszyła Fidelma. - A to jest Evie Fraser.

- Jestem zaszczycony. Czy wolno mi zwracać się do pani po imieniu, pani Burkę?

- Ależ naturalnie, młody człowieku. Mów mi Fidelma. Jestem pewna, że Evie też nie będzie robiła ceremonii - szczebiotała kokieteryjnie starsza pani.

Evie rozejrzała się dookoła. Na pewno za chwilę z czarnego sportowego wozu wyłoni się wytworna sylwetka jakiejś pani Stewart o nogach gazeli, gładkich, typowych dla południa Francji blond włosach, obwieszona złotymi łańcuchami, w kreacji od Diora. Tak mniej więcej powinna wyglądać żona takiego mężczyzny jak Max.

- Przyszedłem sam - wyjaśnił, jakby zauważywszy jej próby zlokalizowania małżonki. - Będzie mi zatem bardzo miło mieć przy boku dwie tak piękne panie.



Zaledwie te słowa spłynęły z jego ust, gdy Fidelma przywarła do ramienia nowego znajomego jak przyklejona. Co jej się stało? To chyba te tabletki.

- Evie?

Już, już miała zamiar uśmiechnąć się i odejść, gdy coś w jego głosie - sposób, w jaki wymawiał jej imię - zatrzymało ją.

Niebieskie oczy były teraz poważne, tak jakby naprawdę mu zależało, żeby poszła z nim na drinka. Miło było mieć przed sobą tego olśniewającego mężczyznę, patrzącego na nią tak ciepło, z takim szczerym podziwem... Co za sympatyczna odmiana po niedawnej zdradzie ze strony Cary i Rosie! Przy najmniej jedna osoba nie uważa, że jest nudna, gruba i nadaje się wyłącznie do podwożenia starszych krewnych na polekowym haju.

- Proszę.

Rozsądna, przezorna, zawsze zachowująca się stosownie Evie Fraser poczuła nagle, że nie może oprzeć się tej prośbie. Choć powinna. W Maksie Stewarcie było coś niebezpiecznego.

Niebezpiecznego, nieprzewidywalnego - a równocześnie dziwnie ekscytującego. To nie Simon... I natychmiast znenawidziła się za tę myśl. Co za nielojalność!

Ale Simon był wiele kilometrów stąd, na jakimś nudnym zebraniu, którego nie chciał opuścić. „Przyjdzie cała dyrekcja” - powiedział. „Rozumiesz, Evie, że nie mogę okazać im lekceważenia”. Wolał zlekceważyć ją, przybывая na wesele już po ceremonii ślubnej i po posiłku.

Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal... To w końcu tylko drink. Co może być w tym złego?

- Chętnie. Będzie mi bardzo miło - usłyszała własny głos.

Max wziął ją pod rękę. Przeszedł ją dreszcz. Wszystkie włoski na ramieniu stanęły dęba.

Był taki duży! Czuła się przy nim jak elf. Jak maleńka, krucha istotka, a nie herod-baba, która trzyma żelazną dłońią całe biuro. O, gdyby ktoś ją teraz zobaczył - ją Evie Fraser, eskortowaną przez takiego faceta!

Wewnątrz hotelu zaledwie zwróciła uwagę na piękne sklepienie, rycerską zbroję i zwisające ze ścian średniowieczne proporce. Wiedziała tylko, że tuż obok niej znajduje się Max Stewart. Nie rozmawiał z nią, tylko z Fidelma; stara dama chichotała. Pomimo to Evie rejestrowała wyostrzoną świadomością każdy jego gest. Widziała, jak odrzuca głowę do tyłu, śmiejąc się z jakiegoś powiedzonka Fidelmy... jak w kąciach oczu pojawiają się zmarszczki od śmiechu... Samo przebywanie obok niego było radością. Zbyt była podekscytowana, żeby zastanawiać się, dlaczego. Albo niepokoić. Trwaj, chwilo, jesteś piękna... Nic innego się nie liczyło.

- Myślę, że wpadniemy do baru. Zrelaksujemy się przed przyjęciem, a ty będziesz mogła poprawić makijaż - powiedział do Fidelmy.

- Świetnie - zawołała ochoczo, choć, o ile Evie wiedziała, piła bardzo rzadko, a z kosmetyków używała jedynie śladowych ilości pudru Maxa Factora, tego samego od dziesięcioleci.

Bar był strefą wolną od weselnych szaleństw. Max pieczołowicie usadził Fidelmę w fotelu na wprost ogromnego kominka, w którym można by upiec odyńca, i usiadł obok niej, po czym nieznacznie przysunął się z krzesłem nieco bliżej krzesła Evie.

Kominek wspaniale grzał. Na dworze był ziąb i trochę zmarzli. Evie od ruchowo wyciągnęła w kierunku ciepła nogi w cienkich jak pajęczyna rajstopach, i momentalnie zdała sobie sprawę, że w ten sposób wystawia na widok publiczny swoje koszarne łydki! Zwykle skrzętnie je chowała przed ludzkim okiem. Szybko podwinęła nogi pod krzesło i rzuciła okiem na Maksa. Zauważył?

Wyglądało na to, że nie. Pytał właśnie Fidelmę, co będzie pić.

- Harveya Wallbanga - odparła z entuzjazmem.

Brwi Evie skoczyły w górę. Co?

- Albo nie - powiedziała z namysłem Fidelma. - Może lepiej Long Island Iced Tea. Albo Singapore Sling...

- Fidelma - nie wytrzymała Evie. Za chwilę starsza pani przeleci wszystkie łagodne koktajle i dojdzie do jakiegoś Sex on the Beach! - Nie zapominaj, że jesteś na środkach przeciwbólowych...

- Banana Daiquiri! - wykrzyknęła uszczęśliwiona Fidelma. - Piłam to tamtego wieczoru, kiedy o mało co się nie zaręczyłam.

Max uchwycił wzrokiem spojrzenie Evie. Uśmiechnęli się.

- Może po prostu brandy albo kieliszek białego wina - szepnął. - Przecież nie poproszę barmana o Vestal Virgin czy o Long Sloe Comfortable Screw...

Musiała zatkać usta rękawem, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Serce jej drgnęło, kiedy zauważyła, jaki jest zadowolony, że udało mu **sieja** rozśmieszyć.

Powoli sączyli schłodzone wino. Evie z zaskoczeniem obserwowała, jak umiejętnie Max stara się rozerwać Fidelmę, naprowadzając ją na temat trunków, jakie pijała z koleżankami jako nastolatka.

- Gwiazdy filmowe piły wtedy różne koktajle i szampana - mówiła z mgiełką w oczach, wracając myślą do czasów sprzed ponad pięćdziesięciu lat. - A my chciałyśmy się do nich upodobnić. Ja marzyłam, żeby być Katharine Hepburn, a moja przyjaciółka - Jane Russell. Ale nie dlatego, że była... no wiesz, obdarzona przez naturę - dodała dyskretnie, spoglądając na własne obfite łono.

Opowiedziała im, jak była w kinie na „Afrykańskiej królowej” z pewnym młodym człowiekiem, który tak obawiał się jej ojca - znakomitego strzelca - że nie miał odwagi wziąć jej za rękę. Rozbawiona wspomnieniami, spytała z kolei Maksa o herosów jego dzieciństwa.

- Ja chciałem być Seanem Connery - powiedział nieco smętnie, odchylając się na krześle. - Kiedy miałem dziesięć czy jedenaście lat, poszedłem z ojcem na „Thunderball”. Nigdy przedtem nie widziałem czegoś takiego... Marzyłem, żeby być szpiegiem, superfacetem o chłodnym, nieprzeniknionym spojrzeniu, a w rzeczywistości byłem chudym, niezdarnym dzieciakiem, bez przerwy potykającym się o własne stopy.

Evie zaśmiała się. Nie mogła sobie wyobrazić tego ideału mężczyzny w postaci chudego, niezdarnego dziesięciolatka.

- A ty, Evie?

Evie po obejrzeniu „Gwiazdnych wojen” kochała się w Harrisonie Fordzie. Marzyła, żeby być księżniczką Leią jak Carrie Fisher, nawet jeśli oznaczałoby to konieczność noszenia tych idiotycznych warkoczy. Nigdy nie zapomni też, jak podziwiała z Olivia zdjęcia Goldie Hawn w którymś z magazynów jej matki. Olivia miała przynajmniej falujące blond włosy i pewną nadzieję, że może być kiedyś równie seksowna jak Goldie, ale Evie, ze swoimi mysimi ogonkami...

- No, dalej, powiedz nam. A może wstydzisz się przyznać, że jako jedenastoletnia dziewczynka marzyłaś, żeby wyglądać jak Olivia Newton-John i całować się z Johnem Travoltą? - zaśmiał się.

Evie także wybuchnęła śmiechem. Kiedy „Grease” wszedł na ekrany, miała siedemnaście lat, a nie jedenaście.

- Ale z ciebie drań, Max. Myślałby kto, że naprawdę wyglądam na trzydzieści lat! Po co te gierki?

Starał się wyglądać na zaskoczonego.

- To znaczy, że masz mniej niż trzydzieści? O Boże, wybac mi, proszę.

- Więcej - trzepnęła go poufałym gestem w kolano. - Nie udawaj, że nie wiesz.

W odpowiedzi posłał jej spojrzenie spod ciężkich powiek. Mroczne, głębokie, przeznaczone było wyłącznie dla niej. Trzewia Evie przeszły dreszcz. W lęku, że być może znowu się zaczerwieniła, pociągnęła duży łyk wina.

- On z tobą flirtuje, Evie - zaczęła Fidelma, która wysączyła już swój kieliszek i była lekko wstawiona.

- Flirtuje z wami obiema - odparł Max. I znów spojrzał przenikliwie na Evie.

Figlarno-miażdżące spojrzenia nigdy nie były specjalnością Evie. Dawno zdała sobie sprawę, że zadarty nos i różane policzki oznaczają, iż szanse na to, by mieć wyraz twarzy ubawiony oraz sarkastyczny jednocześnie, są zerowe. Dziś jednak - pomyślała - na pewno mi się uda.

- Wyglądasz na strasznie zawziętą, kiedy zrobisz taką minę - zauważył Max.

- Naprawdę? - spytała zdumiona. - Nie miałam takiego zamiaru. Próbo-  
wałam tylko... - Urwała. Nie mogła przecież powiedzieć, że próbowała wyglądać

jak bohaterka romansu, która przywołuje do porządku zbyt ochoczego konkurenta. - Próbowałam wyglądać na osobę nieco twardszą, bardziej autokratyczną a nie jakiś mamy puch - nagle zapragnęła być brutalnie szczerą.

- Nie jesteś marnym puchem, Evie - Max położył jej dłoń na ramieniu. - Ale nie jesteś też osobą twardą i autokratyczną. Wierz mi, twardych i autokratycznych kobiet spotkałem w życiu więcej, niż jestem w stanie zapamiętać. A ty jesteś ciepła, miła i zabawna. Właśnie dlatego siedzę tu z tobą.

Evie zaparło dech od tych komplementów.

- Och, byłbym zapomniął - dodał Max, ukazując w uśmiechu swoje wilcze zęby. - Jesteś też cholernie atrakcyjną kobietą.

Księżniczka Jade, Davina czy jakakolwiek inna papierowa heroina Evie miałyby na podorędziu jakąś ciętą, prowokacyjną odpowiedź. Coś, co zwaliłoby Maksa z nóg i sprawiło, że natychmiast wysłałby swojego osobistego ochroniarza po czerwone róże i szampana.

A Evie? Evie po prostu wpatrywała się w niego rozpromienionym wzrokiem. Po raz pierwszy tego dnia czuła się naprawdę szczęśliwa.

- Kto to ci się podobał? Olivia Whatsit-John? - dopytywała się Fidelma, równocześnie znacząco przechylając w kierunku barmana pusty kieliszek. Liczyła, że zwróci w ten sposób jego uwagę.

Max zlitował się nad nią i zamówił jeszcze jedną kolejkę białego wina.

- Ale lepiej zbierajmy się niedługo - ostrzegł. - Inaczej państwo młodzieńcy zamordują.

Evie natychmiast pomyślała, czym też gościem może być Max: ojca czy Vidy. Nie chciała jednak psuć nastroju, pytając wprost. Miała wyżej uszu rozmówek typu „jestem kuzynką drugiej żony przyrodniego brata jego ciocie”, jakie zawsze słyszy się na weselach, kiedy goście usiłują umiejscowić się nawzajem na skomplikowanym drzewie genealogicznym rodziny. Ojciec ma dość szerokie grono znajomych; Max może być jednym z nich. Dowie się później. Chwila była zbyt magiczna, by psuć ją tego typu formalnościami.

- Nigdy nie przepadałem za Olivia Newton-John - powiedziała. - Ale dużo bym dała, żeby mieć taką figurę jak ona - dodała po chwili, poklepując się po talii.

- Co masz na myśli? - Max spojrział na nią ze zmarszczonymi brwiami.

Bijące od ognia ciepło zaróżowiło blade policzki Evie. Sztywne dotąd loki opadały wokół twarzy swobodnymi, naturalnymi skrętami, a wielkie brązowe oczy były ożywione rozmową. Evie była teraz tak ładna jak zawsze.

- No wiesz... -zawahała się, usiłując wyrazić myśl jak najtrafniej. - Olivia to po prostu chodząca modelka. Ma wspaniałe ciało...

- A ty nie. O to chodzi, tak? - W oczach miał zdumienie. Zupełnie jakby nie mógł sobie wyobrazić, że kobieta może nie być szczęśliwa, mając takie ciało jak Evie... Jakby to było nonsensowne i śmieszne, że w ogóle ma z sobą jakieś problemy.

Przeżywszy pół życia w przekonaniu, że jest nie całkiem taka jak trzeba, Evie poczuła, że jej świat przekręcił się o sto osiemdziesiąt stopni. A jeśli nie istnieje nic, czym należałoby się martwić?... A jeśli naprawdę jest piękna, tylko jakieś złe moce rzuciły na nią czar, który każe jej nienawidzić siebie samej?... A jeśli to jest OK być Evie Fraser, małą, kragłą wielbicielką batoników „Twix”, a nie wymizerowaną istotą żywiącą się wyłącznie selerami?

- Kobiety mnie fascynują - mówił dalej Max - ale nie chciałbym być jedną z nich. Za wiele mają różnych „musisz” i „powinnaś”. Mężczyzna może na przykład marzyć, żeby zostać zwycięzcą wyścigów Grand Prix, ale do głowy mu nie przyjdzie martwić się, że nie wygląda jak dotychczasowy zwycięzca.

- Ale ja wcale nie chcę wyglądać jak ktoś inny - zaprotestowała Evie. W rzeczywistości zawsze chciała, ale nie mogła przecież przyznawać się do tego przed nieznanym. I tak już była wobec niego zbyt otwarta. - Chciałabym tylko być...

- Szczuplejsza? - poddał Max, uśmiechając się kącikiem ust.

- A co w tym złego? - rzuciła się Evie, zła, że cała jej osobowość została zredukowana do tego jedyne go pragnienia: być szczupłą.

- Nic - powiedział miękko. - Tylko że wcale nie musisz być szczuplejsza. Jesteś wspaniała taka, jaka jesteś. Zauważyłem wcześniej, że chowasz nogi... Niepotrzebnie, możesz mi wierzyć.

Z upodobaniem ogarnął sylwetkę Evie wzrokiem eksperta. Miała wrażenie, iż jest w stanie od jednego rzutu oka ocenić rozmiar jej biustonosza oraz obwód talii z dokładnością do centymetra.

- Lepiej już chodźmy - powiedziała ze smutkiem Fidelma. - Pierwszorzędnie nam się gada, ale Andrew będzie zły, jeśli przesiedzimy tu całe popołudnie.

- Masz rację. - Evie spróbowała pozierać się do kupy. Było w pół do czwartej, a czuła się tak, jakby miała za sobą noc spędzoną na pijaństwie. - Chyba już skończyli robić zdjęcia. Dobrze by było zdążyć na jakieś jedzenie.

- No właśnie - podchwyciła Fidelma. - Głodna jestem... Oddam życie za talerz zupy!

- Zaraz znajdziemy ci coś pysznego, kochana - Max pomógł jej wstać. - Inaczej wszystkie te wspaniałe koktajle, które zamierzam wam postawić, za szybko poszłyby ci do głowy! ..

Zachwycony śmieшек Fidelmy odbił się echem w całym pomieszczeniu.

Evie także zaczynała myśleć o posiłku. Od śniadania upłynęło już wiele czasu, a skoro jest, jak się okazuje, dostatecznie szczupła i w ogóle wspaniała, może jeść co chce.

Szli we trójkę powoli w kierunku sali balowej.

- Strasznie jesteś miły dla Fidelmy - szepnęła. - Naprawdę, doceniam to. Twoje ciotki i babcie muszą cię uwielbiać. A dla mamusi z pewnością jesteś oczkiem w głowie, idę o zakład - zadrwiła. Nigdy dotąd nie spotkała mężczyzny, który przypominałby maminsynka mniej niż Max.

- Moja matka nie należy do kobiet, którymi trzeba się zajmować - powiedział z ożywieniem. - Jest bardzo niezależna. No, ale jak się straciło dwóch mężów...

W głowie Evie błysnęło podejrzenie. A może przeczucie? Ojciec wspominał coś o synu Vidy, realizatorze programów telewizyjnych... Był zaproszony na wesele, ale miał w tym czasie jakieś sprawy w Australii i nie mógł rozczarowanej matce niczego obiecać na pewno.

Max? Nie, to niemożliwe...

Doszli do drzwi wiodących do sali balowej. Max bez wysiłku pchnął oba skrzydła.

- Max, więc jednak jesteś! Och, jak się cieszę - spokojną i opanowaną zazwyczaj twarz Vidy rozjaśnił entuzjastyczny uśmiech. Przebiegła z gracją przez salę i objęła Maksa ramionami. Chwytał ją w niedźwiedzi uścisk, uważając jednak, by nie popsuć gładkiej miodowoblond fryzury, po czym odsunął na odległość ramienia, podziwiając jej elegancki ślubny strój.

- Pięknie wyglądasz, mamó - powiedział ciepło. - Jak zwykle zresztą.

Evie poczuła serce w żołądku. Max jest synem Vidy... Kto wie, o co mu naprawdę chodziło, kiedy wyciągnął ją na pogaduszki? Pewnie próbował ustalić, jak dalece kłopotliwa będzie dla ukochanej mamuski, która niewątpliwie zwróciła się do niego z pytaniem, co robić... Czy mógł być inny powód, dla którego ktoś taki jak on interesował się Evie? Przecież to jasne, że nie. Atrakcyjny do obłędu, wręcz materiał na gwiazdę... Nie zwracałby sobie głowy nawet otwieraniem ust do niej, gdyby nie miał ukrytego celu. A wszystkie te idiotyzmy, jaka to rzekomo jest wspaniała, wystarczająco szczupła, bez potrzeby zmieniania czegokolwiek... Syn matki, która ma taką figurę i wygląda jak była modelka „Vogue'a”!

Wściekłość targnęła jej ciałem, równie gwałtownie, jak przed chwilą ekscytacja. Wykorzystał ją, łotr! Drwił sobie z niej! No, tego mu nie daruję.

Spojrzała piorunującym wzrokiem na plecy Maksa, złapała Fidelmę pod ramię i pociągnęła na salę, do stołu, przy którym siedziały Cara i Olivia. Sasha, pomiędzy nimi, powoli wyjmowała z wianka różane pączki.

- Ty wiesz? - z gardła Evie wydobył się skrzek. Twarz jej płonęła. - Ten cholerny typ przygadał nas sobie i wiesz co się okazało? Wiesz kto to jest?

- Jaki typ? O kim ty mówisz? - Olivia nic nie rozumiała. Dlaczego Evie jest taka wzburzona?

- Ach, on jest wspaniały - zapięła Fidelma, padając na krzesło, i mentalnie chwyciła wolny kieliszek szampana. - O, tam jest. Zobaczcie - wskazała brodą. - Max. Ach, gdybym była o dwadzieścia lat młodsza - westchnęła.

Cara i Olivia poszły wzrokiem za jej gestem.

- O-ho-ho... Niezła sztuka - Cara utkwiała spojrzenie w wysokiej, kształtnej postaci w odległym końcu sali. Nawet z dystansu nie było wątpliwości,

że cielesna powłoka tego mężczyzny jest bez zarzutu. Dla niej trochę za stary, niemniej świetny. Sylwetka, twarz... - Przypadł sobie ciebie, Evie? - spytała z niedowierzaniem.

- Tak - jęknęła Evie. - I nie musisz być taka zdumiona - dodała z oburzeniem. - Chyba nie idę jeszcze w odstawkę, prawda? Ale nie uwierzysz, kto to jest!

- Amerykański gwiazdor, który przyjechał tu w poszukiwaniu roli? - podsunęła Olivia.

- No, gwiazdorem to z pewnością mógłby być - powiedziała Cara z entuzjazmem. - Clooney przy nim wysiada.

- Mylicie się - głos Evie drżał z oburzenia. - Otóż naciągnął mnie na pogaduszki, nie uprzedzając, że jest synem Vidy! Zdajecie sobie sprawę? Synem Vi-dy. Na pewno specjalnie go podstawiła. Ma w tym jakiś cel. Idę o zakład - dodała dramatycznie.

- Evie - zaczęła Olivia, starając się mówić łagodnie. - Przecież to mało prawdopodobne, żeby Vida podstawiła ci syna. Co by jej z tego przyszło?

Cara nie była tak subtelna.

- Skończ już z tymi spiskowymi teoriami, Evie. Jesteś gorsza niż Oliver Stone. Jaki niby pożytek mogłaby mieć Vida z tego, że jej syn będzie z tobą flirtował?

- Taki, że... że... postawi mnie w kłopotliwym położeniu, zmuszając, żebym też z nim flirtowała! - wyrzuciła z siebie gorączkowo. Myślała o swojej reakcji na umizgi Maksa. Trzepotała przecież rzęsami, wdzięczyła się... Zupełnie jak jakaś cholerna pensjonarka. Trzymał ją nawet za kolano! Okropne... Co on teraz sobie o niej myśli? No nic, w każdym razie wiadomo, co ona myśli o nim. Cholerny skurczybyk i tyle. Jak to manipulował nią żeby wzbudzić jej sympatię! I udało mu się. Rzeczywiście jej się podobał... Czują się jak przekłuty balon.

- Łyknij sobie szampana - zaproponowała Olivia, patrząc na posmutniałą buzię Evie.

Wyzywającym gestem chwyciła podsunęty kieliszek i jednym łykiem wychyliła połowę. Ledwo złapała oddech. Chwyciła ją czkawka.

- Evie - Cara była przerażona. Nigdy wcześniej nie widziała swojej normalnie zrównoważonej siostry w takim stanie. - Co on ci zrobił?

- Nie chodzi o to, co on zrobił mnie! - warknęła Evie ze zwężonymi złością oczami. - Chodzi o to, co ja mu zrobię, jak go znowu dopadnę. Wywrę mu...

Jednak dyskusja o tym, jakiej części ciała należałoby w pierwszym rzędzie pozbawić Maksa Stewarta, została przerwana. Drużba poprosiła o ciszę.

Choć Evie gotowała się ze złości, zmuszona była spokojnie patrzeć na Maksa, siedzącego przy stole w pobliżu nowożeńców, w części przeznaczony dla gości Vidy.

Ku jej zakłopotaniu, przyłapał ją na tym. Opalona twarz rozjaśniła się uśmiechem, mówiąc: „I gdzie ty utknęłaś?”

Evie posłała mu mordercze spojrzenie, wytrenowane przez lata, kiedy musiała odierać bezczelne gwizdy robotników budowlanych, i szybko odwróciła głowę, jak gdyby jej towarzyszki powiedziały właśnie coś niezwykle ekscytującego, co nie było przeznaczone dla uszu sąsiadów.

Siedziała między ojcem Olivii, Lesliem, już teraz woniejącym alkoholem, i ciotką Al. Za mało było mężczyzn, by przy każdym stole zachować właściwą proporcję płci.

Cholerny drań - kotłowało jej się w głowie. Jak śmiał? Miała nadzieję, że patrzy na nią. Właściwie była o tym przekonana. Bardzo dobrze, niech patrzy ile chce. Ona nawet okiem na niego nie rzuci. Nie mówiąc już o tym, by miała z nim rozmawiać... O tym może zapomnieć.

Po każdym daniu ciotka Al zapalała papierosa i wydmuchiwała dym prosto na Evie, nie zwracając uwagi na jej kamienną twarz. Evie nie cierpiała dymu. Co gorsza, ciotka uwielbiała słone kawały i mogła je bez końca opowiadać. Stephen MacKenzie, siedzący po przeciwnej stronie stołu z wydłużoną miną, kompletnie nie reagował na śmiałe limeryki, jakie Al scenicznym szeptem przekazywała swojej sąsiadce, Rosie. Dobrze przynajmniej, że Leslie de Vere siedział cicho. Był już odpowiednio zaprawiony po zaliczeniu paru kolejek brandy i porto, którymi leczył kaca.

Wszyscy, nie licząc Stephena, chyba się dobrze bawili. Oprócz niej... Cara z ożywieniem rozmawiała z Fidelmą i ciotką Elizabeth. Sybil de Vere, dziobiąc w talerzu, słuchała dowcipów ciotki Al. Nawet Olivia zdawała się nie przejmować tym, że Stephen miał właśnie jeden ze swoich humorów. Jej śliczna twarz była tak spokojna, jakby w ogóle nie zdawała sobie sprawy, że mąż ciska na nią z naprzeciwnika groźne, ciężkie jak ołów spojrzenia. Zwykle sama myśli, że Stephen mógłby wpaść w złość, wywoływała u Olivii palpacje... A dziś, choć najwyraźniej wściekłość go roznosiła, pogadywała sobie pogodnie z Fidelmą, tuląc równocześnie Sashę, która opuściła swoje miejsce u boku Vidy, by porozmawiać i popieścić się z mamą.

Pewnie przedawkowała szampana - zdecydowała Evie. Te bąbelki rzeczywiście potrafią człowieka ululać... Jaka szkoda, że traciła czas z tym wrednym Maksem przy zwykłym winie, skoro tu mogła nażłopać się Moeta.

Ostrożnie spojrzała w kierunku Maksa. Wcale na nią nie patrzył, drań! Zwrócony był ciałem w kierunku sąsiadki, efektownej czterdziestki z fryzurą na Kleopatrze i oczami koloru tarniny. To niewątpliwie jego najnowsza zdobycz... Czują, że go nienawidzi. Jak śmiał z nią flirtować? Jak śmiał prowokować ją, by odpowiadała mu tym samym?

Kleopatra powiedziała coś zabawnego i Max zaśmiał się na całe gardło. Evie zmrużyła z zazdrością oczy. Jeszcze nie tak dawno temu to ona doprowadzała go do śmiechu... Cokolwiek powiedziała, wszystko było dla niego



fascynujące i niezwykle. Wpatrywał się w nią, jakby była najbardziej czarowną istotą na tym globie, a teraz dokładnie tak samo traktuje starożytną Egipcjanę. Ale z niej krowa... Włosy to na pewno peruka. A ten ciężki makijaż strasznie dodaje lat. Z bliska wygląda na pewno jak wyjęta z pieca suszona śliwka.

Nieco pocieszona tą myślą z powrotem usiadła wygodnie i spróbowała się bawić. Nic z tego. Żarty Al jej nie interesowały, a Leslie nie miał nic do powiedzenia oprócz „Poproszą czerwone”, ilekroć pojawiał się kelner z butelką wina.

Zaczęły się weselne mowy. Obróciwszy się z krzesłem ku przodowi sali, Evie znalazła się w idealnej pozycji do szpiegowania Maksa i jego aktualnej flamy. Z tego, co mówiono, nie słyszała ani słowa. Nie słyszała nawet, jak drużba ojca przejęczył się i powiedział: „Chciałbym gorąco pocałować... och, przepraszam! Chciałbym gorąco podziękować honorowej matce panny młodej...”.

Sala gruchnęła śmiechem.

- Co się stało? - ocknęła się Evie.

- Facet chciałby gorąco pocałować honorową matkę - wyjaśnił radośnie Leslie de Vere. - Wcale mu się nie dziwię. Sam też bym nie pogardził... Niezła kobitka, daję słowo.

Zanim zabrał głos ojciec, Evie zdecydowała, że jedyny sposób na to, by znów przyciągnąć uwagę Maksa, to flirt z którymś z gości. Ż jakimś superprzystojnym facetem, który przyszedł bez pary. Max zzielenieje z zazdrości na ten widok.

Tylko skąd go wziąć? Oto pytanie... Superprzystojni faceci nie zaludniają tego globu masowo. Rozejrzawszy się szybko po sali, Evie nie dostrzegła nikogo, kto spełniałby warunki w dostatecznym stopniu. Poza Maksem najbardziej atrakcyjnym mężczyzną w zasięgu wzroku był ojciec... Stephen także prezentował się nieźle, ale nawet gdyby nie był mężem Olivii, nie wchodziłby w rachubę z tą grobową miną. Wyglądał, jakby właśnie pod stołem robiono mu lewatywę.

Spojrzenie Evie spoczęło na rodzinie Higginsów, właścicieli sklepu mięsnego w Ballymoreen. Przy ich stole siedział jakiś nieznajomy. Wysoki, o dość interesującej aparycji, ubrany w całkiem przyzwoity garnitur... I wyglądało na to, że nie ma partnerki! To jest to.

- A teraz - Andrew Fraser zmierzał do końca przemówienia - obie nasze rodziny mają znakomitą okazję, żeby się nawzajem poznać. - To mówiąc, spojrzął ciepło na Evie.

Może ty masz - pomyślała ponuro. Ona z pewnością nie będzie się bliżej poznawać z Maksem, ani przyjmować go na łono rodziny. Jakby stanął w płomieniach, nawet by na niego nie splunęła. A ta Vida! Murowane, że go podstawiła. Co za manipulaterka!

Mowy się skończyły. Goście odchyliłi się w krzesłach, czekając na następny punkt weselnego programu. Gdy muzycy zaczęli ustawiać instrumenty w rogu sali, Evie przeprosiła i wymknęła się do toalety.

Z łazienkowego lustra spojrzała na nią zmęczona, rozgorączkowana twarz. Czy to możliwe, że niedawno uznała się za wystarczająco ładną? Wyglądała jak upiór. Kretyńskie loczki, starta szminka, na policzku rozmazany tusz niczym plama z testu Rorschacha... Zbliżyła twarz do lustra i starła smugę palcem.

- No, czy on nie jest słodki? - usłyszała nagle damski głos.

Evie wyprostowała się z wrazenia. Do łazienki weszła Kleopatra w towarzystwie jakiejś kobiety.

- Ale on na ciebie patrzy... Boże! - powiedziała ta druga. - Tego to na pewno nie wykopiesz z łóżka, bo nakruszył na prześcieradło, co? - I obie wybuchnęły wulgarnym śmiechem, nie zwracając na Evie najmniejszej uwagi.

Udając, że szuka w torebce szminki, starała się dyskretnie obserwować Kleopatę. Nie wyglądała, niestety, jak suszona śliwka w peruce... Była kobietą o egzotycznej urodzie, z uderzająco gładką jak na ten stopień opalenizny cerą. Zdaniem Evie, ludzie opaleni upodabniali się zazwyczaj do czerwonoskórych Indian, cera Kleopatry jednak miała bardzo twarzowy odcień kawy z mlekiem.

Ta druga była młodsza, niż jej się na początku zdawało. Nie wczesna czterdziestka, a raczej późna trzydziestka.

- Od rozwodu jestem na czatach - mówiła Kleopatra. - Max pasuje idealnie.

- Nie rozpędzaj się, Judith - odparła przyjaciółka. - Wygląda na to, że on się interesuje...

Ach, Judith? Evie wyskoczyła z łazienki na korytarz i wpadła prosto na Maksa.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi od razu, kim jesteś? - palnęła oskarżycielsko.

- A powinienem? - ton jego głosu był z lekka ogłupiały.

- Wiedziałaś, kim ja jestem - powiedziała z naciskiem - a ja nie miałam pojęcia, kim jesteś ty!

- A co to za różnica?

Spojrzała na niego wściekle.

- Posłuchaj, Evie - wziął ją pod ramię, żeby odprowadzić na salę. - Kiedy zorientowałem się, że jesteś córką Andrew, pomyślałem, że miło by było, gdybyś polubiła mnie ze względu na mnie samego, a nie dlatego, że mam być twoim... - zawahał się... przyrodnim bratem.

- Jakim przyrodnim bratem? Wcale nie jesteś moim przyrodnim bratem!

- Obawiam się, że teraz już jestem - powiedział łagodnie. - A moja matka jest teraz twoją macochą, aczkolwiek mam wrażenie, że cię to specjalnie nie zachwyca.

Wiedziała, że na jej twarz wypełza zdradziecki rumieniec. Czuła to. Ach, to jej ciało...

- Nie akceptujesz jej - ciągnął - a zatem nie akceptujesz także mnie, prawda?

- To nie tak - zaprzeczyła z przejęciem. - Po prostu nie lubię, jak się ze mnie robi głupią.

Byli z powrotem przed drzwiami sali weselnej. Spojrzał na nią z powagą.

- Wcale nie uważam, że ten wspólny drink i pogawędka to było robienie z ciebie głupiej - powiedział powoli. - Wydaje mi się, że się całkiem dobrze dogadujemy. Mnie w każdym razie było z tobą bardzo miło.

Czuła, że na jej twarzy zaczyna pojawiać się cień uśmiechu. I wtedy od strony toalet dał się słyszeć piskliwy, ostry głos Judith:

- Max, kochanie, czy już zaczęli tańczyć? Marzę, żeby zawirować na parkiecie...

Chyba nawet Max usłyszał, jak Evie spazmatycznie zaczerpnęła powietrza.

- Jeszcze lepiej dogadujesz się z Judith, kochanie - powiedziała słodko. - Zdaje się, że po rozwodzie poluje na męża, więc zostawiam cię jej.

I odeszła zdecydowanym krokiem, stukając wysokimi obcasikami Olivii.

- Świetne nogi - zauważył za nią Max.

Do diabła z nim - prychnęła z gniewem.

Na sali ojciec i Vida tańczyli swój pierwszy taniec. Orkiestra grała „Come rain or come shine” ze wspaniałym melancholijnym saksofonowym solo. Wszyscy uśmiechali się do nowożeńców, rozrzuwieni ich widokiem. Evie stanęła z boku i patrzyła. Jacy szczęśliwi, jacy spokojni, odprężeni... Jak skończy się taniec, podejdzie do nich i porozmawia. Powie Vidzie, że pięknie wygląda, przypomni, by sprawdziła każdego ranka, czy ojciec na pewno wziął swoje witaminowe tabletki...

Gdy melodia umilkła, ojciec zostawił **Vide** i podszedł do Evie.

- Czy mogę cię prosić o ten taniec? - zapytał, leciutkim uniesieniem kącików ust sygnalizując swój dystans wobec tego oficjalnego tonu.

- Naturalnie.

Gardłowym, jakby zniszczonym przez papierosy i alkohol głosem piosenkarz wyciągnął „It had to be you”. Evie i Andrew popłynęli po parkiecie. Dołączyły do nich inne pary. W przeciwległym końcu sali dostrzegła Maksą tańczącego z **Vida**. Wysocy, eleganccy, poruszali się z takim wdziękiem... Evie popatrzyła na nich w zadumie.

Co jej się stało? Była taka niegrzeczna dla Maksy... I to wyłącznie dlatego, że jest synem Vidy. Nie, to naprawdę śmieszne. I dziecinne. Pora z tym skończyć... Zacznie od ojca.

- Cieszę się, tato, że jesteś szczęśliwy - powiedziała szczerze. - Przykro mi, że w pierwszej chwili tak źle to przyjął. Zachowywałam się strasznie wobec ciebie i Vidy. Przepraszam.

- Nie musisz nic mówić. Przecież wiem, jakie to było trudne dla ciebie. Z góry wiedziałem, że będzie - odparł ojciec. - Właśnie dlatego wybrałem najłatwiejsze wyjście i nie powiedziałem ci wcześniej, że jestem zaangażowany - wyjawiał ze skruczą. - Bałem się, że będziesz na mnie wywierać nacisk, żebym z tym skończył... zanim się jeszcze na dobre zaczęło.

Evie na chwilę odebrało mowę.

- Tato - jęknęła. - Jak mogłeś pomyśleć, że stać by mnie było na coś takiego... Więc byłam wobec ciebie aż taką despotyczną jędzą? No nie... Tato, przepraszam! Naprawdę, nigdy nie chciałam...

Prawie nie tańczyli. Suwali się tylko po parkiecie, nie zwracając uwagi na melodię ani rytm.

- Wcale nie jesteś jędzą, Evie - powiedział poważnie. - Jesteś dobra i miła, i dumny jestem ze wszystkiego, co w życiu osiągnęłaś. Ale zdawałem sobie sprawę, jaka byłaś przywiązana do mamy i jak ją idealizowałaś. Właśnie dlatego nie związałem się z nikim, kiedy mieszkałaś w domu po śmierci Tony'ego. Tyle wtedy przeszłaś, że nie zniosłabyś jeszcze i tego - widzieć koło mnie inną kobietę...

- Tato - Evie była bliska płaczu. - To było nie w porządku z mojej strony. Przepraszam... Naprawdę nie chciałam...

- Ćśśś... - uspokoił ją. - Przecież wiem, że nie chciałaś. - Uniósł jej podbródek, by móc spojrzeć w twarz. - Ale teraz cieszysz się, tak?

- Tak, tato - słowa zamieniły się w szloch. - Bardzo. Ale przepraszam za wcześniejsze... Wybacz mi.

Ojciec objął ją. Widząc, że twarz ma zalaną łzami, sprowadził ją z parkietu i odeskortaował do stolika. Vida natychmiast była obok.

- Wszystko w porządku? - spytała zaniepokojona.

- Jak największym - odparł.

Uśmiechnęła się do niego krzepiąco i już miała odejść, w obawie, by nie przeszkadzać, gdy Evie chwyciła ją za ramię.

- Zostań, Vido. Chciałam cię przeprosić za to, że byłam dla ciebie taka niemiła. To było nie w porządku z mojej strony. Naprawdę życzę ci szczęścia.

W pierwszej chwili twarz Vidy zlodowaciała, jak gdyby nie wierzyła w prawdziwość tego, co słyszy. I natychmiast uśmiech rozjaśnił jej oczy. Schyliła się i pocałowała świeżo zyskaną przybraną córkę w policzek.

- Dziękuję, Evie. Bardzo to sobie cenię. Zdaję sobie sprawę, jakie to było trudne dla ciebie. - Wyprostowała się. - Pójdę po mojego syna. Może zdąży, zanim gdzieś zniknie.

- No właśnie. Musisz poznać Maksa, syna Vidy - włączył się gorliwie Andrew.

- Musisz - zawtórowała Vida. - Spodoba ci się. Jest taki wesoły...

Cholernie - pomyślała Evie. Nawet nie powiedział matce, że już ją zna, świnia.

- Musisz z nim zatańczyć - dodała Vida.

- Z przyjemnością- powiedziała z ożywieniem. Ale jeszcze nie teraz... Najpierw musi pokazać mu, jakie ma powodzenie. A potem może być dla niego wspaniałomyślna i obojętnie grzeczna. Dopiero potem.

Higginsowie byli zachwyceni, że ją widzą. Z miejsca obiecali, iż jeśli w czasie weekendu uda jej się wpaść do sklepu, odłożą dla niej parę pięknych kotletów i najlepszy kawałek żeberek.

- Dziękuję - uśmiechnęła się kokieteryjnie Evie, zerkając równocześnie z ciekawością na mężczyznę, którego wcześniej odnotowała jako odpowiedni materiał na obiekt zazdrości Maksa.

- To nasz syn, Paul - rozpromieniła się pani Higgins. - Przyjechał z Londynu. Musiałś go już spotkać, na początku, jak tylko kupiliśmy ten sklep.

- Och tak, naturalnie że pamiętam - skłamała. I, widząc, że Max patrzy na nią ze swego miejsca przy głównym stole - niewątpliwie pod wpływem matki, która poleciła mu się z nią zaprzyjaźnić - spytała lekko: - Nie wiem, czy tańczysz, Paul?

- Yyyy... tak, oczywiście - zamrugał, zaskoczony. Nie był tak przystojny, jak wydawało się jej z daleka, ale mimo wszystko niezły.

Wstała, chwyciła jego dłoń i odpłynęli, wirując, od stolika. Zdążyła jeszcze uchwycić ogłupiałe spojrzenie Maksa. Odpowiedziała mu promiennym uśmiechem.

Zdając sobie sprawę, że na nią patrzy, zdecydowała się dać brawurowy pokaz. Paul miał dwie lewe nogi i zero umiejętności konwersacyjnych, ale Evie patrzyła na niego z takim uwielbieniem, że dla dowolnego obserwatora musiało być jasne, iż uważa go za najbardziej fascynującego mężczyznę na sali.

Zdawała sobie sprawę, że jeśli Cara, Olivia czy Rosie nie przejrzały jej gry, z pewnością opadły im szczęki ze zdziwienia, ale nie dbała o to. To przecież wesele ojca, do licha, i w dodatku zarzekała się, że na nie w życiu nie pójdzie. Normalne zasady przestały więc obowiązywać.

Nie wypuszczała Paula z rąk przez trzy kolejne kawałki.

- Tak świetnie nam się tańczy - mówiła z zachwytem, nie zwracając uwagi na ból palców, które parokrotnie przydeptał jej swoimi wielkimi jak łódź holownicza buciorami.

Obok przepłynął Max z przyklejoną do niego Judith. Evie uśmiechnęła się jeszcze promiennie niż poprzednio. Równocześnie uświadomiła sobie ze złością, że Max jest świetnym tancerzem. Z jaką gracją się porusza, pomimo wzrostu... Judith, zachwycona, śmiała się prostackim śmiechem i kusząco wydymała wargi.

Melodia się skończyła. Orkiestra zapowiedziała przerwę.

- Napiłbym się czegoś - Paul ocierał pot z czoła. - Masz ochotę na drinka?

- Yhm - odparła nieuważnie, wciąż śledząc Maksa i Judith. I w tym momencie zauważyła w drzwiach Simona. - Oj, nie, Paul, przepraszam - rzuciła szybko. - Muszę się z kimś przywitać.

Simon przyjechał prosto z pracy i wyglądał na wyczerpanego. Krawat miał przekrzywiony, w oczach zmęczenie. Kosmyki piaskowych włosów, jak zawsze po dłuższej jeździe, sterczały mu na boki; najwyraźniej, stojąc na światłach, niecierpliwie przegarniał je dłonią.

O mało nie zwała go z nóg, tak gwałtownie chwyciła w objęcia.

- Simon, kochany - przywarła do jego szyi niczym wygłodniały wampir.

- Cześć, Evie. No jak tam, dużo straciłem?

- Ślubną ceremonię i jeszcze coś - dał się słyszeć niski głos. - Max Stewart. Jestem synem Vidy. - I Max we własnej osobie wyciągnął rękę do Simona.

- Simon! - Obok Maksa zmaterializował się ojciec. - Jaka szkoda, że nie mogłeś być na ślubie...

- Ale cieszymy się, że jesteś teraz - dołączyła się Vida, podchodząc z kieliszkiem szampana. - Andrew wszystko mi o tobie opowiedział.

Zupełnie jakby czatowali na tę chwilę... Evie, zaskoczona, szybko się opanowała.

- No właśnie, Vido - powiedziała z wdziękiem - pozwól, że przedstawię ci mojego narzeczonego Simona - położyła nacisk na słowie „narzeczonego”, obejmując Simona ramieniem. Udało jej się przy tym rzucić równocześnie Maksowi chłodne jak stal spojrzenie.

Wszyscy wymienili uściski dłoni.

- Evie, ale nie poznałaś jeszcze mojego syna Maksa - zwróciła się do niej Vida.

- Bardzo mi miło - powiedziała przez zaciśnięte zęby.

-Ale z niej figlarka! - zaśmiał się Max i pogroził Evie palcem. - Przecież już się poznaliśmy. Obiecałaś mi nawet taniec, może nie?

Nie mogła odmówić. Obok stali przecież ojciec i Vida, cali szczęśliwi, najwyraźniej traktując wspólny taniec jej i Maksa jako kolejny przejaw tego, że pogodziła się z ich związkiem.

- Ale nie ma muzyki - powiedziała, rzuciwszy mu powłóczyście spojrzenie. I w tym momencie, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, brzdęknięły talerze i orkiestra wznowiła działalność. Max wyciągnął do niej rękę. Ujęła ją, nie mogąc powstrzymać nagłego dreszczu, gdy dłonie się zetknęły.

Muszę pamiętać, żeby się tak głupio nie uśmiechać - pomyślała, rzuciwszy okiem na krewnych, odprowadzających ją rozanielonym wzrokiem.

- Wcześniej nie wyglądało, żeby ci specjalnie brakowało narzeczonego - szepnął jej do ucha Max, prowadząc w kierunku parkietu.

- Jestem gotowa całować ślady jego stóp - syknęła.

- Szczęściar - zauważył Max, unosząc brwi.

Miała zamiar nadepnąć mu na stopę, tak żeby gorzko pożałowała, iż kiedykolwiek prosił ją do tańca. Zabrzmiały jednak dźwięki melodii Glenna Millera. Nie mogła...

Na parkiecie od razu wróciła do siebie. Mając wrodzone poczucie rytmu, wdzięk i harmonię ruchów, popłynęła w tańcu, jakby latami ćwiczyła w szkole baletowej, a nie przesiadywała w młodości wieczorami w jazz clubie.

Max najwyraźniej miał podobny dar. Trzymając ją ramieniem odrobinę mocniej, niż to było konieczne, prowadził jak zawodowy tancerz. Czuła się niczym Ginger Rogers w ramionach Freda Astaire'a.

Inne pary usuwały się im z drogi, patrząc z podziwem na ich płynne, nieomyślne ruchy. Evie uwielbiała to... Serce biło szybkim rytmem.

- No, czy nie jesteście jak Fred i Ginger? Albo coś w tym stylu - rzucił lekko zdyszany Max, gdy po efektownym przerzucie wylądowała na powrót w jego ramionach.

Evie zaśmiała się mimo woli.

- Nie zapominaj, że Ginger zrobiła to do tyłu i na wysokich obcasach - wydyszała.

Melodia wznosiła się i opadała. Evie poddała się radości chwili. Zdawało jej się, że tańczy po raz pierwszy w życiu... Włosy fruwały, ciało, posłuszne każdemu impulsowi, idealnie współgrało z ruchami Maksa.

Świat przestał istnieć. Jedyne, czego była świadoma, to ruch stóp i bliskość jego ciała. Nawet w oczach miał taniec... Wiedziała, że jego uśmiechnięte usta to lustrzane odbicie jej własnego uśmiechu, którego nie mogła powstrzymać, gdy unosiła ku niemu twarz.

Widziała go z bliska. Czarne włosy, gładko odczesane do tyłu. Ruchliwe brwi, których wymowa zastępowała tomy, gdy ściągał je w skupieniu lub unosił do góry, rozbawiony.

Wydawało się, że upłynęła zaledwie chwila, gdy muzycy zarządzili kolejną przerwę dla złapania oddechu. Max, nie puszczając Evie, spojrział na zegarek.

- Pół godziny nieprzerwanego tańca. Lepiej już skończmy, bo będą plotki.

- Pół godziny? - wykrzyknęła. - Myślałam, że nie ma nawet...

- ... pięciu minut? - podsunął.

- Tak! Było bardzo przyjemnie.

Spojrzął na nią z powagą. Błękitne oczy z ognikiem w źrenicach były w pełni przytomne.

- Mnie też.

Zdała sobie sprawę, że parkiet opustoszał, tylko oni stali pośrodku niczym podwójny posąg. Spróbowała uwolnić się z jego rąk. Na próżno. Trzymał mocno.

- Chciałbym jeszcze się z tobą spotkać - szepnął cicho. Tak cicho, że w pierwszej chwili myślała, że się przesłyszała.

- Słucham? - spytała zdumiona.

- Chciałbym znowu się z tobą spotkać - powtórzył.

Ogarnęła ją fala skłębionych uczuć: zaskoczenie, radość, ekscytacja... Max znowu chce się z nią spotkać! I nagle poczucie winy: nie powinna. Nie może.

- A Simon? - szepnęła. - Spotykam się z nim... Jesteśmy zaręczeni. Nie mogę...

Oczy Maksza prześliznęły się po jej strapionej twarzy, szukając śladu szansy.

- Szkoda, że się spóźniłem - mruknął. - A zatem zostaniemy bratem i siostrą, tak?

W milczeniu wrócili do stolika.

- Dzięki, Simon, za wypożyczenie narzeczonej - powiedział głośno Max. Najwyraźniej szybko odzyskał dobry humor. - Jest fantastyczną tancerką.

- No a jak! - powiedział Simon, który unikał parkietu jak ognia.

- Pogadamy później. Na razie - Max był uosobieniem jowialności.

- Na razie - szepnęła.

Jego oczy przez moment trzymały jej wzrok na uwięzi niczym magnes. Nie mogła oderwać od niego źrenic. Czy na pewno nikt nie zauważył?...

Wreszcie poszedł.

Simon poruszył się na krześle i potracił łokciem kieliszek wina. Rubinowy płyn popłynął strugą po białym lnianym obrusie. Zirytowana, już miała go zbesztać, że taka z niego niezgraba, ale dała spokój.

To nie jego wina, że nie jest Maksem.

Olivia była szczęśliwa. Siedziała wygodnie z Sashą w objęciach i pozwalała ogarniać się falom muzyki, patrząc, jak Evie wiruje w tańcu z synem Vidy. Jaka ożywiona...

Klepnięcie w ramię wyrwało ją z odurzenia.

- Już późno, Olivia. Sasha powinna być w łóżku.

Humor Stephena odrobinę się polepszył, choć jego spojrzenie nadal było lodowate.

- Sprawdziłaś, czy można tutaj wynająć opiekunkę do dziecka?

- O Boże, nie - Olivia momentalnie poczuła się złą matką. - Myślałam, że sami przy niej posiedzimy, po kolei. Przecież przyjęcie nie potrwa już chyba dłużej niż jakieś dwie godziny...

Dochodziło wpół do dziewiątej, a Vida zapowiedziała, że nie lubi ciągnących się zbyt długo imprez. - Kto chce, może siedzieć w barze do rana - powiedziała dziś do Olivii - ale my z Andrew zabierzemy się dość szybko. Dzień był długi i pełen wrażeń, a rano musimy wcześniej wstać, żeby zdążyć na lotnisko.

Na miodowy miesiąc wybierali się w rejs. Oczy Vidy miały wręcz szmaragdowy z podniecenia odcień, kiedy mówiła o tym, co ich czeka: koktajlach na pokładzie, całodziennych wycieczkach na Santorini, przepychu kapitańskiego stołu...



- Ale ja nie jestem zmęczona, mamusiu - pisnęła Sasha. Oczka dotąd lśniły jej ożywieniem. Tyle nowych i ekscytujących rzeczy zdarzyło się przecież tego dnia!

- Masz robić, co tata każe, kochanie - powiedział kategorycznie Stephen.

Tak samo jak mama - pomyślała Olivia. Zdumiała ją ta myśl.

Podniosła się automatycznie i wzięła Sashę na ręce.

- Tata ma rację, kotku - potarła nosem buzię córeczki. - Chodź, powiemy wszystkim „dobranoc”.

Stephen przyszedł do pokoju w momencie, gdy Sasha była już w łóżeczku. Olivia otulała ją na noc.

- Przeczytać ci bajkę? - spytał.

Sasha skinęła główką i, zachwycona, zwinęła się w kłębek w pościeli. Olivia położyła obok jej sukienkę księżniczki i z upodobaniem słuchała, jak Stephen czyta historię o trzech pieskach.

Włożyła z powrotem granatowy żakiet i poprawiła szminkę, czekając, aż mąż skończy. Zejdzie jeszcze na dół na jakieś pół godziny, porozmawia z ludźmi, a potem wróci na górę i pójdzie do łóżka. Stephen będzie mógł wtedy zejść na godzinę. Bardzo jej odpowiadało takie rozwiązanie; poza wszystkim była zmęczona.

- A ty gdzie się wybierasz? - w głosie Stephena było totalne zdumienie. - Przecież miałaś zostać z Sashą?

Olivia zamrugała oczami. Najwyraźniej oczekiwał, że zostanie... To nie była sprawa do dyskusji: Stephen już podjął decyzję, że Olivia rezygnuje z reszty wieczoru i pilnuje dziecka. Olivia bynajmniej nie wzbierała się przed opieką nad Sashą nie podobało jej się tylko, że Stephen nie dał jej wyboru. Nie zaproponował, by to ona wzięła pierwszą zmianę. Nie poprosił, żeby go zastąpiła.

Jest kobietą, więc to ona zajmuje się dziećmi. Koniec, kropka. On zaś jest myśliwym-zbieraczem i nie będzie zwracał sobie głowy czymś takim, jak opieka nad ich córką.

Gniew wybuchnął jak lawa, wrząca pod powierzchnią ziemi, dopóki ciśnienie nie wzrośnie do punktu granicznego. Wściekła, skoczyła do Stephena i wyciągnęła go na korytarz.

- Nigdy nie myślisz o mnie dłużej niż sekundę, prawda? - zaszeptała gorączkowo. - Ślepo oczekujesz, że będę robić, co sobie życzysz, nawet bez pytania mnie o zdanie. Nie przyszło ci nawet do głowy, że ja też mogłabym mieć chęć wrócić na chwilę na przyjęcie i że ty też możesz posiedzieć z Sashą!

Stephen, wzburzony, szukał słów, by zaprezentować swój punkt widzenia. Miał jednak w głowie kilka porządných kieliszków Fleurie i nie mógł znaleźć ani jednego. Olivia się kłóci, i to drugi raz tego dnia! To po prostu nie do pomyślenia.

I w dodatku jeszcze nie skończyła. Z dziwnie błyszczącymi oczami dźgnęła go palcem w pierś.

- Ty zostajesz, a ja idę bawić się z moimi znajomymi. Nawet nie chciałeś iść na to wesele, więc nic ci się nie stanie, jak wcześniej pójdziesz do łożka. A jakby Sasha mnie potrzebowała, jestem na dole. - Omiotła go niechętnym spojrzeniem. - Tak rzadko z nią jesteś, że nawet byś nie wiedział, co robić, jakby zachorowała. - Okręciła się na pięcie i poszła w kierunku schodów.

Na dole skierowała się prosto do baru. Strzelił sobie porządnego drinka. Na złość Stephenowi, a co. Piła rzadko, ale jeśli już się jej zdarzało, Stephen tego nie cierpiał. Łagodny szprycer z białego wina to wszystko, co według niego przystoi kwocze - pomyślała jadownicę.

Przy barze stał syn Vidy. Olivia zauważyła, że ma nieznacznie obwisłe ramiona. Strasznie był fajny, kiedy go dziś poznała: ożywiony, miły... Ale wodził wzrokiem tylko za Evie. Teraz powitał ją ciepło i spytał, czy ma chęć na drinka.

- Supermocnego - powiedziała z kamienną determinacją. - Żeby zwałił mnie z nóg. Może wtedy uda mi się nie zamordować w nocy mojego męża.

Oczy Maksa błysnęły rozbawieniem.

- Nie chcę się wtrącać - rzekł z powagą - ale wydaje mi się, że większość morderstw ma miejsce w stanie upojenia alkoholowego.

Spotkali się oczami i wybuchnęli śmiechem.

- Przyszedłem po Brandy Alexandra dla mojej matki. Uwielbia tę markę, ale pozwala sobie na kieliszek tylko czasem, wyjątkowo. Postawić ci to samo?

Przyjęcie powoli zmierzało do końca. Ludzie siedzieli w małych grupkach i pogadywali, w tle cicho przygrywała muzyka. Max i Olivia usiedli w zacisznym kącie i patrzyli na ostatnich nielicznych tancerzy, kręcących się po parkiecie.

Nie wiadomo, czy sprawił to trunek, czy łagodne, intymne oświetlenie, a może też fakt, że Max najwyraźniej był dobrym słuchaczem. W każdym razie, ku własnemu zaskoczeniu, Olivia w którymś momencie zaczęła mu opowiadać o kłótni ze Stephenem. I o swoim braku zaufania do siebie samej.

- Bardzo lubię gotować, i lubię też uczyć gotowania, ale... - Zamilkła, przygnębiona. - To tak trudno prowadzić lekcję, jeśli masz w klasie paru łobuzów i nie jesteś dość silny, by ich poskromić. Kiedy robią co chcą, a ja nie umiem opanować sytuacji, mam wrażenie, że całe grono pedagogiczne stoi za drzwiami i słucha w szoku. Czuję się wtedy po prostu nikim.

- Na pewno dla innych nauczycieli to nic nowego - powiedział uspokajająco Max. - Wątpię, czy w ogóle znalazłabyś w tych czasach nauczycieli, którzy nie mają problemów z uczniami. To trudny zawód... Nie chciałbym być nauczycielem. Dzieciaki są takie bystre! Natychmiast wyłapiają, że jesteś zdenerwowana, i wykorzystają to.

- Powiedz to jeszcze raz - westchnęła. - Żeby tak mój mąż to rozumiał... Dla niego moje kłopoty to wyłącznie dowód na to, że nie nadaję się do pracy. Według niego powinnam siedzieć w domu, dyżurować przy kuchni, pichcić piętrowe kolacje i polerować srebra, a nie tracić czas na uczenie tych małoletnich przestępców, jak ich nazywa.

- Mąż cię nie rozumie - powiedział łagodnie Max.

Olivia wybuchnęła śmiechem. Jego gardłowy dźwięk zaskoczył ją samą. Od tak dawna nie śmiała się naprawdę!

- To prawda - odparła szczerze. - Myślę, że rozumiał mnie kiedyś, może milion lat temu... i pewnie myśli, że nadal rozumie. A w rzeczywistości zapakował mnie do eleganckiego pudełeczka z napisem „Olivia”. To pudełko to ja. Nie wolno mi nic zmienić - ani na zewnątrz, ani w środku. On może, aleja nie.

Przerwała i spojrzała na Maksa. Patrzył na nią poważnie, współczująco. Poprzednio sprawiał wrażenie wilka w garniturze od Armaniego, pożeracza damskich serc; zdawało się, że ma na czole etykietkę z napisem „Uwaga, niebezpieczeństwo!”. Teraz przedzierzgnął się w najsympatyczniejszego mężczyznę, jakiego kiedykolwiek spotkała.

- Nie wiem, dlaczego ci to wszystko opowiadam. Nigdy nie rozmawiam z obcymi, a już zwłaszcza z obcymi mężczyznami. - Zaśmiała się z przymusem. - Mój mąż tego nie lubi. Uważa, że w ten sposób się im narzucam.

- Wygląda na to, że dziś jest dzień robienia wszystkich tych rzeczy, których nie akceptuje twój mąż - zauważył Max.

Olivia rozjaśniła się.

- Zamów mi jeszcze jedną Brandy Alexandra. Przecież nie będę dziś prowadzić.

W połowie drugiego drinka Max zaskoczył ją tak, że o mało nie wylała szampana na marynarkę.

- Mówiłem ci, że zajmuję się produkcją telewizyjną - powiedział. - Głównie tymi dwugodzinnyymi miniseriałami, ale w przeszłości robiłem w telewizji mnóstwo innych rzeczy. Chodzi o to, że mój znajomy robi poranny show, wiesz, telewizję śniadaniową. No i mają problem z prezenterką od gotowania. Dotychczasowa odchodzi, bo dostała pracę w Paryżu, i muszą pionunem znaleźć kogoś na jej miejsce. Myślę, że ty byś się idealnie nadawała.

Olivia wlepiła w niego oczy. Naćpał się czy co?

- Ja?

- Tak, ty. Masz prezencję, jesteś doświadczoną kucharką... Myślę, że znakomicie wypadłabyś w telewizji.

- Ja? - zabrakło jej tchu. - Wpadłabym w panikę, wyglądałabym okropnie... Byłabym beznadziejna!

Max wzruszył ramionami.

- Stoję po tamtej stronie kamery od dwudziestu lat. Jeśli jest coś, co potrafię, to z całą pewnością ocenić, jak dana osoba wypadnie na ekranie.

Nie jest to oczywiście równanie matematyczne, niemniej jestem przekonany, że byłabyś świetna.

Olivia nadal wpatrywała się w niego z niedowierzaniem. Max naciskał.

- Będziesz miała przed sobą niewielką ekipę, mniejszą niż przeciętna klasa, i w dodatku będą oni wręcz spijać każde słowo z twoich ust. Prezentacja trwa piętnaście minut, i będziesz miała cały zespół asystentów do pomocy.

- Nigdy dotąd nie robiłam czegoś takiego - Olivia była jak ogłupiała. - W szkole nigdy nie należałam do żadnego kółka dramatycznego, ani nic... Po prostu nie jestem dobrą aktorką.

- I wcale nie o to chodzi. Masz tylko gotować w telewizji. Będziesz musiała wszystko z góry zaplanować i wypróbować, i zrobić kilka wersji danej potrawy w różnych stadiach. Wszystko inne pozostanie bez zmian. Poza płacą, która będzie lepsza. - Urwał na chwilę. - Rozumiem jednak, że masz obawy, co na to Stephen.

Szare oczy Olivii błysnęły niczym rtęć.

- Nie chodzi o Stephena. Przestań mną manipulować, Max.

Uniósł ręce w geście poddania.

- Wybacz mi. Rzeczywiście, nie powinienem tego robić, ale chciałem cię jakoś skłonić, żebyś się zgodziła. Tylko mały test ekranowy, i to wszystko...

- Test ekranowy? - przerwała.

- Dwie godziny twojego życia. Będziesz miała pewność, czy ci to leży.

Odetchnęła głęboko. Ciekawe, czy będzie kiedykolwiek tego żałować...

- W porządku. Ale nikomu nie mów - dodała natychmiast. - To tajemnica.

Max położył rękę na piersi.

- Słowo skauta.

- Wybacz, ale jakoś nie widzę cię jako skauta - uśmiechnęła się z przekonaniem.

Max zaśmiał się i błysnął łobuzersko oczami.

- Mogę rozpalić ogień, pocierając o siebie dwie zastępowe. Nie myśl sobie... A poważnie, Olivio, załóżę się o nie wiem co, że będziesz świetna.

Olivia stłumiła myśl, że właściwie nie wie, w co tak naprawdę się pakuje, i uśmiechnęła się dzielnie.

- Zobaczymy - powiedziała, krzyżując palce. - Atak w ogóle to masz rację: Stephen będzie wściekły.

Evie, stojąc w drzwiach hotelu, pomachała Higginsom na pożegnanie. Była zmęczona i gotowa natychmiast walnąć się do łóżka.

- Długi dzień, co? - Cara, opierając się o ścianę, nawet nie usiłowała stłumić ziewnięcia.

- No. Zaraz idę spać.

- Pani Evie Fraser? - recepcjonistka wyciągnęła w jej kierunku białą kopertę.

- Tak?

- List do pani.

Zbyt znużona, by zastanawiać się, kto może przysyłać jej listy o tej godzinie, mechanicznie rozerwała kopertę. Wewnątrz była kartka papieru z krótką wiadomością napisaną śmiałym, wyrazistym charakterem:

*Jeśli kiedykolwiek zmienisz zdanie, zadzwoń. Max. I numer telefonu.*

Bezwiednie przebiegła palcami po tekście, jak gdyby pieszcząc go dotykami.

- Co to jest? - spytała Cara, zaglądając siostrze przez ramię.


- Nic - Evie pośpiesznie schowała kartkę do torby. - Faks do Simona a hotel pomyłkowo zaadresował go na mnie. Mamy wspólny pokój, to pewnie dlatego.

Skierowały się na górę. W głowie Evie kotłowały się myśli. To prawda, że Max wzbudził w niej dość intensywne odczucia; nie mogła zaprzeczyć. Nie mogła też nic na to poradzić. Ale to przecież mrzonka! To nie dla niej. Ona kocha Simona. Jak Max śmiał rozkołysać jej łódź, spokojnie żeglującą ku przystani? Powie mu jasno i niedwuznacznie, że nie może się z nim widywać. I już.

- Miło było, prawda? - powiedziała Cara. - Vida wyglądała fantastycznie. A jej syn też niczego, no nie? Wprost paluszki lizać... - dodała marząco. - Powiem tacie, żeby go zaprosił, żebyśmy mogły poznać go lepiej. Przecież jest teraz członkiem rodziny, kimś w rodzaju brata.

- To łajdak - odparła Evie, myśląc o napisie na swoim zaręczynowym pierścionku. - Jeśli chodzi o mnie, będę szczęśliwa, jeżeli już nigdy w życiu go nie zobaczę.

## 9

 livia zamknęła oczy i pozwoliła charakteryzatorce robić swoje. Czuła, jak nanosi gąbką podkład, starannie tuszując każdą najmniejszą zmarszczkę. Uchyliwszy powieki, stwierdziła, że to ciemny fluid w odcieniu miodu, jakiego nigdy w życiu nie używała.

- Proszę się nie obawiać - pośpieszyła charakteryzatorka, widząc, że długie rzęsy Olivii drgają w panice. - Bez ciemnego podkładu wyglądałaby pani na ekranie anemicznie. Zapewniam, że wszystko będzie doskonale.

Mając zerową wiedzę o świecie telewizji, milczała. Kto wie, może przed kamerą rzeczywiście trzeba wyglądać jak mandarynka?

Dotarła do studia pół godziny temu i z miejsca zabrano się za jej maki-  
jaż. O szefa produkcji, którego spodziewała się zastać, nawet się nie otarła.  
Czuła się teraz jak dziecko pierwszego dnia w szkole. Bez przerwy przebie-  
gali obok niej jacyś ludzie z papierami w rękach i z ważnymi minami.

Nastolatka w dżinsach, która zaprowadziła Olivie do działu charaktery-  
zacji, o mało nie dostała po drodze ataku, gdy nagle odezwał się sygnał tele-  
fonu komórkowego, który miała przy pasku.

- Co? Mówiłam przecież, żeby mi nie przeszkadzać! - wrzeszczała do  
słuchawki, kompletnie nie zwracając uwagi na stojącą obok **Olivie**.

No, no... Jeśli nawet gośćówna ma do dyspozycji komórkę, to jacy będą  
realizatorzy i montażyści? Do tych to już w ogóle ani przystąpić...

- Ma pani piękną strukturę kostną - westchnęła charakteryzatorka, za-  
bierając się do oczu Olivii. - Pracować z panią to sama radość. A może była  
pani modelką? - spytała podejrzliwie.

- Ależ skąd! - zaśmiała się Olivia, zdając sobie sprawę, że marszczy w ten  
sposób okolice oczu, co uniemożliwia charakteryzatorce nałożenie cieni.

- Powinna pani - westchnęła tamta. - Jak pomyślę o tych krowach, któ-  
re muszą nieraz malować... Przychodzi taka z twarzą, że można nią dzieci  
straszyć, i robi piekło, jeśli nie przerobi się jej na Claudię Schiffer!

Olivia i pozostali pracownicy działu charakteryzacji wybuchnęli śmie-  
chem. Nastąpił mały seans narzekania i dyskusji o tym, które gwiazdy tele-  
wizyjne mają największe głowy i najmniejszą szansę, by wyglądać jak super-  
modelki.

Po piętnastu minutach Olivia mogła podziwiać swoje odbicie w lustrze,  
otoczonym dookoła żarówkami.

Srebrzyste oczy zwracały uwagę jeszcze bardziej niż zwykle. Pełne war-  
gi uwydatniała połyskliwa szminka w kolorze lila, który wydobywał amety-  
stowy odcień garnituru, jaki dziś włożyła. Lśniące blond włosy otaczały twarz  
jedwabistymi pasmami... Wyglądała pięknie.

- Dziękuję - zwróciła się do charakteryzatorki. - Uspokoiła mnie pani,  
a tak się bałam.

Kobieta uśmiechnęła się.

- Przyjemnie się z panią pracuje. I ładna, i potrafi docenić...

Na dół, do studia poprowadził **Olivie** inny pracownik telewizyjnego zaple-  
cza, młody, atrakcyjny i rozmowny. Na imię miał Kevin. Płatynowoblond wło-  
sy kontrastowały z ciemną karnacją, nadając mu wygląd nieco egzotyczny.

Nad podwójnymi drzwiami do Studia 1 widniało czerwone światło. „Nie  
wchodzić, jeśli pali się czerwone światło!” - głosił ogromny napis na ścianie.

- Wchodzimy? - Olivia spojrzała zdezorientowana na żarzący się w mro-  
ku telewizyjnego hallu purpurowy punkt.

- Jasne, nie ma sprawy - odparł z ożywieniem. - Nagrywają kawałek  
na jutro rano, ale nie ma mowy, żeby nas usłyszeli. To zespół „The Wild

Men". Możesz rzucić bombę atomową w recepcji, a w Studio 1 nikt nic nie usłyszy.

- O! - Pełna zwątpienia, czy kiedykolwiek nauczy się poruszać w świecie telewizji, ruszyła do studia w ślad za opiętymi w dżins poślakami Kevina.

Było to gigantyczne pomieszczenie o czarnych ścianach. Za planszami „Telewizji śniadaniowej” w kolorze terakoty zwieszały się setki kabli. Po bokach, w ciemnej przestrzeni zakulisowej stali mężczyźni i kobiety w dżinsach i podkoszulkach, z mikrofonami bezprzewodowymi w rękach i znużonym wyrazem twarzy. Na lewo od dwu przytulnych, miękkich kanap w kolorze malinowym, którym towarzyszyły dwa identyczne pufy, okropnie wymięty zespół rockmanów w pomarańczowych okularach przeciwsłonecznych produkował swój ostatni hit.

Hałas panował niewiarygodny, aczkolwiek Olivia mogłaby przysiąc, że muzycy nie grają na żywo. „Zrób mi to, mała!” - powtarzał się bez końca tekst, wokalista zaś, niemal wsadziwszy sobie mikrofon w wielkie usta, markował śpiew za pomocą teatralnej mimiki. Dwaj kamerzyści miotali się po studiu w wyszukany tańcu, powiewając kablami, i starali się zarejestrować każdy ekstatyczny skurcz twarzy i konwulsyjny ruch bioder muzyków.

- Powiem szefowej, że jesteś. Czekam na ciebie. Nazywa się Linda Byrne. - Ignorując akcję na planie, Kevin podszedł do czterdziestoparoletniej kobiety w czarnych skórzanych spodniach i popielatym podkoszulku, która mówiła coś do mikrofonu. Olivia, całkowicie zagubiona, usiłowała wsiąknąć w tło. Tyle ludzi... Jedni, mrużąc oczy, przyglądają się kapeli, inni rozmawiają...

Linda zwróciła na nią spojrzenie. Olivia odwróciła się nerwowo. Co ona tu robi, do diabła? Chyba zwariowała. Zabije Maksa, jak go zobaczy. Skoro nie potrafi zapanować nad grupą dzieciaków, jakim cudem zdoła być spokojna i opanowana, stojąc oko w oko z tłumem telewizyjnych weteranów? Są tacy zblazowani... W ogóle nie słuchają Wild Menów! Kiedyś był to bardzo znany zespół, a ludzie w studio mają tak znużone miny, jakby na planie odbywały się wyścigi dżdżownic. I ona odważyła się przypuszczać, że ktoś będzie zwracał sobie nią głowę?

W tym momencie na linii jej wzroku pojawiło się błękitne zjawisko. To przerwał duchowe udręki Olivii.

Zjawisko było blondynką uczesaną w sztywny, nienaganny kok, w obcisłym taftowym żakiecie w odcieniu akwamaryny, który z trudnością dopinał się na jej obfitym biuście. Olivia natychmiast rozpoznała Nancy Roberts, jedną z dwóch prezenterek porannego bloku programowego. Zmysłowa, o lśniących błękitnych oczach, zadartym nosku i ustach, które nigdy się nie zamykały była obrazem nieustającego ożywienia, wręcz wibracji. Publiczność ją uwielbiała, zarówno za bezpośredniość i zwyczajność, jak i za to, że z taką ostentacją prezentowała nieubłaganemu oku kamery swoją figurę w rozmiarze 44. Była bożyszczem wszystkich puszystych pań w całym kraju. Trudno

było znaleźć gazetą, w której nie byłoby jakiegoś tekstu o Nancy - kobiecie, która ignoruje szampański styl życia gwiazd, oddając się w wolnym od pracy czasie wyłącznie życiu rodzinnemu i pielęgnacji ukochanego ogródka.

Jeśli w ciągu tygodnia, jaki upłynął od czasu, gdy Max przekonał Olivie do podjęcia próby, nie zjadły jej doszczętnie nerwy, było to zasługą wyłącznie myśli, że bez względu na to, jak fatalnie wypadnie, to w każdym razie pozna wspaniałą Nancy. Później poinformowano ją, że próba odbędzie się po południu, co oznaczało, że prawdopodobnie nie będzie na to szans. I mimo wszystko Nancy się pojawiła! To było dla Olivii niczym premia.

Jednak słynna gwiazda nie przypominała jakoś sympatycznej, bezpośredniej bohaterki prasowych artykułów. Nadciągała z głębi studia jak burza, z komórka przy uchu. W ślad za nią podążała charakteryzatorka, z puszką do pudru w wyciągniętej ręce.

- Nancy, nos ci się błyszczy...

- Zamknij się, kurwa! - wrzasnęła Nancy, po czym wróciła do rozmowy telefonicznej. - Myślisz, że kto ja jestem, do cholery? Jestem pieprzona Nancy Roberts! Nie wiesz o tym? Ja tu nie prowadzę jakiegoś głównianego sklepiku na peryferiach! Lepiej bierz się do roboty, gówniarzu, albo poszukam sobie nowego agenta!

Zatrzasnęła klawiaturę telefonu z taką siłą że Olivia była pewna, iż go rozwalila, zwróciła twarz ku charakteryzatorce i spokojnie czekała, aż tamta ją przypudruje. Obok pojawiła się szczupła kobieta w szarościach, której Nancy wreczyła komórkę.

Kiedy zabiegi wokół niej zostały zakończone, zamknęła oczy, wzięła głęboki oddech, który przypomniał Olivii kasetę z jogą, jaką kiedyś kupiła, i czekała. Wreszcie muzycy skończyli występ.

Jak za dotknięciem magicznej pałeczki, jej twarz rozpromieniła się uśmiechem. Skoczyła ku zespołowi, klaszcząc entuzjastycznie w dłonie. Zupełnie jakby markowany śpiew z playbacku był najwspanialszą muzyką jaką kiedykolwiek słyszała, a nie tym, czym był w rzeczywistości - żalosnym wspomnieniem dawnej świetności grupy, która większość swoich dotychczasowych honorariów wydała na kokainę i teraz tonęła w długach.

Olivia, zdumiona, obserwowała na monitorach, jak zadarty nosok Nancy marszczy się w charakterystycznym dla niej miłym grymasie.

- Chłopcy, to było fan-tas-tycz-ne! - zagruchała. - Dzięki wam znów poczułam się, jakbym miała dziewiętnaście lat. Co zresztą miało miejsce, jak wiecie, nie tak dawno temu - dodała figlarnie, łechcąc poufale głównego wokalistę w policzek.

Spędziwszy pół życia na telewizyjnych występach, gdzie flirt z gospodynią programu był jednym z najważniejszych rekwizytów, nawet jeśli była brzydka jak noc, wokalista dobrze wiedział, jak się zachować. Złapał Nancy w niedźwiedzi uścisk i wydał swój firmowy namiętny ryk.



- Malutka! Chodź, zabieramy się stąd. Zabawimy się trochę. Co ty na to? Nancy zaprodukowała zachwycony, piskliwy śmieszek.

- Nie kuś mnie, Barry - wydeła kapryśnie usta i wywineła się z jego objęć, dbając, by zaprezentować przy tym możliwie dużo wyłaniającego się z dekoltu przedziałka. - Nie zapominaj, że jestem szczęśliwą mężatką.

- Nie! - jęknął Barry, zanurzając dłoń w lwiej grzywie farbowanych włosów. - Złamałaś mi serce, Nancy. Obiecujesz mi przecież od lat. Jestem sam i potrzebuję miłości...

Nancy wykonała zdecydowany odmowny ruch dłonią, jak gdyby proponowano jej na deser ciastko z truskawkami i bitą śmietaną i z żalem musiała odmówić.

- Dickie by nam nie darował. Ale jak wyjdzie album, wystąpisz w programie jeszcze raz, prawda, Barry?

- Masz to jak w banku, malutka - zapewnił Barry, przechodząc gładko do kwestii występów i nagrań. - Album będzie gotowy za trzy miesiące. A w przyszłym tygodniu lecimy na tournée do Stanów. Dajemy pięćdziesiąt koncertów.

- Oooo! - Nancy wydała jęk zdumienia i zachwytu. - Założę się, że masz kobietę w każdym stanie...

- Ale żadna nie jest taka jak ty, Nancy - z tymi tęsknymi słowy zszedł z podium i mszył w kierunku swojej dziewczyny. Szczupła jak szprycha, z twarzą greckiej bogini, stała i cierpliwie czekała, nie mrugnawszy nawet okiem, gdy Barry przyssał się do Nancy. Widywała go już w akcji wiele razy przedtem.

- Dobra! - zawołał kierownik planu. - Dziękuję wszystkim.

Nancy, mimo że na użytek ekranu ostro flirtowała z Barrym, nawet nie spojrzała w jego stronę, odkąd zszedł z wizji. Teraz usiadła na jednej z malinowych kanap. Na jej twarz wrócił wyraz irytacji.

- Nina, woda! - wrzasnęła do asystentki w szarościach. - Nie wiesz, że odwodnię się bez dwóch litrów dziennie?

Kevin przysunął się bokiem do Olivii.

- Okropna, nie? - szepnął, widząc niebotyczne zdumienie na jej twarzy. - Ale na ekranie to taka profesjonalistka, że nikogo nie obchodzi, jaka jest naprawdę. Zrozumiałabyś, gdybyś tu pracowała. Nancy zawsze instynktownie wie, gdzie stanąć, co powiedzieć... Zna się na telewizji jak nikt. Ale co za dziwka!

- A te wszystkie teksty o tym, jaką to jest ciepłą, miłą kobietą, która ma fioła na punkcie ogrodu i nie tyka szampana? - spytała Olivia w osłupieniu. Kevin zatrzęsł się od tłumionego śmiechu.

- Ogród! - prychnął. - Robertsica używa szpadla wyłącznie do nakładania makijażu na twarz. Kiedy agenci wymyślili jej ten ogród, mało się nie wściekła.

Poprowadził ją do kobiety w skórze, z którą wcześniej rozmawiał, po drodze zaś nie przestawał przekazywać jej szeptem rewelacji:

- Ale publicznie strasznie się spodobało, że ich ulubiona gwiazda sadi bulki tulipanów i roztrząsa kompost, no więc trzyma się tej wersji. Zwróć uwagę, że nigdy nie wymienia nazw kwiatów. Kiedyś dziennikarka zapytała ją, jaki rodzaj fuksji lubi najbardziej. Ale na nią ryknęła! - zaśmiał się na wspomnienie. - Jeśli chodzi o kwiaty, umie tylko jedno: ocenić, ile kosztował bukiet, który jej przysłano. W tej sprawie naprawdę jest ekspertem, możesz mi wierzyć.

Doszli. Jego głos odzyskał normalną tonację.

- Lindo, przedstawiam ci Olivie MacKenzie. Olivio, to jest Linda Byrne, kierownik programu.

Uścisnęły sobie ręce.

- MacKenzie? - powiedziała Linda z namysłem.

- Max Stewart i Paul Reddin zorganizowali mi przymiarękę do prowadzenia okienka kulinarnego - wyjaśniła Olivia, sądząc, że tamta nie kojarzy jej nazwiska.

- Och, nie, nie o to chodzi - Linda machnęła niedbale dłonią. - Rzecz w tym, że nasz astrolog też nazywa się MacKenzie. Ludzie pomyśla, że jesteście krewnymi. Jakie jest twoje nazwisko panińskie?

- De Vere.

- De Vere! - powiedzieli równocześnie z uznaniem Kevin i Linda.

- O wiele lepiej - dodała Linda. - Olivia de Vere... Olivia de Vere - powtórzyła. - Super. No, to zobaczymy teraz, czy potrafisz to robić. Czy asystenci omówili z tobą, co mamy na dzisiaj w planie?

Z tonu, jakim pytanie zostało zadane, wynikało jasno, że ma ono charakter wyłącznie retoryczny. Linda była pewna, że wszystko jest zorganizowane jak należy. Pytała dla zasady.

Olivia wiele by dała, żeby nie musieć odpowiedzieć „nie”... Ale nie było wyjścia. Nie widziała na oczy żadnego asystenta i nie miała pojęcia, co ma robić.

- Obawiam się, że nie.

- Cholera! - zakląła Linda. - Wybacz, Olivio. Mieli cię we wszystko wprowadzić! Zabiję, kurwa, tę głupią Carol. Przecież mówiłam, żeby z tobą pogadała... W tej sytuacji będziesz musiała improwizować, nie ma wyjścia. Mamy tylko pół godziny.

gorzej być nie mogło... Razem z tą myślą przez głowę Olivii przemknęła inna: czy wszyscy pracownicy telewizji klną jak dokerzy? I jak udaje im się przestać, kiedy są na wizji? Język Nancy mógł rywalizować ze sposobem wyrażania się facetów spod budki z piwem, a jednak na ekranie nigdy nie wymknęło jej się nawet „cholera”.

- No to jak? Będiesz improwizować? - spytała Linda.

Olivia była dziwnie spokojna jak na osobę, która przed tygodniem musiała brać valium, żeby przebrnąć przez weselne przyjęcie.

- Pod warunkiem, że powiesz mi krótko, co mam robić.

- Gwiazda - Linda klepnęła Olivie w ramię i poprowadziła do kącika kuchennego. Wciśnięty w najdalszy kąt studia, lśnił nieskazitelną stałą najnowocześniejszych urządzeń. Było tu wszystko, co kiedykolwiek mogłoby się przydać - od ogromnej amerykańskiej lodówki po podwójny piekarnik i wyrafinowaną kuchenkę mikrofalową. Okna, pełne skrzynek z kwiatami, wychodziły na plansze przedstawiające sztuczny miejski pejzaż z drapaczami chmur. Kuchnia była wyposażona tak idealnie, że naprawdę trudno było uwierzyć, iż nie jest częścią podniebnego apartamentu gdzieś na Manhattanie.

Od normalnej kuchni różniła ją tylko typowa dla telewizji wolno stojąca lada z dodatkowym zlewozmywakiem. Tu, oko w oko z zespołem kamer, miała stać prezenterka. Na ladzie można było dostrzec dość dziwny asortyment produktów żywnościowych: jedna podwiędła, schizofreniczna papryka, która nie mogła się zdecydować, czy jest zielona, czy żółta, kiść bananów, trochę płatków kokosowych, dwie nieduże cebule i chrupki chleb.

Olivia wybuchnęła głośnym śmiechem. Żaden asystent nie potrzebował jej mówić, co ma robić... To było jak w jednym z tych telewizyjnych pokazów gotowania, kiedy jakaś sława kupuje za pięć funtów, co popadnie, a nieszczęsny kucharz ma za zadanie zrobić z tego sensowny posiłek.

- Carol nie pracowała dotąd w okienku kulinarnym - Linda z westchnieniem popatrzyła na produkty. - Nie ma doświadczenia. Liczymy, że przyrządzisz coś z tego, przy czym cały czas masz opowiadać, co robisz. Wystarczy, że zaczniesz jakieś danie, nie musisz go ugotować do końca. - Spojrzała na zegarek. - Nie mamy czasu, naprawdę. Ale jeśli zaczniesz, a my cię nakręcimy, będziemy wszyscy mieli jasność, jak wypadasz. W porządku?

- W porządku - odparła gładko Olivia. Jakie to dziwne - była całkiem spokojna. To nawet zabawne... Nie została właściwie przygotowana przez ludzi z telewizji, więc raczej nie ma szans na to, żeby zrobiła wszystko jak należy, prawda? W razie wypadki pomyślą więc, że to z powodu tej nawalanki, a nie dlatego, że jest załosnym tchórzem, który trzęsie portkami na samą myśl o spotkaniu z trzecią a.

Jak już będzie po wszystkim, wymknie się stąd cichutko i nigdy więcej nie postawi nogi w studiu telewizyjnym. Obiecała Maksowi, więc dotrzyma obietnicy. I na tym koniec. Pierwszy i ostatni raz. Wiedziała, że wypadnie okropnie, ale trudno. Musi tylko przetrwać następne pół godziny. I tyle.

- Potrzebny operator dźwięku. Trzeba podłączyć Olivie - powiedziała Linda przez mikrofon.

Po dwu minutach Olivia miała już podłączony mikrofon, spore urządzenie przytwierdzone z tyłu do paska od spodni.

- Będziesz świetna, zobaczysz - dodał jej odwagi Kevin, otwierając szafki, żeby pokazać, gdzie co jest.

- Mam nadzieję - odparła gorączkowo.

- Później podkradnę Nancy szampana. Będziemy mogli to uczcić - szepnął.  
- Szampana? Nancy? - Olivia znieruchomiała. - Przecież podobno...  
- Nie pije? - dokończył Kevin. - Pewnie, że nie pije - źłopie jak odwodniony wielbłąd! Schudłaby w miesiąc z pięć kilo, gdyby zrezygnowała z samego tylko Crystalu...

Olivia wciąż jeszcze się śmiała, gdy Kevin odszedł, zostawiając ją samą. Znalazła w szufladach parę noży, deskę do krojenia i kilka talerzy w chińskim stylu. Szafki zawierały różne interesujące przyprawy i zapas produktów, jakie zwykle ma w kuchni gospodyni. Poprzednia prezenterka znała się na rzeczy - pomyślała Olivia, odkrywając skarby, dzięki którym mieszanka bananowo-cebulowa mogła stać się jadalna. Już wiedziała, co robić.

- Zaczynamy - powiedział jakiś obcy głos. Olivia odwróciła się i znalazła dokładnie na wprost dwu wymierzonych w nią kamer. Gromadka ludzi z mikrofonami w dłoniach wpatrywała się w nią z zainteresowaniem.

Umysł Olivii w jednej chwili stał się niczym biała karta. Patrzyła w oko kamery i czuła w głowie totalną pustkę. Nic. Żadnej myśli.

Czasami, gdy nie mogła w nocy zasnąć, Olivia usiłowała osiągnąć taki stan. Starła się wyobrazić sobie nic. Na próżno. Zawsze kończyło się to kolejną gonitwą myśli i rozpamiętywaniem tego, co zrobiła nie tak dziś lub co ją czeka jutro. A teraz, gdy stała oko w oko z ekipą studia telewizyjnego, jej umysł był jak tablica przed rozpoczęciem lekcji - idealnie czystutki.

Dlaczego ona tu w ogóle jest? Musiała być chyba szalona, sądząc, że sobie z tym poradzi. Kompletnie szalona! Przez tego cholernego Maksa i jego Brandy Alexandra, przez kłótnię ze Stephenem i przez własną głupią bravurę wylądowała w tym bajzlu i za chwilę zbłąźni się beznadziejnie na oczach wszystkich.

Czuła, że zaczyna się pocić ze strachu. W panice rozejrzała się po studiu, szukając wzrokiem Lindy. Przeprosi ją za zmarnowany czas i ubłaga, by pozwoliła jej sobie pójść... I wtedy zobaczyła Nancy. Gwiazda wciąż siedziała na malinowej kanapie i wpatrywała się w Olivie z zainteresowaniem. Był to ten rodzaj pozbawionej emocji ciekawości, jaką można obserwować na filmach u morderców, zanim pociągną za spust. A może nie całkiem pozbawionej ciekawości? Bo Nancy najwyraźniej uśmiechała się złośliwie, patrząc na jej zakłopotanie.

Słynne usta, uszminowane na różowo, wygięte były w pogardliwym uśmiešku., Ach, ci amatorzy" - mówił jasno.

O Boże... Nancy to jęzda, a przecież potrafi przedzierzgnąć się w postać, jaką kreuje na ekranie, tak łatwo, jakby włączała elektryczny czajnik. Żmija w realnym życiu, we właściwej chwili momentalnie uruchamia swój telewizyjny czar. Siebie prawdziwej pokazać nie może, więc gra... W porządku. Skoro wszystko tu polega na grze, Olivia też może zagrać. Przecież ostatnio gra bez przerwy. Gra szczęśliwą małżonkę, gra osobę zrównoważoną,

choć w rzeczywistości bywa bliska szaleństwa... Wpatrzyła się w Nancy, wzięła głęboki oddech, po czym z powrotem zwróciła się ku kamerze.

- To jest papryka - powiedziała z uśmiechem, trzymając strąk w dłoni. Głos jej lekko drżał. Powinna mówić wolniej, dobitniej. Skoncentruj się, Olivia! Wyobraź sobie, że jesteś w klasie, a za plecami masz wizytatora, który śledzi każdy twój gest.

- Papryka jest szalenie odżywcza i ma niezwykle bogaty, a przy tym łagodny smak, pod warunkiem, że się ją prawidłowo przyrządza. Stanowi bazę wielu prostych sosów. Co jednak począć, kiedy oblecieliśmy sklepy i wracamy do domu z takim oto mało ciekawym okazem?

Zaczynała wchodzić w swój rytm.

- Wyrzucić do śmieci i zamówić gotową pizzę? Czy przejrzeć, co jeszcze mamy w szafkach, i sporządzić pyszne danie?

Kątem oka zarejestrowała, że ludzie patrzą na nią z ciekawością. Naprawdę interesowało ich, co można otrzymać z niewielkiego strąka papryki, który prawdopodobnie nie ma nawet tyle aromatu, co zużyta herbaciana torebka... To nie była trzecia a, ziewająca z nudów na samą myśl o robieniu czegoś z papryki.

Uśmiechnęła się do swojej widowni. Poczwała przyплыw pewności siebie. Jeśli potraktuje ludzi w studio jak zainteresowanych uczniów, da sobie radę. Może nawet sama będzie się bawić?

- Oto odpowiedź - powiedziała z ożywieniem, otwierając szafkę. Wyjęła z niej słoik płatków chili, pojemnik suszonych w słońcu pomidorów i kilka suchych grzybów porcini. - Proszę z nami zostać, a zobaczą państwo, co można z tego zrobić.

Z tłumy wyłoniła się ku niej szeroko, entuzjastycznie uśmiechnięta twarz Kevina. Idzie - uprzytomniła sobie Olivia.

- A teraz, kto wie, w jaki sposób możemy wykorzystać płatki chili?

Dostrzegła nagły niepokój na twarzy Lindy. Najwyraźniej myślała, że Olivia zrobiła fatalną, typową dla osób bez telewizyjnego doświadczenia pomyłkę: chciała włączyć do akcji techników. Olivia jednak wcale nie oczekiwała odpowiedzi; przywykła do stawiania w trakcie wykładu pytań, ale odpowiadała na nie sama, gdyż znudzeni uczniowie byli zajęci przepisowywaniem do zeszytów tekstów przebojów i trudno było zwracać im czymś innym głowę. Gładko wyjaśniła i zademonstrowała, co można zrobić z płatkami: posiekać, utrzeć, użyć w całości... i miała publiczność w garści.

Później, gdy zastanawiała się, jak udało jej się wytrwać tyle czasu w obliczu około trzydziestu osób oraz dwu kamer, zdała sobie sprawę, na czym polega sekret: zapomniała o kamerach. Starała się skoncentrować na ludziach, którzy jej słuchali, i na samej obróbce produktów. To działało. Słuchacze patrzyli na nią zafascynowani, a ona z pasją opowiadała o wyczarowywaniu ze świeżych składników wspaniałych dań.

Nie ma chyba czegoś mniej obojętnego dla zdrowej czternastolatki, niż zdrowe jedzenie. Nie obchodzi ich nic a nic, że niepozorny czosnek jest jednym z najwspanialszych leków. Czternastolatka zjada błyskawiczne danie podgrzane w mikrofalówce i pędzi na podwórko, żeby zająć się czymś naprawdę ważnym - flirtowaniem z siedemnastolatkami.

Ale tym dorosłym, których miała przed sobą, naprawdę podobała się myśl, że kilka małych słoiczków przyniesionych z delikatesów może wybawić ich od codziennej monotonii fast-foodów i zup z torebki. Nawet jeśli nigdy nie zajmowali się przyrządzaniem sosu pomidorowego, interesowało ich, jak się go robi.

Pozwolono jej mówić przez piętnaście minut. Pięć minut dłużej, niż planowano na początku.

- Fantastycznie! - wybuchnęła entuzjazmem Linda, gdy wyłączono kamery. - Byłaś taka naturalna!

Olivia wsparła się o ladę. W jednej chwili opadła z sił.

- Naprawdę? - spytała słabo. Nagle zwątpiła w siebie. Wydawało jej się, że była dobra, ale czy może wiedzieć na pewno? Całkiem się nie zbłaźniła, ale chyba nie dorasta do telewizyjnych standardów...

- Rewelacja - powiedział kierownik planu.

- Absolutna rewelacja - zawtórował Kevin. - Jest pani gwiazdą pani de Vere. Nie mogę uwierzyć, że nigdy przedtem tego nie robiłaś!

- Po prostu miałam cały czas w pamięci moją najgorszą klasę i mówiłam sobie, że wy jesteście znacznie sympatyczniejsi. Dzięki temu było to łatwe.

Ryknęli śmiechem.

- Najwyraźniej sposób zadziałał - orzekła Linda. - Zgłodniałam od samego słuchania. Jak tylko skończymy, idę do bufetu coś zjeść. Chodź, zobaczysz na wideo, jak wypadłaś.

Olivia zbladła.

- Nigdy.

- Ależ tak. Sama będziesz zdumiona. Byłaś naprawdę świetna. Jestem przekonana, że dostaniesz tę pracę, choć oficjalnie będzie można powiedzieć dopiero, kiedy taśmę obejrzy Paul.

W kabinie kontrolnej Olivia rzeczywiście oniemiała. Czy to ona? Ta piękna blondynka, która zachowuje się przed kamerą tak naturalnie, jakby była to najbardziej oczywista rzecz pod słońcem? Jej ekranowa wersja uśmiechała się do kamery z całkowitym spokojem i potrzasała od czasu do czasu falą lśniących złocistych włosów - gestem, który Olivia podpatrzyła u Sashy, ale nie miała pojęcia, że to również jej własny.

A oczy! Wielkie, srebrzyste, lśniły entuzjazmem w jej twarzy. Była piękna... I wcale nie wyglądała jak chłodna lalka bez wyrazu, jaką się czuła, gdy Stephen mówił jej, że jest piękna. Była pełna życia, werwy, zapału.

- Świetna jesteś - powtórzyła Linda, wpatrując się pilnie w ekran. - Bardzo naturalna. Na początku myślałam, że ci nie wyjdzie. Oho, królik na drodze przed maską nadjeżdżającej ciężarówki - pomyślałam. Ale zaraz zebrałaś się do kupy i dałaś po prostu koncert.

Olivia, lekko ogłupiała od wrażeń, uśmiechnęła się do siebie. Nie mogła powiedzieć Lindzie, że to widok Nancy Roberts uśmiechającej się jadownicę niczym kot z Cheshire był bodźcem, który wyzwolił w niej umiejętności, o jakie nigdy siebie nie podejrzewała.

- Musisz poznać Nancy, zanim pójdziesz - Linda jakby czytała w jej myślach.

Olivia nie była pewna, czy ma na to chęć. Powiedzieć tego jednak raczej nie mogła.

- Jeśli zdecydujesz się do nas dołączyć, będziesz współpracować właśnie z Nancy - wyjaśniła Linda. - To ona odpowiada za okienko kulinarne. Będziecie musiały... - Linda się zahęcała - dogadywać się.

Rzecz jasna, nie mogła powiedzieć, że dogadywanie się z Nancy jest sprawą pierwszoplanową, ale Olivia umiała czytać między wierszami. Ciekawe, jak dogadywała się z nią poprzednia prezydentka...

Po drodze do garderoby Nancy Linda wyjaśniała Olivii, jak często będzie występować, jeśli zostanie zaangażowana. Miało to być piętnastominutowe okienko dwa razy w tygodniu o dziesiątej trzydzieści, przy czym musiały być na miejscu o wpół do dziewiątej, żeby wszystko sprawdzić i przygotować się, a wcześniej omówić menu z asystentami.

Minęły kilka uchylonych drzwi. Zajrzawszy raz i drugi mimochodem do środka, Olivia mogła stwierdzić, że garderoby są niewielkimi boksami, z których każdy miał małą umywalkę, długi wieszak na ubrania, parę krzeseł i lustrzane ściany.

Doszły. Linda zapukała. Nina, asystentka gwiazdy, ostrożnie otworzyła drzwi i wpuściła je do obszernego, przestronnego pokoju wielkości trzech zwykłych ubieralni, pomalowanego na firmowy kolor Nancy - róż. Stał tu fotel w biało-czarne pasy, wiśniowy szeszlony o złoconych poręczach i stolik do kawy uginający się od listów od wielbicieli i ekskluzywnych magazynów, otwartych tak, by można było podziwiać w nich zdjęcia gwiazdy z profilu i en face. Była tu nawet wyłożona różowymi płytkami łazienka.

Obrzeżone światłami lustro było najwyraźniej ołtarzem Nancy. Widniały na nim przyklepione tu i ówdzie fotografie: Nancy z Frankiem Sinatrą, Nancy z Neilem Diamondem, Nancy z prezydentem, Nancy... Obok ołtarza stała waza pełna różowych róż, a wiązka innych, jeszcze w celofanie, czekała na rozpakowanie i ekspozycję.

Sama gwiazda była wyeksponowana na szeszlony, z uniesionymi stopami i kieliszkiem szampana w dłoni.

W tym różowym buduarze, pólężąc na wiśniowym różu, Nancy uos-  
biała wyobrazenie przeciętnego człowieka o tym, jak wygląda burdel-mama  
Była nawet wystarczająco twarda i bezwzględna, by uprawiać ten zawód...  
Olivia wyobraziła sobie, jak wyrzuca biedne prostytutki z powrotem na uli-  
cę, bo przyniosły za mały utarg.

- Miło mi cię poznać, Olivio - powiedziała Nancy swoim telewizyjnym  
głosem.

Zaskoczona, że gwiazda zdecydowała się być dla niej uprzejma, Olivia  
wyciągnęła rękę. Nancy jednak miała inną koncepcję powitania.

- To takie oficjalne - zaczęła, całując powietrze po obu stronach  
twarzy Olivii. Wionęło silnym zapachem „Hypnotic Poison”; musiała chyba  
zżywać za jednym razem pół butelki. - Usiądź, proszę - poklepała zachęca-  
jąco koniec szezlongu.

Olivia usiadła, czekając na dalszy ciąg. Czuła się, jakby weszła do jaski-  
ni lwa, który chwilowo ma dość mięsa i zamierza się nią pobawić. Jeden  
fałszywy ruch i jest martwa.

- Jak znaleźliście Olivie? - ton Nancy nadal był miodowy. Być może  
zjakiegoś powodu obawia się Lindy, i dlatego jest dla niej taka miła?

- Jest znajomą Maksa Stewarta.

Na dźwięk słowa „znajoma” oczy Nancy zwięziły się w szparki.

- Ach tak? - Obrzuciła Olivie szybkim spojrzeniem. - No jasne, jesteś  
w jego typie.

- Mam męża i jestem z nim szczęśliwa. A Max nie jest w moim typie -  
odpowiedziała Olivia szorstko.

Nancy zachichotała jak dziewczynka.

- Biedactwo moje - powiedziała protekcyjnie - będziesz musiała przy-  
wyknąć do naszych swobodnych telewizyjnych obyczajów. Nie wytrzymasz  
długo, jeśli nie wytworzysz sobie trochę grubszej skóry niż obecna. My tu  
wszyscy znamy się od podszewki. Każdy w którymś momencie zaczyna sy-  
piać z każdym... A tak w ogóle to jak poznałaś Maksa?

- To przyjaciel mojego męża - skłamała Olivia, naiwnie sądząc, że utnie  
to kwestię jej stosunków z Maksem.

- A czym zajmuje się mąż?

- Pracuje w bankowości.

- Jak się nazywa?

- Stephen MacKenzie.

- Nigdy o nim nie słyszałam. - Zamilkła na chwilę, po czym podjęła  
śledztwo: - Czym zajmowałaś się dotychczas?

- Jestem nauczycielką gospodarstwa domowego.

- Ooo! - Nancy, wreszcie usatysfakcjonowana, opadła na poduchy i łyk-  
nęła szampana. Nie przyszło jej do głowy, by zaproponować drinka Olivii lub  
Lindzie. - To znaczy prowadzisz kursy gotowania.



więcej niż tylko gotowanie powiedziała gorąco Olivia. pewnie, że więcej. Czy uczysz też szycia? spytała prześmiewczym tonem. - Lindo - zwróciła się do realizatorki, która w milczeniu asystowała wymianie zdań - może by tak Olivia również szyla na ekranie? Przypominam sobie, że kiedyś na lekcji gospodarstwa domowego uszyłam śliczny fartuszek w paski. Bezużyteczny, rzecz jasna, ale jaki milutki... Czy to nie byłoby świetne - Olivia uczy szyc fartuszki i ubranka dla lalek Barbie?

- Nie wiem, Nancy - powiedziała jakby z namysłem Linda. - Pomysł nie jest zły. Pomyślmy o tym. Idziemy, Olivio - podniosła się. - Musimy jeszcze spotkać się z innymi osobami.

Olivia była biała ze złości. Czuła się dotknięta zarówno komentarzami Nancy, jak i śmiertelnie poważną odpowiedzią Lindy.

- Cieszę się, że mogłam cię poznać - powiedziała Nancy jakby nigdy nic. - Dobra jesteś przed kamerą.

Olivia, zaskoczona, spojrzała na przeciwniczkę. Jej pragnienie, by przywoździć Nancy jakąś cięta odpowiedzią, zmalało. Nigdy zresztą nie była zbyt dobra w ciętych odpowiedziach... Evie na jej miejscu umiałaby wymyślić coś takiego, żeby tamtej w pięty poszło.

- Dziękuję - wyjąkała.

Linda otworzyła drzwi i Olivia była już niemal na korytarzu, kiedy Nancy wypuściła zatrutą strzałę.

- Oczywiście, łatwo być kompetentnym, kiedy wiadomo, że nie mówię się do prawdziwej telewizyjnej widowni - jej głos wręcz ociekał słodyczą. - Spróbuj wystąpić na żywo, kochanie, a doznasz szoku. Żywa telewizja zawsze oddziela amatorów od profesjonalistów - i posłała Olivii miazdzące spojrzenie, nie pozostawiające żadnych wątpliwości co do tego, do której z tych dwu kategorii ją zalicza.

Zanim Olivia zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, Linda zamknęła drzwi.

- Ma charakterek, no nie? - powiedziała słabo.

„Charakterek” nie jest tu chyba najwłaściwszym słowem - pomyślała Olivia.

Evie uściskała Olivię, zachwycona.

- Och, jak się cieszę! Olivia de Vere - gwiazda telewizji! Coś takiego! Musimy urządzić sobie damski wieczór i uczcić to.

Olivia uśmiechnęła się. Można sobie wyobrazić, jak zareaguje Stephen na perspektywę damskiego wieczoru... Podniecenie, jakie czuła po opuszczeniu gmachu telewizji, nieco zmalało. Jadąc tu, do Evie, była na adrenalinowym haju i upajała się myślą o swoim osiągnięciu. Teraz, siedząc przy kuchennym stole z kubkiem słabej herbaty i talerzykiem ciasteczek imbirowo-orzechowych, zaczynała się zastanawiać, czy przypadkiem nie wymyśliła całej historii.

Była Olivia MacKenzie, matką jedynej córki, żoną wiecznie utyskującego Stephena, a nie żadną gwiazdą. To raczej Evie mogłaby nią być. Taka żywa, impulsywna...

- Nie wiem, Evie - westchnęła. - Może jestem szalona, że w ogóle myślę o czymś takim? Ajak się rzeczywiście wyłożę, kiedy to pójdzie na żywo?

- Nie słuchaj tej dziwki! - zawołała gwałtownie Evie. - Możliwe, że nie wiem nic o świecie telewizji, ale umiem rozpoznać zazdrość, kiedy mam z nią do czynienia. Ta baba jest zazdrosna jak cholera i tyle. Jesteś ładniejsza od niej, szczuplejsza... A do tego jesteś naturalną blondynką!

Evie nie przebierała w słowach. Dotychczas i ona podziwiała Nancy Roberts - była przecież jedną z nielicznych kobiet w telewizji szczycących się swoimi obfitymi kształtami. Ponieważ jednak była złośliwa wobec Olivii, zasługiwała na śmierć! Albo przynajmniej na podanie do publicznej wiadomości, że jest tlenionym beztalenciem.

- W gruncie rzeczy to komplement z jej strony - dodała. - Czuje się przez ciebie zagrożona, więc wsadza ci szpile. Jakby była słodka jak miód, miałybyś powód do zmartwienia, bo to by znaczyło, że wypadłaś fatalnie. - I, zachwycona własną logiką, ciągnęła: - Martwiłam się o ciebie, kiedy się dowiedziałam, że masz wziąć udział w tym teście. Nie dlatego, że miałybyś nie dać sobie rady czy coś - dodała pospiesznie - tylko dlatego, że załatwił ci to Max Stewart. - Niemal wypluła to nazwisko. - Byłam pewna, że cię nabiera.

- Nie wiem, co ty właściwie masz przeciw Maksowi - powiedziała spokojnie Olivia. - Jest pięknym mężczyzną, w dodatku bardzo miłym, życzliwym...

Evie prychnęła.

- Chyba nie przypuszczasz, że chciał cię uwieść, kiedy rozmawiał z tobą na weselu? - ciągnęła Olivia. - Nie wygląda na takiego.

Co ty możesz wiedzieć, na kogo on wygląda - pomyślała Evie ponuro. Nie powiedziała Olivii, że Max próbował się z nią spotkać, wiedząc o jej zaręczynach z Simonem. Co za nikczemność! Nie mogła przestać o tym myśleć. I o nim.

Cały czas siedział jej w głowie. Bez końca, wciąż na nowo wyobrażała sobie, jak mówi mu wprost, co o nim myśli. „Łajdak”, „skurwiel”, „łowca okazji” - takie epitety powtarzały się najczęściej. Nie wystarczyło mu, że powiedziała „nie”, dalej próbował osiągnąć swoje. Wyobraża sobie, że kim niby jest? I że kim jest ona?

- Czy to najnowszy katalog strojów ślubnych? - spytała Olivia, żeby zmienić temat. Wyciągnęła spośród pliku gazet egzemplarz w lśniących okładkach i szybko przerzuciła strony. Na każdej przyciągały wzrok panny młode: jedno w eleganckiej bieliźnie, inne w sukniach, jakich nie powstydzilyby się średniowieczne księżniczki... - O, ta jest piękna! A które podobają ci się najbardziej? Pamiętasz, mówiłaś mi...

Evie spojrzała apatycznie na katalog. Ostatnio przestały ją jakoś interesować ślubne stroje. Suknia średniowiecznej księżniczki, o której marzyła od tak dawna, już nie dostarczała jej rozkosznego dreszczu, gdy patrzyła na nią, widząc w wyobraźni siebie samą w tych tiulach i ałasach, stojącą przed ołtarzem obok Simona przed frontem oniemiałych z zachwytu gości. A przecież do niedawna uwielbiała śnić na jawie o tym dniu... Kiedy była zmęczona i nie mogła zasnąć, wyobrażanie sobie ślubnej ceremonii było jej ulubionym środkiem nasennym. Niestety, środek przestał działać. Kiedy myślała o ślubie, stawała się jakaś rozdrażniona i sen ulatywał jak ręką odjął.

Tak naprawdę myślała o nim ostatnio tylko raz - w koszmarnym śnie. Stała przed ołtarzem w białej, długiej, przejrzystej nocnej koszuli, z kwiatami we włosach, bosa i - o zgrozo - bez majtek! Co gorsza, kiedy pan młody się odwrócił, okazało się, że to wcale nie Simon... To był cholerny Max Stewart, wyglądający jak korsarz w lnianej koszuli, jaką zawsze nosili bohaterowie jej ulubionych powieści historycznych. Uśmiechnął się, szczerząc te wilcze kły, jakby miał zamiar je w niej zatopić... W tym momencie Evie nagle się obudziła, mokra od potu, z przyklejoną do ciała koszulą.

- O, ta jest jak wymarzona dla ciebie, Evie - Olivia wskazała zdjęcie modelki w sukni przypominającej te, jakie nosiły bohaterki Jane Austen. Skromna, a równocześnie sexy... Olivia była przekonana, że to właśnie cała Evie.

- Bo ja wiem... - mruknęła Evie. - Wiesz, wciąż jeszcze nie ustaliłam weselnego menu. Dlaczego w hotelu muszą wiedzieć na sześć miesięcy z góry, co będziemy jeść? Naprawdę nie wiem, na co się zdecydować. Może na łososia z wody i jagnię à la Wicklow, a może na pstrąga z migdałami i wołowinę po wellingtonsku? To jeszcze zbyt odległy termin, żeby planować szczegóły...

Olivia podniosła na nią wzrok znad katalogu, uderzona apatycznym tonem głosu przyjaciółki.

- Myślałam, że cieszy cię organizowanie weselnego przyjęcia? - zauważyła, patrząc na nią bystro.

Evie zdała sobie sprawę, że ujawniła więcej, niż była w stanie przyznać sama przed sobą. Zrejterowała.

-A, to taki przedślubny stres - powiedziała pośpiesznie, starając się wmówić to sobie samej. Zwykły przedślubny stres. Każda narzeczona to przechodzi.

Olivia nadal pilnie się w nią wpatrywała.

- Biedny Simon nawet nie wie, co go czeka - pośpieszyła Evie. - Robię się okropnie humorzasta. Wciąż nie zdecydowaliśmy, gdzie kupić dom, jak się pobierzemy - on chciałby w mieście, tylko większy, a ja bym wolała wyprowadzić się z miasta. Może do Dun Laoghaire? - uśmiechnęła się z zakłopotaniem do Olivii, jakby to, czy mieszkać o rzut kamieniem od centrum, czy kilkanaście kilometrów dalej, stanowiło w tym momencie największy problem jej życia.

Nie mogła powiedzieć, że ma w głowie inny klin. Nie odważała się o tym nawet myśleć. Klin, któremu na imię Max Stewart.

- No a co Stephen na twoje telewizyjne gwiazdorstwo? - spytała z ozywieniem, podnosząc się, żeby zaparzyć świeżą herbatę.

Teraz przyszedł kolej Olivii, żeby mieć się na baczności.

- To jest następny problem-gigant - powiedziała powoli. - Stephen o niczym nie wie.

- Nie wie? - Evie była w szoku. - Myślisz, że to rozsądne?

Olivia objęła głowę dłońmi.

- Wiem, wiem - jęknęła. - Powinam była mu powiedzieć i tak dalej... Ale wiesz, nie miałam odwagi. Zaraz by mnie zaczął przekonywać, że to nie dla mnie, że się do tego nie nadaję, że będę beznadziejna... Niszczenie mojej wiary w siebie to ostatnio jego ulubione zajęcie.

Evie zostawiła czajniczek i w milczeniu usiadła przy stole.

- Nie wiedziałam, że sprawy stoją tak źle - powiedziała w końcu.

Olivia manipulowała coś przy paznokciach, unikając spojrzenia przyjaciółki.

- To nie jest sprawa, o której można rozmawiać - szepnęła.

- Ze mną można - powiedziała Evie poważnie.

Olivia wzruszyła ramionami.

- Ani z tobą ani z kimkolwiek. Nie wiem, w którym momencie zaczęło się psuć... ale się popsuło.

Łzy napłynęły jej do oczu.

- Kocham go, Evie, ale on mnie naprawdę nie kocha - i słowa popłynęły jak potok. - Chciałby mieć żonę, która wygląda jak ja i potrafi mówić właściwe *rzeczy* we właściwym czasie. Jako osoba kompletnie go nie obchodzi. To tak, jakbym w ogóle nie istniała. Jestem po prostu kolejnym przedmiotem, który ułatwia mu i uprzyjemnia życie. Jak samochód, mieszkanie czy jego ukochany laptop. Nie mogę tego znieść...

Bariery pękły. Po twarzy Olivii połały się łzy.

- Nic mu dotąd nie mówiłam. Pozwalam mu wierzyć, że wszystko jest w porządku, a w rzeczywistości nieraz go nienawidzę. Właśnie dlatego zdecydowałam się na tę telewizyjną próbę. Chciałam mu pokazać, że coś potrafię, że nie jestem zupełnie głupia!

- Przecież wcale nie jesteś głupia - Evie objęła **Olivie** ramionami.

- Ale czuję się głupia - zaszlochała Olivia. - Głupia i bezużyteczna. Nie potrafię uczyć, nic nie potrafię. Jak ja mogłam myśleć, że potrafię to zrobić?

Skryła twarz na ramieniu przyjaciółki i płakała. Evie obejmowała ją mocno. Chciałaby móc zrobić czy powiedzieć coś więcej, ale co można było powiedzieć? Chyba tylko „a nie mówiłam”... Co zresztą nie byłoby prawdą.

Evie tak naprawdę nigdy nie lubiła Stephena. Raziła ją obcesowość, podejrzliwość i przesadna pewność siebie, z jaką traktował **Olivie**. Od samego

początku miał wybitną skłonność do dominacji i obsesję na punkcie własnej ważności. Ktoś inny być może uśmiechnąłby się z rozrzewaniem, widząc, jak uważnie śledzi Olivie wzrokiem z przeciwległego końca pokoju, ale Evie marszczyła tylko z niesmakiem nos. Mężczyzna, który kocha kobietę i ma do niej zaufanie, nie patrzy na nią bez przerwy wzrokiem strażnika pilnującego więźnia na przechadzce...

Choć słynęła z otwartego mówienia prawdy w oczy, nigdy nie zrobiła na ten temat żadnej uwagi. Olivia była przecież tak zakochana w Stephenie... A poza tym, wytracona z równowagi po śmierci Tony'ego, Evie nie uważała się w tamtym okresie za eksperta od spraw męsko-damskich. Trzymała więc swoje niepochlebne wrażenia dla siebie, obserwując jedynie przyjaciółkę w oczekiwaniu, że baśń wkrótce się skończy.

Z upływem lat nabrała jednak przekonania, że Olivia i Stephen są szczęśliwi. Jak widać, błędnego... Jak to nigdy nie wiadomo, co dzieje się za zamkniętymi drzwiami czyjeś domu.

- Zostań na kolacji. Pogadamy dłużej - zaproponowała. - Nie powinnaś teraz jechać do domu, musisz to z siebie wyrzucić.

Olivia otarła twarz.

- Nie, Evie, nie mogę. Dziękuję ci, ale muszę jechać do domu. - Najwyraźniej próbując się pozbiierać, przywdziała na twarz maskę osoby szczęśliwej, jaką zawsze prezentowała światu.

- Olivia, przestań - powiedziała ostro Evie. - Robisz to przez całe lata! Skończ z tym udawaniem i gadaj. Inaczej zwariujesz!

Olivia poddała się. Spod maski ukazała się jej prawdziwa twarz, znekana, zagubiona i niepewna. Pełne łęku oczy wpatrywały się w Evie bezradnie.

- Och, Liwy - zapłakała Evie. - To nie może tak dłużej być...

- A co mogę zrobić? Zostawić go? Bądź realistką, Evie. Nawet z nim ledwo sobie radzę z życiem... Kim ja będę bez niego?

- Tym, kim byłaś dawniej. Zanim jeszcze poznałaś Stephena.

Olivia osuszyła oczy chusteczką.

- Nie wiem, kim wtedy byłam. I nie wiem, kim jestem teraz - powiedziała tępo. - Na weselu powiedziałam Maksowi, że Stephen nie widzi we mnie człowieka - zaśmiała się krótko. - To nie jest do końca tak... Przecież ja sama nie wiem, jakim jestem człowiekiem, więc jak mogę ganić za to mojego męża?

- Chciałabym ci pomóc - powiedziała Evie niespokojnie.

Olivia wzruszyła ramionami.

- Nie możesz mi pomóc, naprawdę. Sama muszę...

- Livvy, proszę. Nie odrzucaj mnie. Pozwól, żebym ci pomogła.

- No dobrze, Evie. Kto wie? Może będziesz musiała przencocować mnie parę nocy na sofie - Olivia wstała, pozwalając, by słowa zawisły w powietrzu. - Naprawdę muszę już iść. Wiem, że kiedyś muszę powiedzieć Stephenowi

o tym wszystkim - wykonała gest w kierunku swojego ostrego telewizyjnego makijażu. - Ale nie dziś. Ma jakichś gości z Niemiec i przychodzą do nas na kolację. Idę grać idealną gospodynię i uśmiechniętą małżonkę Jego Wysokości - powiedziała gorzko.

Evie nie znalazła odpowiedzi.

Ucisnęły się na pożegnanie i Olivia poszła do samochodu. Evie patrzyła, jak wyjeżdża powoli przez frontową bramę. Ze swoim idealnym profilem odcinającym się na tle niskiego marcowego słońca, w osłaniających oczy słonecznych okularach wyglądała jak uosobienie wracającej z pracy eleganciej kobiety interesu.

Evie zapatrzyła się na swój ogródek przypominający rozmiarem chusteczkę do nosa. Tłusty gołąb dreptał kołyszącym się krokiem i grzebał w poszukiwaniu robaków w rozmiętej glinie. Czuła ucisk w żołądku, jakby zjadła ciężkostrawny posiłek. Olivia i Stephen... Zdawałoby się, idealna para! A okazuje się, że to wyłącznie pozory.

Może jest głupia, że w ogóle zamierza wychodzić za mąż? Przecież prowadziła dotąd w gruncie rzeczy szczęśliwe życie...

A jednak zawsze wydawało się to takie ważne - mieć kogoś. Może sam brak drugiej osoby nadaje tej sprawie taką wagę? Czy nie dlatego z Simonem ostatecznie zaskoczyło - oboje rozpaczliwie pragnęli kogoś mieć i właściwie nie było ważne, kogo konkretnie?

Simon w gruncie rzeczy żył już w związku małżeńskim - z własną matką. Prawdopodobnie dlatego tak długo trwało, zanim wreszcie odważył się zaproponować małżeństwo innej kobiecie...

Kiedyś był zakochany. Mówił jej o tym. Związek trwał długo, ale nie przetrwał. Może tamta nie wytrzymała konkurencji z matką?...

Może oboje popełniają wielki błąd? Evie patrzyła w zadumie na drepającego gołębia. W końcu potrząsnęła głową jakby chciała pozbyć się tej myśli. Co za głupoty! Co ją napadło? We wrześniu wychodzi za mąż za Simona. Koniec, kropka.

## 10

**Z**a pięć trzecia. Dopiero. Czyżby znalazła się w jakimś tajemniczym świecie, w którym czas płynie wolniej? Plekroć spojrzę na budzik, wskazówka przesuwająca się może o milimetr. Lepiej w ogóle nie patrzeć... Evie usiadła, wstrząsnęła poduszką i przewróciła ją na chłodniejszą stronę. Za jakiś czas nie wytrzymała i uchyliła powieki. Za cztery trzecia.

Chciało jej się płakać. Taka jest wyczerpana, a nie może spać... Wciąż widziała smutną przygnębioną twarz Olivii. Olivia i Stephen, Evie i Simon... Nieszczęsna, nieszczęśliwa czwórka i problemy ich wszystkich... I Max. Żeby nie wiem jak się starała wyrzucić go z głowy, zawsze tam był. Z tym wilczym uśmiechem. Ze spojrzeniem, jakim nigdy nie patrzył na nią Simon.

Cholera! Znowu usiadła, rozgorączkowana i wściekła. Naprawdę musi przestać myśleć o tym cholernym Maksie Stewarcie. Przecież to chore! Pojawiał się obok niej nawet kiedy była w łóżku, nie mówiąc już o tym, co z nią wyprawiał w ciągu dnia. Od tygodnia, odkąd go poznała, był z nią bez przerwy, towarzysząc każdej czynności: uśmiechał się do niej, pokpiwał z niej, unosił w rozmowie brwi, jak gdyby wiedział, jakie wywarł na niej wrażenie...

Nie, nic z tego. Nie ma co próbować zasnąć. Równie dobrze może napić się ciepłego mleka i poczytać.

Starając się nie myśleć, jak będzie się czuła po nieprzespanej nocy, podgrzała trochę mleka i wróciła do łóżka. Wybrała książkę, ułożyła poduszkę tak, żeby można było się o nią oprzeć i spróbowała czytać.

Nie działało. Ognisty Latynos, wielbiciel golfa ze „Zwycięstwa Venetii” od razu przypomniał jej Maksa. Ten sam błysk w oku, ta sama postawa zdobywcy... Ilekroć swoimi potężnymi ramionami przygarniał do piersi Venetie, Evie widziała siebie samą przygarnianą, tak samo przez Maksa. Zirytowana cisnęła książkę na podłogę i spróbowała znaleźć inną. W głębi szafki natknęła się na jeden z sądowych thrillerów Cary. Cara uwielbiała krew, zbrodnie i seryjnych morderców i od dawna usiłowała skłonić siostrę, by przeczytała którąś z tych patologicznych, krwawych historii. Evie aż dotąd się opierała - nie byłaby w stanie czytać o czymś takim przed snem... W tej chwili jednak pomysł wydał jej się nienajgorszy. Może morderca z siekierą w dłoni zdoła usunąć Maksa z planu?

O piątej trzydzieści była już świeżo nawróconą wielbicelką thrillerów. Była też bardzo zmęczona. Jak tu jednak spać, skoro rano zagląda do okna? Słyszac, jak ptaki zaczynają z zapałem swój poranny koncert, położyła znużoną głowę na poduszce...

Śpiewały chyba wciąż ten sam kawałek, kiedy o siódmej piętnaście dał swój koncert budzik, z udziałem Toma Jonesa mruczącego pieszczotliwie „Kiss”. Evie wylazła z łóżka, zawołała na Rosie, by wstawała, i zeszła na dół, ziewając. O mało się nie przewróciła, potknąwszy się o pasek od szlafroka. Mocna kawa niewiele pomogła. Małe co nieco na śniadanie również.

- Wyglądasz jak wrak, mamó - zauważyła Rosie, krzątając się zżywieniem po kuchni w swoim szkolnym mundurku, niczym okaz zdrowia psychicznego i fizycznego.

- Nie mogłam spać - wymamrotała Evie z głową zwieszoną nad talezrem. - A do tego czeka mnie dziś okropny dzień. Mamy w firmie kontrolę finansową. O Boże, mogłabym spać chyba przez tydzień.

- Kofeina w tabletkach - podsunęła Rosie. - Zobaczysz, że poczujesz się odjazdowo. Wszystkie dziewczyny biorą to przed egzaminami.

W normalnej sytuacji Evie powiedziałyby coś na temat chemicznych stymulantów i swojej nadziei, że córka nigdy nie będzie ich używać. Tego ranka jednak zdołała jedynie powstrzymać się od pytania, gdzie można znaleźć tabletki kofeiny i ile trzeba wziąć dla uzyskania maksymalnego efektu.

Rosie włączyła radio, które natychmiast poinformowało o strasliwym korku na trasie wiodącej do biura Evie.

- Nie do wiary - mruknęła nieszczęsna, nalewając sobie następną filiżankę kawy. Zwykle rano piła tylko jedną, ale dziś postanowiła złamać zasadę. Trudno. Cellulitis musi polubić kawę i już.

- Biedna mamusia - objęła ją czule Rosie. - Gdybyś mnie nauczyła prowadzić samochód, mogłabym podrzucić cię teraz do pracy i nie musiałybyś się męczyć w korkach - dodała z łobuzerskim uśmiechem.

Evie jęknęła.

- Myślałaś kiedy o tym, żeby zostać prawniczką, Rosie? Jesteś mistrzynią, jeśli chodzi o używanie właściwych argumentów we właściwych okolicznościach.

Rosie z uśmiechem włożyła do tosterą parę kromek chleba.

- Czy mam to rozumieć jako zgodę?

- Aleja nie będę dla ciebie dobrą nauczycielką - zauważyła Evie. - Może Simon mógłby cię nauczyć?

Rosie skrzywiła się.

- Nie, Simon nie. Może dziadek... A może Vida? - rozpromieniła się, wyobraziwszy sobie siebie za kierownicą majestatycznego mercedesa Vidy iminy chłopaków z Ballymoreen wysiadujących na ławkach pod pomnikiem. Ale by byli zdumieni! Pootwieraliby gęby z podziwu. Zwłaszcza ten, który mieszka nad pocztą...

- Niby dlaczego Simon miałby być nieodpowiedni? - spytała z irytacją Evie.

- Och, mamo, daj spokój. Sama wiesz... - Rosie urwała, nie kończąc.

- Nie, nie wiem. - Evie była zmęczona i wściekła.

Rosie westchnęła.

- Nie kłóćmy się, mamo.

- To nie jest żadna kłótnia. Po prostu chciałam, żebyś nie miała wobec Simona takiej postawy.

- Aleja nie mam wobec niego żadnej postawy!

- Masz! - warknęła Evie.

- To nie jest żadna postawa - Rosie wzięła ze stołu swoją filiżankę z kawą. - Po prostu nie lubię go i tyle - i zatrzasknęła za sobą drzwi. Ułamek sekundy później jej grzanka z hałasem wyskoczyła z tosterą.

Evie jęknęła w duchu. Co ona wyprawia? Czy naprawdę musi wyładować swoje złe humory na Rosie?



Szybko posmarowała grzanek masłem i marmoladą i zniosła ją do pokoju córki. Drzwi, zwykle rano otwarte na oścież, jako że myjąc się i ubierając gadały jak najęte, teraz były złowieszczo zamknięte.

- Rosie, kochanie, przepraszam - powiedziała Evie z półpiętra. - Strasznie dzisiaj zrzedzę, ale wiesz, że jestem niewyspana...

Drzwi otworzyły się. Rosie, nieco udobruchana, wzięła grzanek z rąk matki.

- Przepraszam - powtórzyła Evie.

- W porządku, mamó. Ja też przepraszam za to, co powiedziałam. To nie tak, że nie lubię Simona - skłamała. - Po prostu nie chcę, żeby uczył mnie prowadzić samochód. Chciałabym, żebyś ty mnie uczyła.

Po raz pierwszy tego ranka Evie uśmiechnęła się.

- Nie wiem, kochanie, dlaczego ze mnie taka stara, złośliwa jęcza. Nauczę cię, dam ci słowo. Jak tylko zdasz maturę, wpiszę cię do karty ubezpieczeniowej. To będzie mój maturalny prezent.

- Odjazdowo! - wykrzyknęła Rosie.

„Odjazdowo” to było najmodniejsze ostatnio słówko... Evie powlokła się do łazienki. Jej samopoczucie z pewnością nie było w tym momencie odjazdowe.

Szczególnie mało odjazdowe stało się ono o dziewiątej rano, gdy zasiadła przy biurku. Szczerze mówiąc, czuła się strasznie, a miała, niestety, smutną pewność, że równie źle wygląda. Zwłaszcza że brakowało jej sił, by umyć rano głowę... Tłuste włosy, „bezpieczny” czarny kostium, zmęczona twarz - jednym słowem, wyglądała jakby wróciła z pogrzebu. Lorraine natychmiast to zauważyła.

- O Boże, Evie! Co ty robiłaś dzisiaj w nocy?

Samą z okazji wizyty kontrolerów olśniewała śmiałą czerwoną minispódniczką. Kiedy ostatnio odwiedzili Wentworth Alarms, spędziła trzy dni na flirtowaniu z najmłodszym z nich.

- Nic szczególnego - westchnęła Evie. Ona bynajmniej nie wyglądała z utęsknieniem dzisiejszego dnia. Wymagania panów kontrolerów plus nieunikniony zły humor Davisa... Odkąd stwierdzono u niego chroniczne osłabienie na tle neurologicznym, bywał w biurze rzadko i zawsze wtedy tylko patrzył, na kim może wyładować wściekłość.

- No, możesz mi chyba powiedzieć, co robiłaś - zauważyła Lorraine z szelmowskim uśmieszkiem. - Twój Simon nie wygląda wprawdzie na aż takiego Casanovę, ale pozory mylą... Cicha woda brzegi rwie, jak mówi moja mama.

Na myśl o Simonie jako o Casanovie Evie uśmiechnęła się kątem ust.

- Po prostu nie mogłam spać.

- Ja myślę - powiedziała znacząco Lorraine, robiąc oko.

Ranek włókł się bez końca. Davis nie pojawił się w pracy, a kiedy Evie dzwoniła do niego do domu, za każdym razem włączała się sekretarka. Dyrektor

finansowy, bratanek Davisa, żywy dowód na to, że nepotyzm nie jest właściwą taktyką personalną, robił co mógł, żeby pomóc, jedyne jednak, co mu wychodziło, to patrzeć oszołomionym wzrokiem i pytać Evie, gdzie co leży.

- Żałuję, że nie studiowałam księgowości, cholera jasna - syknęła w którymś momencie Evie.

-A ja żałuję, że nie zostałam dziś w domu - odparła Lorraine z nosem na kwintę. Jej zeszlóroczony adorator tym razem nie przyszedł, a ten, który go zastępował, miał tak przykry oddech, że człowieka zwałało z nóg z odległości pięćdziesięciu metrów.

Przez całe przedpołudnie nie miały kiedy podejść do czajnika, nie mówiąc już o zrobieniu kawy. Nie były nawet w toalecie. Kiedy nadeszła pora lunchu, obie czuły się wykończone. Evie, odchyliwszy się z westchnieniem na oparcie krzesła, postanowiła tym razem zignorować telefon. I tak dzwonił prawie bez przerwy.

- Jestem zanadto zmęczona, żeby poprawiać makijaż - Lorraine położyła nogi na biurku. - Może zamówimy pizzę? Nie będziemy musiały wychodzić.

Evie już miała powiedzieć „tak”, gdy do pokoju zajrzała sekretarka działu sprzedaży.

- Evie, ktoś na ciebie czeka w recepcji - oczy miała okrągłe z wrażenia. - Fantastyczny facet... Podobno macie iść razem na lunch. Kto to jest? Powiedz! Umieramy z ciekawości.

Evie poczuła gwałtowne uderzenie serca. Z nikim nie umawiała się na lunch... Była jednak tylko jedna osoba, która mogła wyrzucić na żeńskiej części zespołu Wentworth Alarms takie wrażenie: Max Stewart.

- Nie mam pojęcia - odparła, starając się, żeby wypadło to nonszalancko. Sięgnęła po słuchawkę wciąż dzwoniącego telefonu. Aha, to recepcjonistka.

- Podobno ktoś na mnie czeka? - spytała Evie obojętnie.

- Max Stewart - recepcjonistka wypowiedziała te słowa z taką atencją, jakby to był sam Mei Gibson.

- Powiedz mu, że będę na dole za dziesięć minut.

- Kto to jest? - pisnęła Lorraine. Wyraz oczu Evie mówił jej jasno, że coś tu jest grane.

- Mój przyrodni brat - rzuciła Evie z maksymalnym spokojem, na jaki było ją stać.

- Przyrodni brat? - powtórzyła Lorraine z niedowierzaniem. - Nigdy o nim nie wspomniałaś.

- Naprawdę? - Evie przeglądała torbę, myśląc równocześnie, czy nie zdradzi się do reszty, jeśli poprosi Lorraine, żeby użyczyła jej perfum. I korektora, żeby ukryć jakoś worki pod oczami. A zresztą... Nawet jeśli się zdradzi, no to co?

Usiłując nie okazywać podniecenia, starała się zatuszować ślady nieprzebanej nocy. Przynajmniej różu nie potrzebowała... Z radości i zakłopotania

policzki miała jak piwonie. I nagle tknęła ją niespokojna myśl: a jeśli zadzwoni Simon i dowie się, że poszła z Makssem na lunch? A jeśli będzie przejeżdżał obok i zobaczy ich razem w pubie?

Nie. Nie pójdzie z nim na ten lunch. To proste: nie umawiał się z nią, a zatem nie musi z nim iść. Zejdzie na dół i go przeprosi.

Po chwili, ścierając rozmazany drżącą ręką tusz, poczuła, że to nie takie proste. Chciała z nim pójść... Ale przecież nie ma w tym nic złego. Max to naprawdę jej przyrodni brat. Czy to grzech pójść z bratem na lunch?

Kiedy jednak spieszyła ku schodom, po raz pierwszy tego dnia ożywionym, niemal tanecznym krokiem, w głębi serca wiedziała, że nie jest to takie niewinne. Ani wizyta Maksa, ani sposób, w jaki na nią zareagowała.

Na dole zatrzymała się i przez szklane drzwi spojrzała w kierunku recepcji. Serce podskoczyło: był. Siedział na jednym z tych ogromnych, zbyt miękkich krzeseł, na których Evie, niewysoką nigdy nie mogła wygodnie usiąść, bo nie sięgała nogami podłogi. On zaś przytłaczał je swoją potężną sylwetką... Długie nogi w dżinsach wyciągnął niemal na środek pomieszczenia. Zza gazety, którą czytał, widać było jego skupioną twarz.

Evie stała, wpatrując się w Maksa, niczym dziecko przed wystawą sklepu z zabawkami. Potężne jak u Waligóry szczęki były zaciśnięte; oczy kryły się pod ciemnymi brwiami. Wyglądał dziś zwyczajnie: brązowa zamszowa marynarka, zamszowe sznurowane buty... Bez eleganckiego wyjściowego garnituru wyglądał inaczej - nie tak olśniewająco, ale młodziej.

Zobaczył ją. Wstał. Evie pchnęła drzwi. Miała nadzieję, że nie zauważył, jak obserwuje go od paru chwil...

Recepcjonistka wraz z koleżanką która miała ją zastąpić w czasie lunchu, gapiły się na Maksa otwarcie i bezwstydnie.

- Evie, twój... gość - recepcjonistka, rozpromieniona w uśmiechu, najwyraźniej aż się trzęsła, żeby ją przedstawić.

- Dziękuję - odparła Evie grzecznie, zdecydowana tego nie robić. Stała przed Makssem, nie wyciągając jednak ręki na powitanie.

- Cieszę się, że cię widzę, Evie - uśmiechnął się do niej ciepło. Uśmiech rozświetlił jego kobaltowe tęczówki, jakby ktoś pstryknął wyłącznikiem światła.

Zamrugła oczami. Już nie pamiętała, że jest aż tak przystojny... Jego uroda zwałała z nóg. Był nawet lepszy, niż w tamtym pokręconym śnie.

- Załatwiałem sprawy w okolicy i pomyślałem, że wpadnę do ciebie przy okazji. Mam nadzieję, że nie jesteś umówiona z kimś innym na lunch?

- Nie, ale... - Evie momentalnie przypomniała sobie, gdzie zamierzała go posłać, gdyby zobaczyła go jeszcze raz. - Nie zamierzałam dziś wychodzić... Mam strasznie dużo pracy.

- Proszę... Chciałbym z tobą pogadać.

Sposób, w jaki wypowiedział słówko „proszę”, zdecydowało. Niski, pieszczotliwy głos budził dreszcz, zupełnie jakby zapraszał ją do wspólnej

gorącej kąpieli, gdzie będą się bawić w lekarza i pielęgniarkę. Nie mogła się oprzeć.

- No dobrze.

Max pchnął frontowe drzwi i wyszli na zewnątrz. Szli do samochodu. Evie czuła na plecach jego wzrok; miała wrażenie, że pali ją żywym ogniem. Odwróciła nieco głowę i zobaczyła Lorraine, recepcjonistkę i sekretarkę działu sprzedaży, wyglądające w podnieceniu zza żaluzji, niby kibice na meczu tenisowym, czekający z niecierpliwością, kiedy sędzia ogłosi wznowienie akcji.

- Czy one zawsze tak? - zapytał niewinnie Max.

- Czekająca dostawcę kanapek - skłamała naprędce. - Spóźnia się, a one umierają z głodu.

- Albo raczej zastanawiają się, kim jestem - zauważył.

Evie zaśmiała się. Co za przenikliwość...

- Jeszcze jak! Na pewno o szóstej będzie w wiadomościach, że poszłam 7. nieznanym na lunch. „Uwaga! Komunikat policyjny. Kobietę w przededniu ślubu widziano wsiadającą do samochodu jaskrawego kolom z nieznanym mężczyzną”.

- Ale przecież jestem twoim przyrodnim bratem - powiedział kpiąco-niewinnym głosem, otwierając Evie drzwiczki sportowego wozu od strony pasażera.

- Rzeczywiście, jesteś - odparła słodko, zatraskując je.

- Jest tu jakieś przyzwoite miejsce na lunch? - spytał, gdy wyjechali za bramę.

- Myślałam, że znasz okolicę? Mówiłeś przecież, że załatwiasz tu interesy - Evie spojrzała na niego podejrzliwie.

Zaśmiał się, rozbawiony.

- Złapałaś mnie. Nigdy w życiu tu nie byłem. Przyjechałem zobaczyć się z tobą. I to wcale nie dlatego, że jesteś moją ukochaną przyrodną siostrą - dodał głosem, od którego zrobiło jej się gorąco.

- Ten pub tuż za rondem jest dość sympatyczny - powiedziała głosem o oktawę wyższym ze zdenerwowania. - Skręć teraz w lewo, a potem dwa razy w prawo.

Odchyliła się na oparcie fotela i utkwiała nieruchomy wzrok w przedniej szybie. Nie chciała nawet patrzeć na Makska. W co on ją wciąga? Powinna była posłać go do diabła, odmówić spotkania się z nim. Jak on ma czelność pokazywać się, po tym jak mu powiedziała, że jest zaręczona? To nie Simon, z którym łatwo sobie poradzić... To całkiem inny ptaszek. To sęp.

- Trudny miałaś dzień? - rzucił przyjacielskim tonem, manewrując samochodem, by zaparkować.

Evie spodziewała się zupełnie innego rodzaju konwersacji. Spojrzała na niego z ukosa.

- Tak - odparła niechętnie.

- Recepcjonistka powiedziała, że macie kontrolę finansową - wciąż na nią nie patrzył, zajęty parkowaniem.

- A cóż to ona, pracuje w spółdzielni „Ucho”?

- To przecież była tylko towarzyska rozmowa...

- Ja myślę.

W pubie stanęli w kolejce do zupy i kanapek. Czuła się niezręcznie w ciszy i żeby ją czymś wypełnić, zaczęła paplać o tych okropnych kontrolerach i jak trudno sobie z nimi poradzić, kiedy nie ma szefa.

Z początku jej paplanina była sztuczna. Gdy jednak usiedli przy stoliku, zaczęła znajdować przyjemność w opowiadaniu Maksowi o przeżyciach tego szalonego dnia. Jakoś łatwo się z nim rozmawiało, a może po prostu umiał słuchać? Stawiał właściwe pytania, interesowało go, co odpowie...

Kiedy skończyła opowiadać o Tomie, nierozgamiętym bratanku Davisa, zrewanżował się opowieścią o firmie zajmującej się produkcją telewizyjną, w której kiedyś pracował. Jej szef zatrudnił czterech swoich synów jako menedżerów średniego szczebla.

- Jeden głupszy od drugiego - mówił Max ze śmiechem. - Żaden nie był w stanie podjąć decyzji na temat programów, jakie mamy robić, a kiedy zebrali się wszyscy czterej, potrafili się wyłącznie kłócić. Byli jak kraby w wiadrze - jak jeden próbował w końcu zrobić coś na własną rękę, trzech pozostałych ciągnęło go z powrotem, by mogli pokłócić się jeszcze trochę - na temat tego, gdzie kupić papierowe kubki do dystrybutora wody, albo na jaki kolor pomalować salę konferencyjną... Ich tata liczył na to, że kiedyś przejmą firmę, ale po pół roku wywalił wszystkich czterech.

- I co się potem stało? - spytała Evie.

- Kupiłem firmę do spółki z kolegą i w ciągu roku dochody wzrosły o pięćdziesiąt procent. A potem cała czwórka próbowała nas zaskarżyć, twierdząc, że przywłaszczyliśmy sobie prawa należne im z tytułu urodzenia, że gdyby ojciec dał im więcej czasu, też by mieli równie dobre efekty finansowe... - zaśmiał się na wspomnienie tamtych zdarzeń.

Evie przełknęła kęs kanapki.

- To właśnie tę firmę teraz prowadzisz? - spytała. Miała ochotę dowiedzieć się o nim czegoś więcej, a równocześnie nie chciała okazywać nadmiernego zainteresowania.

Potrząsnął głową.

- Nadal mam w niej udziały, ale prowadzi ją ktoś inny. Moja nowa firma nazywa się DOS Production. Robimy telenowełe, a tamta zajmowała się i zajmuje produkcją wideokaset. To bardzo dochodowe, ale telenowełe są zabawniejsze.

- A ja w ogóle nie miałam pojęcia, czym się zajmujesz! - wykrzyknęła Evie. - Twoja matka nigdy nie powiedziała dokładnie, co właściwie robisz. Miałam w głowie obraz jakichś tanich programów rozrywkowych.

W odpowiedzi tylko się uśmiechnął.

- Telenowele, tak? - ciągnęła Evie. - A nad czym teraz pracujecie?

- Właśnie skończyliśmy taki jeden cykl na temat głodu. A teraz zaczynamy przygotowania do czegoś w stylu „Przeminęło z wiatrem”. Akcja dzieje się w Irlandii i w Luizjanie.

- Chyba musisz być stale w podróży? - Evie zapomniała o kanapce. To było takie ciekawe! Znacznie bardziej ekscytujące, niż jej opowieści o kontrolerach i handlu urządzeniami alarmowymi.

- Spędziłem ostatnio sześć miesięcy w Australii, gdzie robiliśmy „Odludzie”, to znaczy tę historię na temat głodu. Przewidziana jest głównie na rynek amerykański i australijski. Nowa produkcja będzie bardziej europejska. Mój partner zamierza teraz zająć się amerykańską częścią naszych interesów, więc będę miał więcej czasu dla siebie. Od dziesięciu lat przez dziewięć miesięcy w roku jestem w podróży. Potrzebuję odpoczynku. Myślałem o tym, żeby kupić dom w Irlandii i zapuścić trochę korzonki.

Odsunął talerz i uśmiechnął się do niej.

- Przepraszam, że zmieniam temat, ale wiem, że zaraz będziesz musiała wrócić do pracy. Wiesz, dlaczego zaprosiłem cię na lunch? - spytał nagle, przewiercając ją oczami.

Evie poczuła, że jej tętno wali jak pociąg towarowy na pełnej szybkości. Mogła sobie wyobrazić, co teraz nastąpi... „Bo nie mogę przestać myśleć o tobie. Oszalałem na twoim punkcie. Właśnie dlatego chcę spędzać więcej czasu w Irlandii - żeby być blisko ciebie. Wiem, że jesteś zaręczona, ale...”

- ... i nie wiem, co o tym myślisz - usłyszała jego głos.

- Przepraszam, o czym? - Przebywała właśnie w świecie wyobraźni - tym razem na smaganej wiatrem plaży. Ona i Max stali w uścisku, spienione fale waliły o brzeg, a tuż przed nimi widniała okrągła piaszczysta zatoczka - taka jak w „Stąd do wieczności”...

Max uniósł jedną brew.

- Mówiłem o moim pomysłe, żeby w wakacje zebrać obie rodziny do kupy. Wiem, że latem zawsze spędzasz trochę czasu z ojcem. Pomyślałem, że można by to połączyć z moim prezentem dla świeżo poślubionych małżonków.

- Z jakim prezentem? I co połączyć? - Evie była zdezorientowana. O czym on mówi?

- Willa w Hiszpanii - wyjaśnił cierpliwie Max. - Wynająłem na dwa tygodnie willę na południu Hiszpanii, w drugiej połowie lipca. To mój prezent ślubny dla państwa młodych. Rzecz w tym, że twój ojciec strasznie się martwi, bo latem zawsze spędzacie czas razem, no a moja matka też nie chciała by popsuć waszych układów, tym bardziej że wie, jak trudno ci było zaakceptować ich małżeństwo... Pomyślałem sobie, że gdybyście do nas przyjechały - ty, Rosie i Cara - mogłyby to rozwiązać mnóstwo problemów.

- Do nas? - spytała znowu Evie.

- No, bo ja też naturalnie mam zamiar przyjechać. O ile nie masz nic przeciw temu. - I znowu ten uśmiech, jak gdyby wiedział, co ma na myśli. Ale mylił się.

- Nie wiem - powiedziała chłodno, odzyskując nieco panowanie nad sobą. - A co to za miejscowość? - spytała, jakby znała z doświadczenia każdy centymetr Costa del Sol, a nie, jak w rzeczywistości, widywała je tylko w programach telewizyjnych.

- Puerto Banus.

- O - powiedziała zblazowanym tonem. Po powrocie do domu musi sprawdzić w atlasie, gdzie to jest. - No cóż, pomyślę o tym. - Dopita kawę jednym haustem.

- To bardzo ładny fragment wybrzeża - powiedział, jakby czytając w jej myślach. - No i będzie to dla nas wszystkich znakomita okazja, żeby się lepiej poznać.

Evie spojrzała na niego podejrzliwie.

Z oczu Maksa zniknął wyraz rozbawienia.

- Naprawdę tak uważam - powiedział cicho. - Bardzo chciałbym poznać cię lepiej.

Nigdy wcześniej nie zdarzyło się Evie, żeby ktoś patrzył na nią w ten sposób. Niesamowicie niebieskie oczy wręcz chłoneły jej twarz. Chwila była tak pełna znaczenia, że prawie nie do zniesienia. Reszta świata rozplynęła się. Była tylko ona i Max, z oczami w jej oczach.

- To znaczy Rosie, Carę i mnie? - spytała, celowo zniekształcając sens tego, co powiedział.

- Nie. Chcę lepiej poznać ciebie.

- O!

Jego ściszony głos był naładowany elektrycznością.

- Wiem, co powiedziałaś tydzień temu na weselu. Chciałem jednak znów cię zobaczyć.

Odwrociła wzrok, jakby bała się, że poprzez oczy zajrzy do jej wnętrza i zobaczy, że ona też za nim tęskniła. Za jego spojrzeniem, śmiechem, dotykiem...

- Nie odpowiedziałaś na mój liścik - szepnęła.

- A co miałam odpowiedzieć? - rzuciła gwałtownie. - Przecież wiesz o Simonie. Jak mogę się z tobą spotykać?

Byli teraz bardzo blisko. Przechylając się przez stół, niemal stykali się głowami w intymnym geście, jak kochankowie. Evie nie wiedziała, jaki będzie jej następny ruch. Czuła, że jest we władzy emocji, i to poczucie było upajające jak wino. To właśnie zrobił z nią Max: zmienił ją w kogoś innego. Działała instynktownie, a nie - jak dotąd - według z góry opracowanego wzorca.

- Wiem, że jesteś zaręczona. Nic jednak nie mogę poradzić na to, co czuję, odkąd cię poznałem. Zdawało mi się, że i ty czujesz to samo...

Wyciągnął dłoń poprzez stół z zamiarem ujęcia jej ręki. Evie patrzyła jak zahipnotyzowana. Skóra opalona na złocisto, mocny nadgarstek... I zaskakująco jasne włoski, jak na mężczyznę z kruczożarną czupryną o urodzie południowca...

- Evie! - zawołał ktoś piskliwie. - Jak to dobrze, że cię widzę!

Zaskoczona, odchyliła się szybko na oparcie krzesła i spojrzała w górę. Nad nimi, z tacą w rękach, stał jeden z kolegów Simona, Phillip Knight. Na tacy znajdował się talerz kiełbasek z frytkami. Młodszy od Simona, Phillip od dawna obiecywał mu, że będą wieczorami grać w squasha, ale sądząc po brzuchu mężczyzny, było to mało prawdopodobne.

- O, cześć, Phillip. Miło cię spotkać - powiedziała Evie nieszczerze. - Phillip pracuje z Simonem, moim narzeczonym - powiedziała, kładąc na użytek Maksa nacisk na słowie „narzeczony”.

Czuła, jak rumieniec zalewa jej twarz purpurową falą. Rumieniec winy. Phillip nie był wprawdzie najbystrzejszym facetem, jakiego w życiu spotkała, ale z pewnością powie Simonowi, że widział ją z Maksem. I co wtedy? Nawet ktoś, kto miałby tylko jedną szarą komórkę, odczytałby bez pudła język ich ciał... Zszokowana, uśmiechała się bezmyślnie do Phillipa, niezdolna wymyślić nic, co mogłaby powiedzieć. „O mój Boże... o mój Boże...” - powtarzało coś cichutko w jej głowie.

Phillip wciąż stał z tacą przyciśniętą do obfitego brzucha. Najwyraźniej czekał, że go poproszą do stolika. Znakomicie wychowany, grzeczny do przesyady, nigdy by się nie ośmielił usiąść bez zaproszenia. Właśnie dlatego przyjęcie u Phillipa było w swoim czasie dla Evie takim koszmarem: cały czas się bała, że zrobi straszne faux pas, smarując na przykład chleb za pomocą nie właściwego noża.

Max błyskawicznie zorientował się i wstał.

- Max Stewart - przedstawił się. - Nowy... - zawahał się, jakby dopiero szukał właściwego określenia - przyrodni brat Evie. Proszę sobie wyobrazić, że nasi rodzice właśnie się pobrali! Jej ojciec i moja matka. Właśnie knujemy tu pewien plan na cześć młodej pary - klepnął Phillipa ze śmiechem w ramię, jakby dopuszczał go do wspianego sekretu.

Taca zachybotała.

- Phillip Knight - przedstawił się Phillip oficjalnie, wciąż nie wypuszczając jej z rąk.

- No właśnie - podchwyciła Evie radośnie. - Obmyślamy ślubny prezent! Boże, a przecież już niedługo my z Simonem też się pobierzemy!

Wstała i klepnęła Phillipa w drugie ramię. Taca zachwiała się jeszcze silniej.

- Chętnie bym posiedziała z tobą, Phillip, ale muszę wracać do pracy. A Max... - zawahała się - musi pojechać po żonę do...

Obaj mężczyźni patrzyli na nią wyczekująco.



- Do szpitala! - wykrzyknęła triumfalnie. Była to pierwsza rzecz, jaka przyszła jej do głowy. Doskonałe posunięcie - pomyślała. Phillip nie zorientuje się, że to blef.

Zignorowała Maksą, na którego twarzy malowała się ledwie tłumiona wesołość.

- Czy żona pracuje w szpitalu? - spytał grzecznie Phillip.

Evie zamrużyła oczami.

- Nie... tylko... spodziewa się dziecka! - Jeszcze lepiej. Jaki facet flirtowałby z przyrodnią siostrą w tej sytuacji?

- Och, to świetnie. Moje gratulacje.

Max wziął tacę z rąk Phillipa i postawił ją na stole.

- Dzięki. Chyba już pójdę. Mia nie lubi czekać. A zwłaszcza teraz, kiedy - spojrzawszy łobuzerskim wzrokiem na Evie - brzuch ma jak stodoła.

- No. Ogromny - Evie zrobiła rękami gest, mający zademonstrować rozmiary brzucha. Można by pomyśleć, że na świat ma przyjść hipopotam, a nie człowiek.

Cmoknęła Phillipa w policzek, uśmiechnęła się najpromienniejszym uśmiechem, na jaki mogła się zdobyć, i odpłynęła. W ślad za nią podążył Max.

Milczał aż do momentu, gdy znaleźli się na parkingu.

- Dzięki za ciężarną żonę - powiedział tonem towarzyskiej konwersacji. - To był ładny ruch.

- Też tak myślę - odparła lekko.

- Tylko czy musiała mieć aż tak nienormalny brzuch? I czy musieliśmy być małżeństwem? Simon niewątpliwie o wszystkim usłyszy i bardzo się zdziwi, co też zrobiłem ze swoją ciężarną małżonką, zwłaszcza że nie zabiorę jej do Hiszpanii. Nie chcę wyjść na kompletnego łajdaka.

- Byłam w sytuacji podbramkowej - syknęła.

- Zauważyłem. Tylko po co przy okazji kłamstwa oczerniać innych?

- Może Phillip jest głupi, ale na pewno nie jest ślepy - odcięła się. - A musiałby być ślepy, żeby nie zauważyć, jak siedzieliśmy, niemal stykając się głowami i patrząc sobie w oczy!

Wstrząsnęła nią dreszcz. Nie wiedziała, czy to na wspomnienie tamtego zaskoczenia, czy tamtej chwili niezwyklej bliskości.

- No, ale skoro mamy teraz oboje stuprocentowe alibi w postaci mojej ciężarnej małżonki, to może moglibyśmy się widywać? - spytał Max. - Dopóki nie przyjdą na świat czworaczki, rzecz jasna.

- Jak możesz coś takiego proponować? - rzuciła z furją. - Sam przecież widzisz, że nie mogę się z tobą spotykać.

Max wjechał na parking Wentworth Alarms. Obserwatorzy zeszli z posterunku - zauważyła Evie mimochodem.

- Nie, nic takiego nie widzę - powiedział cicho.

Wyłączył silnik i po raz pierwszy, odkad wyszli z pubu, zwrócił się ku niej twarzą. W jednej chwili zdała sobie sprawę, jak ciasne jest wnętrze samochodu i jak niewielka przestrzeń ich dzieli.

- Gdybyś nie chciała się ze mną spotykać, to co innego. - Skryta w cieniu twarz nadawała mu teraz wygląd dziwnie złowrogi, niemal diabelski. - Ale jeśli boisz się podjąć ryzyko... Przecież chcesz się ze mną widywać, prawda? - na moment w jego głosie pojawiła się nutka bezbronności.

Wyciągnął dłoń i leciutko przesunął kciukiem po pełnej dolnej wardze Evie. Przymknęła oczy. To była najbardziej naładowana erotyzmem pieszczoła, jaką kiedykolwiek przeżyła. Nieoczekiwana, niezwykła. Czuła zapach jego skóry - ciepły, męski, z leciutką nutą piżma - i jej słonawy smak. Niemal całowała jego palec, wędrujący powoli tam i z powrotem...

Gwałtownie cofnął rękę. Co ona robi? I co on robi?

- Co ty sobie myślisz, do diabła? Uważasz, że wolno ci dotykać mnie w ten sposób? Że wolno ci wpakować się tak w moje życie i zwichnąć je?

Zauważyła leciutki skurecz mięśni w jego szczęce.

- Nie chcę cię więcej widzieć - powiedziała ochryple.

Nic nie mówił, tylko wciąż na nią patrzył.

- To niemożliwe - ciągnęła w udręce. - Nie możesz tego zrozumieć? - Przez chwilę szamotała się z drzwiczkami, w końcu otworzyła je i wyskoczyła na zewnątrz.

Zdała sobie sprawę, że widać ją z okien biura i spróbowała nadać twarzy normalny wyraz. Chyba nie całkiem się jej udało... Tętno waliło jak szalone. Gdyby mogła sobie na to pozwolić, najchętniej by się rozpłakała. Uśmiechnij się, Evie - nakazała sobie. Nie płacz. Nie oglądaj się. Wiedziała, że jeszcze nie odjechał, niemal czuła, jak śledzi ją wzrokiem z wnętrza samochodu.

Pchnęła drzwi i skierowała się zdecydowanym krokiem ku schodom. Mięśnie karku miała sztywne z wysiłku, jakiego wymagało utrzymanie uśmiechu na twarzy. Boże, spraw, żeby nikt się do mnie nie odzywał - modliła się. [rzeczywiście, nikt jej nie zaczepił. Szła ku schodom, powoli się odprężając. Czy słusznie zrobiła, odsyłając go do diabła? Chyba tak. Na pewno. Jest zaręczona, wkrótce wyjdzie za mąż, nie może więc spotykać się po kryjomu z innym mężczyzną zwłaszcza seksownym, niezonatym i tak niesamowicie przystojnym... Tak, postąpiła słusznie, bez wątplenia. Tylko dlaczego to tak boli? Dlaczego ma ściśnięte gardło i chce jej się paść na podłogę i wyć? Dlaczego najchętniej pobiegłaby z powrotem na parking, rzuciła się Maksowi w ramiona i błagała, żeby nie wypuszczał jej z objęć?

Na widok Evie Lorraine zaświeciły się oczy.

- O rany, ten twój przyrodni brat to chyba niezły buhaj. Czy można pójść do łóżka z przyrodnim bratem? Nie, czekaj. Chciałam powiedzieć, czyja bym mogła pójść do łóżka z twoim przyrodnim bratem? - Wybuchnęła śmiechem. - Craig się nie dowie. Nie powiem mu...

Evie wbiła paznokcie w dłonie i spróbowała przyłączyć się do Lorraine. Nawet jednak we własnych uszach jej śmiech brzmiał sztucznie.

Odrzuciła Maksa po raz drugi. Więcej nie będzie zwracał jej głowy, to mrowane. Dlaczego więc na myśl o tym jest jej tak smutno?

Simon podłożył lewarek pod zardzewiałą fiestę Evie i zaczął ją fachowo podnosić. Zdjął bluzę i przez cienki podkoszulek było widać mięśnie pleców. Strasznie schudł przez cały ten squash... Chyba nawet za bardzo. Zaczynał się robić wręcz chudy.

Nigdy nie miał zbyt wielkiego apetytu. Nie używał też zbyt często swojego rondla do smażenia w głębokim tłuszczu, odkąd zauważył, że Evie wcale nie zamierza po ślubie jeść frytek rano, w południe i wieczorem.

- Całe szczęście, Evie, że zwróciłem uwagę na ten gwóźdź w oponie - po odkręceniu dawno nie ruszanych nakrętek był tylko lekko zdyszany. - Inaczej miałabyś któregoś dnia flak i nikogo pod ręką, kto by go zmienił.

- Dziękuję, mój drogi.

Podarowała sobie wzmiankę o tym, że zmiana opony nie jest bynajmniej czymś, co leży poza granicami jej możliwości. Była zadowolona, że zauważył gwóźdź, gdy samochód stał bezpiecznie na podjeździe, ale nie miała chęci dyskutować o tym cały wieczór.

Stała obok Simona i ponad dachem samochodu patrzyła nieobecny wzrokiem przed siebie. Był ciepły, niemal śródziemnomorski marcowy wieczór. Po długiej zimie, kiedy mieszkańcy zmuszeni byli siedzieć w domach, Countess Street budziła się ze snu. Dookoła było pełno ludzi.

Najbliżsi sąsiedzi Evie przycinali zeszłoroczną trawę. Człowiek mieszkający dwa domy dalej strzygł przerośnięty żywopłot. Po przeciwnej stronie para młodych ludzi pchała powoli dziecięcy wózek, a na jezdni trójka chłopaków grała w nogę. Piłka waliła w pnie drzew.

Ona też powinna wziąć się do roboty... Evie spojrzała na swój mikroskopijny trawnik, którym tak rzadko miała czas się zająć. Wrzosa, które zasadziła dwa lata temu, strasznie się jakoś przerzedziły. Mają za mokro czy co? Trzeba je chyba przesadzić. Zwłaszcza jeśli ma zamiar sprzedać dom i kupić z Simonem nowy... Na myśl o tym poczuła ciężar w piersi.

- Kiedy on był ostatni raz na przeglądzie? - spytał Simon. - Zdaje się, że przydałby mu się. A tak naprawdę powinnaś pomyśleć o nowym samochodzie, Evie. A w każdym razie nowszym. Oczywiście, kiedy się pobierzemy, będziesz mogła jeździć moim - uniósł głowę i rozpromienił się w uśmiechu.

Ona także uśmiechnęła się przełomie. Podeszła do stojącego przed bramą kamiennego kwietnika.

- Spójrz no tylko, ile tu chwastów - mruknęła.

Simon wrócił do zakładania nowej opony.

- Tylko nie zapomnij zregenerować tej starej - zaznaczył solennie. Evie z trudem opanowała chęć uderzenia go w głowę obręczą.

Zabrała się za pielenie. Simon tymczasem skończył z oponą i poszedł do domu umyć ręce, a przy okazji zrobił kawę w ekspresie. Kawa o ósmej wieczorem? I tak nie mogła spać poprzedniej nocy... Zirytowana, wzięła jednak od niego filiżankę kawy i biszkopt.

Siedzieli przy kuchennym stole. Simona pochłaniała lektura dodatku sportowego.

- Zastanawiałeś się kiedy, dlaczego ludzie zakochują się w sobie? - spytała Evie od niechcenia. - Na świecie są nas przecież miliony... i nagle znajdujemy tego jednego, i okazuje się, że to jest to. Przypadek?

Simon czule potarł ją za włosy, nie podnosząc oczu znad gazety.

- Zawsze byłeś marzycielką, Evie.

- Nie chodzi o marzenia - przycisnęła go. - No wiesz... jak to się dzieje, że znajdujemy tę właściwą osobę? Mówiliśmy o tym dzisiaj z Lorraine. Czy w ogóle istnieje prawdziwa miłość?

Simon przerwał na moment lekturę tekstu o najnowszym transferze piłkarza z Inter Mediolan.

- Jesteś straszną romantyczką, Evie. Ja mam znacznie bardziej prozaiczny pogląd na te sprawy. Zawsze byłem przekonany, że najpierw poznajemy kogoś, a dopiero potem zaczynamy go kochać. Obojętne, kto by to był - dodał. - No wiesz, stopniowo... To kwestia zaufania i bliskości. Tak było z moimi rodzicami - powiedział w zamyśleniu. - Nie sądzę, żeby na początku byli szaleńczo zakochani, jak to nazywasz, ale stopniowo nauczyli się nawzajem kochać. Wiesz... matka dotąd tęskni za ojcem.

- Tak, rozumiem, co masz na myśli... - zaczęła Evie. Simon jednak wrócił już do problemów europejskiego futbolu.

Zaufanie i bliskość... I ani słowa o namiętności. O iskrze, która przeskakuje między dwiema osobami. O porywie, który rozpała w tobie płomień.

Evie popijała kawę, patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem. Przeszła dostrzeżać, że to i owo w kuchni wymaga doczyszczenia. Ona potrzebuje namiętności, Simon zaś - miłego towarzystwa. Kogoś, z kim będzie mógł posiedzieć przed telewizorem, zagrać w brydża... Jakie to dziwne - ona naprawdę potrzebuje silnego, gwałtownego uczucia. Tej pasji, pożądania, tęsknoty, którym nie można się oprzeć, tak jak nie można się oprzeć fali przypływu.

Przez całe lata tylko o tym czytała. Szukała mocnych przeżyć w fikcyjnym świecie pięknych kobiet i zmysłowych, okrutnych mężczyzn. Śniła na jawie, że jest heroiną tych opowieści. Ale to były tylko marzenia. Mrzonki.

I nagle, nie wiadomo dlaczego, zapragnęła tego w realnym życiu. Namiętności, oczarowania, ekscytacji... Nie, to nie tak. Wiadomo dlaczego. Przyczyna miała prawie dwa metry wzrostu, lekko kpiące spojrzenie i mroczną twarz, która rozjaśniała się na jej widok.

Pora na wiadomości - zauważył Simon, patrząc na zegarek. - Obejrzymy? Oglądali do dziewiątej. Evie, z nogami na stoliku, błędziła myślami w całym innym świecie. Kiedy prezenter pogody zapowiedział kolejny słoneczny dzień, Simon znacząco potarł nosem kark Evie.

- Kiedy wraca Rosie? - spytał cicho, wdychając słabą woń „Anais Anais”. Zazwyczaj Evie uwielbiała tę pieśczętę. Kark był jedną z jej najbardziej erogennych stref. Dziś jednak był jakoś zupełnie niewrażliwy.

- Obawiam się, że niedługo - odparła. - Matka Jenny obiecała ją podzucić przed dziesiątą. Uczyły się razem. A poza tym, Simon... dzisiaj nie mogę - zawiesiła znacząco głos. - Wiesz, to jest jeden z tych... - Dobrze wiedziała, że nie zorientuje się, iż to kłamstwo.

Więcej nie musiała mówić. Simon odskoczył, jakby go użądliła osa. Naprawdę, strasznie był niedoświadczony, jeśli chodzi o kobiety. I strasznie naiwny... Myśli, że ile okresów kobieta może mieć w ciągu miesiąca? Dwa? Właśnie skończył jej się jeden. Miała straszne bóle, ale Simon o niczym nie wiedział... Wystarczy wspomnieć o „kobiecych sprawach”, a z zakłopotania przestaje mu funkcjonować mózg.

Evie przypomniała sobie, jak Rosie opowiadała jej, chichocząc, o nauczycielu matematyki, który rumienił się na samą myśl o jakichkolwiek problemach ginekologicznych. Rosie przysięgała, że wystarczyło stanąć przed nim, położyć rękę na brzuchu i jęknąć „źle się czuję, panie profesorze”, i obecność na matematyce miało się z głowy.

- Z miejsca jesteś za drzwiami, w drodze do pielęgniarki - rechotała Rosie.

- To straszne! - zawołała wówczas Evie. - Kobiety od tak dawna walczą o to, żeby nie były traktowane jako słaba płęć. Przez to wasze „jestem biedną małą dziewczynką” przekreślacie sto lat historii feminizmu!

- Ojejku, mamó! Skoro cierpimy z powodu okresu, to możemy mieć też z niego jakieś korzyści, no nie? - zadzwiała Rosie. - A zresztą to taka nowa odmiana feminizmu: użyć wszelkich środków, żeby osiągnąć to, na czym nam zależy. Mężczyźni zawsze tak robili. Po trupach do celu.

Evie rzuciła okiem na Simona. Czy on byłby w stanie iść po trupach do celu? Nie mogła sobie tego wyobrazić. To nie Max...

- Przepraszam, kochanie - powiedziała, kładąc dłoń na jego rękę.

- Nie szkodzi - odparł niezgrabnie. - Obejrzymy film? Czy może raczej... - oczy Simona załśniły żywnością. - Wiesz, jest taki program na temat zimnej wojny...

- Jasne, że zimna wojna - odparła szybko, mając nadzieję, że Simon nie dostrzeże analogii pomiędzy murem berlińskim oraz murem, który wyrósł nagle pomiędzy nimi. Przytuliła się do niego i podwinęła nogi.

- Fajnie jest, prawda? - powiedziała. Nie była jednak pewna, kogo chce o tym przekonać - Simona czy samą siebie.

Rosie dotarła do domu o dziesiątej, dziwnie rozradowana i wypoczęta jak na kogoś, kto miał jakoby zgłębiać z Jenny problemy angielskiej poezji. Evie obiecała sobie, że jak tylko Simon pójdzie, postara się wyciągnąć z niej prawdę.

Rosie rzuciła jednak tylko okiem na telewizję i ogłosiła, że idzie spać.

- Zmęczona jestem, mam - powiedziała, całując Evie w policzek. Simona demonstracyjnie zignorowała. Evie była zbyt rozproszona, by skarcić ją spojrzeniem.

Zanim Simon wyszedł, Rosie wyłączyła światło. Evie nie pozostawało nic innego, niż także pójść do łóżka, bez zgłębienia tajemnic kryjących się w ślicznej głowce córki. Pewnie chodzi o chłopaka... Cóż innego mogłoby nadać twarzy Rosie ten marzycielski wyraz? Ciekawe, czy naprawdę uczyła się z Jenny i czy matka Jenny rzeczywiście podrzuciła ją do domu... A jeśli nie, to gdzie się włóczyła? Pytania, pytania... I żadnej odpowiedzi, która by ją uspokoiła. No cóż, musi mieć zaufanie do Rosie. Ostatecznie córka ma siedemnaście lat. Nie jest dzieckiem.

Evie zawsze uważała, że matka, która nie pozwala dziecku dorosnąć, to najgorszy koszmar. Ale teoria teoria, a życie - życiem...

Rosie nigdy nie miała chłopaka na serio. Zdarzało się, że umawiała się z kimś do kina, ale zawsze kończyło się na jednej wyprawie. Żaden nie dorastał do jej wyśrubowanych wymagań.

Pozytywną stroną był fakt, że Evie miała pewność, iż żaden z tych odrzuconych adoratorów nigdy nie skłoniłby jej dumnej córki do zrobienia czegoś wbrew jej woli. Rosie była uparta i dobrze wiedziała, czego chce. Przeciętny żółtodziób nie był w stanie wpędzić tego typu dziewczyny w kłopoty. Ale obecny chłopak to zupełnie inna para kaloszy... Evie już drugą noc z rzędu przewracała się z boku na bok, nie mogąc zasnąć. Kiedy po mniej więcej godzinie przestała w końcu gryźć się sprawą Rosie, przerzuciła się na Maksa i ich ostatnie spotkanie.

To nie była zabawa, fantazja na motywach któregoś z jej książkowych romansów. To było życie. Max nie był fikcyjnym bohaterem, którego można w dowolnej chwili odłożyć na półkę. Był z ciała i krwi. I stanął między nią a Simonem. Biedny Simon.

I co ona ma teraz zrobić? Zapomnieć Maksa, to jasne. Tak właśnie powinna postąpić. Musi. I o tym wyjeździe do Hiszpanii też. Nawiasem mówiąc, w pracy oprócz urlopu, który wykorzysta na miesiąc miodowy, i tak dostałaby najwyżej tydzień wolnego. Więc nie ma o czym mówić, prawda?

Olivia ćwiczyła.

- Stephen, zawsze uważałeś, że nie powinnam uczyć tych małych przestępców, jak ich nazywasz...

Nie, to brzmi okropnie. Odrzuciła włosy do tyłu, utkwiała wzrok we własnej twarzy odbitej w łazienkowym lustrze i spróbowała jeszcze raz.

- Kochanie... - O, tak lepiej. - Kochanie, wiem, że będziesz na mnie zły, że trzymałam to w sekrecie, ale mam nową pracę. Max Stewart...

Nie, Maksę trzeba zostawić w spokoju. Stephenowi by się nie podobało, że Max miał z tym coś wspólnego.

- Słyszałam o tym okienku kulinarnym w porannym programie...

- Mamusiu - zawołała Sasha ze swojego pokoju - tata wrócił.

Olivia przerwała cykl ćwiczeń na temat „jak, do diabła, mu o tym powiedzieć” i wybiegła do hallu.

Stephenowi towarzyszyło trzech mężczyzn w garniturach. Oczywiście mieli nieco szkliste. Cała trójka z uznaniem wciągała w nozdrza kuszący aromat ragout z jagnięcia.

- Witaj, kochanie - na użytek niemieckich gości z centrali Stephen objął **Olivia** ramionami i przycisnął mocno do swojego nowego jedwabnego garnituru w kolorze szarym, a następnie pocałował w usta. Poczowała woń czerwonego wina.

- Olivia, moja piękna żona - przedstawił ją trzymając dłoń na jej pośladku. Nigdy nie miał takiego zwyczaju... - Nie mówiłem, że jest piękna? - dodał, zwracając się do najstarszego z gości i najwyraźniej najważniejszego.

Goście zachichotali jak uczniacy przyłapani na ukradkowym czytaniu „Playboya”.

- Proszę nam wybaczyć, pani MacKenzie, że spóźniliśmy się na kolację - powiedział gość-senior, gdy prezentacja została zakończona. - Zabraliśmy męża na drinka, żeby uczcić pomyślne załatwienie pewnego interesu.

- To musiał być duży sukces, skoro udało się panom wyciągnąć mego męża do pubu - powiedziała uprzejmie Olivia z leciutkim odcieniem drwiny. - Nie jest mężczyzną, który często tam bywa.

Ręka Stephena, skryta przed oczami gości, ścisnęła jej pośladek nieco mocniej. W obawie, że mogą zobaczyć, Olivia wysliznęła się z objęć męża.

- Kolacja gotowa, panowie. Zapraszam do stołu.

Sterując skomplikowanym oprzyrządowaniem swojej niepokalanej kuchni, Olivia zdecydowała, że dzisiejszy wieczór to doskonały moment na powiadomienie Stephena o jej zbliżającym się telewizyjnym debiucie. Lekko podпиты, zadowolony z udanych interesów i najwyraźniej napalony - doprawdy, trudno o lepszą okazję. Postara się możliwie długo nie wspominać mu o tym, pod jakim nazwiskiem będzie występować na ekranie, by miał czas oswoić się najpierw z myślą, że w ogóle będzie pracować w telewizji. Dopiero potem... Stephen nie pił zbyt często i jeśli mu odrobinę pomoże, przed pójściem do łóżka będzie ululany.

Postanowiła, że zajrzy do książki kucharskiej i znajdzie przepis na sos śmietanowy z dodatkiem wódki. Można też dodać trochę do sorbetu, który

zamierzała podać między daniami głównymi. Spotkała się z podobnym zwyczajem w Szwajcarii, a mogłaby przysiąc, że przyjęcie miało charakter międzynarodowy, gdyż uczestniczyli w nim goście z różnych krajów. Nieco większa doza mocno alkoholizowanego Irish Mist w puddingu też nie zawadzi...

Goście, do spółki z gospodarzem, zdążyli opróżnić butelkę starki, dwie butelki białego wina i trzy czerwonego, zanim, głęboko usatysfakcjonowani, zostali wsadzeni do taksówki przez niezbyt pewnie trzymającego się na nogach Stephena. Olivia, patrząc na bałagan, jaki został po nich w pokoju, zdecydowała, że posprząta rano.

- Było fantastycznie - powiedział przesadnie głośno Stephen, wróciwszy do mieszkania. Olivia skrzywiła się lekko. Jeszcze obudzi Sashę... Pomyślała jednak, że skoro małej nie obudziło „Seven Drunken Nights” w bełkotliwej interpretacji taty, znieśie i to.

- Idę do łóżka - mruknął, niemal wpadając na beczenną lilię Olivii w hiszpańskiej donicy.

- Ja też.

Spojrzał na nią zdumiony. Zazwyczaj w podobnej sytuacji Olivia nie słała spać, dopóki nie posprzątała, bez względu na porę. Musiała powkładać naczynia do zmywarki, wyszorować rondle, uporządkować jadalnię...

W sypialni zrzuciła pantofle i rozpuściła kok. Zdążyła wyjąć z ucha jeden kolczyk, gdy z łazienki wrócił Stephen, tylko w koszuli i w skarpetkach, ukazując mocne, owłosione nogi. Objął ją z uśmiechem.

- Lubie, kiedy przychodzą goście - mruknął, niezgrabnie odpinając guziki jej bluzki - ale nie podoba mi się, jak Gerhard na ciebie patrzył.

- Nie wygłupiaj się - odparła. Przecież Gerhard spoglądał na nią co najwyżej ukradkiem... Zauważyła to, owszem. A poza tym był bardzo miły. Zaproponował na przykład, że pomoże jej w kuchni, co Stephenowi nie zdarzyło się nigdy w życiu.

- Patrzył, patrzył - upierał się Stephen. - Wtedy, kiedy nie widziałas. Dosłownie pożerał cię oczami. Zabiłbym każdego, kto ośmieliłby się ciebie dotknąć - powiedział groźnie, wsuwając dłonie pod jej bluzkę. - Jesteś moja, Olivio. Tylko moja. Nie będę się tobą z nikim dzielił.

Poczuła dreszcz. Prawdopodobnie więc nie będzie też chciał dzielić się nią z telewizzami...

Kiedy gwałtownie przypadł ustami do jej piersi, zamknęła oczy z rezygnacją. Trudno, dziś mu już nie powie. Może rano...

Rano okazało się, że Stephen ma kaca. Z miejsca pokłócił się o rzeczy, które musiał zabrać w dwutygodniową podróż. Wyjeżdżał po południu.

- Nie wiedziałam, że wyjeżdżasz - Olivia była zdumiona.

- Dowiedziałem się wczoraj - odparł szorstko. Schowany do połowy w szafie, szukał swojej czarnej koszuli od Ralpa Laurena. - Dzwoniłem dwa razy, ale cię nie było. Gdzie byłaś, do licha? - spytał z irytacją.



- No wiesz, kręciłam się tu i tam, jak zwykle... Robiłam zakupy na przyjęcie.

- No, jest - wykrzyknął triumfalnie, wyciągając zgubę. - Jeszcze tylko ta niebieska...

Okazało się, że niebieska jest brudna. Złość Stephena rosła. Wreszcie zdołał spakować walizkę w sposób jako tako zadowolający, wspomniawszy po drodze dwukrotnie, że bez niebieskiej...

- Gdybyś nie zapomniał powiedzieć mi wieczorem, byłabym uprała wszystko, co ci jest potrzebne - Olivia czuła, że nie ma chęci brać na siebie całej winy. - Będzie mi ciebie brakować... - dodała, by go udobruchać. Nie było to do końca prawdą.

- Wiem. Moje maleństwo znowu będzie musiało być kwoczką - przyciągnęła ją do siebie. - W nocy było super, prawda? - mruknął.

Znowu ta cholerna kwoczką! Czy to wszystko, czym dla niego jestem? - pomyślała z nagłą złością. Kwoczką, praczką... Czy tylko z tego ma się składać jej życie?

- Chcę ci o czymś powiedzieć, Stephen - powiedziała chłodno.

- Co takiego? - spojrzał na nią ostro.

Momentalnie straciła odwagę.

- Chyba pojedę na parę dni do rodziców, kiedy cię nie będzie - skłamała szybko.

Na twarzy Stephena odmalowało się zdumienie.

- Przecież normalnie zabierasz się od nich najszybciej jak możesz - powiedziała, wzruszając ramionami. Wymowa gestu była jasna: „Kobiety, kto was zrozumie?” - Rób, co ci się podoba, kochanie - dokończył.

Kiedy wyszedł, zanurzyła dłonie we włosach i szarpnęła je w bezsilnej złości. Głupia, głupia! Czy nie mogła raz w życiu zdobyć się na odwagę? Raz w życiu być uczciwą?

Ledwie zdążyła odprowadzić Saszę do koleżanki, gdy zadzwonił Paul Reddin - producent telewizyjny, przyjaciel Maksa, którego wówczas nie zastała. Obejrzał właśnie taśmę z jej występem i był zachwycony. Proponował, by przyjechała jutro podpisać kontrakt. Czy może?

- Ależ naturalnie - odparła bez namysłu. Po chwili, nie chcąc, by uznał ją za amatorkę, która podnieca się na samą myśl o pokazaniu się w telewizji, zadała parę pytań na temat płac oraz niezbędnych wydatków.

Odłożyła słuchawkę i zatańczyła z radości. Jej zarobki miały być dwukrotnie wyższe niż to, co otrzymywała jako nauczycielka! Dawno powinna była pójść do telewizji.

Telefon zadzwonił ponownie.

- Słucham - powiedziała z ożywieniem, jakiego nie pamiętała od miesięcy.

- Olivio, tu Max. Chciałem się dowiedzieć, jak ci poszło z próbą?

- Max! - wykrzyknęła. - Fantastycznie, wyobraź sobie! Dostałam tę pracę, masz pojęcie?

- No pewnie - odparł ciepło. - Jak tylko cię zobaczyłem, od razu się zorientowałem, jakie masz możliwości. A jak ci się podoba Paul?

- Nie widziałam go dotąd na oczy. Ale za to poznałam Nancy Roberts. Co za szok... Jest zupełnie kimś innym niż myślałam!

Max wybuchnął śmiechem.

- Jak ci opowiem parę historii o tej pani, to ci włosy staną dęba. Wiesz co? Trzeba to uczcić. Zabieram cię na lunch. Masz czas dzisiaj?

Olivia podskoczyła z radości. Jeszcze przed chwilą groziło jej, że będzie musiała cieszyć się swoim sukcesem samotnie.

Zaczyna się nowe życie! Śpiewając wraz z radiem, przemknęła z odkurzaczem przez pokoje. Wraz ze Stephenem i jego wrogimi spojrzeniami zniknęła gdzieś zły nastrój Olivii. Powietrze było lżejsze, dom szczęśliwszy. Czowała, że potrafi wszystko.

Zmywarka szumiała, kuchnia lśniła, z jadalni zniknęły najdrobniejsze okruszki. Olivia wyszła z domu, ubrana ze względu na niezwykłą okazję w kostium w prążki, jaki zwykły nosić kobiety interesu. Początkowo zamierzała włożyć różową jedwabną suknię, ale zrezygnowała. Pora zacząć wyglądać jak profesjonalistka.

Max nadjechał w momencie, gdy wrzucała monety do parkomatu na Merrion Squarre.

- Pięknie wyglądasz. Zupełnie jak kobieta z mediów - zauważył, całując ją na powitanie w policzek.

- To zabiera strasznie dużo czasu. Normalnie ubieram się w pięć minut.

- Ale dobrze ci w tym.

Liczba osób, jakie pozdrowiały Maksa, gdy tylko weszli do „Patrick Guilbaud's”, uświadomiła Olivii, jak znaną i wpływową osobą jest jej towarzysz. Z wszystkimi był po imieniu, z każdym zamienił parę miłych słów... Kiedy szli do stolika, zwróciła uwagę, że jak na tak potężną sylwetkę porusza się zaskakująco lekko i z wdziękiem. Dotąd uważała, że ze wszystkich znanych jej wysokich mężczyzn najbardziej płynny chód ma Stephen. Jednak Max, choć jeszcze wyższy i bardziej atletycznie zbudowany, poruszał się dosłownie jak kot.

I naprawdę wiele mógł... Przedstawił ją na przykład rekinowi mediów, którego nazwisko widziała kiedyś na liście najbogatszych ludzi świata. Rekin klepnął Maksa w ramię i spytał, kiedy znowu wyprawia się na marliny. I oto Max użył swojej mocy, żeby jej pomóc! Jego przyjaciel Paul był dość znaną osobą w świecie telewizji, a przecież jedno słówko Maksa wystarczyło, by zapewnić jej, kompletnej nowicjusze, możliwość udziału w przesłuchaniu, o co zapewne ubiega się mnóstwo osób... Pytanie tylko, dlaczego to zrobił?

- Dlaczego załatwiłeś mi to przesłuchanie? - spytała wprost, gdy usiedli przy stoliku, każde ze swoją kartą dań i szklanką wody mineralnej.

- Uważasz, że mam jakieś ukryte motywy?

Uśmiechnęła się.

- To tak jak w tym dowcipie. Rozmawia dwóch facetów i jeden pyta: słyszałeś, że Irlandczyk zawsze odpowiada pytaniem na pytanie? A drugi na to: a kto ci o tym powiedział?

Max zachichotał.

- Trafna uwaga, pani MacKenzie. Czy może raczej pani de Vere?

- Rozmawiałaś z Paulem! - powiedziała oskarżycielskim tonem. - A ja chciałam opowiedzieć ci o szczegółach...

- Przepraszam - rzekł, nie wyglądał jednak na zmieszanego. - Po prostu zadzwoniłem do niego po rozmowie z tobą żeby zapytać, jak mu leci. Gdyby nie to, z pewnością nie wypytywałbym go za twoimi plecami. A swoją drogą to znakomity pomysł z tym panińskim nazwiskiem. Jest znacznie bardziej interesujące, tyle że... - zawiesił głos - problematyczne.

Westchnęła ciężko.

- To prawda. Dotąd nie powiedziałam mężowi ani o tej próbie, ani o nazwisku... Dostanie szału, jak się dowie. Myślałam, że powiem mu dziś rano, ale właśnie wybierał się w kolejną podróż służbową i nie było czasu. A właściwie to był... tylko nie miałam odwagi. - Spojrzała zdziwiona na Maksa. - Co to jest, że z miejsca ujawniam przed tobą moje najskrytsze tajemnice? Czarownikiem jesteś, czy co?

Żartowała, ale nie do końca. To naprawdę dziwne, że tak łatwo przychodzi jej mówić mu wszystko to, o czym dotąd mogła rozmawiać tylko z Evie... Nigdy wcześniej nie była w podobnej relacji z mężczyzną - platonicznej, a pomimo to pełnej znaczenia. Bo rzeczywiście ich wzajemna sympatia była wyłącznie platoniczna. Dobrze się czuli ze sobą, ale nie było w tym cienia erotycznego podtekstu.

- Zmieszałem oko salamandry, skrzydełko nietoperza i kilka włosów, które wyrwałem po kryjomu z twojej szczotki do zamiatania - wyjął z powagą.

Gdyby nie znajdowali się w wytwornej restauracji, Olivia cisnęłaby w niego kartą dań. W obecnej sytuacji ograniczyła się do srogiego spojrzenia, które od razu złagodniało, gdy dostrzegła błysk w oku Maksa.

- Nie, naprawdę - powiedziała z przyganą. - O co tu chodzi?

Max wzruszył ramionami.

- Nie chciałbym cię urazić, ale chyba rzecz w tym, że nie interesuję się tobą jako kobietą. Myślę, że coś takiego zdarza ci się zupełnie wyjątkowo, bo jesteś tak piękna, że większość mężczyzn zapewne ślini się na twój widok. Albo ich zatyka.

Gdyby mówił to inny facet, z pewnością byłaby czerwona ze wstydu. Ponieważ jednak był to Max, uśmiechnęła się, lekko tylko zakłopotana.

- Doceniam twoją urodę - podkreślił z naciskiem - ale nie mam zamiaru ani chęci z niej skorzystać. A ty o tym instyktownie wiesz. I dlatego czujesz się przy mnie swobodnie. Ja cię nie stresuję.

- To zupełnie tak, jakbym miała przyjaciela-geja - zadrwiła.

- No cóż, zdemaskowałam mnie. Jesteśmy kwita.

Kiedy kelner przyjął zamówienie, Olivia wróciła do tematu.

- No więc dobrze. Nie chcesz zaciągnąć mnie do łóżka, a myślę, że nie chcesz także zaciągnąć do łóżka mojego męża. W takim razie dlaczego załatwiłeś mi to przesłuchanie?

Max złożył palce obu dłoni na kształt wieży i spojrzał na nią nieprzeniknionym wzrokiem.

- Chciałem zrobić coś dla mojej nowej rodziny.

-Ale przecież ja nie należę do twojej nowej rodziny.

- To prawda - rzekł powoli. - Ale jesteś bliską przyjaciółką... - ugryzł się w porę w język - ...rodziny.

Olivia dostrzegła unik, ale nie drażyła kwestii. Nie musiała... Wiedziała instyktownie, o którego członka rodziny mu chodzi, czyjego imienia o mało co nie wypaplał. Evie. Widziała przecież, jak nie spuszczał z niej oka na weselu, jak gorączkowo wpatrywał się w nią i Simona, i jak natychmiast odwracał wzrok, gdy tylko któreś z nich spojrzało w jego stronę. Biedny Max... Najwyraźniej Evie wpadła mu w oko, ale czy może wynikać z tego coś dobrego? Czy zdradził się przed nią ze swoim zainteresowaniem? Może to dlatego Evie tak demonstracyjnie go nie cierpi?

- No i tyle. To cały mój motyw - powiedział zdecydowanie, ucinając kwestię. Olivia chętnie by jeszcze o tym porozmawiała, ale Max najwyraźniej nie miał chęci.

W czasie posiłku bawił ją opowieściami ze świata telewizji, zwłaszcza o straszliwej Nancy. Była jakoby równie nienasycona erotycznie, co złośliwa -jeśli tylko historie o uwodzonych przez nią niewinnych młodych kamerzystach były prawdziwe. Dawno nie bawiła się tak dobrze... Max znakomicie opowiadał i zanim jeszcze skończył szkicować biografie osób, które poznała bądź miała wkrótce poznać, kłuło ją w boku ze śmiechu.

Powiedział również, że Nancy Roberts już usiłowała się jej pozbyć.

- Zanim jeszcze zostałam zatrudniona? - spytała zdumiona.

- Paul nie traktuje poważnie jej insynuacji. Jest wielu producentów, którzy pozwalają, by gwiazda nimi rządziła, a czasami, gdy gwiazda jest dostatecznie mocna - Max uśmiechnął się smętnie - wręcz muszą pozwolić. Inaczej wylatują z pracy. Ja też mam u siebie podobną damę... No, ale Nancy potrzebuje Paula tak samo, jak on potrzebuje jej, więc nie może go wymenwrować. Nie pozwoliliby jej na to. I dlatego jesteś bezpieczna. Inna rzecz, że nikt nie wie, jakie jeszcze numery Nancy spróbuje ci wyciąć, żeby cię zniechęcić do pracy w telewizji. Ale dasz sobie radę.

Powiedział to z takim przekonaniem, że Olivia poczuła, iż jej wiara w siebie gwałtownie rośnie. Rzeczywiście, da sobie radę z Nancy Roberts.

Przy kawie wrócili jeszcze raz do tematu Fraserów, tak jak pies wraca w miejsce, gdzie zagrzebał szczególnie smaczną kość.

- Długo znasz Simona? - spytał Max, bawiąc się od niechcenia uszkiem filizanki. Usiłował być subtelny, ale mu kompletnie nie wyszło.

- Odkąd Evie zaczęła się z nim spotykać. Blisko dwa lata.

- A kiedy się pobierają?

- We wrześniu.

Długie palce mocniej ścisnęły delikatne uszko. Olivia złąkała się o los filizanki. On naprawdę jest zafascynowany Evie... Zdecydowała opowiedzieć mu nieco o przyjaciółce.

- Evie od dawna była sama. Myślę zresztą, że twoja matka dobrze o tym wie. Nie było jej łatwo wychowywać Rosie bez ojca... Myślałam, że dała sobie spokój z mężczyznami i ucieszyłam się, kiedy pojawił się Simon.

- Wygląda na sympatycznego gościa - zauważył Max.

- **1** jest sympatyczny. Jest bardzo... - Olivia zastanowiła się - miły i uprzejmy. Choć muszę przyznać, że nie spodziewałam się, że Evie zainteresuje się tym typem mężczyzny.

- A jakim? - Max pochylał się do przodu z ożywioną twarzą.

- Kimś bardziej w stylu macho. Silniejszym. Bo ja wiem... - Olivia poczuła cięć winy wobec Simona, którego przecież lubiła, ale chciała być uczciwa. Wrażliwy, raczej milczkowaty Simon zaskakiwał u boku Evie - kobiety, która, zapytana o ideał mężczyzny, wymieniłaby najprawdopodobniej Retta Butlera, gdyby tylko nie starała się ukryć swoich romantycznych ciągót za fasadą opanowania i rzeczowości. - Mąż Evie był całkiem inny niż Simon.

- A jaki był?

Olivia słabo już pamiętała Tony'ego Mitchella, choć była druhną na ich ślubie w Kerry, rodzinnym mieście pana młodego. Malutki kamienny kościółek nie miał centralnego ogrzewania i Evie, niebieska na twarzy, trzęsła się z zimna w swojej prościutkiej, perłowej ślubnej sukni, którą obie kupiły tydzień wcześniej. Jej przysłała teściowa, równie niebieska, ale ze złości, zaciskała z dezaprobatą wargi. Jediną osobą w tamtym gronie, która wydawała się zadowolona, był ojciec Evie. Jak zawsze stoik w obliczu katastrofy - pomyślała ciepło Olivia.

Właściwie pamiętała przede wszystkim oczy Tony'ego - nieprzeniknione, czarne, zupełnie takie jak u Rosie. Osoby o tym typie urody określano jako „czarnych Irlandczyków”. Jego przodkiem musiał być jeden z hiszpańskich żołnierzy, którzy w czasach elżbietańskich wylądowali na irlandzkim wybrzeżu i spłodzili nową rasę ciemnokochanych dzieci o oliwkowej cerze - tak odmiennych od bladokórych, niebieskokochanych Celtów.

Właśnie to pociągnęło do niego Evie. W niczym nie przypominał żadnego z chłopaków, z którymi spotykała się wcześniej. W swoim granatowym

policyjnym mundurze, z sarkastycznym uśmiechem na cygańskiej twarzy, naprawdę mógł się podobać... Był właśnie w typie Retta Butlera. Szkoda tylko, że nie miał równie męznego i gorącego serca jak on.

Być może dlatego Evie nie szukała więcej w życiu herosa i wybrała skromnego, nieefektownego Simona? Mężczyznę, który nigdy nie rozpałił w niej - ani w żadnej innej kobiecie - płomienia... Olivia wróciła do rzeczywistości. Max chciał, by opisała Tony'ego, ale nie mogła przecież zdradzać tajemnic przyjaciółki - nawet komuś, kto zdawał się być ucieleśnieniem jej najskrytszych pragnień.

- Był bardzo dzielny. Należał do Gardai - przekazała Maksowi wersję oficjalną. - Za pracę w policji dostał odznaczenie. Zginął tragicznie w wypadku.

- Rzeczywiście, brzmi to tragicznie. Biedna Evie... Pewnie go bardzo kochała? - spytał w zadumie.

- O, tak - powiedziała szybko i wysączyła resztę kawy. - Bardzo mi się tu podoba, ale muszę już jechać po Sashę. Zabieram ją z koleżanką na pływalnię.

Spędziwszy popołudnie na barszkwaniu w płytkiej wodzie, a potem na suszeniu dwojga nieustannie kręcących się dzieci przy wtórze ich przeraźliwych pisków, Olivia poczuła, że potrzebuje towarzystwa kogoś dorosłego. Stephen wyjechał, mogła więc robić co chce. A jakby tak poplotkować godzinkę z Evie?

Kiedy przyjechała, holując z sobą zmęczoną Sashę, Evie przygotowywała kolację - coś, co byłoby jadalne zarówno dla Simona, jak i dla Rosie.

Olivia zaprowadziła córeczkę do salonu, dała jej do zabawy Barbie, włączyła „101 Dalmatyńczyków” i wróciła do kuchni. Evie, wyraźnie znużona, obsmażała na oliwie kawałki kurczaka.

- Dałabym nie wiem co za filiżankę herbaty - powiedziała, odgarniając włosy wierzchem dłoni. - I jestem potwornie głodna. Znowu jestem na diecie - dodała ponuro. - Nie wiem czemu, ale wciąż nie mogę zrzucić tych dwu i pół kilo, które mi przybyły jeszcze w czasie świąt.

- Biedactwo - Olivia włączyła czajnik. - A ja jadłam dzisiaj lunch z Maksem - powiedziała z ożywieniem. - Strasznie było fajnie.

Ku własnemu zdumieniu Evie poczuła ukłucie w sercu. Olivia była na lunchu z Maksem... Zazdrość przeszła wewnątrz Evie, niczym szpikulec kurczaka, kiedy odwracamy go, by sprawdzić, czy już się upiekł. Tyle że metaforyczny sok, jaki wypłynął z jej ciała, nie był czysty i klarowny - był zielony od zazdrości.

- Na lunchu? - spytała, siłąc się na obojętny ton. - O, to miło. A gdzie byliście?

- U Guilbauda - Olivia była zbyt podekscytowana, by wyłapać szczególną nutę w głosie przyjaciółki.

- U Gilbauda? - tym razem Evie nawet nie starała się udawać obojętności. Najbardziej ekskluzywna i snobistyczna knajpa w Dublinie... Nieraz marzyła, żeby tam pójść. Wytworny strój, przystojny mężczyzna u boku, sztab francuskich kelnerów reagujących na każde skinienie... Na rozważnego i oszczędnego Simona nie można było jednak liczyć w tej sprawie. A Max - proszę! No tak, luksus i elegancja to jego świat. I zabrał tam Olivie. Kto by pomyślał, że to może tak boleć...

Co za rozpustnik! Nie mógł dostać jednej kobiety, to od razu bierze się za drugą... Jak pijany marynarz, któremu wszystko jedno, w jakim znajdują się jej porcie, byle tylko czekało na niego jakieś chętne damskie ciało.

Olivia opowiadała, co jedli.

- Przypiekane małże, miękkie jak masło - wzniosła oczy. - Mówię ci, nigdy nie jadłam czegoś takiego. Ten szef kuchni jest geniuszem. Ciekawe, czyja bym mogła zrobić takie małże w telewizji?

Olivia ma dziwne priorytety... Evie ze złością przewracała kawałki kurczaka na drugą stronę. Gdyby to ona była z Maksem u Guilbauda, jedzenie byłoby ostatnią rzeczą, na którą zwróciłyby uwagę.

- Był dla mnie bardzo miły - ciągnęła Olivia. - Opowiadał mi o Nancy Roberts. Twierdzi, że to największa gwiazda w tym biznesie. Podobno natychmiast po przesłuchaniu dzwoniła do Paula - wiesz, to ten producent, znajomy Maksa - z awanturą, dlaczego angażuje amatorów. Co oznacza - uśmiechnęła się - że miałaś rację. Musi być zazdrosna jak diabli. Max też tak twierdzi.

Evie stłumiła chęć, by zwrócić Olivii ostro uwagę, że w kółko powtarza „Max to”, „Max tamto”... Albo że jeszcze przedwczoraj tak się przejmowała mściwą Nancy, że zastanawiała się, czy nie lepiej dać sobie z tym wszystkim spokój i nigdy więcej nie pokazać się w studiu. A teraz proszę! Zachowuj się tak, jakby Nancy Roberts stanowiła co najwyżej irytujący, ale mało istotny szczegół - nic, co mogłoby jej przeszkodzić w telewizyjnej karierze.

- Rzecz w tym, że Nancy od lat usiłuje dostać ten wieczorny show w czasie największej oglądalności. Ale jak raz spróbowała, oglądalność gwałtownie spadła - Olivia z łatwością przeszła na telewizyjny żargon. - Dlatego teraz robi co może, żeby zatruć życie wszystkim dookoła. Co się stało, kochanie? - nachyliła się nad Sashą, która weszła do kuchni z buzią w podkówkę. - Film się skończył?

Dziewczynka potrząsnęła główką, wsadziła kciuk w usta i przylgnęła do kolan matki.

Olivia wzięła ją na ręce, przytuliła i pocałowała w miękkie, pachnące brzoskwiniowym szamponem włoski. Czuła, że strasznie ją kocha... Po chwili dziecko wywinęło się z jej objęć i podreptało z powrotem do salonu.

- Jakoś marudzi ostatnio - powiedziała z troską Olivia. - Być może czuje napięcie w domu, bo wróciła do ssania kciuka. A nie ssała już od miesięcy...

Nie wiem, co robić. Obojętne jak by się Stephen zachowywał, ja wszystko zniosę, ale jeśli to ma w taki sposób wpływać na Sashę...

Na widok niepokoju Olivii Evie poczuła gwałtowne wyrzuty sumienia. Jak mogła posądzać ją choćby w myśli, że flirtuje z Maksem! Biedna Olivia i tak ma dość. Gdzie jej do flirtów... Pomimo wszystkich wad Stephena nadal go kocha i małżeństwo jest dla niej najważniejsze.

Wszystko przez tego Maksa...

Pogadały jeszcze parę minut - do momentu, gdy przyszedł Simon, prosto z pracy, jak zwykle w przekrzywionym krawacie. Nie zwracając uwagi, że Evie stoi przy kuchni, obwieścił, że zamówił kolację w hotelu, na dwie osoby. W tym, w którym miało się odbyć ich weselne przyjęcie.

- Trzeba sprawdzić, jaka jest ta ich połówka z jagnięcia - powiedział ochoczo i podsunął opadające okulary, gestem, który wykonywał chyba z pięćdziesiąt razy dziennie.

Zwykle w takim wypadku Evie obiecywała sobie, że musi mu kupić nowe oprawki. Dziś ją to wyłącznie zirykowało. Walnęła patelnią w kuchenkę. Może wreszcie zauważy, co ona robi?

Simon, niezrażony, poklepał ją po ramieniu.

- Nie przejmuj się. Będzie dla Rosie.

- My już chyba pójdziemy - Olivia czuła wiszącą w powietrzu kłótnię. Pozbierała zabawki Sashy, zdjęła z wieszaka jej płaszczyk. - Króliczek musi szykować się do spania - poślaskotała kręcące się nerwowo dziecko.

Była już za bramą, kiedy przypomniała sobie, że nie powiedziała Evie, ile razy wspominał o niej Max. Była przekonana, że zaprosił ją na lunch wyłącznie po to, by mieć pretekst do pogadania z nią o Evie. Jak zręcznie manewrował, by wciąż na nowo wracali w rozmowie do tego tematu... A potem zapomniał o subtelnościach i zapytał wprost o Simona i o to, jak długo się spotykają. Miał bzika na punkcie Evie, to było równie oczywiste jak fakt, że ma nos pośrodku tej swojej niesamowicie przystojnej twarzy.

Powie jej następnym razem. Evie powinna wiedzieć, co czuje do niej Max.

- Ślicznie tu, prawda?

Simon namiętnie ścisnął pod stołem rękę Evie. Nie należał do mężczyzn, którzy robiliby to jawnie. Uważał, że publiczne okazywanie uczuć jest w złym stylu.

Evie nie poczuła nic. Jej ręka była równie wrażliwa jak martwy halibut. Spróbowała uśmiechnąć się do narzeczonego, ale bez skutku. Czy można uśmiechać się do dentysty, który świdruje nam wiertłem w zębie, pogadując: „Nic nie boli, prawda?”

- Coś nie tak, Evie? - zorientował się Simon.



Tak! - miała chęć wrzasnąć na cały głos. Tak, i to bardzo! Nie powinniśmy tu siedzieć i omawiać weselnego menu. A przede wszystkim nie powinniśmy się pobierać! To błąd!

Nie powiedziała jednak nic. Zebrała całą swoją energię i spróbowała przybrać wyraz twarzy, jakby odpłynęła na chwilę w marzenia o tym szczęśliwym dniu, gdy jako panna młoda będzie siedziała na tym miejscu z buzią pełną pieczonego jagnięcia oraz cukinii w śmietanie, uważając, by nie poplaścić wspaniałej ślubnej sukni.

- No wiesz... to wesele - powiedziała, na wypadek gdyby Simon nie zrozumiał tego bezsłownego przekazu. - Mam nadzieję, że nie będzie tu drugiego w tym samym dniu - dodała sprytnie, wiedząc, że odwróci to jego uwagę. Nic nie poruszało Simona bardziej niż myśl, że mógłby być w jakiś sposób oszukany przez czynniki odgórne.

- O Boże! No myślę, że nie! - zawołał, zaalarmowany. - Ale nic o tym dotąd nie wspominaliśmy. Musimy im zaraz powiedzieć.

- Słusznie - Evie skinęła zachęcająco głową. - Idź, zrób to.

Simon biegał w poszukiwaniu organizatora przyjęcia, który prawdopodobnie o tej porze siedział w domu przed telewizorem i oglądał „Eastenders”, Evie zaś mogła na chwilę oddać się w samotności własnym myślom.

Młoda kelnerka przyniosła zamówione aperitify. Evie z przyjemnością sączyła campari z wodą sodową rozglądając się po sali. Inne pary, które przyszły do tej spokojnej restauracji na kolację, sprawiały wrażenie szczęśliwych. Nie wyglądało, by którakolwiek z obecnych tu kobiet marzyła przez całe lata o wyjściu za mąż, a gdy wreszcie narzeczony się pojawił, zapragnęła, by rozłączył się w powietrzu...

Nie, nie! To nie tak. Wcale przecież nie chce, by Simon zniknął. Kocha go, zależy jej na nim. Nie wie tylko, czy nadal jest w nim zakochana... Skąd człowiek może to wiedzieć na pewno?

Jeszcze dziesięć dni temu nie chwyciła tej różnicy. Kochać i być zakochanym wydawało się jej tym samym. I w mgnieniu oka wszystko się zmieniło.

Simon opadł na przeciwległe krzesło.

- O Matko Boska. Wiedziałem, że będą kłopoty - demonstracyjnie otarł pot z czoła.

- Tak? - Evie rozpaczliwie usiłowała okazać zainteresowanie.

- Żartowałem - wyjaśnił niewczesny humorysta. - Zastępca szefa powiedział, że z zasady urządzają tylko jedno wesele w danym dniu. Mamy szczęście.

- Rzeczywiście - odparła słabo. - Mamy szczęście.

Półtorej godziny później, z żołądkiem wypełnionym jedzeniem, którego smaku nie pamiętała, Evie siedziała obok Simona w samochodzie. Dotarli do miejsca, gdzie z dwupasmówki można było skręcić bądź w lewo, do Simona, bądź w prawo - do Evie. Nieoczekiwanie poczuła, że to dla niej bardzo ważne -

pójść z nim teraz do łóżka, kochać się. Może to, niczym egzorcyzmy, wypędzi jej z głowy niewłaściwe myśli?

- Pojedźmy na chwilę do ciebie - powiedziała gwałtownie, chwytając go za ramię. - Na godzinkę.

Nie widziała jego oczu, gdyż patrzył w skupieniu na jezdnię, ale było jasne, że sprawiło mu to przyjemność. Chrząknął, brawurowo wykonał skręt w lewo i poklepał ją w kolano.

Dojechali. Evie weszła do niepokalanej czystości kuchni, Simon zaś poszedł zaciągnąć zasłony w salonie i zapalić światło.

- Zrobimy sobie drinka, kochany? - spytała, kierując się w stronę szafki, gdzie Simon trzymał alkohol. Czuła, że musi się czegoś napić.

Nawet jeśli zaskoczyła go ta nieoczekiwana chętką na drinka do poduszki, nie pokazał tego po sobie.

Evie hojną ręką nalała sobie wódki i uzupełniła odrobiną soku pomarańczowego - sposobem podpatrzonym kiedyś u Cary. Nie była przyzwyczajona do mocnego alkoholu, a słodycz soku łagodziła nieco gryzący smak czyściochy. Wychyliła połowę i, wciąż trzymając w jednej ręce szklanke, podeszła do Simona i pocałowała go w usta. Przywarł ciałem do jej ciała. Jego nagła erekcja jasno mówiła, że nie kochali się już ponad dziesięć dni... Jęknął i przywarł do niej jeszcze mocniej.

- Chodźmy na górę - szepnęła.

- Dobrze - głos miał lekko schrypnięty.

Poszedł pierwszy. Pewnie chce sprawdzić, czy łóżko jest równie nieskazitelne jak zawsze - pomyślała. Szła po schodach, kończąc drinka. Skrzywiła się przy ostatnim łyku; na dnie wódka była najmniej rozcieńczona i niemal spaliła jej gardło.

Kiedy weszła, Simon pospiesznie odpiął koszulę. Evie postawiła pustą szklanke i zaczęła ściągać sweter, czując w sobie zero miłosnego zapału. Dziwne, że Simon tego nie zauważał - nawet jeśli to ona pierwsza zaproponowała, by pójść do łóżka...

Ściągnął skarpetki, potem spodnie i powiesił je starannie na poręczy krzesła, sprawdzając, czy kanty są właściwie ułożone. Max by tego nie robił - pomyślała irracjonalnie. Tak by się do niej śpieszył, że wzięłby ją natychmiast po wejściu do domu... I na pewno nie pozwoliłby jej rozbierać się samej. Zdejmowałby z niej powoli każdą sztukę odzieży, wpatrując się wygłodniałym wzrokiem w jej ciało...

Pamiętając o zapalonym świetle, Simon pozostał w spodenkach. Odgarnął granatową kołdrę w pasy, wśliznął się pod nią i zachęcająco poklepał łóżko z drugiej strony. Evie przemogła chęć, by wycofać się z całego interesu. Ostatecznie to był jej pomysł.

W majtkach i biustonoszu, mechanicznie wyłączyła górne światło. Pokój pograżył się w ciemności, jedynie z ulicy dochodziła słaba poświata przesiana

przez bładoniebieskie zasłony. W miejscu, gdzie leżał Simon, widziała jedynie nieregularny wybrzuszony kształt.

Powoli wpełzła do łóżka. Ogarnęła ją ramionami i przywarł ustami do jej ramienia, od razu schodząc w dół, ku piersiom. Wpił się w nie namiętnie.

Po raz pierwszy Evie poczuła, że musi po prostu wytrzymać jego pieszczoty, zamiast się nimi cieszyć. Ciało, którego nauczyła się stopniowo po latach celibatu, było teraz obce. Dobrze znane pieszczoty raziły ją. Tak jakby w ogóle nie powinny mieć miejsca.

Wściekła na siebie za te odczucia, przyciągnęła Simona ku sobie i odnalazła ustami jego usta. Całowała go dziko i rozpaczliwie, usiłując wymazać własne zdradzieckie myśli. Nie będzie myślała o Maksie, nie wolno jej.

Zachęcony jej pasją, Simon nie był w stanie dłużej się kontrolować. Jak zwykle walczył chwilę z zapięciem biustonosza, po krótkiej szamotaninie pod kołdrą ściągnął majtki własne i jej i wszedł w nią z jękiem.

Evie objęła go i błędziła dłońmi po jego plecach, tak jak robiła to zawsze. Simon poruszał się w niej gwałtownie. Co parę chwil zwalniał, całował jej ramiona i szyję, i znów powracał do gorączkowych pchnięć. Słyszała, jak oddycha coraz szybciej, i nagle jej oczy wypełniły się łzami. Dlaczego nie może być szczęśliwa? Dlaczego leży tu i czeka, aż się to skończy, zamiast przeżywać uniesienie i radość w objęciach kochanka?

- Evie, jesteś gotowa? - wydyszał. - Przepraszam, ale nie mogę przy tobie zbyt długo wytrzymać... Możemy przerwać na chwilę, jeśli chcesz.

Wiedziała, co to oznacza. Simon położył się obok niej i będzie gorliwie manipulował przy jej kroczu, dopóki nie będzie gotowa. Potem wejdzie w nią z powrotem i skończy razem. Tylko że to teoria... Evie wstydziała się przyznać, że najczęściej udawała orgazm. Żeby w ogóle mogła mieć jakąś satysfakcję, musieliby poświęcać na wstępne pieszczoty trzy razy dłużej czasu, niż zazwyczaj. Simon troszczył się o nią na tyle, na ile zależało mu na wspólnym przeżywaniu orgazmu, ale, niestety, nie był na tyle doświadczony, by rozpoznać różnicę między rzeczywistym przeżyciem a grą.

- Przerwać, kochanie? - powtórzył.

Musiaby wówczas znosić ten akt jeszcze dłużej, marząc, by było to z kim innym... Evie wybrała najprostsze wyjście.

- Nie - postarała się, by jej głos brzmiał namiętnie. - Już jestem blisko. Oooo - jęknęła.

- Kochanie - wydyszał, zwiększając tempo.

Evie jęknęła jeszcze parę razy i wpiła paznokcie w jego plecy. Powielając jego mchy, ona również zaczęła falować pod nim namiętnie. Simon niczego nie zauważał.

Wydał z siebie ochryply krzyk i jego ciało znieruchomiało w spazmie. Evie zrobiła to samo. Doprawdy, gremium przyznające Oscary powinno ją teraz widzieć... Nie była może tak dobra jak Meryl Streep w „Pożegnaniu

z Afryką", ale i tak niezła. Jęczała i wzdychała jak należy. Uspokoiła się we właściwym momencie, by poczuć, jak Simon opada na nią wyczerpany.

- Och, Evie - westchnął, kryjąc twarz w poduszce.

- Kochanie - szepnęła automatycznie.

Przekreślił się nieco, tak by nie spoczywać na niej całym ciężarem. Evie także trochę się odsunęła. Dotykała go teraz tylko jedną nogą, on zaś trzymał rękę na jej piersi. Równy oddech wskazywał, że za chwilę zapadnie w sen. Evie leżała z otwartymi oczami. Łzy, które nie zdążyły spłynąć, wysychały.

Co ty mi zrobisz, Max? - zadawała mu milczące pytanie, tak jakby stał tu przed nią, w tym ciemnym pokoju, i wpatrywał się w dwie postacie w królewskich rozmiarów łożu. Co ty mi zrobisz?

Zoe pilnie pochylała ruda głowę nad biurkiem, niemniej dokładnie wiedziała, co Cara zamierza zrobić.

- Nie przypuszczałam, Fraserówna, że doczekam dnia, w którym zaczniesz używać konturówki - zauważyła, nie zmieniając pozycji.

Cara podskoczyła, spłoszona. W jednej ręce trzymała małą pudemiczkę z lusterkiem, którą kupiła przed tygodniem, w drugiej zaś - niewielki ołówek. A przecież była to tylko konturówka Boots nr 17, a nie fika z marihuaną.

- Szukam tylko mojej wazelinowej pomadki... - zaczęła, błyskawicznie wrzuciwszy ołówek i pudemiczkę do plecaka.

- Szukasz najlepszego kosmetyku świata marki Ewan Walshe - Zoe w końcu odwróciła się, chichocząc. - Przestań się tłumaczyć, Cara. Przecież specjalnie cię podpuszczam.

Cara uśmiechnęła się, wciąż trochę zmieszana.

- To Arlene mi dała. Przedwczoraj, kiedy byliśmy w „Ewan Ryan's". Tak się upierała... Powiedziała, że to nada moim ustom charakter. I tę czerwoną szminkę też mam od niej - wyjęła i pokazała Zoe. - Nie używałam czegoś takiego od wieków...

- Ale dobrze ci w niej. - Zoe przekrzywiła ptasią głowę, oceniając efekt. - A Ewanowi odpowiada ten smak?

Zaśmiały się.

- No.

- Gdzie idziesz dziś na lunch, 007? - spytała Zoe, pochylając się z powrotem nad deską.

Cara wciąż się upierała, by spotykać się z Ewanem wyłącznie w odludnych, mało uczęszczanych miejscach, tak by nikt w pracy nie dowiedział się,

że chodzą ze sobą. Zarówno on, jak i Zoe uważali to obsesyjne dążenie do zachowania tajemnicy za przesadne. Ewanowi jednak łatwiej było się z tym pogodzić, jako że w ogóle był człowiekiem powściągliwym i nie lubił, by inni wiedzieli o nim zbyt wiele. Zoe, która gotowa była omawiać swoje najbardziej intymne sprawy z przypadkową osobą w sklepowej kolejce, nie mogła pojąć obaw przyjaciółki.

Cara próbowała jej to wyjaśnić. Nigdy tak naprawdę nie przeszła do porządku nad tym, że w swoim czasie była obiektem drwin kolegów. Owen Theal nie omieszkiał opowiedzieć paru osobom, jak to rzekomo na niego leciała... Zoe jednak twierdziła, że wszystko to zdarzyło się dawno temu i nie powinno jej już obchodzić.

Cara zamierzała spotkać się dziś z Ewanem nad kanałem. Tylko to dało gwarancję, że nikogo nie spotkają. Był czwartek - dzień wypłaty. Cały zespół Yoshi Advertising będzie szastał pieniędzmi w pubach, zamawiając góry żarcia obficie podlanego guinnessem.

- Spotykamy się nad kanałem - powiedziała niechętnie. - Za pięć minut.

- Gdybym to ja chodziła z Ewanem - Zoe przestała udawać, że pracuje - założyłabym sobie stronę internetową na ten temat. Niechby każdy wiedział.

Cara parsknęła.

- Nic dziwnego. Przecież ty o swoim życiu intymnym rozmawiasz nawet z kobietą która przyjmuje pościel w pralni.

- O braku życia intymnego, chciałaś powiedzieć - zauważyła Zoe cierpko. - Mam już potąd celibatu. A ty masz ten miód codziennie i trzymasz to w sekrecie. Nie rozumiem dlaczego.

- Zrozumiałabyś, gdybyś chodziła z facetem z pracy - Cara przeszła na pozycje obronne. - To w ogóle nie jest pochwalane, a do tego wiesz, jaki jest Bernard. Wylałby jedno z nas, i tym kimś byłabym ja.

- Pieprzyć Bernarda - powtórzyła Zoe, niczym echo, słowa Ewana. - Przecież istnieje kodeks pracy, prawda? To nie dyktatura. O zatrudnianiu i zwalnianiu decydują przepisy.

- Niestety, to jest dyktatura - zauważyła ponuro Cara. - Siedziałam tu wczoraj do wpół do jedenastej w nocy, tylko dlatego, że Bernardowi tak się podobało. A ty przedwczoraj do dziewiątej.

- No cóż, może się zdarzyć, że nie zagrzeję tu już długo miejsca - powiedziała Zoe enigmatycznie.

- Jak to?

- Myślę o nowej pracy. Złożyłam już papiery w paru miejscach i jutro idę na rozmowę.

Cara momentalnie przestała grzebać w plecaku.

- Chyba nie mówisz serio? - spojrzała na przyjaciółkę z nagłym przerażeniem. - Kiedy zdecydowałaś? Gdzie masz zamiar się przenieść?

Nie wypowiedziała na głos pytania najważniejszego: co ja zrobię bez ciebie? Od czterech lat, od skończenia college'u, pracowały razem w Yoshi i razem znosiły fanaberie i kaprysy Bernarda. Zostać teraz bez Zoe? Bez jej dobrodusznego zrządzenia, bez wspólnego obgadywania Bernarda, gdy tylko nadarzała się okazja? Nie było w zespole nikogo innego, z kim mogłaby układać sprośne limeryki o kolegach, śmiać się podczas lunchu aż do bólu brzucha, rozmawiać o wszystkim i niczym...

- Nie wiem jeszcze na pewno. Jutro idę na rozmowę w Solve, ale niezbyt mi się tam podoba. W każdym razie nie zamierzam tu dłużej siedzieć. Bernard jest taki skąpy, że nigdy nie podniesie nam płac ponad zagwarantowane minimum, a jedyny sposób na awans to czekać, aż ktoś umrze. Choć jestem w stanie wymienić parę osób, którym chętnie bym dopłaciła, byle się stąd wyniosły. Po prostu dla dobra ludzkości. - Spoważniała i spojrzała na Carę ze skrucą. - Słuchaj, ja nigdy nie pójdę do przodu, jeśli się stąd nie ruszę. Czytałam artykuł na ten temat w „Cosmopolitan”. Jeśli ma się szefa z piekła rodem, trzeba zmienić pracę i już.

- Taak... - nic innego nie była w stanie powiedzieć. - Masz rację, ale... - zamrugała, żeby powstrzymać łzy. Sama bez Zoe... - Będzie mi ciebie strasznie brakować - dokończyła.

Zoe cisnęła w nią różowym markerem.

- O Jezu, kobieto! Przecież ja zmieniam tylko firmę, a nie planetę. Nie wykreślam cię z mojego spisu telefonów wyłącznie dlatego, że już nie będziemy razem w okopach.

- Wiem - powiedziała ponuro Cara.

Zoe zerknęła na zegarek.

- Idź już, bo się spóźnisz. Stracisz kochanka, jak będziesz tu rozpaczać nade mną.

Ewanowi bardzo się spodobał pomysł Zoe.

- Dziewczyna ma rację - powiedział, wyjmując z plastikowego opakowania kanapki z kurczakiem. Siedzieli na ławce nad brzegiem kanału. Przed nimi żółciły się kępy żonkili, zasadzonych tuż nad wodą; stado kaczek pływało spokojnie tu i tam, pogadując coś w swoim kaczym języku.

-Ale zostawi mnie tu samą - Cara nawet nie myślała o swoich kanapkach z serem i sałata.

- Ja też prawdopodobnie zabiorę się stąd za jakiś rok - oznajmił Ewan z ustami pełnymi kurczaka.

- Jezus Maria - Cara osłupiała. - Co to za pustynia robi się wokół mnie? Gdzie ty znowu zamierzasz iść?

- Spokojnie, Cara.

Cara nie cierpiała, kiedy jej to mówiono.

- Jestem zupełnie spokojna - syknęła tonem, który był zaprzeczeniem spokoju. - Po prostu chciałabym wiedzieć, dlaczego wszyscy bliscy mi ludzie odchodzą z miejsca, gdzie razem pracujemy. Czy to tak wiele?

- No wiesz - wyjaśnił Ewan z niezmaconą pogodą - jeśli będę pracował gdzie indziej, to być może odważysz się spotykać ze mną jawnie, bez obawy, że Bernard cię wyrzuci.

- To nie o to chodzi przede wszystkim, że może mnie wyrzucić... - Cara dotąd nie wyjaśniła Ewanowi prawdziwej przyczyny swoich obaw. Nie była w stanie rozmawiać o tamtym urazie, wciąż żywym w jej pamięci. - Chodzi o to... A zresztą nie zmieniaj tematu. Dlaczego chcesz odejść z Yoshi?

- Oj, Cara. Gdyby nie to, że lubię Kena, mojego bezpośredniego szefa, nie byłbym tu ani minuty. Bernard to wyjątkowy aparat. Są przecież inne możliwości, no nie? Chciałbym na przykład pracować w Deja Vu. Mają tam świetny, twórczy zespół. Zoe też powinna tam zastartować, jeśli z jutrzejszej rozmowy nic nie wyjdzie.

- A ja? - Cara była zdumiona. To Ewan myśli o pracy dla jej najlepszej przyjaciółki, a o niej zapomina? Jak może?

Ewan pochylił się i pocałował ją pachnącymi kurczakiem ustami.

- Ty też powinnaś pomyśleć o zaktualizowaniu swojego CV, mój kwiatuszku jabłoni. Inaczej będziesz robiła robotę i swoją, i Zoe, dopóki Bernard nie zdecyduje się zatrudnić kogoś na jej miejsce.

- Kwiatuszku jabłoni! Jak ci... - Cara wymierzyła mu szturchańca w żebra. Złapał ją wolną ręką i wycisnął na jej ustach kolejny mokry pocałunek.

- W nocy mówiłaś coś całkiem innego - zadrwił. - Mogłem cię nazywać króliczkiem, żabką czy motylkiem i nie miałybyś nic przeciw temu.

Na samo wspomnienie nocy poczuła przypływ pożądania. Buteleczka olejku do masażu i zacytany egzemplarz „Kamasutry”, który znaleźli w antykwarium w Rathmines, sprawiły, że było to najbardziej ogniste ze wszystkich ich spotkań.

- Punkt dla ciebie, mój misiaczku-kurczaczku - zaśmiała się, oddając mu pocałunek.

- No to zjadaj teraz swoje kanapki i idziemy na romantyczną przechadzkę po słonecznym, pełnym świeżych spalin Dublinie - rzekł Ewan, patrząc z dezaprobatą na przejeżdżającą ciężarówkę, za którą ciągnął się co najmniej kilometrowej długości czarny obłok.

Cara, zanurzona niemal po szyję, pluskała bezmyślnie dłońmi i patrzyła, jak pachnące wanilią bańki rozdzielają się na mniejsze. Woda była na tyle ciepła, by przynosiła ukojenie, zaś beck, którego butelkę trzymała w drugiej ręce, na tyle chłodny, by odświeżał.

- Ona chyba zwariowała. - Phoebe usunęła z brwi jeszcze jeden włosik i odstaąpiła o krok, by ocenić efekt. Z jednej wyrwała już za dużo i jeśli teraz nie wyrówna różnicy, będzie miała prawą połowę twarzy zdziwioną a lewą - normalną. - Skąd może mieć pewność, że dostanie lepszą pracę, jeśli rzuci Yoshi?

- No wiesz, grafika reklamowa w ogóle nie jest tak stałym zajęciem, jak praca w banku. - Cara plasnęła dłonią w powierzchnię wody, rozbijając kolejne bańki. - Agencje upadają, ludzie przechodzą firmy do firmy... Tak jest cały czas.

- Ale ty chyba nie musisz - zauważyła Phoebe. - Choć Ricky powiedział, że też myśli o tym, żeby rzucić pracę.

Cara przymknęła z niesmakiem oczy. Naprawdę, tylko Ricky mógł być na tyle głupi, żeby zrezygnować z przyzwoitego, niezłe płatnego zajęcia, które dostał nie wiadomo jakim cudem...

- Ma coś innego na oku? - spytała. Może Ricky ma zamiar dołączyć do jakiegoś boysbandu albo zostać striptizerem? Z takim jak on nic nie wiadomo.

- Zamierza wrócić na studia.

Cara usiadła w wannie. Pozostawało dla niej niezgłębioną tajemnicą, w jaki sposób Ricky w ogóle zdołał skończyć college... A teraz miałyby pójść na studia podyplomowe? Tylko jakie?

- A bank będzie mu płacił za uzupełnianie kwalifikacji? - spytała.

- Ricky nie chce czuć się skrępowany - Phoebe wyrwała parę kolejnych włosków. - A poza tym, gdyby płacili mu za studia, musiałyby potem wrócić do banku. A jego interesuje fizykoterapia albo coś w tym stylu. Ma niesamowicie zręczne ręce - dodała z wymownym uśmiechem.

No cóż... Nawet jeśli Ricky był mistrzem w doprowadzaniu kobiety do ekstazy przy pomocy swoich zręcznych rąk, nie rokował niestety szczególnych nadziei na ukończenie kursu fizykoterapii. Cara przemilczała to jednak.

- No dobra, Phoebe - powiedziała, wychodząc z wanny - ale jeśli zrezygnuje z pracy, będzie praktycznie bez grosza i skończy się na tym, że będziesz go utrzymywać.

- Nie mówmy na ten temat - ton Phoebe był błagalny. - Staram się o tym nie myśleć. I nie wspominaj mu ani słówka, dobrze? Obiecujesz?

- Jasne. Mam dosyć własnych zmartwień. Boże, jak mi będzie brakowało Zoe... Co za mała, że mi dotąd nie powiedziała!

Kiedy Cara zajrzała do pokoju, Ricky był do połowy zanurzony w lodówce. Pusty talerz otoczony oceanem okruczeństwa świadczył o tym, że przed chwilą zrobił sobie kanapkę, a teraz prowadził poszukiwania kolejnych jadalnych produktów. Cara strasznie nie lubiła, że traktował lodówkę jak przedłużenie ciała Phoebe - jako coś przeznaczonego do jego użytku o dowolnej porze dnia i nocy. Nie przeszkadzałyby jej to, być może, gdyby od czasu do czasu kupił coś w charakterze własnego wkładu. Ale nie - wkład Ricky'ego w ich gospodarstwo domowe polegał wyłącznie na gruntownym oczyszczaniu szafek z zapasów, jeśli był głodny.

- Cześć, Cara - powiedział radośnie, wyłaniając się z głębi lodówki z pojemnikiem jogurtu rabarbarowego.

- To mój - zauważyła, tłumiąc oburzenie.



Ricky spojrział wzrokiem małego szczeniaczka, którego używał zawsze, ilekroć usiłował pożyczyć pieniądze. To dlatego udało mu się skończyć college - pomyślała. Jedno takie błagalne spojrzenie i każdy wykładowca płci żeńskiej jest gotów.

- Przepraszam - powiedział ze skruchą, po czym oderwał foliowe wieczko i zabrał się do konsumpcji.

Był tak niewiarygodnie przystojny... Twarz modela od Calvina Kleina, ciało też. Kiedy jednak miało się z nim do czynienia przez jakiś czas, przestało się zauważać tę urodę. Cóż po urodzie, skoro był tak irytujący... Jego piękność zaczynała się i kończyła na powierzchni skóry.

Cara zdawała sobie sprawę, że zachowuje się jak mięczak. Należało mu nawrzucać za to, że tak spokojnie pożera jej jogurt. No, ale mimo wszystko był to chłopak Phoebe... Rzuciła się na sprawny fotel i wzięła do ręki pilota. Na RTE1 mignął jej jakiś rajd samochodowy. Szybko przeskoczyła na następny kanał. Nawet Ricky nie będzie na tyle bezczelny, by proponować jej oglądanie rajdu w momencie, gdy zaraz zacznie się odcinek „Przyjaciół”.

- Cara - w głosie Ricky'ego brzmiała uraza - chciałem zobaczyć ten program!

Cara odwróciła się i zmierzyła go wzrokiem. Jej spojrzenie miało chłód stali. Mogła mu darować jogurt rabarbarowy, ale nie „Przyjaciół”.

- Zapomnij.

Siedzieli i patrzyli w telewizor w ponurym, pełnym wrogości milczeniu, dopóki nie weszła Phoebe, wonna i ponętna, w jednym ze swoich seksownych kompletów, które kupowała specjalnie na cześć Ricky'ego. Tym razem był to obcisły, przezrysty top w kwiatowy wzór oraz spodnie o metalicznym połysku. Jej wysiłek poszedł jednak na marne.

- Phoebe! - rzucił się ku niej jak skrzywdzone dziecko, które potrzebuje dorosłego arbitra, by rozstrzygnął spór. - To jest powtórka, a na RTE leci rajd!

- Ricky... - zaczęła niepewnie Phoebe.

- To nasz telewizor, Ricky! - naskoczyła Cara, wściekła. - Jak chcesz oglądać rajd, to idź do domu.

- Ale to przecież powtórka! - zawołał jeszcze raz.

Oboje spojrzeli wyczekująco na Phoebe.

-No... to rzeczywiście powtórka - powiedziała z oporem, rzucając tęskne spojrzenie na ekran, gdzie Rachel wkładała na cześć Rossa strój księżniczki Leii.

- W porządku. - Cara wstała. To przecież także jej mieszkanie! Jak Phoebe może brać jego stronę! - Oglądajcie sobie co chcecie. Tylko pamiętaj, Phoebe, że jak będziemy płacić za mieszkanie, to Ricky ma dołożyć swoją część. To gówniarz!

Z tymi słowami wyleciała z mieszkania jak burza. Zdażyła tylko po drodze złapać płaszcz i portmonetkę.

Słoneczny blask zniknął. Z zaciągniętego chmurami nieba siał drobny, jednostajny deszczyk. Cara szła przed siebie, nie wiedząc dokładnie, dokąd. Do Zoe nie mogła pójść - od chwili, gdy przyjaciółka oznajmiła jej zamiar odejścia, panowało między nimi lekkie napięcie. Ewan był na treningu. I na domiar wszystkiego zraziła do siebie Phoebe - tę miłą życzliwą wszystkim Phoebe, która nie skrzywdziłaby nawet muchy! Przecież to nie jej wina, że ma za faceta bezmyślnego niedorajdę, dla którego praca to wyłącznie pięcioliterowe słowo i który wyznaje zasadę „co twoje, to moje”, ale broń Boże odwrotnie... Wszystko przez niego, przez tego idiotę Ricky'ego! Cara postawiła kołnierzyk, żeby deszcz nie padał jej na kark. Czuła się podle. Ale dzień! Nawet nie ma z kim pogadać. W dodatku zbliżał się jej okres. Cały świat był przeciwko niej... Cara zdecydowała że ma tylko jedno wyjście - urządzić się do nieprzytomności.

- Zoe poszła do dentysty - wyjaśniła rzeczowym, ożywionym tonem, gdy nazajutrz o wpół do dziesiątej zadzwoniła do ich azylu sekretarka Bernarda. - Nie mówiła nic o tym? Naprawdę? To poważna sprawa. Chyba leczenie kanałowe.

Odłożyła słuchawkę i bezsilnie złożyła głowę na ramionach. Ból rozszalał jej czaszkę.

Źle się stało, że trafiła wczoraj do „McSorley's" w Ranelagh. Spotkała grupę koleżanek Phoebe z banku i skończyło się na koszmarnej pijanicy. Zupełnie jakby skromna urzędniczka z Dame Street miała zamiar pojechać na rok do Sydney, a wylądowała w kosmicznym wahadłowcu Ziemia-Mars na resztę swego życia... Nikt chyba nie bawi się tak zapamiętanie, jak bankowcy - pomyślała Cara ponuro. Może dlatego, że codziennie patrzą na całą tę niedostępną dla nich kasę i mają świadomość, jak ulotne jest życie? Ciesz się chwilą... Albo coś w tym stylu. Jak przez mgłę pamiętała, że wymieniała z kimś poglądy na ten temat w męskiej toalecie. Wtargnęły tam całą grupą pomimo protestów wystraszonych facetów, przysięgając, że w damskim kłopot jest straszna kolejka, a one nie mogą czekać.

Miała nadzieję, że to najgorsza rzecz, jaką mają na koncie. Te dziewczyny muszą być z żelaza... Nie była w stanie dotrzymać im kroku. Kiedy o wpół do dwunastej ostatecznie uznała, że musi iść do domu, one wybierały się do nocnego klubu, gdzie honorowi goście mieli wstęp do łaźni - w ubraniach lub bez.

Myśl, że gdzieś w Dublinie parę osób ma jeszcze gorszego kaca niż ona, przyniosła jej lekką pociechę. Niestety, tę śladową przyjemność natychmiast wymazało przypomnienie, że nie zdołała dziś wstać na tyle wcześnie, by zobaczyć się z Phoebe. Plan, by pogadać z nią i przeprosić za wczorajszy wybuch, pozostał więc jedynie zbożnym zamiarem. A tak nie lubiła być z kimś skłócona... Wystarczy, że prowadzi zimną wojnę z Evie. Jeszcze trochę, a w ogóle nie będzie miała przyjaciół.

- Cara - usłyszała nagle. Odwróciła się. W drzwiach stał Bernard Redmond, wpatrując się w nią tym swoim paraliżującym wzrokiem, jak gdyby był kolekcjonerem motyli, a ona - rzadkim okazem owada, którego zamierza nakryć siatką i przyszpilić w gablocie. - Dobrze, że jesteś.

Momentalnie wróciła jej przytomność umysłu. Spojrzała na szefa podejrzliwie. Bernard nigdy nie cieszył się na czyjkolwiek widok, z wyjątkiem swojego menedżera bankowego oraz słodkiej Millicent. Z doświadczeń całego zespołu wynikało, iż podobny tekst może oznaczać tylko jedno: że zamierza na ciebie na wrzeszczeć.

Bernard nie pił, nie palił ani nie włączył się po knajpach. Jego jedynym hobby było łażenie po budynku i wyłapywanie tych, którzy zbyt wcześnie wyskoczyli na dyma do kantyny, a także wydzieranie się na ludzi bez żadnego powodu. Cara nie paliła, siedziała grzecznie przy desce i pracowała - przynajmniej w teorii - a zatem musiał to być ten drugi wariant. Przygotowała się w duchu na ochrzan.

- Witaj, Bernardzie - odparła ostrożnie.

- Jesteśmy sami? - spytał, jak gdyby za szafką z aktami w rogu pokoju mogła się kryć jakaś żywa istota wielkości krasnoludka.

- Tak.

- No to świetnie. Chcę z tobą pomówić. Prywatnie.

Cara przełknęła ślinę. Ewan... Musi chodzić o nią i Ewana. „Zbyt bliskie stosunki między współpracownikami są niekorzystne. Nikt nie wykonuje wówczas swojej pracy jak należy” - usłyszy za chwilę.

Bernard usiadł na wolnym krześle i spojrzał na nią swoim spojrzeniem telewizyjnego kaznodziei.

- Zdaje się, że Zoe rozgląda się za inną pracą - rzekł tonem towarzyskiej konwersacji.

Wszystkiego by się spodziewała, ale nie tego. Zoe? Skąd do diabła może wiedzieć, że Zoe myśli o odejściu? Ten budynek musi być zapluskwiony. Ukryte mikrofony w gniazdkach elektrycznych i uchwytach na papier toaletowy - czemu nie? To całkiem podobne do Bernarda. W ten sposób może być ze wszystkim na bieżąco.

Brwi miał teraz zmarszczone mniej niż zwykle, co oznaczało, że usiłuje wyglądać żartobliwie. A jeśli ją podpuszcza? Cara poczuła przypływ buntu.

- Naprawdę? - udała najwyższe zdumienie. - O Boże - starała się, by wypadło to tak, jakby w rzeczywistości miała zamiar powiedzieć raczej „o jasny gwint”, jak zwykle. - Nic mi nie mówiła!

Żartobliwy wyraz zniknął. Świdrujące oczka, o ile to możliwe, były jeszcze mniejsze niż zazwyczaj.

- Tak, odchodzi od nas. Myślałem, że ci o tym powie.

- Jestem pewna, że powie. O ile rzeczywiście odchodzi - dodała po chwili.

Najwyraźniej zaszokowała go jej impertynencja, szybko jednak wrócił do siebie.

- No cóż, odchodzi rzeczywiście - powiedział gładko. - I mam już inną kandydatkę na jej miejsce. Liczę, że szybko wprowadzisz ją w sprawy. To ważny dział w firmie.

Szkoda, że nigdy tego nie powiedział przy okazji podwyżek płac... A Ewan miał rację: odejście Zoe oznacza, że będzie teraz miała dwa razy tyle roboty, zanim nowa siła na dobre wejdzie w swoje obowiązki.

- To córka mojego przyjaciela - podkreślił. - Postaraj się więc być dla niej miłą.

Jeszcze gorzej. Będzie miała dwa razy tyle roboty już na zawsze. Skoro to córka przyjaciela, to bez wątpienia jest głupią jak but lałą, bez pojęcia, którym końcem rysuje ołówkiem. Trzeba ją będzie niańczyć co najmniej sześć miesięcy, zanim zdoła narysować jedną prostą kreskę albo znaleźć bez pomocy ekspres do kawy.

- Oczywiście - powiedziała automatycznie. - Ale - dodała pospiesznie - jeśli Zoe nie odchodzi...

Nie pozwolił jej dokończyć.

- Odchodzi.

Zoe przyjęła nowiny nad podziw dobrze jak na kogoś, kto zaledwie przy mierzał się do możliwości odejścia, a teraz praktycznie został wyrzucony. Człowiek, który zwolnił się ostatnim razem, dostał pół godziny na oczyszczenie biurka, przy czym Bernard postawił obok niego głęboko zakłopotanego ochroniarza, pilnującego pakowania manatków przez krnąbrnego pracownika.

-W końcu mam jeszcze miesiąc wypowiedzenia - zauważyła.

- Przecież on ci na pewno powie, że możesz się więcej nie pokazywać, jak tylko wręczysz mu rezygnację - martwiła się Cara. - Pamiętasz Dino? Można by pomyśleć, że zamierza ukraść połowę firmowych komputerów, tak go pilnował.

Zoe wzruszyła ramionami.

- Co będzie, to będzie. Nawiasem mówiąc, rozmowa poszła mi chyba nieźle. Myślę, że dostanę tę pracę, i podoba mi się tam. Znacznie bardziej niż tu w każdym razie, oczywiście jeśli nie liczyć twojego towarzystwa - dodała, widząc zgnębioną twarz przyjaciółki. - No, Cara! Nie przejmuj się tak. Ty wiesz, jaką sobie urządzimy imprezę na pożegnanie?

- Daj spokój. Na samą myśl o jakimkolwiek alkoholu robi mi się niedobrze - Cara nie była w stanie się rozchmurzyć.

- Stary ponurak. Parę głębszych i będziesz jak nowo narodzona. Gwarantuję ci.

- Nie wiem, co to jest, ale ilekroć ktoś do mnie mówi „gwarantuję ci”, nie wychodzi mi to na zdrowie - mruknęła Cara.

Olivia rzuciła torby na siedzenie obok kierowcy. Zakupy to doskonała terapia... I rozrywka. Lepsza niż seks. Nie, nie lepsza. O wiele lepsza... Życie intymne przestało mieć dla niej jakiegokolwiek pozytywne znaczenie, gdyż albo nie istniało, ponieważ Stephen był nieobecny (co nie było takie złe, bo przy okazji nikt nią nie rządził), albo też sprowadzało się do pozbawionych jakiegokolwiek duchowego porozumienia kontaktów. Tolerowała je, bo rozmowa na temat tego, co jest niewłaściwe w ich związku, mogła oznaczać wejście na drogę bez powrotu. W tych okolicznościach wydanie połowy pensji - której zresztą jeszcze nie otrzymała - na ciuchy, których będzie potrzebowała w telewizji, miało efekt terapeutyczny sto razy silniejszy niż łóżko.

Poklepała pomarańczowe torby Karen Millen i kremowe Kilkenny. Gdyby naukowcy byli w stanie zabutelkować euforię, jakiej doznajemy kupując nowe ciuchy - symbole zmiany życia, prozac byłby niepotrzebny - pomyślała.

W nauczycielskiej toalecie przebrała się w jedną z nowych kreacji: popielaty garnitur w tenisowe prążki o modnym, dopasowanym kroju. Nigdy dotąd nie nosiła nic takiego. Stephen lubił ją w rzeczach klasycznych - dwurzędowych blezerach, eleganckich kostiumach, do których można było włożyć perły czy jakąś apaszkę... Jej matka miała pełne szuflady podobnych rzeczy, ale Olivia ich nie cierpiała.

Była pewna, że Stephenowi nie spodoba się ten ciuch. Nie dość, że ma ekstrawagancki krój, to jeszcze ta czerwona podszewka! Ona jednak czuła się w nim pewniej niż zwykle. Rzecz jasna, nie był to strój typowy dla nauczycielki trzeciej a, Olivia miała jednak chęć wypróbować go, tak by czuć się swobodnie, gdy włoży go pojutrze w studiu telewizyjnym.

Pani MacKenzie, która dziesięć minut później weszła spokojnym krokiem do pracowni gospodarstwa domowego, była zupełnie inną osobą niż dotychczas. Jej twarz nie miała zalęknionego, typowego dla ściganej zwierziny wyrazu, jaki zwykle pojawia się na twarzach nauczycieli, gdy przychodzi im stanąć oko w oko ze zgorą ich życia. Była spokojna i opanowana. Na razie jednak uczniowie klasy trzeciej a nie zwrócili na to szczególnej uwagi. Pani MacKenzie, podobnie jak młoda, jaskająca się nauczycielka geografii, nie była osobą, którą należałoby się przejmować... Pomieszczenie, o ścianach na gwałt domagających się odmalowania, wypełniała dość dziwna mieszanka woni, będącej rezultatem wcześniejszych kulinarnych eksperymentów, przy czym nutę dominującą stanowił odór przypalonej cebuli.

Wszyscy byli już na swoich miejscach. Niektórzy siedzieli spokojnie, inni wrzeczeli na całe gardło. Za chwilę zacznie się łatwa lekcja, podczas której będą mogli do woli gadać, opowiadać kawały i zastanawiać się, który z członków zespołu „Boyzone” jest najfajniejszy i najbardziej atrakcyjny.

- Dzień dobry, moi drodzy - powiedziała Olivia. Kilkoro uczniów odmruknęło coś pod nosem, w obawie, by nie narazić się klasowym prowadzonym. Reszta zignorowała ją. Hałas nie zmniejszył się ani o jotę.

- Dzień dobry - powtórzyła. Jej głos był teraz donośniejszy i twardszy. - Proszę usiąść i uspokoić się. - I spojrzała na klasę chłodnym, jasnym wzrokiem, którym patrzyła w oko kamery.

Uczniowie wyprostowali się. Zrobiło się trochę ciszej. Po raz pierwszy w jej praktyce - odnotowała Olivia z zadowoleniem. Paru najbardziej opornych gadało jednak nadal, przy czym Cheryl Dennis - przewodniczka numer jeden - robiła to najgłośniej. Mam cię w nosie - zdawała się mówić, beztrąsoko przegarniając dłonią krótką czarną czuprynę.

Olivia wpatrzyła się w uczennicę, która od tak dawna była jej udręką. To przede wszystkim z powodu Cheryl zważyła w swoje umiejętności. Wcześniej była zupełnie niezłą nauczycielką i umiała utrzymać porządek w czasie lekcji. Cheryl jednak już od pierwszej chwili wyczuła bezbłędnie, że ma do czynienia z osobą nad którą może zapanować, podobnie jak koń z miejsca wyczuwa niedoświadczonego jeźdźcę i ponosi. W momencie gdy na nią spojrzała, Olivia straciła całą pewność siebie.

Ten lęk rozciągnął się na wszystkie inne lekcje. Nawet do pierwszej klasy wchodziła z drżeniem. No cóż, wytrzymała to siedem miesięcy - od chwili, gdy Cheryl przyszła do ich szkoły, wyrzucona z poprzedniej, co było wśród nauczycieli publiczną tajemnicą. Dłużej wytrzymywać nie będzie.

Spojrzała na przeciwniczkę, starając się sobie przypomnieć, jak patrzyła na Nancy Roberts. Cheryl była nieduża, z wyglądu przypominała chłopaka, a jej szkolny mundur prezentował się tak niemundurkowato, jak tylko to było możliwe - dzięki modnym butom, maksymalnie skróconej spódniczce i gigantycznych rozmiarów bluzie. Oczy dziewczyny były twarde jak stal.

Pora działać - zdecydowała Olivia. Skoro dała sobie radę w telewizyjnym studiu, z pewnością potrafi zamknąć buzię pannie Dennis.

- Prosiłam o ciszę - powiedziała z pogrózką w głosie, patrząc dziewczynie prosto w te nieugięte oczy.

Wszyscy poczuli, że dzieje się coś niezwykłego. Zapadła cisza. Zamilkła również Cheryl.

Olivia przeszła powoli na koniec klasy, krokiem tak niedbałym, jakby to była popołudniowa przechadzka. Parę dziewczyn przyznało w duchu, że wygląda dziś inaczej niż zwykle.

- Fajny garnitur - szepnęła do koleżanki któraś z uczennic, lepiej niż inne obeznana z modą, rozpoznając znakomity krój, jaki widywała w żurnalach matki. Obie wiele by dały, by wyglądać jak - pani MacKenzie - szczupła, elegancka blondynka... Ale co z tego, skoro taki z niej mięczak. Nie chciały być mięczakami, chciały być silnymi, pewnymi siebie kobietami. Wyglądało jednak na to, że i pani MacKenzie jest dziś trochę mniej mięczakowata niż zwykle.

Olivia stanęła przed Cheryl i spojrzała na nią z lekkim rozbawieniem na twarzy. Dziewczyna patrzyła na nauczycielkę twardym, bezczelnym wzrokiem.

Olivia wiedziała, że musi to zrobić. Modląc się w duchu, by zdołała wytrzymać tę konfrontację, obrzuciła Cheryl dumnym, wyniosłym spojrzeniem, jakiego nigdy dotąd nie używała. Nie bez znaczenia było to, że pochodziła z długiej linii arystokratów. Całe pokolenia jej przodków, panów de Vere, patrzyły podobnie, gdy chciały przywołać do porządku zwykłych śmiertelników. Matka używała tego spojrzenia bardzo często, zwłaszcza u rzeźnika, gdy podejrzewała, że ją oszukuje... Klasyczne rysy twarzy Olivii również ułożyły się obecnie w wyraz subtelnej drwiny.

Cheryl Dennis zaczerwieńiła się.

- Proszę podejść do tablicy i stanąć przodem do klasy - rozkazała Olivia, świadomie używając ostrego tonu matki, a nie własnego, łagodnego.

Dziewczyna z oporem wykonała polecenie. Olivia uśmiechnęła się. Wiedziała, że to niezbyt pedagogiczne, ale tym razem cel musi uświęcić środki.

Parę uczennic, które miały dość rządów Cheryl, zachichotało. Olivia usiadła swobodnie na zwolnionym przez nią miejscu.

- Skoro tak lubisz być przy głosie, Cheryl - powiedziała spokojnie - ty poprowadzisz dzisiejszą lekcję. Zaczynamy na stronie sto dwudziestej czwartej.

Klasowa przywódczyni osłupiała.

- Ja? - zaśmiała się nerwowo, usiłując odzyskać stracony grunt. Liczyła, że inni roześmieją się razem z nią i wspólnie zrobią z nauczycielki balona. Tak było zawsze: parę złośliwych komentarzy, parę śmieszek i nauczyciel, który usiłował dyktować jej, co ma robić, był załatwiony. Nikt nie będzie dyktował Cheryl, co ma robić. Nikt i już.

Klasa jednak milczała. Pod stalowym spojrzeniem pani MacKenzie, siedzącej pośród nich i obserwującej ich niczym jastrząb, uczniowie siedzieli cicho jak mysz pod miotłą.

- Tak, ty - powtórzyła złowieszczo pani MacKenzie. - Czekamy.

Cheryl rozejrzała się, szukając wsparcia. Była jednak sama. Klasowi wspólnicy opuścili ją. Nie wiedząc, co robić, odszukała niepewnie stronę sto dwudziestą czwartą i z zaskoczeniem stwierdziła, że składa się ona niemal wyłącznie z długich, skomplikowanych słów.

-Amino... aminokwasy ego... egzo... genne... - O Boże, nie mogła tego przeczytać.

- Co, za trudne dla ciebie? - spytała drwiąco nauczycielka.

Cheryl spojrzała na nią wrogo.

- Gdybyś poświęcała lekcjom chociaż odrobinę uwagi, nie miałabyś teraz kłopotów ze zrozumieniem podstawowych pojęć - powiedziała Olivia. - Skoro jednak wolisz odgrywać przedstawienia i przeszkadzać pozostałym uczniom...

-Ale... - spróbowała jej przerwać Cheryl.

- Proszę mi nie przerywać!

Głos pani MacKenzie brzmiał tak ostro i zdecydowanie, że Cheryl poddała się.

- Jeśli masz zamiar spędzić swoje dorosłe życie na zasiłku dla bezrobotnych albo szorować garnki w podrzędnej knajpie, to proszę bardzo, możesz od dziś przestać uczęszczać na moje lekcje. A ja wyjaśnię dokładnie twoim rodzicom, dlaczego nie będę cię odtąd uczyć. Jestem pewna, że mają już wyżej uszu kupowania ci za każdym razem nowego mundurka, ilekroć jesteś zmuszona opuścić szkołę i poszukać sobie następcę.

Cheryl oblała się rumieńcem.

- Jeśli jednak chcesz skorzystać z szansy i zacząć się uczyć, masz zachowywać się na moich lekcjach idealnie. Czy to jasne?

- Tak - mruknęła Cheryl pod nosem.

- Co „tak”?

- Tak, proszę pani.

Olivia odetchnęła.

- Siadaj, Cheryl.

Wróciła z powrotem na swoje miejsce i spojrzała na wpatrzone w nią zdumione, napięte twarze. Trudno. Musiała być okrutna dla tej dziewczyny. Inaczej nie odzyskałaby respektu klasy.

Cheryl patrzyła na nią mściwie, spode łba.

- Pamiętaj, że mówię absolutnie poważnie - podkreśliła Olivia. Każda zgłoska miała chłód stali.

Uczniowie patrzyli na nią okrągłymi oczami. Olivia czuła, jak buzuje w niej adrenalina. Zupełnie jak po telewizyjnym przesłuchaniu. Dzięki, Max.

Cheryl Dennis to małe piwo - pomyślała Olivia, wchodząc następnego ranka do rzeźniczego oświetlonego telewizyjnego działu charakteryzacji. Pierwszą osobą, którą ujrzała, była Nancy Roberts, rozparta na fotelu, osłonięta prześcieradłem. Oczy miała zamknięte. Olivia szybko zajęła krzesło możliwie najdalej od niej, modląc się w duchu, by nikt nie zdemaskował jej jakimś niewczesnym: „O, cześć, Olivia”.

Nowy garnitur w tenisowe prążki znakomicie spełnił swoją rolę munduru polowego w starciu z trzecią a, ale dziś, w konfrontacji z Nancy, mógł się okazać niewystarczający. Żeby odeprzeć ciosy tej żmii, potrzebna byłaby chyba przeciwpancerzna osłona.

Weszły trzy inne osoby. Zajęły miejsca na wolnych krzesłach, tworząc rodzaj buforu między nią a Nancy. Szansa, że gwiazda ją zauważy, zmniejszyła się.

Olivia opadła na miękki fotel, podobny do dentystycznego, i przymknęła oczy. Może uda się i nikt jej nie zaczepi aż do chwili, gdy znajdzie się w studiu? Tam już będzie Paul Reddin i osłoni ją przed otwartym atakiem Nancy.

Bogowie mieli ją w swojej opiece. Dziesięć minut później dostrzegła kątem oka, że Nancy odrzuca okrywającą ją ochronną płachtę, studiuje przez chwilę swoje odbicie w lustrze i warknąwszy „może być”, odchodzi, chwytając



się nieco na niebotycznej wysokości obcasach swoich brzoskwiiniowych sandałków, które byłyby może na miejscu na cocktail party w Cannes. Olivia odetchnęła głęboko i pozwoliła charakteryzatorce czynić swą powinność.

Udało jej się także zejść na dół i dotrzeć do studia, nie natykając się po drodze na Nancy. Reszta zespołu kręciła się po kuchni, czekając na nią.

- O, cześć, Olivio - Linda Byrne spojrzała na nią z lekkim zaskoczeniem. - Czy to kostium, w którym masz zamiar wystąpić?

- Tak - odparła Olivia. O co chodzi? Przed godziną, na spotkaniu zespołu realizacyjnego, wszyscy zaakceptowali jej strój.

- Hm... - zawahała się Linda. - Według mnie prezenterka kulinarna powinna być ubrana bardziej zwyczajnie. Ten komplet jest trochę za...

- Ostry - dopowiedział czyjś głos z charakterystycznym brytyjskim akcentem. - Sprawiasz wrażenie panienki z biura, która okropnie się stara, żeby dobrze wypaść.

Nancy stała z tyłu z anielskim uśmiechem na obliczu. W swoim brzoskwiiniowym kostiumie wyglądała dość atrakcyjnie, ale nie tak atrakcyjnie, jak Olivia. Najprawdopodobniej stąd ta krytyka.

- Powinnaś być ubrana bardziej mamusiowato. Przesadna elegancja może odstraszyć widzów - zauważyła.

Można by pomyśleć, że okienko kulinarne oglądają wyłącznie baby w papilotach i kwiecistych fartuchach sprzątaczek, które na widok garnituru dostają spazmów ze strachu.

- Może nie tyle mamusiowato - wtrąciła pojednawczo Linda - co bardziej bezpośrednio, swojsko...

Olivia nie zdążyła zareagować. Kevin, asystent produkcji, który prezentował dziś światu sztuczny kucyk doczepiony do swojej platynowej czupryny, objął ją ramieniem.

- Zaraz przeberniemy Olivie - powiedział pogodnie. - Trzeba tylko wyprasować nowe ciuchy - z tymi słowy odprowadził ją na bok, a potem ze studia na korytarz.

- Aleja nie mam z sobą nic innego! - zaprotestowała. - To przez tę wiedzmę Nancy. Miałam chęć dać jej w łeb...

- Zauważyłem! - zaśmiał się. - Myślisz, że dlaczego wyciągnąłem cię stamtąd? Nie możesz sobie pozwolić na konflikt z nią, inaczej natychmiast przejdiesz do historii.

- No, ale chyba producent będzie innego zdania? - spytała. Max mówił przecież, że Paul Reddin jest jedyną osobą, której Nancy nie zdołała owinąć sobie wokół tłustego, upierścienionego paluszka.

Kevin uśmiechnął się znacząco kącikiem ust.

- Moje złotko... Może i będzie. Ale co z tego? Nancy ma na górze pełno swoich ludzi, którzy zrobią dla niej wszystko.

- Tak myślisz?

- Pozwól, że wyjaśnię ci to inaczej. Gdyby jutro ten budynek spłonął i jedynym ocalałym fragmentem, jaki pozostałby po szefach tej firmy, byłyby ich ptaszki, Nancy bezbłędnie zidentyfikowałaby ciała na podstawie tego jednego szczegółu.

- O - powiedziała słabo Olivia.

- No właśnie. Miała tu znacznie więcej facetów niż ja, z tą różnicą że ona leci wyłącznie na tych, którzy są przy władzy. Ja zaś, niestety, lecę na typy muskularne, ale nierozgarnięte, które nie są w stanie popchnąć do przodu własnej kariery, a co mówić o mojej - westchnął teatralnie. - No, to siadaj teraz wubieralni, słoneczko, i poczytaj sobie scenariusz, a ja ci znajdę coś mniej „ostrego”.

Po dziesięciu minutach był z powrotem, niosąc dzianinową liliową bluzeczkę. Z popielatymi spodniami w prążki mogła rzeczywiście wyglądać dość miło.

- To od dziewczyny z biblioteki - oznajmił. - Zdarłem ją z niej. Pewnie jeszcze ciepła.

Ponieważ ulubionym strojem Oli wii były dotąd rzeczy z lumpeksów, nie miała nic przeciw temu, by włożyć czyjś ciuch, jeszcze ciepły po poprzednim użytkowniku. Istotnie, prezentował się niezłe. Jeszcze przeciągnąć szcztoką po włosach... Gotowa.

- Ale laska - powiedział z uznaniem Kevin.

Wrócili do studia w momencie, gdy program właśnie miał się zacząć. Trwały ostatnie gorączkowe narady. Kierownik planu miotał się po sali, rzucając polecenia przez bezprzewodowy mikrofon, przy czym co trzecie słowo było nieuczynialne. Normalnie opanowana Linda Byrne rzuciła się biegiem do kabiny kontrolnej z wyrazem niepokoju na twarzy. Nawet kamerzyści i dźwiękowcy, czekając na pojawienie się czołówki, stracili swoją zwykłą obojętność i znużenie.

Nancy wraz z drugim prezenterem, sympatycznie wyglądającym czterdziestoparoletnim mężczyzną nazwiskiem Theo Jones, zasiedli na jednej z malinowych kanap, zachowując maksymalny możliwy dystans. Nancy, olśniewająca w swoim brzoskwiniowym żakiecie, ukazującym jak zwykle połowę biustu, zwróciła się nieco tyłem do towarzysza i, popijając kawę, zaczęła przerzucać kartki scenariusza. Theo, w żółtym swetrze ręcznej roboty i beżowych sztruksowych spodniach, odwrócił się w przeciwną stronę, studiując własny egzemplarz. Nie trzeba było mieć magisterium z psychologii, by zorientować się, że słynne współbrzmienie między dwójką prezenterów to fałsz spreparowany na użytek ekranu, podobnie jak szczupłe policzki Nancy, uzyskane przez umiejętne zastosowanie podkładu i rózu.

Theo najwyraźniej źle się czuł w towarzystwie Nancy. No, ale czy ktokolwiek mógł się czuć dobrze na jego miejscu? - pomyślała Olivia, uśmiechając się sarkastycznie.

Nancy spostrzegła ten uśmiech i zmroziła ją wyniosłym spojrzeniem. Pamiętając jednak opowieść Kevina o zdolności Nancy do identyfikacji fałsetów na podstawie pewnego szczegółu, Olivia wytrzymała jej wzrok bez zmruczenia oka. Uśmiechała się nadal.

- Trzydzieści sekund - rozległ się czyjś podniesiony głos.

Wszyscy wstrzymali oddech. Pierwszy gość, urodziwa piosenkarka, której singiel po raz drugi znalazł się w pierwszej dziesiątce listy przebojów, nerwowym gestem sprawdziła swój starannie wypracowany artystyczny nieład na głowie, podtrzymywany mnóstwem barwnych klipsów-motyłków. Trzęsa się ze strachu.

- Dwadzieścia sekund! Dziesięć sekund!

W całym studiu zagrział temat muzyczny programu. Nancy i Theo automatycznie przysunęli się bliżej do siebie i zaprezentowali kamerom pogodny, optymistyczny uśmiech.

- Dzień dobry - powiedzieli jednogłośnie.

- Mamy dzisiaj dla państwa na powitanie coś specjalnego - zaćwierkała Nancy. - Prawda, Theo?

- Naturalnie, Nancy - Theo poklepał ją przyjacielskim gestem w kolaro. - Wspaniała Zelta zaśpiewa swój najnowszy hit „Dance with you”.

Dziewczę w błękitnych neonowych spodenkach zadrzało jeszcze bardziej.

- Później przekażemy państwu kolejne przykłady okrucieństwa wobec zwierząt - ciągnęła Nancy.

- Pisarka Anna Stawros opowie nam o swoim najnowszym bestsellerze - przejął pałeczkę Theo, zwracając się twarzą do Nancy.

- Zaś nowa gospodyni okienka kulinarnego, Olivia de Vere, pokaże państwu, jak z mielonego mięsa i ziemniaków puree uzyskać coś ciekawszego niż klasyczna zapiekanka pasterska - Nancy zaprodukowała w kierunku kamery promienny, fałszywy uśmiech.

Tym razem zadrzała Olivia - ze złości. Przecież wcale nie miała przyrządzać zapiekanki pasterskiej! Temat jej dzisiejszego występu brzmiał: „Dziesięć sposobów na urozmaicenie pizzy”. Nancy dobrze o tym wiedziała!

- Poradzimy sobie - Linda uspokajająco położyła jej dłoń na ramieniu, pojawiwszy się nie wiadomo skąd. - W scenariuszu Nancy musiał być błąd.

Akurat! - pomyślała Olivia. Nancy zrobiła to celowo.

- Za parę minut opowiemy państwu bardzo smutną historię o królikach znalezionych w torbie foliowej na Henry Street - oczy Nancy, gdy spojrzała w kamerę, były zaciągnięte mgłą smutku, jak gdyby okrutny los krzywdzonych zwierząt nieustannie leżał jej na sercu. - Prosimy państwa o telefony w tej sprawie i podzielenie się z nami innymi przykładami okrutnego traktowania naszych czworonożnych przyjaciół lub - jej twarz przybrała wyraz czułości, jakiego nigdy nie miewała poza planem telewizyjnym - zabawnymi

historiami o państwa ulubieńcach. Numer telefonu widzą państwo w tej chwili na ekranie.

- Nancy ogromnie kocha zwierzęta - Theo objął ją ramieniem. - To w ogóle najwrażliwsza ze znanych mi kobiet.

Olivia nie była pewna, ale wydało jej się, że przez życzliwość Theo przebiła błysk ironii. Nancy i jakieś kudłate stworzenia, rzucające się na nią brudnymi łapami, trącające mokrym nosem w serdecznym powitaniu... Trudno było to sobie wyobrazić.

- A teraz - ciągnął Theo - witamy Zeldę, naszą wspaniałą gwiazdę muzyki pop i niewątpliwie najpiękniejszą istotę, jaką kiedykolwiek wydało miasto Limerick!

Twarz Nancy stężała. Ona także pochodziła z Limerick, o ile Olivia dobrze pamiętała... Nie, to nie było przywidzenie: Theo naprawdę wtykał Nancy szpileczki, ilekroć tylko nadarzała się okazja.

Nancy nie traciła czasu.

- Prosimy, Zeldo - zagruchała słodko. - Usiądź obok Theo. Nie obawiaj się, jest niegroźny. Biedny chłopak w obecności tak pięknej dziewczyny jak ty kompletnie traci rezon.

Theo zaśmiał się.

- Jest zazdrosna, Zeldo - nachylił się konfidencjonalnie w stronę piosenkarki - bo już dawno jej nie uwodziłem. To znaczy, odkąd przestali mi za to wypłacać specjalny dodatek. To tylko żarty, moje złotko - przesłał dłonią pocałunek Nancy, która siedziała z przyklepionym do skamieniałej twarzy uśmiechem.

W czasie rozmowy z Zeldą prowadzenie przejął Theo. Flirtował z piosenkarką, ignorując obecność współprowadzącej. Nancy za to odpłaciła mu pięknym za nadobne, gdy przeszli do kwestii maltretowania zwierząt.

- Czy to nie straszne? - powiedziała łzawo, podsumowując rzeczywistość przykrą historię, którą przedstawił pracownik ochroniska dla bezdomnych zwierząt. - Ale ty tego nie rozumiesz, Theo. On je cielęciny - poinformowała widzów dramatycznie zniżonym głosem.

- Ależ skąd! - syknął Theo, wstrząśnięty. Wiedział dobrze, że ktoś, kto nie kocha dzieci, starszków i zwierzątek, może pożegnać się z popularnością wśród widzów. Jedzenie cielęciny było niemal tak samo kompromitujące, jak podanie do publicznej wiadomości, że znajdujemy przyjemność w poszturchiwaniu starszych pań, albo ogłoszenie na pierwszych stronach gazet, że lubimy się po kryjomu przebierać w skórzaną bieliznę.

- No jak to? Przecież sam mówiłeś - powtórzyła Nancy, dostrzegłszy jednak przerażenie w oczach kierownika produkcji, ustąpiła. - A może to ktoś inny z moich znajomych?

- Na pewno ktoś inny - powiedział z mocą Theo. - Ja przecież kocham cielęta. Podobnie jak wszystkie inne stworzenia.

- Z wyjątkiem rybek - na twarzy Nancy pojawił się jej słynny zwycięski uśmiech. Rybki z pewnością jadasz. Sama widziałam. I, zwróciwszy się twarzą do kamery, dodała: - Mięso to morderstwo, drodzy telewizzowie, ale rybie mięso to morderstwo usprawiedliwione! - Nancy zachichotała, niczym z najlepszego dowcipu, i znacząco poklepała eksperta od zwierząt w kolano.

Ten podskoczył. Wyczuwał napięcie między dwojgiem prowadzących.

- Proszę się nie przejmować naszymi wzajemnymi docinkami - zagrochała uspokajająco Nancy. - To taki nasz styl. Kochany Theo udaje, że usiłuje zepsuć opinię mnie, a ja jemu, ale to przecież tylko żarty.

- Niezbyt zabawne, moim zdaniem - szepnęła Olivia do Kevina.

- Ale telewizzom się to podoba - odszepnął. - Nie zdają sobie sprawy, że każde z tych dwojga najchętniej wydułabałoby oczy drugiemu, gdyby tylko nadarzyła się okazja. Trudno powiedzieć, które z nich jest zdolne do większych świństw...

Stojąc parę minut później w lśniącej telewizyjnej kuchni, Olivia zdała sobie sprawę, że bez względu na to, jaki jest formalny zakres obowiązków Kevina, faktycznie robi on znacznie więcej, niż musi. Nie dość, że uchronił ją przed zamordowaniem Nancy i znalazł zastępczy strój, ale w dodatku przez cały czas zabawiał ją opowiastkami o trwającej od lat wojnie między Nancy a Theo. Nie miała nawet kiedy zdenerwować się swoim pierwszym występem na żywo.

- Znokautujesz ich - powiedział z całkowitym spokojem.

I rzeczywiście. Od pierwszej chwili, gdy tylko Theo ją przedstawił - dzięki Bogu (a raczej dzięki Lindzie Byrne) zrobił to Theo, a nie Nancy - czuła się tak, jakby zjeżdżała z dużej wysokości na górskim rowerze. W całym ciele wibrowało radosne podniecenie.

Z powodu debiutu cały czas miała do pomocy Theo, tak by mogła czuć się pewniej. Pod koniec prezentacji jednak to ona przejęła funkcję udzielania wsparcia, gdy przy krojeniu sera o mały nie pokroił własnych palców.

- Beznadziejny jestem w tym - zauważył. Smutek na twarzy zaskakująco kontrastował z pogodną, optymistyczną barwą swetra.

- Ależ skąd - zaprzeczyła uprzejmie. - To kwestia wprawy. Daj, ja to zrobię, a ty lepiej ułóż ładnie plasterki kiełbasek na tej pizzy. To ty jesteś artystą w tym gronie.

Czuła, że stanowią z Theo o wiele bardziej zgrany zespół niż ten, który tworzyli Theo i Nancy. Ich dziesięciominutowy występ był zabawny, na luzie. Rozmawiali ze sobą swobodnie i przyjaźnie, jak ludzie, którzy znają się od dawna i dobrze czują się we własnym towarzystwie.

- Palce lizać - powiedziała Olivia, kończąc swój pokaz, i odgryzła kęs z trójkąta soczystej pizzy z kozim serem i czerwoną cebulą.

Nagle, niczym gradowa chmura, nadciągnęła Nancy. W czasie przygotowywania potraw nie była obecna na wizji - poprawiano jej kilkucentymetrowej grubości makijaż. Potoczyła pełnym odrazy spojrzeniem po gotowych

plackach, jak gdyby na ich powierzchni widniały szczurze wnętrzości, a nie ser, plasterki pieczarek i tuńczyk.

- O Boże, ileż tu specjałów - zauważyła z nutą lekceważenia w głosie. - Tylko że, niestety, pizza jest szalenie tuczająca. Nasi widzowie chyba nie gustują w podobnych potrawach...

Olivia natychmiast dostrzegła swoją szansę.

- Nie sądzę, Nancy, by pizza była tuczająca - powiedziała z naciskiem, biorąc sobie jeszcze jeden kawałek tej serowej. - Co do mnie, to jadam wszystko, na co mam ochotę - i znacząco przesunęła dłonią po swojej wiotkiej talii.

Nancy pod sztuczną opalenizną pobladała ze złości. Jeden zero - podsumowała w myśli Olivia.

Kiedy dołączyła do stojącego za kamerzystami Kevina, ten wciąż jeszcze się śmiał.

- Trafiła do tej kamery - piszczał zachwycony.

- Ona mi nigdy nie daruje tego numeru - zachichotała Olivia. - Choć Theo się spodobał. Kiedy zaczęła się przerwa na reklamy, ucisnął mnie i powiedział „dobra robota”. Nie sądzę, żeby miał na myśli wyłącznie prezentację potraw...

- Świetna jesteś, Olivio - Paul Reddin wyszedł z kabiny kontrolnej, by złożyć jej gratulacje. - **1** wyjątkowo fotogeniczna. Tylko patrzeć, a ludzie będą cię uwielbiać i zastanawiać się, skąd wzięliśmy tak wspaniałą prezentkę.

Już teraz Olivia widziało wiele osób. W Wentworth Alarms Evie i Lorraine przeszły do pokoju handlowców, gdzie przycupnęły na jednym krześle obrotowym przed starym telewizorem, który dotąd wyciągano z szafki tylko z okazji wielkiej dorocznej gonitwy. Wówczas to całe biuro brało udział w wewnętrznych zakładach, wyciągając imiona koni z koperty.

Evie zaparło dech ze wzruszenia i dumy. Olivia była taka ożywiona, z taką swobodą rozmawiała i żartowała z Theo Jonesem, krojąc i siekając równocześnie... Nie tylko śliczna, ale i skończona profesjonalistka! No, po prostu wspaniała.

- Nie płacz - Lorraine dostrzegła łzy wzbierające w dużych brązowych oczach Evie.

- Wiem, że to głupie - odparła Evie drżącym głosem - ale jestem z niej taka dumna... Oli vii zawsze brakowało wiary w siebie, choć nikt by w to nie uwierzył, patrząc na nią prawda? A teraz... Naprawdę, zasługuje na ten sukces.

- Jasny gwint... To twoja przyjaciółka? - spytał jeden z handlowców, przebijając niemal nogami na widok Olivii w liliowym sweterku, odrobinę na nią za małym i dlatego niezwykle obcisłym. - Mężatka?

- Cedric! Nie uwierzysz, kogo pokazują w telewizji!

Pod koniec występu Olivii, Sheilagh zastanawiała się już, co na siebie włoży na wyprawę do miasta. Trzeba podjechać i niby przypadkowo spytać parę osób, czy widziały w telewizji żonę Stephena. Chyba najlepszy będzie ten nowy czerwony żakiet i granatowa układana spódnica... A do tego kremowe pantofle na niewielkim słupku. Tak, to będzie w sam raz. Oglądając, równocześnie prowadziła już w głowie przyszłe konwersacje: „Musimy zrobić parę zakupów w ostatniej chwili przed wyjazdem. Wybieramy się z mężem na parę dni do Dublina, na przyjęcie u Stephena. Jego żona zaczęła właśnie pracę w telewizji i to z tej okazji... Jak to, nie wiecie państwo? No cóż, nie nagłaśnialiśmy specjalnie tej sprawy... Tak, z Nancy Roberts i Theo Jonesem. Nancy jest cudowna, najwyraźniej przepada za Olivia. Tak się cieszę! Obejrzyjcie przy okazji. No, muszę lecieć. Nie możemy się spóźnić, nie zaczyna przecież przyjęcia bez nas!”

W te szczęśliwe wizje wtargnął nagle ryk jej małżonka. Odwróciła się i ujrzała jego nadętą z obrazy twarz.

- Słyszałaś? Powiedzieli „Olivia de Vere”. De Vere, a nie MacKenzie! To już nasze nazwisko nie jest dla niej wystarczająco dobre? Trzeba pogadać ze Stephenem. No, szykuje się wojna. Zobaczysz...

- Musimy pojechać do Dublina - przerwała Sheilagh.

- Ale Stephen wyjechał!

- Zadzwonimy do niego - zdecydowała. A ponieważ wydało się jej dziwne, że ukochany syn trzymał przed nimi w sekrecie wiadomość o nowej pracy Olivii, dodała: - Trzeba się dowiedzieć, dlaczego nic nam o tym nie mówił.

Kilkadziesiąt kilometrów od Navan nieświadoma niczego Olivia zafundowała sobie właśnie wizytę u manikiurzystki. Jej ręce będą teraz stale na wizi i trzeba o nie zadbać. W ogóle trzeba o siebie zadbać. To przecież nie za pieniądze Stephena - pomyślała, delektując się tym faktem. To jej własne, uczciwie zarobione pieniądze. Miło było o tym pomyśleć.

Za pół godziny miała spotkać się z Evie na późnym lunchu, potem zaś zamierzała zabrać Sashę do ZOO. Stephena nie było, nie musiała więc zwracać sobie głowy kolacją. One z Sashą mogą wpaść w drodze powrotnej do McDonalda, a wieczorem posiedzą razem przed telewizorem. Sama radość.

- Byłaś fantastyczna! - zawołała entuzjastycznie Evie, kiedy spotkały się na parkingu „The Orchard”. - Wszyscy cię oglądaliśmy. Jeden handlowiec od nas, seksualny maniak, koniecznie chciał wiedzieć, czy jesteś zamężna, czy wolna, w ogóle w jakikolwiek sposób osiągalna.

- Prawdopodobnie rzeczywiście będę osiągalna, jak tylko Stephen dowie się o wszystkim - zaśmiała się Olivia. - Naprawdę, dobrze wypadłam? Bo na początku strasznie się denerwowałam, dopiero potem poszło.

Evie miała tylko pół godziny, weszły więc do środka. Po omówieniu z przyjaciółką plusów i minusów telewizji, Olivia przypomniała sobie, że musi zadzwonić do Maksa i powiedzieć mu, jak jej poszło.

- To strasznie miły facet - zauważyła.

- Naprawdę? - spytała sucho Evie.

- Naprawdę. I bardzo cię lubi, Evie. Jak byliśmy wtedy na lunchu, cały czas usiłował rozmawiać o tobie.

- Ja jednak nie będę rozmawiać o nim, jeśli ci to nie przeszkadza - ucięła.

Najwyraźniej coś zaszło między Maksem a Evie - uznała Olivia. Coś szczególnego. Była przekonana, że między tymi dwójkiem zaiskrzyło, ale może jej się zdawało? A może Max ujawnił swoje uczucia wobec Evie, a ona je odrzuciła? W każdym razie coś nie wypaliło, choć trudno było sobie wyobrazić, by ktoś taki jak Max nie radził sobie w sprawach uczuciowych. Był nie tylko pełen uroku, ale także obyty, doświadczony, pewny siebie... Ale czy to wiadomo? Nawet najbardziej doświadczony i obyty potrafi czasem położyć sprawę...

Czerwone światełko automatycznej sekretarki migotało nagłaco. Sasha, zmęczona po pełnym wrażeń popołudniu spędzonym na podziwianiu lwów, szympanсів i małych koźlątek, od razu podreptała do swojego pokoju, żeby pokazać ukochanym misiom nowego puchatego słonia, którego wybrała sobie w znajdującym się obok ZOO sklepie. Równie zmęczona i równie szczęśliwa Olivia zdjęła żakiet i postanowiła przed odsłuchaniem wiadomości zrobić sobie dla odświeżenia filiżankę herbaty.

Miała więc przynajmniej przy sobie coś gorącego i słodkiego, gdy w pokoju rozległ się poirytowany głos Stephena:

- Co się tam u was dzieje, Olivia? Dostałem właśnie wiadomość, że mój ojciec koniecznie chce się ze mną skontaktować i że ma to jakiś związek z tobą. Co jest grane, do licha?

Dzwonił o wpół do piątej. Kolejna wiadomość, nagrana dwie godziny później, dosłownie na moment przed ich powrotem do domu, brzmiała znacznie bardziej złowieszczo:

- Słuchaj, Olivia, ojciec powiedział, że zostałeś jakąś pieprzoną gwiazdą telewizyjną! Upadł stary na głowę, czy co? Oddzwoni natychmiast i powiedz, co jest grane! To ja tu stoję na uszach, żeby popchnąć sprawę do przodu, a ty...

Połączenie zostało przerwane, ale to Stephena nie zraziło. Zadzwonił dwie minuty później i podjął temat, tym samym co poprzednio tonem.

Olivia gwałtownie wyłączyła sekretarkę, nie czekając, aż skończy. A więc już wie. O Boże, już wie. I w dodatku dowiedział się w najgorszy możliwy sposób. On ją chyba zabije... Nikt nie lubi, jeśli sięgo upokarza, a już szczególnie Stephen. A dowiedzieć się o występie telewizyjnym żony okrężną drogą to



niewątpliwie upokorzenie. Dlaczego nie przyszło jej do głowy, że może ją zobaczyć ktoś z krewnych czy znajomych Stephena? Dlaczego była taka głupia?

Bo wpadłaś w zachwyt nad sobą samą - szepnęła ukryty w jej głowie diabętek. „Duma poprzedza upadek” - mawiała zawsze matka, choć stosowała tę purytańską mądrość wyłącznie wobec dorastającej i piękniejącej w oczach córki, nigdy zaś wobec samej siebie.

Olivia jak zahipnotyzowana wpatrywała się w telefon. Za chwilę zadzwoni ponownie. Stephen na tym nie poprzestanie, to murowane. Ze słuchawki chyba buchnie na nią ogień i dym...

W tym momencie rozdarł ciszę przeraźliwy dźwięk dzwonka u drzwi. Olivia podskoczyła, wylewając herbatę na podłogę. Czy to Stephen? Już? Jak zdołał wrócić z Niemiec tak szybko? Nie, to chyba niemożliwe... Podeszła powoli do drzwi, sparaliżowana lękiem, jak gdyby miała za nimi ujrzeć czarną postać z rogami i kopytami, z wielkimi widłami w rękach. Otworzyła i ostrożnie wyjrzała.

Za drzwiami, ukryta za wielkim bukietem kwiatów, stała jej najbliższa sąsiadka, Gloria. Ta mieszkająca samotnie rudowłosa stewardesa naraziła się kiedyś Stephenowi, urządzając głośną imprezę z muzyką disco z lat siedemdziesiątych. Przez cienkie ściany słyhać ją było idealnie i Stephen, wściekły, zwrócił Glorii uwagę. Od tamtej pory unikała go.

- Może przyszedłam nie w porę, Olivio? - spytała, zniżając swój wysoki, niemal dziecięcy głosik. Innymi słowy: czy twój mąż jest w domu?

- Ależ skąd - zawołała Olivia, zachwycona tak samo jak Gloria, że Stephen znajduje się w tym momencie o tysiące kilometrów od domu. - Wejdz, proszę.

- Przyszliście wcześniej, kiedy nie było cię w domu, więc zostawili u mnie - Gloria wręczyła jej wielki, słodko pachnący bukiet wczesnowiosennych kwiatów. - Piękne, naprawdę! Czyżbyś była niegrzeczną dziewczynką, kochanie? - zachichotała. - To przecież moja działka!

Fachowy makijaż, bez którego Gloria nigdy nie pokazywała się światu, oraz mundurek Aer Lingus nadawały jej dość pospolitej urody dziewczynie wygląd femme fatale. Była straszna gadułąj gdyby jej nie przerywano, mogłaby mówić cały dzień bez przerwy.

Zazwyczaj Olivia była zbyt zajęta przygotowaniem dla Stephena trzydaniowych obiadów, by mieć czas na rozmowę. Dziś jednak, zdenerwowana i wystraszona, musiała opowiedzieć komuś, co zaszło. Komukolwiek. Wciągnęła Głorię do salonu, szybko przygotowała dwa drinki-gigant i otworzyła przed sąsiadką serce.

- Nigdy nie miałam zamiaru ukrywać tego przed Stephenem - trzęsła się tak, że Gloria złękła się, iż Olivia upuści swojego drinka na podłogę. - Wszyscy mamy sekrety, ale... Nigdy nie myślałam, że dowie się w ten sposób! Dostanie szału. Nikt nie wie, że w domu jest inny niż na zewnątrz...

Gloria na trasie Dublin-Nowy Jork często miała do czynienia z nerwowymi pasażerami. Usiadła obok Olivii i objęła ją ramieniem.

- Spokojnie, złotko. Łyknij sobie.

Jak dziecko, któremu kazano wypić mleko, Olivia posłusznie pociągnęła parę łyków swojej whisky. Gloria tymczasem Dogadywała jakieś uspokajające banały.

- Z facetami tak zawsze. Najpierw nam się wydaje, że złapałyśmy Pana Boga za nogi, a potem dostajemy z nimi cholery. Znam trochę Stephena - przerwała na moment. - Jest trudny i przesadnie wrażliwy, to prawda... Ale przejdzie mu, zobaczysz. Musisz tylko twardo mu się przeciwstawić. Powiedz mu, że go kochasz, ale zależy ci też na pracy. A w ogóle to twój Stephen powinien mieć się na baczności. Na pewno mnóstwo facetów będzie chciało poderwać czarującą gospodynię okienka kulinarnego i jak nie będzie uważał, niedługo może sam sobie gotować. Masz, zobacz, od kogo dostałaś te kwiaty - wręczyła Olivii bilecik, a sama poszła do kuchni po wazon.

Nieco spokojniejsza, Olivia rozerwała kopertę.

*Gratuluję wspaniałego debiutu. Paul i cały zespół są przekonani, że odkryli nową gwiazdę. Ja także. Pozdrawiam - M.S.*

Uśmiechnęła się ciepło. Kochany Max! Jest taki miły, taki przyjacielski...

W kuchni Gloria układała wraz zachwyconą Sashą kwiaty w wazonie. Olivia pocałowała córeczkę w blond włoski i spytała, czy Gloria nie została-by odrobinę dłużej.

- Byłyśmy z Sashą na kolacji w McDonalddie, ale w domu znajdzie się jakiś ser i biszkopty. Otworzymy sobie butelkę wina...

Były akurat w połowie butelki, kiedy zadzwonił dzwonek u drzwi. Olivia, rozluźniona, na bosaka, poszła otworzyć. W drzwiach stali starsi państwo MacKenzie z walizkami w dłoniach, dyszący z emocji.

- Ależ ty jesteś spokojna - Sheilagh wtoczyła się do hallu z podręczną torbą pełną twardych jak kamienie ciasteczek, pozostawiając wniesienie pozostałych bagaży na głowie Cedrica. - Byliśmy zaskoczeni, nie powiem, ale trzeba przyznać, że to interesująca praca - postawiła torbę na podłodze i wyciągnęła pulchne ramiona. - Musisz wspomnieć Theo albo Nancy, żeby koniecznie wpadli któregoś dnia do butikiu „U Miriam” w Navan. Byłam tam dziś i powiedziałam, że na pewno będziesz w stanie to załatwić, bo przecież tak dobrze ich znasz... Te sławne osobistości lubią wpadać do małych miasteczek. Ale to za darmo, rzecz jasna!

Wkroczyła do salonu i na widok Głorii dziobiącej ser adare stanęła jak wryta. Niepewna, czy nie ma przypadkiem do czynienia z którąś z telewizyjnych sław, na wszelki wypadek rozpromieniła się w uśmiechu.

- Hellou - powiedziała, siląc się na wytworny ton. - Jesteśmy rodzicami Stephena. Sheilagh - wyciągnęła dłoń - a to mój małżonek Cedric. Strasznie się cieszę, że spotyka nas zaszczyt poznania drogiej pani...

Gloria rozpoznała ich od razu. Natknęła się na starszych państwa w styczniu, przy okazji szaleństwa poświętecznych wyprzedazy, kiedy to została bez ceremonii upchnięta w kącie windy przez nich oraz ich liczne torby z zakupami. Szybko opróżniła szklankę i wstała.

- Mnie również miło jest państwa poznać - zaszcebiotała głosem, jakiego używała w stosunku do oczekujących na lot pasażerów pierwszej klasy. - Muszę już iść - zwróciła się do Olivii. - Mam lot. Uściskaj ode mnie kochaną Nancy i powiedz, że się z nią skontaktuję - dodała złośliwie.

- Kto to taki? - spytał z zainteresowaniem Cedric, gdy Gloria, rzuciwszy po raz ostami „do zahaczenia”, opuściła mieszkanie. Sheilagh spojrzała na niego złym okiem i zaczęła wnosić bagaże do przeznaczony dla gości sypialni.

- Och, ci ludzie z telewizji to takie gaduły - Olivia, w pierwszej chwili zaskoczona, błyskawicznie odzyskała koncept. - Kochana Gloria pracuje w wiadomościach - skłamała. - Jest taka bezpośrednia... Nikt by się nie domyślił, że jest z telewizji, prawda?

Sheilagh nie interesowały wiadomości, a wyłącznie prywatne życie możliwych tego świata.

- A jaka jest Nancy Roberts? - spytała, wypychając sobie policzki serem niczym chomik. - Miła?

- Prawie tak samo jak wy z Cedrikiem - błysnęła refleksiem Olivia.

Starsi państwo zdołali pochłonąć połowę tarty, cztery ogromne pieczone ziemniaki i całe opakowanie lodów „Violetta”, gdy Stephen zadzwonił ponownie.

- Za moment wracam - powiedziała Olivia do swoich przejeżdżonych gości. Zamknęła za sobą drzwi i odebrała telefon w sypialni.

- Co się dzieje, do diabła? - Stephen wprost wychodził z siebie. Najwyraźniej luksusowa kolacja w luksusowym hotelu, gdzie zawsze się zatrzymywał, nie wpłynęła łagodząco na stan jego nerwów.

- Tak przy okazji, twoi rodzice są u nas - powiedziała spokojnie.

- Gówno mnie to obchodzi! Co to za numer z tą telewizją?

- Nie klnij. Byłam na przesłuchaniu w telewizji. Potrzebowali fachowca od spraw kulinarnych i postanowiłam spróbować. Dostałam tę pracę i dzisiaj był mój pierwszy występ na żywo.

- Co?!

Olivia zakryła dłonią słuchawkę. Wrzaski Stephena na pewno było słychać za ścianą, u Glorii.

- Nie mówiłam ci, bo chciałam się najpierw upewnić, czy coś z tego wyjdzie. Wiedziałam, że wyśmiałyś mnie za sam pomysł. Ale wypadłam bardzo dobrze. Wszyscy to mówią.

- Olivia, czy ty zwariowałaś, do cholery? Robisz takie rzeczy w tajemnicy przede mną, a ja się muszę dowiadywać od ojca? Jak myślisz, jak ja się teraz czuję?

Telefon to znakomity wynalazek... Okazuje się, że do tej kremowej słuchawki jest w stanie powiedzieć rzeczy, jakich nigdy nie odważyłaby się powiedzieć Stephenowi w oczy.

- Stephen, czy choć raz w życiu przyszło ci do głowy, że to, co myślisz i czujesz, nie jest najważniejszą sprawą we wszechświecie? - podniosła w końcu głos. Skoro poradziła sobie ze złośliwą Cheryl Dennis i z podłą, wyrafinowaną Nancy Roberts, nie wdepcze jej w ziemię własny mąż. - Nie mówiłam ci o niczym, bo byłam pewna, że wmówisz mi, że nie mam co się porywać 7. motyką na słońce, tak jak zawsze to robisz. A to przecież takie proste - powiedziała, akcentując każdą sylabę. - Podoba mi się ta praca i płacą mi za nią. W tej sytuacji mam gdzieś to, co o tym myślisz.

Niemal widziała go, jak odskakuje od słuchawki, zszokowany. Nigdy dotąd nie słyszał, by wyrażała się wulgarnie.

- Jeśli chcesz o tym pogadać, proszę, wracaj do domu. Tylko niech ci nie przyjdzie do głowy na mnie krzyczeć, bo zastaniesz wymienione zamki. Nie pozwolę ci nocować nawet w gościnnym pokoju i będziesz musiał użyć swojej bezcennej złotej karty, żeby załatwić sobie pokój w hotelu. Wystarczająco długo rządziłeś mną, Stephen. Miarka się przebrała. - 1, czując w całym ciele dreszcz triumfu, trzasnęła słuchawką.

W salonie teściowie bawili się pilotem, skacząc z kanału na kanał. Nie było nic takiego, co by się im podobało. Wszystkie filmy to był ostatnio „chłam”, a w programach typu talk-show występowały wyłącznie „szczeniaki”. Olivia wiedziała, co teraz nastąpi: znudzeni, zaczną ją wypytywać, dlaczego Stephen nie wiedział o jej telewizyjnym debiucie. Do tej pory byli zajęci napychaniem sobie brzuchów, teraz jednak przesłuchanie było tuż-tuż.

Na pewno zechcą gadać całą noc: o dumnym rodzie MacKenziech, o tym, jaki dobry jest dla nich Stephen... I pewnie zażądadają, żeby załatwić im bilety na różne spektakle. Olivia zaś szła rano do szkoły i nie miała ochoty zarywać nocy. Podbudowana tym, że potrafiła przeciwstawić się Stephenowi, uznała, że nie pozwoli wykorzystywać się również jego okropnym rodzicom.

To już pół do dziesiątej. Gdzie się podział ten wieczór? Najchętniej poszłaby teraz do siebie i pooglądała telewizję... Tak, trzeba uciec od szanownych teściów. Mają dostęp do kuchni, więc nie umrą z głodu.

- Czy to Stephen? - Cedric przygwoździł ją małymi, przenikliwymi oczkami.

- Tak, Stephen. A teraz, kochani - poinformowała ich - musicie mi wybaczyć, ale idę do łóżka. Jestem zmęczona, a jutro czeka mnie trudny dzień.

Sheilagh zdążyła się już przebrać w jeden ze swoich dresów - tym razem żółty w odcieniu musztardy Uświadomiwszy sobie, że nie ujrzy już dziś żadnych wytwornych gości ze świata telewizji, spojrzała z furią na Olivie.

- Jak to? Teraz, kiedy przyjechaliśmy do ciebie taki kawał drogi z Navan? Musimy pogadać!

Cierpliwość Olivii, nadużywana przez Cedrica i Sheilagh przez dwanaście lat jej małżeństwa, była niebezpiecznie bliska wyczerpania.

- Sheilagh - powiedziała. - Nie wiedziałam, że przyjeżdżacie. Gdybym wiedziała, spróbowałabym inaczej zaplanować jutrzejszy dzień.

Teściowa poczerwieniała. Uwaga była doprawdy mało subtelna.

- Ponieważ jednak przyjechaliście bez zapowiedzi - ciągnęła Olivia - nie mogłam nic zmienić i muszę wstać jutro o siódmej. Wobec tego idę do łóżka.

- Ale co się tak rzucasz? - napadła na nią Sheilagh. - Przecież zadzwonilibyśmy, gdybyśmy tylko mieli czas.

- Do Stephena mieliście czas zadzwonić, i to dwa razy - zauważyła Olivia cierpko - więc na pewno zdążylibyście i do mnie.

- Myśmy się po prostu martwili - Cedric koniecznie chciał wtrącić swoje trzy grosze.

- Martwiliście się? O co?

- O to, jak dostałaś się do telewizji. I dlaczego używasz panińskiego nazwiska.

- Tak jakby nasze nie było wystarczająco dobre! - zaskrzeczała Sheilagh. - Dobrze wiemy, gdzie nie jesteśmy mile widziani...

- Nie znoszę tej nowoczesnej manieri - ciągnął Cedric. - To hańba! To powinno być karalne! Za moich czasów kobiety szczyliły się, że mogą nosić nazwisko męża. Rzecz jasna, wszystko się zmieniło...

- Choćby te całe rozwody - twarde oczka Sheilagh błysnęły złością.

-A propos - Olivia straciła resztki cierpliwości. - Być może ja również rozwiodę się ze Stephenem, właśnie dlatego, że wciąż wtykacie nos w nasze sprawy. Nawiasem mówiąc, przyda mi się wtedy moje panińskie nazwisko.

Cedric splunął. Sheilagh znowu oblała się purpurą. Na widok podobnego rumieńca lekarz na izbie przyjęć zwykle dzwoni po kardiologa.

- W naszej rodzinie nigdy nie było rozwodów! - zasyczała niczym boadusiciel.

Olivia popatrzyła na teściów. Miała chęć im powiedzieć, że gdyby nie wychowali syna na porąbanego typu o patologicznej skłonności do dominacji, nie byłoby potrzeby wspominać teraz o rozwodzie. Ale wychowali - i rozwód stał się całkiem realną możliwością. Olivia pomyślała o tym ze spokojem. Nie miała jednak zamiaru ujawniać wobec Cedrica i Sheilagh swoich problemów.

- Miejmy nadzieję, że i tym razem nie będzie - powiedziała tylko. - Ale wasze wtrącanie się z pewnością nie przyniesie nic dobrego. Dobranoc.

Wyszła z pokoju i spokojnym krokiem poszła do sypialni. Cedric i Sheilagh byli tu wcześniej tyle razy, że wiedzieli bezbłędnie, gdzie co jest, włączając z drzwiami. A jeśli Stephen zirytuje się, że Olivia w końcu stanęła dęba

i przestała usługiwać starszym państwu MacKenzie, to trudno. Jego problem.

## V

Kiedy następnego dnia, tuż po lunchu, wróciła do domu z Sashą, teściowie jeszcze byli. Trudno było zresztą oczekiwać czegoś innego... Z łazienki dochodził szum suszarki do włosów, a z salonu - ryk telewizora. Aha - Sheilagh robi sobie fryzurę, a Cedric ogląda popołudniowy program. Może i wiedzieli, gdzie nie są mile widziani, ale to bynajmniej nie znaczyło, że zamierzają wyjechać.

Przytłoczona panującą w domu ponurą atmosferą, Olivia weszła do kuchni i włączyła radio na cały regulator. Buchnął ogłuszający rytm najnowszego przeboju. Trzeba by chyba parę kilo trawy, żeby wejść w te klimaty... Olivia uśmiechnęła się. Sheilagh będzie wściekła.

- Właśnie jemy lunch - w drzwiach pojawiła się jak gdyby lekko zawstydzona twarz teścia.

- Tak? - spytała, zaskoczona. Zazwyczaj oznaczało to dla niej konieczność półgodzinnego sprzątnięcia po nich.

- Za parę minut wyjeżdżamy. Już zamówiłem taksówkę. - Podeszedł do niej bliżej. - Przepraszam, Olivio.

Mniej byłaby chyba zaskoczona gdyby jej oznajmił, że jest transwestytą.

- Nie powinniśmy byli się wtrącać - ciągnął Cedric. - Zachowałem się niewłaściwie. Choć Sheilagh nie zgadza się ze mną, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Olivia wiedziała. Sheilagh nigdy za nic nie przeproszała ani nie czuła się z jakiegokolwiek powodu winna. W swoim przekonaniu wszystko robiła jak należy. Gdyby dowiedziała się, że jej małżonek przeprosił Olivie, zabiłaby go.

- Wiesz, nie pomyślałem o tym, jakich kłopotów mogę narobić, mówiąc Stephenowi, że posłużyłaś się własnym nazwiskiem. Wybacz mi. - Cedric był wyraźnie przygnębiony. - Całą noc o tym myślałem... Wiem, że nie jest ci łatwo ze Stephenem, ale wierz mi, on cię naprawdę kocha.

- Ale miłość nie powinna chyba oznaczać nieustannej kontroli, prawda? - zauważyła gorzko. Swoją drogą, co za rozmowa... Z teściem!

Cedric pokiwał głową.

- Wiem. To także moja wina. Chciałem, żeby był silnym mężczyzną, a nie jakimś mięczakiem, no i... Przykro mi, że jest taki ostry dla ciebie.

Olivia uniosła głowę, tknięta nagłą myślą.

- Dzwonił jak mnie nie było, prawda?

Teść znowu pokiwał głową.

- Próbowałem z nim pogadać, ale nic z tego nie wyszło. Włączyła się matka i zaczęła...

- Co zaczęła? - zza pleców małżonka wyłoniła się Sheilagh z głową w siwych sztywnych loczkach. Wyglądała, jakby od dwunastu godzin nie

opuszczała jej atak złości - twarz miała purpurową i wyraźnie się pociła pod białą bluzeczką i czerwonym żakietem.

- Właśnie mówiłem Olivii, że Stephen załatwia sobie samolot na dziś po południu - Cedric przybrał swój zwykły apodyktyczny ton.

O Jezu! Olivia o mało się nie przewróciła. Stephen wraca dziś z Niemiec! Wcześniej niż zamierza! On ją chyba zabije.

- Dużo ją to obchodzi - warknęła Sheilagh.

Olivia spojrzała na kobietę, która była przyczyną tylu jej smutków. Sheilagh nie cierpiała rodzinnych korzeni Olivii i skarżyła się na nią przed Stephenem, kiedy tylko mogła: na posiłki, na stan sypialni, na zachowanie Olivii wobec nich... Uważała, że pracująca kobieta nie jest w stanie właściwie wychować dzieci, i dawała temu głośno wyraz. Robiła co mogła, by wprowadzić rozdźwięk między synem a kobietą, którą poślubił. Olivia miała wrażenie, że lata jej starań, by zadowolić Sheilagh, przeminęły bez śladu. Sheilagh nie da się zadowolić, po co więc zawracać sobie tym głowę?

- Wiesz co? - powiedziała, idąc na całość. - Jesteś wstrętną, zawistną babą i mam cię po uszy. Nigdy więcej nie pozwolę Sashy zbliżyć się do ciebie. Nie daj Boże, jeszcze jazarazisz swoimi horrendalnymi poglądami i swoim jadowitym językiem!

Teściowa rzuciła jej wściekłe spojrzenie.

- Nie... nie możesz tego zrobić! To moja wnuczka. Co ludzie powiedzą? Olivia popatrzyła na nią z niesmakiem.

- Właśnie. Tylko to cię naprawdę obchodzi: co powiedzą ludzie. Samych ludzi masz w nosie, tak samo jak to, czy przypadkiem ich nie skrzywdziłaś. Dla ciebie liczy się tylko to, co na wierzchu. Siedzisz w niedzielę na swoim miejscu przed ołtarzem i modlisz się, ale to tylko dla ludzkiego oka, a po cichu myślisz, komu w następnej kolejności zrobić świństwo!

- Przesadziłaś - powiedział Cedric.

- To nieprawda! - krzyknęła piskliwym głosem Sheilagh.

- Tak? - Olivia nie zamierzała więcej być uprzejma. - A powiedziałaś mi chociaż raz w życiu coś miłego? Pomogłaś mi w czymś? Nie, ty potrafisz tylko przyjeżdżać bez zapowiedzi i żądać, żebym cię woziła po mieście jak jakiś cholerny taksówkarz! Myślisz, że nie wiem, że skarżysz się na mnie Stephenowi za moimi plecami, kiedy zdarzy się, że nie jestem wobec ciebie superuprzejma, albo zdaje ci się, że nie zadbałam o ciebie jak należy, bo nie dostałaś dodatkowej poduszki?

- Jak śmiesz tak do mnie mówić? Wiesz kim ty jesteś? Jesteś żebraczką, która udaje nie wiadomo kogo. Wydaje ci się, że jesteś lepsza od nas, bo pochodzisz z wielkiego domu, tak? - Sheilagh z wściekłością wyrzucała z siebie to, czego nie odważyła się dotąd powiedzieć wprost, ograniczając się do aluzji. - Wszyscy wiedzą, że twoja matka to pijaczka, a z ciebie pewnie będzie to samo. A mówiłam Stephenowi - Sheilagh prawie pluła ze złości -

mówiłam, że w końcu wyjdzie z ciebie to co z niej: pijaczka i fleja. Te długie blond włosy! W twoim wieku! Co za pospolitość! Wszystko co opowiadasz o tych lepszych sferach, z jakich rzekomo się wywodzisz...

Mówiła dalej, ale Olivia przestała słuchać. Co to Stephen rzucił jej w twarz w czasie tamtej kłótni w dniu ślubu Andrewa Frasera? No tak: że robi się taka sama jak jej matka... Najwyraźniej powtarzał tekst własnej mamusi. Dobrana para! I co tu się dziwić, że ich małżeństwo od początku było polem walki, skoro Stephen ma takiego doradcę z piekła rodem, nieustannie sączącego swój trujący jad.

Zadzwoił dzwonek u drzwi.

- Taksówka - w głosie Cedrica była jakaś desperacka ulga. Pobiegł, żeby otworzyć.

Olivia podeszła do Sheilagh tak blisko, jak tylko pozwalała jej odraza.

- Sprowadzę do Navan Nancy Roberts i Theo Jonesa - powiedziała zniżonym głosem - i świetnie się razem zabawimy, tyle że ty nie zostaniesz zaproszona do kompanii. A Nancy wszystkim rozpowie, że nie chce mieć z tobą nic wspólnego, właśnie dlatego, że jesteś taka wredna dla mnie i dla Sashy. Tylko patrzeć, jak całe Navan będzie o tym mówić. Zrobi z ciebie pośmiewisko.

Ciemne rumieńce Sheilagh momentalnie zniknęły.

- Nie zrobisz tego.

- No to zobaczysz - odparła.

Sheilagh wyskoczyła na zewnątrz jak z procy, nie kłopotząc się nawet o to, by zabrać którąś z walizek.

- Przepraszam - powiedział bezradnie Cedric.

Olivia wzruszyła ramionami.

- I tak zawsze wiedziałam, co ona o mnie myśli. Teraz powiedziałam jej także, co ja myślę o niej.

- Ale w rodzinie powinna być zgoda...

- Twoja żona i mój mąż od dawna robią co mogą żeby tę zgodę zniszczyć - powiedziała twardo. - To oni nawarzyli piwa. Pozwólmy im więc teraz je wypić.

- Gdzie tata jedzie? - spytała Sasha. Siedziała na łóżku i bawiła się w ZOO, używając do tego celu świeżo nabytego słonia i paru starych pluszowych królików, Olivia zaś szybko i sprawnie pakowała rzeczy Stephena do dwu największych walizek, jakie mieli.

- Chyba pojedzie w długą podróż, kochanie - odparła machinalnie. - A może zamieszka w gościnnym pokoju? Zobaczmy.

- Dlaczego?

- Bo chrapie w nocy i nie daje mamusi spać - porzuciła na chwilę pakowanie i przytuliła córkę.



- Czy będzie się na nas złościł? - spytało dziecko niespokojnie.  
- Nie. Obiecuję - przytuliła małą mocniej. Trzeba było to zrobić dawno temu - pomyślała ponuro.

- To dobrze. A Rosie mogłaby z nami zamieszkać? I ciocia Evie? - Sasha darzyła Rosie typowym uwielbieniem małego dziecka.

- Nie, kochanie. One zamieszkają z wujkiem Simonem.

Zamieszkają albo nie - pomyślała w duchu. Kiedy ostatnio rozmawiała z Evie na temat ślubu, wyczuła, że przyjaciółka nie traktuje go już jak podniecającej, radosnej przygody. Po prostu nie chciała na ten temat rozmawiać. Nie wróżyło to zbyt dobrze na przyszłość...

Kiedy po południu Stephen przekreślił klucz w zamku, czekały już na niego w hallu dwie walizy ubrań i cztery kartonowe pudła zawierające jego książki, biurowe papiery, płyty i odtwarzacz CD oraz zawartość szuflad. W pierwszej chwili Olivia zamierzała spakować tylko ubrania męża, tak jak by wybierał się w nieco tylko dłuższą od innych podróży służbową później jednak uznała, że potrzebna im jest całkowita rozłaka. Jedyne terapia wstrząsowa może tu coś zmienić, a spakowanie całego ruchomego majątku Stephena niewątpliwie będzie dla niego wstrząsem.

- Co tu się dzieje, do cholery! - wrzasnęła na widok pudeł.

Jak zwykle... Olivia zebrała siły. Tylko się nie cofnij - powtarzała sobie, idąc w kierunku hallu.

- Co tu jest grane? Dlaczego mnie spakowałeś? - Wysoki, ciemnowłosey, w szarym garniturze i grafitowym krawacie, Stephen był niewątpliwie szalenie przystojny. Mógłby zawrócić w głowie każdej kobiecie, gdyby nie maulająca się na jego twarzy furia.

Nie, za nic nie pokaże po sobie, że się go boi. Spojrzała mu w oczy bez drgnienia powiek.

- Wyprowadzasz się. Dopóki nie rozwiążemy pewnych problemów, nie powinniśmy mieszkać razem.

- Jakich problemów? Co za problemów?

- Takich na przykład, że drzesz się na mnie przez telefon i kniesz, wyłącznie dlatego, że zrobiłam ze swoim życiem coś, o czym nie wiedziałeś.

- Ach, to o to chodzi. Twoja „praca” - powiedział szyderczo, ciskając marynarkę na krzesło.

- Moja praca to moja sprawa, Stephen. To ją dostałam, a tobie nic do tego. Powtarzam: chcę, żebyś się wyprowadził. Żądam czasowej separacji i nie jest to sprawa do dyskusji. Nawet nie próbuj mnie zastraszyć.

- Nie możesz wyrzucić mnie z domu! To ja go kupiłem. Jest mój.

- Czyżby? - spytała chłodno. - O ile pamiętam, to moi rodzice zapłacili dwadzieścia procent w ramach ślubnego prezentu. Mój udział zatem jest większy, to chyba jasne?

Potrząsnęła niecierpliwie głową.

- Zostawmy to. Robisz mi sceny, bo zależy ci na tej pracy, aja tego nie akceptuję. - Postąpił krok do przodu i ujął oburącz jej dłoń. - Pogadajmy o tym, skoro to dla ciebie takie ważne. Nie podoba mi się to, że...

- Stephen - wyrwała rękę z uścisku. - Nie rozumiesz. Ja nie potrzebuję twojej aprobaty. Jestem dorosła i mam po uszy mówienia mi, co mam robić, a czego nie, tak jakbym była niepełnosprawna umyślowo. Nie jestem. Nie jestem też kwoczką ani głupią Olivia. Jestem samodzielnym człowiekiem i nie będziesz dłużej urządził mi życia. Jesteś apodyktyczny i agresywny. To się musi skończyć.

Stephen usiadł, tak jakby nagle opuściły go siły. Najwyraźniej było dla niego niepojęte, że Olivia może tak oceniać jego zachowanie, w pełni przecież usprawiedliwione.

-Ale przecież ja cię kocham! Chcę wyłącznie twojego dobra - zaprotestował. - Jeśli mówię ci, co masz robić, to dlatego, że troszczę się o ciebie!

- Stephen, ja wyszłam za męża za ciebie, a nie za jakąś ślepą siłą natury. Ty jesteś jak tornado albo fala przypląwu: zmiatasz z powierzchni ziemi wszystko co na drodze. Twierdzisz, że troszczysz się o mnie, a w rzeczywistości traktujesz mnie jak niemowlę. Spytałeś mnie choć raz, czego bym chciała, na czym mi zależy? No widzisz. Moje potrzeby dla ciebie po prostu nie istnieją.

- Potrzeby! - zawołał z ironią. - Naczytałaś się psychologicznych bzdur w tych cholernych babskich magazynach i stąd ta cała afera. „Jak wytresować partnera: powiedz mu, że jest jak ślepa siła natury i że nie dostrzega twoich potrzeb”. Co za bełkot!

Olivia poczuła, że słabnie. Nie było łatwo przeciwstawić się Stephenowi po tylu latach uległości... I właśnie wtedy usłyszała jakiś odgłos. Odwróciła się i zobaczyła w drzwiach wystraszoną buzię Sashy. Dziecko jedną pulchną rączką przytuliło do policzka nowego słońca, kciuk drugiej zaś tkwił w całości w buzi. Mała wyglądała dokładnie jak jedno z tych dzieci na fotografiach ilustrujących teksty na temat przemocy w rodzinie: wystraszona i pełna napięcia.

Olivia poczuła, że resztki jej własnego strachu znikają niczym ostatnie drobiny starego lakieru z paznokci.

-Najważniejszy powód, dla którego chcę, żebyś się wyprowadził, jest taki, że nasze dziecko żyje w lęku. Wystarczy, że mam inne zdanie niż ty, albo nie wykonuję natychmiast twojego polecenia, a z miejsca wpadasz we wściekłość. Cały czas boimy się twojej złości, Sasha i ja. W dzieciństwie też stale się bałam: tego, że rodzice się spiją i będą się na mnie wydzierać, tego, że zabraknie pieniędzy na życie i opłacenie rachunków, tego, że będę musiała świecić oczami wobec sąsiadów i wobec koleżanek w szkole...

Pamiętała to wszystko jak dziś. Ile razy siedziała w kuchni, sparaliżowana lękiem, bo matka mogła zacząć na nią wrzeszczeć w każdej chwili i z dowolnego powodu... Albo bez powodu. Tak samo chyba czują się ludzie w czasie wojny: słyszą dźwięk spadającej bomby, nie wiedzą tylko, w którym miejscu uderzy.

- Nie chcą, żeby Sasha przeszła przez to samo - dokończyła.  
- Ale ja nie piję - zaprotestował Stephen. Po raz pierwszy w życiu wyglądał bezbroniście.

- Tym gorzej. Nic nie usprawiedliwia twojego totalnego braku kontroli nad własnymi emocjami. Wszyscy mamy jakieś braki, Stephen, ale ty nie przyjmujesz do wiadomości, że dotyczy to również ciebie. Uważasz, że jesteś doskonały. Nie jesteś. I potrzebujesz pomocy.

- Pomocy?

- Tak, pomocy. Musisz nauczyć się kontrolować własny gniew. Co będzie, jeśli zaczniesz bić mnie albo Sashę?

- Nigdy tego nie zrobię - widać było, jak zaciska w napięciu szczęki. - Dobrze o tym wiesz.

- Nie, nie wiem. Skąd mogę mieć pewność, że nigdy nie posuniesz się do rękoczynów? Przecież nigdy nie wiem, w którym momencie zmienisz się z doktora Jekylla w pana Hyde'a. Tyle jest w tobie złości, Stephen... Nie chcę dłużej tego znosić. Masz się wyprowadzić. Może kiedy staniesz twarzą w twarz z własnymi problemami, zrozumiesz, że musisz nad nimi pracować. I może będziemy mogli wtedy wznowić nasze małżeństwo.

Nie była do końca szczera. Tak naprawdę nie bała się, że ją uderzy. Nigdy dotąd nie tknęła jej palcem. Liczyła jednak, że taka wiadomość wstrząśnie nim - i rzeczywiście tak się stało. Stephen był wstrząśnięty.

- Przepraszam - wykrztusił. - Nigdy nie miałem zamiaru... Proszę, Olivia, nie kończmy tego w ten sposób. Kocham cię. I kocham Sashę.

- Ja też cię kocham. Nie jestem jednak pewna, czy potrafię nadal z tobą żyć. Lepiej będzie, jak się wyprowadzisz. Dopiero wtedy zdecydujemy, czy chcemy być razem.

Stephen wyglądał jak człowiek załamany.

- A co z Sashą?

- To twoja córka i nie mam zamiaru zabraniać ci jej widywać. Nie chcę jednak, żeby mieszkała z nami obojgiem, skoro nasz związek jest dla niej tak stresujący. Nie chcę, żeby cierpiała.

- A może powinniśmy pójść do psychologa? - zaproponował gorączkowo.

- Możemy pójść. Najpierw jednak musisz się wyprowadzić, Stephen. Jeśli tego nie zrobisz, ja się wyprowadzę i zabiorę z sobą Sashę. To jedyna szansa, żeby przekonać się, czy możemy uratować nasze małżeństwo. A jeśli się na to nie zgodzisz, składam pozew o rozwód. Koniec pieśni.

Stephen wstał i wziął do ręki walizkę, z którą wrócił z Niemiec.

- Po resztę przyjdę jutro - powiedział bezdźwięcznie.

- W porządku.

Wyszedł. Olivia rzuciła się na krzesło. Jej ciałem wstrząsała ciężki, bezgłośny szloch. Tak, musiała to zrobić, ale była to najtrudniejsza rzecz w całym jej dotychczasowym życiu. Kochała go. O Boże, nadal go kochała.



Evie spojrzała na zgromadzone na podłodze sypialni torby i walizki. Żadna nie nadawała się do zabrania jej na eleganckie wakacje na południu Hiszpanii. Zresztą co tam Hiszpania! Nie nadawałyby się nawet na deszczowy weekend na polu namiotowym. No, chyba że byłaby to impreza pod znakiem lat siedemdziesiątych: im coś starsze i bardziej obdarte, tym lepsze.

Wiekowa niebieska waliza, którą kupili niegdyś z Tonym na podróż poślubną, od lat stała upchnięta w kącie na strychu, pokryta kurzem i pajęczyną i było to niestety po niej widać. Evie przechowywała w niej stare zabawki Rosie. Teraz wszystkie pozbawione głów lalki i misie o porozpruwanych brzuskach musiała upchnąć w koszu na brudną bieliznę. Wyrzucić ich w żadnym razie nie mogła - były zbyt cenne. Każda z tych sfatygowanych, ale kochanych przytulanków miała swoją historię: króliczek imieniem Charlie, bez którego Rosie nie położyła się do łóżeczka, mały klown o smutnej twarzy, z którym zasypiała, ssąc palec, aż do ukończenia czterech lat...

Evie wróciła do rzeczywistości. Nie miała się w co spakować. Olbrzymia baryłkowata torba, którą od lat zabierały ze sobą do Ballymoreen, prezentowała się niewiele lepiej niż walizka. Tylko czarna, czerwono lamowana, którą dostała kiedyś na urodziny od Olivii w nadziei na wspólny babski weekend, można było od biedy pokazać światu, ale była za mała, żeby pomieścić wszystkie pary butów, które zamierzała zabrać.

Głównym problemem Evie były jednak opinie i rady, jakie usłyszała od ludzi w związku z miejscem planowanego pobytu. W biurze podróży powiedziano jej, że Puerto Banus to bardzo elegancka miejscowość. Ekskluzywna - jak wyraziła się jedna z przyjaciółek Olivii, dodając tonem pocieszenia, że z opalenizną każdy wygląda atrakcyjnie.

- Na tle tych wszystkich wspaniałych Hiszpanek będziesz się czuła jak babcia klozetowa - orzekła złowieszczo ciotka Lorraine.

Niestety, prognoza ciotki wydawała się najbardziej prawdopodobna... Evie nie miała wśród swoich rzeczy nic eleganckiego, a jej opalenizna nawet w przybliżeniu nie przypominała barwą masła orzechowego. Przyjaciółka Olivii zdawała się prezentować światu ten odcień non stop... Co tu dużo gadać - będzie się rzeczywiście czuła jak babcia klozetowa. Nie ma dwóch zdań.

- Byle babinę można wysłać do kurortu, ale co z tego? Babina zawsze pozostanie babiną - mruknęła ponuro.

Wreszcie wpadła w panikę i postanowiła zabrać wszystkie, choćby tylko z grubsza letnie rzeczy. Prawdziwie letnich praktycznie nie miała - ze względu na irlandzki klimat latem nosiła właściwie to samo co zimą tyle że bez swetra i grubych rajstop.

Był piękny środowy wieczór. Od wyjazdu dzieliło je trzy, a właściwie już tylko dwa i pół dnia. Za dwa i pół dnia ze zwykłej szarej urzędniczki zmieni się w wytworną damę, sączącą koktajle na brzegu basenu z taką swobodą, jakby robiła to całe życie, i rzucającą nonszalancko w stronę kelnera: *Cafe eon leche, por favor.*

Stała teraz w sypialni, układając i przekładając wciąż na nowo stopy ciuchów, desperacko próbując trochę zmniejszyć ich wysokość. Postanowiła zrezygnować z tych, które były zbyt do siebie podobne.

Nigdy nie przypuszczała, że ma aż tyle bladoróżowych podkoszulków! Było ich dokładnie dziewięć i różniły się między sobą tylko stopniem sprania. Ktoś musiał jej chyba kiedyś powiedzieć, że dobrze wygląda w tym kolorze... Uniosła jeden z T-shirtów ku twarzy i doszła do wniosku, że ten ktoś musiał się pomylić. W bladoróżowym do złudzenia przypominała prosiątko z książeczek Beatrix Potter. Jeszcze tylko czepeczek z falbankami i wypisz wymaluj... Chyba nie o to jej chodzi?

- Cholera jasna! - rzuciła, wściekła. Rzadko zdarzało jej się przeklinać, ale nie mogła się powstrzymać.

Przez uchylone okna wpadało łagodne lipcowe słońce. Zapach świeżo skoszonej przez sąsiadów trawy mieszał się z wonią olejku lawendowego, którym Evie napełniła kominiek do aromaterapii w nadziei, że ją to uspokoi. Nadzieje się nie spełniły. Może silne proszki uspokajające byłyby w stanie tego dokonać - pomyślała ponuro. Te wakacje były pomyłką i tu leżało sedno problemu. Co tam ciuchy, walizki... Nie tego jej przede wszystkim brakowało. Raczej panowania nad własnymi emocjami.

Nie powinna była się zgodzić na ten wyjazd. Co ona sobie właściwie wyobrażała? Wystarczająco trudno było unikać Maksa tu, na miejscu. A tam przecież zamieszkają pod wspólnym dachem!

Zaraz, spokojnie. To będą tylko dwa dni. Max przyjedzie w przyszły czwartek, ona zaś w przyszłą sobotę wyjeżdża. Mimo wszystko jednak nie da się uniknąć widywania go, wymiany zdań, wspólnych rozrywek... Czy uda się w takiej sytuacji ukryć, że kompletnie zwariowała na jego punkcie? Że nieustannie marzy o rozmowach z nim, o tym, by siedzieć obok niego i patrzeć na zachód słońca, z ręką na jego udzie... Nieważne, że jest wstrętnym kobieciarzem i na pewno zalicza panienki w szybszym tempie, niż zespół rockowy swoje fanki, jeżdżące w ślad za nimi po koncertach.

Znalazła na dnie szafy dżinsową minispódniczkę. Włożyła ją i przyjrzała się krytycznie swemu odbiciu w lustrze. Spódnica wyglądała okropnie. Ona sama również.

Włosy zbyt długie, wręcz proszą się o fryzjera. Cera blada i ziemista - skutek przesiadywania całymi dniami w biurze. A jakby tego było mało, na samym czole wyskoczył jej pryszcz wielkości Teksasu! No tak, zbliżał się okres... Nie dość, że będzie musiała oglądać Maksa, to na dodatek ten żałosny wygląd!

A jednak na myśl o tym, że go zobaczy, nie mogła stłumić podniecenia. Usunęła go ze swego życia - była to jej jedyna broń przeciw niemu. Pod pretekstem grypy nie poszła na urodziny Vidy, bo na przyjęciu miał być Max, ale nagłe zatrucie pokarmowe, jakiemu rzekomo uległa w dniu, gdy świeżo poślubieni małżonkowie wprowadzali się do nowego domu, równie nieoczekiwane ustąpiło, kiedy okazało się, że Max nie przybędzie. Zdażyła akurat na uroczystą kolację.

Tak, lepiej było w ogóle go nie widywać... Powtarzała to sobie bez końca. A jednak jakże nieprzekonująco brzmiała ta słuszna zasada w parne, gorące noce, kiedy leżała bezsennie, wpatrując się we wskazówki budzika! Nie było wówczas ucieczki od tych lśniących błękitnych oczu. W nocy pozwalała Maksowi zawładnąć swoją wyobraźnią, w nadziei, że dołączy do grona mitycznych bohaterów i przestanie ją dręczyć za dnia. W półśnie wspominała każde słowo, jakie do niej wypowiedział, wyobrażała sobie, jak obejmuje ją ramionami, jak kocha się z nią niespiesznie, namiętnie...

W dzień była za to bezwzględna dla siebie. Max był draniem. Miałyby zrezygnować z tego wszystkiego, na co czekała tak długo, tylko dlatego, że tanecznym krokiem wszedł w jej życie, zakładając nonszalancko, że dla przygody porzuci narzeczonego? Bo to byłaby tylko przygoda, tego była pewna. Po wszystkim, co przeszła, nie mogła ryzykować. I nie będzie.

- Czy ta góra pasuje do tej spódnicy?

W drzwiach pojawiła się Rosie. Niebotycznej długości nogi wieńczyła różowa minispódniczka rozmiarów przepaski; ufarbowany w mazaje skapy T-shirt odsłaniał żołądek.

- Tylko oczywiście muszę posmarować nogi samoopalaczem - dodała, patrząc krytycznie na swoje smukłe, brązowe uda i łydki.

Po zdaniu matury Rosie dostała od dziadka w prezencie trzysta funtów, dzięki czemu w całości wymieniła skład swojej szafy. Nabyła mnóstwo tanich, niemożliwie skąpych ciuszków, młodzieńczo seksownych. Co będzie, jak pokaże się w nich męskiej populacji Puerto Banus? Albo jeszcze lepiej - bez nich... Evie wstrząsnęła się na myśl o tym. Zwłaszcza jedno z szortów, które przypominały raczej figi, oraz bikini o rozmiarach paska, którym tak podniecała się Rosie, mogły osoby o słabym sercu przyprawić o zawał.

- Śliczne - Evie zmusiła się, żeby zrecenzować wyłącznie estetyczny efekt całości, darując sobie uwagę, iż, niestety, podczas produkcji szalenie oszczędzano na materiale. - Tylko chyba trochę za krótko... - nie mogła się jednak powstrzymać.

- Och, mamo, daj spokój - Rosie rzuciła się na łóżko, rozwalając wszystkie starannie poukładane przez matkę stosy ciuchów. Wsparta na łokciu, podrygując nogami w takt piosenki George'a Michaela dochodzącej z odtwarzacza CD w jej pokoju, zaczęła wyciągać poszczególne sztuki i układać je w nowe kombinacje.

- Jezu, mam! Jedziemy tylko na tydzień, a ty szykujesz całe tony. A to co? - wzięła w dwa palce obszerny biały podkoszulek, trzymając go od siebie z daleka, jakby był zarażony dżumą. - Nie możesz tego nosić. Nie rozumiem, dlaczego już dawno nie wyrzuciłaś go do śmieci...

- Przecież ma tylko trzy lata! - Evie wyrwała córce przedmiot oskarżenia.

- Sto trzy. A zresztą nieważne, ile ma. Ważne, że wyglądasz w nim okropnie.

- Przesadzasz - Evie zrzuciła sweter i wciągnęła na siebie nieszczęsny podkoszulek. Rosie miała rację: był okropny. Rozciągnięty, bezkształtny... Jeszcze tylko dzinsowa miniowa, białe szpilki, tatuaż i bransoletka na kostce, i będzie wyglądać jak dziwka.

- No widzisz? - Rosie usiadła i zaczęła przeglądać resztę rzeczy skrupulatnie, niczym truciciel z rodu Medyceuszów w poszukiwaniu szaleju. - Musisz sobie kupić coś nowego, mam.

- Ale po co? - Evie dla hecy wrzuciła na siebie ciemnoczerwoną suknię w drobny rzucik, długości do pół łydki, niemodnajuż w chwili zakupu. Umalowała wargi jaskrawą szminką i wyszczerzyła zęby w sztucznym uśmiechu. - Oto suknia na każdą okazję: plażowa w słoneczny dzień, wieczorowa na przyjęciu...

- Yyyyy - Rosie okazała niesmak, dokładnie tak jak należało. - Nigdy przedtem jej nie widziałam!

- Była na strychu - wyjaśniła Evie. - Myślałam, że znajdę w starych ciuchach coś, co znowu jest modne. Przecież wróciły do łask szorty i spodnie-dzwony... Z modą nigdy nic nie wiadomo.

Rosie obrzuciła suknię miażdżącym spojrzeniem.

- Jeśli coś tak odrażającego wróci kiedykolwiek do łask, zostaję zakonnica.

- Poproszę o filiżankę herbaty, siostrze Rosie - zażartowała Evie, rozweselona, jak zawsze w obecności córki. Przy niej przestawała jakoś zadreć się tymi wszystkimi nierozwiązywalnymi kwestiami: Maks, Simon, własna przyszłość...

- Dobrze, ale najpierw muszę przekopać się przez te archeologiczne eksponaty - obwieściła Rosie. - Nawet jedna czwarta tych odpadów nie nadaje się do zabrania, mam. Słuchaj, wydałam tylko część dziadkowej kasy. A jakbym tak podarowała ci resztę, żebyś mogła kupić sobie coś fajnego? Zasługujesz na to.

Oczy Evie wypełniły się łzami.

- Jesteś kochanym dzieckiem, naprawdę - pocałowała córkę w czubek głowy.

- I właśnie dlatego wykorzystujesz kochane dziecko i posyłasz je taki kawał drogi po herbatę, tak? - zagderała ze śmiechem Rosie i tanecznym krokiem podbiegła do drzwi w rytm „Too Funky” George’a Michaela.

- Przynieś herbatniki w czekoladzie? - zawołała, zbiegając po schodach.

- Nie! - wrzasnęła za nią Evie. Z przyjemnością schrupałaby choć jeden, ale jak będzie wtedy wyglądać na brzegu basenu? Nie może być tłustą babą. A w każdym razie nie bardziej tłustą, niż jest... I tak ilekroć spojrzała na swoje pośladki i uda, wydawały się coraz większe. Trzeba będzie pożyczyć od Olivii parę kolorowych spódnic na zakładkę. Kochana Olivia utrzymywała, że Evie odbiło i że nie ma na sobie ani grama zbytecznego tłuszczu, ale kto by jej wierzył... Jest jak zawsze uprzejma. Evie zrzuciła suknię-koszmarek i przebiegła się przed lustrem, usiłując dojrzeć własną pupę.

- Coś potwornego - mruknęła. Oto skutki diety antycellulitisowej... Zesłała na półpiętro i przechyliła się przez poręcz.

- Rosie! - wrzasnęła. - Zmieniłam zamiar. Przynies trochę czekoladowych ciasteczek!

Sobotni rano wstał ciemny i ponury. Nad dublińskim lotniskiem wisiały ciężkie, nabrzmięte deszczem chmury. Evie zajęchała na parking i stanęła.

- Tak daleko? Chyba bliżej stąd do Belfastu niż do Dublina. Nie mogłaś zaparkować gdzieś bliżej? - zrzędziła Cara, wyciągając z bagażnika gigantyczną walizę siostry. Postawiła ją i spojrzała na bezkresną, wypełnioną samochodami przestrzeń, przez którą musiały przewlec ten cały nieszczęsny bagaż.

- Nie mogłam - odszczeknęła Evie, zirytowana. - Stephen powiedział, że im bliżej, tym drożej. Może ty jesteś tak nadziana, żeby wywalać pieniądze w błoto, aleja nie!

Rosie miała dosyć ich utarczek. Przez całą drogę na lotnisko musiały słuchać, jak rzucały się na siebie niczym aligatory.

- Cisz! - zarządziła nietypowym dla siebie ostrym tonem. - Jedziemy chyba na wakacje, prawda? Pierwsze porządne wakacje w moim dorosłym życiu - dodała dramatycznie. - Chcę się nimi cieszyć, a nie słuchać nieustannie waszych kłótni! Kto tu jest nastolatka, ja czy wy? - I z uniesioną wysoko głową oddaliła się wraz ze swoją wypchaną do niemożliwości torbą. Szła lekko, bez żadnego widocznego wysiłku. Przy każdym kroku człapały jej czerwone espadryle.

Evie i Cara, zbesztane jak dzieci, wpatrywały się w siebie przez chwilę. Wreszcie ryknęły śmiechem. Evie upuściła mniejszą ze swoich toreb z powrotem do bagażnika i objęła Carę.

- Przepraszam. Ona ma rację. Zupełnie jakby dwoje smarkaczy walczyło o pilota...

Cara zachichotała.

- Wyobrażasz sobie nas za pięćdziesiąt lat? Mieszkamy w jednym domu, mamy siedemnaście kotów i wspominamy nasze dawne miłości. Tylko to nam pozostało...



- Czy musimy czekać aż pięćdziesiąt lat? - Evie nieoczekiwanie przyszło do głowy, że nie byłoby to takie złe. Pod jednym dachem z Cara i Rosie, bezpiecznie, spokojnie... Nie musiałyby podejmować żadnych koszmarnych decyzji na temat ślubów, facetów, wesel, nic nie dręczyłoby jej dniem i nocą...

- Jak to? - Cara była zaskoczona. - Chcesz mieszkać ze mną już teraz? Zawsze mówiłaś, że ze mną byś oszalała. A Simon?

- Ojku, żartowałam - Evie momentalnie wróciła do siebie. - Jasne, że pomordowałybyśmy się nawzajem. Zresztą w przyszłości zamieszkaś przecież z Ewanem, prawda?

Tym razem to Cara musiała mieć się na baczności.

- No jasne - mruknęła.

Nie był to czas ani miejsce, by mówić siostrze, że między nią a Ewanem wszystko skończone. Może później, nad basenem, przy kieliszku sangrii... Rozjaśniła się nieco na myśl o słońcu, które osmali jej ciało i wypali, być może, spod czaszki ślady, jakie pozostawił tam Ewan. Tylko czy to w ogóle możliwe? Przez dwa tygodnie piła wraz z Zoe i nic... Jakim cudem tydzień w Hiszpanii może spowodować to, czego nie było w stanie dokonać tyle butelek piwa? Starannie ukrywając swój żałosny stan ducha, powlokła się z bagażem w kierunku dworca.

Hala odlotów wyglądała niczym Henry Street w pierwszym dniu styczniowej wyprzedaży. Wszędzie roiły się tłumy ludzi z walizami, dziećmi na rękach, wózkami wypełnionymi bagażem... Wszyscy ubrani w barwne, letnie rzeczy w przewidywaniu spiekoty, jaka czekała ich na miejscu, tu, w Dublinie, wyglądali dziwnie: z nabrzmiałych chmur zaczął właśnie śnieżyć zimny, przenikliwy deszcz.

- Wilgotno jak w tropikach - zauważyła Cara, otrząsając czarne loki z deszczu niczym pies po wyjściu z kąpieli. - Tyle że w tropikach ludzie nie miewają gęszej skórki. Boże, kiedy wreszcie doczekamy się tego hiszpańskiego ciepła?

- Idę zająć kolejkę do kontroli celnej - zdecydowała Evie. - W przypadku lotów czarterowych trzeba stać całe godziny. Zostań tu i rozejrzyj się za Rosie, dobrze? Chociaż... Na pewno poszła do „Knickerboxa” po kolejny kostium kąpielowy. Dostała od ojca kasę i w rezultacie ma już cztery.

Cara stuknęła palcem w gigantyczną walizę Evie, pożyczoną na wyjazd.

- A ty naturalnie wzięłaś tylko parę szmatek, biedactwo?

Evie zaśmiała się.

- Nie mogłam się zdecydować, co wziąć, więc na wszelki wypadek zabrałam całą szafę. Jeśli mój bagaż zginie w drodze, do końca życia będę chodzić na golasa.

- O, to dopiero Simon będzie szczęśliwy w czasie miodowego miesiąca - zdrwiła Cara, po cichu myśląc, że przyszły szwagier jest taką łamagą, iż prawdopodobnie nie oderwałby oczu od meczu krykieta w telewizorze, nawet

gdyby Evie stała przed nim na golasa całe godziny, a w końcu odstawiła tanię brzucha.

- Dobra, dobra - Evie zaczynała się już martwić o córkę. - Słuchaj, jak jej nie znajdziesz w ciągu dziesięciu minut, przychodź do mnie do kolejki i szukamy przez megafon. Przecież w tym oszalałym tłumie naprawdę można zginąć!

- Bądź spokojna - powiedziała uprzejmie Cara, w porę gryząc się w język, by nie wszczynać kłótni z Evie. Skłonność do zamartwiania się była jej drugą naturą i nic na to nie mogła poradzić. - Znajdę ją. Czasami mój wzrost się przydaje - z góry widać więcej.

Rozdzieliły się. Cara skierowała się ku sklepom, wypatrując siostrzenicy, Evie zaś ku stanowiskom kontroli bagażu. Przepelniony wózek, zupełnie jakby miał własny rozum, kręcił się we wszystkich kierunkach, tylko nie w tym, w jakim usiłowała go popychać.

- Przepraszam, przepraszam - powtarzała. W ostatniej chwili uniknęła zderzenia z drużyną golfistów, na oślep prującą przez tłum ze swoimi wózkami, wyładowanymi nieprawdopodobną ilością toreb i sprzętu.

- Jeśli tak prowadzisz, to nie wsiadam z tobą po przylocie do wynajętego samochodu - powiedział z rozbawieniem jakiś niski głos.

Evie odwróciła głowę, żeby sprawdzić, skąd dochodzi, i walnęła wózkami w barierkę.

- Daj, ja poprowadzę - usłyszała i ujrzała obok siebie Maksa.

Z furią szarpnęła wózkami, okręcając go niemal wokół własnej osi, niczym Ralf Schumacher biorący ostry zakręt na torze w Monza.

- To mój wózek! - z jej gardła wydobył się skrzek. No nie! Staje tu przed nią, taki chłodny i opanowany, w urlopowym dżinsowym mundurku, jakby właśnie zszedł z reklamy Ralfa Laurena...

- Co ty tu robisz? - spytała normalnym już głosem. Nie miał bagażu, pomyślała więc, że przyszedł odprowadzić matkę. Miły gest, ale nieco dziwny, zważywszy, że za pięć dni miał ją zobaczyć w Hiszpanii.

- Przejeżdżałem tędy samochodem i nagle wzięła mnie chętka, żeby wskoczyć do samolotu - powiedział ze śmiertelnie poważną miną.

Evie zamrugała, zdezorientowana. Robi z niej wariatkę czy co?

- Lecę z tobą do Malagi - ciągnął.

- Przecież mówiłeś, że wpadniesz tylko na weekend! - podniosła oskarżycielsko głos. Ach, czemu nie zadbała o makijaż! Olivia podarowała jej swoje cienie do oczu Lancome'a, zamierzała jednak umalować się dopiero w samolocie, przed lądowaniem.

Max wzruszył ramionami.

- Zmieniłem zdanie.

- Ale mówiłeś, że nie masz czasu i wpadniesz tylko na parę dni, a nie na cały tydzień!

- Naprawdę?

Kiedy chciał, potrafił zachowywać się z irytującym dystansem, zupełnie jakby był nieobecny. W tej chwili też sprawiał takie wrażenie. A jednak wyzuwało się, że jest z siebie bardzo zadowolony.

-Naprawdę - syknęła.

Wpatrywał się w nią z takim wyrazem twarzy, jakby ponownie chciał zmienić zdanie. No tak - czerwona z emocji, włosy związane w ciasny kucyk, fioletowe cienie pod oczami i ani śladu makijażu... Jedyne koralowa szminka oślepiająco lśniła na jej pełnej dolnej wardze.

- Ja też potrzebuję urlopu - powiedział niedbale. - Nie przypuszczałem, że będzie ci to tak bardzo przeszkadzać... Poza tym będę w stanie gdzieś wyjechać dopiero po Bożym Narodzeniu. Zaproponowano nam udział w jeszcze jednej produkcji, czyli któryś z nas będzie musiał wyjechać za granicę, ja albo mój partner... ale przepraszam, nudzę cię tym gadaniem.

Ty mnie nigdy niczym nie nudzisz - przemknęło Evie przez głowę ku jej zaskoczeniu.

- Po prostu pomyślałem, że tydzień nad basenem dobrze mi zrobi - podsumował krótko. - Poczekaj tu, a ja poszukam mojej matki i Andrew. Mieli pójść do kantoru - odwrócił się i odszedł.

- Okay - mruknęła, niezdolna wymyślić nic innego. Fala emocji, jaka ogarnęła ją na widok Maksa, gwałtownie opadła. Była dziwnie rozczarowana. A więc zmienił plany nie ze względu na nią... Nie dlatego, przejeżdżając obok, skręcił do portu lotniczego, że marzył, by spędzić z nią urlop. A przecież wszystkie jej sny były właśnie o tym: Max tęskni za nią do szaleństwa, Max smaruje jej kremem brązowe od słońca ramiona... Leżą nad basenem, słońce praży, i równie rozkoszne ciepło promieniuje z jego nagiego ciała...

- Rozepnę ci staniczek. Będzie mi łatwiej posmarować ci plecy...

Evie leżała twarzą do dołu na, błękitnym ręczniku. Jego silne dłonie już od pięciu minut pieściły jej ciało o pięknej barwie masła orzechowego, powolnymi, łagodnymi ruchami rozprowadzając po nim pachnący kokosem krem.

Poddawała się pieszczocie, przeciągając się lekko niczym wielki kot. Miłe dreszczyki przenikały rozkosznie jej ciało. Była pora sjęsty i oprócz jego ściszonego głosu słychać było tylko odległy szum fontanny, zraszającej chłodnym deszczkiem nieskazitelnie równy, soczysty trawnik. Nic nie zakłócało ciszy pensjonatu - wszyscy zapadli w drzemkę, z wyjątkiem ich dwojga nad tym marokańskim w stylu, wyłożonym białymi kafelkami basenem. Po raz pierwszy byli sami.

- Nie masz nic przeciw temu, mam nadzieję? - spytał, odpinając delikatny zameczek na jej karku, a następnie na plecach. - Nie możesz przecież opalić się w paski...

- Yhm - mruknęła. Delikatnie wmasowywał w jej skórę krem z filtrem ochronnym numer 10, wędrując dłońmi w dół tułowia. Palce niemal dotykały piersi.

- Jesteś taka piękna - wyszeptał ochryple. - Nigdy nie myślałem, że pod tymi obszernymi podkoszulkami kryje się tak piękne ciało. Czemu je ukrywasz?

Wiedziała, co należy teraz zrobić. Odwróciła się powoli i usiadła, twarzą do niego, przytrzymując dłońmi na piersiach maleńkie białe trójkąty. W jego oczach płonęło takie samo pożądanie jak w jej własnych; pragnął jej równie silnie jak ona jego.

Opuściła ręce. Staniczek opadł. Przywarł oczami do jej nagiego ciała, do pełnych piersi z nabrzmiętymi brodawkami, wołającymi o jego dotyk.

Wyciągnął ku niej dużą, opaloną dłoń...

- Oooo! - jęknęła.

Wszyscy ludzie w promieniu dwudziestu metrów zatrzymali się jak wryci i zwrócili głowy w jej kierunku.

- Evie! - wrzasnęła Cara, gwałtownie cofając dłoń, którą już dotykała ramienia siostry. - Co z tobą? Wyglądasz jak nie z tego świata.

- W porządku, wszystko dobrze - Evie odetchnęła głęboko. Nie mogła przecież powiedzieć, że przeżywała właśnie najwspanialszą fantazję erotyczną, jaką tylko można sobie wyobrazić, i że Cara brutalnie ją z niej wyrwała. - Zmęczona jestem - zełgała. - Chyba przysnęłam na chwilę czy coś...

- Nigdy nie zgadniesz, kto tu jest! - oznajmiła Cara, podekscytowana. - Max! Wyobrazasz sobie? Jedzie z nami na cały tydzień!

O wilku mowa... Heros z tej fantazji jak na zawołanie pojawił się za plecami siostry, górując nawet nad nią niczym wieża. Co za trafne porzekadło... Nie tylko miał wilcze zęby i uśmiech, ale jak wilk potrafił kąsać ją w najbardziej czułe miejsca.

Czy domyślał się, co przed chwilą przeżywała? Wrażenie było tak intensywne, że musiało pozostawić jakiś ślad na twarzy - pomyślała z lękiem.

Uśmiechnął się do niej leniwym, porozumiewawczym uśmiechem. Wiedział...

Nie. To niemożliwe. Po prostu jest tak cholernie pewny siebie! Evie poczuła, że ogarniają wściekłość.

- Popilnuj no - pchnęła wózek w kierunku Cary, patrząc jednak wyzywająco w oczy Maksa. - Muszę zadzwonić do Simona.

Machnąwszy kucykiem, okręciła się na obcasie swoich nowych sandałów i pośpieszyła ku automatom.

Simon był równie uradowany, jak zaskoczony, słysząc jej głos.

- Evie? Byłem pewny, że zadzwonisz dopiero wieczorem, z pensjonatu! Czy przeszliście już przez kontrolę celną? Na te czartery zawsze są potworne kolejki...

- Już niedługo dojdziemy - zapewniła go. - Ale to prawda, kolejka jest chyba na kilometr.

- Na pewno nie zdążycie przed dziewiątą - gorączkował się. - A im później, tym mniejszą macie szansę na jakieś przyzwoite miejsca...

Nie bądź starą babą - miała chęć go ofuknąć. Nie zrobiła tego jednak, tylko powiedziała łagodnie, że odlot jest dopiero o wpół do pierwszej i mają przed sobą mnóstwo czasu.

- Już teraz mi ciebie brak - powiedział smętnie. - Powinienem pojechać z tobą, ale cóż, kiedy nie było mowy, żebym dostał urlop. Mamy strasznie dużo pracy.

- Mnie też ciebie brak - odparła automatycznie, choć nie całkiem zgodnie z prawdą. I od razu poczuła się winna. Jak może nie tęsknić za własnym narzeczonym? Jest dla niej taki dobry, uprzejmy, wielkoduszny... Bez mrugnięcia okiem zgodził się, by wyjechała bez niego, nie wspominając nawet słówkiem, że powinna na przykład oszczędzać urlop na podróż poślubną.

- Kocham cię - powiedziała impulsywnie. - Jak wrócę, zostanie nam już tylko pięć tygodni do wesela. Czy to nie wspaniałe?

- No jasne, kochanie. Tylko nie urządz sobie zbyt szalonego panińskiego wieczoru w tej Hiszpanii. Nie chcę, żebyś uciekła z jakimś przystojnym kelnerem!

Evie bez przekonania przyłączyła się do jego śmiechu. Nie hiszpańscy kelnerzy stanowili problem... Niebezpieczeństwo znajdowało się znacznie bliżej. Biedny Simon ani przez moment nie podejrzewał, że Evie może zainteresować się innym mężczyzną, i dlatego z taką swobodą dowcipkował na temat przystojnych Hiszpanów.

Przekazała Simonowi mnóstwo ucałowań, odwiesiła słuchawkę i poszła do toalety. Opłukała rozgorączkowaną twarz chłodną wodą i sięgnęła po kosmetyczkę. I nagle zamarła. Co ona robi? Zamierza się wypacykować, żeby zrobić wrażenie na Maksie... Zdrajczynie, szmata - powtarzała. Z lustra patrzyła na nią jej własna błada, znużona twarz z dwoma purpurowymi plackami rumieńców na policzkach.

Biedny Simon nie zasługuje na taką narzeczoną. Zasługuje na wierną, kochającą kobietę i taką właśnie dostanie. Związała od nowa kucyk, gładko, niczym zakonnica, tak by ani jedno niesforne pasemko nie łagodziło surowości efektu, i wyskoczyła z toalety. Nie będę rozmawiać z Maksem. Nie będę z nim flirtować. Będę chłodna i na dystans. I każdego dnia będę dzwonić do Simona - ślubowała sobie w duchu jak trzeźwiejący alkoholik po wpadce.

Zdecydowanym krokiem poszła w kierunku stanowisk kontroli celnej.

- Niech pan uważa, panie Stewart - mruknęła pod nosem.

Evie zachowuje się dziwnie - pomyślała Cara, rzucając się na zielony fotel i grzebiąc w plecaku w poszukiwaniu nowego numeru „Company”. To dziwne zachowanie zaczęło się mniej więcej od chwili, gdy okazało się, że leci z nimi Max. Ignorowała go tak ostentacyjnie, że było to aż niegrzeczne.

Wydawała się jednak szczerze ucieszona na widok Vidy i ojca. Wpadli, zdyszani, w ostatniej chwili, zaśmiewając się do rozpuku. Okazało się, że zaspali.

- Ostami raz zdałam się na ciebie w sprawie budzika - czule droczyła się Vida z mężem.

- A czyja to wina, że tak późno wstaliśmy? - spytał ze znaczącym uśmiechem.

Wymienili spojrzenia i znów wybuchnęli śmiechem. Ich wzajemna bliskość i radość z tego, że mają siebie nawzajem, biła po oczach. Cara patrzyła na nich z czułością. Jak to dobrze, że ojciec jest taki zakochany i taki szczęśliwy...

Może dlatego Evie była zła niczym ząbkujący szczeniak? Ale nie... Nie wyglądało, by zachowanie „młodego” małżeństwa wytrąciło ją do tego stopnia z równowagi. Rzuciła wprawdzie przez zaciśnięte usta uwagę, że Vida mogła ich uprzedzić, iż ukochany syn wybiera się na cały tydzień, poza tym jednak wydawała się nie zauważać, że ojciec i jego żona zachowują się jak para nastolatków: obejmują się, patrzą sobie w oczy... Nie, to Max ją irytował, choć Cara nie mogła pojąć dlaczego. Był przecież taki miły! Zaproponował na przykład Carze, by usiadła obok niego w samolocie.

- Evie ma miejsce koło mnie, ale może się zamienicie? Pogadalibyśmy sobie...

Cara darowała sobie nowinę, że Evie już zdążyła się z nią zamienić. Powiedziała, że chce poczytać i nie ma chęci gadać podczas lotu.

Max właśnie nadszedł. Towarzysząca mu Rosie pękała ze śmiechu. Najwyraźniej powiedział coś zabawnego.

- O Jezu! - zatoczyła się, chichocząc, na miejsce obok Cary. - Musi opowiedzieć i tobie. To o tej aktorce i o tym, czego zażyczyła sobie podczas kręcenia plenerów. Wyobraź sobie - dwóch kilo czekoladek, skrzynki burbona, wędzonego łososia dla swojego pudła, a poza tym Max zastał ją kiedyś na czworakach z linijką w rękę, bo mierzyła, czyjej przyczepa na pewno jest większa niż innych! - ostatnie słowa zagubiły się w kolejnym wybuchu śmiechu.

- Nie będę ci opowiadał zakulisowych historii z życia gwiazd, skoro z miejsca jesteś gotowa je wypaplać, smarkulo - usiłując udawać, że jest zły, Max usiadł po drugiej stronie Cary i wyciągnął przed siebie długie nogi. Po chwili uśmiechnął się do obu dam. Biel zębów rozświetliła jego opaloną rozumną twarz.

Wspaniały facet - uświadomiła sobie Cara. Nie tylko przystojny, ale i miły, przyjazny, bezpośredni... Szalenie bezpośredni. I lubi ją. On nie uważa, że jest dziwaczką i neurotyczką stwarzającą więcej problemów niż cały pokój ćpunów w trakcie terapii. On jej nie powiedział, że powinna żyć w celibacie. W cholernym celibacie, dokładnie biorąc.

Wspomnienie tej ostatniej - i ostatecznej - kłótni z Ewanem wciąż powracało, jak film, którego nie da się wyłączyć.

- Nie wiem, dlaczego w ogóle zdecydowałaś się chodzić ze mną - mówił podniesionym głosem, wytrącony ze swego zwykłego opanowania. - Prorowadzisz jakąś grę, Cara! Grę, której nie rozumiem. Lubiłem być z tobą i nadal lubię, i nie mam pojęcia, dlaczego ludzie mieliby o tym nie wiedzieć. A ty robisz z tego jakąś cholerną tajemnicę! Zupełnie jakbyś się mnie wstydziała albo co... Oświadczam ci, że mam tego dość. Żegnam!

Żegnam? Tak po prostu? Po czterech miesiącach? No to jeszcze mu pokaże. Pokaże szanownemu panu Ewanowi, że nie będzie żyć w celibacie.

Odpięła dwa górne guziki niebieskiej koszuli, tak by ponad białym T-shirtem widać było nieco ciała, i nachyliła się bliżej ku Maksowi, dotykając go ramieniem.

- Przepraszam - rzuciła, bynajmniej nie czując się winna. Tak, to będą dobre wakacje. Była pewna.

Tłum powoli się rozproszył. Przy stanowisku odbioru bagażu w porcie lotniczym w Maladze zostało już tylko kilka starszych pań, powoli i starannie sortujących swoje walizki. Ścisnęły pod pachą gobelinowe podręczne torebki, jak gdyby znajdowały się w nich tiary Romanowów. Cara usiadła na swojej torbie, wypchanej na kształt beczułki, i pociągnęła z butelki parę łyków coli. Rosie oparła się o kolumnę, obserwując, a zarazem pozwalając się obserwować przez młodym, opalonym na mahoń facetom z ochrony lotniska. Vida i Andrew stali nieco z boku, rozmawiając po cichu. Najwyraźniej nic ich nie obchodziło, że transporter kręci się w kółko już od pół godziny, a walizek ich i Evie jak nie było, tak nie ma.

Evie przestępowała z nogi na nogę z niecierpliwości i irytacji. Na transporterze ukazała się po raz chyba dwudziesty odpięta walizka, ukazując w swym wnętrzu wciąż te same pomarańczowe majteczki, wystające pod identycznym co poprzednio kątem.

- Może powinnaś zainteresować się nią, mamó - zawołała ze swego stanowiska obserwacyjnego Rosie. - Miejmy nadzieję, że nie wszystko w środku jest pomarańczowe!

Cara zachichotała. Evie nie była pewna, którą z nich miałyby chęć zamordować pierwszą: córkę czy siostrę. Wyglądało na to, że nikogo nie obchodzi, iż jej bagaż nie dotarł na miejsce.

Vida i ojciec, para zakochanych, najwyraźniej byli kompletnie imprenowani na rzeczywistość i mieli w nosie, że oni też w razie czego zostaną bez zapasowej odzieży. Rosie, w kwitnącej formie, podniecała się swoim pierwszym w dorosłym życiu zagranicznym wyjazdem, Cara zaś, po czterech godzinach flirtowania z Maksem przy czerwonym winie i makaronie z tuńczykiem, była rozmarzona i totalnie wyluzowana.

Evie spróbowała zagłębić się w lekturze powieści Jilly Cooper, przebrnęła jednak zaledwie przez kilkanaście stron. Zbyt trudno było czytać i jednocześnie

nasłuchiwać, o czym mówią Cara i Max. Coś za dużo tam było szeptów i śmiechów jak na jej gust...

Ku rozczarowaniu Evie, Max całkowicie ją ignorował, z wyjątkiem chwili, gdy przy wychodzeniu z samolotu przepuścił ją przed sobą z uprzejmym uśmiechem. Teraz zaś, na domiar wszystkiego, jej bagaż po prostu rozpułynał się w powietrzu! Nikt nie miał bladego pojęcia, co się z nim stało. Evie nie wiedziała, czy zacząć kopać i pluć, czy raczej wybuchnąć płaczem.

- Dobra wiadomość: znaleźli wasze walizki - poinformował ją spokojnie Max, który właśnie wrócił z działu zajmującego się zaginionym bagażem. - Zła wiadomość: przylecą dopiero następnym rejsem, jutro o dziewiątej rano.

- Co?! - z jej gardła wydobył się skrzek.

- Spokojnie - Max nie stracił opanowania. - Wszystko dostarczą na miejsce, do willi.

- Wspaniale! - wykrzyknęła, nie przejmując się brzmieniem swego głosu.

- Wszystko będzie dobrze - powtórzył Max tym samym uspokajającym tonem.

Jak on może być taki lodowato spokojny? - wściekała się w duchu. No jasne, przecież to nie jego walizka rozpułynała się w powietrzu wraz z całą zawartością: kostiumami kąpielowymi, szortami, podkoszulkami... To nie on miał na sobie kremowe spodnie, na których odbił się druk z czytanej w czasie lotu gazety, czy T-shirt, który śmierzdział, jakby rozegrano w nim ostry mecz rugby. W czym ona do diabła pójdzie dziś na kolację? A szczotka do zębów, majtki, krem do twarzy? Rozgorączkowana, już otwierała usta, żeby powiedzieć to wszystko Vidzie, która właśnie zbliżała się niedbałym, kokieteryjnym krokiem. Wyglądała dziwnie bez trosko.

- No i co tam, kochanie? - zwróciła się do syna z miękkim amerykańskim akcentem. - Śniadanie w Dublinie, obiad w Maladze, bagaże w Hongkongu?

Oboje roześmieli się wesoło. Evie zazgrzytała zębami.

- Prawie, prawie - podchwycił Max. - A poważnie, mam, to będą tu jutro o dziewiątej rano. Dostarczają nam na miejsce.

Vida wzruszyła ramionami. Evie zatrzęsała się z urazy. Jak mogą żartować sobie w takiej chwili? Co za cholerny luz... Czy Vida nie zdaje sobie sprawy, co się stało?

- Całe szczęście, że mam to - Vida nachyliła się konfidencjonalnie do Evie, wskazując niedużą podręczną torbę. - Tyle razy zaginął mi bagaż w czasie lotu, że zawsze mam przy sobie parę niezbędnych rzeczy. No wiesz, majtki, zmiana ubrania, szczotka do zębów, tego typu rzeczy. Twój tata też ma coś podobnego, więc damy sobie radę. Nieporęcznie nosić to ze sobą, ale co zrobić, przydaje się... A ty możesz pożyczyć coś od Cary, prawda?

Tym razem Evie naprawdę o mało nie wybuchnęła płaczem. Jasne, mogła pożyczyć od Cary, ale to przecież nie to samo! Chce mieć własne rzeczy,



własny podkoszulek, krem, szczotkę do zębów, własny grejpfrutowy żel pod prysznic... Łzy jej niemal stanęły w oczach, kiedy wspomniała jego miły owocowy zapach i swoją radość, kiedy go pakowała. A teraz wszystko na nic i nikt się tym nie przejmie!

Poczuła, że obejmują ją ramiona Makska. Tym razem nie miała, jak poprzednio, wrażenia, że przenika ją prąd elektryczny. Dotyk był łagodny, kojący, czuły. Był w jakiś sposób właściwy. Tak jakby to właśnie ona, Evie, miała być obejmowana przez te właśnie ręce, a nie jakaś opalona długowłosa blondynka w mini.

- Przepraszam... Tak się tylko wygłupialiśmy. Wiem, że nie ma nic gorszego, niż zaginięcie bagażu - powiedział łagodnie. Nachylił się odrobinę niżej i poczuła na włosach jego oddech. - Matka też się zawsze okropnie irytuje w takiej sytuacji. Teraz się nie przejmuję, bo jest szczęśliwa. Nawet jakby była katastrofa i samolot spadłby do Atlantyku, to, pływając w towarzystwie rekinów, powiedziałyby: „No to co? Najważniejsze, że mam z sobą moją podręczną torbę!”

Evie dostała ataku śmiechu i czkawki równocześnie. Wsparła się o Makska, czując, jak spływa na nią ukojenie. Był taki duży, solidny... A równocześnie, pomimo swoich rozmiarów, delikatny. Jak gdyby wyczuwając, że jej mechanizmy obronne słabną, objął ją ciasniej, palcami sięgając talii.

O Boże! Talia! - zelektryzowała Evie okropna myśl. Dlaczego, nie była na tyle wytrwała, żeby kontynuować dietę? Wręcz czuła tę straszliwą nadprogramową fałdę tłuszczu, opasującą ją niczym opona... I na pewno jest spocowana. Ze zgrozą wciągnęła powietrze, usiłując wywęszyć złowrogą woń potu. Czemu nie wzięła ze sobą jakichś perfum? Gdyby spryskała się na przykład „Anais Anais”, trudniej by było się zorientować, że jej pachy od wieków nie widziały dezodorantu.

- Chodźmy, samochody czekają - powiedział Max, w ogóle nie zwracając uwagi na jej obsesyjne węszenie. - Staniemy po drodze, żebyś mogła kupić sobie jakieś przybory toaletowe i bieliznę. Nie cierpię pożyczać takich rzeczy od innych. Ty na pewno też.

- No - pokiwała głową.

- O Boże, jak pięknie pachniesz - Max wciągnął woń jej włosów. - Tak świeżo, owocowo...

Evie poczuła, że oblewa ją rumieniec. Co za ulga...

- Szampon „Zielone jabłuszko” - wyjaśniła.

- Śliczny zapach - westchnął, całując ją w czubek głowy. - Ja muszę cuchnąć jak długodystansowiec. Wybacz mi. Wiesz co? Jak przyjedziemy na miejsce, wszyscy idziemy się odświeżyć, a po godzinie spotykamy się na kolacji. Ja stawiam. Co ty na to? - mówiąc to, zagarnął ją ramieniem i skierował ku wyjściu, drugą ręką popychając wózek z własnym bagażem tak lekko i bez wysiłku, jakby znajdowała się w nim wyłącznie piana z białek.

- Świetny program - powiedziała szczerze. Uniosła ku niemu głowę. - Dziękuję ci. Wiesz, mało brakowało, a rozryczałabym się tu na ludzkich oczach. Zupełnie nie wiem dlaczego - dodała.

- Och, ludzie w podróży nieraz zachowują się bardzo dziwnie - powiedział lekko Max. - Spójrz na przykład na tę parę...

Vida i Andrew wyszli z gmachu lotniska ciasno objęci, całkowicie obojętni na resztę świata. Max, rozbawiony, uniósł brwi i uśmiechnął się.

- Słońce najwyraźniej wywiera na nich piorunujący efekt. Założę się, że będziemy ich mieli z głowy do końca wakacji.

Evie zaśmiała się. Zdała sobie sprawę, że nie ma nic przeciw temu, by ojciec i Vida połamali sprzęty w swoim pokoju, rzucając się na siebie w parkietach pożądaniami.

- Przegrałabym. Wolę się nie zakładać.

- Nie jesteś typem gracza?

- Nigdy nie mogłam sobie na to pozwolić - odparła po prostu.

- Któregoś wieczoru zabiorę cię do kasyna. Zobaczysz, że ci się spodoba. No i będziesz miała okazję się wystroić...

- Jeśli będę miała w co - powiedziała chmurnie, myśląc o zaginionym bagażu.

- Jak nie będziesz miała w co - błysnął oczami - to kupię ci jakiś seksowny wyjściowy ciuch. Zobaczysz.

Dopiero teraz Evie poczuła przeszywający jej ciało prąd. Ekstraseksowny ciuch... Który następnie zdejmie - przemknęło jej przez głowę wraz z serią kuszących obrazów...

Godzinę później siedziała na łóżku w swoim pokoju. Wysoki sufit, chłodna biel ścian, podłoga z terakoty... Lekki wieczorny powiew marszczył kremowe muślinowe firanki. Bogato rzeźbione meble, błękitna pościel z haftem i miękkie pufy nadawały wnętrzu klimat luksusu. Biało-niebieska lśniąca łazienka była większa niż jej kuchnia, a w wannie spokojnie mogły zmieścić się dwie osoby, gdyby komuś przyszła chętka na kąpiel w towarzystwie. Z balkonu rozciągał się niewiarygodnie rozległy widok na gaje pomarańczowe z ukrytymi wśród nich białymi willami, za nimi zaś lśniły błękitne wody Morza Śródziemnego.

Na balkonie znajdował się leżak oraz biały metalowy stolik z dwoma krzesłami. Praktycznie można było spędzać tu cały dzień, opalając się i sącząc drinki, zwłaszcza że balkon usytuowany był tak, iż słońce padało nań niemal do wieczora. Pełna rozpusta!

I pokój, i cały pensjonat stanowiły w oczach Evie szczyt elegancji. Nigdy w życiu nie widziała równie wytwornych wnętrz, a co mówić o mieszkaniu w nich... Od chwili, gdy wyszła z samochodu i wciągnęła w nozdrza rozkoszną woń purpurowego kwiecica pokrywającego ściany i pergole, poczuła, że zaczyna się baśń.

Dotąd była lekko oszołomiona. I podróżą, i całą resztą... Ta błyskotliwa, ożywiona kobieta siedząca obok Maksa w białym seacie toledo to chyba nie była ona. Normalna Evie Fraser zniknęła. Była pogodna, rozluźniona, ufna... Zupełnie jakby pod wpływem narkotyku zmieniła się w inną osobę. Może to Max był narkotykiem? A potem przyjazd do tego pięknego białego domu wśród wzgórz, położonego na uboczu Puerto Banus... Oddzielony od świata wysokim murem i potężną drewnianą bramą, wyglądał jak skryte przed okiem pospólstwa posiadłości hollywoodzkich sław, które widywała czasem na dokumentalnych filmach.

Za bramą wrażenie nie znikało. Wzdłuż całego budynku biegła weranda, na której porozstawiane były leżaki oraz - w równych odstępach - pojemniki z bujną soczystą roślinnością. Basen oraz ukwiecone patio niewiele odbiegały od fantazji Evie. Cały dół willi stanowił jedną ogromną przestrzeń, składającą się z wydzielonej przez podwyższenie podłogi części jadalnej, kuchni-cacka, całej w marmurach, oraz obniżonej części wypoczynkowej z wielkimi kwiecistymi sofami, stolikami do kawy i ogromnym kominkiem z polnego kamienia.

- Tak jakby w Hiszpanii można było zmarznąć! - nie posiadała się z radości Rosie na jego widok. Niemniej przewidziano i taką możliwość.

Na ścianach wisiały olejne obrazy, każdy zaś stolik czy półkę zdobiła ceramika i srebro. Całe wnętrze sprawiało wrażenie zamieszkałego i wypieszczonego. Evie wspominała ciasne pomieszczenie z jednym łóżkiem, jakie dzieliły z Carą i Rosie wiele lat temu, z karaluchami i kuchnią wyposażoną jedynie w najniezbędniejsze rzeczy, i przejmował ją strach. Villa Lucia musiała kosztować Maksa fortunę. Jak zdoła mu się kiedykolwiek odpłacić? Myślała, że to będzie jakiś niewielki letniskowy domek, gdzie ona, Rosie, a prawdopodobnie także Cara zamieszkają we wspólnym pokoju i jedna z nich będzie musiała spać na łóżku polowym, a tu... Przecież to po prostu pałac!

Zrzuciła z siebie nieświeże rzeczy i stanęła pod prysznicem. Różowe perłowe mydło, które wybrała w miejscowym supermarkecie, miało subtelną woń piżma. Chyba nawet wolała ją niż zapach grejpsfrutowego żelu... Migdałowy szampon też był co najmniej równie dobry, jak jej ulubione zielone jabłko.

Owinęta w ogromny kremowy ręcznik, usiadła na balkonie i wystawiła twarz ku niskiemu już słońcu. Uwielbiała to. Siedziała tak z przymkniętymi oczami, odpływając w nicość, dopóki nie poraziło jej nagłe przypomnienie, że musi się przygotować do kolacji. Zostało jej raptem piętnaście minut... Jak na komendę, do pokoju weszła Cara, niosąc parę sztuk niemiłosiernie wymiętej odzieży.

- To wszystko, co mogę zrobić - powiedziała tonem usprawiedliwienia, wieszając na poręczy łóżka swoją nieefektywną ofertę.

Evie z miejsca zdyskwalifikowała ciemnoczerwoną bluzkę jako zbyt jaskrawą. Uniosła do twarzy jedwabną koszulęw kolorze morskiej zieleni i skrzywiła się.

- Wyglądam jak skacowana.

Cara zaśmiała się.

- To może lepiej nie będę jej wkładać jutro, kiedy naprawdę będę skacowana po dzisiejszej balandze. Ludzie pomyślą, że umieram.

Cara wyprawiała doprawdy jakiś purytański styl. Wszystkie góry były luźne i zakrywały szyję. Spodnie też - obszerne, workowate, ukrywające sylwetkę w sposób idealny. Evie była znacznie niższa i miała zupełnie inną budowę, nic więc dziwnego, że żaden z ciuchów siostry na nią nie pasował. Wyglądała w nich jak dziecko przebierające się dla zabawy w stroje własnej matki: bluzki kończyły się w okolicy kolan, a poniżej dłoni powiewały luźne rękawy.

Jedyną rzeczą do przyjęcia była sukienka, której Evie dotąd nie widziała: bez rękawów, lekko dopasowana, z brązowej marszczonej wiskozy. Nie gniotła się i dzięki temu nie zagrażał jej styl pakowania Cary, która upychała rzeczy jak popadło. Potem wyglądały jak psu z gardła wyjęte.

- Nowa? - spytała. Już tyle lat nie widziała, żeby siostra włożyła na siebie coś z dekoltem... Na Carze ten ciuch musi świetnie wyglądać.

- Tak... Kupiłam ją na ten wyjazd, ale teraz nie jestem pewna. Z przodu jest tak wycięta, że pewnie mi widać pępek.

- Nie bądź głupia. Przecież trzeba czasem coś pokazać. Cieszę się, że Ewan ma na ciebie taki dobry wpływ... Tych twoich bojówek miałam już wyżej uszu.

Cara nie miała chęci rozmawiać na temat Ewana.

- Wkładaj, wkładaj - ponagliła. - Dla mnie ta długość jest dość nijaka, więc dla ciebie będzie w sam raz.

Kolor nie był może najbardziej stosowny - połączenie brązowych włosów, brązowych oczu i brązowej sukni dawało efekt czekoladki. Leżała jednak dobrze i uwydatniała co trzeba: talię, biodra, uda... Wirujący dół sięgał znacznie poniżej kolan.

- Załatwione - orzekła Cara. - Tylko, niestety, butów ci nie pożyczę - uniosła smętnie bosą stopę rozmiar dziewięć.

Kwadrans później Evie wyszła chwiejnym krokiem z pokoju. Na nogach miała „pieprzone platformy Rosie”, jak określiła je Cara, którą spotkały na korytarzu.

Rosie rzuciła ciotce piorunujące spojrzenie.

- Ona tylko tak gada, mamó - pospieszyła. - To bardzo modne sandały. Wszyscy je noszą.

Wobec tego wszyscy muszą mieć poobcierane stopy - uznała Evie po zaledwie pięciu minutach. Miała wrażenie, że do nóg przywiązano jej pudełko po butach, trzymające się na czymś w rodzaju cieniutkiej siateczki. Niemniej były na nią dobre i pasowały na pewno bardziej niż kremowe mokasy, które miała w samolocie. Cienie Lancome, prezent Olivii, świeżo położone, włosy lśniły... Evie czuła, że jest gotowa stawić czoła światu.

Jej pewność siebie zniknęła jednak bez śladu, gdy weszła do „Ristorante Regina”. Gracja, szyk i naturalna, wręcz niedbała wytworność obecnych tu kobiet biła po oczach niczym huragan o sile dziewięciu stopni w skali Beauforta. Opalone, o nieskazitelnym makijażu, wyglądały, jakby zeszyły z witryny „Versace”, wpadłszy po drodze do „Bulgari” po biżuterię... Evie poczuła, że nie ma nic tu do roboty.

Mężczyźni to samo: eleganccy, odstawieni... Max, w popielatych spodniach i kremowym polo podkreślającym złoty odcień opalenizny, pasował do nich idealnie. Rosie też wyglądała olśniewająco w swojej czerwonej mini. Cara, jak to Cara - dziwadło jak zawsze. Nie zrezygnowała całkiem ze stylu militarnego, ale do czarnych bojówek włożyła koszulę w kolorze morskiej zieleni, zaś czarne, sięgające pleców loki rozpuściła niczym dziewice z obrazów prerafaelitów. No a Evie... Evie czuła się jak skromnie upierzona kaczka-krzyżówka na tle swojego wspaniałego męża-kaczora. Te brzozy mogły być dobre w jej sypialni, ale nie tu. Miała chęć pobiec do najbliższego butiku, błysnąć sprzedawczyni przed oczyma kartą Visa i zawołać: „Proszę znaleźć mi coś odpowiedniego! Cena nie gra roli”. Suknię Cary zaś cisnąć do śmieci.

Na domiar złego okazało się, że stolik, przy którym mieli siedzieć, bynajmniej nie tkwił w kącie sali, gdzie mogłaby skryć się za jakąś rośliną w donicy czy wtopić się w tło. Ich grupa została odprowadzona przez kelnera do stolika stojącego dokładnie pośrodku restauracji, skąd mogli być obserwowani przez całą tę wytworną klientelę.

Evie poczuła się tak, jakby miała wszy i wszyscy o tym wiedzieli. Wśliznęła się na swoje miejsce i natychmiast rozłożyła na kolanach brzoskwinową lnianą serwetkę. Wiele by dała, żeby móc taką samą położyć sobie na głowie, by nikt jej nie widział.

Max usiadł obok niej i uśmiechnął się szeroko.

- Spodoba ci się tu. Jedzenie jest świetne, a obsługa bardzo miła.

Pewnie, że by się jej spodobało... Gdyby tylko miała na sobie włościwy strój. Wnętrze było znakomicie zaaranżowane: ściany w kolorze brzoskwinii i terakoty, wszędzie kwiaty i zieleń, dekoracyjne szkło... Efekt uzupełniały porozwieszane tu i ówdzie utrzymane w sepii fotografie gwiazd. W obecnej sytuacji Evie skryła się za ogromnym menu i zaczęła je pilnie studiować. Prawie nie wyjrzała zza karty dań, gdy do stolika podeszła piękna blondynka w czymś, co wyglądało jak komplet od Gucciego, i poinformowała, że restauracja ma na wieczór specjalną ofertę, przy czym bez wysiłku przechodziła z angielskiego na bezbłędny włoski, gdy mówiła o kuchni włoskiej, oraz hiszpański, gdy wymieniała nazwy dań tej kuchni.

- Więcej mają dań specjalnych niż tych wymienionych w karcie - zaczął się Max, wracając do lektury swojego menu. - Wybierzesz coś, a oni za chwilę powiedzą ci o piętnastu innych wspaniałościach. I jak tu się zdecydować?

Pomimo egzotycznie brzmiących nazw potraw Evie w ogóle nie czuła głodu. Rozejrzała się i dostrzegła elegancką brunetkę w obcisłej jedwabnej sukni koloru wina, sięgającą po aperitif: coś w oryginalnej trójkątnej szklance z paroma oliwkami na dnie.

Martini! To jest to. Ona też zamówi sobie martini. Tak będzie elegancko i z klasą. Nikt nie weźmie jej za babcię klozetową, jeśli będzie sączyć martini.

- Z wódką czy z dżinem? - spytał uprzejmie kelner.

- Z wódką - wypaliła momentalnie. Nawet ułamek sekundy wahania zdradziłyby przecież, że sądziła, iż martini pije się solo... Więc dodaje sienie tylko dżin, ale i wódkę? A prawda, przecież James Bond zawsze zamawiał martini z wódką.

- Oliwki czy twist? - indagował dalej kelner.

- Oliwki - odparła z uśmiechem. Co to jest, do diabła, ten twist?

Kiedy przyniesiono trunki, Vida poczęstowała wszystkich opowieścią o swojej pierwszej zagranicznej podróży wraz z pierwszym mężem i o tym, jak w greckim hoteliku napiła się wody wprost z kranu, a potem chorowała przez trzy dni. Słuchając, Evie z nonszalancką miną pociągnęła łyk i o mało się nie udławiła. O Jezu! Smakowało jak najczystsza wódka.

- Nie myślałem, że jesteś z tych, co pijają martini z wódką - mruknął pod nosem Max.

- To mój ulubiony drink - odparła z przekonaniem, odważnie pociągając następną łyk. Palił w gardle jak cholera. Ognisty płyn robił jednak swoje: rozgrzewał żołądek, potem całe ciało... Wysączywszy połowę, Evie, która praktycznie nigdy nie piła nic innego niż słaby dżin z tonikiem, zdecydowała, że zamówi następną kolejkę.

Nawet jeśli Max był zdziwiony, nie dał tego poznać po sobie. Cara nie była tak skryta.

- Evie, przecież ty nigdy nie pijesz martini - zauważyła.

- Owszem, piję - odparła dumnie. - Być może pożyczę jutro od ciebie twojej skacowanej bluzki - zachichotała. Skończyła pierwszego drinka, przełknęła oliwki i sięgnęła po następny.

Nawet smakowite risotto, które podano jej na początku, nie było w stanie konkurować z krążącym w jej żyłach alkoholem i Evie zaczynała wykazywać objawy upojenia. Całkiem już obojętna na kwestię własnego wyglądu, mrugnęła swobodnie do kelnera, wskazując mu pusty kieliszek.

- Jesteś pewna, że chcesz jeszcze jedno? - spytał łagodnie Max, otaczając ją ramieniem. Prawie zamruczała jak kot pod jego dotykiem. - Może lepsze byłoby wino?

Evie spojrzała na niego wyniośle, unosząc brwi.

- Sama decyduję o tym, co robię. Nikt nie będzie mi niczego dyktował. Nie wolno mi pić tego, co lubię?

- Spokojnie, pani Fraser - Max chwycił wymierzony w niego groźnie palec. - Nie pobij mnie. Po prostu nie chcę, żebyś rano miała kaca.

- Dlaczego? - uśmiechnęła się kokieteryjnie, patrząc mu w oczy. - Czyżbyś miał jakieś plany wobec mnie?

Z twarzy Maksa zniknął na moment wyraz rozbawienia, osłaniający jego prawdziwe emocje.

- Tak - odparł po prostu. - Jeśli mi pozwolisz.

Kelner postawił przed Evie trzecią porcją martini. Nagle wytrzeźwiała, zarazem zdenerwowana i podniecona, pociągnęła łyk, wyłącznie po to, żeby uciec na chwilę od intensywności i powagi jego spojrzenia.

Co za niebezpieczna gra... Powiedziała, że nie jest typem gracza, a przecież to właśnie robi - gra. Z własnym sercem, z własną przyszłością i z uczuciami obu mężczyzn. Jak najgorszy hazardzista z Monte Carlo.

- Może jeszcze jedną kolejkę, Evie? - usłyszała głos ojca. Chwila intymności uleciała.

- Och, tato - jęknęła. - Chociaż ty nie zaczynaj. Można by przysiąc, że jestem nastolatką, która pierwszy raz w życiu próbuje piwa z lemoniadą!

- Opowiedz mi, jak to było - zaproponowała Rosie, która usiłowała nakłonić dziadka, by pozwolił jej na kieliszek wina, i poniosła właśnie sromotną porażkę.

- A może pojechalibyśmy jutro wszyscy do Rondy? - zmieniła temat Vida, czując wiszącą w powietrzu kłótnię. - Po południu można popluskać się w basenie, ale z rana, kiedy jest chłodniej, miło byłoby trochę pozwieźdzać.

- Świetna myśl - podchwyciła Cara, którą nudziło leżenie na brzegu basenu i nie dbała o to, czy będzie opalona, czy nie. - No nie, Rosie?

- No - odparła Rosie bez przekonania. Marzyła, by jak najszybciej zyskać wspaniały, brązowy kolor skóry i obiecała sobie, że będzie spędzała całe dnie na leżaku z książką w rękę.

Vida i Andrew zaczęli rozmawiać o tym, co wyczytali na temat okolicy w przewodniku.

- Ronda jest położona wśród gór - powiedział Max, nie patrząc na Evie. - Prowadzi tam serpentyna z zakrętami jak agrafki. Nikt skacowany jej nie wytrzyma.

Uniosła wyzywająco brwi i wychyliła trzecie martini. Zdażyła się już przyzwyczaić do jego palącego smaku.

- Naprawdę? - spytała beztrosko.

Światło dnia oślepiło ją niczym reflektory nadjeżdżającej ciężarówki. Momentalnie zdała sobie sprawę, że głowę wypchano jej tysiącem czerwonych, gorących igieł.

- Precz! - zaskrzeczała, nieudolnie próbując naciągnąć na głowę pościel, żeby odgrodzić się jakoś od tej potwornej jasności.

- Mamo, trzeba wstawać - wrzasnęła Rosie. W każdym razie Evie miała wrażenie, że córka nie mówi, a wrzeszczy.

- Nie wrzeszcz tak - powiedziała słabo.

- Wcale nie wrzeszczę - wrzasnęła znów Rosie, odsłaniając kolejną zasłonę. Usiadła na łóżku obok bezwładnego ciała matki i spojrzała na widniejącą na poduszce popielatą twarz.

- Zaraz ci przyniosę soku pomarańczowego. Na pewno strasznie chce ci się pić.

Skąd siedemnastolatka tak dobrze wie, że skacowany człowiek jest spragniony? Evie nie miała siły się nad tym zastanawiać. Wrzuciła zaskakującą informację do podświadomości, obiecując sobie, że zajmie się nią później. W tej chwili musiała uporać się z czymś, co było albo wylewem krwi do mózgu, albo najstraszliwszym kacem, jaki kiedykolwiek przeżywała. Leżała twarzą do dołu i miała wrażenie, że całe łóżko wibruje. Ciało oblewał zimny pot, a wewnątrz czaszki nieustannie walił młot pneumatyczny

- Za pół godziny jedziemy do Rondy, jeśli jesteś za - mówiła Rosie. - Vida i dziadziś przynieśli fantastyczne rogaliki i miód na śniadanie. Czeka ją na werandzie. Ja bym wolała się poopalać - westchnęła - ale dziadziś i Vida uparli się na zwiedzanie. A ty jedziesz?

Evie zmieniła położenie ciała o milimetr i momentalnie młot pneumatyczny w jej głowie zwiększył tempo.

- O Boże, nie - jęknęła. - Umieram. Nigdzie nie jadę.

- Cara mówi to samo - odparła córka prozaicznie. - Nigdy dotąd nie widziałam cię pijanej, mamo. Strasznie byłaś zabawna.

Zabawna? Evie wyteżyła umysł i spróbowała przypomnieć sobie wczorajszy wieczór. Pamiętała, że piła martini, i jeszcze coś śmiesznego z krewetkami... co to było?... aha, karmiła Maksa krewetkami w sosie czosnkowym, twierdząc, że jest foką. Wpychała mu je do ust na siłę. Zaraz... czy rzeczywiście walnęła głową w drzwi, kiedy wychodzili? Czy może to ktoś inny...

- Dobrze, że był Max. Inaczej nie dalibyśmy rady wtargać cię po schodach na górę - mówiła Rosie w błogosławionej nieświadomości, co znaczą te słowa dla jej znękaney matki. - Cara powiedziała, że spróbuje zastosować chwyt strażacki... wiesz, taki przerzut przez ramię... ale Max wziął cię po prostu na ręce, tak jakbyś była Sashą, i zaniósł do sypialni.

Zagrzebana w pościeli, Evie spłonęła ze wstydu. Max wnosi ją pijaną na górę... po tym, jak karmiła go na siłę krewetkami i wpadała, opuszczając restaurację, na ludzi i drzwi... Co on sobie teraz o niej myśli? Zaprosił ich do pierwszorzędnej knajpy, żeby uczcić rozpoczynające się wspólne wakacje, a ona spiła się i zrobiła z siebie przedstawienie... Zagrzebała się jeszcze głębiej w poczuciu skrajnego upokorzenia.

- Co, umierasz? - spytała Cara, irytująco głośno i z humorem, rzucając się na łóżko. Obolała głowa jej siostry doznała kolejnego bolesnego wstrząsu.



- Yhy - Evie zjękiem uniosła głowę o milimetr i z trudem rozkleiła jedno oko. - Co ja wyprawiałam? Jakież straszne rzeczy, prawda?

- Skądże znowu. Tyle że na dole wlaźłaś na stół i zaczęłaś się rozbierać, żeby pokazać nam bliźnę po operacji wyrostka robaczkowego...

- O, nie - Evie poczuła, że chyba naprawdę umrze ze wstydu. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, iż nigdy nie miała operowanego wyrostka.

- Żartuję - zarechotała Cara. - Evie, przestań. Upiłaś się trochę narozbierałaś. Wielkie rzeczy. Każdemu się zdarza od czasu do czasu.

- Mnie nie - jęknęła płacziwie.

- No to w końcu ci się zdarzyło. Pewnie ci to było potrzebne.

- Byłaś strasznie fajna, mamó - włączyła się Rosie. - Miałas z Vidą bardzo ważną rozmowę o tym, jak ci jest przykro, że byłaś dla niej taka wredna, i że nie masz nic przeciw temu, żeby... - Rosie zawahała się - no, że nie masz nic przeciw temu, co robią z dziadkiem.

Evie już nie dbała o to, czy głowa jej odpadnie, czy nie. Zerwała się z łóżka i utkwiała wzrok w Rosie. Miała dziwne wrażenie, że ten tekst brzmi dziwnie znajomo.

- Co ja naprawdę powiedziałam, Rosie? - spytała ze zgrozą. - Mów. Chcę znać prawdę.

Rosie spojrzała gdzieś w bok, zakłopotana.

- Proszę - błagała Evie. Może rzeczywistość nie była aż tak okropna, jak myśli...

- Naprawdę - zdecydowała się Cara - powiedziałaś, że mogą połamać łóżka i szafę, rzucając się na siebie nawzajem w paroksyzmach żądy, i że w ogóle ci to nie przeszkadza, jeśli tylko są oboje szczęśliwi.

Evie, zszokowana, złożyła z powrotem głowę na poduszce. Najwyraźniej w stanie upojenia człowiek jak papuga powtarza to, co wcześniej pomyślał... Skoro była w stanie powiedzieć coś takiego do Vidy, to kto wie, co po wypiciu pół litra wódki powiedziała do Maksa? Może na przykład, że marzy o szalonej nocy z nim? Kto wie...

A co gorsza, powiedziałyby prawdę. *In vino Veritas* - mawiali starożytni... Teraz Max już wie, że jest w nim szaleńczo zakochana, Vida upewniła się, że wcześniej jej nienawidziła, zaś w oczach mieszkańców Puerto Banus bez wątplenia jest Babcia Kłozetową Roku. Irlandzką prowincjuszką, która ledwo przestąpi próg jakiegos odrobinę elegantszego lokalu, od razu zaczyna szaleć niczym zwariowana jałówka, która nie widziała dotąd niczego poza pastwiskiem w Ballymoreen... Evie poczuła, że chce umrzeć. Teraz, zaraz, jak najszybciej, zanim będzie musiała spojrzeć w oczy Vidzie, ojcu i Maksowi. Jemu zwłaszcza.

- Czy Evie jedzie z nami? - zawołał z dołu ojciec.

- Nie - odrzyknęła Cara. Wstała i pocałowała siostrę w czoło. - Do zobaczenia, stara.

Kiedy oni wreszcie przestaną krzyczeć? Czy nie widzą że ma kaca?

- Jesteś pewna, że wolisz być sama? - spytała z niepokojem Rosie. - Może zostanę z tobą? Wyglądasz, jakbyś potrzebowała pomocy.

Evie zdobyła się na słaby uśmiech. Gdyby z powodu jej pijaństwa Rosie miała nie pojechać na wycieczkę, czułaby się spalona jako matka.

- Wszystko w porządku, kochanie. Po prostu muszę się wypaść. Jak wrócicie, będę rześka jak poranek, zobaczysz. Obiecuję.

Upewnili się, że Evie ma obok łóżka wielką szklankę soku pomarańczowego i trochę owoców, na wypadek, gdy zgłodniała, Rosie niechętnie wyszła. Owoce... Evie przypomniawszy się dziecko z „Egzorcysty”. Jej też na sam widok tych dorodnych brzoskwiń, moreli i winogron zbierało się na wymioty.

Z ulgą usłyszała, jak za wychodzącymi zatraskują się drzwi. Chciała być sama. Musiała w samotności uporać się z kacem i wyrzutami sumienia.

Łapczywie wypita świeżo wyciśnięty sok, prawie nie czując jego smaku, byle szybciej ugasić pragnienie. Zaledwie jednak wyszczyła ostatnią kroplę, zdała sobie sprawę, że chyba nie postąpiła najślusniej... Czując narastającą w gardle kulę bilardową, zwlokła się z łóżka i chwiejnym krokiem pospieszyła do łazienki.

Kiedy skończyła wymiotować, nie miała siły wstać. Klęczała, ściskając muszlę klozetową, przekonana, że już nigdy nie zdoła podnieść się na nogi.

- Jak tam pacjentka? - usłyszała czyjś głos.

Max! Nie pojechał z innymi. I może słyszał, jak wymiotuje!

- Idź stąd - skrzeknęła ledwie dosłyszalnie. Max jednak, zamiast odejść, wszedł do jej pokoju, przez otwarte szeroko drzwi zobaczył ją na podłodze łazienki i pospieszył na pomoc.

- Biedactwo - powiedział współczująco i objął ją, nie zwracając uwagi na woń potu i wymiotów.

Chwycił ją kolejny spazm. Nie miała wyboru - musiała znowu zwymiotować. Tym razem trzymały ją silne ramiona Maksa.

- W porządku, Evie. Ulżyj sobie. Od razu się lepiej poczujesz, jak pozbędziesz się tego wszystkiego z żołądka.

Usiadła z powrotem na podłodze. Zbyt źle się czuła, by się wstydzić. W każdym razie nie była naga - ktoś, kto ściągnął z niej wczoraj rzeczy, wrzucił na nią jakiś T-shirt. Ale właściwie nie miało to znaczenia - i tak czuła się naga i bezbronna, z tymi przyklejonymi do głowy włosami i zieloną twarzą.

- Usiądź sobie tutaj, aja cię trochę umyję - przemawiał do niej łagodnie jak do dziecka albo przestraszonego zwierzątka. Zmoczył ręcznik chłodną wodą, wykręcił i delikatnie przetrął jej twarz, szyję i ręce. Poczowała się o włos lepiej.

- Zabrudziłaś podkoszulek - zauważył. - Zaraz ci przyniosę mój czysty.

Wrócił po chwili, niosąc popielaty T-shirt, tabletkę i szklankę wody, w której rozpuszczały się jakieś granulki.

- Maxolon. Dobrze robi na żołądek. A to uzupełni sole mineralne w twoim organizmie - wskazał na szklanke. - Wyjdę na chwilę, a ty się przebierz.

Była tak słaba, że chętnie by się zgodziła, żeby to on ją przebrał. Wkładając jego podkoszulek, poczuła słaby zapach wody kolońskiej, której zawsze używał: świeży, czysty, trochę jak woda morską albo ciepły letni dzień... Wciągnęła go w nozdrza. Choć tyle ma z niego - ten zapach, to ubranie na ciele. Nawet gdyby to było wszystko, i tak było wspaniale.

Max przypilnował, by wypić wodę i wzięła tabletkę, po czym wzięła ją na ręce i zaniósł z powrotem do łóżka. Zbyt była słaba, by przejmować się tym, że na pewno tak samo niósł ją wczoraj wieczorem, pijaną i nie wiedzącą co mówi... Otulił ją, jak ona kiedyś Rosie, i pocałował lekko w czoło.

- Prześpij się teraz parę godzin. Zobaczysz, że lepiej się poczujesz. Jak wstaniesz, zrobię ci coś do jedzenia.

- Już nigdy nic nie będę jadła - powiedziała słabym głosem.

- Będiesz, będziesz. Sen i tabletki zrobią swoje. Zobaczysz, że wstaniesz głodna.

Zaciągnął zasłony. Słoneczny blask zniknął.

- Dziękuję - powiedziała z ulgą. Choć ledwo żywa, poczuła wzruszenie. Taki jest dla niej dobry...

Max nie odpowiedział. Przesłał jej dłonią pocałunek i po cichu wyszedł. Evie wtuliła się w jego T-shirt i pozwoliła, by wypełnił jej myśli. Dobry. Miły. Wrażliwy. Trzymał ją pochyloną nad muszlą klozetową... Mało kto zdobyłby się na coś podobnego wobec osoby innej niż własne dziecko.

Simon z pewnością by się nie zdobył. Wykluczone. Był szalenie przewrażliwiony i sama woń szpitala przyprawiała go o mdłości, a widok krwi - o zemlenie.

No, ale ostatecznie Simon to nie Max, prawda?

Kiedy się obudziła, było południe. Czuła się o niebo lepiej. Głowa nadal bolała, ale młot pneumatyczny ustąpił. Wciąż jednak czuła lekkie mdłości, a łóżko zdawało się trząść jak galareta.

Ostrożnie sięgnęła jedną nogą podłogi i usiadła. Była osłabiona, ale czaszka nie groziła już eksplozją, a żołądek zachowywał się niemal normalnie.

Wdzięczna losowi, że najgorsze minęło, podreptała do łazienki pod prysznic. Odświeżające strumienie ciepłej wody przyniosły dalszą ulgę jej obolałemu ciału. Gdy owijała się w jeden z wielkich ręczników, czuła się już niemal całkiem dobrze.

Usłyszała delikatne pukanie do drzwi. Podskoczyła nerwowo.

- To ja - usłyszała głos Maksa. Otworzył drzwi i wszedł. - Przyniosłem śniadanie. Albo lunch, jak wolisz.

Postawił tacę na małym metalowym stoliku na balkonie. Evie ze zdumieniem stwierdziła, że jest głodna. Apetyczna woń kawy i jajecznicę podrażniła jej nozdrza i żołądek zareagował prawidłowo. Max w milczeniu nakrył

dla dwu osób i usiadł - plecami do słońca, twarzą do Evie. Dziwne, ale nie czuła się ani odrobinę skępowana, choć miała na sobie jedynie ręcznik kąpielowy owinięty wokół ciała, a mokre włosy spadały w strąkach na ramiona. Max widział ją już w znacznie gorszym stanie - pijaną, wymiotującą... Po kąpieli i w ręczniku to przecież znaczny postęp, prawda? Evie uśmiechnęła się do siebie na myśl, co też powiedziałyby Lorraine i inne dziewczyny z Wentworth Alarms, gdyby zobaczyły ją teraz, siedzącą przy stoliku niemal na golasa z najprzystojniejszym brunetem świata.

- Szczęściara! - zapiszczałyby zapewne Lorraine z zachwytem...

Evie poczuła, że nie jest w stanie dłużej powstrzymać śmiechu. Wraz z parsknięciem wydała z siebie coś w rodzaju bulgotu.

Max uniósł brew.

- Co to? Znowu chłepczesz wódkę? - zadrwił.

Evie parsknęła jeszcze głośniej.

- Nie - wykrztusiła. Ręcznik się poluzował, więc okręciła się mocniej. - Myślałam po prostu, jak to wygląda z boku... - i znowu śmiech zatamował jej słowa. - Ty i ja w ręczniku przy późnym śniadaniu - dokończyła.

- No to pociągnijmy dalej ten wątek. Ty zrzucasz ręcznik, a ja zjadam moją porcję jajecznicy wprost z ciebie. Ty wydajesz namiętny krzyk i już po chwili widzimy sąsiadów wyglądających przez okna, żeby sprawdzić, co się dzieje... Na szczęście Hiszpanie są bardzo tolerancyjni - dodał. - Wzruszą tylko ramionami i uśmiechną się. Irlandzka seniorka dobrze się bawi? No to świetnie!

Evie wyszczerzyła zęby w uśmiechu. Rzeczywiście dobrze się bawiła. Choć jeszcze parę godzin temu była pewna, że już nigdy w życiu nie będzie jej na to stać.

- Okropna byłam wczoraj wieczorem? - spytała, podnosząc do ust widelec.

- Zapomnij o wczorajszym wieczorze. Jedz.

- Wiem, że byłam - powiedziała z pełnymi ustami. - O Jezu, ale pyszne... Powinnam cię przeprosić, Max. Nigdy nie piłam martini. Nie wiem, co mi się wczoraj stało - skrzywiła się. - Słyszałeś stary kawał, jak to niektórych ludzi trzeba zabierać w pewne miejsca dwa razy? Za drugim razem po to, żeby mogli się usprawiedliwić.

- Zapomnij o tym - powtórzył. - Po prostu musiałaś wyluzować. Jedz, bo wychodzimy.

- Ale przecież nie mam rzeczy - zaprotestowała.

- Twoja walizka przybyła z samego rana. Zaniósłem ją na górę, a Cara zawlokła do twojego pokoju.

- Nawet tego nie zauważyłam - jęknęła. - Naprawdę musiało być ze mną kiepsko... A gdzie mamy iść? I co z resztą towarzystwa? - zaniepokoiła się. - Niedługo wrócą. Będą myśleli, że jesteśmy na miejscu, atu...

Max leciutko obwiodł dłonią zarys jej policzka.

- Chyba za bardzo przywykłaś troszczyć się o innych - jego głos był równie miękki jak dotknięcie ręki. - To także twoje wakacje. Chciałbym, żebyś się trochę rozerwała. Zostawimy im wiadomość, że wrócimy trochę później. A Rosie chyba nic się nie stanie z twoim ojcem i moją matką prawda? Przecież handel białymi niewolnikami nie zacznie się wcześniej niż o północy.

Ciekawe, czy zaułki Marbelli byłyby równie urocze, gdyby zwiedzała je z kimś innym, a nie z Maksem? Włóczyli się krętymi uliczkami, mijali obsadzone drzewkami pomarańczowymi podwórka zaglądali do sklepików z piękną biało-niebieską ceramiką... Popołudnie minęło jak sen.

Nie wiedziała dokładnie, jak to się stało, że chodziła z dłonią w jego dłoń. Może to te dzieciaki zjeżdżające z dużą szybkością na rowerach wąską jezdnią? Max musiał wtedy odciągnąć ją nieco w bok... W każdym razie trzymał ją za rękę - i to nie luźno, jak Simon, kiedy czasem wyjątkowo zapomniał, iż nie lubi publicznego okazywania uczuć. Silne palce Maksa ścisnęły drobną dłoń Evie zupełnie inaczej...

Oglądali sklepowe witryny, podziwiali architekturę i rozmawiali. O wszystkim - z wyjątkiem tego, co dzieje się pomiędzy nimi. Nie chciała zniszczyć magii tej chwili, nie chciała omawiać swoich uczuć, ani wspominać imienia Simona. Nie, nie był bynajmniej nieustannie obecny w jej umyśle jako sprawa numer jeden. Nie mogła jednak nie pomyśleć o nim, gdy przechodzili obok sklepu jubilera, gdzie na wystawie leżało pełno gigantycznych zaręczynowych pierścionków.

Za parę tygodni będzie mężatką - uświadomiła sobie - a tymczasem przeżywa najwspanialsze chwile swego życia z mężczyzną, który nie jest jej narzeczonym... Z mężczyzną za którym szaleje.

Nie, nie będzie teraz o tym myśleć. Wymaże to z głowy. Zastanowi się w przyszłości, a teraz będzie cieszyć się chwilą. Całe życie o coś się martwi... Więc teraz nie będzie. I, nie do wiary, przy Maksie było to możliwe. Sama jego obecność sprawiała, że wszystkie lęki i napięcia ulatywały w niebyt. Niech lecą! Evie poczuła, że nie istnieje nic, tylko radosne tu i teraz.

Przeszli wzdłuż plaży i wstąpili do malutkiego baru na kawę. Wypili ją, słuchając łagodnego szumu fal uderzających o piaszczysty brzeg, i zawrócili w kierunku samochodu.

Evie pod wpływem nagłego impulsu zwróciła się do Maksa.

- A może byśmy zjedli tutaj obiad? Przecież nie musimy tak się spieszyć z powrotem. Zadzwonię do willi i powiem, gdzie jesteście i co robimy.

Rozjaśniona twarz Maksa mówiła sama za siebie.

Telefon odebrał ojciec. Stwierdził, że jest wykończony - spędzili na zwiedzaniu praktycznie cały dzień zamiast planowanych paru godzin.

- Vida była przewodnikiem i skęciliśmy nie w tę stronę co trzeba. Jechaliśmy już na Madryt. Wszyscy jesteście zmęczeni i mamy zamiar po prostu pójść na pizzę, wiesz, tam koło Andalucia Plaža. Kiedy wracacie? Może przynieść wam parę kawałków do domu?

- Nie, tato, dzięki. Nie zwracaj sobie głowy. Byliśmy z Maksem na zakupach w Marbelli i trochę zgłodnieliśmy, więc chyba zjemy coś na miejscu - starała się mówić lekkim, obojętnym tonem.

- No to dobrze. A swoją drogą cieszę się, że się dogadujecie z Maksem - ojciec zniżył głos. - Ja mam was trzy, a Max to jedyna rodzina Vidy, więc gdybyście go nie zaakceptowały... No dobra - powiedział już normalnym tonem. - Do zobaczenia.

Evie odwiesiła słuchawkę. Czuła się jak nastolatka, która dzwoni do domu i kłamie, że odrabia lekcje z przyjaciółką, a tymczasem jest na randce z chłopakiem.

Jeszcze trochę pobędą tylko we dwoje! Radośnie podekscytowana, Evie szła obok Maksa, niemal podskakując, i gadała bez przerwy. Włosy tańczyły wokół jej twarzy, oczy lśniły ożywieniem.

Piękna - pomyślał Max. Była jak małe tornado - żywa, pełna zapału, energii... Wyglądała, jakby z jej wątlonych ramion zdjęto na chwilę ciężar świata. Tak chciałby uwolnić ją od zmartwień, sprawić, by zawsze była taka jak teraz: szczęśliwa, beztroska, pełna radości życia...

Przeczuwał, że nie wie o niej wielu rzeczy, których zresztą nie wie nikt oprócz niej. Była zbyt dumna, by się obnażać. Z pewnością jednak życie jej nie oszczędzało, a za tą szorstką fasadą kryje się wiele ran i blizn. Gdyby zdołał przekonać ją, że ją kocha, gdyby pozwoliła mu zajrzeć poza fasadę... Mogliby być tacy szczęśliwi! Gdyby... Ale Evie była jak jezioro, pełna niezbadanych, nikomu nie znanych głębin. Gdyby zanurkował w niewłaściwym miejscu i czasie, nigdy by mu tego nie wybaczyła. Wyjawi mu swoje sekrety, jeśli zechce i kiedy zechce, ale nie wcześniej.

- W ogóle nie słuchasz, co mówię - Evie żartobliwie trzepnęła Maksa w ramię. - Zupełnie jakbym rozmawiała z Rosie, kiedy w telewizji leci odcinek „Przyjaciół”.

- Wybacz mi, pani. Słucham cię zawsze uważnie, z wyjątkiem tych momentów, kiedy narzekasz, że wszystkie baby dookoła mają wspaniałe toalety, a ty nie masz co na siebie włożyć.

- Świnia! - tym razem wymierzyła mu mocniejszego klapsa. - Nic takiego nie mówiłam.

Max uchylił się przed ciosem. Otoczył ją ramieniem.

- Mówiłaś, mówiłaś. Nie wiem tylko dlaczego. I tak jesteś sto razy ładniejsza niż te wszystkie wyfiokowane damy.

Evie doznała niemal ekstazy. Przywarła do niego mocniej. A więc woli ją niż te wspaniałe kobiety w markowych ciuchach i fryzurach wprost z salonów

najwybitniejszych stylistów... Wierzyła mu. Wcale nie musi więc głodować, by mieć smuklejszą talię... Przy Maksie nie potrzebuje udawać ani starać się być kimś innym, niż jest.

Dotarli na malowniczy placyk. Pod obsypanymi owocem drzewami rozstawione były stoliki. Jedne skrywał miły cień, na inne padał przesiany przez gałęzie słoneczny blask. Evie i Max usiedli w cieniu i zamówili chłodne białe wino oraz wspaniałe małże ze świeżym białym chlebem do zbierania sosu.

- Troszkę czuję się winna, że zostawiłam Rosie samą - wyznała Evie. - Wydaje mi się, że powinnam być dzisiaj razem z nią. Te wakacje mają dla niej specjalne znaczenie...

- Pierwsze dorosłe wakacje zawsze mają dla nas specjalne znaczenie - przyznał Max. - Ale wiesz, Rosie na pewno woli powłóczyć się po mieście sama. No, może co najwyżej z Carą. Wyglądają jak siostry i mogą spokojnie pójść we dwie na podryw, na przykład do klubu „18-30”... Myślę, że tak właśnie wygląda ideał wakacji Rosie.

Evie zastanowiła się. Musiała przyznać, choć z niechęcią, że Max ma rację. Rosie na pewno marzy, by wybrać się gdzieś bez matki i dziadka. Tyle że to takie trudne - pozwolić dorastającemu dziecku na samodzielność.

- Wiem - powiedziała głośno. - Zależy mi, żeby była samodzielna, i zawsze ją tego uczyłam. Ale...

- Ale to niełatwe dla matki - odciąć pępownię - dokończył Max. - Rozumim cię. Ale wiesz, to będzie złoty środek. Niech Cara zabierze ją gdzieś któregoś wieczoru, choćby na próbę. A ja zabiorę ciebie.

- Będą o nas gadać...

- Nie będą - Max czule pogładził jej policzek. - Powiem matce, żeby zafundowali sobie z Andrew romantyczny wieczór we dwoje, a wtedy my wymkniemy się na nasz romantyczny wieczór.

- Super!

Wracali w milczeniu. Unikając tego, co naprawdę ważne, Evie błędziła myślami wokół kwestii sprawunków. Nie kupiła absolutnie nic, a przecież powiedziała ojcu, że wybrali się na zakupy... Cała nadzieja w tym, że nikt nie zwróci uwagi.

Chyba istotnie nikt nie zauważył. Wszyscy siedzieli przed telewizorem, oglądając na wideo stare filmy z Chevy Chase'em.

- To Cara uparła się, żeby je kupić - powiedziała Rosie do matki tytułem wyjaśnienia.

- Cicho! - syknęła Cara.

- Chyba czujesz się lepiej, prawda? - szepnęła Rosie. - Wyglądasz fantastycznie. Myślałam, że jak wrócimy, zastanę cię w łóżku...

- Przespałam się trochę, a potem Max zaproponował, żebyśmy się gdzieś przejechali. Długo nie wracaliście i trochę się nudziłam...

- Ty się nudziłaś! - zachichotała Rosie. - Jakbyś tak jak ja spędziła cztery godziny w samochodzie z dziadkiem i Vidą... Na przemian albo kłócili się nad mapą, albo całowali. Jakbym jeszcze raz usłyszała „Niech słońce nie zachodzi nad waszym gniewem”, chyba bym wyskoczyła z samochodu i wróciła stopem. Myślałam, że nigdy nie dojedziemy!

- To ulubione porzekadło dziadka - przyznała Evie. - Ale nie! Najbardziej lubi powtarzać: „Niepotrzebnie zawracasz sobie mną głowę, Evie!”.

Zachichotały obie. Wściekłe spojrzenie Cary, która w swoich szczenięcych latach kochała się w Chevy Chase'ie, przywołało je do porządku.

Zapadła cisza. Evie siedziała wpatrzona w ekran, jak wszyscy, ale myślami była milion kilometrów stąd. Przez resztę wieczoru Max mało się do niej odzywał. Był chłodny i oficjalny jak poprzednio. Grzeczny, ale na dystans.

Z jednej strony rozumiała, że szanuje jej niechęć do ujawniania tego, co ich łączy. Z drugiej jednak... Ten dystans po tym wspaniałym wspólnym popołudniu działał na nią dziwnie przygnębiająco. Zupełnie jakby sobie to wszystko tylko wyobraziła.

Dopiero gdy szła spać, trafiła się okazja do bardziej prywatnej rozmowy. Kiedy weszła do kuchni po wodę, Max pociągnął ją na werandę. Nikt nie mógł ich tu zobaczyć.

- Cały wieczór na to czekałem - szepnął. - Myślałem, że zwariuję. Marzyłem, żeby siedzieć obok ciebie i trzymać cię za rękę, a musiałem udawać, że nic się nie dzieje...

Poczuła, jak spływa na nią ulga.

- Prawie w ogóle na mnie nie patrzyłeś - przeżyte obawy wyzwoliły w niej bolesną szczerość. - Nie wiedziałam, co o tym myśleć...

- Evie - ujął jej twarz w dłonie - zrobiłem to dla ciebie. Ja jestem wolny, i przyjechałem tu ze względu na ciebie, ale ty jesteś zaręczona i wkrótce wychodzisz za męża. Od ciebie zależy, czy i kiedy powiedzieć coś rodzinie. Ja nie mam prawa tego robić. A poza tym - wyszczerzył zęby - gdybym się odważył, pewnie byś mnie zamordowała.

Pokiwała smętnie głową.

- Masz rację. Tylko wiesz... wydawało mi się, że tego wspaniałego dnia wcale nie było, że sobie to wszystko wyobraziłam... - wpatrywała się w swoje białe stopy o pokrytych różowym lakierem paznokciach.

Max uniósł jej twarz.

- To - szepnął - chciałem zrobić przez cały dzień.

Nachylił się i zbliżył usta do jej ust. Dotknął ich leciutko, by po chwili zgnieść je niemal brutalnie. Przywarli do siebie gwałtownie, jakby od tego zależało ich życie. Języki połączyły się.

Evie po raz pierwszy w życiu zatraciła się w pocałunku. Oddała się Maksowi bez zastrzeżeń i czuła, że on tak samo oddaje się jej. Aż słabły jej nogi



od siły tego nacierającego na nią ciała... Wiedziała, iż jej to nie wystarcza: chciałyby poczuć jego nagłość na swojej, godzinami poznawać każdą kosteczkę, ściętno, każdy centymetr kwadratowy skóry...

- Mamo, jesteś tam?

Odskoczyła jak oparzona i rzuciła się na leżak. Max równie błyskawicznie odsunął się pod ścianę. Kiedy Rosie zajrzała przez uchylone drzwi, siedział, wpatrując się leniwie w gładką powierzchnię basenu.

- O, cześć. Myślałam, że już śpisz, mamo.

- Pomyślałam sobie, że ochłodzę się trochę przed snem - wyjaśniła nie dbale. - A Max miał taki sam pomysł.

- Nie, wątpię, czy te kwiaty przyjęłyby się w Irlandii - odezwał się Max, jak gdyby przerwano im dyskusję na temat andaluzyjskiej flory, choć przed chwilą wpychał jej język do gardła, a ręce pod T-shirt. - A jaką masz ziemię w ogródku?

Evie ledwo zdołała stłumić śmiech.

- Kwaśną - odparła. - Świetna pod rododendrony.

- No nie! - Rosie w desperacji rzuciła się pod ścianę werandy, wyciągając przed siebie długie, opalone nogi w nowych skórzanych klapkach. Kupiła je dziś w górach, wytargowawszy całkiem przystępną cenę. - W najbardziej romantycznym miejscu pod słońcem siedzicie i gadacie o ogrodnictwie! W ogóle - prychnęła - co to znaczy, żeby siedzieć w domu, zamiast pójść do jakiegoś klubu, spróbować nocnego życia... Chcę mieć jakąś rozrywkę!

Evie nie odważyła się spojrzeć na Maksa. Z pewnością wybuchnęłyby histerycznym śmiechem.

- No to idźcie sobie gdzieś z Cara któregoś wieczoru. We dwie.

- Naprawdę? - zaskoczenie na twarzy Rosie było niemal namacalne. Rzuciła się na matkę, ściskając ją żywołowo. - Nie pożałujesz, mamo, zobaczysz. Będę się zachowywać wzorowo. Po prostu muszę się trochę ruszyć, sama rozumiesz...

- Rozumiem - odparła Evie poważnie. - Tylko pamiętaj, bądź ostrożna.

## 13

**B**yla trzecia po południu - pora, gdy rodowici Hiszpanie siedzą w domach, skryci przed palącymi promieniami słońca. Evie zdawała sobie sprawę, że powinna wskoczyć do basenu. Inaczej, pomimo kremu ochronnego, jakim obficie się nasmarowała, będzie wkrótce czerwona jak krab.

- Zostało tam coś jeszcze, Evie? - spytała leniwie Cara ze swego leżaka.

Ostrożnie, żeby nie przesunąć balansującej na kolanach książki ani kapelusza na głowie, którego najwłaściwszą pozycję długo i starannie opracowywała, Evie rzuciła siostrze niebieski plastikowy pojemnik z filtrem numer dwanaście. Źle wymierzyła jednak odległość i krem wylądował na płaskim brzuchu leżącej bliżej Rosie, która po pięciu dniach intensywnego opalania zaczynała przypominać czekoladkę.

- Au! - kwiknęła, wyrwana z drzemki. - Po co wam tyle tej ochrony? Ja tam używam czwórki i dobrze - dodała z nonszalancją osoby młodej i lekceważącej zmarszczki.

Tym razem Evie nie dbała o książkę i kapelusz. Poderwała się, zaszkowana.

- Czwórka? Chyba zwariowałaś! Dostaniesz raka skóry, kretynko! Natychmiast masz się posmarować czymś mocniejszym!

- O Jezu, mam - Rosie z jękiem opadła z powrotem na leżak. - Prze stań panikować. Mam z natury ciemniejszą skórę niż ty. Jak Max. Jemu wystarczy pięć minut na słońcu i już jest czarny...

Wzmianka o Maksie momentalnie zmieniła bieg myśli Evie. Widziała go opalającego się tylko raz, przedwczoraj, przez godzinę. Wspaniałe, półnagie, lśniące od olejku ciało... W porównaniu z Simonem, chudym i kanciatym, Max wyglądał jak atleta: szerokie bary, wąska talia i biodra, długie, muskularne nogi...

- Skąd masz tę bliznę? - spytała wówczas Rosie. Na lewym udzie widniała dość głęboka szrama, biegnąca aż do kolana. Evie też chciała o nią spytać, ale nie miała odwagi.

- Wspinaczka - wyjaśnił, pocierając niedbale bliznę. - Teraz się to już dla mnie skończyło. Nadwerżyłem kolana i muszę je oszczędzać. Choć nadal nie jestem w stanie wyobrazić sobie leżenia przez cały dzień, nawet w hiszpańskim słońcu - zakpił.

Lubił przesiadywać na werandzie. Przeglądał scenariusze, popijając mocną kawę, i ciemniał powoli, w sposób naturalny. Zamiast smażyć się obok Rosie, fanatyczki opalania, wolał skoczyć z Evie gdzieś na wybrzeże i tam wyciągnąć się w słońcu.

Dwa dni temu wybrali się w góry, do Rondy, gdzie pozostali byli pierwszego dnia. Tym razem nie odważyli się jednak zostać na kolację i wrócili już o czwartej, by zastać całe towarzystwo wylegające się nad basenem. A wczoraj wybrali się, każde z osobna, na spacer, i spotkali się u stóp wzgórza, niedaleko areny, gdzie odbywały się walki byków. Parę godzin włączyli się po porcie, gadając, jakby dopiero co odkryli sztukę rozmawiania i musieli ją nieustannie ćwiczyć.

- Pewnie nie czujesz nóg - zauważył ojciec, gdy wróciła, oczywiście sama. Max musiał jeszcze przez godzinę pozabijać jakoś czas, zanim wolno mu było pojawić się w willi.

- Skąd. Bardzo lubię chodzić - odparła rzeško. - Nie mówiłam ci, że mam zamiar wziąć udział w minimaratonie? - skłamała.

Dziś Max wyszedł dość wcześnie, żeby spotkać się ze znajomym, który też spędzał wakacje w tej okolicy. Jeszcze nie wrócił. Vida i Andrew mieli sjęstę, czy raczej „seksjęstę”, jak podrwiwała Rosie, gdy para nowożeńców zniknęła o wpół w trzeciej w swoim pokoju.

Były nad basenem tylko we trzy - Cara, Rosie i Evie. One, słońce i cisza. Co za luksus... Rosie nie chciało się ruszyć, żeby podać ciotce ochronną emulsję.

- Chodź tu i weź sobie sama - powiedziała sennie.

- Ty leniuchu - mruknęła Cara. Wstała z leżaka i podeszła ostrożnie po rozgrzanych płytkach do Rosie.

- Na węgiel jeszcze się nie spaliła - przekazała Evie najnowsze wiadomości, patrząc na brązowe ciało siostrzenicy, ledwie osłonięte skąpym różowym bikini w jasny rzucik.

- No właśnie - mruknęła Rosie. Leżała z zamkniętymi oczami, z rozkoszą pławiąc się w słonecznym żarze.

- Ale chyba trzeba cię troszkę ochłodzić - Cara nabrała wody w garść i chlusnęła Rosie na brzuch.

- Ty małpo! - pisnęła Rosie, zrywając się na równe nogi. - Jak ci... - Zaczęły ganiać się wokół basenu, ochlapując się nawzajem i piszcząc, gdy lodowate krople spadały na rozgrzaną skórę.

Evie roześmiała się i wróciła do książki. Czuła, że jest absolutnie szczęśliwa. Leży sobie wyciągnięta nad lazurowym basenem, ma przy sobie ludzi, których kocha, a nad głową - nieskazitelny błękit nieba... Czy można chcieć więcej? Zaraz, zaraz... Można. No, ale nie wszystko na tym świecie jest osiągalne i już. Max nigdy nie będzie jej, ale przez tych parę wspianiałych dni może sobie to przynajmniej wyobrazić.

Kiedy nie mogły już wytrzymać na słońcu, ubrały się, wsunęły bose stopy w espadryle i powlokły się leniwie w dół ulicy, do supermarketu. Kupiły butlę wody mineralnej i soczystego melona.

- Boże, ale gorąco - mruknęła Cara, gdy wracały w błogim milczeniu do willi.

Obok przemknął biały sportowy wóz, wznosząc tuman kurzu. Na widok trzech skąpo odzianych dziewczyn kierowca zatrąbił. Zaśmiały się, zadowolone. Rosie wykrzywiła się zabawnie. W barwnych spódnicach na zakładkę omotanych wokół talii, a Rosie w obciętych dzinsach, tak krótkich, jak tylko to możliwe, muszą chyba wyglądać jak typowe turystki - pomyślała Evie. Gdzie się podziała ta spięta, pełna gniewu i lęku kobieta sprzed sześciu dni?

- Nic, tylko się śmiejemy - zauważyła Rosie, lekko zdyszana od marszu pod górę.

- No - Cara otoczyła je ramionami. - Czy to nie wspianiałe?

Tak, to wspianiałe, pomyślała Evie. Była tak rozluźniona i pewna siebie, że mogła spokojnie iść środkiem ulicy w pełnym świetle dnia, mając na sobie tylko narzuconą na kostium białą koszulę, związaną w pasie w węzeł, i ciemnoróżową spódnicę Olivii. Włosy miała zgarnięte byle jak w koński ogon, zakurzone stopy, a makijaż ograniczał się do ochronnej białej szminki na wargach. A mimo to, gdyby w tej chwili zatrzymał się obok nich Max i zaproponował, żeby gdzieś pojechali, wskoczyłyby do samochodu bez wahania. Włosy, rzęsy, byle jaki strój? Co za problem? Sama nie wiedziała, czy to znakomite samopoczucie to efekt wakacji, czy obecności Maksa... Uśmiechnęła się do siebie marzycielsko.

- Evie, zjedźmy dziś kolację na mieście. Na pewno jesteś zmęczona po całym dniu pracy. Zabiorę cię w jakieś romantyczne miejsce.

Skąd wiedział, że jest wykończona i nie ma siły na gotowanie? Po prostu wiedział i już. To był właśnie cały Max. Znał wszystkie jej myśli, wszystkie uczucia.

Kto inny przygotowałby jej pianistą kąpiel, gdy, jak tamtego wieczoru, miała silne bóle miesiączkowe? Kto ułożyłby ją na tapczanie i gładząc jej obolały, napięty brzuch powiedziałaby, że zamówił pizzę, a potem karmił ją jak dziecko?

Kto zabrałby rzeczy z pralni w drodze do pracy, wiedząc, że wolałaby nie gnać po nie w tłoku w porze lunchu, tylko posiedzieć przy biurku, bo ma dużo pracy? Kto umiałby w rocznicę dnia, kiedy się spotkali, zaskoczyć ją przyniesionym do łóżka śniadaniem i idealnie różową różą w nowym wazonie z grubego szkła?

- Jak to dobrze - Evie objęła męża. Cóż to za szczęśliwe losy sprawiły, że trafiła na tego nieprawdopodobnego mężczyznę... - Miałam tak okropny dzień, że nie wiem, czy byłabym w stanie przygotować coś innego niż fasolę na grzance.

Max zanurzył twarz w jej włosach i wciągnął ich woń z pomrukiem zadowolenia, który tak uwielbiała.

- Wiem, najdroższa. Sam bym coś przyrządził, gdybym potrafił, ale wiesz, jaka ze mnie fajtłapa w kuchni. Lepiej wyjdźmy. Nie pozwoliłbym, żeby mój mały misio-pysio mordował się cały wieczór przy garnkach. No, chyba że chcesz znowu jeść spaghetti... Tyle to potrafię.

Weszły przez ogromne wrota na teren willi. Dziwne... Jej marzenia są teraz całkiem inne. Bliższe życia. Przyziemne - ale z Maksem w roli głównej. Max, Max, Max... Spaleni słońcem piraci, germańscy księżęta, porwijący ją swoje łodzie - wszyscy zostali zastąpieni przez tę roześmianą twarz o badawczym, przenikliwym spojrzeniu niebieskich oczu. Wszyscy fikcyjni herosi przybrali postać Maksa Stewarta, a wszystkie luksusowe jachty i hotele zmieniły się w przytulny mały domek, gdzie ona, Max i Rosie żyją w nieustającym szczęściu. Po co jej wytworne bale, ołśniewające wieczorowe suknie?

Wszystko, o czym marzyła, to przytulić się do Maksa i oglądać razem z nim telewizję na starej kanapie, w bezpiecznym objęciu jego ramion.

W kuchni Vida opróżniała zmywarkę, śpiewając z klasyczną chrypką w głosie piosenkę Elli Fitzgerald. Rosie nalała wszystkim wody mineralnej, wrzucając do szklanek kostki lodu i plasterki cytryny. W domu nigdy nie zwracały sobie tym głowy.

- Dziewczyny - zawołała nagle Vida - na śmierć zapomniałam! Evie, zamordujesz mnie.

Evie padła na jedno z kuchennych krzeseł i zaczęła wachlować się serwetką, na której widniał rysunek odzianej w purpurę tancerki flamenco. Serwetki były śliczne i zamierzała przed powrotem kupić sobie takie same. Vida wypatrzyła właśnie podobne w jednym z portowych sklepików.

- Co się stało? Dlaczego mam cię zamordować?

- Twój paniński wieczór! Całkiem wyleciało mi z głowy, żeby wam powiedzieć. Dzisiaj! - Vida spojrzała na dziewczyny rozpromienionym wzrokiem.

- Ju-huu! Damskie party nad basenem! - zawołała Rosie z entuzjazmem.

- Czemu nie - zgodziła się Cara. - Niezły pomysł. A Max i tato niech sobie idą do „Milady's Palace” i pogapią się na kelnerki.

- A więc dzisiaj? - dociskała Vida.

- Boże, no dobrze - powiedziała Evie niepewnie. - Mój ostatni uroczysty wieczór przed utratą wolności... Chyba powinnam kupić sobie coś nowego z tej okazji, no nie?

- Zakupy! - wrzasnęła Rosie. - Jeszcze lepiej. Idę się ubrać!

Przeglądając rzeczy na wieszakach w małym portowym butik, Evie zdała sobie sprawę, że jej metoda kupowania jest zupełnie inne niż Vidy. Ona patrzyła najpierw na cenę, a dopiero potem przymierzała i oglądała bardziej szczegółowo. Vida odwrotnie - oglądała, przymierzała, patrzyła czyjej łacinie, a cenę sprawdzała na końcu.

Evie, zaszokowana, z miejsca zdyskwalifikowała obcisty lśniący podkoszulek. Cena była gigantyczna! Przerzucała kolejne sztuki, tylko po to, żeby coś robić. W tym sklepie i tak nie byłoby jej stać nawet na breloczek do kluczy... Cara i Rosie penetrowały sąsiedni butik, z kostiumami kąpielowymi, więc były z **Vida** jedynymi osobami w sklepie. Ekspedientka krążyła z nadzieją poblizku, zwęszywszy potencjalną klientkę - posiadaczkę złotej karty.

- Evie, popatrz - szepnęła Vida, zdejmując z wieszaka koktajlową suknię w kolorze miedzi. Głęboko wycięta z tyłu, z przodu miała skrzyżowane ramiączka i wszyty biustonosz. Stanowiła rzadkie połączenie klasyki i zmysłowości. - Przymierz.

Wzrok Evie padł na dyndającą na jedwabnej nitce metkę z ceną. Zabrało jej tchu.

- Oszałałaś? To prawie tyle co moja miesięczna rata za dom! Nie mam przy sobie książeczki czekowej sułtana Brunei...

- Cicho - Vida wcisnęła jej sukienkę w ręce. - Przymierzaj. Chciałam ci kupić coś w prezencie na paniński wieczór, a to może być niezłe - wepchnęła ją do przymierzami, a sama wróciła do sprawdzania zawartości wieszaków.

Evie stała i w osłupieniu wpatrywała się w piękną czerwono-brunatną tkaninę. Drzwi przymierzami otworzyły się i Vida podała jej parę innych ubrań.

- To też przymierz.

Ceny były prawie tak samo oszałamiające... Evie wzruszyła ramionami. Vida upadła na głowę, to jasne. Nigdy w życiu nie pozwoliłaby sobie na takie ciuchy, ale też nigdy w życiu nie przyjęłaby od nikogo tak kosztownych prezentów. Ale co tam. Mierzenie nie boli.

Zrzuciła kremowe płócienne spodnie i podkoszulek na ramiączkach, wśliznęła się w sukienkę - i przepadła. Patrzyła w zachwycie na kompletnie odmienioną osobę w lustrze. Gdyby tak Max ją zobaczył... Jej ciało kusząco opięte znakomitą w gatunku tkaniną, jej piersi ponętnie wyeksponowane stanikiem... Już widziała jego rozszerzające się z wrażenia oczy, słyszała, jak chwyta powietrze, czuła, jak przygarnia ją całuje w kark, odpina zamek... Nie mogła nie zakochać się z miejsca w tej sukni. Pragnienie, by ją mieć, walczyło ze świadomością, że nie mogłaby sobie na niapozwolić, nawet gdyby przez miesiąc dodatkowo pracowała w niedziele.

- Włożyłaś? - spytała Vida.

Evie wyszła z przymierzalni i przedefilowała przed nią wolnym krokiem.

- Yhhh - Vidzie zaparło dech. Evie nie potrzebowała innych potwierdzeń: wyglądała pięknie. Max byłby zachwycony.

- Kolor jest kapitalny - Vida nie posiadała się z zachwytem. - Dlaczego nigdy go nie nosisz, Evie? Fantastycznie ci w nim.

- Nie wiem - powiedziała w oszołomieniu, podziwiając własne odbicie z różnych stron. - Nigdy mi to jakoś nie przyszło do głowy... Ana rzeczy w tej cenie nie mogą sobie pozwolić.

- Nonsens - odparła żywo Vida. - Ja płacę. Musisz ją mieć.

Ekspedientka, wietrząc interes, zmaterializowała się, trzymając w ręku pantofle na wysokim obcasie i kryształowy wisior. Na dekolcie Evie wyglądał jak strzałka wskazująca drogę ku najbardziej interesującym partiom ciała.

- Biżuteria niepotrzebna - orzekła Vida, patrząc krytycznie z założonymi na piersiach rękami. - Im prościej, tym lepiej. A teraz - ponagliła - przymierz resztę.

Kremowa lniana sukienka, tak szykownie wyglądająca na wieszaku, na Evie przypominała stary worek po mące. Nawet nie wychodziła, żeby pokazać się Vidzie. Ale dwuczęściowa fioletowa z jedwabnej dzianiny leżała rewelacyjnie, a orzechowe oczy Evie nabierały w niej odcienia jakiejś hipnotycznej zieleni.

- Śliczna - westchnęła z rozpaczą. Nie chciała się z nią rozstawać... - Ale nie mogę ci pozwolić na kupno obydwu, Vido. To niedopuszczalne.

Vida jednak się upierała. Przekonywała ją, że jest dla niej jak córka, o której zawsze marzyła. W końcu Evie ustąpiła.

- Mój drugi mąż, Dan Anderson - szepnęła Vida, gdy ekspedientka z szacunkiem pakowała obie kreacje w bibułkę - nie był, niestety, szczególnie miły. To nie to, co ojciec Maksa, Carlos... - dodała z nostalgią. - Ale był bogaty. Bardzo bogaty - podkreśliła. - Jak miło mieć córkę, na którą można wydać jego pieniądze... to znaczy, przybraną córkę - poprawiła się szybko.

Wyszły, obie czerwone: Vida z zadowolenia, że udało jej się w końcu dopiąć swego i zdemoralizować Evie, Evie zaś z powodu wyrzutów sumienia na myśl, ile macocha na nią wydała. Cara i Rosie czekały na zewnątrz, liżąc lody i gapiąc się na świat.

- Co kupiłyście? - Rosie zaczęła obmacywać lśniąca torbę niczym pies, który zwęszył jakieś pyszności.

- Coś fantastycznego - Vida wzięła Rosie pod rękę. - A teraz twoja kolej, malutka. Co byś chciała?

Kolacja w portowym klubie - taki był pomysł Vidy na panieńską noc Evie.

- Powiedziałam chłopakom, że mają sobie radzić bez nas - poinformowała pasierbicę, wchodząc o wpół do ósmej do jej pokoju. Evie, w swojej nowej miedzianej sukni, wkładała właśnie czarne sandały na wysokim obcasie.

- To Max już wrócił? - spytała z niepokojem. Koniecznie chciała się z nim zobaczyć, powiedzieć, że ten wieczór to nie był jej pomysł, że nie ma chęci myśleć choćby przez chwilę o ślubie, który ją czeka...

- Wrócił dwadzieścia minut temu, a przed chwilą wyszli gdzieś z twoim ojcem. Bóg wie, gdzie wylądują. Pewnie w jakimś burdelu - Vida uśmiechnęła się czule. Dobrze wiedziała, że ukochany i zakochany mąż jest równie zainteresowany wizytą w burdelu, jak ona sama.

Evie oklapła. A więc niczego mu nie wyjaśni... I nie pokaże mu się w nowej sukience! Zrezygnowana, wrzuciła z powrotem tusz do szufladki. Czy jest sens zwracać sobie głowę makijażem?

Podlana winem kolacja była świetna. W innych okolicznościach Evie byłaby zachwycona, ale tak... Cara, Rosie i Vida tryskały humorem, przekonane, że Evie bawi się równie znakomicie, ona zaś ofiarnie śmiała się z dowcipów i starała się sprawiać wrażenie, że to najlepsza impreza w całym jej życiu. Ale serce miała złamane.

Patrzyła na coraz bardziej rozmywające się w alkoholowej mgiełce twarze wokół niej. A więc tak wygląda koniec jej idylli. Dzisiejszy wieczór to ostateczny dowód, że za pięć tygodni będzie zamężna. Z Simonem. Kochany, miły Simon, który kiedyś zdawał się być odpowiedzią na jej modlitwy, a teraz

ciążył jej niczym kamień młyński u szyi... I ciągnął ją razem z sobą na dno. A ona chciała igrać sobie rozkosznie na powierzchni. Z Maksem.

Bezmyślnie okręcała na palcu zaręczynowy pierścionek. Był teraz luźniejszy niż dawniej: schudła - pomimo że co wieczór jadała kolacje na mieście. Dziś też nie miała apetytu. Strąki pieczonej papryki w pikantnej oliwie leżały na talerzu prawie nietknięte. A przecież normalnie natychmiast by je pożarła... Uwielbiała pieczoną paprykę.

- Opowiedz mi o swoich planach na miodowy miesiąc - nachyliła się ku niej Vida, rozczulona, że są w końcu tak blisko z Evie. - Gdzie jedziecie?

Evie uśmiechnęła się dzielnie. Miesiąc miodowy był ostatnią rzeczą, o jakiej chciałyby teraz mówić. Dwa bite tygodnie w Grecji z Maksem... Stop! Odetchnęła głęboko. Max... Bezwiednie podstawiła go w myśli na miejsce Simona. Freudowska pomyłka? No właśnie... Tak bardzo nie chce jechać z Simonem, że podświadomie zastąpiła go Maksem. Śmieszne!

- Do Grecji - westchnęła, próbując bezskutecznie wsaczyć w swój głos trochę entuzjazmu. - Zawsze marzyłam, żeby tam pojechać...

Ale teraz już nie - dodała w myśli.

- Och, Grecja jest taka piękna - powiedziała Vida w rozmarzeniu. - Pamiętam, jak po jakimś przyjęciu zśliśmy całe kilometry, żeby zobaczyć wyrocznię delficką. Trochę za dużo wypiliśmy, no i samochód nam się zepsuł, więc poszliśmy piechotą, jak staliśmy, w wieczorowych strojach. Strasznie chcieliśmy zobaczyć tę świątynię...

Vida ma tyle wspaniałych cech, pomyślała Evie. A jedną z nich, dzięki Bogu, była zdolność snucia wspomnień. Dużo w życiu widziała, więc miała o czym opowiadać, tak że mogła bawić towarzystwo godzinami. Cara i Rosie, połączone wspólnym planem, by się spoić bardziej, niż kiedykolwiek pozwoliłaby na to matka, przechyliły się nad talerzami z resztkami kolacji i słuchały.

Szczęśliwa, że przestała być ośrodkiem zainteresowania, Evie odchyliła się na oparcie krzesła. Bezmyślnie wodziła palcem po brzegu kieliszka, błędząc oczami po sali, tak jakby miała nadzieję, że pojawi się Max i zabierze ją stąd. Zabierze i uwolni od całej tej gadaniny o weselach i miodowych miesiącach.

Opalony blondyn, siedzący samotnie przy barze nad talerzykiem oliwek i szklanką wina rozmiarów akwarium, wpatrywał się w nią z zachwytem. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, uniósł szklankę w kierunku Evie.

Co mogą zrobić odpowiednie ciuchy, pomyślała z ironią. Uśmiechnęła się do niego uprzejmie. Czuła się w tej sukience jak księżniczka, a mężczyzna, na którego podziwie jej zależało, nie widział efektu. I pewnie nigdy nie zobaczy.

Przy deserze Vida i lekko zawiana Rosie rozprawiły już o facetach, jakby obie były siedemnastolatkami. Cara, nieco bardziej pijana, opowiadała Evie, jaki świetny gość z tego Maksa.



- Strasznie był dla mnie miły - wyznała. Jej ciemne oczy lśniły - trochę z entuzjazmu dla Maksa, a trochę z powodu zaliczonych procentów. - Wypytał mnie o dzieciństwo, o to, jak się mną zajmowałaś... O całą rodzinę! Wiesz, to bardzo miło spotkać faceta, który interesuje się tobą jako osobą, a nie tylko twoimi cyckami - w jej głosie zabrzmiała ponura nuta. Tak, wiedziała, że nie jest dla Ewana wyłącznie laską o przyjemnym biuście. Kochał ją również za to, kim jest, tylko, niestety, nie potrafił zrozumieć do końca, kim jest naprawdę. Wszystko się poplątało... I wszystko przez tego skurwiela Owena Theala, który zniszczył jej wiarę w siebie.

A Ewan przywrócił jej tę wiarę. Ale, niestety, zbyt ślepy był, żeby...

Nie, nie będzie o nim myślała. Ewan to już przeszłość. Skończone. *Finito*. Potrzebny jest jej inny facet, przy którym zapomni o tym, co było. Ktoś taki jak Max.

- Jak myślisz, podobam się Maksowi? - spytała siostrę otwarcie. - Wydaje mi się, że tak, ale może się myłę... Świetny jest, no nie? Co za ciało!

- No, ciało ma świetne - odparła Evie drewnianym głosem. Co ona sobie roіła? Faktycznie, Max byłby znakomitym partnerem dla siostry. Dałby jej miłość, oparcie, stabilizację... Cara tak tego potrzebuje! Ona, Evie, ma przecież narzeczonego. Mężczyznę, za którego wychodzi za mąż. A Cara powinna kogoś mieć...

W tym momencie przeniknął jej przez głowę obraz Ewana. Chudego, wysokiego, rozczochanego.

- A Ewan? - spytała.

Oczy Cary napełniły się łzami.

- To już skończone - siąknęła nosem, grzebiąc po kieszeniach w poszukiwaniu chusteczki.

Evie objęła ją ramieniem.

- Biedactwo... Czemu nic mi nie powiedziałaś?

- Nie ma tu nic do opowiadania - Cara przełknęła głośno. - To świnią. Rzucił mnie. A zresztą, coś ci powiem - głos Cary stwardniał. - Ja też już z nim skończyłam i zamierzam zabawić się dziś jak cholera. Vida - zwróciła się do macochy - gdzie teraz idziemy? Nie mam zamiaru kończyć jeszcze imprezy!

Nocny klub o nazwie „El Dorado” przypominał ogromną wysłaną czerwonym aksamitem jaskinię. W jej ścianach znajdowały się liczne mniejsze norki, otaczające przestrzeń do tańca niczym intymne pokoiki. Kelner we fraku, przekupiony przez Vide, poprowadził ich do zacisznego zakątka na tyłach klubu, skąd mogły obserwować parkiet bez obawy, że ogłuchną. Był na razie niemal pusty, jedynie parę blondynek w bieli, rozbłyskującej raz po raz w pulsującym dyskotekowym świetle, podrygiwało w takt muzyki.

Jak przystało na klub, gdzie samo wejście kosztowało fortunę, klientele stanowiły osoby w najróżniejszym wieku, od bardzo młodych do bardzo wiekowych, wszyscy jednak wyglądali na bogatych. Na stołach w kubełkach z lodem stały butle szampana, a torebki, które spoczywały obok swych właścicielek na pufiastych kanapach o fantazyjnych kształtach, wyginających się wokół stolików niczym ożywione płótna Salvadora Dali, pochodziły wyłącznie od Fendiego albo Prady.

- To się nazywa lokal - szepnęła Rosie w nabożnym podziwieniu, rozglądając się wokół.

- Dla was chyba trochę za stacyjny, dziewczyny - Vida skinęła dłonią na kelnera, pobrzękując bransoletkami. - Ale to jedyny, który uchodzi za odpowiedni dla takich staruszek jak ja.

- Ty i staruszka! - zaprotestowała Rosie ze zgrozą.

- Boże! Spójrzcie na ceny! - wykrzyknęła Evie, zdjęta nie mniejszą zgrozą. Właśnie rzuciła okiem na kartę win w skórzanej oprawie.

- Cicho - zarządziła Vida. - Nie co dzień się zdarza, że moja przybrana córka wychodzi za mąż - i zamówiła dwie butelki szampana.

Po takim dictum nawet Evie nie pozostawało nic innego, niż się napić.

Vida poszła potańczyć, zwłaszcza że zabrzmiały dźwięki rocka i połowa gości, porzuciwszy swoje cygara, poderwała się z kanap. Rosie i Cara też ochoczo pobiegły na parkiet. Evie, pomimo pełnych uznania spojrzeń, jakie prowokowała jej miedziana sukienka, szybko wróciła na miejsce i wcisnęła się w swój kąć.

Siedziała, sącząc w zamyśleniu szampana. Nie była w nastroju do zabawy i płasów. Czuła się jak na stypie. Płaczki lada moment miały zacząć swoje zawodzenie... Nie zwracała uwagi na otoczenie i dopiero w ostatniej chwili zauważyła, że podchodzi do niej jakiś mężczyzna. Dość topornym angielskim spytał, czy może usiąść.

Evie wzruszyła ramionami. „Rób jak uważasz” - mówił jej gest. Było jej dokładnie wszystko jedno, gdzie kto siedzi. W ogóle wszystko było jej obojętne.

- Nie tańczysz ze swoim towarzystwem? - spytał.

W tej chwili rozpoznała w nim blondyna z restauracji. Tego, który unosił szklankę w jej kierunku. Miał po czterdziestce i z daleka wyglądał na przystojnego, z bliska jednak widać było sieć czerwonych żyłek pokrywających jego twarz. Nadmiar alkoholu albo świeżego powietrza, albo jedno i drugie.

- Może jeszcze szampana? - zaproponował, obmacując ją oczami.

Wiedziała, że jakkolwiek pozytywna odpowiedź może być potraktowana jako zaproszenie do akcji. Potrząsnęła głową i odsunęła się nieco dalej. Chyba niedługo wróci Vida z dziewczynami i uratuje ją... Nie chciała być niegrzeczna, ale wolałaby pozbyć się tego faceta.

Żyłkowy przesunął się na siedzeniu jej śladem, niczym wielki pajak za muchą.

- Za ładna jesteś, żeby siedzieć samotnie...

Evie uśmiechnęła się nerwowo. I natychmiast przestała. Uśmiech to tym bardziej zaproszenie.

Wyciągnął rękę i położył jej na kolanie opaloną dłoń.

O Boże... Przeraziła się. Coś takiego nie powinno się wydarzyć! Uwodzenie przez obcych facetów trafia się atrakcyjnym kobietom o niezwykłych życiorysach, a nie takim szarym myszom jak ona... Dlaczego kiedykolwiek marzyła o podobnych przygodach? Nigdy więcej! Żadnych przygód! To przez ten cholerny ciuch... Nigdy więcej go nie włoży. Te skrzyżowane ramiączka to czysta prowokacja.

- Zauważyłem, że jesteś sama, i pomyślałem, że nie masz nikogo - mówił, pieszcząc jej kolano.

- Właśnie że mam - zaprotestowała gwałtownie i usunęła kolano spod jego dłoni.

Zaśmiał się. „Lubię kobiety, które się opierają” - mówiło jego spojrzenie.

- Wy, Brytyjki, jesteście takie seksowne, takie chłodne - błądził po niej lubieżnie oczami, jak gdyby próbując ustalić, gdzie sukienka ma zamek. - W łóżku na pewno nie jesteś taka chłodna, co?

Poczuła wstręt. Jak on śmie mówić do niej w ten sposób? Jest odrażający! Musi się natychmiast od niego uwolnić!

Znow wyciągnął rękę, ale ona była szybsza. Trzasnęła go z całej siły w twarz.

- Jestem Irlandką, w ogóle nie jestem chłodna i w ogóle nie jestem zainteresowana! Nie, nie, nie! Znasz takie słowo? - porwała się na nogi, waląc się boleśnie w goleń o szklany kant stolika. Odwróciła się i wpadła wprost na olbrzyma, który pojawił się nagle w wejściu do ich nory, zasłaniając dochodzące z parkietu światło. Objęło ją silne ramię. Utknąwszy nosem na jego piersi, poczuła słabą woń wody kolońskiej. Tak pachniał tylko Max...

- Wszystko w porządku, Evie? - trzymał ją za ramiona, wpatrując się z niepokojem w jej zaczerwienioną z oburzenia twarz.

- Teraz już tak - powiedziała, osłabła z ulgi.

Ręce Maksa zacisnęły się konwulsyjnie na jej ramionach. Z furią spojrzała ponad jej głową na żyłkowanego.

- Przepraszam najmocniej - wymamrotał tamten, patrząc z szacunkiem na atletyczną sylwetkę rywala, i zmył się najszybciej jak potrafił.

Evie przywarła do piersi Maksa i zaśmiała się z ulgą.

- Myślałam już, że się na mnie rzuci...

- Ja też - powiedział chmurnie. - Zabiję matkę, że zostawiła cię samą. Powinna była wiedzieć, że w tej części Sotogrande byle żigolak może sobie z ciebie zrobić zabawkę.

- No przecież by nie zrobił! - odsunęła się, urażona, i spojrzała na niego gniewnie.

- Przepraszam - przyciągnął ją z powrotem, otoczył ramionami i pocałował w czubek głowy. - Tracę rozsądek, kiedy chodzi o ciebie. Chciałbym cię chronić, osłaniać, a tu... Powinienem zabić tego skurczybyka!

- Ćśśś - położyła mu palec na ustach. - Lepiej ze mną zatańcz. Wolę to, niż spędzić noc na wyciąganiu cię z aresztu.

Pocałował jej palec. Evie poczuła w brzuchu skurecz pożądania, a serce zabiło oszalałym werblem. Nachylił się i pocałował ją w usta, tak łagodnie i czule, że chciałyby zatonać w tej pieśczoce na wieki. Oczy pociemniały mu z tęsknoty. Miękkie wargi pachniały miętą.

Wziął ją za rękę i poprowadził na parkiet, ku spokojnemu kącikowi, gdzie kręciło się tylko kilka par. Muzyka wciąż była szybka. Evie dostrzegła górującą nad tłumem głowę Cary; czarne loki fruwały tam i z powrotem w takt ostrego swingu. Ludzie obok nich byli spoceni z wysiłku. Max nie miał jednak zamiaru uprawiać gimnastyki na parkiecie. Oboje wiedzieli, że potrafia znakomicie tańczyć w parze: zaimponowali kiedyś widzom na weselu Andrew i Vidy, imitując słynny taneczny duet Ginger i Freda. Tym razem jednak Max pragnął trzymać Evie w ramionach blisko, jak najbliżej, a nie wygłupiać się ku uciesze bywalców „El Dorado”.

Z uśmiechem wyciągnęła ręce i objęła go za szyję. On otoczył ramionami jej talię. Przywarli do siebie ciasno. Czuła żar i twardość jego ciała. Kołysali się powoli, we własnym rytmie, ignorując szaleńczy beat.

Czyżby dostrzeżono ich pragnienia? Dokładnie w tym momencie ostry rock przycichł, rozbrzmiała zaś dawno nie słyszana w tym klubie łagodna melodia „Lefs stay together” Ala Greena. Gdyby zostali małżeństwem, Max cierpiałby na chroniczny kręcz szyi - pomyślała Evie czule, gładząc ciemną głowę, nisko nad nią pochyloną, z policzkiem wspartym o czubek jej własnej.

- Pięknie ci w tej sukni - szepnął w miękką, ciemną chmurę jej włosów.

- Włożyłam ją dla ciebie - odszepnęła. - O mało nie płakałam, jak się dowiedziałam, że wyszedłeś... Chciałam z tobą porozmawiać... i żebyś zobaczył mnie w niej chociaż raz.

- Dla mnie we wszystkim jesteś piękna. Nawet jeśli dopiero wstałaś i snujesz się po kuchni w szlafroku, przecierając oczy...

Evie zaśmiała się.

- Wczoraj, tak? Strasznie mi się chciało pić i zeszałam na dół, zanim się umyłam. Nie myślałam, że ktoś mnie widzi...

- Przedemną się nie ukryjesz - objął ją jeszcze ciaśniej. - Cały czas cię śledzę. Chciałbym cię widzieć bez przerwy - głos Maksa stał się lekko ochrypły. - Chciałbym cię widzieć rano, po nocy spędzonej ze mną, tak żebym to ja mógł zetrzeć ci sen z oczu, rozbudzić cię powoli...

Zatrzymali się. Stali bez mchu, wciąż w uścisku. Evie wstrzymała nawet oddech, w obawie by nie przerwać, nie zagłuszyć tego, co mówił.

- Pragnę cię, Evie - powiedział nagle. - Chcę zabrać cię teraz do domu i nigdy nie pozwolić ci odejść. Nie masz pojęcia, jak bardzo.

Utkwił w niej płonące pożądaniem oczy. Zatonęła w tym spojrzeniu, wiedząc, że jej wzrok mówi to samo. Nie było między nimi żadnej gry.

- Ja też cię pragnę, Max - szepnęła.

- Chodźmy - powiedział niemal brutalnie.

Rosie rozpromieniła się na widok Makska.

- Kiedy przyszedłeś? - spytała, rzucając mu się na szyję i podrygując biodrami w takt muzyki.

- A myśmy tańczyły - Vida wachlowała się dłonią. - Andrew też z tobą przyszedł?

Max potrząsnął głową.

- Skorzystał z okazji, że wyszłaś, i poszedł wcześniej spać. A ja pomyślałem, że wpadnę powiedzieć wam „cześć”, i jak się okazuje, w samą porę. Evie źle się czuje. Chyba coś zjadła.

Evie posłusznie postarała się przybrać wygląd osoby chorej. Skrzywiła się, jak gdyby coś ją bolało. Jej żołądek rzeczywiście zachowywał się dziwnie, ale miała raczej wrażenie, że fruwa w nim rój motyli. Już za chwilę, już za chwilę...

- Biedactwo - powiedziała Cara i czknęła. Rosie objęła matkę ze współczuciem.

- Odwiozę cię - zaproponowała Vida.

- Nie, nie - zaprotestował skwapliwie Max. - Ty zostań z Carą i Rosie i miej na nie oko - szepnął, wcisnąwszy matce w dłoń garść banknotów. - To przecież także ich wieczór. Evie bardzo zależy, żeby się zabawiły - dodał.

Evie robiła co mogła, by sprawiać wrażenie chorej, gdy wychodzili. Ledwie jednak znaleźli się na zewnątrz, z radością chwyciła dłoń Makska. Biegli do samochodu, zanosząc się śmiechem niczym para dzieciaków, którym udało się wyprowadzić w pole surową ciotkę i zwać z rodzinnego przyjęcia.

Max prowadził z jedną dłonią na kierownicy, drugą na udzie Evie, tak jakby nawet na chwilę nie mógł się z nią rozłączyć. Drżała z podniecenia. Świat za oknem rozmywał się niby we mgle.

Wśliznęli się do domu najciszej jak mogli, żeby nie zbudzić ojca. Jeśli śpi... Tak, spał. Willa pogrążona była w milczeniu, jedynie z pokoju jego i Vidy dochodziło lekkie pochrapywanie.

-- Do ciebie - szepnęła. Wiedziała, że po powrocie całe towarzystwo zajrzy do jej pokoju, by sprawdzić, czy wszystko z nią w porządku. - Zrobię tak, żeby wyglądało, że jestem w łóżku i śpię.

Starła się nie myśleć, skąd u niej nagle ta umiejętność stosowania tricków i forteli. Rozburzyła pościel i ułożyła pod kołdrą dwie poduszki, tak by przypominały pogrążone we śnie ciało. Potem skoczyła do łazienki, wyszorowała zęby i wyszła na palcach na korytarz.

Przed drzwiami Maksa zatrzymała się. Co ona robi? Ma zamiar pójść do łóżka z Maksem, zdradzić Simona... Jak pierwsza lepsza puszczałka! Gdyby ktoś jej kiedyś powiedział, że jest do tego zdolna, w życiu by nie uwierzyła. Evie Fraser tak się nie zachowuje! Stała, targana wątpliwościami, rozdarta między pragnieniem a sumieniem.

Drzwi otworzyły się cichutko i stanął w nich Max. Chyba wiedział, co się z nią dzieje. Zdjął już marynarkę i miał na sobie tylko białą koszulę, wspólnie podkreślającą brąz opalonego ciała. Twarz pogrążona była w cieniu, tylko oczy lśniły pożądaniem. To jej pożądał... Niecierpliwie odgarniał dłonią włosy, spadające mu w nieładzie na czoło.

Zadrżała. Tak, chciała, żeby te dłonie dotykały jej ciała, żeby te usta paliły jej usta... Pragnęła go. W całym wszechświecie istnieli tylko oni.

Nic nie mogła na to poradzić. Nic nie mogło jej powstrzymać. To było nieuniknione, jak fala przypływu omywająca plażę każdego dnia. Evie i Max. Max i Evie.

Weszła do pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi. Max ujął jej twarz w dłonie i wpatrywał się w nią, jak gdyby chłonąc każde zagłębienie i każdą wypukłość. Musnął wargami najpierw czoło, potem brwi, powieki... Ucałował zadarty nos, obwiodł ustami owal podbródka, i dopiero wtedy przypieczętował pocałunkiem pełne, namiętne usta Evie. Najpierw delikatnie, potem coraz mocniej...

Przywarła do niego. Wspięła się na palce i w zachwycie błędziła dłońmi po jego ciele. Kiedy już niemal umierała z rozkoszy, pociągnął ją w kierunku łóżka. Usiadł, stawiając ją przed sobą, i ogarnął wzrokiem jej suknię.

- Piękna - szepnął - ale bez niej będzie jeszcze piękniej.

Obwiodł dłońmi przez tkaninę wypukłość jej piersi, ujął je, a potem wsunął palce pod skrzyżowane ramiączka, pieszcząc nagą skórę. Zabrakło jej tchu. Powiódł rękami w dół ciała, objął talię, rozkoszując się jej filigranową sylwetką i powędrował jeszcze niżej, ku pośladkom. Przez cienką tkaninę sukni ujął w dłonie ich krągłość.

Nigdy w życiu nie doznawała tak cudownych wrażeń. Zarumieniona z podniecenia, z otwartymi ustami, z rozburzonymi lokami wokół ramion, poddawała się pieszczocie, pojękując z rozkoszy.

Sięgnął dłonią do tyłu i odnalazł zamek sukni. Powoli odpiął go i równie powoli zsunął sukienkę, odsłaniając najpierw opalone ramiona, a potem pełne piersi.

- Jesteś piękna, Evie - szepnął.

Nie dotykał jej. Siedział i patrzył, niczym władca haremu, napawając się jej obecnością i jej urodą. Wiedział, że jeśli zechce, będzie mógł dotykać ją wszędzie.

Ta obserwacja szalenie ją podniecała. Dysząc ciężko zsunęła sukienkę z bioder, odsłaniając skąpe białe majteczki. Poza tym nie miała na sobie nic. Max wciąż wpatrywał się w nią rozszerzonymi pożądaniem żrenicami.

Dopiero gdy suknia upadła na podłogę, przyciągnął ją do siebie i gwałtownie zagarnął ustami i dłońmi. Usłyszała jęk, gdy jego wargi zacisnęły się wokół jej brodawki, i dopiero po chwili zrozumiała, że to ona jęczy. Nic na to nie mogła poradzić. Wrażenia, jakie jego szybko poruszający się język wyzwała w jej ciele, były tak przemożne, że zapomniała o ostrożności, o tym, że ojciec może się obudzić...

- Kochana - wydyszał ochryple, całując ją zachłannie - od tak dawna cię pragnę. Jesteś taka piękna.

Sięgnęła do jego koszuli i zaczęła odpinać guziki, niecierpliwie, z radością, czując pod tkaniną twarde, muskularne ciało. Obejmował ją, błędząc dłońmi po jej plecach, ona zaś przywarła rękami do jego nagiej piersi. Wreszcie zsunęła je w dół, by odpiąć guzik płóciennych spodni.

Padli na łóżko. Jęknął. Evie drżała z pożądania, czując, jak ściąga jej białe majteczki. Wygięła się ku niemu, usiłując zachować ciszę, ale podniecenie było silniejsze od niej...

Wreszcie on też był nagi. Evie nie czuła cienia wstydu, jaki ogarniał ją przy Simonie. Niech palą się wszystkie światła, niech będzie widać wszystko, wszystko! Zadrżała, gdy wszedł w nią - łagodnie, ale nieustępliwie.

- Evie - wydyszał. - Wszystko dobrze, kochanie?

Zamiast odpowiedzi odnalazła i zagarnęła ustami jego usta, całując głęboko, namiętnie, tak by wiedział, że jest tak samo podniecona jak on. Przywarła do niego szczelnie i oplótła nogami. Pot zmieszał się z potem, gdy poruszali się jak jedno ciało. Każdy jej mięsień dygotał z pożądania, każdy nerw roztopiał się z rozkoszy.

Chciałaby spędzić tak resztę życia - naga, opleciona wokół niego, skóra przy skórze, biodro przy biodrze... gdy wtem słodycz rozlała się po jej ciele. Orgazm uderzył w nią z siłą eksplozji, niczym fala przypływu. Krzyknęła.

Fala odpływała powoli, wstrząsając jej ciałem. Dziko podniecony jej rozkoszą, Max dotarł do kresu wraz nią, jęcząc w ekstazie jej imię.

- Evie!

Czuła jego twarde mięśnie napięte w radosnym, triumfującym spazmie. Nie wiedziała, co jest wspanialsze: jej własny orgazm czy to, że tak go podnieca, że tak działa na tego niezwykłego mężczyznę.

Obejmując się kurczowo, powoli wracali na ziemię. Dyszeli ciężko, zlanymi potem.

- To było niesamowite - wyszeptał Max z nosem przy jej uchu.

W odpowiedzi wydała tylko pomruk podobny do kociego. I czuła się jak kot - wielki, wygrzewający się w tropikalnym słońcu po latach spędzonych wśród lodów Arktyki.

Przekręcili się nieco w łóżku. Ciało Maksu otulało ją szczelnie od tyłu, tak jakby nie był w stanie znieść oddalenia nawet o centymetr. Wsparłszy głowę na lewej ręce, prawą gładził ją delikatnie i czule.

Wciąż splątana z nim nogami, przewróciła się na plecy, tak by móc spojrzeć mu w twarz. Palce Maksą przesunęły się leciutko po jej żebrach i powędrowały w górę, ku piersi. Obwiodł dłońią jej krągłość w nabożnym niemal podziwie. W twarzy miał czułość, ale wyraz oczu był nieodgadniony.

Nieoczekiwanie zapragnęła zadać mu pytanie, którego podobno nie cierpią wszyscy mężczyźni: o czym myślisz? Rosie wyszperała tę bezcenną informację w jakimś magazynie, gdy wylegiwały się przedwczoraj nad basenem, i nie omieszkała przeczytać jej matce i ciotce. Ulubione pytanie kobiet, i najbardziej znieawidzone przez ich partnerów... Jednak rozpaczliwie chciała poznać jego myśli w tej chwili. Radość nagle zniknęła, przyszedł lęk. A jeśli to pomyłka?

Może ich miłość wcale nie była dla niego wspaniałym, wstrząsającym przeżyciem? Może to był po prostu szybki numerek z chętną, łatwo dostępną kobietą, a teraz zastanawia się, jak do diabła pozbyć się jej z łóżka i wałnąć się wreszcie spać? Boże, jeśli on tak właśnie myśli...

Max ścisnął palcami jej dłoń. Unióś ją do ust i pocałował leciutko.

- Znowu masz w twarzy zmartwienie - szepnął. - Jest ci przykro? A może zastanawiasz się, jak najręczniejsz będzie zabrać się stąd? Mam nadzieję, że nie zamierzasz ode mnie uciec...

Zaśmiała się z ulgą.

- Bałam się, że to ty chciałbyś się ode mnie uwolnić... Ale nie chcesz, prawda?

- Straszna z ciebie baba - udał zniecierpliwienie. - Jak mam cię przekonać, że mi na tobie naprawdę zależy? Że cię kocham?

Jego oczy nie były już nieodgadnione. Patrzyły na nią szczerze, z oddaniem. I z nadzieją.

- Ja też cię kocham, Max - odpowiedziała po prostu. Uniosła głowę i pocałowała go, głęboko, namiętnie.

Kochają! O Boże... Czy to sen, czy cud? Chciało jej się wprost krzyczeć z radości. I ona też go kocha, tak strasznie, strasznie...

Jego ręce znów podjęły wędrówkę po jej ciele, natarczywe, spragnione. Zadrżała, gdy jego język znów znalazł się w jej ustach. Nie przypuszczała, że pocałunek może być słodszy i bardziej namiętny niż za pierwszym razem, a jednak... Jak gdyby te słowa miłości zapaliły magiczne światło wewnątrz nich obojga.

- Kocham cię, kocham, kocham - szepnęła w porwywie radości. Pchnęła go na łóżko, rzuciła się na niego i przygwoździła dłońmi jego ręce. - Teraz moja kolej, żeby ci pokazać, jak bardzo - zaśmiała się i przybliżyła usta do jego ust...

Nasyчени sobą, leżeli, splątani kończynami, gdy na dole dały się słyszeć chichoty, szepty i odgłosy objiania się o meble. Wracaly nocne klubowiczki.

- Wpół do czwartej - szepnęła ze zgrozą Evie.

Max połaskotał ją językiem w ucho.



- Przyganiał kocioł garnkowi... A ty pewnie śpisz grzecznie w swoim łóżeczku, co?

- A kto mi nie pozwala grzecznie spać, co? - odcięła się. Była zdumiona jego możliwościami i łatwością podniecania się. Dwa ostre, szalone numery, jeden po drugim... Czuła błogie znużenie w całym ciele. Simon nigdy nie był zdolny do więcej niż jednego.

Znów ją połaskotał. Trzepnęła go po ręce, tłumiąc śmiech.

- Ćśśś... Bo nas usłyszał!

Rozległy się odgłosy stapania po schodach. Na górze, w okolicy pokoju Evie, kroki ucichły. Leżeli, nasłuchując.

- Śpi - usłyszeli głos Cary.

Jeszcze parę szeptów, szmery pocałunków na dobranoc... Szczęknięty zamykane drzwi i zapadła cisza.

Evie wtuliła się z powrotem w ciepłe ciało Maksa. Naga... Nagi... Tak dobrze jej było z nagością! I tak jej się nie chciało odchodzić... Ale czy naprawdę musi?

- Nigdzie nie idziesz - ścisnął ją żelaznymi ramionami. - Nie puszczę cię.

O tak... Niech jej nie puszcza. Szczęśliwa w jego objęciach, zapadła w drzemkę.

Budziła się co pół godziny, jak gdyby chciała sprawdzić, gdzie jest, upewnić się, że to nie sen. Za każdym razem Max budził się także, głaskał ją i szeptał:

- Śpij, śpij.

W końcu zapadła w głęboki sen. Obudził ją odgłos strzyżenia trawnika na sąsiedniej posesji.

- O Jezu! - poderwała się, momentalnie uświadamiając sobie ze zgrozą, że jest goła. Nie wiedziała, gdzie się znajduje... Wtem poczuła na biodrze rękę Maksa. Aha... Usta Evie rozciągnęły się w szerokim uśmiechu, który jednak zgasł, gdy jej spojrzenie padło na zegarek.

Wpół do dziewiątej! Zaraz wstanie Vida. Nigdy nie spała zbyt długo... I niewątpliwie zajrzy do pokoju Evie, by sprawdzić, jak się czuje. Parę poduszek pod kołdrą mogło spełnić swoją rolę o wpół do czwartej rano, kiedy wszyscy byli wstawieni, ale na pewno nie zwiedzie bystrych oczu Vidy w pełnym świetle dnia.

- Max! - syknęła.

W odpowiedzi pociągnął ją z powrotem do łóżka, wciągnął pod siebie i zaczął całować leniwie, zmysłowo... Zapomniała o Vidzie, o poduszkach i w ogóle o tym, iż ktoś może odkryć, gdzie naprawdę spędziła noc.

O dziewiątej znowu wróciła jej przytomność. I zdenerwowanie.

Max leżał w postkoitalnym bezruchu i bezwładzie. Wyglądało, jakby zasnął. Chciała koniecznie wymknąć się jakoś i wśliznąć do swojego pokoju, ale jak tu zostawić go tak po prostu, bez słowa pożegnania?

Wpatrywała się w sufit i skręcała się z niepokoju. Co ona powie wszystkim? Ojcu, Vidzie, dziewczynom? Przecież nie to, że kochają się z Maksem

i że nie wyjdzie za mąż za Simona. Najpierw musi powiedzieć to jemu. Inaczej byłoby nieuczciwie. I tchórzliwie... Nie miała jednak pojęcia, jak mu to powie. Jak się w ogóle zaczyna tego rodzaju rozmowę?

- Co masz zamiar im powiedzieć? - spytał Max.

Evie podskoczyła, zszokowana. Była przekonana, że spał.

- Prawdę - odparła. - Tylko wiesz... chodzi o Simona - dodała ze skrucją. - On powinien dowiedzieć się pierwszy...

Przerwała. Bądź co bądź, Max nie powiedział jej dotychczas, że chce, by nie wychodziła za Simona. Ale chyba chce?

- Kocham cię, Evie - powiedział, płosząc jej koszarne myśli. - Powiedziałem ci już i traktuję to poważnie. Ale wiem, że musisz zrobić to, co musisz. Tylko niech to nie trwa całe wieki, dobrze? Nie chcę ukrywać tego, że jesteś ze mną - pogładził delikatnie jej obojczyk. - Kiepski byłby ze mnie szpieg, wiesz? - wyszczerzył zęby. - Nie umiem zbyt dobrze kłamać.

- Ja też - uśmiechnęła się.

Coś uderzyło w drzwi. Zerwała się, wyskoczyła z łóżka jak rakieta i wpadła do łazienki, ledwo tłumiąc chichot - rezultat zdenerwowania i pasji. Wsadzila sobie w usta ręcznik i czekała.

Zadrzała, kiedy w chwilę później drzwi się otworzyły. Stał w nich uśmiechnięty Max.

- To matka. Zawadziła o kosz z bielizną, kiedy schodziła na dół w poszukiwaniu wody mineralnej. Ma potwornego kaca. Myślę, że nawet jakbyś rozwiesiła nad swoim łóżkiem transparent z napisem „To tylko poduszki. Ich właścicielka aktualnie się puszcza”, nic by nie zauważyła.

Przypadli do siebie, zanosząc się tłumionym śmiechem. W końcu Max pocałował ją w ramię.

- Idź już. Inaczej znowu cię zgwałcę.

- Nie wiem, czy wytrzymałabym kolejny raz - uśmiechnęła się żałośnie. Całe ciało ją bolało.

- Myślisz, że ja bym wytrzymał? Obawiam się, że kiepski ze mnie zigo-lak, pani Fraser...

- Czyżby? A jak myślisz, dlaczego tu przyszedłam?

Na wypadek, gdyby ją ktoś po drodze nakrył, zawinęła miedzianą sukienkę w ręcznik, sama zaś okręciła się w drugi, by móc powiedzieć, że wraca spod prysznicza, i przemknęła korytarzem do własnego pokoju.

Zamknęła drzwi i wskoczyła do łazienki. Jak wygląda? Czy miłość ją zmieniła? Jej oczy na pewno lśnią, cała twarz jaśniej... Spojrzała w lustro i skrzywiła się z niesmakiem. Włosy jak wronie gniazdo, trupio blada z niewyspania cera, a rozmazany wokół oczu tusz sprawiał, że wyglądem przypominała lemura. A mimo to uściśnęła z satysfakcją siebie samą. Max ją kocha!

Kiedy zeszła na dół, Vida i Cara, również lemuropodobne, siedziały przy kuchennym stole. Wyglądały jak nieświeża żywność zreanimowana przez podgrzanie w kuchence mikrofalowej.

- Jak się macie? - spytała rześko Evie. W tym momencie przypomniała sobie, że wczoraj wieczorem rzekomo była chora, dodała więc tytułem wyjaśnienia: - Boja znacznie lepiej.

- Ale ci dobrze - jęknęła Cara, wspierając głowę na rękach. - My tu umieramy. Podaj no sok pomarańczowy...

- Już nie ma.

- Ja wypitałam resztę - wyznała Vida. - Już nigdy w życiu nie pójde na żaden wieczór paniński...

- Aż żal na was patrzeć - w drzwiach stanął ojciec i Rosie z paroma kartonami soku.

Oboje wyglądali jak okazy zdrowia. - Niezłe z was pijaczki. Jak tak dalej pójdzie, to po powrocie będę musiał was posłać na odwyk - postawił swój ładunek na stole.

- Cześć - zawołała wesoło Rosie.

Cara i Vida skrzywiły się męczeńsko.

- Miej trochę miłosierdzia dla cierpiących i nie krzycz tak - jęknęła Vida. - Zobaczysz, jeszcze i ciebie kiedyś zaboli głowa... Co w tym złęgo, Andrew, że się człowiek zabawi raz na jakiś czas?

- A jak myślicie, byłybyście w stanie zabawić się jeszcze raz dziś wieczorem? - spytał Max, schodząc właśnie po schodach.

- Ja niedługo wrócę do siebie. Muszę tylko napić się kawy - Vida potar-mosiła męża za włosy i skierowała się ku ekspresowi.

Max objął matkę na powitanie.

- To dobrze, bo spotkałem wczoraj w porcie pam znajomych i jesteśmy zaproszeni do nich na przyjęcie. Wszyscy.

Evie przyjrzała mu się zmrużonymi oczyma. Dlaczego jej o tym nie wspomniał? Spędzili razem chyba z osiem bitych godzin i ani razu nawet nie napomknął, że znajomi urządzają imprezę... Co to znaczy? To do łóżkowych szaleństw jest dobra, ale do tego, żeby dzielił się z nią swoją codziennością, już nie?

- Co ty powiesz? - rzuciła z przekąsem. - A gdzie ma być to przyjęcie? I co to za znajomi?

Max wyjął matce z rąk łyżeczkę i zajął się odmierzaniem kawy, gdyż Vidzie szło to dość mamie.

- Franz Lieber z żoną. To taki jeden niemiecki reżyser, z którym robiliśmy serial o Straussie. Właśnie kupili tu w pobliżu ranczo i wygląda na to, że cały zespół zaangażowany do jego ostatniej produkcji dał drapak z planu, żeby wziąć udział w mega-parapetówie.

- Będzie ktoś sławny? - spytała Rosie z ożywieniem.

- Niespecjalnie - odparł Max, wciąż manipulując przy ekspresie. - Franz przyjaźni się głównie z ludźmi z zaplecza technicznego. Ale powiedziała, że będzie Ted Livingstone i Mia Koen.

- Aha - skwitowała Rosie. Nie interesował jej Ted, amerykański aktor charakterystyczny, a nazwisko Mii Koen w ogóle nic jej nie mówiło.

Evie za to zelektryzowało to imię. Mia... Skądś je znała. Ale skąd?

- A co to za jedna? - spytała.

Max odwrócił się wreszcie od ekspresu, ale nie spojrzął jej w oczy.

- Aktorka - rzucił niedbale. Zbyt niedbale.

- Czy to czasem nie ta, co tak się tobą interesowała? - spytała z figlarnym uśmieszkiem Vida. - Z Atlanty, tak? Królowa telenoweli?

Zazdrość ukąsiła Evie niczym jadowity owad. Mia... Już wiedziała. To wtedy, kiedy kolega Simona nakrył ich na wspólnym lunchu, a ona na poczekaniu wymyśliła tę ciężarną żonę... Max bez namysłu nazwał ją Mią. Czegoś takiego nie robi się przypadkowo. To imię coś dla niego znaczy.

- Jesteś pewien, że zaproszono nas wszystkich? - spytała kąśliwie. - A może tylko ciebie?

Max spojrzął na nią bystro i potrząsnął głową. Na twarzy miał zdumienie. Skąd ten ton?

- Ale my nie możemy - Rosie objęła Carę ramieniem. - Wychodzimy. Właśnie znalazłyśmy jedno takie miejsce... No nie, Cara?

Cara skinęła głową.

- Będę piła wyłącznie wodę. Słowo.

- Mam nadzieję, że ty też, Rosie - powiedziała Evie ostrzej niż zamierzała.

Cały ranek marzyła, by móc zamienić słowo z Maksem w cztery oczy. Musiała spytać go o Mię. Ilekroć jednak jej się zdawało, że ma go tylko dla siebie, ktoś wpadał w poszukiwaniu wody mineralnej, albo schodził z góry z olejkami do opalania, którego właśnie zapomniał... Te otwarte wnętrza są w gruncie rzeczy nie do wytrzymania! - pomyślała Evie ze złością. A na dodatek wyglądało na to, że Maksowi wcale nie zależy, by znaleźć się z nią sam na sam. Inne osoby najwyraźniej w ogóle mu nie przeszkadzały.

W końcu, cała zjeżona w środku, złapała książkę, krem i kostium i rzuciła się na leżak obok Rosie. Był to ostatni dzień przed wyjazdem i jej córka postanowiła poświęcić go w całości utrwaleniu opalenizny. Harowała jak wół.

W którymś momencie Vida zawołała na wszystkich z werandy, by się zbierali. Mieli jechać do portu na lunch. Evie poczłapała na bosaka do domu, rozespana z gorąca i trochę skruszona. Chyba była nieprzyjemna dla Maksa... Może uda im się teraz pogadać? Okazało się jednak, że już go nie ma.

- Pojechał zobaczyć się z tym znajomym, reżyserem - poinformowała ją Vida.

I z Mią. Serce Evie stwardniało.

- A ta Mia? - spytała obojętnie. - Jak myślisz, jest szansa, że wróca z Maksem do siebie? - Robiła co mogła, by nie pokazać po sobie, że samo mówienie o tym jest dla niej jak operacja na otwartym sercu bez znieczulenia.

- Nigdy nie miałam okazji jej poznać - odparła Vida - ale nieco o niej słyszałam. Podobno jest piękna i szalenie wymagająca. Prawdziwa królowa planu... Nie zrobiła kariery w filmie, ale jest dobra w takich rzeczach, które robi firma Maksa. Max lubi z nią pracować, bo samo jej nazwisko zwiększa opłacalność produkcji. Nie jestem pewna, ale zdaje mi się, że coś tam między nimi było... Jak kręcili kiedyś plenery.

Evie z trudem przełknęła ślinę.

- Ona była wtedy żoną piosenkarza country i chyba dlatego Max nie powiedział mi, co tak naprawdę między nimi zaszło. Myślał, że będę zgorzszona - Vida wzruszyła ramionami. - Podobno w showbiznesie takie rzeczy są na porządku dziennym. Mówią o tym PSNL - Plener Sie Nie Liczy. Chyba czytałam gdzieś, że ta Mia teraz się rozwiodła, więc być może będzie próbowała znowu kręcić z Maksem...

Evie była wstrząśnięta do głębi. Max miał romans na planie z mężatką! Z pewnością przez całe życie odbija dziewczyny innym facetom i nawet się nie zatroszczy o rezultaty... Jak śmiał próbować i z nią tego numeru? I jak mogła być taka naiwna...

Czy ta głupia Mia naprawdę wierzyła w jego kłamstwa? Naprawdę uważała, że jak rzuci męża, to Max do niej wróci? Jak ja - pomyślała gorzko. Ona też zawsze wierzyła mężczyznom. Uwierzyła Tbny'emu - i gdzie ją to zaprowadziło?

Pod pozorem wyczerpania oznajmiła, że rezygnuje z lunchu, i skuliła się na łóżku. Pozostali ochoczo wskoczyli do samochodu i pojechali do jakiejś knajpki właśnie odkrytej przez Andrew, podobno bardzo sympatycznej, gdzie podawano owoce morza.

Leżała, wpatrując się przez łyzy w niewielki, uroczy balkon, gdzie nie tak dawno jedli z Maksem śniadanie. Niedawno? Teraz wydawało jej się, że to było tysiąc lat temu.

Simon przynajmniej nigdy nie dał jej najmniejszego powodu, by w niego zwątpiła. Był niezawodny - od piaskowej barwy włosów do półbutów 0 starannie zawiązanych sznurowadłach. Na nim można było polegać. Przy takim mężczyźnie kobieta nie szlocha z rozpaczy w poduszkę całą noc.

Co z tego, że nie jest w stanie rozpałić w niej ognia? Ale kochają. A ona mu ufa. Jak mogła zdradzić go z łobuzem, który kolekcjonuje kobiety, tak jak Apacze kolekcjonowali skalpy wrogów na starych czarno-białych filmach? I dlaczego ona zawsze musi wdać się w romans z facetem, który uważa, że monogamia to wspaniała idea, tylko niestety nie dla niego?

Wpatrywała się w otwarte okno, ale nie widziała wypełniającego je nieskazitelnego błękitu hiszpańskiego nieba. Widziała siebie z maleńką Rosie

w ramionach, jak stoi z suchymi oczami nad grobem męża. Spośród wszystkich znajdujących się obok niej osób, tylko Olivia знаła całą prawdę. Matka Tony'ego zawodziła w rozpacz, ściskając kurczowo paciorki różańca, Evie zaś czuła jedynie gniew. Na Tony'ego - i na siebie samą, że dała się wyprowadzić w pole człowiekowi, którego, jak jej się wydawało, znała.

Nic dziwnego, że potem przez tyle lat unikała facetów jak ognia. Wolała trudną egzystencję samotnej matki, niż ryzyko, że znowu spotka się z dwulicowością i udawaniem. Simon był pierwszym mężczyzną którego dopuściła bliżej.

A Max był drugi.

No cóż. Przynajmniej jeden z tych wyborów nie okazał się niewypałem.

Wstała z łóżka i usiadła na balkonie. Wpatrywała się tępo w horyzont, na którym mikroskopijne żagielki białymi punkcikami znaczyły błękit morza.

Pragnęła Maksa bardziej niż czegokolwiek na świecie. Kochała go nieprzytomnie. Ale Max był kimś innym, niż udawał. Nie była pewna, czy kłamał, czy nie, ale z pewnością nie mówił całej prawdy. A prawda była dla niej najważniejsza.

Targnęło nią poczucie winy. Ona też nie mówiła Simonowi prawdy... No więc odtąd będzie. Od tej chwili będzie najbardziej prawdomówną najbardziej godną zaufania żoną na świecie. Simon nigdy nie pożałuje, że się z nią ożenił. Będzie żoną idealną. Zmieni jego życie w raj. Stanie do zawodów o tytuł Żony Roku... Wszystko, byleby było między nimi tak jak przedtem.

Sprawa wesela na powrót staje się aktualna. A Max Stewart niech spada! Ale nie - pomyślała ponuro. Najpierw musi zobaczyć, z jaką kobietą postanowił naprawdę spędzić resztę życia... Wyciągnęła z szafy fioletowy komplet. Nikczemna Mia na pewno będzie pilnie obserwować konkurencję, o ile pojawi się na przyjęciu. O nie, nie zobaczy jej łez.

- Jak mogłeś? - syknęła, dumnie patrząc mu prosto w twarz. Klejnoty na jej szyi migotały w świetle płonącego na kominku ognia. - Jak mogłeś mieć inną kobietę, wiedząc, że cię kocham?

Jego ogorzała twarz przybrała wyraz okrucieństwa i cynizmu. Zacisnąwszy usta, postąpił ku niej o krok.

- Pragnąłem cię. To było silniejsze ode mnie - obwiał zachłannie oczami zgrabną sylwetkę w wieczorowej sukni barwy ametystu. Gorset dodatkowo wysmukła jej i tak wiotką talię, tak że miała teraz nie więcej niż czterdzieści pięć centymetrów. - Prawda jest taka, że mamy się z nią pobrać, ale ty i ja przecież nadal możemy być kochankami. Ty też tego chcesz, prawda? Wiem, że chcesz... Jesteś najbardziej podniecającą kobietą, jaką kiedykolwiek znałem, ale muszę się z nią ożenić, by uratować rodzinną fortunę.

- Zaslugujesz na śmierć, niewierny! - syknęła Evie, wyciągając spomiedzy fałdów jedwabnej spódnicy mały pistolet o wykładanej masą perłową kolbie. Twarz Maksa przybrała barwę jego koronkowej koszuli. Tchórz!

- Nie! - rozległ się kobiecy krzyk. Do pokoju wpadła Mia. Jej tlenione włosy spiętrzone były w wymyślny kok, a wulgarna, wydekoltowana suknia biła po oczach jaskrawymi barwami. Grubą, krępą szyję otaczały sztucznych diamentów. - Nie strzelaj!

- Muszę. Okrył mnie hańbą - odparła z ponurą determinacją, myśląc, jaki wstyd przyniosła swojej otoczonej powszechnym szacunkiem rodzinie.

- Nie, pani - dał się słyszeć chłodny, opanowany głos. - To ja go zabiję za to, że ośmielił się ciebie znieważać.

Do pokoju śmiałym krokiem wszedł książę. Przystojny, męski, w nienagannie skrojonych bryczesach, był uosobieniem wytworności i elegancji. Na jego tle Max wyglądał pospolicie, wręcz ordynarnie...

- Hej, mamó - do pokoju zajrzała Rosie. - Żałuj, że z nami nie byłaś. Chyba niedługo sama zamienię się w kraba, tyle ich zjadłam... Idziesz się jeszcze chwilę poopalać? Ostatnia szansa!

Wyciągnięta na leżaku, Evie przewracała bezmyślnie kartki książki i śmiała się posłuszenie, słuchając, jak ojciec komentuje pływackie wyścigi Cary i Rosie, tak jakby to były igrzyska olimpijskie:

- A więc Cara Fraser mimo wszystko zwyciężyła w tych zawodach, proszę państwa, pomimo że pożarła na lunch niesamowite ilości *gambas pil pil* - mówił podnieconym głosem sprawozdawcy sportowego. - Natomiast Rosie McDonald zmieniła styl i popłynęła... hm... zdechłym motylkiem, omal nie zatapiając zgromadzonej wokół basenu widowni!

- Proszę państwa, a teraz niespodzianka! - kontynuował. - Do basenu wchodzi była medalistka olimpijska, Vida Fraser, by pokazać małolatom, jak to się robi! Pani Fraser, szerzej znana jako podkomendna Esther Williams, wykonuje wspaniały ruch biodrem... - w tym momencie Andrew zamilkł, walnięty po głowie przez Vide i Carę plastikowym wielorybem, którego Rosie kupiła, by się na nim opalać na środku basenu.

Pomimo tych igraszek i psot Evie miała grobowy nastrój. Leżała z nosem w książce, ale nie rozumiała ani słowa z tego, co czyta. Maksa nie było całe popołudnie. Wrócił dopiero o szóstej i rzucił się na leżak między Cara a Evie.

Momentalnie wstała i zaczęła zbierać swoje rzeczy.

- Idę się przygotować. O której wychodzimy? O ósmej, tak? No to spotkam się z wami w samochodzie.

Wbiegła na górę i zamknęła drzwi na klucz. Niech nie próbuje za nią iść.

Za dziesięć ósma była niemal gotowa. Ten fioletowy komplet to naprawdę najpiękniejszy ciuch, jaki kiedykolwiek na sobie miała - zarejestrowała umyślnie bez śladu przyjemności. Rozcięta do połowy uda spódnica ukazywała opalone na złocisto nogi, w czym pomógł nieco pożyczony od Rosie samoopalacz. Obcisła, pozbawiona ramion góra dopuszczała wyłącznie biustonosz bez ramiączek, a ponieważ Evie takiego nie miała, zdecydowała się iść bez biustonosza.

Nieżyły cyc, co, panie Stewart? - pomyślała ponuro. Przypudrowała ramiona, zwracając przy tym uwagę, że pod obcisłym topem odznaczają się lekko brodawki jej piersi. Zdjęła z głowy lokówki Vidy. Twarz otaczały teraz pięknie wijące się pukle.

Wyglądało, jakby same niebiosa podarowały jej tę fantastyczną prezentację - właśnie dziś, kiedy mężczyzna, na którego podziwie jej zależało, miał to głęboko w nosie. Interesowała go tylko ta cholerna aktorka.

Złapała torebkę, zesłała zdecydowanym krokiem po schodach i dołączyła do ojca i Vidy, czekających na werandzie. Maksa kompletnie zignorowała, tak samo jak wyraz zachwytu na jego twarzy, gdy zobaczył ją w obcisłych fioletach.

Nawet jeśli Max uważał, że to dziwne, iż kobieta, która w nocy wiała się pod nim w miłosnej ekstazie, w dzień nie zwraca na niego najmniejszej uwagi, nie miał okazji jej tego powiedzieć. Evie usiadła z tyłu obok Vidy, pomachawszy uprzednio na pożegnanie Carze i Rosie, które wyprawiały się gdzieś we dwie. Rosie zużyła z tej okazji pół tony cieni do oczu Olivii i niemal cały zapas perfum Evie marki „Poeme”.

Jechali wzdłuż wybrzeża. Max prowadził, gawędząc z Vidą i Andrewem.

- Zobaczycie, co to za miejsce... Franz ma fioła na punkcie westernów i twierdzi, iż zakochał się w tym domu właśnie dlatego, że w połowie przypomina hiszpańską willę, a w połowie - coś rodem z „The High Chaparral”. Kiedy zawiózł mnie tam przedwczoraj, niemal się spodziewałem, że dostanę strzelbę i kowbojski kapelusz i pojedę z nim zaganiać stado - zaśmiał się. - Ale to porządny gość. Na ogół jest bardzo miły, tylko szalenie wymagający na planie.

Samochód skręcił z głównej drogi w kierunku gór. Nagie urwiska w świetle zachodzącego słońca przybrały odcień różu.

- Jak robiliśmy ten serial o Straussie - ciągnął Max - skończyliśmy zdjęcia przed ustalonym terminem, co nie zdarza się praktycznie nigdy.

Niezwykle, doprawdy - pomyślała Evie. - A twój romans z piękną Mią zdarzył się przedtem czy potem?

Po pół godzinie jazdy przez góry skręcili w boczną drogę. Przed ich oczami rozciągała się teraz płaska, pokryta pyłem dolina. Minęli jakąś wioskę, przejechali jeszcze kawałek i wreszcie na szczycie wzgórza zobaczyli rozległą willę, lśniąca bielą w zapadającym zmroku. Front zdobiły donice pełne kwitnących roślin, z tyłu zaś rozciągały się liczne stajnie i szopy.

Na podjeździe zaparkowano rozmaite samochody. Jedna z limuzyn była tak długa, że w środku dałoby się chyba grać w tenisa. Wóz Mii - pomyślała Evie i żołądek zawiązał się jej w supeł z napięcia. Spodziewała się, że za chwilę otoczy ją tłum harpii show-biznesu, wyglądających jak statystki z rockowego wideoklipu, i zdziwiła się, kiedy w ogromnych drzwiach zobaczyła Franza.



Gospodarz był niewysokim, łysym mężczyzną z ogromnym brzuchem, życzliwie uśmiechniętym. Ucałował na powitanie Evie i Vide, jakby znali się od dawna, i poprowadził wszystkich w głąb domu, urządzonego w typowo hiszpańskim stylu.

- Luiza! - zawołał na cały głos, przekrzykując dźwięki muzyki operowej. - To moja żona - wyjaśnił. - Pozostali gdzieś się porozłazili. Ale zejdą się z powrotem, nie ma obawy. Niech no tylko strzelą korki od szampana...

Luiza okazała się siwowłosą damą o macierzyńskim wyglądzie, w statecznej kwiecistej sukni przepasanej fartuchem. W ręce trzymała ogromną drewnianą łyżkę.

- Ja robię paellę, a wszyscy bez przerwy podkradają kanapki - jęknęła. - Włażcie, włażcie...

Weszli do ogromnego pokoju z balkonem. Impreza była w pełnym toku, a stan niektórych gości wyraźnie wskazywał, że bawią się chyba od południa. Wszyscy wyglądali bardzo przeciętnie: żadnego gwiazdorstwa, żadnych cygar czy rolexów... Zwykli, wakacyjnie rozluźnieni ludzie, o zacerwienionych od słońca twarzach, przeważnie w podkoszulkach i szortach, zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Tu i ówdzie widać było coś nieco bardziej oficjalnego: letnią sukienkę czy koszulkę polo i jakieś spodnie. Evie w swoim eleganckim ciuchu poczuła się jak striptizerka w stroju Eskimosa.

Max został natychmiast wchłonięty przez tłum. „Tutaj, Max, tutaj!” - wołali goście w rozmaitych językach, zachwyceni, że go widzą. Nikt nie był wytworny, nikt nie starał się nikomu imponować. Evie pomyślała, że wyglądają tak, jak zapewne wyglądała ona w pierwszych dniach po przyjeździe: zmęczeni, ale szczęśliwi, iż zdołali urwać się na parę dni i że są tu, w miejscu, gdzie słońce świeci bez przerwy od rana do nocy.

Wkrótce wdała się w pogawędkę z ulubionym kamerzystą Franza, Lippo, i jego żoną Helenę, charakteryzatorką. Lippo i Helena mieli nazajutrz wyjeżdżać, zdecydowali właśnie jednak, że po czterech miesiącach kręcenia plenerów w Black Forest są zmęczeni i zostaną jeszcze parę dni.

- Ten człowiek pracuje bez chwili przerwy - wruszyła ramionami Helenę, wstając z kanapy. Musiała zadzwonić do domu i powiadomić synów-bliźniaków, że wracają w piątek.

- Chłopaki mają po dziewiętnaście lat. Boję się, że jak wrócimy, zastaniemy dom rozniesiony w drzazgi - mruknął Lippo.

- Wiem, o czym mówisz - podchwyciła Evie. - Moja córka ma siedemnaście. Przyjechała na wakacje razem z nami, a dzisiaj poszła gdzieś się zabawić...

Franz usiłował poczęstować jałkokohelem, Evie przyjęła jednak tylko szklanke wody. Po tamtej wpadce z martini postanowiła dzisiaj być trzeźwa jak prosie.

- Strasznie się o nią martwię, ale mam nadzieję, że wszystko będzie OK. Moja siostra, starsza od niej o dziewięć lat, powinna jej dopilnować... Choć kiedy są razem, zachowują się tak, jakby obie były nastolatkami.

- Nasze słodkie bliźniaki nie wydawały się zanadto zmartwione - poinformowała Helenę, wracając z miseczką oliwek. - Podobno zepsuł się odkurzac. Ciekawe, skąd o tym wiedzą? Nigdy go przecież nie używają!

Z balkonu powiało wspaniałą, apetyczną wonią. Paella Luizy nareszcie była gotowa.

- Jadamy na zewnątrz, bo stół w jadalni ciągle gdzieś znika - Franz zagarnął gości w kierunku gigantycznego balkonu, gdzie znajdowały się dwa wielkie stoły z kutego żelaza.

Evie usiadła obok Lippo i Helenę. Gadali, śmiali się, pojadali wielkie czarne oliwki... Evie powoli się rozluźniła i przestała dbać o to, czy jest ubrana zbyt elegancko, czy też nie. Max cały czas rozmawiał z Franzem o pracy, rzucając jednak wciąż w jej kierunku niemal błagalne spojrzenia. „Co zrobiłem nie tak?” - zdawały się mówić jego oczy.

Evie była już gotowa uśmiechnąć się w odpowiedzi: „Nic. Po prostu martwiłam się czymś, co zdarzyło się dawno temu...”, gdy wtem coś innego przyciągnęło uwagę Maksa. A raczej ktoś.

Śmiejąc się i żartując jak dotychczas, przeniosła wzrok tam, gdzie patrzył Max. Ze swojego miejsca na balkonie wstała jedna z kobiet i wśliznęła się do pokoju, by wziąć ze stolika paczkę marlboro. Lśniące orzechowe włosy miała upięte w niedbały węzeł, zaś w twarzy o kształcie serca dominowały usta o kształcie tak idealnym, że Evie nigdy nie widziała podobnych nawet na reklamie szminki. Ciemne, lekko skośne kocie oczy za cały makijaż miały długie, gęste rzęsy. Wzięła papierosa do ust, zapaliła i zaciągnęła się głęboko, z finezją młodej Bardotki.

Nie była wcale wysoka, choć Evie sądziła, że wysokie są wszystkie gwiazdy. Przeciwnie, była tak drobna i delikatna, że każda inna kobieta wyglądała przy niej jak statek pasażerski na dwa tysiące osób przy malutkim regatowym jachcie z dwuosobową załogą. Na maciupeniim białym T-shircie opinającym figurkę widniał napis MRRRR... UGNIJ DO MNIE, zaś wokół opalonej talii zamotany miała w charakterze spódnicy kawałek białego płótna, tak jakby właśnie wstała z łóżka i okryła się pierwszą rzeczą, jaka wpadła jej w rękę. Evie była jednak przekonana, że bez względu na porę dnia czy nocy Mia nie krępowałaby się przechadzać po pokoju w samym bikini. Była olśniewająca i wiedziała o tym. Mówiło o tym spojrzenie, jakim w milczeniu obrzuciła pokój. Evie znienawidziła jej od pierwszego rzutu oka.

Szybko przeniosła wzrok na Maksa i zobaczyła, jak porusza się jabłko Adama na jego szyi. Poczuliła się, jakby dostała cios w żołądek. Nikt nie mógł pozostać obojętny na widok takiej urody... I Max naturalnie nie pozostał. On też spojrział w kierunku Evie, ale zanim zdołał uchwycić jej wzrok, błyskawicznie zwróciła głowę ku Helenę i zrobiła jakąś błahą uwagę na temat pogody.

Nikt nie zwrócił uwagi, że Mia i Max wymknęli się do hallu. Szczupłe, opalone ramię Mii otaczało zaborczo talię partnera. Ale Evie to zauważyła.

Kolacja trwała nadal. Luiza zbierała pochwały za swoje umiejętności kulinarne, ale jeszcze większy aplauz wzbudził Franz, gdy pojawił się z bułką sambucca i ogromną miską sałatki owocowej. Zabrano się za deser.

Evie nie wiedziała, jak długo jeszcze będzie w stanie to znieść. Nie powinna była tu przychodzić... Nie wytrzyma tego smutku. Max i Mia! Po tym wszystkim, co jej powiedział...

Pół godziny później wrócili. Evie zeszywniała na widok twarzy rywalki. Mia, uśmiechnięta i szczęśliwa, wśliznęła się na miejsce, gdzie poprzednio siedział Max, on zaś zaczął się rozglądać za wolnym krzesłem. Znalazł je, przyniósł do stołu i rozejrzał się, jak gdyby zastanawiając się, gdzie usiąść, gdy wtem Mia chwyciła go za rękaw i pociągnęła ku sobie. Usiadł obok niej. Mia pochyliła się, szepnęła mu coś do ucha i musnęła wargami jego policzek. Max uśmiechnął się.

Evie patrzyła, wstrząsana zazdrością. Helenę położyła dłoń na jej ramieniu.

- Mia flirtuje - powiedziała. - Ona tak zawsze.

- A co mnie obchodzi, co robi Mia? - zaśmiała się sztucznie Evie.

Helenę wzruszyła ramionami.

- Myślę, że Maksowi zależałoby, żebyś zrozumiała tę sytuację. On i Mia byli... zaangażowani - Helenę uniosła brwi, jak gdyby dając do zrozumienia, że zaangażowanie to coś więcej niż robocze spotkanie w celu omówienia spraw związanych z filmem. - To już skończone, ale Mia chciałaby, żeby wróciło. Jest znudzona... i przywykła, że zawsze osiąga to, na czym jej zależy.

- To widać - powiedziała Evie ze zjadliwą ironią, patrząc, jak Max posłusznie unosi zapalniczkę do papierosa Mii. - Jeśli chce, będzie go miała.

Helenę nachyliła się bliżej.

- Ale on jej nie chce. Jest po prostu uprzejmy - szepnęła. - Znam go już dosyć długo i wiem... To na ciebie patrzy cały czas.

Evie zamieszała cukier w stygnącej kawie.

- Max to mężczyzna, Helenę - powiedziała z goryczą. - Ogląda się za wszystkim, co się msza i jest rodzaju żeńskiego. A jeśli chodzi o mnie, to tak się składa, że w przyszłym miesiącu wychodzę za mąż. Więc naprawdę nie obchodzi mnie, czy Mia zdobędzie go z powrotem, czy nie.

Odepchnęła krzesło i mszyła w głąb domu. Musiała znaleźć jakieś ustronne miejsce, zanim rozpłacie się tu na oczach wszystkich. Trzecie z kolei drzwi, które otworzyła, zaprowadziły ją do niewielkiej toalety o ścianach udekorowanych francuskimi litografiami. Przedstawiały półnagie edwardiańskie dziewczęta, reklamujące mydełka piękności. Usiadła na desce i siedziała, dopóki nie usłyszała delikatnego pukania. Luiza pytała, czy źle się czuje.

- Tak - odparła zgodnie z prawdą. Naprawdę była chora z rozpacz. - Mogłabyś wezwać mi taksówkę, Luizo? - poprosiła. - Chciałabym się wymknąć do domu, ale tak, żeby nikt nie zauważył. Nie chcę psuć innym zabawy. Powiedz Vidzie, żeby przyniosła mi torebkę, dobrze? Ale pamiętaj, pozostałym ani słowa.

- Dobrze - Luiza patrzyła na nią ze zrozumieniem i współczuciem. Evie 0 mało nie wybuchnęła płaczem.

Vida koniecznie chciała odwiedzić ją do domu, ale Evie się uparła.

- To tylko migrena. Jest za wcześnie, żebyś przeze mnie opuszczała przyjęcie, i to ostatniego dnia wakacji. Wszystko będzie dobrze. Tylko pamiętaj, masz nic nikomu nie mówić - nalegała.

Taksówka pochłonęła praktycznie wszystkie pieniądze, jakie ze sobą miała, ale była tak wdzięczna taksówkarzowi, że przywiózł ją do domu, iż zapłaciła mu podwójnie. Wsiadła i zajęła się sprzątaniami. Zmyła nieliczne naczynia, wypolerowała wszystkie blaty, odkurzyła marmurowe podłogi... Wreszcie usłyszała skrzyp otwieranych wrót. Rzuciła się na górę, po ciemku ściągnęła z siebie ubranie i padła na łóżko. Zaledwie uspokoił się jej oddech, gdy usłyszała kroki na schodach. Drzwi otworzyły się.

- Evie? - usłyszała cichy głos Maksa.

Nie drgnęła. Leżała z zamkniętymi oczami, kurczowo ściskając kołdrę.

- Evie - odezwał się głośniejszym głosem.

Gdy i tym razem nie było odpowiedzi, zamknął po cichu drzwi. Leżała, płacząc, dopóki nie zasnęła.

Cara padła na wysoki barowy stołek, który zarezerwowała dla niej Rosie. Leciała z nóg: pół godziny bez przerwy tańczyła z wysokim Grekiem. Nazywał się Tim. Chudy, wyglądający na głodomora, był jednym z najlepszych tancerzy, jakich w życiu spotkała. Kręcił biodrami niczym Elvis Presley w „Viva las Vegas"... Nawiasem mówiąc, był także jednym z najlepszych ekspertów w dziedzinie całowania. Ich pocałunki na parkiecie bynajmniej nie były delikatne i subtelne... Cara zdała sobie sprawę, jak bardzo brakuje jej fizycznego kontaktu z Ewanem.

Kiedy byli razem, nie wytrzymywali nawet minuty, żeby się nie dotknąć, nie wziąć za ręce, nie musnąć czule wargami... Właśnie tej czułości brakowało jej najbardziej. Nieoczekiwanie poczuła się bardzo nieszczęśliwa. Czemu wspomnienie tych wspaniałych chwil niesie ze sobą tyle smutku? Nawet kiedy leżały z Evie nad basenem w błogostawionym żarze hiszpańskiego słońca, w głębi duszy drażył ją żal. Szczęście... Słodczy i gorycz zarazem. Cholera!

Ale pomimo smutku, jaki ogarniał ją na myśl o przeszłości, bawiła się niezłe. Usta Tima, język Tima budziły w niej wspaniałe dreszcze podniecenia. Po raz pierwszy, odkąd rozstali się z Ewanem, czuła się seksowna i pożądana. Może to właśnie on będzie jej lekarstwem? Jest naprawdę niezły i najwyraźniej nie miałby nic przeciw temu, żeby... Cara uśmiechnęła się. Dobrze, że ma na sobie obcisłe spodnie ze skóry rekina, chociaż niedługo chyba się w nich upieczą.

- Migdałkowy hokej, co? - zaśmiała się Rosie, odwracając się ku niej na stołku. - Bałam się już, że będę musiała wzywać pogotowie górskie z liną i rakami, żeby wyciągnęli ci go z gardła.

Cara wybuchnęła śmiechem.

- Sama już trochę miałam stracha... Ale jest niezły, no nie?

- Całkiem niczego - zgodziła się Rosie. - I najwyraźniej ma na ciebie ochotę - nachyliła się bliżej i szepnęła ciotce do ucha: - A ten jego kolega miał chęć na mnie. Ale mu powiedziałam, że szybki numerek pod ścianą nocnego klubu to moim zdaniem nie jest najlepszy sposób na utratę dziewictwa. Od razu się zmył.

Cara znowu ryknęła śmiechem.

- Jakby cię matka słyszała...

- To by była zadowolona, że nie zamierzam puścić się z pierwszym lepszym cudzoziemcem - powiedziała z naciskiem Rosie. - Jutro rano z pewnością nie pamiętałyby nawet, jak się nazywam... Moje pokolenie inaczej podchodzi do seksu niż wasze - dodała tonem wyższości. - Przypadkowy kontakt pod wpływem chwili to nie jest coś dla silnej kobiety, takiej jak ja. Zbyt wiele mam szacunku dla siebie samej.

- Jasne - przytaknęła skwapliwie Cara, choć zrobiło jej się trochę nijako na myśl, że ta siedemnastolatka traktuje sprawy seksu dużo dojrzałej i bardziej odpowiedzialnie niż ona. Ciekawe, co by powiedziała Rosie, gdyby się dowiedziała, że w pijanym widzie wylądowała w łóżku z firmowym gońcem... Nie miało to doprawdy nic wspólnego z szacunkiem. Ani dla siebie samej, ani dla nieszczęsnego partnera.

- Tu nie chodzi o żadną konserwatywną moralność - ciągnęła Rosie, zapalając się coraz bardziej. - Chodzi o to, żeby wiedzieć, czego się chce, i traktować z respektem siebie i własne ciało. No wiesz, jakby tak na przykład pojawił się tu Brad Pitt i zaproponował ci łóżko, trudno byłoby odmówić, no nie? A jednak - Rosie z namysłem pociągnęła łyk piwa - nie byłoby to z pożytkiem dla ciebie. On by cię miał za szmatę, a ty nigdy byś sobie nie wybaczyła.

- Masz rację - mruknęła Cara. Gdyby Brad Pitt pojawił się tu z tak atrakcyjną ofertą, to ona, Phoebe i Zoe pozabijałyby się nawzajem, walcząc o to, która będzie go mieć pierwsza. Możliwe, że to kwesta różnic pokoleniowych... Pokolenie Rosie jest zupełnie inne niż jej.

Rówieśniczki Cary były przekonane, że traktowanie mężczyzn w taki sam sposób, w jaki oni traktują kobiety, to przejaw równości płci. Lekko, bez zobowiązań, po kumpelsku... A tu się okazuje, że Rosie i jej koleżanki uważają, iż facetów należy trzymać na dystans, a dopuszczać ich bliżej tylko wtedy, gdy nam to odpowiada! Carze stanęło przed oczami jej własne życie osobiste, totalny niewypał, i pomyślała, że stanowisko siostrzenicy to istotnie krok naprzód. Ma to przemyślane, trudno zaprzeczyć.

- Idziemy potańczyć, Rosie? - obok stanęła Gwynnie, blondynka z Australii. Wraz z dwiema koleżankami dotrzymywały towarzystwa Rosie, kiedy Cara była z Timem na parkiecie. - Widzę, że pozbyłaś się już tego dupka?

-No... Najwyraźniej zdawało mu się, że przeprowadza kontrolę celną - zadzwiała Rosie. - Cały czas łapy na tobie. Kazałam mu spadać. No, tańczymy.

Cara śledziła je wzrokiem, gdy zmierzały ku zatłoczonemu parkietowi. Dotarły na miejsce i zaczęły tańczyć. Włosy powiewały, ramiona poruszały się rytmicznie w takt muzyki... Najwyraźniej żaden facet nie był im potrzebny, żeby się dobrze bawić.

- Widzę, że trzymasz dla mnie miejsce - ni stąd ni zowąd pojawił się obok niej Tim z butelką piwa.

-To znaczy... Tak, proszę - po trzeźwym wystąpieniu Rosie na temat przypadkowego seksu Cara nie była pewna jak go potraktować. Może Tim w charakterze lekarstwa to kiepski pomysł?

Tim, po paru mocnych hiszpańskich piwach i paru rundach na parkiecie z piękną amazonką był dosyć roznamiętniony. Przysunął się do Cary, zanurzył twarz w jej włosach i zaczął szeptać do ucha po grecku jakieś miłe głupstwa. Tak przynajmniej sądziła - równie dobrze mógł recytować fragmenty podręcznika inżynierii chemicznej, którą podobno studiował. Tylko tyle o nim wiedziała.

Niedawno, na parkiecie, kiedy oboje płynęli na fali pulsującego erotycznego rytmu, i na nią działały te szepty. Teraz jednak, gdy w uszach dźwięczały jej jeszcze słowa Rosie, pomruki Tima brzmiały zdecydowanie mniej podniecająco.

Minęła północ. W klubie było coraz goręcej i coraz tłoczniej. Ludzie napierali, usiłując dostać się do baru, i dystans między Carą a Timem siłą rzeczy zmniejszał się coraz bardziej. Po czole Tima spływał pot i uda Cary pod skórzanymi spodniami ociekały wilgocią coraz bardziej. Pociągnęła łyk wody mineralnej, żeby się ochłodzić, pomogło jednak tylko na chwilę. Co za upał... Choć na chwilę poczuć powiew na twarzy!

- Muszę wyjść na powietrze - rzuciła w kierunku Tima. - Za chwilę wracam.

Tim z uśmiechem ruszył za nią przez tłum. Minęli toalety i znaleźli się na małym podwórku na tyłach klubu, gdzie w świetle księżycy parę ciemnych postaci kołysało się w takt muzyki. Była nieco przytłumiona, ale za to panujący tu ożywczy chłód po wulkanicznej temperaturze wnętrza odczuwało się jak błogosławieństwo.

Cara uniosła nieco swojaczcerwonąkoszulę i zaczęła się wachlować. I nagle, ni stąd ni zowąd, Tim przyparł ją do ściany. Pod plecami czuła szorstkie ziarno tynku, a z przodu - napierające ciało Tima, jego zachłanny język, zaborcze dłonie... Całkiem jak celnik Rosie - przemknęło jej przez głowę. Zaskoczona, nie powiedziała ani słowa i nie wykonała żadnego ruchu. Nie mogła

mieć przecież pretensji... Kleili się do siebie cały wieczór, więc coś dziwnego, że jej pragnienie świeżego powietrza odczytał jako zaszyfrowane zaproszenie do akcji? Miłe, szeptane po grecku głupstwa ucichły: Tim wtulił twarz w jej piersi i schodził coraz niżej.

Nagle poczuła się znużona. Nie chciała tego! Chciała znaleźć się w domu, położyć się w chłodnej, czystej pościeli, poczytać... To wszystko jej wina. Podprowadziła faceta, więc teraz chce skorzystać... Zawsze wszystkiemu winna jest ona sama! Wystarczy parę kieliszków i już: jest rozluźniona, pewna siebie i gotowa do flirtu. Tyle że flirt jest dopuszczalny wyłącznie wtedy, kiedy umiesz powiedzieć stop. A tak jak ona... Jej brak opom faceci odbierają jak zielone światło i prą do przodu niczym lokomotywa.

Tim jęknął, mocując się z guzikiem u jej spodni. Po sześciu dniach testowania smaczonej hiszpańskiej kuchni było to jednak dość trudne, nawet jeśli człowiek chciał. A Cara nie chciała. Co do diabła ona robi tutaj z tym pijanym dzieciakiem? Dlaczego pozwala mu odpinać te cholerne spodnie? Nie chce tego! Chce wracać do środka! Teraz, natychmiast!

- Tim! - warknęła i odepchnęła go z całej siły, skądinąd przecież niemałej. - Co ty wyprawiasz?

- To, czego oboje chcemy - odparł z wymownym uśmiechem.

- Wysłałam na dwór, bo chciałam odetchnąć świeżym powietrzem, a nie pieprzyć się z tobą!

Zdumiony, utkwiał w niej wzrok. Wyglądał jak rozpuszczone dziecko, któremu nagle powiedziano, że nie dostanie na urodziny najnowszego odtwarczacza Sony.

- Ale przecież wysłaś na zewnątrz... - wyjąkał.

- Żeby się ochłodzić! Powiedziałam, że potrzebuję powietrza i właśnie to miałam na myśli. Powiedziałam ci przecież, że wrócę z powrotem!

Wzruszył ramionami.

- Kobiety zawsze mówią co innego niż myślą - powiedział obronnym tonem.

Cara wyprostowała się na całą wysokość i spojrzała na niego miażdżąco.

- Ale nie ja, słoneczko. No to cześć.

I czując się, jakby miała trzy metry, a nie metr dziewięćdziesiąt, odwróciła się na pięcie i majestatycznym krokiem poszła z powrotem do klubu. Wcisnęła koszulę w spodnie i odrzuciła włosy do tyłu triumfalnym gestem.

Oto co znaczy zdecydowanie i szacunek dla siebie! Czemu nie postąpiła tak samo przed laty? Przeklęty Owen Theal też mógł usłyszeć podobny tekst, a na dodatek dostać w szczękę lewym sierpowym - pomyślała z satysfakcją. I nagle zatęskniła za Ewanem. Za jego ramionami wokół jej ramion, za jego ustami na jej ustach... W co ona grała z Timem? I w co grała z Ewanem, skoro już o tym mowa? Przez swoje neurozy rozwaliła ich związek. Chyba rzeczywiście czas, żeby uporać się z przeszłością i zacząć żyć!

Głowa wypełniła się pomysłami i planami. Jak tylko wróci, zadzwoni do Ewana i powie mu, że za nim szaleje. Ogłosi w całym biurze, że się kochają. I znajdzie w książce telefonicznej terapeutę, który pootwiera zamknięte na cztery spusty drzwi w jej głowie i powypuszcza czające się za nimi demony. Demony, które mają twarz Owena Theala.

Poruszając się tanecznym krokiem w rytm disco, dołączyła do Rosie i Gwynnie.

- Hej, dziewczyny! To gdzie teraz idziemy?

Evie zniosła walizkę na dół i postawiła przy drzwiach. Jakby wywołany magicznym zaklęciem, pojawił się obok niej Max.

- Evie, czemu nie powiedziałaś mi wczoraj, że chcesz wrócić wcześniej? Przecież bym cię odwiózł.

- Nie było takiej potrzeby - odparła obojętnie. Większość nocy spędziła na rozważaniu, co powiedzieć Maksowi, i nie poniży się teraz wyznaniem, że jest chora z zazdrości, a on jest łotrem do kwadratu, skoro chciał mieć i ją, i Mię równocześnie. - Byłam po prostu zmęczona i chciałam odpocząć.

Max też wyglądał, jakby potrzebował odpoczynku. Twarz, pomimo zdrowego brązu opalenizny, sprawiała wrażenie, jakby wyszono z niej soki, a normalnie lśniące oczy przygasty. Pod nimi widniały głębokie cienie.

- Musimy porozmawiać - powiedział nagle. - Na temat wczorajszego wieczoru.

- Po co? - spytała lekko. - Przecież nie jesteś moją własnością.

- Nie chcę, żebyś powzięła jakieś błędne wyobrażenia - odgarnął niecierpliwie dłonią lśniące czarne włosy.

Uśmiechnęła się chłodno.

- Nie mam żadnych błędnych wyobrażeń, Max. Po prostu chcę być sama, żeby wrócić do przytomności i zastanowić się, czego o mały włos nie straciłam.

Chciała go zranić do żywego i tak się stało. Widziała to. Max cofnął się lekko.

- Co to konkretnie znaczy? - spytał, mrużąc oczy.

- To, co słyszysz. Simon to dobry człowiek. Sama sobie się dziwię, że dla chwilowej przygody o mały nie przekreśliłam całej swojej przyszłości.

Te słowa niemal utkwily jej w gardle. Tamta noc nie była chwilową przygodą. Była to najwspanialsza, najbardziej nieprawdopodobna noc w jej życiu. Ale on nie mógł tego wiedzieć. Wykluczone.

- A więc dla ciebie to było tylko tyle? Chwilowa przygoda?

Widziała ból i oszołomienie w jego oczach, brnęła jednak dalej.

- Max, nie bądź dzieckiem - powiedziała cynicznie. - Chcesz mi wmówić, że dla ciebie to było coś więcej? Przecież to tak łatwo powiedzieć „kocham cię”, kiedy człowiek jest podniecony...

- Nie - jego głos brzmiał bezbarwnie. - Mnie nie jest łatwo.



- Tym gorzej dla ciebie.

Minęła go i wyszła do ogrodu. Chciała, by rozdzieliła ich możliwie największą odległość. Inaczej mogłaby rzucić mu się w ramiona i wyszlochać, że nieważne, ile ma kobiet, dwie, dziesięć czy więcej, byle być jedną z nich...

Przełknęła z wysiłkiem i poszła ku furcie przez trawnik, jeszcze wilgotny po rannym podlewaniu. Musi jeszcze tylko przetrwać jakoś podróż do domu. Potem Max Stewart zniknie z jej życia na zawsze.

F acet od pralek pochłonał trzy kawałki ciasta i dwa kubki herbaty, zanim wreszcie wyszedł.

- Zadzwoń, jak znajdę tę część. Gdzieś koło czwartku - powiedział pogodnie, odwróciwszy się do stojącej w progu Evie. - Chociaż lepiej byłoby kupić od razu nową pralkę. Ta pochodzi jeszcze najwyżej parę miesięcy. No, ale jak pani sobie życzy - dodał. „Te kobiety!” - mówiły jego oczy.

Nie jak ja sobie życzę, tylko mój bank - pomyślała, zatrzasnąwszy za nim drzwi. Jasne, że najsensowniejszym rozwiązaniem byłoby kupno nowej, skoro w starej, siedmioletniej, wysiadł silnik... Ponieważ jednak nie może sobie na to pozwolić, wymiana silnika jest jedynym rozwiązaniem. W każdym razie przez jakiś czas będzie miała spokój.

Tylko ten czwartek! Będzie musiała targać rzeczy do pralni. Dobrze chociaż, że wzięła wolny poniedziałek, żeby dojść do siebie po urlopie. Urlop, pozał się Boże... Mogła wprawdzie imponować piękną brązową opalenizną ale w środku była sina niczym obrazę Picassa z wczesnego, niebieskiego okresu.

Kichnęła. Z oczu popłynęły łzy. I na dodatek się przeziębiała! Tylko tego jeszcze jej brakowało, cholera jasna...

Zadzwoił telefon. Podniosła słuchawkę, usiłując równocześnie wyciągnąć z rękawa chusteczkę do nosa. Simon... Dzwonił dziś już drugi raz, żeby potwierdzić spotkanie w porze lunchu. Ukochana ciotka Simona była w szpitalu i weekend spędził przy jej łóżku, tak że od powrotu Evie z Hiszpanii jeszcze się nie widzieli.

I dzięki Bogu... Znów poczuła skruchę, jak zawsze ostatnio, gdy o nim myślała. W ciągu pamioty dni zdołała być może ułożyć twarz w wyraz pourlopowego odprężenia, tak by mogła w miarę przekonująco udawać, że świetnie się bawiła. Tylko czyjej się uda? Simon nie był wprawdzie zbyt spostrzegawczy, ale czy trzeba szczególnej spostrzegawczości, by zobaczyć te puste, pozabawione wyrazu oczy? Patrzyły na nią za każdym razem, gdy spozjrzała w lustro. Nawet Simon zorientuje się, że coś jest nie tak.

- Dostałem dziś prezent ślubny od Hugh - powiedział z dumą. Najwyraźniej zrobił na nim wrażenie fakt, że główny współdziaławiec firmy rażył pamiętać o tym, iż Simon i Evie wstępują w związek małżeński.

- O! Co ci kupił?

- Tańczącą parę. Od Lladro.

- To świetnie - odparła. Nie cierpiała Lladro.

- Zamówiłem na pierwszą stolik w „Kite's”, w Ballsbridge. Dobrze będzie?

- Ale ja mam przymiarkę ślubnej sukni. Mogę się spóźnić. Wiesz, jakie są korki...

- Zamówię coś dla ciebie, na wypadek spóźnienia. Tosty sezamowe z krewetkami i kurczak w sosie z czarnej fasoli.

Evie stłumiła chęć, by wrzasnąć, że nie życzy sobie, by ktoś decydował za nią co ma jeść, i że, do cholery, sama może sobie wybrać menu na lunch.

- Świetnie - powiedziała. - Muszę już kończyć, kochany. No to pa.

Jazda ciągnęła się tak długo, że w końcu zdecydowała zostawić samochód tuż przed podwójną żółtą linią w Ranelagh i pobiec do „Bridal Daydreams”. Wewnątrz rozlegały się ochy i achy czterech kobiet, otaczających niedużą blondynkę, spowitą kilometrami nietwarzowej satyny. Wyłaczana we wzór, była blada niczym beza, która czeka dopiero, by przybrać ją bitą śmietaną i plasterkami kiwi.

- Wolałabym coś prostszego - szepnęło nieszczęsne dziewczę. Nikt jednak go nie słuchał.

Całe szczęście, że ja nie mam podobnego komitetu organizacyjnego - pomyślała Evie ze zgrozą. Weszła do pomieszczenia, gdzie odbywały się przymiarki, rozebrała się i usiadła na parę minut z magazynem „Brides” w ręce, by ochłonać. Po ostrym biegu była spocona i mogłaby pokalać suknię.

- O Boże, czy pani przypadkiem nie zeszczupiała? - pisnęła Delphine, krawcowa, poprzez trzymane w kąciuku ust szpilki. - Wszystkie moje klientki chudną nieco przed ślubem, ale pani straciła chyba ze cztery kilo!

- Naprawdę? - Evie było to najzupełniej obojętne, choć jeszcze dwa miesiące temu podobna informacja wstrząsnęłaby nią do głębi. Wielka rzecz - schudnąć parę kilo! Dieta Maksa Stewarta działa bez pudła. Wystarczy spędzić parę nocy z naszym bohaterem, a człowiek już nigdy w życiu nie spojrzy na kanapki z majonezem i pełnotłustym serem.

- Tylko niech pani nie chudnie za bardzo - ostrzegła Delphine, podpinając materiał na klęczkach. - Inaczej suknia będzie na pani wisiała. Ten fason wymaga, żeby mieć biust...

Ślubna suknia Evie reprezentowała klasyczny styl à la Jane Austen: z gładkiej satyny o perłowym połysku, miała haftowany staniczek o linii empire i pokryte koronką rękawy. Kiedyś rozpływała się z zachwytem, gdy bohaterki jej ulubionych powieści z okresu regencji przywdziewały podobne cudeńka,

a myśl, że ona sama będzie sunęła w czymś równie wspaniałym wzdłuż kościelnej nawy, budziła dreszcz ekscytacji. Dziś nie zostało z tego śladu.

Delphine znów nawijała coś o tym, jak dbać o linię, i jak to zapisała się do „Weight Watchers” w nadziei, że pozbędzie się uprzykrzonej nadwagi... Evie popatrzyła ponuro na własne odbicie w ogromnym, zajmującym całą ścianę lustrze. Co z tego, że ubyło jej parę kilo? I tak nigdy nie będzie naprawdę szczupła. Jak na przykład Mia Koen. Albo człowiek ma w sobie tę szlachetną rasę, albo nie... Żeby nie wiem ile się głodziła, nie będzie miała idealnie toczonych łydek i wąskich stóp, które tak pięknie eksponuje powiewna spódnica do kolan i jasne zamszowe sandały. Czy nawet biała płachta, zamotana wokół talii. Na przykład.

Na tapecie był obecnie superważny temat niskokalorycznych biszkoptów. Delphine, nawiasem mówiąc wciąż z ustami pełnymi szpilek, była maniaczką tego typu żywności. Evie pozwoliła jej gadać, sama zaś odpłynęła myślami do tamtej upalnej hiszpańskiej nocy. Wokół rozbrzmiewała słodka muzyka cykad, zaś ona i Max... ona i Max... Co on teraz robi? Może są z Mią w jakimś przytulnym hoteliku? Całują się i pieszczą, żałując, że stracili na próżno tyle czasu, że mogli wcześniej... Czy Mię też tak tuli po zbliżeniu, czy jego potężne ciało tak samo otacza jej drobne i kruche? Czy głodzi w nabożnym uwielbieniu jej pierś?...

Musiała wyglądać naprawdę mamie, gdyż Delphine przerwała nagle swój monolog i spojrzała bacznie na jej pobladłą mimo opalenizny twarz.

- Niech się pani rozchmurzy, kochaniutka - uściśnęła jąza ramię. - Wszystkie kobiety denerwują się w ostatniej chwili... Faceci zresztą też. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz... Musiałyby nie mieć rozumu, żeby uciec sprzed ołtarza od takiej ślicznotki jak ty. A zresztą, jak mówi ksiądz biskup, zawsze można się rozwieść, jakby coś było nie tak - roześmiała się z własnego dowcipu.

- To prawda - uśmiechnęła się uprzejmie Evie. W głębi duszy pomyślała jednak, że wszystko jest zawsze nie tak. Nie trzeba wcale stawać przed ołtarzem, by się o tym przekonać.

Simon siedział z bardzo zadowoloną miną, popijając wodę mineralną. Evie wpadła do „Kite's” spóźniona dwadzieścia minut. Znów musiała zaparkować w niedozwolonym miejscu.

- Zostawiłam samochód na Pembroke Road - wydyszała. - Mam nadzieję, że nie założą mi blokady...

- Och, Evie - powiedział z dezaprobatą. - Powinnaś była zaparkować koło hotelu „Herbert”, tak jak ja.

- Najpierw musiałabym tam dojechać - odparła niecierpliwie. To jego mentorstwo... Nawiasem mówiąc, jeśli chodzi o znajomość parkingów w Dublinie, Simon mógłby startować w olimpiadzie.

- Zamówiłeś już coś? - spytała, żeby odwrócić jego uwagę. Inaczej za chwilę usłyszysz wykład: „Znam jeden taki mały parking na Shelbourne Road, o którym mało kto wie”... I tak dalej.

- O, tak - przyświadczył skwapliwie. - Mam nadzieję, że odpowiadają ci sezamowe grzanki z krewetkami? - w twarzy Simona pojawiła się niepewność. - Bo jeśli nie, to możesz zjeść moje żeberka. Chcesz?

Evie, wzruszona, uniosła się na krześle, przechyliła i pocałowała go w policzek. Tym razem Simona jakoś nie krępowało publiczne okazywanie uczuć.

- Tęskniłem za tobą - szepnęła, gdy usiadła, i uściśnił jej dłoń pod stołem.

Uśmiechnęła się do niego, tłumiąc przygnębienie. Gdyby tak Max nie widział jej przez tydzień... Chwyciłby ją w objęcia na oczach wszystkich i pocałował tak, że tchu by jej zabrakło i trzeba by było ją reanimować. Albo wstawić pod namiot tlenowy.

Simon szybko cofnął dłoń i zaczął szczegółowo opisywać swój ślubny prezent. Przerwał na chwilę, gdy podano im zamówione przystawki, skubnął żeberka i wrócił do tematu. Był przekonany, że tak kosztowny prezent od szefa ma specjalne znaczenie.

- To dobry znak - mówił. - Hugh z zasady nie robi takich rzeczy. Na pewno niedługo wezmą mnie na udziałowca, mówię ci, Evie.

Evie wspomniała bożonarodzeniowe przyjęcie. Hugh, pijak i babiarz, i jego smutna żona, Hilda... Cóż, chyba to raczej ona zapamiętała, że Evie okazała jej wtedy życzliwość, i chciała się odwdziżyć. Hugh nie wyglądał na faceta, który pamiętałby coś więcej niż wyniki rozgrywki w golfa... Nic jednak nie powiedziała.

Wzięła do ręki swoją sezamową grzankę. Aż żal, doprawdy, że marnują się takie pyszności... Na nic nie miała apetytu. Bolało ją gardło i miała dreszcze. Może w tym „Kite's” wyczarowano by dla niej kieliszek grzanej whisky? Jest szansa, że to by stłumiło grypę w zarodku.

- A teraz chciałbym porozmawiać z tobą o czymś innym - powiedział Simon, skończywszy żeberka. - Usiedliśmy sobie dziś z Phillipem Knightem w sali konferencyjnej i pogadaliśmy...

Evie struchlała. Odłożyła tylko co napoczętą grzankę z powrotem na talerz. Phillip Knight... Kolega Simona, na którego natknęli się wtedy z Maksem. Pewnie mu powiedział, że nakrył jego narzeczoną na miłym tête-à-tête z przystojnym przyrodnim bratem... Murowane, że powiedział! Po cóż innego mieliby się spotykać w cztery oczy?

Włókieńko mięsa utkwilo Simonowi między przednimi zębami. Wpatrywała się w nie jak zahipnotyzowana, czekając, kiedy spadnie ostrze gilotyny.

- Lista prezentów, Evie. Powinniśmy sporządzić coś w tym rodzaju. Wiem, że tego nie lubisz, ale mimo wszystko...

Evie rzeczywiście nie cierpiała podobnych list. Zbyt często wstydziła się, że może sobie pozwolić tylko na łąpatkę do tortu, bo o kupnie na przykład

sześciu wytwornych kieliszków do wina od Johna Rocha nie może nawet marzyć. W tym momencie jednak jej stosunek do listy prezentów był krańcowo odmienny.

- Masz rację - powiedziała z wdzięcznością. - Musimy mieć listę prezentów. Chciałbyś się tym zająć?

Simon, zaskoczony, spojrzał na nią zza okularów rozszerzonymi ze zdumienia oczami.

- Nie mogę tego sam zrobić. Musimy ją przygotować wspólnie. Żartujesz sobie ze mnie, prawda?

- Tak - uśmiechnęła się. - A poza tym masz odrobinę żeberek między zębami.

Simon zaczerwienił się i niemal pędem rzucił do toalety. Evie, korzystając z jego nieobecności, zamówiła sobie kieliszek czerwonego wina. Simon uważał, że nie należy pić w czasie lunchu, miała jednak nadzieję, iż trochę alkoholu dobrze jej zrobi.

- Jesteś pewna, że będziesz mogła prowadzić? - Simon, wróciwszy na miejsce, spojrzał z dezaprobatą na *corpus delicti*.

Następną sprawą, która wymagała omówienia, były zaproszenia. Ponieważ był to już drugi ślub w jej życiu, Evie była zdania, że należy dać sobie spokój z całą gadaniną typu „Rodzice państwa młodych mają zaszczyt powiadomić o radosnej uroczystości”... Itepe, itede. Lepiej zrezagować je prościej i w własnym imieniu, tak by odpowiedzi i życzenia przychodziły na jej adres.

Weselna korespondencja zaczęła już zresztą powoli napływać. Znajomi byli podekscytowani zbliżającym się ślubem i pytali o listę prezentów.

- Mama chce nam kupić coś ekstra - powiedział Simon.

Mogłaby się wobec tego szarpnąć na pralkę - pomyślała.

- Ale tak w ogóle to trochę jej smutno. Wiesz, w najbliższe święta będzie już sama i tego typu rzeczy...

Współczuła mu. Matka Simona była nawet dość miła, ale okropnie niesamodzielna. Traktowała syna jak anioła, zesłanego przez niebiosa, by uczynił jej życie znośnym. Niełatwo żyć z takim ciężarem, zwłaszcza jeśli jest się jedynie jak Simon... Odkąd przyszedł na świat, nie było przypadku, by spędzili Boże Narodzenie osobno. Najwyraźniej perspektywa, że Simon w końcu pójdzie na swoje, sprawiła, iż chwytą się go tym bardziej kurczowo.

- Mam pewien pomysł - ciągnął Simon. - A gdybyśmy sprzedali oba domy i kupili jeden, odpowiednio duży, tak żeby babcia mogła zamieszkać z nami? Wiem, że żądam od ciebie sporo, ale... - urwał, czekając na jej reakcję.

Milczała. Czuła, jak zatrzaskują się za nią drzwi. Niczym zamknięta w wieży Śpiąca Królewna, została złapana w pułapkę empirycznych ślubnych sukien, drukowanych na czerpanym papierze zaproszeń, list prezentów - i matki Simona, Mary. Oczyma wyobraźni zobaczyła ich troje, grających w brydża

w pograżonym w ciszy domu, pełnym zeschniętych bukietów, okrytych pokrowcami mebli i zdjęć rodziny Toddów w srebrnych ramkach. Wszyscy postarżali przed czasem, pędzący monotonne, szare, wypełnione pracą dni, których jedyne urozmaicenie stanowić będzie niekiedy kieliszek sherry i sławetne ciasto Mary Todd w towarzystwie równie zgrzybiałych sąsiadów. Poczują dreszcz zgrozy.

- Zbyt wiele żądam, prawda? - spytał cicho Simon.

Inna wizja wypełniła umysł Evie. Oto ona sama za dwadzieścia lat, samotna, gdyż przegrała wszelkie szanse na osobiste szczęście, rozpaczliwie pragnąca, by Rosie wzięła ją do siebie, żeby nie musiała żyć sama, za jedyne towarzystwo mając wspomnienia. O Maksie - i o tym, jak zniszczyła swoją przyszłość z Simonem... Nie! Nie może pozwolić, by ta wizja stała się rzeczywistością. Nie może zmienić się w matkę Simona.

- Nie, wcale nie zbyt wiele - powiedziała zdecydowanie, nie patrząc mu w oczy. - Przecież wiem, ile znaczysz dla matki. Jestem pewna, że zrobiłbyś dla mnie to samo.

Klucz powoli przekreślił się w zamku. Była zamknięta na wieki.

Simon, żując swoją wołowinę, posłał jej promienny uśmiech. Zmusiła się, by odpowiedzieć mu takim samym. Ten fałszywy grymas Max rozpoznałby w mgnieniu oka... Dlaczego, o cokolwiek by nie chodziło, zawsze wraca myślą do niego?

- Jesteś dla mnie taka dobra, Evie - Simon był zachwycony i rozczulony. Gdybyś wiedział - pomyślała gorzko.

Rosie wróciła do domu razem z Evie, promieniejąca szczęściem i niezwykle atrakcyjna w obcisłym topie w rdzawe paski i krótkiej dżinsowej spódniczce. Obie rzeczy wyglądały na podejrzenie nowe.

- Cześć, mamó - niemal zanuciła, wchodząc tanecznym krokiem do salonu. Długie ciemne włosy podskakiwały sprężysto, oczy lśniły.

- Widzę, że jesteś w dobrym nastroju - wykrztusiła Evie, gdy uporała się wreszcie z napadem kichania.

Rosie uśmiechnęła się szeroko. Białe zęby błysnęły w opalonej twarzy.

- Nigdy byś nie zgadła...

Evie wyciągnęła się na kanapie i zaczęła masować sobie obolałe skronie.

- Dziś na pewno nie zgadnę, kochanie. Nie mogę w ogóle myśleć. Męczy mnie katar, kaszel... Chyba coś złapałam.

- Biedna mamusia - Rosie przysiadła na brzeжку stolika. Najwyraźniej aż się trzęsła, żeby podzielić się z matką radosną nowiną bez względu na to, czy umiera, czy nie. - Dostałam pracę na lato! - wypaliła.

- To wspaniale - Evie uniosła nieco głowę i przesłała Rosie w powietrzu pocałunek. - Pewnie coś bym ci znalazła, tak jak mówiłam, ale skoro nie

podoba ci się w Wentworth Alarms, fajnie, że znalazłaś coś innego. A co to jest?

- Będę posłańcem w firmie Maksa - oznajmiła radośnie Rosie, nie zwracając uwagi na wyraz twarzy matki. - Powiedziałam mu, że chciałabym pracować w fajnym miejscu. Max stwierdził, że spróbuje mi coś załatwić. Byłam dziś na rozmowie z kierownikiem produkcji i w środę zaczynam! Tak naprawdę będę gońcem, ale co tam. Nie przejmuję się.

- Fantastycznie, córeczko - Evie czuła, jak obręcz bólu zaciska się wokół jej skroni jeszcze silniej.

- W przyszłym tygodniu zaczynają kręcić sceny w Wicklow - paplała Rosie. - Nie mogę się już doczekać! - Nawijała coś dalej o tym, jakie śliczne biuro ma DOS Productions, i jak nie zastała Maksa, tylko jego osobistą sekretarkę, „zupełnie jak ta hinduska Miss World, no mówię ci, dosłownie zwala z nóg”...

Jasne, czemu nie - mruknęła do siebie Evie. Pewnie nie zarobiłaby na życie maszynopisaniem, ale za to ma inne umiejętności... Choć raczej nie te, które zwykle podajemy w CV. No, chyba że szukamy pracy w którymś z lokali na Soho.

Ze względu na córkę zmusiła się by sprawiać wrażenie, że cieszy się razem z nią. Tak, Max jest cudowny, że to załatwił. Naturalnie, mnóstwo ludzi marzyłoby, żeby pracować u producenta telewizyjnego. To takie szykowne...

- Wiem, że na razie jeszcze nic nie zarobiłam - emocjonowała się Rosie - ale mam dostać dużo więcej, niż miałam w zeszłym roku w tym sklepie z wełną, no więc poszłam i kupiłam sobie to - poklepała radośnie spodniczkę i top.

Wybiegła, by zadzwonić do przyjaciółek i podzielić się z nimi radosną nowiną, że ma pracę i na dodatek nowe ciuchy. Evie zrobiła sobie gorący napój z miodu i cytryny, wypiła i poszła do łóżka.

Siedziba Wentworth Alarms wyglądała tak jak zawsze: przysadzisty budynek z czerwonej cegły, niewątpliwie pełen rozwścieczonych klientów, niecierpliwie czekających na jej powrót, by wreszcie mogli załatwić swoje sprawy. Był wtorek, godzina ósma pięćdziesiąt. Zaparkowała w zwykłym miejscu i ociężałe wylazła z samochodu.

Powiał chłodny wiatr. Kichnęła. Po błogosławionym żarze hiszpańskiego słońca wszędzie wydawało się tak zimno... Odkąd wstała, trzęsły nią dreszcze, pomimo wszystkich miodowo-cytrynowych napojów i antyrypowych tabletek.

- Evie! - rozległ się radosny okrzyk Lorraine. - Nareszcie z powrotem! No i jak tam było? Wyglądasz fantastycznie! Co za brąz!

Sama była co prawda znacznie bardziej brązowa. Jej opalenizna pochodziła wprost z butelki „Clarins”. Ubrana w jasne lny, zupełnie jak z „White

Mischief, sprawiała wrażenie, że to ona wraca z urlopu po tygodniu wygrzewania się w słońcu.

- Z daleka ode mnie - ostrzegła Evie przez nos. Cieszyła się, że widzi Lorraine, ale sam powrót do biura bynajmniej jej nie cieszył. - Bo sama coś złapiesz.

- Ja nigdy nic nie łapię - Lorraine objęła przyjaciółkę. - Craig mówi, że mam końskie zdrowie. Słuchaj, nie wyobrażasz sobie, co się stało!

- Co? - Evie na moment zapomniała o swojej grypowo-sercowej niedoli.

- Davis rezygnuje. A raczej już zrezygnował. Ze względu na stan zdrowia. No i co ty na to?

Evie wzruszyła ramionami.

- Wcale mnie to nie zaskoczyło. Przez ostatnie pół roku, odkąd stwierdzono u niego tę chorobę, zachowywał się jak ranny niedźwiedź. Wiedziałam, że to tylko kwestia czasu.

- Nie przejmujesz się? - spytała Lorraine, zdumiona. - Pracujesz u niego już tyle czasu... I zawsze był dla ciebie taki miły! Dla mnie wręcz przeciwnie, muszę powiedzieć, ale ciebie naprawdę lubił.

Były już przy drzwiach. Recepcjonistka uśmiechnęła się na widok Evie i pomachała jej ręką. Chcąc nie chcąc, zrobiła to samo.

Spróbowała się pozbierać. Nie może być w pracy taka ponura... Trzeba umieć oddzielić życie zawodowe od prywatnego. Przynajmniej to zawsze mówiła młodszym koleżankom, gdy któraś z nich od dziewiątej rano do piątej po południu chodziła zapłakana, bo rzucił ją chłopak, albo na teście ciążowym pokazała się straszliwa niebieska linijka. „Masz być ponad to” - mawiała, podsuwając nieszczęśnicy herbatę i figowe roladki. „W pracy masz być profesjonalistką bez względu na to, co przeżywasz w środku”. To musiało być strasznie irytujące.

- Lorraine - podjęła - szefowie się zmieniają. Takie jest życie. A Davis i tak już był w wieku przedemerytalnym, tak że wiesz...

- Wiem - Lorraine wciąż nie otwierała drzwi. Najwyraźniej miała jeszcze coś do powiedzenia, o czym nie chciała rozmawiać wewnątrz. - Jego bratanek przejął firmę - oznajmiła nowinę, zniżając głos.

- Ten dupek? - jęknęła Evie. - No to możemy od dziś szukać nowej pracy. Za trzy miesiące firma będzie w stanie likwidacji.

- Ale nie ten! - szepnęła Lorraine, podekscytowana. - Ten nie potrafiłby zorganizować nawet popijawy w browarze. Inny! Z Belfastu. Jak go zobaczysz... Blondyn, wysoki, no mówię ci, super! Nawet akcent ma taki... seksowny. Wiesz, jakbyśmy obie nie były zajęte i zakochane, pewnie byśmy się o niego pobiły!

Pchnęła drzwi.

- Idziemy. Strasznie ci fajnie w tych rozpuszczonych włosach, wiesz? Wyglądasz łagodniej niż z kucykiem. Ojejku, skąd masz taką świetną sukienkę?



Do twarzy ci w tym miedzianym kolorze! Powinnaś częściej się tak ubierać. Pasuje ci ten styl.

Rosie była zakochana w świecie produkcji filmowej. Usta jej się nie zamykały. Bez wytchnienia opowiadała, jak wygląda kręcenie poszczególnych scen i jak trzeba pracować parę godzin, żeby uzyskać pięć minut filmu.

- To jest fascynujące! - mówiła, gryząc jabłko, rozciągnięta na trawniku. Evie tymczasem zajadła pełta ogródek. Strasznie był zachwaszczony, co niewątpliwie odstraszałoby przyszłych potencjalnych nabywców. W każdym razie tak wynikało ze starannie przepisanej przez Simona notki na temat sztuki sprzedaży. Chwasty, łuszcząca się farba, rośliny, które wyglądały, jakby spędziły lato na Saharze... Minus, minus, minus.

Tak samo na niekorzyść działał podobno nieporządek w kuchni, śmieci, nadmiar drobiazgów i mebli zapychających każdy kąt... Przyszły właściciel nie mógł wówczas wyobrazić sobie wnętrza wypełnionego własnymi rzeczami.

Całą sobotę Evie porządkowała salon. W rezultacie przypominał on obecnie miejsce odosobnienia do praktyki zen: żadnych magazynów, książek, rodzinnych fotografii, bibelotów... Wyniosła nawet spod okna stolik, na którym trzymała kolekcję porcelanowych zwierzątek, szybko jednak przypomniała sobie, że stał tu po to, by ukryć wypalony kawałek dywanu. Trzynastoletnia Rosie wylała w tym miejscu czysty perhydrol... Stolik wrócił na swoje miejsce, tyle że znajdowała się teraz na nim doniczka z białym geranium. Świnki, wieloryby, króliki i słonie powędrowały do pudełka, starannie opakowane w bibułkę.

W tej chwili Evie z ponurą miną wyrывała spod płotu mleczkę. Po drugiej stronie szalał pies sąsiadów.

- Zamknij się, Boris! - krzyknęła Rosie. - Przeszkadzasz nam! W ogóle nie słyszeć, co mówię.

Na Borisie nie zrobiło to najmniejszego wrażenia. Rosie wstała więc, przelazła przez płot, wzięła psiaka pod pachę i wpuściła do ich ogrodu. Zachwycony szczeniak puścił się w szaleńczy bieg, obsikując po drodze chwasty, które Evie właśnie miała wyrwać. Zakończywszy siusianie, wrócił do Rosie i liznął ją w twarz, szczęśliwy, że wypuściła go z niewoli.

- Może głodny jesteś, maluszku? - przemówiła czule Rosie, pieszcząc jego aksamitne uszy. - Dać ciasteczko?

- Nie dawaj mu ciastek - ostrzegła Evie. - Sophie prosiła, żeby go nie karmić. Weterynarz kazał potrzymać go na diecie.

Jakby rozumiejąc, o czym mowa, Boris w mgnieniu oka znalazł się obok niej i zaczął wykręcać się kokieterycznie i merdać ogonkiem, najwyraźniej w nadziei, że Evie zmieni zdanie w kwestii biszkoptów. Rozbrojona, ściągnęła rękawice i pogłaskała miękki łebek. Psiak zapiszczał, uszczęśliwiony, i przewrócił się na plecy, odsłaniając ufnie miękki beżowy brzusek.

- Boris, Boris - pogadywała Evie, pieszcząc psiego malucha. Jaka szkoda, że ona nie ma psa... - Śliczny jesteś, tylko jak ja mam pracować, kiedy ty się tu wygłupiasz?

Po pięciu minutach czułości i igraszek Boris wstał i podreptał przed siebie, by sprawdzić, które z roślin nie zostały jeszcze podlane i wymagają interwencji z jego strony. Evie wróciła do pielienia, Rosie zaś - do podnieciania się produkcją filmów.

- Dla aktorów to musi być okropnie nudne! My zawsze mamy coś do roboty... to znaczy zespół - wyjaśniła z dumą. - A oni po prostu muszą być cały czas pod ręką. Siedzą w przyczepach i czekają. Maisie... ona gra gosposię zatrudnioną u tej rodziny, co to o nich jest film... robi na drutach śliczny sweter dla swojej córki. A niektórzy faceci grają w pokera w przyczepie u Nicka Reilly.

- Czy to czasem nie on gra w tej serii kryminalnej? - spytała Evie, mówiąc się ze szczególnie upartym chwastem, który zdawał się mieć milion korzeni rozrośniętych we wszystkich kierunkach. - No wiesz... „Rozers”?

- Tak, to ten. Gra syna Butlerów, który studiował w Oksfordzie i przyjeżdża do domu przed samą pierwszą wojną, z nową narzeczoną. Gra ją ta okropna Mia.

Evie dała spokój chwastowi.

- Mówisz może o Mii Koen? - spytała nienaturalnie wysokim głosem.

- Yyyy - Rosie wydała odgłos, jakby zbierało jej się na mdłości. - Mówię ci, co to za krowa... Wszyscy jej nie cierpią.

Uśmiech wypłynął na twarz Evie.

- No, może nie wszyscy - przyznała niechętnie Rosie. - Reżyser uważa ją za ósmy cud świata, ale reszta zespołu nie może z nią wytrzymać. Awanturuje się o wszystko. Sos do sałaty jest nie taki jak trzeba, jej przyczepa jest za mała, ogrzewanie nie działa, a w ogóle to jest za zimno. Ale czy do Irlandii przyjeżdża się ze względu na pogodę, no powiedz?

Nie - pomyślała Evie. Do Irlandii przyjeżdża się ze względu na mężczyzn.

- Jest dopiero dwa dni, a już wszystkich do siebie zraziła. Max od razu potraktował ją jak należy, gdy tylko przyjechał z Londynu - dodała z zadowoleniem. - Pamiętasz, jak opowiadał o jednej kretynce, która musiała mieć skrzynkę burbona i wędzonego łososia dla swojego psa? To właśnie ona. Nie znosi jej.

Nie dałabym za to głowy - pomyślała ponuro Evie, zabierając się za następną grządkę. Pewnie poleciał i od ręki rozwiązał jej problemy z ogrzewaniem, najprawdopodobniej poprzez okłady z własnego ciała... nie, nie mogła o tym myśleć.

- Butlerowie są wściekli, że ich jedyny syn i spadkobierca poślubił tę Francuzkę, to znaczy Mię - Rosie wróciła do opowiadania fabuły - i twierdzą, że nigdy jej nie zaakceptują. Ale on jest nią tak zafascynowany, że zrobi dla niej wszystko.

Pewnie że tak... Evie przez pomyłkę wyrwała petunię zamiast mleczka.

- Facet idzie na wojnę i ginie, a ona ma syna z jego bratem, ale wszyscy myślą, że to dziecko nieżyjącego męża. Potem jednak prawda wychodzi na jaw i wyrzucają ją z domu.

Historia rodziny Butlerów zaczynała się Evie podobać.

- Jedzie do Ameryki. Jej syn zostaje tam politykiem i zakłada polityczną dynastię.

- Czy to jest oparte na faktach?

- Nie, na książce jakiegoś amerykańskiego pisarza. To jest koprodukcja irlandzko-amerykańska. Później akcja przenosi się do Bostonu. Chciałabym pojechać tam z nimi na plenery - dodała marząco.

- Jasne - Evie ściągnęła rękawice. - Tylko że wtedy będziesz już w college'u, o ile się nie mylę?

- Tak - Rosie, urażona, zaczęła z chmurną miną skubać kępki trawy.

Evie wyciągnęła do niej dłoń.

- No, chodź. Doprowadzę się do porządku i jedziemy na zakupy. Strasznie dawno nic nie kupowałyśmy, a poza tym jesteś teraz kobietą pracującą, więc potrzebujesz nowych ciuchów.

- Super! - Rosie zerwała się na nogi. - Widziałam we „French Connection” odjazdową koszulę. Możemy pojechać do centrum?

Cara, przeciwnie niż siostra, niemal biegła do pracy, tak pilno jej było się tam znaleźć. Ewan nie odebrał telefonu, kiedy zadzwoniła do niego wczoraj wieczorem, chciała więc jak najszybciej zobaczyć go na własne oczy i poinformować o przemianie, jaka się w niej dokonała. Nie miała rzecz jasna zamiaru wtajemniczać go w szczegóły. Na przykład, że to migdałkowy hokej z pewnym dość pociągającym Grekiem sprawił, że nagle zdała sobie sprawę, jak bardzo go kocha i jaka była dotychczas głupia.

Miała mu tyle do powiedzenia... Wprost ją rozsadzało. Ćwiczyła w myśli całą noc i cały ranek. Optymizm jej nie opuszczał, pomimo że wstała zbyt późno, by mieć czas na śniadanie, a autobus, z powodu robót drogowych na Portobello Bridge, wypadł z kursu, więc nie zdążyła po drodze do pracy kupić sobie nawet torebki capuccino.

Kochany, kochany... Wybacz mi! To moja wina. Miałeś rację - nie powinnam ukrywać naszego związku. To było nie w porządku wobec ciebie. Jestem od jakiegoś czasu trochę pomyłona, ale postanowiłam wziąć się za siebie. Czy będziemy mogli znowu ze sobą chodzić? Proszę... Chodźmy gdzieś na kolację, dobrze? Ja stawiam!

Wbiegła lotem strzały na piętro i wpadła do działu copywritingu, utrzymanego w eleganckich szarościach. Wpadła - i doznała szoku. Krzesło Ewana było puste, a jego biurko - podejrzanie uporządkowane. Czyżby odszedł

z firmy? Wspominał o takim zamiarze, ale przecież nie mógł odejść, nie uprzedzając jej! Zaraz... mógł. Przecież nie ma obowiązku omawiania swoich decyzji zawodowych z eks-dziewczyną... Momentalnie wyparowała z niej cała energia. Zrozpaczona, bezsilnie wsparła się o jego biurko.

- Szukasz Ewana? - Ken, jego szef, wystawił głowę ze swojego pokoju.

- Eeee... to znaczy... - zająknęła się. Skąd wie, że szuka Ewana? Przecież nigdy nie była w tym pokoju.

- Nie mówił ci? Wziął parę dni wolnego - Ken wyszedł, z dunhillami i zapalniczką w ręce, najwyraźniej na szybkiego dyma. - Myślałem nawet, że chce gdzieś wyskoczyć z tobą... Cały Ewan! Jak go coś napadnie, znika i już.

Zatkało ją. Nie dlatego, że Ewan był znany jako narwaniec; ona też o tym wiedziała. Dlatego, że Ken najwyraźniej nie miał wątpliwości, iż ona i Ewan... Skąd wiedział? Nie mówiła przecież nikomu z wyjątkiem Zoe. A Ewan nie był skłonny informować o swoim prywatnym życiu ze szczegółami.

-Aha... No to dzięki, Ken - mruknęła, kiwnęła się w stronę drzwi. Już na schodach przypomniało jej się, jak kiedyś Ewan, już w ostatniej fazie ich związku, powiedział, że ludzie w biurze wiedzą nawet o tym, czy włożył dziś slipy, czy bokserki. „Ludzie wiedzą wszystko - mówił. - Nie łudź się, że jesteś w stanie cokolwiek ukryć przed ich oczami. Mogą co najwyżej nie mówić, ale wiedzą i tak”.

Wygląda na to, że miał rację. A więc niewykluczone, iż wszyscy doskonale wiedzą że spotyka się z Ewanem, tylko po prostu o tym nie mówią... Całe biuro wie, co jest grane! I całe biuro jest świadkiem, jak Cara Fraser udaje, że nic się nie dzieje. Co oznacza, że wstydzi się Ewana Walshe.

Skrzywiła się. Trudno o coś dalszego od prawdy, ale jej zachowanie niewątpliwie tak mogło być odczytane. I zapewne było... A więc obraziła go podwójnie.

- Dzień dobry, Cara - pisnęła Penny, następczyni Zoe, swoim charakterystycznym akcentem rodem z hrabstwa Cork.

- Co tam w nim dobrego - mruknęła Cara. I od razu pożałowała, że jest taka szorstka. To nie wina Penny, że Ewana nie ma w pracy i nie może mu na razie nic wyjaśnić. - Przepraszam - dodała. - To tylko pourlopowa chandra.

Na szerokiej twarzy Penny pojawił się szczery, życzliwy uśmiech. Trudno o osobę, która by mniej niż ona przypominała pustogłową lalkę, jakiej obawiała się Cara... Penny była bystra, chętna, i gdyby Cara nie została uprzedzona przez Bernarda, że to córka jego najbliższego przyjaciela, nigdy nie dowiedziałyby się tego od niej samej. Penny najwyraźniej była zdecydowana ciężko pracować i zdobywać wszystko własnymi siłami. A pracować musiała rzeczywiście ciężko, gdyż nie znała się na komputerze. Choć artystka całą głębią, była bezradna nawet wobec pustego ekranu, nie mówiąc już o pakiecie ilustracyjnym Adobe.

- Bernard jest chyba dosyć trudny - powiedziała dyplomatycznie. - Był tu już dziś dwa razy i pytał o ciebie. Chodzi mu o ten projekt, który ci zlecił przed wyjazdem.

- Przecież jest dopiero pięć po dziewiątej! - jęknęła Cara.

- Wiem... Mówiłam mu, że masz go zrobić dopiero na piątek, ale upierał się, że pomylił daty.

Cara, i tak już bez humoru, poczuła, jak wzbiera w niej gniew. Znowu się jej czepia, tak? No to zobaczy. Wystarczająco długo podporządkowuje się rozmaitym sukinsynom, którzy wyładowują na niej własne neurozy i kompleksy. Od dziś wszystko zaczyna od nowa. Bernard Redmond pójdzie na pierwszy ogień.

Zadzwoił telefon. Cara chwyciła słuchawkę.

- Tak? - warknęła niczym więzienny strażnik, który ma bunt w celi.

- Witam po urlopie, Cara - głos Bernarda ociekał słodyczą. - Wiesz, chyba zaszło jakieś nieporozumienie co do terminu tego zlecenia. Penny twierdzi, że to ja się pomyliłem, więc prawdopodobnie tak jest rzeczywiście. No, ale nawet jeśli to moja wina, byłbym ci niezwykle wdzięczny, gdybyś zrobiła to... powiedzmy, na środę.

Przyznał się do winy! Cara, niebotycznie zdumiona, wpatrywała się w słuchawkę. Bernard wytrącił jej broń z ręki.

- To znaczy... tak, oczywiście - powiedziała w końcu. I od razu poczuła sprzeciw. Z powodu jego pomyłki ma przez cały tydzień siedzieć do późna!

- A właściwie nie - sięgnęła do biurka i wyciągnęła pośpiesznie nabażrzaną notkę, jaką otrzymała od niego przed wyjazdem. - Właśnie mam przed sobą twoją własnoręczną notatkę - mówiła równym, zdecydowanym głosem. - Stoi na niej jak wół, że projekt ma być gotowy w najbliższy piątek, a nie poprzedni. Poza tym wołałabym, żebyś rozmawiał na ten temat osobiście ze mną, a nie z moją asystentką.

Tym razem to Bernarda omal nie zatkało.

- Nie rozumiem, jak mogłem się tak pomylić... - zaczął.

- Ale się pomyliłeś - przerwała mu. - Na szczęście dla ciebie jestem w stanie zrobić to wcześniej, niemniej uważam, że mamy ze sobą do pomówienia. Traktujesz mnie jak popychadło. Penny jest naprawdę dobra, ale wątpię, czy będzie w stanie udźwignąć całą robotę, jeśli ja odejdę, a mówiąc całkiem szczerze, rozważam taką możliwość.

- Ależ, Cara! Po co ten ton? Jesteś w firmie naprawdę potrzebna...

- Więc zacznij, proszę, traktować mnie tak, jak na to zasługuję - powiedziała z przesadną uprzejmością. - Któregoś dnia wpadnę do ciebie, żeby porozmawiać o moim zakresie obowiązków. Pa.

Odłożyła słuchawkę i spojrzała na Penny.

- Tak czy owak, Pens, musimy się ruszyć i zrobić to szybciej. Bernard wprawdzie przyznał się do błędu, ale to nie zmienia faktu, że będziemy musiały siedzieć po nocach.

Penny, uszczęśliwiona, że gniew Cary minął, entuzjastycznie pokiwała głową.

- Chcesz drożdżówkę? Kupiłam dla nas obu. Pomyślałam, że przyda ci się dawka energii...

Cara zaśmiała się.

- Czytasz w moich myślach, Pens. Wiesz co? Skoczę do kuchni i zrobię kawę, a ty przyszykuj śniadanie. Dobra?

Kiedy wpadła do domu o wpół do dziewiątej, zmęczona i głodna jak diabli, Ricky zdążył już wypić całkiem sporo z litrowej butelki dżinu, przywiezionego przez Carę z Hiszpanii. Usiłował stanąć tak, żeby zasłonić butelkę, ale bez rezultatu.

- Ty sukinyś! - wrzasnęła. - To mój dżin, do cholery! Nawet go jeszcze nie zdążyłam otworzyć!

Ricky zatrzepotał długimi, dziewczęcymi rękami.

- No to już jest otwarty... Może nalać ci kieliszek? Wyglądasz, jakbyś miała za sobą ciężki dzień...

- Odwal się ze swoim kieliszkiem! Ty pieprzony... ty pieprzony... - szukała właściwego słowa -...pasozyście! Wciąż nam wszystko wyjadasz, wypijasz, pożyczasz płyty i nie oddajesz... Kto mi porysował CD z Baz Luhrmann, co? A biszkoportów to już w ogóle nie ma sensu kupować, bo wszędzie je wywieszysz... Ty dzikusie! Mam cię potąd!

Wyrwała mu butelkę i wypadła z pokoju. Gdzie Phoebe? Musi jej powiedzieć, że tym razem Ricky przebrał miarę.

- Phoebe! - rozdarła się na cały głos. W sypialni jej nie było. Zajrzała do łazienki. Phoebe siedziała na posadzce, równie zielona na twarzy jak stojący tuż obok awokadowy płyn do kąpieli. Oczy natomiast miała czerwone, bez śladu makijażu.

- Co się stało, Phoebe? - gniew Cary momentalnie wyparował na widok przyjaciółki wyglądającej jak uosobienie nieszczęścia. I jakby te słowa odkreśliły niewidzialny kurek, z oczu Phoebe trysnęły łzy.

- Och, Cara - zatkała - nie uwierzysz... nie uwierzysz...

Cara przykucnęła obok i już wiedziała. Na podłogę leżał test ciążowy. Ależ mogła uwierzyć... Czemu nie.

- Jesteś w ciąży - stwierdziła rzeczowo.

- Skąd wiesz? - zaszlochała Phoebe. - Czy już widać?

- Nie, jeszcze nie - Cara podniosła test do światła.

- Moja rodzina mnie zabije - łkała Phoebe.

Cara objęła ją.

- Nie zabije... A jakby nawet, to przecież jestem jeszcze ja. Pomogę ci.

- Dzięki - wykrztusiła Phoebe przez łzy.

- A Ricky wie?

Phoebe zaszlochała głośniej.

- Wie czy nie?

- Nie mogę mu powiedzieć... Przecież rzuca pracę i wraca do college'u, nie może sobie pozwolić na dziecko...

- Ricky rzuca pracę? - Cara była w szoku.

- Tak, już złożył wypowiedzenie... Przez miesiąc chce pojeździć po świecie, a jesienią idzie na studia.

Cara przymknęła na chwilę oczy. Co ona zrobiłaby z Rickim w podobnej sytuacji? No cóż, wyjazd rzeczywiście wchodziłby w rachubę. A raczej wylot: przez okno, po uprzednim zainkasowaniu kopniaka w tyłek jej podkuty martensem.

- Nie wie, dlaczego tu siedzisz? - spytała spokojnie.

Phoebe potrząsnęła głową.

- Nie chcesz mu na razie mówić?

- Nigdy!

- Poczekaj - Cara wstała. - Spróbuję się go pozbyć i porozmawiamy.

- Phoebe boli żołądek i ma mdłości poinformowała Ricky'ego z ironią. - Wygląda na to, że najbliższą dobę spędzi w klopie - dodała. Ciekawe, czy namiętny kochanek zdobędzie się na to, by w tej sytuacji powiedzieć przynajmniej „dobranoc” swojej kobiecie.

- O Jezu! - cofnął się o krok. - No to ja się zmywam. Powiedz jej, że przyjdę jutro - i zniknął jak senne marzenie, pozostawiając po sobie okruchy po opakowaniu figowych roladek i parę brudnych talerzy w zlewie. Cara zanotowała w głowie, by, kiedy raczy ukazać się następnym razem, zażądać od niego zwrotu pieniędzy za roladki.

Wzięła do ręki butelkę, którą zabrała z powrotem z łazienki w przekonaniu, że dla kogoś w stanie Phoebe dżin nie byłby odpowiedni, i nalała sobie przywoitą porcję. Uzupełniła tonikiem i z ulgą pociągnęła gigantyczny haust. Ricky słusznie zauważył: miała za sobą trudny dzień, ale to i tak małe piwo w porównaniu z tym, z czym muszą się teraz obie z Phoebe uporać. A cholerny Ricky o niczym nie wie... W tej chwili nienawidziła tego życiowego oferty jak nikogo na świecie. Co on zrobił jej miłej, dobrej, życzliwej przyjaciółce? Phoebe na całym świecie nie miała ani jednego wroga. Nawet pajaka by nie zabiła, gdyby była na tyle odważna, żeby wziąć go do ręki i wyrzucić za okno... Naprawdę, nie zasługiwała na tego bezmózgiego, pozbawionego wrażliwości faceta. Nikt nie zasługiwał.

Zagotowała wodę, zrobiła dla Phoebe filizankę słabej, gorzkiej herbaty, i zabrała do łazienki razem ze swoim dżinem. To będzie długa noc. Czują to.

Olivia siedziała w swojej garderobie, przeglądając pocztę od fanów. Wciąż czuła dreszczyk podniecenia, czytając te wszystkie zachwyty i komplementy,

jakimi obsypywali ją widzowie. Pomimo, że zabierało to strasznie dużo czasu, na wszystkie odpowiadała osobiście.

A jednak wśród jej korespondentów zdarzali się czasem mniej mili. Bywali dziwni, a czasem wręcz odrażający.

- Po co ludzie przysyłają takie rzeczy? - jęknęła, gdy po raz pierwszy otrzymała tego typu list, pokazując go Kevinowi. Trzymała arkusik papieru w dwu palcach, jakby był zaraźliwy.

- Pokaż no - Kevin wziął list i ryknął śmiechem. Telewidz pisał, że Olivia ma przepiękne piersi, i prosił, by przysłała mu pocztą swoje majteczki. Używane, rzecz jasna. - Oni zawsze chcą, żeby im przysłać majtki, ci zbroceńcy... Nie wiem po co - otarł zapłakane ze śmiechu oczy.

- Uważaj! - wrzasnęła Olivia. - Nie dotykaj twarzy tymi rękami! Kto wie, co możesz złapać - i sama rzuciła się do umywalki. Szorowała dłonie jak w gorączce. A więc są ludzie, którzy oglądają „Gotowanie na ekranie” ze względu na jej biust, a nie potrawy... To straszne, straszne!

Kevin wsadził list z powrotem do koperty, włożył między strony swojego notatnika formatu A-4, posłusznie umył ręce i poklepał Olivie po ramieniu.

- Nie przejmuj się tak, malutka. Wszystkie znane osoby dostają listy od zbroceńców. Taka jest cena sławy... Przekażę to do biura ochrony, bo wyjątkowo twój wielbiciel podał adres. Prześlę jego dane policji. Tak na wszelki wypadek, bo większość tych typów jest zupełnie nieszkodliwa.

Olivia nie wyglądała na przekonaną.

- Pewnie zapomniiał wziąć rano tabletki. Mieszka z matką, a ty jesteś dla niego jedyną szansą na jakiś kontakt z kobietą. Ogląda sobie na golaska, czekając, aż mama wyprasuje mu spodenki - ciągnął Kevin.

- O Boże! Daj spokój... - Olivia czuła, że od tego wyrazistego obrazka zbiera jej się na mdłości.

- Jak chcesz, mogę załatwić ci kogoś, kto będzie otwierał twoją pocztę - zaproponował.

Olivia potrząsnęła głową.

- Nie. Powinnam robić to sama.

- Nancy na pewno **chemie** by się tym zajęła - podsunął z niewinną miną.

Zawsze wiedział, jak ją rozśmieszyć... Nie było tajemnicą, że Nancy jest wścikła na Olivie, gdyż dostawała obecnie mniej więcej tyle samo listów od fanów co ona. Chyba by dostała zawału, jakby je przeczytała... I tak już mało nie dostała zawału, bo program Olivii, ze względu na kolosalną oglądalność, nadawano obecnie cztery razy w tygodniu. Nancy od lat była królową „Telewizji śniadaniowej”. Kto wie, czy nie pchnie sztyletem osoby, która odebrała jej część popularności...

- Ty draniu! - trzepnęła go lekko w ramię.

- O tak, o tak... Jeszcze, jeszcze, sadytka - jęknął falsetem. Oboje zatonęli się ze śmiechu.



- Wiesz, że masz coś nie tak z głową, prawda? - powiedziała czule, gdy wreszcie się uspokoiła.

- Ale nie tak jak Nancy, mimo wszystko. Ona owszem, bardzo lubi dostawać perwersyjne listy. Delektuje się myślą, że są faceci, którzy snują fantazje na temat jej majtek... Wyobrażasz sobie, jakiej wielkości koperty potrzeba, żeby je wysłać pocztą?

Olivia uśmiechnęła się. Ależ Kevin sobie używa na Robertsicy... Nie cierpiał każdego utlenionego, wytapirowanego włoska na jej głowie, ona zaś w pełni podzielała to uczucie. Odkąd współpracował blisko z Olivia, znajdował się na czarnej liście Nancy.

- Niech tylko ta suka spróbuje mnie wywalić - powiedział kiedyś po programie, mając trochę za dużo w czubie. - Wyrwę jej te kłaki!

Olivia również miała problemy z Nancy.

W ciągu czterech miesięcy, jakie minęły od czasu, gdy pokazała się po raz pierwszy w jej programie, temperatura uczuć Nancy wobec niej ewoluowała od chłodziarki do zamrażarki. Ostatnio dobrze było, jeśli na zebraniach zespołu w ogóle usłyszała od niej jakieś „cześć”... A jeśli Olivia miała jakieś uwagi czy sugestie na temat programu, ze strony Nancy nieodmiennie dobiegało pogardliwe prychnięcie. Nie odważała się jednak na otwarty atak, głównie dlatego, że Olivia miała najwyższe notowania popularności wśród widzów, zaś Linda Byrne konsekwentnie trzymała jej stronę. Gdy komentarze Nancy stawały się zbyt zjadliwe, Linda mówiła ostro: „Myślę, że nie pomaga nam to w pracy, Nancy”, albo „Skoro nie jesteś zainteresowana, może lepiej będzie, jeśli opuścisz zebranie?” Nancy cichła. Odbijała sobie to jednak na planie, kiedy były tylko we dwie i nikt nie mógł jej przeszkodzić.

- Świecące tkaniny wypadają wulgarnie na ekranie. Będziesz wyglądać jak dziwka - syczała na przykład tuż przed włączeniem kamer, gdy stały tuż obok siebie w telewizyjnej kuchni.

- Czyżby? - Olivia, w lśniacej akwamarynowej bluzce, uśmiechała się do niej słodko. Uwagi Nancy w ogóle jej nie ruszały. Miałyby się czym przejmować! Po latach treningu ze Stephenem, który nieustannie podrywał jej wiarę w siebie, te dziecinne złośliwości zazdrosnej gwiazdy spływały po niej jak woda po kaczce. Poradzi sobie z nią. Musi! Odeszła przecież na rok ze szkoły, żeby skoncentrować się wyłącznie na telewizji.

Rozcięła kolejną kopertę. Używała do tego celu malutkiego srebrnego nożyka, który dostała od Maksa. „To na wypadek, gdyby groziło ci zasztytowanie na tyłach studia i potrzebowałabyś obrony” - pisał w liściku dołączonym do prezentu. Wiedział, jak jest w telewizji... Olivia uśmiechała się, rozbawiona, ilekroć brała nożyk do ręki.

Otworzyła dwadzieścia listów i zabrała się właśnie za odpisywanie, gdy w drzwiach pojawiła się głowa Lindy.

- Fajnie że jesteś. Myślałam, że może poszłaś do domu zaraz po programie.

- Moje dziecko idzie dziś na urodziny. Mama tej koleżanki zabierze ją wprost z przedszkola, więc mam dzisiaj wychodne.

Linda, sama matka trojga dzieci, ze zrozumieniem pokiwała głową.

- Czyli możemy pójść razem na lunch?

- Jasne.

Zeszły do przeszklonej kantyny. Parę osób z zespołu miało zwyczaj przesiadywać tu godzinami, pomimo skończonego posiłku. Olivia wybrała ciemną razową bułeczkę nadzianą tuńczykiem i tym razem, dla odmiany, herbatę z owoców dzikiej róży. Właśnie wrzuciła torebkę do szklanki, gdy obok postawiła swoją tacę Linda. Rozniosła się kusząca woń frytek i smażonych kiełbasek.

- Wiem, wiem - powiedziała Linda ze skruchą. - Jem lunch w towarzystwie specjalistki od diet i zamawiam posiłek godny kierowcy ciężarówki... Ale co ja poradzę, że lubię frytki, a za kiełbaskami wprost przepadam! A poza tym Nancy doprowadza mnie do szału, więc potrzebuję dawki węglowodanów.

Olivia postanowiła zignorować wzmiankę o Nancy.

- Lindo, jednym z moich ulubionych przysmaków jest cheddar na krakersach, zapieczony w mikrofalówce. Nie jestem Delią Smith... Myślisz, że po programie przez trzy godziny robię na własny użytek *linguine*, które pokazywałam w telewizji? Gotowanie na ekranie to trochę życie, a trochę pobożne życzenia, sama wiesz... W rzeczywistości wszystkie pędzimy do domu i pożeramy kupionego po drodze w „Marks & Sparks” kurczaka *tikka masala*. Dopiero wieczorem zaczynamy być twórcze...

Linda uśmiechnęła się.

- Wciąż zapominam, że jesteś taka zwyczajna, Olivio. Zazwyczaj mam do czynienia z primadonnami, które twierdziły, że całymi godzinami przyrządzają swój własny cholerny sos *pesto*...

- Myślisz, że ja bym nie chciała? - zaśmiała się Olivia. - Tylko że do tego trzeba koszarnej ilości bazylii. Dwie wielkie skrzynki na całe okno nie wystarczą, żeby ją wyhodować... - Przechyliła się i podkraǳła Lindzie frytkę z talerza. - Ja też przepadam za frytkami - wyznała. - Wiesz, myślę, że to jest tak: ludzie wiedzą, że przyrządzanie posiłków można traktować jak sztukę, ale w rzeczywistości wystarcza im fasola na grzance.

Przy frytkach Lindy bułka z tuńczykiem straciła jakoś na atrakcyjności. Olivia podkraǳła parę kolejnych.

- Proszę, jedz - Linda przesuwała talerz w jej kierunku. - I tak ostatnio strasznie utyłam. To przez Nancy... Idę do domu i jak dzieci pójǳą spać, a Desa akurat nie ma, otwieram butelkę wina, robię pizzę i pożeram ją w całości. Okropne...

- No to witaj w klubie - Olivia zjadła następną frytkę.

- O czym ty mówisz? Ty wstrętny chudzielcze!

Olivia wzięła kiełbasę.

- Normalnie rzeczywiście chudnę, kiedy jestem w stresie, bo nie mogę wtedy jeść. Ale teraz, chociaż wrażeń mam potąd, jestem gruba jak nigdy w życiu. Jak się człowiek odżywia głównie puszkami i mrożonkami...

- I to mówi kobieta, która waży najwyżej pięćdziesiąt kilo w ubraniu! - jęknęła Linda. - No, ale nie zabrałam cię tutaj, żeby rozmawiać o twojej irytującej figurze... - odłożyła widelec. - Powiedz mi, myślisz o tym, żeby na stałe pracować w telewizji?

Owszem, Olivia wiele myślała na ten temat, zwłaszcza gdy jej program rozszerzono do czterech dni w tygodniu i musiała się zdecydować, czy zrezygnować z nauczania, czy nie. Podjęła wówczas decyzję kompromisową: weźmie bezpłatny urlop do końca roku, a w razie gdyby kariera telewizyjna nie wypaliła - wróci do szkoły. Nie była to łatwa decyzja. Koledzy-nauczyciele bardzo żalowali, że odchodzi, zaś uczniowie - z wyjątkiem Cheryl Dennis - wprost nie mogli pogodzić się z tym, że tracą kontakt z jedyną gwiazdą telewizyjną jaką kiedykolwiek znali osobiście.

- Niech pani przyjdzie kiedyś do nas pogadać, jak już będzie pani naprawdę sławna! - prosili ostatniego dnia, wręczając jej pożegnalne laurki i notesy do podpisu.

- Dawniej wam nie zależało, żebym cokolwiek podpisywała - zażartowała. - Zwłaszcza dzienniczków, kiedy na przykład pytałam waszych rodziców, jak to możliwe, że pies już po raz piąty pożarł pracę domową...

Ze zdumieniem zdała sobie sprawę, że brakuje jej kontaktu z dziećmi. A więc i uczenie może czasem dawać poczucie spełnienia... No, ale trzeba było dać Lindzie jakąś odpowiedź.

- Tak - zdecydowała wziąć byka za rogi.

- To wspaniale, bo właśnie mamy pomysł na show dla ciebie. Chciałam z tobą o tym pogadać, zanim wezwie cię Paul Reddin.

- Show dla mnie? - spytała, zdumiona.

- Czemu się tak dziwisz? Jesteś świetna na ekranie, chyba zdajesz sobie sprawę... Wszyscy o tobie mówią. Chcemy po prostu w pełni wykorzystać nasze odkrycie.

- Wasze odkrycie? - powtórzyła Olivia jak papuga. Zdawała sobie sprawę, jak głupio to wypada, ale była oszołomiona przebiegiem tej rozmowy. Czy Linda proponuje jej prowadzenie własnego programu? A może to sobie tylko wyobraziła?

- Jeśli się nie zgodzisz, zaangażujemy kogoś innego. Ale wiesz, od czasu tego artykułu w „Sunday World” ludzie nie przestają o tobie mówić...

Uśmiechnęła się. Tekst wyszedł spod pióra niewątpliwie oczarowanego dziennikarza-mężczyzny:

*Jedyny powód, dla którego warto oglądać „Telewizję śniadaniową”, to absolutnie rewelacyjna Olivia de Vere. Tylko ona odpowiada za*

*to, że tysiące mężczyzn, do tej pory unikających kuchni jak ognia, obecnie interesuje się głównie tym, co można przyrządzić z czosnku i cebuli. Na tle wyświechtanych komunatów, jakimi częstuje nas wypacykowana do niemożliwości Nancy Roberts, występy pani de Vere wypadają szczególnie świeżo, zajmująco i zabawnie.*

- Jak Nancy to przeczyta, to chyba wyląduje u Jana Bożego - zauważyła Linda. Miała na myśli znaną prywatną klinikę psychiatryczną.

Olivia zagryzła usta, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

- Nie wiem tylko, czy u Jana Bożego leczą zespół zaawansowanej zaćmienia... - poddała się i parsknęła.

- Nie masz się co śmiać - powiedziała, śmiejąc się, Linda. - Nancy zadzwoniła do mnie w niedzielę i nalegała, żebyśmy cię wywalili.

- Naprawdę? - Olivia spoważniała.

- Nie przejmuj się. Powiedziałam jej, że jesteś zbyt ważną postacią w programie, byśmy mieli się ciebie pozbyć, a jeśli ma jakieś problemy, niech się zwróci do Paula Reddina.

- O - Olivia z wrażenia pociągnęła łyk herbaty.

- I naprawdę jesteś dla nas ważna. Zbyt ważna, żebyśmy mieli pozwolić Nancy wszystko popsuć z powodu jej wybujałego ego.

- Czy to właśnie dlatego odeszła poprzednia prezenterka?

-A jak myślałaś? - Linda rozejrzała się, czy nikt nie podsłuchuje. Nie tylko ściany miały uszy w telewizyjnej kantine. - Z wyglądu to była druga Nancy, tylko brunetka i z cieńszą talią, a większym biustem. Theo bardzo ją lubił, podobnie jak my wszyscy, no więc Nancy dała jej kopniaka.

-A powiedz mi - spytała Olivia zniżonym głosem - jak do licha w tej sytuacji w ogóle było możliwe, że ja zostałam przyjęta?

- To nie wiesz? - Linda wyglądała na zaskoczoną. - Max Stewart powiedział Paulowi, że jest przekonany, że będziesz świetna, i w związku z tym ma trzymać Nancy na smyczy, dopóki nie staniesz na nogi.

-Max?

- Nie wiedziałas o tym? Zdawało mi się, że ty i on... no wiesz - Linda była lekko zakłopotana. - Powiedziałaś, że jesteś w separacji, a Max tak się interesował twoją karierą... i w ogóle...

-Ależ nic z tych rzeczy! Max to po prostu dobry znajomy. Szczerze mówiąc, w tej chwili interesuje się moją przyjaciółką, ale nie wygląda na to, żeby któreś z nich wiedziało, co z tym fantem dalej zrobić... It's everything! No powiedz, czy to nie miło z jego strony, że zaprotegował mnie u Paula?

- O rany, przepraszam, Olivia. Ja naprawdę nic nie sugerowałam - Linda ściszyła głos do szeptu. - Po prostu... no wiesz, miałaś pewne...

- Trudności? - podsunęła Olivia.

Linda była naprawdę bardzo zmieszana.

- Wybacz, że posądzałam cię o romans z Maksem... - przerwała na chwilę. - Popełniłam straszną gafę i muszę ją wyjaśnić, nie ma rady. Jeśli zdecydujesz się wziąć ten nowy show, musisz być przygotowana na to, że twoje życie przestanie być twoją osobistą sprawą. Ludzie będą chcieli wiedzieć o tobie wszystko. Dziennikarze będą ci zadawać mnóstwo niedyskretnych pytań - od tego, co jadasz na śniadanie, do tego, z kim sypiasz. Nie zawsze, oczywiście, będziesz musiała udzielać wywiadu-rzeki. Wiele gazet zadowala się banalną dziesięciominutową rozmówką zilustrowaną paroma wytwornymi zdjęciami, ale generalnie powinnaś być przygotowana na najgorsze.

- To znaczy, że ludzie będą chcieli wiedzieć na przykład, czy jestem zamężna, z kim, i dlaczego jesteśmy w separacji?

- Właśnie.

Olivia zamyśliła się. Od czasu separacji całkiem dobrze dogadywali się ze Stephenem. Zamieszkał niedaleko, w wynajętym mieszkaniu, i choć z pierwszego spotkania u terapeuty rodzinnego wyszedł trzaskając drzwiami, obecnie podjął terapię na nowo. Po tym pierwszym razie Olivia była zdruzgotana, ale terapeutka, Myra, zachowała pełny spokój.

- Takie rzeczy są tu na porządku dziennym, kochanie - podsunęła klientce wielkie opakowanie chusteczek do nosa, które trzymała w pogotowiu na biurku. - Zdarzało mi się nawet widywać dużo gorsze...

Olivia nie była w stanie wyobrazić sobie nic gorszego niż facet, który z furją ciska krzesłem i drze się, że nie potrzebuje, byjakiś nie znające życia stare panny pouczyły go, jak ma postępować z żoną. Jednak Myra w ogóle nie czuła się dotknięta. Kiedy Stephen pojawił się ponownie w jej gabinecie, zawstydzony i przygnębiony, powitała go z miłym, pełnym życzliwości uśmiechem.

Od tego czasu zachodziła stała, choć powolna poprawa. Odkrywanie coraz to nowych problemów w ich małżeństwie było niczym zrywanie kolejnych warstw starej tapety. Olivia nie wyobrażała sobie, by mogli poradzić sobie z tym bez pomocy Myry... Nauczyła ich nowych sposobów porozumiewania się, bez krzyku i oskarżania się nawzajem o najgorsze rzeczy. Dowiadywali się o sobie zaskakujących rzeczy: dziwne było na przykład słyszeć, jak Stephen mówi, że czuje się przy niej niepewnie... Olivia nie przypuszczała, że może wzbudzać podobne uczucia. Albo głośne mówienie o tym wszystkim, co ona całe lata chowała głęboko w sobie... Nie było łatwo zdobyć się na taką skrajną szczerłość! Miałaby teraz mówić o tym z dziennikarzami? Wcale nie miała na to ochoty... No, ale przynajmniej nie ma na sumieniu sekretnego romansu z Maksem, którym mogłyby się karmić brukowce. Trzeba będzie podziękować mu, że chronił ją przed Nancy.

- Myślisz, że będą się interesowali wszystkimi intymnymi szczegółami? - spytała.

Linda wyglądała, jakby żałowała, że w ogóle poruszyła ten temat.

- Może tak, może nie - powiedziała z wahaniem. - Nie jesteś Pamela Anderson, ale mimo wszystko jesteś atrakcyjną blondynką... Ludzie będą chcieli wiedzieć, kto jest znaczącą osobą w twoim życiu.

- Może powinnam udawać, że jestem lesbijką - zaśmiała się Olivia.

- To by dopiero narobiło szumu! Ale gdybyś ty powiedziała coś takiego, to może i biedny Theo odważyłby się ujawnić. Upiera się, że ludzie nie są gotowi, by zaakceptować jego seksualną orientację, i na eleganckich przyjęciach zawsze pojawia się z jakąś panienką u boku. Aleja uważam, że ludzie lubiągo jako jego, bez względu na to, czy jest gejem, czy nie... No, ale wracając do tematu - ocknęła się - chciałam cię po prostu ostrzec, żebyś mogła podjąć decyzję świadomie. Pewnie chciałabyś wiedzieć coś bliższego o tym programie, ale nie mogę ci nic zdradzić, dopóki nie powiesz, że jesteś zainteresowana.

- A czy zostałamby też w „Telewizji śniadaniowej”?

- Boże, no jasne. Nie puścimy cię! Taką gwiazdę?

Wszyscy mieli dla niej jakieś rady.

- Znajdź sobie agenta - powiedział Max.

Evie radziła, by Olivia oświadczyła, że musi się namyślić i obiecała dać odpowiedź za tydzień.

- Jeśli zgodzisz się od razu, to będzie wyglądało, że strasznie ci tym zaimponowali - mówiła z namysłem. - Niech trochę poczekają... Jesteś teraz profesjonalistką, nie możesz podejmować nieprzemyślanych decyzji. I spytaj, ile dostaniesz, jeśli powiesz „tak”!

Sybil de Vere natomiast stwierdziła, że nie obejdzie się bez porządnego księgowego i prawnika.

- Te sukinsyny w telewizji zedrą z ciebie skórę - zaskrzeczała swoją pijacką chrypką. - Jakbyśmy mieli z ojcem przyzwoitego specjalistę, który pilnowałby naszych pieniędzy, a nie tego gnojka z banku, byłibyśmy dziś bogaci!

Olivia dobrze wiedziała, że przyczyną ich finansowej miny wcale nie jest „gnojek z banku”, bardzo miły człowiek, który nieraz wyratował jej rodziców z ciężkiej opresji, tylko ich własna lekkomyślność i pijaństwo. Nie było jednak sensu o tym mówić. Scotch i gorzka prawda to nie był ulubiony koktajl matki.

Jedyną osobą, która nie miała dla niej żadnej rady, był Stephen, choć akurat w tym wypadku chętnie by się na niej oparła.

- To twoja praca, Olivio - powiedział spokojnie, kiedy opowiedziała mu o wszystkim przy kawie w McDonald'sie. Wybrali się tam z Sashą. To Myra doradziła im, by zaczęli wspólnie wychodzić, zarówno we dwoje, jak i z dzieckiem.

- Terapia nie ma sensu, jeśli w ogóle nie spędzacie razem czasu. Bez tego nie jesteście w stanie sprawdzić, czy działa - powiedziała szorstko.

- Nie chcę cię zmuszać do robienia czegoś, co ja uważam za słuszne. Zda-  
je się, że dość cię już w życiu nazmuszałem - ciągnął ze smutkiem Stephen. -  
Kontrola twojego postępowania to nie jest to, czego teraz potrzebujesz.

- Zupełnie jakbym słyszała Myrę - zauważyła Olivia, rozbawiona.

Z twarzy Stephena zniknął wyraz napięcia.

- No wiesz... Nie jest łatwo mówić jak psychiatra - wyznał otwarcie. -  
Wiem, co powinienem powiedzieć, ale mało brakuje, żebym znowu wsko-  
czył w swoje „To jest jedynie słuszne!” Dopiero po chwili uświadamiam so-  
bie, że nie jestem już marszałkiem MacKenzie. Nie jest łatwo przełamać sta-  
re nawyki... Jeśli kontrola cudzego zachowania przynosi pożądane przez ciebie  
rezultaty, to kontrolujesz! Tak było ze mną. Kontrolowałem ciebie, Sashę,  
moich pracowników... - Spojrzał w bok. - Trudno to zmienić. To tak, jakbyś  
się uczył obcego języka.

- Czyli terapia ci pomaga? - po raz pierwszy spytała o to wprost. Była  
poruszona jego szczerością. Skoro traktuje terapię poważnie, to znaczy, że  
jest przed nimi realna szansa...

Stephen patrzył na Sashę bawiącą się zabawką ze swojego zestawu.

- Tak jakby... Myślę, że jestem jednym z tych ludzi, którzy mają sobie  
jakaś... jakby to powiedzieć... - przerwał na chwilę-...ciemność. Nie wiem  
dlaczego, ale domyślam się, czym to było dla ciebie. Mam tylko nadzieję, że  
zdołam sobie z tym poradzić i że do mnie wrócisz. Przepraszam... - spojrzął  
na nią i w tym momencie wydało jej się, że zmiotł się. - Nie powinienem  
tego mówić.

Wyglądał tak rozpaczliwie, że Olivia niemal gotowa była poddać się i po-  
wiedzieć: dobrze, wróć, żyjmy razem. Ale nie mogła. Za wiele przeszła. Gdy-  
by się teraz poddała, na pewno gorzko żałowałaby tego impulsu... Nie mogą  
być razem, dopóki nie zostaną naprawdę uleczeni.

- To prawda. Nie powinienesz - powiedziała łagodnie. - Ale rozumiem,  
dlaczego to zrobiłeś. Po prostu potrzebujemy więcej czasu...

Ich oczy spotkały się ponad stołem. Stephen nachylił się i wziął jej dłoń  
w swoją.

- Mogę poczekać - powiedział gorączkowo. - Jesteś teraz całkiem inna...  
nie tylko piękna, ale i pewna siebie... Wiesz, boję się, że spotkasz kogoś inne-  
go, kto nie potrzebuje żadnej pieprzonej terapii, żeby nie krzyczeć na własne  
dziecko!

Olivia spiorunowała go wzrokiem.

- Język! - syknęła. Rzuciła szybko okiem na Sashę: gadała coś do siebie  
i swojej nowej zabawki.

- Przepraszam. Chciałem powiedzieć, ojca, który nie potrzebuje terapii,  
żeby nie przeklinać w obecności dziecka - poprawił się ze skruchą. Nadal ścis-  
kał jej dłoń, ale głos zniżył do szeptu. - Jest mi wszystko jedno, co robisz,  
byłbym miał ciebie. Rozumiesz? Kocham cię. Nie zapominaj o tym... I o mnie.

Pogładziła wolną ręką nabrzmiałe żyły na jego dłoni.

- Nie interesuje mnie nikt inny, Stephen. I nigdy nie będzie nikt poza tobą. Ale nasz związek musi się zmienić. Jeśli to, co nas łączy, jest coś warte, musimy o to powalczyć.

Skinął głową. Olivia zauważyła, że oczy ma pełne łez. Twardy facet, Stephen MacKenzie, płacze w barze McDonald's, na oczach ludzi! To niemiarygodne. I obiecujące...

Uśmiechnęła się do niego. Oboje się zmieniają, dzięki Bogu.

Lorraine przeczuciła obojętnie stronicę „The Star”. Nic jej specjalnie nie zainteresowało. Zatrzymała się dopiero nad zdjęciem wytwornej kobiety w pofabrykowanej sukni.

- Powiedz, nie chciałabyś co wieczór chodzić na jakieś przyjęcia czy premiery? - westchnęła marząco.

- Yhy - mruknęła Evie w odpowiedzi. Porę lunchu spędzała pracowicie: odhaczała w specjalnym notesie, komu zostały już wysłane zaproszenia na ślub.

- Spójrz na tę suknię. Pewnie kosztuje ze dwa tysiące funtów... I na pewno wcale nie musiała za nią zapłacić. Ktoś taki jak Mia Koen dostaje od projektanta suknię za darmo, byle tylko pozwoliła się w niej sfotografować...

Evie wyszarpnęła gazetę z jej rąk. No tak... Nie przesłyszała się.

Jak normalna kobieta może w ogóle konkurować z czymś takim? - pomyślała z furją. Mia miała na sobie obcisłą, uwydatniającą pośladki, naszywaną dżetami suknię, wyciętą tak głęboko, że brzeg dekoltu niemal stykał się z obrąbkiem. Wsparta na ramieniu znanego piosenkarza, wychodziła z jakiegoś prywatnego przyjęcia w hotelu „Merriion”. Orzechowe włosy w naturalnych skrętach spływały na szczupłe ramiona. Śmiała się, rzekomo nie zdając sobie sprawy, że jest fotografowana... Krowa! Evie dałaby głowę, że ta baba wyczuwa fotografa z odległości pół kilometra.

Wpatrywała się w fotografię, szukając na niej Maksa. Owszem, w le stały jakieś osoby, ale żadna z nich nie była wysokim dragalem o ramionach Waligóry i szczękach, które mogłyby zmiażdżyć marmur. A przecież powinien tu być... Rosie powiedziała, że wrócił do Dublinu. Evie miałyby naturalnie chęć wypytać ją o niego bardziej szczegółowo, ale nie odważyła się. Chyba by dostała zawału, gdyby się dowiedziała, że są razem... Oszołamiająca para: znany producent telewizyjny i kobieta, z której zrobił gwiazdę.

- Ładna, nie powiem - Lorraine pociągnęła nosem. - Ale i tak mi się nie podoba. Niesympatyczna, jakby się kto pytał.

- Powiedziałałabym raczej, że zarozumiała - powiedziała Evie z goryczą. I nic dziwnego, że zarozumiała... Miała przecież wszystko, o czym można marzyć. Wszystko, o czym marzyła Evie.



Rozległ się sygnał interkomu. Nicky Wentworth. Nowy szef, olśniewający blondyn, który doprowadzał do ekstazy Lorraine i resztę żeńskiej części zespołu już choćby dlatego, że mówił chropawym północnym akcentem.

- Wiem, Evie, że mamy właśnie przerwę, ale czy nie mogłabyś wpaść do mnie na minutkę?

Lorraine wystawiła język i zaczęła naśladować ziajanie psa.

- Szczęściara... Jakby tak mnie poprosił na minutkę do swojego gabinetu, nawet w czasie lunchu, pognałabym galopem!

- Panna puszczałska - odwzajemniła się Evie, również pokazując język. - On mnie w ogóle nie interesuje.

- Chyba wyłącznie ciebie - powiedziała Lorraine marząco.

## 15

**Z**e wzrokiem utkwionym w ekran komputera Cara zmieniła pozycję Saturna, tak że był teraz trzecią planetą w Układzie Słonecznym, licząc od Słońca. Nie miała pojęcia, po co wprowadzać taki bałagan w astronomii... Tylko dlatego, że dyrektor kreatywny życzył sobie, by „ta planeta z pierścieniami” znalazła się bliżej krawędzi reklamy! No to idźmy na całość... Wykonała kolejny manewr i w rezultacie Ziemia była teraz położona najbliżej Słońca. Jeśli jakiś astronom zwróci uwagę na te fatalne dla ludzkości zmiany, nie ona będzie odpowiadać, tylko dyrektor. Facet z takim fiołem na punkcie reklamy, że nie miał pojęcia, iż Milky Way to również Droga Mleczna, a nie wyłącznie batonik.

Zajęta pracą, nawet się nie odwróciła, kiedy usłyszała dźwięk otwieranych drzwi.

- Mam nadzieję, że kupiłaś jakieś żarcie, Penny? - mruknęła. - Życie bym oddała za porcję frytek...

- Nie, ale skoro gotowa jesteś posunąć się tak daleko, mogę cię zabrać później na kolację - usłyszała dobrze znany głos.

Odwróciła się jak rażona gromem, upuszczając elektroniczny ołówek. O futrynę opierał się Ewan, zrelaksowany i świeżutki nawet w tym pozbawionym klimatyzacji bocianim gnieździe. W opalonej na kolor karmelu twarzy lśniły zielone oczy. Włosy miał dłuższe niż zwykle: ciemne, wijące się, sięgały kołnierzyka wyłożonej na spodnie khaki białej lnianej koszuli. Wyglądał jak obieżyświat, który właśnie wrócił pieszo z Maroka.

- Cześć - powiedziała, czerwieniąc się. Czemu jej nie uprzedził o swoim powrocie? Po dwu tygodniach urlopu wygląda rewelacyjnie, a ona? Tłuste włosy, puste oczy... Kolejną noc spędziła na pocieszaniu Phoebe, a poza

tym miała na sobie beznadziejnie spłowiały, przyciasny brązowy T-shirt, w dodatku z dziurą pod pachą. Od powrotu z Hiszpanii nie zdołała zrobić prania.

- Fajnie było na urlopie? - spytała.

- Super. Byłem w Tunezji. - Nie mszał się, wpatrywał się tylko w nią intensywnym spojrzeniem. - A tobie jak było?

- Też super. Mieliśmy w Hiszpanii znakomitą pogodę, więc praktycznie cały czas się opalałam, choć tak w ogóle nie jest to moje ulubione zajęcie, jak wiesz - gadała szybko, usiłując wypełnić czymś nabrzmiałe znaczeniem milczenie.

- Ken mówił, że szukałaś mnie na początku tygodnia.

- Taak... Chciałam ci powiedzieć cześć. Nie! - podeszła do niego. Musi to powiedzieć! Nie ma sensu czekać, aż będzie odstawiona jak stróż w Boże Ciało. - Chodziło mi o coś więcej... Chciałam ci powiedzieć, że nie mogę bez ciebie żyć i że strasznie żałuję, że tak cię skrzywdziłam. Zaczniemy jeszcze raz, dobrze?

Byli praktycznie tego samego wzrostu. Cara, stojąc w odległości najwyższej trzydziestu centymetrów od Ewana, z napięciem wypatrywała w jego twarzy oznak, że zrozumiał, że się zgadza... Że jej jeszcze chce!

Przez kilka okropnych chwil nie mówił ani słowa. Potem objął ją w pasie. Ich usta złączyły się. Całowali się i ściskali szaleńczo, jak gdyby nie wierzyli, że to rzeczywistość, a nie marzenie.

- Och, Ewan! Jaka byłam głupia! Tak strasznie za tobą tęskniłam... - mówiła z ustami w jego włosach. Na karku, tam, gdzie przebiegał wąski biały paseczek, czuła wargi Ewana.

- Ja też - powiedział ochryple.

- Chciałam ci powiedzieć już w poniedziałek. Myślałam o tym przez cały urlop... To wszystko przez te moje głupie neurozy. Kogo obchodzi, czy chodzimy ze sobą, czy nie?

- No właśnie - jego usta znalazły się w zagłębieniu między obojczykami.

- Był pewien powód - Cara poczuła, jak pożądanie szarpnęło jej wnętrznościami. - Głupi, ale jednak był. Chciałabym ci o tym opowiedzieć. To się zdarzyło, kiedy byłam na studiach... i dotąd sobie z tym nie poradziłam.

Ewan gwałtownie uniósł głowę. W twarzy miał niepokój.

- Co się zdarzyło na studiach?

Jego usta były nabrzmiałe od pocałunków, a w rozszerzonych pożądaniem żrenicach widziała odbicie własnych oczu. Nieoczekiwanie zdecydowała, że powie mu później. Przecież mają przed sobą całą wieczność.

- Pogadamy o tym wieczorem - nachyliła się i znów zbliżyła usta do jego ust - w łóżku...

Kiedy pięć minut później Penny wspięła się po schodach do działu grafiki, ostrożnie niosąc dwa kubki herbaty i ciastka „Kit-kat”, zobaczyła swoją szefową ciasno owiniętą wokół kogoś, kto wyglądał na Ewana Walshe

z copywritingu, świetnego faceta, nawiasem mówiąc. To znaczy Penny wydawało się, że to on, ale nie była pewna, gdyż twarz krył podkoszulek Cary.

Zamknęła drzwi najciszej jak mogła, zeszła na półpiętro i otworzyła paczkę ciastek. Gdyby mogła wyglądać równie egzotycznie i oryginalnie jak Cara... Te wysokie kości policzkowe, duże czerwone usta, kędzierzawe czarne włosy... Taka uroda to dopiero zwraca uwagę! Kiedy były razem na lunchu, faceci zawsze patrzyli na nią z podziwem. Ach, żeby tak na nią kiedyś kto patrzył: pożądliwie, a mimo to z szacunkiem. Tak jakby Cara ich fascynowała, a równocześnie bali się jej.

Dokończyła „Kit-katy”. Gdyby istniała reinkarnacja, życzyłyby sobie w kolejnym wcieleniu nosić ciało Cary Fraser. Bez dwóch zdań.

Mary Todd wyglądała na wystraszoną. Evie starała się tym nie przejmować. Przyszła teściowa zawsze tak wyglądała.

- Myślisz, że będziemy w stanie uprawiać taki wielki ogród? - spytała Mary niepewnie. Zupełnie jakby działka to było kilkunastohektarowe pole, a nie wąski, długi pasek nieużytku, który nawet Evie, na swoich krótkich nóżkach, mogła przemierzyć w piętnastu dużych krokach.

- Jasne - odparła, zniecierpliwiona. Z pewnością nie Mary będzie doglądać ogrodu... Po chwili jednak zrobiło jej się żal starszej pani.

- To może być zabawne, Mary - objęła ją ramieniem. - Wyobraź sobie to wszystko uporządkowane: trawnik, być może jakieś zioła, żeby pięknie pachniało, kwiaty w wielkich donicach... I jakieś ładne leżaki, żebyśmy miały gdzie posiedzieć w słoneczne dni.

Mary nie wyglądała na przekonaną. Krucha, drobna siedemdziesięciolatka, nieustannie lękała się a to popękanych płyt chodnikowych, a to mokrych liści, na których mogłaby się, pośliznąć i złamać nogę... A w domu, który oglądały, na patio było więcej płyt popękanych niż całych. Jeśli Mary ma kiedykolwiek odważyć się wyjść na zewnątrz, trzeba będzie wszystkie zerwać i kłaść od nowa.

A co z Rosie? Tak beztrzesko rozrzuca wszędzie czasopisma, szkolne torby, rakiety tenisowe... Jak Mary to zniesie, kiedy zamieszkają pod wspólnym dachem?

Dom był co prawda wystarczająco duży dla czworga osób. Parterowy aneks obejmował jedną sypialnię, mały salonik i prysznic; resztę domu stanowiły cztery sypialnie, salon połączony z jadalnią dwie łazienki i duża kuchnia. Był to jedyny dom tej wielkości, na jaki mogliby sobie pozwolić: wymagał renowacji, a więc kosztował odpowiednio mniej, choć i tak niemało. Patrząc na jeszcze przedwojenny wystrój, Evie myślała ponuro, że już do końca życia będą zrywać stare tapety i cyklinować podłogi.

- Bo ja wiem, czy to odpowiedni dom - w głosie Mary była obawa. - Simon powiedział, że mi się spodoba, ale wcale nie jestem pewna...

Evie zbluzgała w myśli Simona i całe to spotkanie, którego podobno nie mógł uniknąć. Dzięki temu musiała stracić bezcenną połowę wolnego dnia, by oprowadzić jego matkę po posesji, którą wypatrzył. „W sam raz dla nas, Evie!” - twierdził z entuzjazmem.

- Mary, dom musi się podobać nam wszystkim - powiedziała, znużona. - Twoja opinia jest tak samo ważna jak Simona. Jeśli ci się nie podoba, to przecież może wyszukać inny...

- Ale ślub już za dwa tygodnie. Musimy podjąć decyzję, zanim wyjedziecie do Grecji - Mary nerwowo ścisnęła rączkę swojej ulubionej torebki z czarnej skórki.

- A jak nie podejmiemy, to co? - spytała ze sztuczną beztroską. - Możemy to zrobić później... Jesienią domy będą tańsze.

Umieściła Mary na miejscu pasażera, wsiadła i zamknęła drzwi. I oczy. Czowała się kompletnie wyczerpana. A dzień się jeszcze nie skończył... Z hotelu zadzwonili, żeby wpadła omówić jeszcze parę szczegółów dotyczących wystroju sali bankietowej. Koordynator był przez telefon niezwykle tajemniczy, mamrotał jedynie, że „należy mieć absolutną pewność, iż wszystko jest związane na ostatni guzik”. Co oznacza, że straci kolejne dwie godziny na jazdę tam i z powrotem do centrum.

Zostawiła Mary w przestronnej recepcji hotelu „Duchess of Ormond” nad filiżanką kawy, a sama poszła za koordynatorem przyjęcia na górę, do sali bankietowej. Tu czekały na nią złe wiadomości.

Sala, którą zamówili z Simonem, została uszkodzona przez ogień. Była najładniejsza ze wszystkich - miała taras, z którego goście mogliby oglądać panoramę Dublina, sącząc drinki wśród białych, podobnych do gwiazd kwiatów, wypełniających włoskie donice. Pozostała jedynie sala dwukrotnie większa niż ta, którą wybrali. Zdecydowanie za duża jak na skromną raczej liczbę gości, mających reprezentować obie rodziny.

- Strasznie, strasznie nam przykro - powtarzał koordynator chyba już po raz ósmy. - Wiem, że marzyli państwo o „Lenster Suite”, ale „Munster Suite” też jest bardzo miła... A poza tym mój szef zdecydował, że policzymy państwu tylko połowę za wino, w ramach rekompensaty.

Evie rozejrzała się po ogromnej, utrzymanej w chłodnym błękitcie sali. Garstka gości będzie tu sprawiać wrażenie pam ostatnich zapałek w pudełku... Sala miała oficjalny wygląd i nie była nawet w połowie tak sympatyczna jak żółta, bardzo przytulna, z utrzymanymi w złocie gzymsami i brokatowymi zasłonami w kolorze nagietków, opadającymi we wdzięcznych fałdach ku lśniącemu parkietowi.

- Nic poza tym nie możemy dla państwa zrobić - powiedział z rozpaczą koordynator, widząc przygnębienie Evie. Nie mógł wiedzieć, że nie myśli

w tej chwili wyłącznie o sali. Myślała o tym, że to kolejny zły omen dla tego związku.

- W porządku - powiedziała automatycznie.

Uznała, że nie będzie mówiła Mary o katastrofie z salą. Gdyby to zrobiła, musiałyby wynająć pokój w hotelu, by starsza pani mogła się na godzinę położyć i otrząsnąć z szoku. Aż trudno uwierzyć, że matka Simona jest tylko trochę starsza od Vidy... Tamta jest nie tylko atrakcyjna, ale i pełna życia. Rzuci się na nie z pasją nastolatki. Nigdy by jej nie przyszło do głowy, żeby zamieszkać z synem i jego żoną w charakterze babci! Gdyby w wieku Mary żyła w pojedynkę, najprawdopodobniej popłynęłaby w rejs, nauczyła się tańczy lambadę, chodziłaby ze znajomymi mężczyznami na kolacje, zapisałaby się na kurs komputerowy...

- Jakies kłopoty? - spytała Mary nerwowo, gdy Evie wstąpiła, by ją zabrać. Ręce jej drżały.

- Skąd, wszystko w porządku - skłamała Evie gładko.

Nie mogła jednak skłamać Simonowi. Oznajmiła mu nowinę zaraz po przyjeździe do niego, gdy matka w jadalni czekała na pierwsze danie. Simon, wprost z pracy, zdjął okulary i przez parę minut masował palcami nosa.

- To za wiele - odezwał się w końcu, mrugając swoimi oczami krótkowidza. - Za wiele, żeby sobie z tym poradzić.

Lewa ręka zaczęła mu drżeć. Dokładnie jak u jego matki... W górę i w dół, w górę i w dół. Jezus Maria... Evie wpatrywała się w ten widok, przerażona. Dlaczego dotąd tego nie zauważyła? A może to zaczęło się dopiero teraz?

- Spokojnie, Simon. Nie panikuj. To przecież tylko sala, a nie koniec świata...

- Strasznie się zdenerwowałem w pierwszej chwili - powiedział nieco pewniejszym głosem. Ręka przestała drżeć. Bezwiednie przegarnął włosy palcami raz i drugi, tak że sterczały teraz w bezładnych kępkach. - Najpierw matce nie podoba się dom, chociaż jest naprawdę idealny... a teraz to. Nie wiem, czy zdołam więcej udźwignąć.

Nie wiem, czy udźwigniemy oboje - pomyślała Evie.

- Simon - powiedziała głośno - może byśmy otworzyli butelkę wina do kolacji? To mi dobrze zrobi.

- Picie to nie rozwiązanie - odparł piskliwym głosem.

- W takim razie naleję sobie sherry - powiedziała ponuro.

Simon poszedł powiedzieć matce o problemie z salą - bez sensu, zdaniem Evie - ona zaś wysączyła sherry i nalała sobie kolejny kieliszek. Tym razem po brzegi, a nie do połowy.

Straszne - pomyślała, sprawdzając nożem ziemniaki, czy już gotowe. Zmienia się w pijaczkę... Do tej pory to ona przecież stale krytykowała Carę, że za dużo pije. I oto w ciągu miesiąca sama dwukrotnie przedawkowała: po

przyjeździe do Hiszpanii zalała się w trupa, a w czasie panieńskiego wieczoru wypła co najmniej sześć kieliszków wina.

Poczuła, że uginają się pod nią nogi, jak zawsze, gdy myślała o tamtej nocy. O tamtej nocy, gdy kochała się z Maksem... Nie mogła nic na to poradić: to była reakcja automatyczna, tak samo jak uśmiech na widok małego dziecka czy dreszcz obrzydzenia na myśl o szczurze. Max, Max, Max... Wciąż przebiegał jej przez głowę, zupełnie jakby miała tam ukryty mechanizm, wystukujący alfabetem Morse'a stale to samo imię.

Simon wrócił do kuchni. Nachylił się nad rondlem i natychmiast zaparowały mu szkła. Czy on się kiedykolwiek nauczy, żeby tego nie robić? Miała ochotę go walnąć. Irytował ją jak cholera. Aza dwa tygodnie wychodzi z tego mężczyzną... I spędzi z nim resztę życia, zirytowana. Nogi znów się pod nią ugięły, choć tym razem nie na myśl o Maksie.

- Proszę - wręczyła Simonowi dwa talerze sałatki z pomidorów i sera feta, którą przyrządziła na pierwsze danie. Nie zwracała sobie głowy myciem lodowej sałaty - na pewno Mary odkryje jakieś żyjątka w swojej porcji... - Zanieś to. Ja zaraz przychodzę.

Mary postanowiła nocować u Simona, co oznaczało, że Evie nie może. Skądinąd było jej to na rękę - nie miała nastroju do miłosnych wzlotów, niemniej drażniło ją, że obecność matki automatycznie równa się jej nieobecności.

- Przecież nie bierzesz sobie panienki do łóżka na jedną noc - powiedziała zgryźliwie. - Mamy się pobrać, Simon. Poza tym nie będziemy rzucać się na siebie, kiedy ona ogląda „Antiques Roadshow”...

- Wiem... Ale moja matka jest bardzo staroświecka. Ma sztywne poglądy... Zupełnie jak jej syn - pomyślała.

Na sobotnie przyjęcie u Olivii Cara przytargała dwie butelki czerwonego wina, tort serowo-truskawkowy, który kupiła w delikatesach - i Phoebe.

- Nie mogłam zostawić jej samej - szepnęła do Olivii, gdy wkładały do lodówki tort Cary, i pokrótce opowiedziała jej historię.

- Biedne dziecko... To jasne, że należało ją zabrać - Olivia postanowiła, że zrobi co może, by Phoebe poczuła się jak u siebie.

- Kto co pije? - spytała Olivia, wracając do salonu z winem wodą mineralną i sokiem. - Ty, Cara, z pewnością wino - powiedziała kpiąco - ale jeśli chodzi o mnie, to wyłącznie sok. Czeka mnie jutro trudny dzień.

- Mnie też - Phoebe natychmiast chwyciła się wymówki, jaką jej celowo podsunęła.

- O, jak się cieszę! W towarzystwie twojej ukochanej przyjaciółki często czuję się jak pocziwa staruszka, bo nie mam chęci zalać się w trupa. Kiepski ze mnie kompan do kieliszka... - podała jej szklanekę soku.

Phoebe przyjęła ją z uśmiechem. Kiedy nie patrzyła, Cara rzuciła Olivii pełne wdzięczności spojrzenie.

Vida przysłała z bukietem wonnych lili, paroma butelkami Frascati i kilka opakowaniami biszkoptów „Amaretti”.

- Mam dziś nastrój na Włochy - zażartowała, całując **Olivia** na powitanie. - Gratulacje z okazji nowego programu, malutka! Musisz mi o nim wszystko opowiedzieć. Cześć, Cara. A to pewnie twoja współlokatorka, Phoebe? Witaj, kochanie! Cara zawsze mówiła, że jesteś bardzo ładna, i widzę, że nie kłamała!

To właśnie należało powiedzieć. Phoebe, która akurat tego dnia wyglądała nieszczęśliwie, uśmiechnęła się do Vidy promiennie.

- A teraz usiadźmy i opowiedz mi wszystko o mojej przybranej córce - ciągnęła Vida konfidencjonalnym tonem. - Niech nareszcie znam prawdę. No wiesz, ile zarabia, ile pożera na tydzień tych przeklętych lodów czekoladowych...

Phoebe zachichotała. Olivia i Cara westchnęły z ulgą. Vida zawsze wiedziała, co powiedzieć.

Dwadzieścia minut później Evie i Rosie wtaszczyły do mieszkania kolejne wino, butelki wody mineralnej i wielki garnek zupy pieczarkowej własnoręcznie przyrządzonej przez Evie. Jej aromat pomieszał się z dochodzącą z kuchni niebiańską wonią słynnego makaronu Olivii, zapiekanego z owocami morza.

- Nieźle pachnie - Phoebe łakomie pociągnęła nosem.

- Przepraszamy za spóźnienie - włączyła się Rosie. W czarnym kombinezonie z lycry i zamszowych butach, wyglądała, jakby szła na całonocną imprezę w dyskotecę. - To moja wina. Za późno wróciłam z zakupów - wykonała piruet. - Trzydzieści dziewięć dziewięćdziesiąt dziewięć, w „Miss Selfridge”. Jak wam się podoba?

- Jakby na mnie pasował, chętnie bym od czasu do czasu pożyczyła - mruknęła Cara z zazdrością.

- Na mnie z pewnością nie będzie teraz pasował - dłoń Phoebe powędrowała ku nieistniejącemu brzuchowi.

- Ale co ty mówisz! Masz z natury doskonałą budowę - Vida poklepała ją po ręce. - Nigdy nie będziesz miała problemów z sylwetką, jak inne...

Bawiły się znakomicie. Jedzenie było świetne, a konwersacja kwitła. Sasha teoretycznie była już w łóżku, pozwolono jej jednak wstać, by ciotki mogły japorozpieszczać. Najpierw pokazała wszystkim domek dla lalki, który kupił jej tata, potem zaś narysowała obrazek zatytułowany „Tata i mama mieszkają razem”. Z dumą podsuwała go wszystkim przed oczy.

Oczy Olivii wypełniły się łzami, ale nie były to łzy smutku. Kiedy Sasha poszła z powrotem do łóżka wraz z całą gromadą przytulank, wszyscy stłoczyli się wokół Cary, która opowiedziała, jak schowali się z na wpół rozebranych

Ewanem pod stolikiem komputerowym, gdy usłyszeli na schodach kroki Bernarda.

- Penny wyszła i zaczęła wciskać Bernardowi, że w pokoju nie ma nikogo i że nie widziała, bym wychodziła na zewnątrz, więc z pewnością muszę gdzieś tu być! - zanosila się śmiechem Cara. - Ewan wsadził mi koszulę do ust, bo śmiałam się jak głupia... I trochę mu ją pogryzłam. Powiedział, że właśnie ją kupił, żeby zrobić na mnie wrażenie!

Olivia opowiedziała o swoim nowym programie, który wkrótce miał wystartować. Miał to być rodzaj popołudniowego talk-show. Rozmowy byłyby przeplatane nagranych przez reporterów kawałkami na temat różnych lokalnych wydarzeń. Nancy Roberts dowiedziała się o tym od ludzi i ze złości rozbiła szklany stolik w swojej garderobie. Wiaderkiem do lodu.

-A było wręcz bezcenne - Olivia ocierała łzy śmiechu. - Nina, jej asystentka, wyleciała na zewnątrz, bo bała się, że Nancy zasztyletuje ją kawałkiem szkła... Nikt nie odważył się wejść, żeby posprzątać, bo miotała się jak opętana. Kevin zamknął ją na klucz, dopóki się nie uspokoiła.

Rosie miała do przekazania mnóstwo podobnych opowieści z planu. Mia Koen zaczęła z reguły odmawiać przebierania się w kostium, dopóki nie zobaczy jej Max.

- Co za dziwka! - Rosie nie przebierała w słowach. - Włóczy się po terenie w takim przezroczystym białym szlafrocisku, dopóki nie przyjdzie Max. Dopiero potem idzie do ubieralni. Codziennie rano nie można się mszyć, żeby nie natknąć się na jakiegoś technika, który usiłuje podejrzeć jej biust... Co nie znaczy, że go ma - prychnęła z pogardą.

Vida zauważyła, że jedyną osobą, która nie skręcała się w konwulsjach śmiechu, była Evie. Dziwnie milcząca, na wzmiankę o Mii Koen zesztyniała i przestała jeść. Siedziała, grzebiąc bezmyślnie widelcem wśród kawałków dorsza i dorodnych, soczystych małży. I schudła - uświadomiła sobie Vida. W oczach nie było blasku, jak wtedy, w Hiszpanii... Czyżby przyczyną był Max?

Vida nie lubiła się wtrącać. Ale czy ma pozwolić biednej Evie wyjść za tego Simona, sympatycznego, ale słabeusza, skoro jest zakochana w Maksie? Może trzeba ją trochę przycisnąć?

-A jak tam przygotowania do ślubu, Evie? - spytała z ożywieniem.

- Okropnie - powiedziała Evie bezbarwnym głosem. - Simon wyszukuje wciąż nowe domy, ale jego matce żaden się nie podoba. Weselne przyjęcie odbędzie się w innej sali, okropnej, bo w tej, którą zamówiliśmy, był pożar. Jak tak dalej pójdzie, to w sklep ze ślubnymi strojami walnie piorun, a Kreta zniecka pograży się w morzu. Nie będzie sukni, nie będzie miodowego miesiąca...

Zapadła cisza.

- Może dolać wina, dziewczyny? - spytała w desperacji Olivia.



Vida poczekała, dopóki Evie nie poszła do łazienki. Wśliznęła się za nią i zamknęła drzwi.

- Pogadajmy, Evie.

Evie milczała. Nie była w stanie o niczym rozmawiać. Przesiadła ciężko na brzegu wanny i utknęła wzrok w biało-niebieskiej posadzce.

- Max powiedział mi przedwczoraj coś dziwnego - powiedziała powoli Vida.

Evie uniosła głowę. Każdy nerw w jej ciele wibrował, niczym czułka owada wrażliwe na najbliższy powiew wiatru.

- Tak?

Vida zdawała się zastanawiać, czy ma to powiedzieć, czy nie.

- Chyba powinnam zacząć od tego, że w Hiszpanii zauważyłam, że macie się z Maksymem ku sobie. Wystarczająco dużo czasu spędzaliście z sobą - uśmiechnęła się na wspomnienie. - Ale uważam, że rzeczy powinny iść swoim torem. Nie wtrącaj się - to moja dewiza. Poza tym myślałam, że jesteś szczęśliwa ze swoim narzeczonym, że wybrałaś właściwego człowieka...

- Skąd można wiedzieć, który to jest ten właściwy? - spytała Evie, przybita.

- To się po prostu wie. Co do mnie, to nie miałam wątpliwości, że ojciec Maksy, Carlos, jest tym właściwym, tak samo jak byłam pewna, że mój drugi mąż nie jest. Pomimo to wyszłam za niego i nie masz pojęcia, malutka, jacy byliśmy oboje nieszczęśliwi w tym związku. Nie wiem, czy w zaświatach istnieje piekło, ale wiem, że my z Danem stworzyliśmy je sobie nawzajem tu, na ziemi.

- Więc dlaczego za niego wyszłaś? - Evie nie spuszczała z niej oczu.

Vida położyła na sedesie jeden z puchatych, białych ręczników Olivii i usiadła.

- Zналиśmy się od dawna, a ja czułam się samotna. On był przyjacielem Carlosa i wydawało mi się, że jest dla mnie miły. Jeździliśmy do Kolorado na weekendy do San Francisco... Po śmierci Carlosa byłam jak sparaliżowana, a Max studiował w Irlandii. Nie wiem dobrze jak to się stało, ale któregoś dnia Dan poprosił mnie, żebym za niego wyszła, a ja powiedziałam „tak”. Nigdy nie patrzyłam na niego jak na ewentualnego męża, ale był dobrym człowiekiem, a ja nie chciałam być sama. Pobraliśmy się, i od tego czasu zaczęły się kłopoty.

- Jakie? - spytała Evie uprzejmie, myśląc o swoich własnych, przywołanych tą opowieścią.

- Dan był koszmarne apodyktyczny. O Boże, zapaliłabym - Vida rozjeżdżała się dookoła, jak gdyby licząc, że Olivia trzyma tu gdzieś paczkę papierosów i zapalniczkę. - Wtedy paliłam i wystarczy, że mówię o Danie, a mam chęć na gauloise'a... On tego nie cierpiał, ale nie potrafiłam rzucić palenia

dla niego. Zrobiłam to dla twojego ojca - uśmiechnęła się. W twarzy miała wyraz czułości.

- Dan nie mógł znieść, jeśli wychodziłam gdzieś, nie mówiąc mu dokładnie dokąd i z kim - ciągnęła. - Uważał, że powinna mi wystarczyć praca charytatywna - był bogaty i oczekiwał, że jako żona człowieka zamożnego będę zasiadała w rozmaitych komitetach wraz z innymi żonami. Ale ja całe życie pracowałam w szpitalnej administracji i nie mogłam rzucić pracy po to, by siedzieć w domu, za jedyną rozrywkę mając zakupy i od czasu do czasu posiedzenie jakiegoś dziwnego komitetu... Dan nie mógł się z tym pogodzić. Chciał mieć żonę tylko dla siebie, żeby czekała na niego, kiedy wieczorem wraca do domu... Jednym słowem, żonę modelową.

- To przypomina naszego dobrego znajomego, Stephena MacKenzie - uśmiechnęła się mimo woli Evie.

- Właśnie! Stephen to kopia Dana. Przyznam ci się, Evie, że nie lubię tego faceta... Wątpię, czy się kiedykolwiek zmieni.

-Ale Olivia powiedziała, że chodzi z nią na terapię! - zaprotestowała Evie.

- O! - Vida była zaskoczona. - Miło to słyszeć! Bardzo się będę cieszyć, jeśli zdoła się zmienić, ze względu na Olivie. Zasluguje na sensownego mężczyznę... A wracając do Dana, to, niestety, psychiatra by mu nie wystarczył. Jemu byłaby potrzebna transplantacja mózgu.

- No i jak to się skończyło?

- Po siedmiu latach udreki Dan był uprzejmy rozwalić łódź motorową. Płynął sam, na szczęście, więc nikt nie mógł mnie posądzać, że celowo wprowadziłam łódź na skały, a sama zdołałam wyskoczyć - dodała ironicznie. - Ale też nikt, kto znał nas jako parę, nie byłby zaskoczony, gdybym go naprawdę zamordowała.

Evie nie mogła powstrzymać uśmiechu. Przypomniała sobie swoje pierwsze skojarzenie w związku z Vidą: że to czarna wdowa, która poślubia, by zabić. Co za pomyłka... I jak to było nieładnie z jej strony!

- Wstydę się, że na początku byłam dla ciebie taka okropna - powiedziała szczerze.

- Ćśś... Skończone, zapomniane - Vida zamachała ręką. - Wiem, że to było dla ciebie trudne... Kochałaś matkę, a z ojcem byłaś bardzo związana. Ale patrz, jak dobrze działa ten układ!

- W moim życiu była wtedy pustka - powiedziała Evie smętnie. - Musiałam mieć kogoś, do kogo mogłabym wpaść na weekend, o kogo mogłabym się troszczyć... Rosie już się do tego nie nadawała: była zbyt dorosła. Tato był moim obiektem zastępczym. Nikt nie mógł mieć mi za złe, że spędzam czas z nim, bo nie miałam męża ani partnera. Kiedy w pracy ludzie mnie pytali, co robiłam w weekend, mogłam odpowiedzieć: „Byłam u ojca. Jest samotny i potrzebuje mnie” - zaśmiała się gorzko. - To nie on był samotny... Ja byłam.

- Czy to się nie zmieniło, kiedy poznałaś Simona? - spytała Vida cicho. Potrząsnęła głową.

- Szczerze mówiąc, nie za bardzo. Simon większość czasu spędzał ze swoją matką a ja nadal jeździłam do ojca. Stary układ... A potem pojawiłaś się ty i układ się zmienił. Straciłam wszystko, co miałam. Nie mogłam sobie z tym poradzić... To był straszny szok - wiedzieć, że nie będę go już miała dla siebie tak jak dotąd, że od tej pory nie będę mogła pojechać do Ballymoreen w wolny dzień, kiedy wszyscy inni spędzają czas z mężem czy żoną...

Urwała. Przypomniała sobie, co jeszcze zdarzyło się w związku z małżeństwem ojca: w dniu jego ślubu poznała Maksa. I zakochała się w nim... Dopiero to wyprostowało wszystko w jej życiu. Ojciec przestał być obiektem jej nieustannej troski, bo miał teraz kogo innego, by się o niego troszczył - Evie zaś miała kogo innego, by o nim rozmyślać bez końca, odkąd tylko otworzyła oczy. Nawet śnić po nocach. Nie wiedziała tylko, jak głębokie jest to uczucie... I właściwie nadal nie wie.

- Boże, co ja wyprawiam - Vida zerwała się i chlusnęła sobie zimnej wody na twarz. - Wiek najwyraźniej robi swoje. Przyszłam tu, żeby pogadać z tobą o moim synu, a robię kilometrowe dygresje! - Osuszyła twarz papierowym ręcznikiem. - Spytałam Maksa, czy będzie na twoim ślubie, zwłaszcza że, jak wiesz, zamierzamy z twoim ojcem urządzić dla ciebie małe przyjęcie, zanim wyjedziecie z Simonem... a on powiedział, że by tego nie wytrzymał. Że raczej pójdzie do piekła, niż na ślub czy przyjęcie.

Serce Evie załomotało.

- Naprawdę? - wyszeptwała.

Vida skinęła głową. Evie nie musi wiedzieć, że to kłamstwo. Max nie powiedział nic takiego, ale co by z niej była za matka, gdyby nie zdawała sobie sprawy, iż jest beznadziejnie zakochany w Evie? A teraz wie również, że Evie odwzajemnia to uczucie. Małe kłamstewko jest doprawdy niewygodną ceną za to, by ich połączyć.

- No a jak... Nie powiedział tego wprost, Evie, ale myślę, że nie zniósłby twojego ślubu, bo sam chciałby być tym facetem obok ciebie przed ołtarzem.

- Myślisz? - wykrztusiła przez ściśnięte gardło. Miała wrażenie, że siedzi w nim pełno żab.

Vida objęła swoją drżącą pasierbicę ramionami.

- Przecież znam własnego syna, Evie. Chcę, żebyś była szczęśliwa, i nie zamierzam więcej się wtrącać. Powiem ci jedno: nie wychodź za męża, jeśli tego naprawdę nie chcesz. Pierścionki, stroje, prezenty... Wróć, skąd przyszły. Ból i wstyd przeminą. Znacznie trudniej jest uleczyć złamane serce w dziesięć lat później, kiedy okazuje się, że wszystko jest nie tak i małżeństwo nie istnieje.

Evie zagryzła usta. Nie trzeba być naukowcem, by zrozumieć, co chciała jej powiedzieć Vida: że nie powinna wychodzić za Simona.

Sama to wiedziała. Była jednak sterroryzowana myślą, że sprawy zaszły za daleko. Ślub miał się odbyć za dziesięć dni. Kościół zamówiony, przyjęcie zorganizowane. Podróż poślubna też. Sześćdziesiąt osób kupiło nowe kreacje, pożyczycyło kapelusze, załatwiło opiekunki do dzieci i poumawiało się ze znajomymi, kto będzie prowadził w drodze powrotnej, tak by wszyscy pozostali mogli się spokojnie urządzić na wspaniałym weselu Evie i Simona.

Jak można to wszystko odwołać? I jak powiedzieć miłemu, ufnemu, nieodpornemu Simonowi, że nie ma zamiaru go poślubić?

Długo nie wiedziała, gdzie się z nim umówić. Specjalne momenty wymagają specjalnego miejsca, a to bez wątpienia miał być moment szczególny. Niezapomniany... A więc miejsce musi być wyjątkowe. Takie, gdzie będzie mogła płakać.

Pomyślała o restauracji, w której Simon się jej kiedyś oświadczył. Miała wtedy do niego pretensję, że nie zastanowił się lepiej nad wyborem. Menu było przedpołudniowe, a dzieciak przy sąsiednim stoliku robił sceny o rybę z frytkami. Doprowadzało ich to do szału... Boże, od tego czasu minęło chyba milion lat! Czy naprawdę powiedziała wtedy Simonowi, że chce za niego wyjść?

Westchnęła. To, co powiedziała wczoraj Vida, było prawdą: nie ma innego wyjścia. Musi odwołać wesele.

- Przecież nie mamy pieniędzy, żeby kupować obrazy - powiedział Simon, kiedy zadzwoniła do niego i zaproponowała, by wybrali się na spacer na Merrion Square. W każdą niedzielę, bez względu na pogodę, wystawiono tu obrazy pod gołym niebem. Poręcze otaczające zielony skwer były obwieszane akwarelami, olejami, dużymi, małymi, średnimi... Artyści siedzieli na stołeczkach i gadali między sobą ludzie zaś krążyli tu i tam, popatrując na olejne surowe pejzaże Zachodu i szkice georgiańskiej architektury Dublinu. Kiedy Rosie była młodsza, Evie często zabierała ją tu w niedzielę na spacer. Sympatycznie i za darmo... W sam raz dla samotnej matki.

Z Simonem natomiast nigdy nie była na Merrion Square. Nie wiązały się dla nich z tym miejscem żadne wspomnienia i właśnie dlatego je wybrała. Później prawdopodobnie żadne z nich nie przyjdzie tu już nigdy w życiu.

- No to do zobaczenia - powiedziała, starając się zakończyć tę rozmowę.

- Dlaczego chcesz się ze mną spotkać właśnie tam? - spytał. - Może wpadnę po ciebie i pojedziemy samochodem?

Evie wpadła w panikę. Muszą przyjechać osobno, by mogli osobno wrócić! Nie zniosłaby siedzenia później z Simonem w jednym samochodzie... Później, gdy powie mu już, że wszystko nieaktualne.

- Nie, nie! Muszę potem pojechać do Olivii - skłamała pospiesznie.

- Skąd ten nagły kaprys, żebyjechać na Merrion Square? Na „Sky One” leci świetny program o FBI i seryjnych mordercach... - utyskiwał.

Sam pewnie zostaniesz seryjnym mordercą, jak usłyszysz, co mam ci do powiedzenia - pomyślała Evie, odkładając słuchawkę. Tak strasznie nie chciała tego robić... Ale musiała.

Zaparkowała od strony Mount Street, zgodnie z umową. Simona jeszcze nie było. Serce waliło jej ze zdenerwowania, a dłonie miała mokre od potu. Z radia płynął słodki śpiew Celine Dion, która błagała kochanka, by jej nie opuszczał. Evie wyłączyła radio.

Powinna była wypić drinka, albo wziąć środek uspokajający... Cokolwiek, co pomogłoby jej przez to przejść. Simon to miły, dobry, uczciwy człowiek, i nie zasługuje na to. Co z niej za świnią... Naprawdę, warta jest, żeby ją posłać do więzienia. Za to, że krzywdzi innych.

- Masz zamiar stać tu cały dzień, Evie? - zawołał Simon przez uchylone okno.

Dołączyli do przechadzającego się po placu tłumy.

- Nie lubię takiego malarstwa - szepnął, gdy mijali parę jaskrawych, abstrakcyjnych płócien, na których naniesiona pędzlem farba tworzyła grubą fakturę.

Evie niewiele widziała. Przed oczami miała wyłącznie strasliwą wizję kościoła, w którym mieli wziąć ślub: pełno ludzi, kwiatów, a przed ołtarzem stoi Simon, z otwartymi ustami. Sam.

- Być może chcesz kupić jakieś obrazy do domu, ale obawiam się, że nas na to nie stać... Budżet mamy dość napięty - powiedział Simon tonem usprawiedliwienia. - No, ale przecież matka chce nam kupić coś specjalnego, więc jeśli któryś ci się naprawdę podoba... Ja lubię marynistykę. Jak myślisz, mają tu coś morskiego? Może na przykład port w Dalkey?

- Simon, nie przyszedłem tu niczego kupować. Chcę z tobą porozmawiać. Chodźmy do ogrodu.

Poprowadziła go ścieżką ku ławce stojącej na skraju wypielegnowanego trawnika. Purpurowe i żółte bratki słodko-gorzko pachniały w słońcu, chyląc miękkie płatki. Czemu ona nie jest bratkiem? Bratek nie musi zrywać zaręczyn w przeddzień ślubu... Usiadła i wzięła głęboki oddech. Teraz. Już.

Simon, lekko oszołomiony, usiadł obok. Wyciągnął rękę, by ująć jej dłoń, i nagle zamarł w bezruchu.

- Nie masz pierścionka - powiedział oskarżycielskim tonem.

- Nie. - Miała go, ale nie na ręce. Spoczywał w oryginalnym pudełeczku, na różowym aksamicie. Tak wydawało jej się lepiej. Gdyby zdjęła pierścionek w jego obecności i wręczyła mu, mógłby cisnąć go gdzieś z wściekłością, a potem żałować. Przecież kosztował fortunę... Mógł sprzedać go i odzyskać przynajmniej pieniądze.

- Nie mogę za ciebie wyjść, Simon.

Powiedziała to. Okrutną prawdę, ale prawdę.

- Co? - Na bladej twarzy malował się ból i zdumienie.

Nie było powrotu.

- Przykro mi, Simon. Powinam to była powiedzieć dawno temu... Nie chcę za ciebie wychodzić. Myślę, że tak będzie lepiej i mam nadzieję...

-Ale przecież został już tylko tydzień! - przerwał, zszokowany. - Ślub ma być w sobotę, w następną sobotę... Ty... ty... ty żartujesz, prawda? - wyjąkał.

Nie chciała spojrzeć w te szare, pełne bólu oczy, ale musiały. Utkwiła w nim zdecydowany wzrok.

- Nie żartuję, Simon. Nie mogę za ciebie wyjść.

- Ale przecież ja cię kocham, Evie! Powiedz, że to tylko chwilowe wątpliwości, przedślubne nerwy... Proszę!

- Nie mogę - powiedziała w udręce. - Chciałabym, ale nie mogę. Odwołuję wszystko. Wybacz, Simon, ale nie ma innej możliwości.

- A nasze plany? Może powinnaś to przemyśleć? Dajmy sobie parę dni i spróbujmy...

Nie rozumie - pomyślała z rozpaczą. Zamknęła oczy.

- Kocham Maksę Stewarta, Simon. Właśnie dlatego muszę zerwać nasz związek. Nie spotykam się z nim, ale go kocham. W tej sytuacji małżeństwo z tobą byłoby nie w porządku.

Otworzyła oczy.

Simon nie przegarniał włosów palcami ani nie poprawiał okularów. Po prostu siedział. Wyglądał na tak zdruzgotanego, że Evie wydawało się, iż tego nie wytrzyma.

- Powiedziałeś kiedyś, że nie wiesz, czy istnieje prawdziwa miłość i że ludzie po prostu przyzwyczajają się z czasem do siebie i uczą się żyć razem - powiedziała w rozpacz. - Ale ja potrzebuję czegoś więcej, Simon. Potrzebuję prawdziwej, romantycznej miłości. Takiej jak w książkach. Wybacz mi...

- Powiniennem być wiedzieć, że ktoś taki jak Max może mi cię ukraść - powiedział cicho. - Jakie mam przy nim szanse? Wiem, że nie zmienisz decyzji. Skoro chodzi o niego...

W jego głosie brzmiała rezygnacja.

Evie była porażona reakcją Simona. Ta bierna akceptacja tego, co nieuniknione... Jakie to okropne - dowiedzieć się, że twoja własna dziewczyna zakochała się w kimś bardziej interesującym niż ty! A opinia Simona o sobie samym była tak niewygórowana, że wydawało mu się to całkiem naturalne.

Położyła dłoń na jego dłoni. Nie cofnął jej, nie podniósł głosu.

- Nie zasługuję na taką dobroć, Simon. Tak bym chciała cię nie ranić... Jesteś dla mnie wspaniałym przyjacielem, ale po prostu nie mogę za ciebie wyjść. To by zniszczyło nas oboje.

Pokiwał apatycznie głową.

Posiedzieli jeszcze pół godziny. Evie mówiła o tym, jak teraz wszystko odwołać, tak spokojnie, jakby była osobą z zewnątrz, powołaną do załatwienia spraw związanych z krachem cudzego związku. Ustaliła, do kogo zadzwoni ona, a do kogo Simon. Powiedziała, że Simon może mówić ludziom, co uważa

za słuszne, na przykład że to on ją rzucił, jeśli uzna to za zręczniejsze. Zasługiwał na to, by pozwolić mu zachować twarz.

W końcu wyjęła z torebki pudełeczko z pierścionkiem i dała mu je. Bez słów. Nie istniał tekst, który pasowałby do takiej sytuacji... I tak go zostawiła: z pudełeczkiem w dłoni, wpatrującego się niewidzącym wzrokiem w zagon bratków.

W drodze powrotnej płakała przez cały czas. Przez łzy prawie nie widziała świateł ulicznych ani innych samochodów. Płakała nad biednym Simonem, który ją kocha i który tak łatwo pogodził się z tym, że ona kocha innego. Poczucie winy i nienawiść do siebie samej mieszały się z ulgą. Zrobiła to. Nareszcie.

Rosie, zobaczywszy zalaną łzami twarz matki, chwyciła ją w objęcia. Zrobiła im obu najpierw herbaty, a potem drinka, w którym dżinu było znacznie więcej niż toniku. Evie, płacząc, błagała Rosie, by nikomu nic nie mówiła, dopóki ona sama nie powie. Nie wyjaśniła córce, dlaczego zerwała zaręczyny, w ogóle nawet nie wspomniała o Maksie. Wyglądało jednak na to, że nowina nie zaskoczyła Rosie.

- To nie był właściwy człowiek dla ciebie, mamó - powiedziała poważnie. - Zawsze to wiedziałam. Simon jest w porządku, ale nie dla ciebie. Ty potrzebujesz kogoś bardziej heroicznego... Jak tata.

Evie zaszlochała jeszcze rozpaczliwiej, a poczucie winy szarpnęło ją jeszcze boleśniej. Nie, nie może teraz odbrać sobie Tony'ego... Nie może powiedzieć Rosie, jaki był naprawdę. Nie może powiedzieć, że po jego śmierci wróciła do panińskiego nazwiska, bo brzydziła się jego. Oficjalna wersja głosiła, że w ogóle nie zmieniała nazwiska, bo w biurze zawsze była znana jako Evie Fraser. Tylko Olivia wiedziała, że Evie raczej popełniłaby samobójstwo, niż zgodziłaby się nazywać Mitchell-jak człowiek, który, żeniąc się z nią, był zakochany w mężatce. Poślubił ją, bo była w ciąży, ale w ciągu miesiąca stało się jasne, że chce mieć wyłącznie dziecko, żona jest mu niepotrzebna. Jego tajemny związek trwał, Evie zaś mogła jedynie się z tym pogodzić. Czy można się dziwić, że nie płakała na pogrzebie?

Rosie powinna była znać prawdę... Evie czuła, jak przytłacza ją ciężar winy. Przeszła przez życie, kłamiąc. Jest okropna, naprawdę okropna...

- Gdyby tata żył, nie zdarzyłoby się to wszystko - powiedziała Rosie. - Potrzebny ci jest po prostu ktoś taki jak on.

W poniedziałek rano Rosie wahała się, czy iść do pracy.

- Powinnam zostać z tobą, mamó. Nadal jesteś w szoku...

- Idź, kochanie, idź - zaprotestowała Evie. Twarz miała szarą z niewyspania - całą noc nie zmrzyła oka, myśląc o Simonie. - Ja wezmę sobie dzień wolny i zacznę odkręcać sprawy. Lepiej mi będzie samej.

Aż się skręcała na myśl, iż będzie musiała mówić krewnym i znajomym, że wesele odwołane, ale najgorsze iżyło za nią. Rozmowa z Simonem była

niczym walnięcie w głowę dzikiego zwierzęcia, które wywabiliśmy z lasu, oswoili i nauczyli jeść z ręki...

A jednak na dnie całej tej duchowej nędzy lśniła iskierka radości. Teraz, gdy wreszcie jest wolna, może być z Maksem! Tylko to trzymało ją przy życiu przez niekończące się nocne godziny. Max... Przecież powiedział, że ją kocha, prawda? A Vidzie powiedział, że nie może przyjść na jej ślub, bo by tego nie wytrzymał. Z czego wynika, że nie może być z Miał Koen.

Czekał na nią, na Evie! Niczym rycerz na białym rumaku, czekający na znak od damy swego serca. Czy to nie straszne - czuła się szczęśliwą gdy zadało się komuś taki ból? A jednak była szczęśliwa. Była wolna! W głowie już snuła fantazję o tym, co powie Max, gdy się dowie, że należy do niego.

- Evie, najdroższa! Nie mogę w to uwierzyć. Od tak dawna marzyłem o tej chwili! Tyle razy jeździłem pod twoim domem tam i z powrotem, tyle razy wykręcałem twój numer, tylko po to, by usłyszeć twój głos... Wiedziałem, że musisz do mnie wrócić. Od tej chwili już nic nas nie rozdzieli!

Numer znalazła w notesie córki. Max dał go Rosie w Hiszpanii, by mogła do niego dzwonić w związku z obiecaną pracą.

Przepisała numer, włożyła notes z powrotem do szuflady Rosie i zeszła na dół, przerażona jak małe kociątko. Drżącą ręką wybierała kolejne cyfry. Jak zacząć tę rozmowę? *Halo, Max? Wiesz, nie wychodzę za mąż. Czy zaproszenie na lunch jest aktualne?*

Po sześciu sygnałach włączyła się sekretarka. Usłyszała niski, dźwięczny głos Maksa, informujący, że nie ma go w domu i zapraszający do pozostawienia wiadomości. Mogłaby go słuchać cały dzień... Uśmiechnęła się na myśl, jak to będzie, gdy Max wróci i zastanie na sekretarce wiadomość od niej. Czekała na sygnał, wciąż z uśmiechem na twarzy, gdy wtem ktoś podniósł słuchawkę.

- Halo? - usłyszała damski głos. Przeciągły, miękki południowy akcent przywodził na myśl mocno schłodzony napój, dojrzałe brzoskwinie i długie, gorące dni pod słońcem Atlanty. - Czy to ty, Max? Nic nie słyszę, kochanie! Chyba twoja komórka znowu jest poza zasięgiem. Poszukaj innego miejsca, kochanie, i zadzwoń do mnie za chwilę. Pa!

Evie po cichu odłożyła słuchawkę. Dzięki Bogu nie zdążyła się nagrać. Pomyśleć, że Mia mogłaby odtworzyć jej wiadomość i naśmiewać się z irlandzkiej prowincjuszki, zakochanej w jej Maksie... Maksie, który mieszka razem z nią w jakimś luksusowym podniebnym apartamencie o belkowanym suficie i lśniących drewnianych podłogach. I pomyśleć, że mogliby informację odsłuchać oboje...

Wyszła na dwór, włożyła rękawice i zaczęła zajadłe wrywać chwasty ze skrzynki na tyłach ogrodu. Kiedy na twardą, wyschniętą ziemię zaczęły padać łzy, nie zatroszczyła się, by je obetrzeć.



Phoebe stanęła bokiem przed lustrem i przyjrzała się sobie uważnie. Była w piątym miesiącu i brzusek, choć niewielki, był już wyraźnie widoczny. Jak to dobrze, że wciąż jeszcze może nosić normalne rzeczy, tyle że numer większe... Stroje ciążowe okazały się horrendalnie drogie, kiedy zrobiły z Carą rundkę po sklepach.

- A może jednak sprawdzić, czy to chłopiec, czy dziewczynka - powiedziała z namysłem, wracając do salonu. Pełno tu było toreb z zakupami i ozdobnego papieru do pakowania prezentów.

- O Boże! - jęknęła Zoe. Siedziała na fotelu o pourywanych sprężynach i pojadając chipsy czytała swój horoskop. - Phoeb, przecież ty co dzień zmieniasz decyzję. Raz chcesz wiedzieć, raz nie... Zdecyduj się wreszcie!

- Nie, ale to ważne - ciągnęła Phoebe. - Jeśli to dziewczynka, to być może powinnam zachowywać się inaczej, niż jeśli to chłopczyk...

- Jeśli to chłopczyk, to powinnaś bez przerwy mieć chęć na piwo i pizzę - snuła rozważania Zoe. - A jeśli dziewczynka, to na czekoladę i powtórki „Dynastii”.

- W takim razie to dziewczynka. Murowane - powiedziała Cara, otwierając drzwi. Odbyła właśnie ekspedycję ratunkową do sklepu spożywczego w Rathmines, gdzie nabyła kolejne opakowanie lodów „Mars” oraz mnóstwo innych wyrobów czekoladowych. - W tym sklepie myślą, że wszystkie trzy mamy fioła - ciągnęła. - Sprzedawcy nie mogła zrozumieć, dlaczego w gmnie kupujemy tyle lodów.

- Wyjaśniłaś jej, że to dla ciężarnej? - Phoebe rzuciła się do rozpakowywania pudełka, zanim jeszcze Cara zdołała na dobre wyjąć je z plastikowej torby.

- Phoebe, rok temu tak samo opychałyśmy się lodami, chociaż nie byłaś w ciąży...

- Co racja, to racja.

Przez dłuższą chwilę milczały, pochłaniając każda swoją porcję. Patrzyły przy tym jednym okiem na „Dźwięki muzyki”. Fonia była wyłączona - Phoebe uwielbiała stare filmy, ale Zoe zapowiedziała, że zwariuje, jeśli usłyszy jeszcze raz „Edelweiss”, i poprosiła o ściszenie telewizora choć na parę minut.

Zoe wróciła do horoskopu.

- Posłuchajcie! „W te święta Lwy znajdą szczęście poza domem. Powinny jednak pamiętać, by najpierw myśleć, a dopiero potem mówić.” Co wy na to? Fajnie, że jadę na święta do twojego taty, Cara... Nie zniosłabym kolejnej gwiazdki w domu, z czeredą chłopaków i moim ojcem, który się na nich bez przerwy wścieka.

- Ale czy na pewno nie zrobimy kłopotu twojemu ojcu i Vidzie? - spytała Phoebe z odrobiną niepokojem.

- Vida powiedziała, że mają dla przyjezdnych cały osobny aneks, tak że goście mogą mieszkać ile chcą i robić, co im się podoba - wyjaśniła Cara cierpliwie po raz kolejny. - Tylko że będziecie musiały spać w jednym pokoju, bo sypialnie są dwie, a Ewan też się ze mną wybiera. Biedna Rosie jest niepoczyszona, że w aneksie nie ma jeszcze jednego pokoju, dla niej. Evie nie rozumie dlaczego, bo przecież Vida przygotowała dla Rosie bardzo miłą sypialnię w domu...

- Pewnie Rosie myśli, że będziemy urządzić całonocne szaleństwa - zaśmiała się Zoe. - Niestety, Niestety... Phoebe będzie cały czas oglądać stare filmy, a ja będę krążyć po domu jak wariatka, nie wierząc własnemu szczęściu. Będzie cicho!!! Mój dom to linia frontu, na której nieustannie trwa wymiana testosteronowej amunicji. No, a wy z Ewanem będziecie przygotowywać się do seksualnej olimpiady, przy okazji łamiąc nowe łóżko w sypialni.

- Ha ha ha - wygłosiła ponurym tonem Cara. Była taka szczęśliwa... Spędzi Boże Narodzenie z Ewanem, z rodziną i z dziewczynami! Vida miała fantastyczny pomysł.

Nowy dom w Ballymoreen nareszcie był gotów. Była to perła architektury wiktoriańskiej, a równocześnie pomnik upamiętniający umiejętności perswazyjne ojca, który zdołał przekonać budowlanców, żeby naprawdę skończyli go w zapowiedzianym terminie. Główny budynek obejmował pięć sypialni, cztery pokoje gościnne i wielką kuchnię o kamiennej podłodze, po której z upodobaniem ślizgały się Gooch i Jessie, kiedy były czymś podekscytowane. Jedną ze stajni zamieniono w osobny apartament. Mieściły się tam dwie sypialnie, łazienka i obszerny, połączony z kuchnią salon z prawdziwym kominkiem.

Kiedy Cara zapowiedziała, że tym razem nie może przyjechać na święta do domu, bo musi zostać z wyklętą przez rodzinę Phoebe, Vida z miejsca zaproponowała aneks.

- Będziecie miały tam święty spokój, a równocześnie będziemy mogli spotykać się przez całe święta przy stole. A Phoebe dobrze zrobi taka zmiana miejsca. Cóż to za facet! Żeby zostawić ją z dzieckiem... U nas szybciej wróci do siebie, zobaczysz. Twój ojciec dostałby zawału serca, jakbyś nie przyjechała na Boże Narodzenie.

Kiedy Zoe dowiedziała się o zaproszeniu, natychmiast zrobiła minę biednego szczeniątka.

-A ja bym nie mogła z wami pojechać? Proszę, proszę, Cara, weźcie i mnie ze sobą...

Od Gwiazdki dzieliły je jeszcze dwa dni. Wyjeżdżały dziś autobusem, o szóstej. Zdążyły kupić rano prezenty i mnóstwo świątecznych artykułów żywnościowych, ale nic jeszcze nie było zapakowane, nawet mama para gatek.

W dodatku Zoe musiała jeszcze wpaść do siebie, po rzeczy... Wybierała się od co najmniej godziny.

- Może byś wreszcie zawinęła te prezenty w papier, aja bym zaczęła pakowanie, co? - zwróciła się Cara do Phoebe. - A ty, Zoe, leć wreszcie do siebie, na Boga! Już prawie trzecia, a my musimy o wpół do szóstej wyjść z domu, jeśli chcemy zdążyć na autobus.

Zoe ze spokojem czytała teraz horoskop Cary.

- „Nadchodzące Gody przyniosą spełnienie dla wszystkich Skorpionów”... O tak! - zachichotała. - Ewan aż się pali, żeby spełniać twoje pragnienia. Zwłaszcza pewien ich rodzaj... „Choć generalnie powinny uważać, by nie przejadać się smakołykami, w tym okresie mogą się nimi radować do woli.”

- Idźże już - Cara wypchnęła ją na korytarz. - Na pewno nie będę się radować, jeśli się przez ciebie spóźnimy na autobus, kretynko.

- Wielkie rzeczy! Jak się spóźnimy, to pojedziemy jutro z Ewanem - Zoe nie cierpiała podróżować autobusami.

- Co ty powiesz? Cztery walizki, dziesięć toreb z prezentami, trzy pudła z zapasem czekoladek, napitków i ciast oraz czworo ludzi! Gdzie ty to zmieścisz w małym sportowym wozie? Już cię nie ma! Nie możemy się spóźnić i już.

Zdażyły, ale w ostatniej chwili. W rezultacie bagażnik zajmowały już torby i pakunki pozostałych pasażerów i wszystkie trzy musiały przez całą drogę trzymać bagaże na kolanach.

- Zamorduję cię, Zoe - mruknęła Cara. Autobus sunął powoli i przystawał, manewrując w koszmarnym świątecznym tłoku. - W ten sposób jazda potrwa ze trzy godziny, a ja z tym pudłem na kolanach nie mogę mszyć nogami!

- Och, zamknij się - warknęła Zoe ze swojego miejsca tuż przed nią. Sama miała nie lepiej - piastowała na łonie zapas wina. - Najważniejsze, że jedziemy.

Pokonując hordy oszalałych zakupowiczów, którzy za wszelką cenę usiłowali znaleźć miejsce na zatłoczonych do niemożliwości parkingach w centrum, autobus w ślimaczym tempie wpełzł z miasta. Nastrój wśród pasażerów bynajmniej nie był świąteczny - ludzie klęli na tłok i brak ogrzewania.

- W przyszłym roku kupuję samochód - mruknęła Cara do siedzącej obok Phoebe. Przyjaciółka jednak spała. Jej okrągła buzia była spokojna, a ręce obejmowały brzuszek, chroniąc bezcenną zawartość.

Cara uśmiechnęła się. Phoebe ma w sobie tyle siły i psychicznej odporności... Umiała poradzić sobie i z perspektywą samotnego macierzyństwa, i z tym, że rzucił ją Ricky. Cóż znaczy w porównaniu z tym jazda zatłoczonym autobusem? Drobną niewygodą i to wszystko.

Kierowca miał dość rozwścieczonych pasażerów. Włączył kasetę z kółkami. Kiedy rozbrzmiał chór czystych dziecięcych głosów śpiewających

„Cicha noc, święta noc”, zdawało się, że cały autobus zamarł. Ludzie przypomnieli sobie, gdzie i po co jadą.

- Chcesz jednego? - rozległ się szept. Z przedniego siedzenia wyciągnęła się w kierunku Cary torebka toffi.

- Jasne! Przepraszam, że się tak na ciebie wściekałam. Straszna ze mnie krowa od czasu do czasu...

- Obie jesteśmy krowy - zgodziła się Zoe.

Przez chwilę zgodnie żuły toffi.

- Chyba spróbuję się zdrzemnąć - powiedziała w końcu Cara. Może dzięki temu podróż trochę się skróci.

Zamknęła oczy, ale nie mogła zasnąć. Zbyt wiele spraw tłukło się jej po głowie... Ewan, Ewan przede wszystkim! Rozmawiali niedawno o tym, że mogliby zamieszkać razem. Na samą myśl o tym Cara czuła rozkoszne ściskanie w brzuchu. Budzić się co rano przy jego boku, razem kąpać, rozwalać na tapczanie przed telewizorem, robić zakupy... Spędzać w łóżku niedzielne poranki, czytając, pieszcząc się, kochając...

Jedyny problem stanowiła Phoebe. Cara nie chciała porzucić przyjaciółki teraz, kiedy była w potrzebie. Gdyby mogli znaleźć dwa sąsiadujące z sobą mieszkania, tak by wystarczyło przejść przez korytarz w razie potrzeby... Mogliby wówczas oboje pomagać w doglądaniu malucha. Podobała jej się ta myśl. Idą sobie oboje z Ewanem wzdłuż kanału, prowadząc wózek, pogadują do dziecka, pokazują mu łabędzie i kaczki... Phoebe już teraz upierała się, by Cara została chrzestną matką.

- A kto, jak nie ty? - mówiła przynajmniej raz na dzień. - Przecież chodzisz ze mną do lekarza, na USG... W ogóle jesteś dla mnie strasznie dobra.

- Gdybyś poprosiła matkę, na pewno by z tobą poszła - Cara miała nadzieję, że rozdźwięk w rodzinie, spowodowany przez fanatycznie religijnego ojca Phoebe, uda się z czasem zlikwidować.

- Jak dotąd się nie zdecydowała - odpowiadała Phoebe ponuro.

Następną rzeczą jaką zarejestrowała świadomość Cary, była Zoe, która potrząsała ją za ramię.

- Jesteśmy na miejscu! Wstawaj, bo inaczej pojedziemy z powrotem.

Wytaszczyły się z autobusu, obładowane paczkami niczym trzy święte Mikołaje. Ojciec już czekał.

- Tato! - Cara omal nie zwała go z nóg, zwłaszcza że wraz z bagażem ważyła niemal dwukrotnie więcej.

Objął ją mocno.

- Tak się cieszę, że przyjechałaś, malutka. Co by to były za święta bez ciebie?

- Niestety, będzie pan miał na głowie także i nas dwie - włączyła się

Andrew objął kolejno każdą z nich.

- Już nie możemy się was doczekać... Vida przygotowała lasanie, pieczone ziemniaki i grzane wino, a psy dostają histerii z podniecenia. Wiedzą, że ktoś ma przyjechać, i jak tylko zadzwoni dzwonek, dosłownie wychodzą ze skóry. Gooch przyniósł wszystkie swoje zabawki i ułożył pod drzwiami, żeby dać je gościom jako prezenty. Tylko uważajcie, dziewczyny: zabawki są całe zaślinione i wymazane psim jedzeniem!

Cara z radością zaczęła przekładać pakunki i torby do bagażnika w samochodzie ojca. Jak to wspaniale znaleźć się w domu...

Olivia zamknęła drzwi wejściowe, upuściła na podłogę aktówkę i torby i z rozkoszą zrzuciła szpilki, które musiała włożyć na przyjęcie. Kiedy wychodziła, było jeszcze w pełnym toku, pomimo że zaczęło się w porze lunchu, a teraz dochodziła siódma. Studio „Telewizji śniadaniowej” już nigdy nie będzie takie samo... Bezcenne sofy Nancy zostały splamione drinkami, a sprzęty doznały rozmaitego uszczerbku, gdyż rozbawione towarzystwo wpadało na nie, szalejąc w rytm muzyki disco z lat siedemdziesiątych.

- Nie idź jeszcze, Olivia - jęknął Kevin, gdy zaczęła się żegnać. Kapełusz ze srebrnego papieru przekrzywił mu się na tlenionej czuprynie, a z szyi zwiślały różnokolorowe serpentyny. Był zalany.

Olivia odstawiła plastikowy kubek po wodzie mineralnej na ostami skrawek wolnego miejsca, jaki udało jej się znaleźć na blacie, doszczętnie zastawionym takimi samymi kubkami i butelkami po winie. Kevin zarzucił jej ramiona na szyję.

- No nie idź - nalegał, dysząc na nią alkoholem. - My cię wszyscy tak kochamy... Prawda? - odwrócił się do ludzi.

- Taak - wybełkotali ci, którzy mogli jeszcze mówić.

- No widzisz? - Kevin był bardzo dumny. - Nancy by tak nie powiedziała.

Olivia pocałowała przyjaciela i powiernika w policzek.

- Muszę iść. To specjalny wieczór dla mnie i dla Stephena.

- Przepraszam... Zapomniałem. Mam nadzieję, że się wam uda. Całuski i do zobaczenia w styczniu!

Powiesiła płaszcz w hallu i na palcach podeszła do kuchennych drzwi.

Na kuchence bulgotało coś w garnku, roznosząc wspaniałą woń. Stephen, tyłem do drzwi, pochylał się nad zlewem. Sasha, przy stole, w skupieniu przyklejała niewprawnymi rączkami strzępki waty do czerwonej czapki Mikołaja, narysowanej kredkami na białym kartonie. Stół był zasłany kredkami, skrawkami papieru, flamastrami i tubkami kleju.

- No i jak ci idzie z Mikołajem? - Stephen porzucił na chwilę zlew, w którym płucał paprykę. Była potrzebna na sałatkę, która miała towarzyszyć daniu głównemu - *coq au vin*.

Żadne z nich nie zauważyło, że Olivia stoi przy drzwiach. Patrzyła w milczeniu. Oto szczęście.

Stephen nachylił się nad Sashą i podziwiał jej dzieło, utkwivszy nos w miękkich włoskach.

- Świetnie. Bardzo jesteś mądra - powiedział z dumą.

- To dla ciebie i mamusi - odparła, wciąż skupiona na tym, co robi.

- Mamusia jest zachwycona - Olivia zdecydowała się wejść. Pocałowała Sashę w główkę i zwróciła się ku Stephenowi. Otoczył ją ramionami i mocno pocałował w usta. Pachniał czosnkiem. Wspaniały zapach...

Oddała pocałunek. Zamknęła oczy i napawała się jego bliskością.

- Nie myślałem, że tak wcześnie wrócisz!

- Chciałam wyjść już dawno temu, żeby być z wami. Ale to strasznie trudne... Chyba jedyną trzeźwą osobą na imprezie pozostała Linda, a całe studio to jedna wielka katastrofa. Linda chodzi i lamentuje: „Przecież tego się nigdy nie naprawi!”

- Cieszę się, że już przyszaś - Stephen wciąż trzymał ją w objęciach.

- Boże Narodzenie zaczyna się tutaj - Olivia położyła znużoną głowę na jego ramieniu.

- Dlaczego nigdy wcześniej nie urządziliśmy świąt w domu? - westchnął. - Tak tu miło i spokojnie... Tylko nas troje.

- I świnka morska! - pisnęła Sasha.

Zaśmiali się. Święty Mikołaj został poproszony o świnkę morską i następnego dnia do domu przybyły aż dwie, razem z kłatką-pałacem i wszystkim, co śwince do szczęścia potrzebne.

- W takim razie spędzimy święta w pięcioro - szepnęła Olivia Stephenowi do ucha i skubnęła je czule wargami.

Objął ją mocniej.

- Jak nie przestaniesz - szepnął z przebiegłym uśmiechem - to na następne święta będzie nas sześcioro...

Uśmiechnęła się z rozmarzeniem.

- Czemu nie...

Evie podniosła torebkę zza bocznego siedzenia, narzuciła płaszcz na starą bluzę i zamknęła drzwiczki. Wyczerpała ją jazda do Ballymoreen. Na drodze był potworny tłok, wciąż napotykała jakichś oszalałych kierowców usiłujących wymusić pierwszeństwo... W rezultacie było już w pół do dziesiątej i marzyła wyłącznie o tym, by położyć się do własnego łóżka we własnym domu i nie musieć prowadzić uprzejmych konwersacji z kimkolwiek. Niestety, na to nie było szans.

Skoro tylko podjechały pod nowy dom Andrew i Vidy, Rosie wyskoczyła na zewnątrz i pognała ku tylnym drzwiom. Kiedy przebiegała obok fotokomórki,

zapaliło się światło, ukazując efektowny budynek z czerwonej cegły i kładąc po ogrodzie długie, złowrogie cienie. Było ciemno i mroźno, a pomimo to Evie nie spieszyła się do środka. Wiedziała, że będzie tam ciepło i gościnnie: na stole smaczne rzeczy, Vida i ojciec zachwyceni jej przyjazdem... Cara i dziewczyny prawdopodobnie już są i teraz śmieją się i gadają, napawając się atmosferą świąt. Evie jednak wcale nie czuła się świątecznie. Czuła się jak w przeszłości - stara i smutna. Chyba już nigdy nie poczuje się szczęśliwa... Ostatnio czuła wyłącznie paraliż.

Ile czasu może trwać bezwład? Chyba nie przez całe życie? A zresztą, kto wie... Ona jest sparaliżowana już od czterech miesięcy.

Otworzyła bagażnik i spojrzała ze znużeniem na walizkę i torby, upchnięte byle jak. Pewnie zapomniała kupy rzeczy... Czy to możliwe? Evie Fraser, która zawsze wszystko miała zapięte na ostatni guzik, a gwiazdkowe prezenty czekały już od listopada, opakowane, przybrane wstążeczkami, z przytwierdzonymi na karteczkach imionami... Obrzuciła ponurym spojrzeniem zawartość bagażnika. Tamta Evie Fraser odeszła na zawsze. Naiwna i niewinna kobieta, która naiwnie marzyła o prawdziwej miłości i odgradzała się naiwnymi romansami od prawdziwego życia.

Pewne było tylko, że zabrała kryminał o seryjnym mordercy, który ostatnio czytała. Kanibalizm, okaleczenia i gwałty to nie był najlepszy temat do poduszki, ale przynajmniej bronił dostępu do jej snów innym, jeszcze gorszym marom. Lepiej już było śnić o mordercach, niż o mężczyźnie, którego kochała i utraciła.

Usłyszała zgrzyt żwiru na ścieżce. Ktoś nadchodził od strony tylnych drzwi. Pewnie ojciec, żeby pomóc jej wnieść bagaże.

Ale to nie był ojciec. Była to ostatnia osoba, jaką spodziewała się zobaczyć: Max.

Vida twierdziła, że od miesięcy nie ma go w kraju. Tylko dlatego Evie zgodziła się przyjechać na święta do Ballymoren: miała pewność, że go tam nie będzie... Wsiadam do samochodu i wracam do domu - zdecydowała w jednej chwili. Nie ma chwili do stracenia. Na pewno jest z Miał, a ona tego nie zniesie.

Zbliżał się, przystojny jak zawsze, nawet w starym swetrze pełnym psiej sierści i wytartych dżinsach. Twarz miał w cieniu - stał tyłem do światła. Cień nie zacierał jednak blasku, jakim zalśniły na jej widok jego oczy. Choć szczerze lepszy niż dawniej, nadal był potężny niczym niedźwiedź, choć bardziej przypominał wielkiego kota niż grizzli.

Postąpiła krok do tyłu, w kierunku samochodu.

- Co ty tu robisz? - warknęła.

- Czekam na ciebie.

- Po co? - zasyczała. Czuła się jak lis w potrzasku.

Max był tuż obok. Zobaczyła nad sobą jego twarz. Była w niej czułość.

- Żeby ci powiedzieć, że straciliśmy za dużo czasu i nie możemy tracić go nadal.

Sam dźwięk jego głosu sprawił, że zapomniała o rzeczywistości. Tak by chciała dotknąć go, zanurzyć palce w tych czarnych, gęstych włosach, poczuć jego usta na swoich... Nagle oprzytomniała.

- Coś ty powiedział?

- Że cię kocham i nie pozwolę ci się ruszyć na krok, dopóki nie powiesz, że zostaniesz ze mną na zawsze - powtórzył.

Wlepiła w niego oczy.

- Jak to? - spytała głupio.

- Trzy dni temu moja matka zadzwoniła do mnie, do Afryki Południowej, i powiedziała, żebym przestał być takim tępym idiotą i wracał do domu. Powiedziała, że nie wyszłaś za męża, że nikniesz w oczach, i dlaczego do diabła czegoś z tym nie zrobie.

- A-ale... j-jak to? - nie mogła sklecić słowa. Była jak ogłuszona. Tyle czasu o tym marzyła, a teraz, gdy stał obok niej, wydawało się to takie dziwne... To musi być halucynacja, efekt zmęczenia. W końcu ma za sobą parę godzin prowadzenia samochodu po ciemku, po kiepskiej prowincjonalnej drodze.

- Złapanie w ostatniej chwili lotu do Europy w tygodniu przedświątecznym graniczy z cudem - mówił Max z uśmiechem. - Leciałem tu trzydzieści sześć godzin, z miliardem przesiadek. - Twarz mu pociemniała. - A wszystko dlatego, że nic nie wiedziałem o twojej decyzji. Czemu nie powiedziałaś mi, że nie wychodzisz za męża, Evie? - słyszała udrękę w jego głosie. - Gdybym wiedział, że wszystko odwołałaś, mógłbym mieć jakąś nadzieję... Nadzieję, że może mnie kochasz.

- Dzwoniłam - szepnęła. - Telefon odebrała Mia. W ten sposób dowiedziałam się, że z nią mieszkasz.

- Ona mieszkała w mieszkaniu należącym do firmy - powiedział, zdumiony. - Ze mną nigdy... Przecież dałem ci mój numer, na weselu, pamiętasz? Nigdy z niego nie skorzystałaś... Mieszkanie firmowe ma całkiem inny telefon. Zatrzymałem się w nim na parę dni po powrocie z Hiszpanii, bo byli jeszcze dekoratorzy...

- Dałeś ten numer Rosie, prawda? - spytała. W całym ciele czuła narastający dreszcz ekscytacji. - Miała do ciebie dzwonić w sprawie pracy.

- Tak.

- No więc zadzwoniłam ja.

Max chwycił ją za ramiona.

- Evie, dlaczego ty wciąż myślisz, że jestem z Mią? Przecież ci powiedziałem, że cię kocham, prawda?

Zamknęła oczy. Dotyk jego rąk... Zadrżała, trochę z podniecenia, a trochę z zimna.



- Zimno ci, najdroższa - powiedział, zaniepokojony. - Nie powinienem trzymać cię tak długo na dworze...

„Najdroższa”... Mówi do niej „najdroższa”! Tyle miesięcy tortur... a on ją kocha?

Ujął jej drobną, zziębniętą dłoń w swoją dużą i ciepłą i poprowadził do tylnego wejścia. W hallu, pełnym gumowych butów i leszczynowych lasek, chwycił ją kurczowo i zachłannie w ramiona.

Przyłgnęła do niego całym ciałem. Czuła przez ubranie jego serce, bijące równie dziko jak jej własne. Max schylił głowę i ich usta się spotkały.

Dotknął jej delikatnie, jakby całował kruchą porcelanę. Jego wargi... jego pierś... jego twarde, napięte ciało... Nie sądziła, że jeszcze kiedykolwiek je poczuje na swoim. Cóż to za radość! Czuła, że wraca jej życie.

Usta Maksy stały się bardziej natarczywe. Przywarli do siebie gwałtownie, jak gdyby usiłując nadrobić cały ten stracony czas, kiedy mogli obejmować się, kochać, snuć plany...

- Evie, Evie, czemu to trwało tyle czasu, zanim się wreszcie odnaleźliśmy? - szepnął w miękka chmurę jej włosów. - Dlaczego mi nie wierzyłaś, kiedy ci powiedziałem, że cię kocham? Dlaczego myślałaś, że interesuje mnie Mia?

- Bo to było takie podobne do tego, co przeżyłam kiedyś... z moim mężem. Myślałam, że nie mogę ci ufać - wpatrywała się w ścieg jego swetra i nagle przestała go widzieć przez łzy. - Bo Tony'emu nie mogłam. Kiedy umarł, był zakochany w innej. Ożenił się ze mną, bo zaszłam w ciążę, ale z tamtą był wcześniej, od lat. Była żoną jego przyjaciela. Nie wiedziałam o tym, dopóki nie przyszła na świat Rosie. Wtedy mi powiedział. Powiedział, żebym nie liczyła, że to się zmieni. Kochają i już.

- O Jezu - Max miał oczy pełne współczucia. Co ona przeszła! - Moje kochane biedactwo...

Teraz, gdy już opowiedziała mu najgorsze, słowa wylewały się z niej jak po wyciągnięciu zatyczki.

- W ogóle nie płakałam, kiedy zabił go samochód. Po tym wszystkim to była ulga. Nikt nie zna prawdy oprócz Olivii. Rosie nie ma pojęcia, jaki był naprawdę... I dlatego - wyrzucała z siebie gorączkowo - nie próbowałam znowu się z tobą skontaktować. Myślałam, że historia się powtarza. Ty i Mia... byliście razem, zanim ja się pojawiłam, i nigdy z niej nie zrezygnowałeś... - głos jej się załamał z napięcia, gdy mówiła o wszystkich tych okropnościach, z jakimi żyła od czterech miesięcy. - Ostatniego wieczoru w Hiszpanii rozmawiałeś z nią. A ona jest taka piękna... Byłam pewna, że z nią jesteś. Jak mogłam myśleć inaczej?

- Tego wieczoru w Hiszpanii Mia powiedziała mi, że chciałaby, żebym do niej wrócił. Nudziła się i myślała, że będę dla niej jakimś urozmaiceniem - mówił, gładząc ją po twarzy. - Powiedziałem, że nie mogę, bo kocham inną.

Ciebie. Ciebie! A ty rano powiedziałaś mi, że wychodzisz za tego cholernego Simona! - prawie wyplułam to imię. - No więc dałam ci spokój i przed twoim ślubem wyjechałam z kraju. Nie było mnie aż do tej pory. Nie mogłam pytać matki o ciebie. Nie wytrzymałabym tego.

Mogła sobie wyobrazić, co przeżyłam... To samo co ona. Ból, ból, ból. Życie automatu, wyłącznie z przyzwyczajenia.

- Myślałam, że jesteś z **Mia**, a ja byłam na jedną noc, czy coś w tym rodzaju - szepnęła. - Sprawdziałam, czy w gazetach nie ma ogłoszenia o waszym ślubie, albo że macie trojaczki, czy coś...

- A ja myślałam, że żyjesz w małżeńskim szczęściu, a ja byłem na jedną noc - zaśmiał się. - Co z nas za głupki! Gdyby moja matka do mnie nie zadzwoniła...

- Co ja takiego zrobiłam? - przez uchylone drzwi zajrzała Vida.

Aż podskoczyli. Po chwili, rozluźnieni, wsparli się o siebie nawzajem, instynktownie obejmując się ramionami.

- Zrobiłaś nam prezent pod choinkę - powiedział Max.

Vida uśmiechnęła się do nich od ucha do ucha.

- A teraz, mamó, czy nie mogłabyś zamknąć drzwi jeszcze na parę minut? Mamy coś pilnego do załatwienia - poprosił.

- Czemu nie - powiedziała Vida z zadowoleniem, zamykając drzwi.

- Do załatwienia? - spytała Ewie z błyskiem w oczach. - Co miałeś na myśli?

Max odwzajemnił błysk.

- Coś tam już wymyślimy - mruknął.